

KOLORY ZŁA

CZERŃ

MAŁGORZATA OLIWIA
SOBCZAK

MAŁGORZATA OLIWIA
SOBCZAK

KOLORY ZŁA: CZERŃ



Copyright © by Małgorzata Oliwia Sobczak
Wydanie I
Warszawa, MMXX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Dedykacja

Motto

*

2008

2014

1986

2014

2004

2014

1982

2014

1976

2014

1976

2014

1973

2014

Później

Podziękowania

Przypisy

Dla Moich Ludzi

*Czasami mnie straszył. Przychodził wcześniej, zanim się rozwidniło, zanim się
rozbudziłam, kiedy eksplodowały we mnie wspomnienia z dzieciństwa.*

I ogarniała mnie panika. Cień!

Majgull Axelsson, *Kwietniowa czarownica*, tłum. Halina Thylwe

*

Życie tak szybko mija. Jak sen, który w jednej chwili się kończy. Słyszę przeciągłe trąbienie i dokładnie wiem, co zaraz nastąpi. To tylko ułamki sekundy, ale czas spowalnia i widzę wszystko ze szczegółami: auto jest czarne i lśniące; srebrny zderzak zbliża się do mnie pośpiesznie jak zgłodniały potwór. Uderzenie wyrzuca mnie na kilka metrów w górę. Nie boli. Rozumiem, że jest źle, ale nie czuję niczego. „Matko Boska, to się dzieje naprawdę” – myślę przerażona, leżąc na ziemi. Dochodzi mnie klangor żurawi. Jednostajny dźwięk przelatuje głośno tuż nade mną.

Pod moimi powiekami rozlała się ciemność. Próbuję otworzyć oczy, ale nie jestem w stanie. Nie jestem spokojna. Nie zapadam się powoli w siebie, nie jest mi wszystko jedno. W mojej głowie wciąż krąży ta sama straszna myśl: umieram. Pisząc, często zastanawiałam się, jak to jest – umierać. Czy ludzie zdają sobie sprawę z tego, że to już, czy po prostu przechodzą w stan nieświadomości? Za każdym razem wymyślałam inną wersję. Było ich sporo – w każdej powieści ktoś musiał umrzeć, żeby książka się sprzedała. Wnikliwie opisywałam te sceny. To właśnie za ten dramatyzm cenili mnie czytelnicy. Za słowa, które odkrywały nagość ludzkiej duszy.

Teraz też staram się znaleźć najlepsze określenia. „Zimno, ciemno, strach” – wymieniam w myślach. Tylko tyle. Nie potrafię nazwać tego, co przeżywam. Chciałabym mieć kartkę i długopis. Wtedy właściwe słowa przyszłyby same. Dłoń sunęłaby gładko po papierze, bezbłędnie kreśląc litery. A tak nie potrafię się skoncentrować. „Zimno, ciemno, strach” – powtarzam i staram się skupić. Żal. Tak, „żal” to dobre słowo. Żal mi odchodzić. Tak bardzo żal. Zalewa mnie smutek, jakby odnaleziony rzeczownik uaktywnił uczucia. Z ciemności wyłania się twarz. Bardzo ją kocham.

„Piotruś” – imię pojawia się w mojej głowie i w tym momencie przestaję być.

1

Śnieg sięgał powyżej kolan. Trzej mężczyźni z trudem podnosili obute w trapersy nogi, przebijając się przez las.

– Daleko jeszcze? – Komendant powiatowy policji w Kartuzach, Zbigniew Mączyński, przystanął i rozejrzał się wokół.

Na gałęziach gęsto otaczających ich świerków leżały grube czapy śniegu. Poranek był cichy i bezwietrzny.

– Jeszcze kawałek. Zaraz będzie polana – odparł myśliwy, Stefan Wieczorek.

Ponaglił ich i poprawił skórzany pasek łamanego sztucera K77, który zsunął mu się z ramienia.

Znów ruszyli przed siebie. Śnieg cierpko chrzęścił pod ich stopami.

W końcu dotarli do polany. Przez szare, zwaliste chmury przesączało się tak niewiele światła, że jej drugi koniec był ledwo widoczny w półmroku. Pokrywający polanę matowy śnieg wyglądał jak wykrochmalona na sztywno pościel.

– Zobaczyłem go z ambony. – Myśliwy wskazał drewnianą wieżyczkę stojącą na skraju lasu. – Przez lornetkę. Najpierw pomyślałem, że to jakiś śmieć albo kawałek materiału, ale jak się przyjrzałem, zobaczyłem twarz. – Wieczorek przełknął ślinę. – Twarz chłopca – dodał z trwogą.

Mączyński mruknął coś niezrozumiale pod nosem i zerknął na stojącego obok Waldemara Żaczka. Komisarz niemrawo skinął głową i dopytał:

– Podchodził pan do ciała? Sprawdzał puls?

Wieczorek spojrział na policjanta przeciągle i zdecydowanym tonem stwierdził:

– Nie było potrzeby. Jestem myśliwym od trzydziestu lat. Niemal codziennie widzę śmierć. Dzieciak nie żyje, i to od jakiegoś czasu. Zresztą... mówiłem już, że ciało jest, hmm, niekompletne... – uciął.

Komendant Mączyński chrząknął, zmierzył wzrokiem myśliwego i zniecierpliwiony burknął:

– Dobra, prowadź pan.

Wieczorek ruszył przed siebie. Po jego śladach brnęli Mączyński i Żaczek. W końcu zatrzymali się na przeciwległym skraju polany. Myśliwy zrobił kilka kroków w bok, odsłaniając policjantom widok.

Spod śniegu wystawał granatowy materiał. Im dłużej patrzyli, tym początkowo trudna do zdefiniowana bryła zaczynała nabierać kształtów. Kurtka opinała klatkę piersiową, sztywne dzinsy formowały się w nogi... pomiędzy nimi wyłoniła się twarz. Cienka, różowawa skóra powiek, oblepione mrozem rzęsy, szczyt niewielkiego nosa.

Waldemar Żaczek przeciągle westchnął i zatoczył się do tyłu. Zdzisław Mączyński stał bez ruchu, wpatrując się w zamarznięte zwłoki. Powoli wyciągnął z kieszeni komórkę i wybrał numer.

– Potwierdzam, chłopiec... Pasuje do rysopisu. Tak jak zeznał myśliwy – odkaszlnął – odcięta głowa znajduje się pomiędzy nogami – powiedział bezbarwnym głosem. – Aha... tak... rozumiem. – Zakończył połączenie i nie odrywając oczu od leżącego na ziemi ciała, zwrócił się do towarzyszących mu mężczyzn: – Nikomu ani słowa. Nikt nie może się o tym dowiedzieć, rozumiano? Nie chcemy przecież siać paniki, prawda?

Tamci niemrawo przytaknęli i spuścili głowy.

2014

1

Ulica była pusta. Ciemność nocy rozjaśniały latarnie, których światła raz po raz prześlizgiwały się po szybie sunącego w kierunku Kartuz auta.

– *The world was on fire and no one could save me but you* – cicho nuciła Julia Sarman. Hit z końca lat osiemdziesiątych nie nudził się stacjom radiowym.

Spojrzała w lusterko wsteczne. Piotruś spał z lekko pochyloną na bok główką. Byli w podróży już niemal dobę, a jej siedmioletni synek ani razu nie poskarżył się na zmęczenie. W samolocie był tak miły i grzeczny, że starsza pani siedząca obok wprost się nad nim rozpląwała. „Ciocia Jane zabierze cię ze sobą do domu, jeśli mama cię odda” – piszczała dziecinnym głosem, szczypiąc go w policzki. Piotruś uprzejmie się do niej uśmiechał, choć gdy Julia w ten sposób się do niego zwracała, krzywił się i mówił, że nie jest już dzieckiem.

Zbliżali się do skrzyżowania, a GPS zakomenderował „kieruj się na północ”. Julia zaklęła pod nosem. Niby skąd, do cholery, miała wiedzieć, gdzie jest północ! Intuicyjnie wybrała kierunek. „Dalej prosto” rozkazał GPS, a Julia odetchnęła z ulgą. Tylko tego brakowało, żeby zgubiła się w wyludnionym o tej porze miasteczku. Padała z nóg ze zmęczenia. Wystartowali z lotniska JFK z kilkugodzinnym opóźnieniem spowodowanym usterką techniczną maszyny obsługującej rejs, a sam lot z Nowego Jorku z przesiadką w Amsterdamie trwał niemal dwanaście godzin. Planując podróż, miała nadzieję, że po dotarciu na miejsce uda jej się zrobić podstawowe zakupy i zjeść kolację w jakiejś restauracji. Teraz była pewna, że w prowincjonalnym miasteczku, które miało stać się ich domem, po północy trudno będzie znaleźć choćby jeden czynny sklep. Domy przy głównej ulicy były ciemne i głucho. W zasięgu wzroku żadnych iluminowanych szyldów zapraszających do knajpek, restauracji, kin czy choćby całodobowych kiosków, w których o każdej porze można kupić paczkę papierosów. Nie żeby paliła, ale dobrze byłoby wiedzieć, że w razie czego ma się jakieś opcje. Tak długo żyła w mieście, które nigdy nie śpi, że jadąc sprawiającymi wrażenie wymarłych ulicami, czuła się nieswojo. Tutaj wyraźnie wyczuwało się sen wypływający przez wszystkie

dziurki od kluczy, oplatający budynki, drzewa przy chodnikach i zamgloną powierzchnię drogi. Julia uchyliła szybę i do samochodu wdarł się ciepły wiatr. Zapach schyłku lata w Polsce. Był jak uderzenie w twarz. Intensywny, ciężki, pełen wspomnień. Zdażyła zapomnieć ten zapach. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że można za nim tęsknić. A jednak. Julię zalała nagle fala tak gwałtownej tęsknoty, że w oczach stanęły jej łzy. Odetchnęła głęboko i wysunęła rękę przez okno. Pęd wiatru uderzył w jej dłoń. Przez chwilę się z nim mocowała, odginając rękę to w tył, to w przód.

„Radio Kaszëbë. Jesmë dlô Waji!” – wesoły dzingiel wyrwał ją z zamyślenia. Ściszyła radio i znów spojrzała w lusterko. Piotruś nadal spał, głowa opadła mu w przód i zwisała nad klatką piersiową. „Będzie go bolał kark” – pomyślała z troską, ale nie chciała jeszcze budzić syna. GPS pokazywał, że dojadą na miejsce za pięć minut. Zjechała na drogę wyłożoną ażurowymi betonowymi płytami. Światła reflektorów prześlizgnęły się po ścianie lasu. Naprzeciwko stało kilka domów o białych frontach. W końcu wjechała w gruntową aleję pod rozłożystymi dębami. Samochód przetoczył się wolno po nierównościach, aż podjechał pod żeliwną bramę. Julia wysiadła z auta i pchnęła jej skrzydła. Ustąpiły, nie stawiając oporu, i po chwili wbiły się ze stęknieniem w krzaki. Wróciła do samochodu i przejechała kilkaset metrów, by w końcu stanąć przed budynkiem. Matylda twierdziła, że Julia będzie zachwycona domem, jednak ten na razie niemal tonął w ciemnościach. W świetle samochodowych reflektorów rysowała się jedynie toporna drewniana fasada budynku, niesprawiająca najlepszego wrażenia. Julia wygramoliła się z auta i przez chwilę zastanawiała się, czy nie zanieść śpiącego Piotrusia do domu. Uznała jednak, że musi dotrzymać obietnicy. Schyliła się nad synkiem i lekko pociągnęła go za ramię.

2

Prokurator Leopold Bilski starał się zachować obojętny wyraz twarzy. Do niedawna pracował w sopockiej prokuraturze, a teraz wylądował w Kartuzach. Zaledwie trzydzieści pięć kilometrów od Trójmiasta, a jakby inny świat. Mężczyzna właśnie zdał sobie sprawę, że powodowana urażoną dumą przeprowadzka była fatalnym błędem.

– Prokurator Bilski dołącza dziś do naszego zespołu. Przyjmijcie go z...
– Stefan Pakosz, osiwiwały prokurator Prokuratury Rejonowej w Kartuzach,

przeciągle chrząknął – ...z należytych szacunkiem i oczywiście naszą kaszubską gościnnością. No. Pokażcie, co i jak, i tak dalej. – Tęgi mężczyzna ojcowskim gestem poklepał Leopolda po ramieniu i popchnął do przodu.

Bilski zachwiał się lekko. Po części z zaskoczenia, że przełożony wypchnął go na środek gabinetu jak uczniaka na apelu, ale przede wszystkim dlatego, że bolały go wszystkie gnaty. Noc spędzona na płaszczu, który położył na uprzednio trzykrotnie odkurzonym przez siebie dywanie, dała mu w kość. Wysuwana ze ściany w wynajętym na ostatnią chwilę lokum polówka, niewątpliwie wyprodukowana w czasach Gierka, była całkowicie zapadnięta, a spod obicia sterczały sprężyny. Nie miał innego wyboru, jak spać na podłodze.

Bilski szybko złapał pion, choć jego kręgosłup przeszył ból. Wyraźnie czuł, że wszyscy czekają, aż coś powie, lecz on tylko powiódł po zebranych wzrokiem.

– Tak – ponownie chrząknął skonsternowany Pakosz. – Brygada, spocznij. Możecie się rozejść. – Zachichotał pod nosem, jakby wypowiedział przekomiczny żart, zdając się nie zauważać ironicznym grymasów na twarzach zgromadzonych.

Prokurator Pakosz znów złapał Bilskiego za ramię i poprowadził do stojącego pod ścianą biurka. Leopold przełknął ślinę i zdusił w sobie impuls, by strącić z ramienia dłoń przełożonego.

– Będziesz dzielił gabinet z kolegami. Czarniak, Wiśniewski, Dobosz – przedstawił ekipę Pakosz. – Biureczko, krzeselczko. Stacjonarny komputer. Kilka teczek dokumentów. No. Tyle tego. Warunki u nas skromne, ale za to po domowemu. To i praca lepiej idzie.

Bilski od początku wiedział, że sposób bycia Pakosza będzie mu działać na nerwy. Całe to przeniesienie było upokarzające, a na domiar złego trafił mu się szef, który w ciągu pięciu minut kilka razy go objął i paplał farmazony jak najęty. Dzień dopiero się zaczynał, a on już miał dość.

Pakosz, nic sobie nie robiąc ze sztywnego zachowania nowego pracownika, trzepnął go w plecy i zniknął za drzwiami. Bilski klapnął na wysłużony fotel obrotowy i odpalił komputer. Po chwili poczuł na sobie wzrok mężczyzny siedzącego obok. Czarniak – przypomniał sobie jego nazwisko: niski, rudawy gość o szarej twarzy. Choć na czarnym ekranie kołowała zawieszona linia, Leopold nie odrywał oczu od monitora. Ale facet nie odpuszczał. Wciąż się na niego gapił. W końcu znudziło mu się czekanie.

– To ty spaliłeś akcję ze Skalpelem, prawda?

Bilski tak mocno zacisnął szczęki, że aż zdrętwiały mu mięśnie żuchwy. Tak reagował na ksywę zwyrodnialca, którego rozpracowywał w zeszłym roku. Nie powiedziałby, że akcja została spalona. Zasadniczo Skalpel został ujęty, choć wynieśli go w czarnym worku. Przełknął ślinę i spokojnie spojrzął na mężczyznę w źle skrojonym garniturze, który najwyraźniej czekał na odpowiedź.

– Tak, to ja prowadziłem sprawę Skalpela.

– Maras, daj spokój. To jeden z nas – odezwał się siedzący siedzący przy oknie łysawy Dobosz, śląc Bilskiemu przeproszające spojrzenie zza okularów o grubych szklach.

– Niech wie, że my tutaj nie działamy na własną rękę – odparł tamten, nadal skanując Bilskiego wzrokiem. – Nie chcemy tu kłopotów.

– To ich nie szukaj – warknął Leopold.

Rudy spojrzął na niego cynicznie. Nowy prokurator potwierdził właśnie tezę, że nie będą grali do tej samej bramki.

Wściekły na siebie Bilski zamasyście odwrócił się do komputera, który w końcu ożył, i wprowadził w okienko przygotowane dla niego hasło. Jeśli najważniejsze było pierwsze wrażenie, Bilski spieprzył je po mistrzowsku.

3

Julię Sarman obudził śpiew ptaków. Początkowo nie mogła skojarzyć, gdzie się znajduje i co to za dźwięk. Gorączkowo starała się zebrać dryfujące sennie myśli. Dopiero po chwili dotarło do niej, że jest w Polsce, a dobiegająca zza okna przedziwna muzyka to zwykłe odgłosy natury. W Nowym Jorku zazwyczaj budziło ją wycie syreny policyjnej albo głośne basy dolatujące z ekskluzywnego klubu na parterze budynku, w którym mieszkała.

Spojrzała na leżącą na stoliku nocnym komórkę. Dochodziła ósma. Spała zatem całe sześć godzin – sześć godzin nieprzerwanego snu to najlepszy wynik, jaki osiągnęła, od kiedy... Zacisnęła oczy i strzepnęła z siebie obraz, który wkradał się do jej umysłu, gdy tylko przestawała być czujna. Wzięła głęboki oddech i energicznie wyskoczyła z łóżka. Ruch pomagał jej nie myśleć o tym, co się wydarzyło. Nie była pewna, jak powinna się czuć. Nadal nie wiedziała, w jaki sposób ma to przepracować. Dlatego starała się spędzać czas tak aktywnie, jak tylko się dało. Byle odegnąć od siebie natłok przytłaczających emocji. To dlatego

nie mogła pisać. Gdy tylko siadała do pracy, w jej głowie otwierał się kran ze wspomnieniami i obrazami z ostatnich lat. Zaczynała stukać w klawisze komputera, a wszystkie fikcyjne historie, które układała wcześniej w głowie, prędzej czy później zaczynały zahaczać o to, co ją spotkało. Pisała o sobie. Zawsze w końcu pisała o sobie, a nie chciała, żeby ludzie się dowiedzieli. Nie chciała, żeby jej współczuli. Na myśl o tym wzbierały w niej mdłości. I tak czuła się wystarczająco upokorzona.

Niemal po omacku podeszła do okna i rozsunała grube story. Do środka wpadło ostre światło, które na chwilę ją oślepiło. Gdy wzrok przyzwyczał się do jasności, Julia oniemiała. Matylda się nie myliła. Faktycznie było tu bajecznie. Jezioro leżące u stóp wzgórza, na którym stał dom, otaczał las. Woda, w którą wcinał się długi pomost, połyskiwała w słońcu. No, agentka się spisała. Trzeba będzie do niej zadzwonić z podziękowaniami. Julia uśmiechnęła się i postanowiła od razu pobiegać po okolicy. Po szybkiej toalecie związała kręcone czarne włosy w kitkę, wydobyła z torby podróźnej strój do joggingu i szybko go włożyła. Przechodząc przez korytarz, uchyliła drzwi do pokoju Piotrusia. Chłopiec spał głęboko, choć słońce świeciło mu prosto w oczy. W ramionach trzymał ukochaną przytulankę – królika Kicusia.

Julia rozejrzała się po pokoju. Wczoraj tak szybko padli ze zmęczenia, że nawet nie zdążyli się wszystkiemu przyjrzeć. Wnętrze było przytulne, zaaranżowane na wzór nowojorskiego. Kolejny plus dla agentki, która miała zadbać, by syn Julii nie czuł się obco w nowym miejscu. Na półkach równiutko poukładano misie, samochodziki i książeczki, które przepłynęły ocean wcześniej. Nad biurkiem przyczepiono namalowane przez synka obrazki. Na stalowej lince wisiało też zdjęcie całej trójki – Piotrusia, Julii i Wiktora. Wszyscy uśmiechali się do aparatu, robiąc komiczne miny. Ustalili, że ten, kto zrobi najśmieszniejszą minę, wygrywa tydzień wolny od obowiązków domowych. Choć w założeniu zwycięzcą miał być Piotruś, to jednak mistrzem grymasów okazał się Wiktor. Z jego wyszczerzonymi zębami i rozbieżnym zezem nie miały szans wydęte policzki synka i wyciągnięty na bok język Julii. Kobieta słyszała w myślach szaleńczy śmiech ich trójki, jakim wybuchli na widok efektów swoich starań. Jednogłośnie przyznano palmę pierwszeństwa Wiktorowi, który na siedem dni został zwolniony z wynoszenia śmieci. To były dobre czasy. Odległe, choć przecież nie minął od nich nawet rok.

Julia cichutko wymknęła się z pokoju i zeszła na dół. Nieśmiałe promienie słońca powoli wypełniały przestronny salon połączony z aneksem kuchennym. Dom miał drewnianą konstrukcję i sufit

podtrzymywały ciężkie brązowe belki, ale wewnątrz urządzono nowocześnie. Pośrodku stały duża jasna sofa i kawowy stolik na stalowych nóżkach. Na jednej ze ścian wisiał ogromny telewizor. Kominek był prosty, betonowy. Nieopodal regału z książkami znajdowały się fotel z podnóżkiem i lampa punktowa. Julia z zadowoleniem dostrzegła, że albumy, niezbędne w jej pracy encyklopedie, kompendia oraz liczne publikacje popularnonaukowe zostały uporządkowane w preferowanym przez nią porządku – znów zasługa Matyldy, która doskonale znała jej wszystkie dziwactwa. Kuchnię z szafkami o gładkich szarych frontach oddzielała od salonu wyspa. Stół z widokiem na taras mógł swobodnie pomieścić sześć osób. Julia od razu poczuła, że to będzie idealne miejsce do pracy. Z zadowoleniem przeciągnęła ręką po olejowanym drewnianym blacie. Włożyła do uszu zintegrowane z telefonem słuchawki, odpaliła muzykę z dysku i wybiegła z domu.

Powoli robiło się ciepło, choć powietrze nadal miało w sobie przyjemny chłód poranka. Idealna pogoda na jogging. Julia wzięła głęboki wdech i pobiegła przed siebie. Minęła główną bramę i przez dłuższą chwilę poruszała się drogą obsadzoną bukami. Następnie bez zastanowienia wybrała ścieżkę skręcającą w dębowy las. Musiała się przyzwyczaić do piaszczystego podłoża, z wystającymi gdzieś korzeniami drzew. Od lat korzystała z ciągnącej się wzdłuż East River betonowej trasy zaprojektowanej dla biegaczy. Kilkukilometrowa droga z widokiem na Brooklyn i stojącą na Liberty Island Statuę Wolności była równa i płaska. Tutaj Julia musiała uważnie stawiać kroki, przeskakiwać wystające kamienie oraz omijać liście paproci od czasu do czasu kładące się na wąskiej dróżce. Po chwili dotarła do głównego traktu, a jej bieg stał się bardziej sprężysty. W słuchawkach brzmiał jej ulubiony kawałek Fatboya Slima *Right Here, Right Now*. Złapała rytm. Uwielbiała ten moment, gdy stawała się samym biegiem, jakby jej ciało stanowiło autonomiczny mechanizm przemierzający przestrzeń bez angażowania świadomości. Nogi instynktownie odbijały się od ziemi, wyciągały i opadały, by za chwilę powtórzyć tę samą sekwencję ruchów. Ciało robiło się lekkie, a myśli klarowne. Jogging to był zdecydowanie jej sport.

Po dwóch kilometrach las zaczął rzednąć i po prawej stronie przez zielone gałęzie zaczęła prześwitywać tafla wody. Julia, nie tracąc prędkości, spojrzała za siebie. Nikogo nie dojrzała. Lekko przeskoczyła z traktu w leśną gęstwinę. Przepchnęła się przez krzaki, stanęła na szczycie wzgórza i wyjęła z uszu słuchawki. Cisza. Niemal absolutna cisza, przerywana jedynie śpiewem ptaków. Na horyzoncie ciągnęło się długie

jezioro. Julia oszacowała, że jej nowy dom musiał znajdować się dokładnie na jego końcu. W dolinie dostrzegła obejście otoczone drewnianym płotem. W głębi stał jednorodzinny murowany dom, kryty grubą strzechą. Ktoś z niego wyszedł, a Julia szybko przyklękła. Serce biło jej tak mocno, że czuła je w gardle. Ostrożnie wychyliła się do przodu. Przed domem stała korpulentna kobieta o czarnych, falowanych włosach opadających na twarz. Ubrana w obszerną kwiecistą suknię sięgającą do ziemi wyglądała jak Cyganka. Ale to nie była Cyganka – Julia doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Obok dostrzegła księdza. Siwy mężczyzna w ciemnogrnatowej koszuli miał na szyi koloratkę, wyraźnie widoczną nawet z tej odległości. Trzymał coś w ręce. Julia wyteżyła wzrok. Palce duchownego oplatał sznur, zwisając jednym końcem ku ziemi. Kobieta mówiła podniesionym głosem, więc Julia mogła wyłapać pojedyncze słowa. Po chwili ksiądz wyciągnął dłoń, a kobieta złożyła na niej pocałunek. Mężczyzna wsiadł do srebrnego golfa trójki. Kaszubka postąpiła jeszcze chwilę przed domem, po czym weszła do środka.

Julia głęboko zaczerpnęła powietrza, zdając sobie sprawę z tego, że na chwilę w ogóle przestała oddychać, starając się podsłuchać rozmowę. W końcu ostrożnie wstała i cofnęła się w gąszcz drzew.

4

Do czternastej prokurator Leopold Bilski zdążył zapoznać się z większością przydzielonych mu spraw. Same enki; zwykła papierkowa robota nad sprawami, w których nie wykryto sprawców – zasadniczo odmienna od skomplikowanych śledztw, jakie prowadził w Sopocie. Do niedawna Bilski pracował przy najgrubszych aferach i nie było takich spraw, których prokurator nie potrafił doprowadzić do końca. Może nie zawsze trzymał się procedur, ale nikomu to nie przeszkadzało. Liczył się wynik. Ale gdy przyszło co do czego, nagle wszyscy się wypięli. Ambroziak już o to zadbał.

Bilski zacisnął pięści na myśl o dawnym przełożonym. „Skurwiel” – przemknęło mu przez głowę.

Rozejrzał się i dopiero teraz zauważył, że prokuratorzy dzielący z nim pokój wyszli. Jedynie przy upchniętym w najdalszym kącie biurku siedział młody mężczyzna. Gorliwie pisał coś na komputerze, a gdy poczuł na sobie wzrok prokuratora, podniósł głowę i oblał się rumieńcem.

– Przerwa na lunch, a tak – powiedział jakby do siebie. – Trochę się zapomniałem, ale praca ponad wszystko! – Mówił lekkim dyszkantem, jakby nadal był w trakcie mutacji.

Wstał, potrącając krzesło, które z hukiem upadło na podłogę. Szybko je podniósł i jeszcze bardziej czerwony spojrzał w stronę Leopolda. Wzruszył ramionami i przepaszająco się uśmiechnął.

– Asystent prokuratora Mateusz Borowski – przedstawił się. – Ale mówią na mnie Jeżyna.

– Bardziej sensownie byłoby Borówa – burknął Bilski, z politowaniem mierząc go wzrokiem.

Niebieskokooki asystent miał jasną czuprynę i chude członki. W obu policzkach rysowały się małe dołeczki.

– Faktycznie! – wykrzyknął chłopak. – No, ale zostało się Jeżyna.

Leopold uniósł brwi, zastanawiając się, jak ten nieporadny gość mógł trafić do prokuratury.

– No to gdzie wszyscy zniknęli? – zapytał, nie mogąc zrozumieć, dlaczego biuro opustoszało w środku dnia pracy.

– No, na lunch poszli. Czternasta. – Jeżyna popukał palcem w cyferblat masywnego sportowego zegarka.

Leopoldowi przemknęło przez głowę, że chłopak zapewne ma w nim wszystkie możliwe bajery niezbędne jego zdaniem w pracy funkcjonariusza wymiaru sprawiedliwości: stoper, GPS i ciśnieniomierz. „Prawdziwy James Bond”. Bilski uśmiechnął się pobłaźliwie i chcąc nie chcąc, poczuł do niego sympatię.

– Lunch, mówisz. – Prokurator był coraz bardziej rozbawiony. – A co to, w przedszkolu jesteście?

– Prokurator Pakosz mówi, że z pustym żołądkiem źle się pracuje. Dlatego wprowadził godzinną przerwę o czternastej. Zresztą o tej porze i tak nic się za bardzo nie dzieje, to nie ma co siedzieć na czterech literach w duchocie. Słowa szefa. – Jeżyna puścił do Bilskiego oko, a ten pomyślał, że chłopak musi być niezłym lizusem.

– I firma przez godzinę nie działa? Dziwne zwyczaje – stwierdził Leopold i spytał: – A jakby coś akurat jednak się stało? Tak hipotetycznie?

– No to wszyscy siedzą w Trulôczu. Każdy w miasteczku wie... – Jeżyna beztrąsko wzruszył ramionami. – To idziemy?

– Że gdzie niby?

– No do Trulôcza – odparł Jeżyna. Wsadził portfel do tylnej kieszeni spodni i chwycił komórkę.

Bilski popatrzył na niego sceptycznie. Profesjonalizm nakazywał mu zbyć tę absurdalną propozycję, ale po chwili uznał, że nie ma sensu się napinać.

„Na miękko. Weź to na miękko” – upomniał się w myślach i powoli podniósł się z fotela.

Trulôcz znajdował się jakieś trzysta metrów od budynku prokuratury. Czerwone łóże restauracyjne z wygodnymi piankowymi siedziskami i wysokimi oparciami ustawiono w długim rzędzie pod panoramicznym oknem. Pachniało smażeniną i kawą parzoną w nowoczesnym ekspresie ciśnieniowym zajmującym sporą część ściany za drewnianym barem z masywnymi hokerami. Wystrój jak z amerykańskich przydrożnych restauracji, podbity przez podłogę w szachownicę, uzupełniały elementy nawiązujące do folkloru: obrusy ozdobione ludowymi wzorami i kilka poduch z charakterystyczną różą. Gdzieniedzie na ścianach wisiały zdjęcia żurawi, podpowiadające dociekliwym gościom, co właściwie oznacza kaszubska nazwa lokalu.

Bilski i Jeżyna usiedli przy jedynym wolnym stole znajdującym się tuż przy wejściu. Leopold dostrzegł prokuratorów, którzy zajmowali stół w głębi. Rudowłosy Czerniak wskazał głową w ich stronę i coś powiedział. Mężczyźni wymienili głupie uśmiechy.

– Ciągną łacha, że bratasz się z siostrzeńcem szefa – mruknął Jeżyna i znów zrobił się czerwony na twarzy.

– Hmm – mruknął Bilski i pomyślał, że to wiele wyjaśnia.

– Pewnie uważasz, że do prokuratury dostałem się dzięki wujkowi, co? Że miałem łatwiej, bo były plecy. Wyobraź sobie, że nie. Musiałem trzy razy ciężiej pracować, żeby udowodnić, że jestem coś wart. Zero kolegów na aplikacji, potem to samo w firmie, że niby konfident. A jô jestem swój knôp – zakończył po kaszubsku i widząc pytające spojrzenie Leopolda, dodał: – Swój chłopak. Swój ziomuś jestem.

Do stolika podeszła kobieta o miękkich kształtach. Jej obfity biust nieomalże wylewał się z bluzki o głębokim dekolcie. Wesoło potargała jasne włosy Jeżyny.

– Ciocia – przedstawił speszony Jeżyna, poprawiając fryzurę. – Ciocia Elżbieta.

Kobieta nieufnie spojrzała na Bilskiego.

– Nowy? – spytała, nim zdążył się przywitać.

Jeżyna przytaknął.

– Skąd? – tym razem zwróciła się do Leopolda.

– Z Sopotu.

– Zdegradowany – bardziej stwierdziła, niż spytała. – Żonaty?
– Przyjechałem sam – odparł wymijająco i sam się zdziwił, że w ogóle odpowiedział.

Elżbieta Pakosz sprawiała wrażenie osoby nieznoszącej sprzeciwu.

„Co za wścibska baba” – pomyślał Bilski i usłyszał następne pytanie:

– Dzieci?

Znów poczuł przyływ złości i zacisnął szczęki. „Na miękko. Miałeś to wziąć na miękko” – upomniał się i wykrztusił:

– Brak.

Pani Elżbieta pokiwała ze zrozumieniem głową i zmieniając tembr głosu, wesoło zapytała:

– Kawki? Dolewka gratis. – I niespodziewanie puściła do Leopolda oko.

W jednej chwili z wytrawnego śledczego znów stała się gospodynią.

– Dobra pani jest – stwierdził.

– Czterdzieści sześć lat z prokuratorem rejonowym – odparła, nalewając kawę z dużego przezroczystego dzbanka. – To się człowiek czegoś nauczył. – Pani Elżbieta uśmiechnęła się szeroko, pokazując brak szóstki, co jednak nie odebrało jej uroku, który Bilski powoli zaczął w niej dostrzegać.

„Sprytna. Dużo wie” – skonstatował i poczuł do niej pewnego rodzaju szacunek.

Zawsze gdy poznawał nową osobę, natychmiast przeprowadzał jej psychologiczną ocenę. Szkicował w myślach charakterystykę, którą uzupełniał przy kolejnych spotkaniach. Skrzywienie bardzo przydatne w jego pracy. Niejednokrotnie pozwoliło mu rozgryźć sprawę.

– Duża rodzina – stwierdził, gdy gospodyni przyjęła zamówienie i zniknęła na zapleczu.

Jeżyna znów spiekł raka, a prokurator uznał, że rumieniec pojawiający się przy lada okazji na twarzy chłopaka dyskwalifikuje go jako dochodzeniowca.

Mateusz Borowski wzruszył ramionami i dmuchnął w kubek parującej kawy. Tym razem nie rozwinął tematu, na co Bilski też zwrócił uwagę. Z tego chłopaka czytało się jak z książki.

– No dobra. Nawijaj o krawężnikach. – Leopold wskazał na dwóch policjantów w czarnych mundurach patrolowych, siedzących przy stole pod ścianą.

Jeżyna spojrzał na Bilskiego nieufnie. Twarz prokuratora była nieprzenikniona, co aplikant uznał za objaw dobrej woli. Takie właśnie

zadanie pełniła kamienna maska, którą Leopold przywdziewał w pracy – każdy czytał z niej to, co chciał wyczytać.

– Podinspektor Mączyński i komisarz przydupas Żaczek. Dwójca święta naszej komendy powiatowej. Mączyński wzenił się w bogatą rodzinę, mają tutaj duży zakład przetwórstwa mięsnego, inaczej mówiąc, liczą się w mieście, każdy w pas im się kłania, bo dużo od nich zależy, na przykład czy połowa mieszkańców ma pracę. No i na kościół dają. Dużo, z tego co słyszałem. I od lat obiecują, że posmarują komu trzeba, żeby obwodnica kartuska w końcu poszła, ale nie tam, gdzie narysowana, tylko tak, żeby nikt domu nie stracił. Więc Mączyńskiemu nikt nie podskakuje. A przecież wiadomo, że chto wiele przësygô, wiele łże¹. Nawet wujek, to znaczy prokurator Pakosz, tak tańczy, jak komendant mu zagra. Kiedyś nie był taki, albo mi się wydawało. W dzieciństwie to ja w niego jak w obrazek... – Jeżyna znów się zaczerwienił i stuknął widelcem w blat stołu. – No gdzie ten obiad, do cholery? Głodny jestem.

Jak na zawołanie obok ich stolika pojawiła się dziewczyna z tacą. Ubrana na czarno, na szyi miała wisiorek z pentagramem. Bez słowa postawiła na blacie talerze i zniknęła. Jeżyna popatrzył za nią rozmarzonym wzrokiem. Było oczywiste, że chłopak z chęcią wymieniłby schabowego na młodą satanistkę.

Obiad jedli w milczeniu. Bilski przyglądał się gościom. Niczym nie różnili się od klientów barów w Trójmieście. Jeszcze niedawno różnice w ubiorze, ogólnym wyglądzie, a nawet zachowaniu pomiędzy ludźmi z wielkich miast a prowincjuszami były bardzo widoczne. Od razu widziało się, kto jest miastowy, a kto z prowincji. A teraz... wszystkie dziewczyny wiązały włosy w wysokie koczki, wkładały legginsy i bluzy odsłaniające pępki, zresztą dorosłe kobiety nosiły się podobnie, tylko nie były już tak skore do pokazywania brzuchów. Wszyscy mieli smartfony, nad którymi pochylali głowy podczas jedzenia, nie siląc się na podtrzymanie konwersacji, byli na bieżąco z serialami Netflixa i słuchali dupnych przebojów lansowanych przez międzynarodowe koncerty. Nawet Kaszuby nie obroniły się przed globalizacją.

Dochodziła piętnasta, a Mączyński i Żaczek w najlepsze pochylali się jeszcze nad talerzami. Mateusz Borowski ostentacyjnie puknął natomiast w zegarek, dając Bilskiemu do zrozumienia, że pora się zbierać. Gdy wychodzili, w drzwiach minęła się z nimi czarnowłosa kobieta, na widok której Jeżyna potknął się o próg. Leopold przytrzymał go za łokieć i delikatnie wypchnął na zewnątrz.

5

Zadźwięczał dzwoneczek nad wejściem, a wychodzący z restauracji chłopak w przydużym garniturze niemal stracił równowagę. Julia Sarman w ostatniej chwili stłumiła matczyzny odruch i powstrzymała się, by nie chwycić go pod rękę.

W barze panował przyjemny gwar. Wypełniający wewnątrz zapach pieczeni sprawił, że Julia poczuła, jak bardzo jest głodna. Piotruś smacznie spał niemal do pory obiadowej, a jej do tego czasu wystarczyła czarna kawa. Zdążyła napisać kilka fragmentów tekstu – jakieś pourywane dialogi, ale zawsze będzie mogła je gdzieś wrzucić.

Jeden stolik był wolny. Młoda kelnerka o mocnym gotyckim makijażu zbierała z niego naczynia po poprzednich gościach. Zajęli miejsca i po chwili podeszła do nich sympatycznie wyglądająca blondynka o jasnych niebieskich oczach.

– Jaki śliczny chłopczyk – powiedziała i szeroko się uśmiechnęła.

Piotruś podniósł głowę i odwzajemnił uśmiech.

– Pani z synkiem przejazdem? – zagadnęła gospodyni, podając im jadłospis.

– W sumie nie – odparła Julia. – Właśnie się wprowadziliśmy.

– Do domu nad jeziorem, na skarpie – dodał radośnie Piotruś. – Ja poproszę naleśniki z serem. *Can I, mummy?*

Julia przytaknęła.

– Naleśniczki z serem raz. – Kobieta zapisała i dodała podekscytowana:

– Czyli pani to ta pisarka! Witamy, witamy! Ja mam na imię Elżbieta i jestem właścicielką Trulôcza.

Twarz Julii musiała wyrażać zdziwienie, bo gospodyni nie czekała z wyjaśnieniem:

– Mała miejscina, to i wieści się szybko rozchodzą. A dom na skarpie od dawna czekał na nowego właściciela. No i jak widać, warto było zainwestować w remont, bo ruina już się rozpadała.

Julia popatrzyła na gospodynię zdziwiona. „Dom bynajmniej nie wyglądał na ruinę. Kobiecie musiało się coś pomylić” – pomyślała, ale pani Elżbieta kontynuowała:

– Oj, długo dom nie chciał się sprzedać, więc stare mury zaczęły podupadać. Ale wie pani, jak to jest z domami: same wybierają właściciela. – Gospodyni z tajemniczym uśmiechem na ustach puściła do Piotrusia oko.

Chłopczyk zerknął na panią Elżbietę z zaciekawionym, a Julia w ostatniej chwili powstrzymała się od zrobienia kpiarskiej miny. W Nowym Jorku nigdy nie usłyszałyby podobnej bzdury. Tam życie toczyło się szybko i racjonalnie, nie było czasu na takie bajki ani interesowanie się tym, kto też wprowadził się do mieszkania za rogiem. Julia przeczuwała, że już niebawem zateśni za tą anonimowością, a przez jej głowę przebiegła myśl: „Co ja najlepszego zrobiłam?”. Szybko jednak przywołała się do porządku. Było za późno na wątpliwości.

– Czytałam coś pani? – Pytanie wybiło ją z zamyślenia.

Pani Elżbieta przypatrywała się ciekawie Julii.

– Raczej nie. Książki były sprzedawane przede wszystkim w Stanach.

– A to wielka szkoda, wielka szkoda – westchnęła pani Elżbieta. – Trzeba koniecznie to nadrobić.

– Tak – przytaknęła Julia. – Planujemy właśnie przekłady na polski.

– A co pani pisze, jeśli można spytać?

– Kryminały. Przeważnie.

– Ach! Kryminały! – Gospodyni się rozmarzyła. – Kto ich nie lubi?!

– Prawda?

– Michał, zobacz, to jest pisarka z Nowego Jorku! – Pani Elżbieta chwyciła za ramię mężczyznę przechodzącego obok.

Wysoki blondyn z równie niebieskimi oczami jak właścicielka knajpki zatrzymał się obok stolika.

– To mój syn, Michał. Prowadzi pralnię przy Majkowskiego. Musi pani koniecznie zajść! – Żona prokuratora Stefana Pakosza była wyraźnie podekscytowana.

Mężczyzna uśmiechnął się uprzejmie i wyciągnął do Julii dłoń.

– Michał Pakosz. Bardzo mi miło. Przepraszam za mamę. – Przewrócił oczami. – Trulôcza rzadko odwiedzają tacy prestiżowi goście.

– Nie ma sprawy – odparła Julia.

– Pani Julia właśnie się wprowadziła! Czyż to nie wspaniale?! – Pani Elżbieta nie odpuszczała.

– *Look mummy! What a funny dog!* – wykrzyknął Piotruś, a Julia odwróciła głowę do okna.

Na podjazd wjechał właśnie czarny jeep bez dachu. Za kierownicą siedział mężczyzna w białym podkoszulku. Całe ręce miał w tatuażach. Fotel pasażera zajmował łaciaty pitbull w czapeczce bejsbolowej. Auto drżało w rytmie głośnych basów wydobywających się z jego wnętrza. Po chwili odjechało z piskiem opon.

– Najmocniej przepraszam. – Michał Pakosz ukłonił się Julii i odszedł.

Pani Elżbieta odprowadziła go spojrzeniem i zapytała:

– A co dla pani?

Julia oderwała wzrok od okna.

– Też naleśniki. I kawę. Dużą czarną kawę.

Julia ponownie zerknęła za okno. Pomiedzy dachami stojących naprzeciwko budynków dostrzegła wieżyczkę neogotyckiego kościoła. Miedziana blacha na kopule świątyni połyskiwała w słońcu. Gdy Julia była mała, śpiewała w kościelnym chórze. Doskonale pamiętała swoje podekscytowanie, gdy na tablicy z ogłoszeniami dostrzegła karteczkę o naborze. „Chętnych do śpiewu serdecznie zapraszają: Ksiądz Proboszcz i Pan Organista” – odczytała, powoli literując słowa. Od razu poczuła, że to coś dla niej. Uwielbiała śpiewać. Doskonale pamiętała teksty wszystkich piosenek puszcanych w radiu i niemal nieustannie coś nuciła. Matka była wniebowzięta. Zawsze powtarzała, że ksiądz Wojciech to święty człowiek i samo przebywanie z nim uświęca. Nie było dla niej większego autorytetu i cokolwiek robiła, w pierwszej kolejności zastanawiała się, co powiedziałyby na to proboszcz. Gdy Julia teraz o tym myślała, mogłaby śmiało stwierdzić, że dla matki ksiądz Wojciech wyrastał ponad słowo Boże, a jego opinia była ważniejsza niż dziesięć przykazań. Nie było zmiłuj się, jeśli duchowny podczas nabożeństwa dał do zrozumienia, że nie akceptuje czyjegoś zachowania. Matka tej osobie już nigdy nie podała ręki. Kiedyś ksiądz Wojciech podczas świątecznej mszy wygłosił płomienną mowę o negatywnym wpływie alkoholu na ludzkie życie. Od tej pory matka nie wypijała ani kropelki. Mawiała, że uczestniczy w Krucjacie Wstrzemięźliwości, do której zaprosił ją proboszcz, i na każdym kroku chwaliła się swoją dobrowolną całkowitą abstynencją. Tak więc gdy dziewczynki dostały się do kościelnego chóru, matka chodziła dumna jak paw. Julia też była dumna, gdy zajęła miejsce w pierwszym rzędzie sopranów.

Dźwięk dzwoneczka nad wejściem wybił Julię z zamyślenia. Podniosła głowę. Obok niej przystanął postawny mężczyzna o włosach poprzetykanych siwizną i rozglądał się za wolnym miejscem na sali. Jego woda toaletowa z nutką piżma przyprawiła Julię o mdłości. Mężczyzna przejechał nieobecny wzrokiem po ich stoliku i ruszył w głąb sali, by zająć miejsce przy barze. Z godnością uklonił się pani Elżbiecie i zamówił kawę.

Julia przyglądała mu się z błyszczącymi oczami, nie mogąc oderwać od niego wzroku. Dopiero po dłuższej chwili przeniosła spojrzenie na Piotrusia i obdarzyła go lekkim uśmiechem.

6

Dziewczynka niepewnie wyjrzała zza muru. Nie chciała się na nikogo natknąć. To byłoby niebezpieczne; mogło ją zdradzić. Nie dojrawszy ani żywego ducha, cichutko wyszła zza rogu i stanęła na korytarzu. Znów rozejrzała się wokół. Starła się wyłowić jakiś głos, ale panowała zupełna cisza. Słyszała jedynie donośne bicie własnego serca.

Szukała go od jakiejś godziny. Ale mężczyzny nigdzie nie było. W żadnym z miejsc, do których wcześniej ją zabierał. Dziewczynka na tę myśl zmrużyła oczy, jakby czerń rysująca się pod powiekami mogła wymazać sceny z pamięci. Pod wpływem wspomnień znów poczuła ten dziwny ból w klatce piersiowej, który sprawiał, że niemal nie mogła zaczerpnąć powietrza. Oparła się o ścianę i pochyliła. To pomagało. Na chwilę, ale zawsze. Klucze przestało być tak intensywne. Podniosła głowę i szybko odskoczyła od ściany. Jak mogła być tak nieodpowiedzialna? Przecież w tym czasie mógł ktoś przyjść. Ktoś mógł ją zobaczyć.

Tętno pulsowało jej w skroniach. Poczuła chęć ucieczki. Co jej odbiło, by tu przychodzić? To był zły pomysł; stanowczo zły pomysł. Przecież mogła jeszcze się cofnąć. Mogła po prostu wyjść, wrócić do domu, położyć się spać – jakby nigdy nic się nie stało.

„Ale stało się!” – usłyszała w głowie głos. – „Stało się, staaało!”

Nie znosiła tego głosu. Jakby ktoś ją przedrzeźniał, a przecież na to nie zasłużyła!

„Pozwoliłaś na to!” – odezwał się głos i zaczął się śmiać. – „Pozwoliłaś! Pozwoliłaś!” – powtarzał jak tamta gromada dzieciaków na podwórku, gdy popuściła w majtki w pierwszej klasie podstawówki. Odwinęła się wtedy temu największemu, a z nosa poszła mu krew. Już nigdy nikt się z niej nie śmiał. Nauczyła się, jak walczyć o swoje.

Sięgnęła ręką za plecy i wymacała nóż wsunięty za pasek spodni. Przed wyjściem z domu owinęła go starannie w kuchenny ręcznik, ale i tak bała się, że ją skaleczy. Upewniwszy się, że wciąż jest na swoim miejscu, odetchnęła. To był jej oręż. Innego nie miała.

Czy naprawdę zamierzała to zrobić? Zanurzy ostrze w jego ciele; uderzy prosto w serce, tak jak wyczytała w internecie. Nie powinno być krwi, jeśli robi to, jak należy. Nie znosiła widoku krwi, od razu dostawała mdłości. Gdyby po wszystkim zwymiotowała, policja łatwo by ją namierzyła – o tym też czytała. Podobno każdy zabójca zostawia ślady. Ale nie ona. Zamierzała starannie wytrzeć trzonek noża z odcisków swoich palców. A potem wszystkie przedmioty, których dotknie. Jeśli

sprawy potoczają się po jej myśli, nikt się nigdy nie dowie, kto za tym stał. Nikt nie wiedział, że tu była. Nikt nie znał prawdy. Nikt nie podejrzewał, co planowała. Poza babcią. Ale babcia nie znała szczegółów. A nawet jeśli się domyślała, to dziewczynka wiedziała, że nic nikomu nie powie. Nie mieściło jej się to w głowie. Dała to odczuć wnuczce na własnej skórze.

Dziewczynka mimowolnie dotknęła policzka; poczuła nieprzyjemne pieczenie. Przez trzynaście lat jej dotychczasowego życia babcia nigdy nie podniosła na nią ręki. Bez względu na to, jak bardzo dziewczynka ją ziryutowała. Nawet jeśli nie miała ochoty pójść z nią na wieczorną mszę. Ale tym razem uderzyła wnuczkę. Pod wpływem silnego wzburzenia, można przypuszczać.

Zbliżała się do pokoju. Ciężko oddychała. Coraz trudniej było jej nabierać powietrze. Przejechała palcami po wnętrzu dłoni. Ręce miała wilgotne i zimne. Czuła, jak krople potu spływają jej po plecach. Gdy wcześniej wyobrażała sobie ten dzień, niczego szczególnego nie czuła. Jedynie lekkie podekscytowanie. Teraz wizja tego, co miało nastąpić, stała się tak realna, że nie mogła jej unieść. Ale nie mogła już się wycofać. Za daleko to zaszło.

„No chyba że nie będzie go w pokoju” – przemknęło jej przez głowę, a ta myśl nagle ją ucieszyła. A przecież pragnęła tego od dawna, codziennie myślała o zemście. Tylko to trzymało ją przy życiu.

Stanął przy drzwiach. Wiedziała, że mężczyzna ucieszy się na jej widok. Zaprosi do pokoju. Pewnie zaoferuje coś do picia. Zawsze oferował, ale ona nigdy nie chciała. Tym razem zamierzała się zgodzić. Po alkoholu będzie łatwiej zrealizować plan. Wyciągnęła rękę i powoli sięgnęła do klamki.

– Co ty tu robisz? – usłyszała za plecami.

Zamarła. Na ułamek sekundy zamknęła oczy, po czym wysiliła się na uśmiech i odwróciła głowę.

7

Chłopiec zbiegał po skarpie, radośnie pohukując. Dróżka prowadząca z ogrodu nad jezioro opadała stromo między krzakami i nachylającymi się nad nią dębami. Ubrany w krótkie spodenki Piotruś zatrzymał się na chwilę, podniósł z ziemi gruby patyk i pognał dalej. Przystanął dopiero nad samym brzegiem i odwrócił się do matki. Ona była zaledwie w połowie drogi. Szła niespiesznie, delektując się ciszą i ciepłym promieni

słońca padających na jej twarz. Rozpościerająca się w dole woda iskrzyła się tysiącem odblasków. Julia musiała przymrużyć oczy, żeby dojrzeć synka. Stał cierpliwie. Dopiero gdy skinęła głową, wbiegł na drewniany pomost w kształcie podkowy i wydając okrzyk wojenny, wrzucił kij do wody. Następnie przebiegł z impetem po chybotliwych deskach i wyskoczył na brzeg na drugim końcu pomostu. Stał w pozycji bojowej na zgiętych nogach.

– Z kim walczysz, synku? – Julia się zaśmiała.

– Z komarami. – Piotruś groźnie zmarszczył brwi. – Już mnie kilka ugryzło! Zobacz. – Chłopczyk wskazał na gołe nogi.

– Hmm, a mam dla ciebie zagadkę.

– Dawaj! – ucieszył się.

– Jakbyś miał przed sobą ostatnią na świecie parę komarów? Taką na pewno ostatnią. Która może się rozmnożyć. To czy pozwoliłbyś im na to, czy pach, pach? – Julia klasnęła w dłonie.

– Nawet bym nie mrugnął! – krzyknął Piotruś. – Pach, pach – klasnął – i jesteśmy kwita, gatunku komarów! – Chłopczyk znów zrobił groźną minę i zakreślił się wokół własnej osi, machając rękoma. – *Look mummy! Look! A swing!* – zmienił nagle temat i podbiegł do starej huśtawki zwisającej z wiekowego drzewa o poskręcanych gałęziach.

Rzucił matce pytające spojrzenie i otrzymawszy zgodę, usiadł na deseczce podtrzymywanej przez cztery linki. Odbił się od ziemi, a huśtawka poszybowała w powietrze, wydając nieprzyjemny zgrzyt. Iiiii, uuuuu, iiiiii, uuuuu. Piotruś podkurczył nóżki, mocno trzymając się linek. Na jego twarzy ekscytacja mieszała się ze strachem.

Julia z czułością popatrzyła na huśtającego się Piotrusia. Odziedziczył głównie geny ojca. Niemal w niczym nie przypominał jej. Jasne cieniuteńkie włoski, błękitne oczy i małe przylegające do głowy uszka. Jej kręcone włosy były niemal czarne, podobnie jak oczy – gdy była mała, mówiono, że ma oczy jak węgiel. Uszy lekko odstawały i były nieco spiczaste. Wiktor nieraz się śmiał, że wygląda jak elf, a ona myślała ze smutkiem, że te piękne stworzenia o magicznych mocach mają przecież paskudną naturę.

Poznała Wiktora, gdy miała dwadzieścia trzy lata; była sama w nieznanym kraju, do którego przyjechała za facetem, który nagle zniknął. Zajmowała zapyziały pokój w mieszkaniu na Bronksie, które dzieliła z odpychającym rodzeństwem meksykańskiego pochodzenia. Spasiony Jorge nigdy nie wychodził na zewnątrz i była pewna, że nieraz grzebał w jej bieliźnie. Wyraźnie wyczuwała zapach jego paluchów na

bawelnianych majtkach, które trzymała w szufladzie starej komody. Maria Anna, niewątpliwie lekko upośledzona dziewczyna, za każdym razem gdy Julia przechodziła obok, syczała jak kot i waliła otwartą dłońią w potylicę śliniącego się na widok współlokatorki brata. Julia dałaby sobie rękę uciąć, że rodzeństwo łączyły kazirodcze relacje, choć starała się o tym nie myśleć. Przemykając do swojego pokoju, marzyła, by wynieść się stamtąd jak najszybciej. Marzyła, by nie musieć czekać, aż tamci pójdą spać, aby w kuchni spokojnie zaparzyć herbatę i zjeść kanapkę. Marzyła o czystości. Marzyła o lepszym życiu, w którym nie musiałyby wydzierać losowi skrawków pomyślności. To wtedy zaczęła pisać. Siedząc w ciemnym pokoju, po dwunastogodzinnej zmianie, bojąc się zasnąć, by nie obudzić się z trzymaną przez szaloną Marię Annę brzytwą na gardle, wymyślała i spisywała mroczne historie. Miała ich w sobie wiele.

Bar Cock and Bull, w którym udało jej się zaczepić, mieścił się na Brooklynie. Julia codziennie wskakiwała w metro i już po kilku minutach zapominała, że mieszka w tamtej cholernej dziurze. Z każdym przystankiem czuła, że napęnia ją nowa energia. Najważniejsze, że była daleko – powtarzała sobie i z lekkim uśmiechem obserwowała nowojorczyków zmierzających do pracy. Choć przemierzała tę trasę od blisko dwóch lat, nadal nie mogła się nadziwić, jak bardzo Amerykanie różnili się od Polaków. W ich twarzach było coś, co napawało nadzieją – jakaś doza determinacji, by zająć dalej, by być kimś lepszym. Wszyscy byli zadbani i może nie każdy wyglądał jak z żurnala, jak kiedyś to sobie wyobrażała, ale jednak wszyscy byli jacyś – ich ubranie podkreślało ich indywidualizm. Jakże różnili się od ludzi z porannego autobusu, którym jeździła w Polsce do szkoły: tych wiecznie zmęczonych, szarych postaci, trzymających się poręczy równie kurczowo, jak trzymali się uciulanych w pocie czoła żalonych dóbr z plakietką „made in Poland”. Wciąż nie mogła uwierzyć, że zdołała się stamtąd wyrwać. Za każdym razem, gdy to do niej docierało, przechodził ją dreszcz podniecenia, bo zdawała sobie sprawę, że uczestniczy w czymś niezwykłym. Oto ona, prosta dziewczyna z polskiego miasteczka, dołączyła do ludu wybranego.

Otoczony przez wodę Brooklyn witał ją wilgotnym, niemal wyspiarskim klimatem. Bryza pachniała morzem, delikatnie ją odświeżając, zmywając resztki zatechniętego powietrza unoszącego się w zajmowanym przez nią mieszkaniu. Wchodziła do baru uśmiechnięta i przez cały dzień nie zdejmowała tego uśmiechu z twarzy. To tam spotkała swojego przyszłego męża – dyrektora wydawniczego

w mieszczącym się nieopodal wydawnictwie Crime Story Times. Wpadał do baru na lunch; zawsze ze stosem kartek, które wyjmował ze skórzanej teczki. I pewnego dnia ją dostrzegł. Najpierw był ślub jak z bajki, a potem publikacje tłumaczonych z polskiego na angielski powieści kryminalnych kreślonych jej ręką. Czytelniczki pokochały Julię Sarman – książki jej autorstwa, a przede wszystkim historię jej życia, a raczej tę romantyczną część z happy endem, którą się z nimi podzieliła.

– *Mummy! You did it again!* – Głos Piotrusia był piskliwy i pełen niepokoju.

Chłopiec mocno wykręcił szyję do tyłu, by spojrzeć jej prosto w oczy. Julia zorientowała się, że kurczowo trzyma linki huśtawki, unieruchamiając ją. Ostatnio coraz częściej zdarzało jej się zamyślać tak głęboko, że traciła kontakt z rzeczywistością. Zamierała zniecka, wpatrując się w jeden punkt i przepracowując w głowie powracające natrętnie wspomnienia. Zaczęło się tuż po śmierci Wiktora. Przestała się koncentrować na przyszłości i pozwoliła, by zaistniała przeszłość. Do terapeuty poszła po tym, jak któregoś dnia w środku zabawy z Piotrusiem zastygła nagle w bezruchu z pluszową zabą w ręku i przestała mówić zabawnym głosem. Otrzeźwił ją dopiero krzyk śmiertelnie przestraszonego synka. Gdy w końcu na niego spojrzała, zaczął szlochać. Wiedziała, że jest mu trudno, choć na co dzień tego nie okazywał. Sprawiał wrażenie dzielniejszego niż ona, ale były to tylko pozory. Choć wydawał się taki mądry, nie rozumiał wielu rzeczy, a ona nie potrafiła mu ich wyjaśnić.

Terapeuta wytłumaczył Julii, że cierpi na zespół stresu pourazowego. Śmierć Wiktora wywołała w niej traumę, choć ona nie poczuła przecież nic prócz zaskoczenia. Nie myślała ani o wypadku, ani o śmierci. Ciągle zastanawiała się tylko, co jej mąż robił na tamtej trasie; co robił w samochodzie z nieznaną jej kobietą.

Julia Sarman zwolniła uścisk i znów popchnęła krawędź huśtawki.

– *Buuuuuuuu!* – zawołała, przeciągając głoski, i zaśmiała się sztucznie.

8

Końcówka lata robiła się nie do wytrzymania. Upał utrzymywał się przez całe wakacje, przyciągając nad morze tabuny turystów, które snuły się po ulicach niespiesznie i hałaśliwie. Nawet na pierwszym piętrze budynku sopockiej Prokuratury Rejonowej przy ulicy 1 Maja słychać było gwar

dobiegający z oddalonego o jakieś sto pięćdziesiąt metrów Monciaka, pełnego wystawionych restauracyjnych stolików, ulicznych karykaturzystów i sprzedawców lokalnych pamiątek. Nawoływania i śmiechy zupełnie nie pozwalały jej się skupić. Prokurator Anna Górka nie mogła się zdecydować, czy zamknąć okno, by nieco zmniejszyć hałas, narażając się na śmierć z przegrzania, czy zostawić uchylone, co groziło spadkiem jej wydajności co najmniej o połowę.

Po raz kolejny wyjrzała na zewnątrz. Wiatr znad morza przyjemnie musnął jej twarz, unosząc ciemne włosy. Czowała się naprawdę zmęczona. Od dawna nie wzięła ani jednego dnia wolnego. Po ubiegłorocznych wydarzeniach na Wyspie Sobieszewskiej zgodziła się jedynie na dwutygodniową przerwę, po której wróciła do pracy. Dłuższa nieobecność niechybnie prowadziłyby do orzeczenia niezdolności do odbywania przez nią aplikacji, a na to nie mogła sobie pozwolić. Nie kiedy była już tak blisko celu. Udawała, że nie widzi dwuznacznych spojrzeń rzucanych przez pracowników w jej stronę, ignorowała szepty, które słyszała za plecami, lekceważyła wytyczne terapeutę, by przez jakiś czas zwolniła tempo. Na pełne obaw pytanie, jak się czuje, które pojawiało się w niemal każdej rozmowie o formalnym i nieformalnym charakterze, odpowiadała z uśmiechem, że nigdy nie czuła się lepiej. Ludzie nie rozumieli, jak mogła tak szybko dojść do siebie po takich przeżyciach. Zbywała ich wątpliwości wzruszeniem ramion. Co z tego, że niemal nie zginęła z rąk seryjnego mordercy? Co z tego, że gdyby nie Bilski, to jej wycięte skalpelem z twarzy wargi pływałyby w słoiku z formaliną? Koniec końców nic się nie stało. Takie sytuacje wpisane są w wybrany przez nią zawód. Nie bez przyczyny wybrała aplikację prokuratorską. Marzyła, by prowadzić najbardziej niebezpieczne śledztwa. Pragnęła silnych wrażeń. Była gotowa na więcej, dlatego wbrew wszystkim i wszystkiemu podeszła do trwających dwadzieścia osiem godzin egzaminów końcowych, zdając je z jedną z najlepszych ocen na roku, i zajęła stanowisko asesora w Prokuraturze Rejonowej w Sopocie.

Anna zerknęła na stos akt leżących na jej biurku. Większość prokuratorów wyjechała na urlop, więc miała pełne ręce roboty. Nikt nie przejmował się tym, że codziennie siedziała w pracy po godzinach, a potem taszczyła akta do domu. Dla wszystkich było oczywiste, że początkujący muszą robić za dwóch, a nawet za trzech, by udowodnić, że się nadają. Zaciskała więc zęby i prowadziła najnudniejsze sprawy, które wpływały do jednostki. Bardziej zajmujące postępowania przydzielano osobom o dłuższym stażu i większych uprawnieniach.

– Górska, masz zaginięcie dzieciaka. – Adam Owczarski stanął w drzwiach gabinetu.

Młody prokurator, który kilka miesięcy temu zajął stanowisko Leopolda Bilskiego, błysnął białym uzębieniem i przejechał ręką po wypomadowanych włosach. Ania nie znosiła tego zadufanego w sobie typu, który przerzucał na nią większość swoich obowiązków. Była pewna, że i tym razem to on miał się zająć zgłoszeniem, ale najwyraźniej nie miał na to ochoty. Wiadomo, w Polsce odnotowywano około piętnastu tysięcy zaginięć rocznie, w tym jakieś cztery tysiące zaginięć osób nieletnich. W czasie wakacji wskaźnik zaginięć nastolatków gwałtownie wzrastał, przy czym przygniatającą większość stanowiły ucieczki z domów rodzinnych, domów dziecka i różnego rodzaju placówek opiekuńczo-wychowawczych. W pozostałych przypadkach przeważnie dochodziło do porwania rodzicielskiego. Tak czy siak całe postępowanie przygotowawcze polegało na użeraniu się ze spanikowanymi lub rozdrażnionymi rodzicami, a dziecko znajdowało się najpóźniej po kilku dobach u znajomych albo w jakimś squacie.

Adam Owczarski podszedł do zawalonego aktami biurka Anny i lekceważącym gestem rzucił na nie protokół przyjęcia ustnego zawiadomienia. Ujrzawszy wczorajszą datę na dokumencie, Górska z trudem powstrzymała przekleństwo. Każdy wiedział, że w sprawie hipotetycznego porwania kluczowa jest pierwsza godzina. Na zajęciach powtarzano to jak mantrę.

Prokurator Owczarski, uprzedzając jej pytanie, posłał jej swój odpychający uśmiech i stwierdził:

– Kategoria trzy. Dziewczyna już kilka razy zniknęła. Podejrzewamy samowolne oddalenie się w wyniku kolejnej ucieczki z domu. W każdym razie nikt nie spieszył się z działaniami, więc nie marnuj czasu.

Trzaśnięcie drzwi zabrzmiało jak policzek. Anna zacisnęła pięści i wzięła głęboki oddech. Sięgnęła po protokół. Zaginioną była trzynastoletnia Amelia Stępień zamieszkała wraz z rodzicami przy ulicy Władysława Syrokomli. Wyszła z domu w środę przed południem. Policja przyjęła zawiadomienie o siódmej trzydzieści rano następnego dnia. Tymczasem mieli już piątek i, jak przypuszczała Górska, nikt dotąd nawet palcem nie kiwnął w sprawie.

„Ludzie wyobrażają sobie, że zaraz po przyjęciu zgłoszenia policja zaczyna przeczesywać teren, taśmowo przesłuchuje świadków, wykorzystuje Bóg wie jaki sprzęt, psy policyjne, a nawet helikoptery” – pomyślała Anna z mieszaniną irytacji i rozbawienia. Rzeczywistość jest

jednak zdecydowanie bardziej żałosna. Tak naprawdę wszystko zależy od przypadkowego policjanta wypełniającego papierki za biurkiem i tego, jak bardzo jest wkurzony z powodu nocnego dyżuru. Jeśli uzna, że zaginione dziecko zasługuje na kategorię jeden, to czynności operacyjne podejmowane są natychmiast. Może też zbagatelizować sprawę i przyznać sprawie kategorię dwa lub nawet trzy. Wtedy zakres i dynamika działania zdecydowanie spadają.

Asesor Anna Górską, wzorowa aplikantka, znała przepisy niemal na pamięć i już teraz wiedziała, że dyżurujący policjant popełnił poważny błąd w ocenie sytuacji. Wcześniejsze zniknięcia nie zostały formalnie zgłoszone, a więc z punktu widzenia procedur nie było ich wcale. Matka niepotrzebnie w ogóle wspominała, że córce zdarzyło się nie wrócić na noc do domu, bo od razu założono, że to ucieczka. Co więcej, trójka przypadała dzieciom, które po raz kolejny samowolnie oddaliły się z rodzinnego domu dziecka lub ośrodka opiekuńczego. Nie chodziło zatem o zniknięcie z własnego domu, jak założył funkcjonariusz. Amelia Stępień jak nic zasługiwała na jedynekę. Nawet jeśli była to typowa ucieczka, dziewczynka blakająca się samotnie nie wiadomo gdzie zawsze znajdowała się w niebezpieczeństwie.

Anna chwyciła z oparcia fotela szarą marynarkę i wybiegła z pokoju. Tak jak Leopold Bilski, którego w zeszłym roku była asystentką, nie potrafiła siedzieć w biurze, ograniczając się do zlecania czynności policjantom. Lubiła brać sprawy w swoje ręce.

9

Amelia powoli otworzyła oczy. Bolała ją głowa. Czuła się skołowana. Przed jej oczami zawirowały gołe ściany. Obraz zaczął nabierać ostrości. W jednej sekundzie wstała i popędziła przed siebie. Coś szarpnęło. Poczowała ostry ból w nodze i przewróciła się na podłogę.

Łańcuch z jednej strony przymocowany był do ściany, z drugiej do zielonej obrożi, która opasywała jej prawą kostkę. Sięgnęła do niej spanikowana i pociągnęła. Bez skutku. Mocno zaciśniętej na ciele obrożi nie dało się rozluźnić.

Dziewczynka podniosła głowę i przyjrzała się pomieszczeniu. Pokój był niewielki, kwadratowy, okno pod samym sufitem zabito deskami. Na lekko obdrapanych, otynkowanych ścianach gdzieniegdzie panoszyły się ciemne plamy grzyba. Musiała znajdować się w jakiejś piwnicy.

Starala się skupić. Jak się tu znalazła? Stała na korytarzu, zamierzała nacisnąć klamkę i wtedy usłyszała głos. Reszty nie pamiętała.

Co się wydarzyło? Kto ją tu zamknął?! „Boże, Boże, Boże”.

Spojrzała na zabite deskami okno. Przez szpary przedostawała się odrobina światła, nie potrafiła jednak określić, jaka może być pora dnia. Nie wiedziała, jak długo była nieprzytomna. Czy nadal jest środa? A może to już czwartek albo piątek? Zaczęła się zastanawiać, czy ktoś jej już szuka. Czy rodzice zauważyli, że nie wróciła na noc? A co, jeśli nie zgłosili jej zaginięcia na policję, uznawszy, że sama się znajdzie, jak poprzednim razem? Wstała i podeszła do okna na tyle, na ile pozwalał dwumetrowy łańcuch. Metalowe ogniwa zgrzytały nieprzyjemnie, sunąc po betonowej podłodze.

– Halo! – krzyknęła, wysuwając szyję ku górze. – Halo0000! Czy ktoś mnie słyszy?!

Cisza.

– Pomocy! Pomocy! Poooomoocyyyyyy! – wołała coraz bardziej natarczywie. – Ktoś mnie zamknął w piwnicy! Pomocy! Pomocy! Pomooocyyyyyy! – krzyczała jak szalona.

Nic się nie wydarzyło. Nie usłyszała żadnego dźwięku.

Do oczu napłynęły jej łzy. To była kara. Kara za to, co chciała zrobić. Dlaczego nie została w domu? Dlaczego nie powiedziała nikomu, że tu jedzie? Nikt nie wiedział, gdzie jest. Nikt nie znał prawdy. Nikt się nie domyślał. Myśli, które wcześniej dodawały jej otuchy, teraz piekły jak użądlenia osy. Nigdy nie zostanie odnaleziona. Umrze w tej pustej piwnicy. Skuliła się na zimnej podłodze. Nie mogła powstrzymać płaczu. Jej ciało spazmatycznie drgało. Wycie, które wydostało się z jej gardła, było dzikie i wilcze. Przeraziło ją samą.

W końcu opadła z sił; doczołgała się na materac, dosunęła do ściany i oparła o nią plecami. „Musisz myśleć!” – nakazała sobie. Ile to razy widziała podobną scenę w kinie? Ktoś porywał dzieci i zamykał w piwnicy, ale za każdym razem udawało im się uciec. Może nie od razu. Trzeba było poczekać na odpowiedni moment. Zawsze trzeba było czekać na odpowiedni moment. Musiała tylko poznać wroga. Wtedy będzie wiedziała, co robić. Na pewno będzie wiedziała.

Nóż! Przecież miała nóż! Jak mogła o nim zapomnieć? Sięgnęła za pasek. Wymacała trzonek. Poczowała przyływ nadziei. Z bijącym sercem nasłuchiwała dłuższą chwilę, czy nikt nie idzie, aż w końcu sięgnęła za spodnie i wydobyła przedmiot. Ręce jej się trzęsły, gdy odwijala go z kuchennego ręcznika. Dziesięciocentymetrowe ostrze, czarny trzonek.

Najostrzejszy nóż, jaki znalazła w kuchennej szufladzie. Natychmiast sięgnęła do obroży opasującej jej kostkę. Starła się przeciąć grube tworzywo, ale ostrze przejeżdżało po nim, nie pozostawiając śladów. „Co jest?” – pomyślała spanikowana. Przesunęła palcami po obroży. Była lekko chropowata, wydawała się elastyczna. Podciągnęła kostkę i pochyliła głowę, by przyjrzeć się jej z bliska. Materiał zakończono płaską, zamykaną na zatrzask klamrą, najpewniej odblokowywaną kluczem.

Nagle usłyszała jakiś dźwięk. Ktoś nadchodził, szurając nogami. Spojrzała na nóż. Gdzie powinna go ukryć? W starciu z oprawcą musiała działać z zaskoczenia. Prędko schowała narzędzie pod materacem. Zazgrzytała zasuwa. Amelia odskoczyła do tyłu.

Mężczyzna był łysy, jedynie po bokach gładkiej czaszki sterczały kępki rzadkich włosów. Miał bujne wąsy, odstające uszy i pooraną zmarszczkami twarz. Twarz, której na pewno nie знаła. Chwilę postął w progu, bacznie jej się przyglądając, po czym wszedł do środka. Znów zaszurał nogami. Amelia spojrzała na jego stopy. Na nogach miał kaptcie. Znów spojrzała na mężczyznę. Jego nienaturalnie nieruchoma twarz nawet na chwilę nie zmieniała wyrazu. Skóra na szyi wydawała się zdecydowanie bledsza. Wyglądało to bardzo dziwnie. Na jego rękach dojrzała ciasne, lateksowe rękawiczki. Mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyjął z niej flakonik. W drugiej ręce trzymał już chusteczkę. Nasączył kraciasty materiał płynem i ruszył w jej stronę.

Amelia skoczyła w bok, próbując uciec jak najdalej, ale znów zatrzymał ją łańcuch. Zachwiała się, ale złapała równowagę. Mężczyzna błyskawicznie do niej doskoczył. Próbowała go odepchnąć, ale był silniejszy. Przyparł ją do ściany. Wyciągnął chusteczkę.

Jego twarz była tuż obok jej. Nim Amelia zapadła w sen, zrozumiała, że to, co widzi przed sobą, to gumowa maska.

10

Już w połowie drogi żałowała, że nie wzięła auta. Nieosłonięta od słońca aleja Niepodległości była rozpalona jak patelnia. Anna miała wrażenie, że spaliny unieruchomionych w tradycyjnym popołudniowym korku samochodów całkowicie wyparły z upalnego powietrza tlen. Biała koszula i obcisłe dzinsy kleiły jej się do ciała. Cienkie obcasy sandałów raz po

raz wpadały w szczeliny między nierównymi płytami chodnika. Górska czuła, że z każdym krokiem traci siły.

W końcu skręciła w ulicę 3 Maja i przebiegła na prawą stronę. Rosnące tu drzewa dawały względny cień, a delikatna bryza od morza niosła trochę wytchnienia. Anna minęła kościół Świętego Archanioła Michała, skręciła w ulicę Króla Jana Kazimierza i po chwili znalazła się na Syrokomli. Kamieniczki o beżowych elewacjach stały wokół placu zabaw częściowo ocienionego przez posadzone wokół kasztanowce i lipy. To tutaj znajdowało się mieszkanie Tuszków. Wejście do budynku z lokalem należącym do premiera zasłaniały wysokie, gęste tuje. Od momentu zaprzysiężenia polityka na premiera przed nieruchomością zawsze czuwał radiowóz.

Przystanąła przed właściwą kamienicą i wyciągnęła z torebki małe zamykane lustro. Wytarła chusteczką błyszczące czoło i sprawdziła makijaż. Zielone oczy o kocim kształcie nadal były delikatnie podkreślone ciemnym cieniem. Na rzęsach trzymał się czarny tusz. Dobrze. Nie chciała wyglądać nieporządnie. W kontakcie z pokrzywdzonymi należało zachowywać pełen profesjonalizm, a to obejmowało zarówno obiektywne i wnikliwe podejście do sprawy, jak i schludny wygląd.

Drzwi otworzyła jej czterdziestoletnia na oko szatynka. W fotelu w dużym pokoju siedział mężczyzna w w czerwonym T-shircie i dresowych spodniach. Na kanale sportowym bez fonii rozgrywał się mecz w piłkę siatkową.

Mężczyzna, nie odrywając wzroku od ekranu, wskazał Annie kanapę.

– Mistrzostwa Świata w Piłce Siatkowej Mężczyzn. Powtórka – wyjaśnił.

Anna pomyślała, że facet ma dość luźne podejście do zaginięcia córki.

– Pan jest ojcem, jak rozumiem? – skierowała do niego pytanie.

– Ehem, ojcem, tak – odpowiedział mimochodem, bacznie śledząc odbijaną przez zawodników piłkę.

– Przepraszam za męża. On myśli, że Amelka uciekła i zaraz się znajdzie. Już się tak zdarzało. Może i ma rację? – Kobieta z niepewną miną wzruszyła ramionami. – Dziecko zaczęło się trochę buntować. Od jakiegoś roku dziwnie się zachowuje. Wie pani, dorastanie. Ja też nie najlepiej znosiłam ten okres. Hormony buzują i człowiekowi głupie myśli przychodzą do głowy. Coś o tym wiem. Ale do tej pory Amelia wracała do domu najpóźniej koło północy. Raz czy dwa wróciła dopiero rano. Tłumaczyła, że przysnęło jej się u koleżanki, i faktycznie, jak

zadzwoiłam do tej koleżanki, to potwierdziła. Ale tym razem i rankiem jej nie było. Dlatego zgłosiliśmy. Ja nie wiem...

– Z protokołu wynika, że państwa córka wyszła z domu w środę przed południem, a zaginięcie zostało zgłoszone dopiero następnego dnia rano – powiedziała Anna.

– Tak – potwierdziła kobieta. – Amelia wyszła z domu w środę koło jedenastej, tuż po śniadaniu. Mówiła, że idzie z koleżankami na mszę, a potem się pokręca na mieście. Obiecała, że wróci przed wieczorem. Zaczęłam się niepokoić koło północy, ale że rano wstawałam do pracy, to położyłam się spać. Byłam pewna, że Amelia zaraz wróci. Gdy rano się okazało, że nie ma jej w łóżku, od razu zadzwoniłam na policję. Powiedzieli, że przyjmują zgłoszenie, ale na razie jest za wcześnie na podejmowanie działań, tym bardziej, że Amelia już odstawiała taki numer, bo oczywiście od razu o to zapytali, i mam się odezwać, jeśli córka nie zjawi się do wieczora. To nie poszłam do pracy i czekałam. Koło osiemnastej nie wytrzymałam i udałam się na komendę osobiście. Mąż został w domu, jakby mała miała wrócić. Policjant spisał protokół, ale nie widziałam, żeby się jakoś bardzo przejął, a nawet wspomniał, że trzeba będzie sprawę zgłosić do MOPS-u. A my przecież krzywdy dziecku nie robimy, nigdy ręki na nią nie podnieśliśmy...

Głos jej się załamał. Drżącymi palcami wyciągnęła papierosa z leżącej na stoliku paczki i podeszła do otwartego okna.

– Nie ma pani nic przeciwko, że zapalę? – zapytała. – Teraz to nawet we własnym mieszkaniu przy oknie głupio palić, tak się jakoś porobiło.

Kobieta pstryknęła zapalniczką i zaciągnęła się głęboko papierosem. Anna przyglądała się jej, myśląc, jak ona by zareagowała, gdyby to jej dziecko od dwóch dni nie wracało do domu? Czy potrafiłaby stać przy oknie i palić? Z drugiej strony co matka Amelki mogła zrobić? Mogła jedynie czekać, aż właściwe służby rozpoczną poszukiwania jej dziecka. Przecież od tego jest policja. No i ona. Górską zerknęła na podpis pod trzymanym w ręku protokołem przyjęcia zawiadomienia. Starszy aspirant Romuald Drabik. Kolejny as. Zresztą prawda o sopockiej policji była taka, że jeśli coś nie lądowało u Pajaka albo Kity, starych wyjadaczy z wydziału dochodzeniowo-śledczego, to mogło tygodniami stać w miejscu. A okres wakacyjny z pewnością nie sprzyjał intensywnej pracy. Anna zmarszczyła brwi i zapytała:

– Rozumiem, że Amelia nie jest dostępna pod żadnym numerem telefonu?

– Nie.

– Nie miała komórki? Przecież dzieci w jej wieku nie rozstają się ze smartfonami.

– Dwa tygodnie temu przyłapałam ją na paleniu papierosów. Cóż, jak rodzice palą, to prędzej czy później dzieci też zaczną. Ale karę musiałam dać, więc do końca wakacji dostała szlaban na telefon.

Stępień podeszła do komody i z szuflady wyjęła samsunga o dużym wyświetlaczu. Jednorożec na srebrnym etui spacerował po tęczy.

– Działa? – spytała Górską.

– Wyładowany – odparła kobieta. – PIN-u nie znam. – Wzruszyła ramionami.

– Okej. Mogłabym zobaczyć pokój córki? – Anna wstała, dając matce zaginionej do zrozumienia, że nie ma wyboru.

Pomieszczenie było jasne. W padającym zza szyby świetle dnia unosiły się drobinki kurzu. Gołe ściany pomalowano na błady róż; nie wisały na nich żadne plakaty, obrazki czy zdjęcia. Na półkach szafek stało tylko kilka książek. Pokój wydawał się pusty. Nic nie wskazywało na to, że mieszkała tu trzynastolatka.

– Amelka pochowała ostatnio wszystkie swoje rzeczy do pudeł. – Stępień zdała się czytać Górskiej w myślach. – Miśki, lalki, pet shopy, które zbierała latami. Amelia miała nawet swój kanał na YouTubie. Nazywał się Ami LPS. Wrzucała tam filmiki, na których bawiła się tymi figurkami. Odgrywała scenki, sama robiła dla nich mebelki, domki i takie tam. A potem nagle stwierdziła, że pokój jest zbyt dziecinny, tak samo jak ten kanał, który jednym kliknięciem usunęła, choć taka fajna pamiątka mogłaby być. – Kobieta westchnęła i przesunęła dłonią po blacie biurka.

Znajdowały się na nim przybornik do ołówków i długopisów, kolorowe karteczki samoprzylepne oraz kubeczek z gumkami recepturkami, temperówką i innymi drobiazgami. Wzrok asesora zatrzymał się na czarnym krzyżyku wiszącym tuż nad niewielką lampką.

– Mówiła pani, że córka szła na mszę. W środę? Rozumiem, że są państwo wierzący?

– Hmm, my nie do końca. To znaczy jesteśmy katolikami, ale do kościoła to nie bardzo chodzimy. Wierzący niepraktykujący, jak to się mówi. Mnie matka całe dzieciństwo zmuszała do uczęszczania na msze, ale nie bardzo to do mnie przemawiało. Nie lubiłam tego, więc Amelce też nie kazałam chodzić. Ale ona sama jakoś tak w wiarę poszła. To chyba wpływ babci. Ona ma hopla na punkcie Boga. W zeszłe wakacje to nawet córkę do chóru kościelnego zapisała. Amelii się spodobało i jakoś tak złapała bakcyła. To i w Sopocie zaczęła dwa razy w tygodniu na msze

święte do Świętego Jerzego chodzić. Tam jej się bardziej podobało niż w Michale, bo jak mówiła, ksiądz był bardziej natchniony.

– Czyli Amelka zafiksowała się na Bogu, tak? A jak to się ma do palenia papierosów i znikania po nocach? – Annie nie pasował ten obrazek.

– W sumie nijak – odparła Stępień i wzruszyła ramionami. – Taki wiek, jak już mówiłam. Zresztą po tych wakacjach to Amelka powiedziała, że już więcej w tym chórze śpiewać nie chce.

Górskiej wydało się, że kobieta się zaczerwieniła. Upał coraz bardziej dawał się we znaki, a im bliżej wieczora, tym robiło się cieplej.

– No dobrze, to mniej więcej wszystko wiem. To jest mój numer telefonu. – Podała Stępień wizytówkę. – W razie jakichkolwiek wieści proszę dzwonić. Będę potrzebowała danych koleżanek, z którymi umówiła się tego dnia Amelka. I wykazu miejsc, w które córka chodziła. Znajomych, z którymi utrzymywała kontakty. Wszystko, co przychodzi pani do głowy. Dopilnuję, żeby policjanci sprawdzili każdy trop. – Uśmiechnęła się pocieszająco do stojącej pod ścianą kobiety.

– Dziękuję. – Mama Amelki wyciągnęła do niej dłoń.

Była zimna i sucha, jakby upał zupełnie jej nie dotykał.

– A, i jeszcze jedno – przypomniała sobie Górska, wychodząc. – Ten chór, w którym Amelia śpiewała, to w którym kościele?

11

Arkadiusz Filipiak podjechał pod tartak. Wysiadł, zatrzasnął drzwi i zamknął je na kluczyk. Miał nadzieję, że zamek znowu się nie zatnie. Ostatnio musiał włamywać się do własnego samochodu za pomocą wytrycha wsuniętego przez uszczelkę okna. Obejrzał w tym celu filmik w internecie, w którym policjant pokazywał, jak w czternaście sekund otworzyć auto bez kluczyka. Niby chcieli przestrzec ludzi przed złodziejami, a tak naprawdę nagrali materiał edukacyjny dla cwaniaków.

Mężczyzna przeszedł obok ciężarówki z przyczepą załadowaną sosnowymi balami. Pomachał pracownikowi rozładowującemu kłody za pomocą żurawia. Minął kilka stosów tarcicy składowanej na legarach. Przystanął i zerknął, czy ruszyło już mygłowanie. Tak, Waldek za pomocą ciągnika już układał pnie leżące bez zabezpieczeń. Skinął mu głową, po czym wszedł do hangaru i ruszył w stronę podestu z ochronną balustradą prowadzącego do jego biura. Z wydzielonej kabiny operatorskiej wychylił

się Robert Kiedrowski. Pracownik obsługujący linię technologiczną jak zawsze był w wyśmienitym humorze.

– Siema, szefie! – zawołał. – Ale pogoda, co? Końcówka lata, a jak w tropikach, nic, tylko na turystykę stawiać!

Arek zatrzymał się w pół kroku i krzyknął poirytowany:

– Jo! Szkoda tylko, że turystyka nam koło dupy lata, nie?

– Zawsze można tartak na skansen przerobić. – Robert zaśmiał się, zdjął niebieską czapkę z daszkiem, przetarł spocone czoło i z powrotem założył ją na głowę.

– Skansen to my mamy bez przerabiania – odparł Filipiak.

Rozejrzał się po pogrążonym w półmroku wnętrzu hali. W kącie stała nowa wieloczynnościowa obrabiarka, ale nikt nie wiedział, jak ją obsługiwać. Przeważnie i tak korzystali z pilarki ramowej i ręcznych pilarek łańcuchowych, które pozostały po starych właścicielach.

– No widzisz? To się nawet nie musimy przebranzawiać! – Robert zadowolony klasnął w dłonie.

Arkadiusz Filipiak zniecierpliwiony machnął ręką i ruszył przed siebie.

– A! – przypomniał sobie nagle Robert. – Jacyś ludzie na ciebie czekają.

– Ludzie? – Arek się cofnął. – Jacy ludzie?

– No ludzie jacyś. Nie wiem kto. Dwóch takich trochę koksów jakby.

Arek przełknął ślinę.

– Gdzie czekają?

– No w biurze u ciebie czekają. Mówili, że wiesz, o co chodzi, i mieli poczekać.

– Psiamać – syknął Filipiak i zerknął w stronę biura.

Czy go widzieli? Może udałoby mu się jeszcze cofnąć? W tej chwili w drzwiach biura stanął postawny mężczyzna. Skrzyżował ręce na piersi. Skinął, jakby zapraszał do siebie.

Filipiak uśmiechnął się sztucznie i ruszył w kierunku pokoju.

– A dzień dobry! – zaczął entuzjastycznie.

Wyciągnął rękę, lecz tamten nawet nie drgnął, wpatrując się w Arka bez słowa.

Właściciel tartaku wskazał na biuro, lecz drab ponownie nie zareagował. Dopiero gdy Filipiak przekroczył próg, ruszył za nim i zamasyście zamknął za nimi drzwi.

Za biurkiem Arka siedział umięśniony brunet w nowym markowym dresie, Paweł Pawłowski. Przez dłuższą chwilę nie podnosił wzroku. Wpatrywał się w wyświetlacz telefonu, raz po raz wybuchając śmiechem.

– Widziałeś to? – zapytał w końcu, odwracając ekran smartfona w jego stronę. – Ale urwał! Przekomiczne, nie? – Spojrzał rozbawiony na Arka.

Ten przytaknął i wysilił się na uśmiech.

– Siadaj. – Pawłowski wskazał mu krzesło naprzeciwko biurka.

Filipiak podniósł brwi, ale posłusznie spoczął.

Przez chwilę panowała cisza. Mięśniak nadal mierzył go rozbawionym wzrokiem. Tymczasem jego kolega stanął tuż za plecami Arka. Przedsiębiorca nie znosił, gdy ktoś naruszał jego przestrzeń. Podniósł rękę do całkowicie pokrytego jasnymi bliznami o perłowym połysku policzka i potarł skórę. Czuł, że z nerwów zaczyna go palić twarz.

– To co, Arek? Czas się chyba rozliczyć, nie? – zaczął mięśniak, bębniąc palcami o blat stołu.

– Tak, oczywiście. Potrzebuję jeszcze tylko kilku dni. Wszystko będę miał – zapewnił Filipiak.

– Wszystko będziesz miał, mówisz – powtórzył brunet i oparł się wygodnie o zagłówek fotela.

– Tak, tak, po prostu kilka faktur mi jeszcze nie spłynęło, ale na dniach będę miał płatności, więc...

– Neeee, no to luz! Po prostu faktury mu nie spłynęły, słyszałeś, Biedrona? – Pawłowski zwrócił się do dryblas.

Biedrona cmoknął i zniecierpliwiony uderzył Filipiaka pięścią w skroń. Głowa Arka z impetem odskoczyła na bok.

Brunet wstał i podszedł do niego.

– Masz trzy dni. Kasa plus odsetki. Dziesięć procent za każdy dzień zwłoki.

– Ale... – Filipiak raptownie podniósł się z krzesła, chcąc zaprotestować.

Biedrona doskoczył do niego, złapał za poły koszuli i wysoko podniósł pięść. Arek skulił się i zasłonił głowę rękoma.

Ręka Biedrony zastygła w powietrzu. Arek niepewnie podniósł wzrok. Biedrona ponownie szarpnął ręką, udając, że wymierza cios. Filipiak krzyknął i próbował się wyrwać. W tym momencie dryblas go puścił i Arek upadł na ziemię.

Obaj nieproszeni goście wybuchnęli śmiechem. Biedrona podbiegł do Arka i pochylając się nad nim, krzyknął:

– Bu!

Filipiak drgnął i szurając pośladkami po podłodze, przesunął się pod ścianę.

Śmiech w pokoju się wzmógł.

Uradowani mężczyźni skierowali się do wyjścia.

– Ładna galeryjka – powiedział Pawłowski na odchodnym i wskazał na ścianę: – Przykro by było, gdyby musiała spłonąć. Wiesz, że sierść to świetna podpałka? – Pokiwał głową. – A ty chyba nie lubisz ognia – stwierdził i ponownie się zaśmiał.

Trzasnęły drzwi. Arkadiusz Filipiak przyłożył twarz do podłogi. Poszukiwał zimna.

12

Prokurator Leopold Bilski głęboko zaciągnął się czerwonym marlboro i wypuścił chmurę szarego dymu. Ta przez chwilę utrzymywała się nad wodą, rozmazując obraz drzew na przeciwległym brzegu. Leopold dopił resztkę piwa i zgniótł puszkę w dłoni. W pierwszym odruchu chciał wyrzucić ją do jeziora, ale się powstrzymał i położył ją na pomoście.

Czuł gniew rozsadzający całe ciało. Niemal bez przerwy, nieustannie, drapieźnie świerbił go w opuszki palców. To denerwujące swędzenie sprawiało, że Bilski miał ochotę walić pięścią w mur tak długo, aż rozwali knykcie, aż poleje się krew i zedrze skóra, spod której ukazą się kości. Nie wiedział, jak rozładować napięcie, które narastało w nim od ubiegłego maja. To wtedy pociągnął za spust i zabił człowieka. Co z tego, że był to zwyrodnialec, który niemal utopił Anię? Tak czy siak Leopold czuł się mordercą.

Przysiadł na skraju pomostu, zwiesił nogi i wychylił się do przodu. W falującym leniwie lustrze wody, które coraz szybciej spowijał zmierzch, dostrzegł swoją twarz. Broda, którą ostatnio zapuścił, zasłaniała kształtne usta. Ciemne oczy patrzyły niespokojnie. Wygolone boki głowy upodabniały go raczej do typa spod ciemnej gwiazdy niż do prokuratora. Nie dbał o to. Tak właśnie się czuł. Jak wyrzutek, którym, biorąc pod uwagę przeniesienie, się stał.

Dokończył papierosa i pstryknął niedopałkiem przed siebie. Żółtoczerwony ognek zgasł w wodzie dwa metry od pomostu. „Zaśmiecanie miejsca publicznego, artykuł 145 Kodeksu wykroczeń. Kara grzywny do pięciuset złotych lub kara nagany” – pomyślał Bilski zgryźliwie. Wyjął z paczki kolejnego papierosa i włożył do ust. Zaczął palić właśnie wtedy, gdy palenie stało się niemożliwe. Zawsze był grzecznym chłopcem. Dobrym synem, przykładnym studentem, jednym z najlepszych aplikantów na roku. Nie musiał długo czekać na przydział

do sopockiej prokuratury. Szybko osiągnął poważanie w środowisku prokuratorskim. A teraz? Zdegradowany trzydziestosiedmioletni prawnik. Zmęczony, rozdrażniony. Skończony.

Miniony tydzień był jak bolesny kopniak w tyłek. Szef przydzielił mu sprawy, które nawet dla stażysty nie stanowiłyby wyzwania. Kiedy poszedł do starego w łacę, zmusił się do wyprodukowania najbardziej czarującego uśmiechu, na jaki tylko było go stać, roztoczył aurę swojego dawnego uroku, generalnie włożył Pakoszowi jak koszula w dupę, ten odprawił go z kwitkiem. Stwierdził, że wszystkie grubasy są już w toku, więc dla Bilskiego pozostały tylko akta cienkie jak naleśniki. Nie żeby stary miał coś przeciwko niemu lub wątpił w jego kompetencje. Nie, zupełnie. Pomimo wszystkich plotek, które zdążyły prokuratora wyprzedzić – łaskawym tonem powiedział Pakosz, nim wypchnął go za drzwi. Leopold wrócił do gabinetu złamany.

– Co? Nasza gwiazda czuje się niedoceniona? – sarkastycznie zagadnął go Czerniak. – Może w repertorium pozakarnym coś dla siebie znajdziesz? – Mężczyzna wybuchł śmiechem zwycięzcy, a Bilski pomyślał, że najchętniej wybiłby mu te małe ciemne ząbki.

Leopold wyjął z reklamówki kolejne piwo i otworzył puszkę. Strzepnął z dłoni pianę, która wypłynęła z sykiem spod aluminiowego języczka. Wytarł rękę w koszulkę i rozejrzał się. Musiał przyznać, że miejsce miało swój urok. Rozległe jezioro otaczał bukowy las. Brzeg porastały rozłożyste paprocie. Śpiew ptaków niósł się nad wodą. Odpowiadały mu takie klimaty. Jeszcze półtora roku temu po dniu spędzonym w biurze poszedłby na drinka do SPATiF-u, poderwał jakąś niunię, poczarował, może nawet wylądowałby u niej na noc. Teraz najbardziej lubił być sam. Kilka ostatnich miesięcy spędził w Beskidach. Po ogłoszeniu wyroku uniewinniającego Ambroziak kazał mu gdzieś wyjechać, odetchnąć, dojść do siebie. Potem okazało się, że Leopold nie miał do czego wracać. Jego stanowisko od dawna było zajęte, a na niego czekał etat w Kartuzach.

Bilski aż prychnął, gdy stary mu to oznajmił. Kartuzy. Przez chwilę myślał, że to żart. Ale nie. Zesłano go do miasteczka, z którego ciągnięto łacha podczas stand-upowych występów w Sfinksie: „Poznałam wczoraj faceta. Cacuszko. Przystojny, czarujący. Już myślałam, że może coś z tego będzie, a on nagle mówi, że jest z Kartuz”. Pozamiatane. Śmiech na sali.

– Mam nadzieję, że nie potraktujesz tego przeniesienia osobiście i nie będziesz miał mi za złe. – Ambroziak rozłożył ręce.

– Nie, czemu miałbym wziąć szefowi za złe? – odparł Leo i zacytował: – To miasto to impreza.

Wyszedł, nie oglądając się za siebie. Nawet nie wstąpił do Ani, choć prosiła, by zajrzał do niej po spotkaniu z Ambroziakiem. Nie czuł takiej potrzeby. Od dawna nic nie czuł.

Nie widział jej od wiosny. Po ogłoszonym w marcu wyroku spotykali się jeszcze przez jakiś czas, ale tak naprawdę oszukiwali samych siebie, że to może wyjść. Ania parła do przodu. Bezbłędnie zdała egzaminy, dostała asesurę – była zdeterminowana i gotowa do działania. On pogrążył się coraz głębiej w obcym mu dotychczas rozdrażnieniu. Patrząc na nią, czuł wściekłość, że dramatyczne wydarzenia, w których oboje uczestniczyli, spłynęły po niej bez śladu. Wydawało się, że sprawa ze Skalpelem nie odcisnęła żadnego piętna na jej psychice. A przecież po podtopieniu przez zwyrodnialca nie oddychała przez kilka minut i doświadczyła czegoś w rodzaju śmierci klinicznej. Ledwo uszła z życiem. I nic. Wydawała się szczęśliwsza i bardziej zmotywowana niż kiedykolwiek. A on? Z dnia na dzień marniał. Nie mógł spać. Miał stany nerwicowe. W najzwyklejszych sytuacjach zaczynało mu kołatać serce, nie mógł złapać oddechu, drżały mu ręce i oblewał się zimnym potem. Terapia, którą nakazał mu sąd, nie przyniosła efektów. Leki jedynie pogłębiły depresję.

Ania nagle stała mu się obca. Jej kocie oczy i uroczo zadarty nos przestały na niego działać. Nawet seks ich do siebie nie zbliżał. Ona w akcie fizycznym szukała potwierdzenia uczuć, on traktował go jako sposób na spuszczenie pary. Nie potrafił dostrzec w niej tego, co widział wcześniej.

Dopiero w górach poczuł się lepiej. Samotne wędrówki, podczas których nie musiał niczego przed nikim udawać. Tylko on, wiatr i zmęczenie. Fizyczne zmęczenie w tak skrajnej postaci, że Bilski nie miał siły myśleć. Wieczorami był skonany tak bardzo, że przesypiał noce bez snów. Taki styl życia odpowiadał mu coraz bardziej. Kilkakrotnie kontaktowali się przez Messengera, prowadząc jałowe, sztuczne rozmowy. Gdy zniechęcona Ania przestała się odzywać, z relacji nie zostało nic. On ani razu nie wybrał jej numeru.

Leopold zapalił następnego papierosa. Zaciągnął się nim tak gwałtownie, że w kilka chwil czerwony żar strawił go niemal w połowie. Nawet nie zauważył, kiedy zapadł zmrok. W gęstniejącej z minuty na minutę ciemności nadal było widać zarys pomostu, ale jego odbicie w wodzie zniknęło. Bilski otworzył kolejne piwo i jednym haustem wypił połowę. Ależ upał. Leopold wyrzucił niedopałek w przestrzeń i szybkim ruchem ściągnął z siebie mokre od potu ciuchy. Niewiele się zastanawiając, wskoczył na główkę do jeziora.

Cicho zamknęła drzwi. Piotruś wybiegał się dzisiaj za trzech i zasnął, nie doczekawszy nawet do końca bajki, którą mu czytała.

Julia zeszła na dół i stanęła w otwartych drzwiach tarasowych. Gorące powietrze otuliło jej ciało. W domu było dużo chłodniej niż na zewnątrz. Spojrzała w dal. Światła stojących nad jeziorem domów rzucały lunę na wodę. Z ogrodu dolatywały intensywny zapach ziół i kwiatów oraz donośne cykanie świerszczy. Julia pomyślała, że w promieniu kilku metrów musiało być ich setki. Poczowała się jak w Toskanii, gdzie kilkakrotnie spędzali wakacje. Włoscy znajomi Wiktora mieli tam przepiękną posiadłość. Mieszkali w przerobionym na dom średniowiecznym klasztorze otoczonym opadającym tarasowo ogrodem pełnym drzewek oliwnych, krzewów winorośli i rozmarynu. To tam, u tej pary rzeźbiarzy, bywał podobno Bernardo Bertolucci tuż przed nakręceniem *Ukrytych pragnień*. Julia lubiła myśleć, że właśnie to miejsce zainspirowało go do nakręcenia historii młodej dziewczyny, która przybywa do małego włoskiego miasteczka, gdzie odnajduje smak fizycznej miłości.

To był beztroski czas. Za dnia zwiedzali okoliczne winnice, wylegiwali się pod wiekowymi drzewami i gapili w niebo. Wieczory mijały im na biesiadowaniu. Opróżniając niezliczone butelki najlepszych tokańskich win, rozprawiali o literaturze i kinie, śmiali się z zupełnych głupot. Czują się wtedy bezpieczniej niż kiedykolwiek później, a na pewno niż kiedykolwiek wcześniej.

Julia uśmiechnęła się do siebie. Ciekawe, że dobre wspomnienia potrafią na chwilę ukoić ból terażniejszości. Wiedziała, co ją czeka – podjęła decyzję i nie miała odwrotu. Ale potrzebowała jeszcze kilku dni. Musiała oswoić się z myślą, że tam pójdzie. A przede wszystkim musiała przygotować Piotrusia.

Znów spojrzała przed siebie, próbując namierzyć tamten dom. Nie miała pewności, czy można go dostrzec z tarasu. Orientacja w terenie nigdy nie była jej mocną stroną. Usłyszała głośny wybuch śmiechu i aż podskoczyła. Głupia. To woda niosła dźwięki z daleka. Po drugiej stronie jeziora jakaś grupa przyjaciół siedziała zapewne przy ognisku, grając na gitarach, śpiewając i żartując. A może poszli na pomost i skakali z rozbiegu do wody. W młodości Julia często tak robiła z przyjaciółmi. Łapali się za ręce i parami skakali na bombę. Potem ogrzewali się przy

ogniu i jedli ociekające tłuszczem kiełbaski. Niby nic, a jednak do takich momentów wracało się wiele lat później.

Julia Sarman poczuła się bardzo samotna, ale szybko zdusiła to uczucie. Nie lubiła się nad sobą uzalać. Otuliła ramiona dużą chustą i postanowiła się przejść.

Po obu stronach dróżki prowadzącej nad jezioro jaśniały kuliste lampki solarne. Nad wodą połyskiwał księżyc, zbliżający się do pełni. Julia już zapomniła, jak piękna jest Polska, jakie piękne są Kaszuby. Przez niemal dwadzieścia lat, które spędziła za granicą, zwiedziła wiele krajów i teraz mogła bez zawahania powiedzieć, że rodzime krajobrazy niczym nie ustępowały urokom najbardziej egzotycznych miejsc.

Zeszła powoli na dół i podeszła do rozłożystego drzewa. Usiadła na huśtawce, a ta niepokojąco zaskrzypiała. Julia spojrzała w górę i pociągnęła za linę. Konstrukcja wydawała się stabilna, więc odepchnęła się nogami i lekko je uniosła.

„Mocniej! – usłyszała w głowie głos siostry. – Mocniej!”.

Pchała z całych sił. Starła się jak najlepiej wykonać zadanie. Głośny śmiech Andżeliki świadczył o tym, że dobrze jej idzie. Z ich ust unosiła się para. Kropelki śliny zamarzały na szaliku. Andżelika kołysała się w przód i w tył, popiskując z zadowolenia. Julia lubiła, gdy siostra była zadowolona. Wtedy i ona czuła się szczęśliwa.

Od dawna nie myślała o siostrze. Upychała te myśli głęboko w sobie i nie pozwalała im wypływać na powierzchnię. Pamięć o Andżelice powodowała zbyt wielki ból. Ale teraz Julia wyraźnie słyszała jej śmiech. Jakby rozbrzmiewał tuż przy jej uchu.

Andżelika przybyła na ten świat za Julią – powiedziała im kiedyś spotkana na ulicy Cyganka. W poprzednim życiu były sobie tak drogie, że Andżelika się zaparła i urodziła dwa lata później w tej samej rodzinie. Julia nie wierzyła we wróżby, ale doskonale potrafiła odczytywać siostrzane emocje, porozumiewając się z Andżeliką bez słów. Andżelika w przeciwieństwie do Julii była bardzo wstydliva. Bez siostry czuła się zagubiona, dlatego przy każdej nadarzającej się okazji wkładała rączkę w dłoń Julii, a ta prowadziła ją przez życie. W przedszkolu Andżelika codziennie wyczekiwała końca zajęć. Gdy tylko mama przychodziła je odebrać, dziewczynka pędziła po schodach na samą górę kamienicy do sali starszaków, stawała w progu i krzyczała: „Julita, do domu!”. Siostra brała ją za rękę i sprowadzała na dół, a ona w końcu czuła ulgę. Julia pamiętała, jak kiedyś w przedszkolu Andżelika zgubiła worek z kapciami. Nie było go na półce oznaczonej naklejką z biedronką i dziewczynka

zalała się łzami. Szybko sprowadzono z góry Julię, żeby uspokoiła siostrę. Ale ta nie zaczęła szukać pantofli. Przytuliła małą i również się rozplakała. Stały tak długo i płakały, przywarwszy do siebie małymi ciałkami. Właśnie w ten sposób się komunikowały. Przeżywały wszystko tak samo.

A potem się popsuło. Przez Julię. To była jej i tylko jej wina.

Julia westchnęła. Znow to robiła. Znow się nad sobą użalała. Spodziewała się, że tak będzie – przyjedzie i tamy zaczną pękać, aż przeszłość zaleje ją falą bolesnych wspomnień.

Julia zeskoczyła z huśtawki jak mała dziewczynka i spojrzała na domy po drugiej stronie jeziora – posesje najbogatszych mieszkańców miasteczka. Widok na wodę kosztował. Matka zawsze to podkreślała: pamiętajcie, skąd pochodzicie. I nie miała na myśli tylko kaszubskich korzeni. Julia doskonale rozumiała, że chodziło o pieniądze. Że oni je mieli, a inni nie. Matka nigdy nie pozwalała im bawić się z dziećmi z ubogich rodzin. Im można było pomagać, owszem. W końcu Bóg nakazał wspierać potrzebujących. Ale bratać się z nimi to inna historia. Matka lubiła uchodzić w miasteczku za osobę wspaniałomyślną. Lubiła nazywać siebie dobrym samarytaninem. Robiła zbiórki, organizowała akcje charytatywne, ufundowała nawet schronisko dla bezdomnych. Jednak gdy kiedyś Julia wyskoczyła przy niej z cytatem ze Świętego Łukasza: „Sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj biednym, a będziesz miał skarb w niebiosach; i chodź, bądź moim naśladowcą”², uśmiechnęła się pobłaźliwie i spytała, czy Julia chciałaby mieszkać na ulicy. Córka uznała, że woli mieszkać, gdzie mieszka, lecz sprawa nie dawała jej spokoju. „Czy to znaczy, że nie nadajemy się na uczniów Jezusa?” – drażyła, a matka uderzyła ją w twarz. Julia nie próbowała z nią więcej dyskutować o kwestiach religijnych. Tak to właśnie było – miała przyjmować dogmaty i ich nie kwestionować. „Chyba nie chcesz być grzesznicą?” – pytała matka, ilekroć Julia robiła coś nie po jej myśli. Dziewczynka nie chciała. Nie umiała sobie wtedy wyobrazić niczego straszniejszego.

Minęła piaszczystą plażyczkę i szła wąską ścieżką prowadzącą wśród paproci brzegiem jeziora. Ciemność robiła się coraz głębsza, więc przy pierwszej okazji Julia zboczyła z dzikiego szlaku i wybrała utwardzoną drogę, przy której stały domy. W większości z nich paliły się światła. Okna były odsłonięte, tak jakby samo ogrodzenie mogło ochronić domowników przed wzrokiem przechodniów. Może mieszkańcy nie mieli nic przeciwko temu, by ktoś ich obserwował? Mogliby powiedzieć, że nie

mają nic do ukrycia. A może nie mieli świadomości, że widać ich jak na dłoni?

Julia Sarman uwielbiała obserwować ludzi, kiedy nie zdawali sobie sprawy z tego, że ktoś na nich patrzy. Nie kontrolowali się, nie wkładali masek. Byli tacy, jakimi byli. Ktoś siedział na kanapie z pilotem w ręku, ktoś przygotowywał kolację. Jakiś ojciec podrzucał do góry niemowlaka, a ten rozdziwiał buzię w uśmiechu. Julia niemal słyszała jego piskliwe pokrzykiwanie. Pewna dziewczynka siedziała na piętze przy biurku. Chyba coś rysowała. Sarman lubiła na podstawie takich fragmentarycznych obrazów wyobrażać sobie życie nieznajomych. Dopowiadała szczegóły i powoli kreśliła opowieść. Pisanie powieści nie było wcale takie trudne. Wystarczyło wyjść od mało znaczącego detalu i dodawać kolejne elementy. Historia po pewnym czasie zaczynała pisać się sama i Julia traciła nad nią kontrolę.

Przy ostatnim domu na tej ulicy zatrzymała się na dłużej. Przez okna bez zasłon ani firanek zobaczyła duży, niemal pusty pokój. Betonowe ściany, drewniana podłoga. Sofa zarzucona tkaninami. Pośrodku sztaluga. Umieszczony na niej obraz przedstawiał nagą kobietę. Julia wyraźnie widziała jej krągłe kształty, ciemne sutki i bujne włosy łonowe. Postać odginała się do tyłu, eksponując swoją urodę. Julia patrzyła jak zahipnotyzowana. Dopiero po chwili dostrzegła mężczyznę. Stał boso w rogu pokoju z pędzlem w dłoni i przyglądał się obrazowi. Jasne włosy opadały mu na czoło. Nagi tors unosił się i opadał w rytmie oddechu. Mężczyzna miał na sobie tylko dżinsy wiszące na wystających kościach biodrowych. Nagle malarz obrócił twarz ku oknu. Julia Sarman spuściła wzrok i cofnęła się gwałtownie. Choć mężczyzna nie mógł jej zauważyć, poczuła wstyd.

14

Asesor prokuratorski Anna Górską stanęła w oknie wynajmowanego mieszkania przy ulicy Jana Jerzego Haffnera. Pograżoną w mroku ulicę, której nazwa upamiętniała założyciela sopockiego kąpieliska, oświetlały latarnie. Niebo przecięła błyskawica. Po kilku sekundach rozległ się przeraźliwy grzmot. Jeszcze nie padało, ale w powietrzu unosił się zapach nadchodzącej ulewy. Wyjątkowa o tej porze cisza ogarnęła Sopot. Nawet najbardziej zagorzali imprezowicze pochowali się pod zadaszeniami kawiarni oraz klubów i z niepokojem patrzyli w niebo.

Gdy Ania była małą dziewczynką, pojechała z ojcem na wczasy zakładowe do ośrodka wypoczynkowego Cyranka w Czernicy. Mieszkali w małym drewnianym domku tuż pod lasem. Pewnego dnia, gdy powoli zbierało się na burzę, usiedli na leżakach przed domkiem i czekali. Niebo raz po raz rozjaśniały błyskawice, ale nie padało. Grzmoty dochodzące z oddali stawały się coraz głośniejsze. Nagle rzędy wysokich świerków za ich plecami zaszumiały głośno poruszone gwałtownym podmuchem wichury. Gdy szum osiągnął apogeum, równocześnie błysnęło i grzmotnęło. Tuż nad ich głowami. I w jednej sekundzie z nieba chlusnęły strumienie wody.

Z krzykiem poderwali się z leżaków i uciekli na zadaszony tarasik, śmiejąc się wniebogłose. Niewiele miała piękniejszych wspomnień o zmarłym ojcu.

Tamtego dnia, gdy pojechała ze Skalpelem do daczki, też rozpętała się burza...

Spojrzała w górę. Była pewna, że tata nad nią czuwa. Wszystko, co dobre, zawdzięczała jemu. Wiedziała, że wtedy, na Wyspie Sobieszewskiej, to on uchronił ją od złego. Może i było to śmieszne. Może i ludzie nie wierzyli już w Aniołów Stróżów, ale ona wyraźnie czuła jego obecność. Nic nie mogło podważyć jej wiary.

Gdy ojciec zmarł na zawał, miała trzynaście lat. Dokładnie tyle co zaginiona Amelia Stępień. W tym okresie też nie czuła się ze sobą dobrze. Poszukiwała. Czegokolwiek. Jakiegoś oparcia, czegoś, co nadałoby jej życiu sens. Również na chwilę zwróciła się do Boga. Chodziła do kościoła, do spowiedzi, starała się skupiać na kazaniach. Ale nie poczuła tam nic żywego. W zimnych murach świątyni panowała pustka, a padające z ambony słowa były martwe i niezrozumiałe. Więcej nadziei i tajemnej mądrości potrafiła znaleźć w tej nadchodzącej burzy.

Spojrzała na wyświetlacz komórki. Niebo ponownie rozbłysło. Na chwilę zrobiło się zupełnie białe, jakby rozświetlił je flesz aparatu. Ania zacisnęła powieki i wzięła głęboki wdech. Dotknęła zielonej ikonki przedstawiającej słuchawkę i po chwili usłyszała sygnał. Drugi, trzeci, czwarty. Nic. Rozłączyła się. Nad budynkiem huknęło. Po kilkunastu sekundach telefon się rozdzwonił.

– Cześć – usłyszała w słuchawce głos Leopolda Bilskiego.

– Cześć. Dzięki, że oddzwoniasz. Sprawę mam. Zaginęła trzynastoletnia dziewczynka.

– Rozumiem to. Więc?

– Babcia dziewczynki mieszka w Kartuzach. Mała zawsze spędzała u niej wakacje. Lokalna policja rozmawiała z babcią, ale może coś pominęli? Wiesz, jak się rozmawia z kimś, kogo się zna. Traci się obiektywizm. Przyjechałabym sama, ale mam tu urwanie głowy. Cały weekend będę siedzieć nad papierami, bo jak się nie wyrobie z numerkami do końca miesiąca, to Ambroziak urwie mi głowę. Wiesz, jak jest.

– Spoko. Sprawdzę – odparł Bilski, a po twarzy Ani przebiegł nikły uśmiech.

– Dzięki. Przesyłam ci szczegóły na maila. W takim razie... w kontakcie? – Górska zawahała się.

– Ania... – urwał Leopold.

– Tak?

– Nie, nic... Odezwę się, jak coś ustalę – powiedział i się rozłączył.

Prokurator Anna Górska jeszcze długo stała z telefonem przy uchu. Za oknem szalała ulewa.

15

Weekend zapowiadał się piękny. Burza, która przeszła nad Kartuzami po północy, nie przyniosła ochłodzenia. Julia Sarman zerwała się o świcie i poszła pobiegać. Powietrze w lesie przesycone było intensywnym zapachem wilgotnego poszycia, co wprawiło ją w dobry nastrój. Zanim Piotruś wstał, zdążyła wypić na tarasie czarną kawę i napisać kilka fragmentów tekstu. Cieszyło ją, że siedmioletni synek lubił teraz dłużej pospać. Przez pierwsze pięć lat życia zrywał się codziennie o piątej, wskakiwał rodzicom do łóżka i targał ich za ramiona, dopóki nie wstali. „Nie śpij, mamusiu. Nie śpij, tatusiu” – wołał, a jeśli to nie pomagało, podnosił delikatnie drobnymi paluszkami powieki Julii i mówił słodkim głosem: „Ale mamusia ma piękne očka”.

Julia uśmiechnęła się na to wspomnienie. Piotruś tak szybko urósł; nie pomogło imię nadane mu na cześć bohatera zamieszkującego Nibylandię. Niebawem się zakocha i ona przestanie być dla niego najważniejszą osobą na kuli ziemskiej. Ech, kiedy był mały, Julia z Wiktorem niecierpliwie wyglądali dnia, w którym synek zrobi się trochę bardziej samodzielny, sam zacznie jeść, pójdzie do przedszkola. Generalnie czekali na moment, gdy zrobi się nieco lżej; późno rodzicielstwo miało swoje plusy, ale nie mieli już takiej werwy jak kiedyś. I zanim się obejrzel, ten moment

przyszedł. I choć faktycznie zrobiło się lżej, to jednak tęsknili czasami za tym nieporadnym maluszkiem, który dreptał w pieluszcze i wyciągał rączki do mamy.

Łzy napłynęły jej do oczu. Z wiekiem stawała się coraz bardziej sentymentalna. Julia nie płakała od dziewiątego roku życia aż do narodzin Piotrusia. Wtedy po raz pierwszy od niemal dwudziestu lat naprawdę się popłakała. Ogarnęła ją miłość, którą wcześniej czuła tylko do jednej osoby – Andzeliki.

Zabrała się do przygotowywania naleśników: ulubionego dania Piotrusia, które mógłby jeść praktycznie bez przerwy. Gdy kończyła je smażyć, na schodach pojawił się zaspany synek. Zmierzwił blond włosy, cienka piżamka, bosa stópki.

– Dzień dobry! – przywitał się entuzjastycznie. – O, naleśniki! Jestem głodny jak wilk!

– Chodź, siadaj. – Matka wskazała mu krzesło. – Z czym chcesz?

– Ze wszystkim!

– Z ogórkiem kiszonym? – Julia zrobiła śmieszoną minę.

– Yh – skrzywił się chłopczyk.

– A może ze śledzikiem?

– Neeee!

– Z mortadela?

– Co?

– Albo z... kapustą kiszoną?

– A ty zjedz z kiełbasą i marchewką! – Chłopczyk podchwycił zabawę.

– Albo z gałką szpinaczku z rodzynkami niegazowanymi! – wykrzyknął uradowany.

– Brzmi przepysznie! – Julia się zaśmiała. – Chyba się skuszę.

– Albo z glistą umaczną w kisielu z robaka!

Chłopczyk zatrząsł się ze śmiechu i zaczął pałaszować pierwszego naleśnika.

– Jak skończysz, pójdziemy się przejść, dobrze? – powiedziała Julia.

– Pójdziemy zobaczyć szkołę?

– Yhm. Stresujesz się rozpoczęciem roku?

– Eee. – Piotruś wzruszył ramionami i dalej pochłaniał śniadanie. – Nie martw się, będzie dobrze. – Uśmiechnął się do niej pocieszająco.

– Ty mnie uspokajasz?! – Julia spojrzała na małego z niedowierzaniem. Czasami zachowywał się jak jej opiekun.

– No. Niby od czego tu jestem? – Synek puścił do niej oko.

Zmarszczył przy tym cały policzek i wygiął usta. Próbował być taki jak jego tata. Wiktor często puszczał oczka. To był ich porozumiewawczy gest. Na myśl o tym Julia poczuła skurcz w żołądku.

– Dziękuję. – Kobieta ucałowała chłopca w czubek głowy. – Jesteś moim mężczyzną! – szepnęła wzruszona.

– A wiesz, mama, co odkryłem? Że nie tylko dwadzieścia plus dwadzieścia to czterdzieści, ale też dwadzieścia pięć plus piętnaście!

– Zgadza się, synku.

– I wiesz, co jeszcze? Że gdyby po dziewięć było od razu sto, a po sto dziewięć dwieście, to łatwo by się liczyło do tysiąca!

Godzinę później spacerowali już po mieście. Matka oprowadzała chłopca po ulicach, pokazywała mu co ważniejsze budowle, opowiadała o historii tego miejsca i zamieszkujących go ludziach.

Kiedy stanęli przed budynkiem dziewiętnastowiecznego kościoła, Piotruś zadarł głowę, starając się objąć wzrokiem strzelistą wieżę. Julia patrzyła wprost na wejście. Nie potrafiła oderwać od niego oczu.

– Nie pójdę tam więcej – usłyszała w głowie głos Andżeliki. – Nie, nie, nie.

Siostra zaczęła płakać i tupać nogami. Julia próbowała wyciągnąć ją z szafy, lecz Andżelika się zaparła i coraz mocniej wciskała pomiędzy wiszące na wieszakach ubrania.

– Wyjdź, słyszysz?! – Julia była coraz bardziej rozdrażniona. – Zachowujesz się jak zwykły dzieciak! – Szarpnęła Andżelikę za ramię.

Mała zaczęła płakać jeszcze głośniej i wtuliła się w najdalszy kąt szafy.

– Jesteś zazdrośnicą, słyszysz! – krzyknęła Julia. – Zazdrościsz mi, że śpiewam w pierwszym rzędzie, a ty tylko stemplujesz święte obrazki. Jesteś zazdrośnicą! Zazdrośnica, zazdrośnica!

Andżelika zatkała uszy rękoma i zaczęła przeraźliwie piszczeć. – Aaaaaaa.

Julia usłyszała głos Piotrusia:

– Mamo!

– Tak, synku? – Starła się zachować opanowany wyraz twarzy.

– Z czego jest ten dach? – Piotruś dalej patrzył w górę.

– Wydaje mi się, że to zwykła blacha, synku. – Julia jednym spojrzeniem oceniła pokrycie budowli i powtórzyła cicho: – Zwykła miedziana blacha.

Jeszcze zanim otworzył oczy, wiedział, że jest źle. Na jego głowie zacisnęła się metalowa obręcz nabijana gwoździami, które wwiercały mu się w mózg. Gdy tylko uchylił powoli powieki, gwoździ zrobiło się dwa razy więcej, a obręcz jeszcze boleśniej zaczęła miażdżyć jego skronie. Bilski uniósł ostrożnie twarz wciśniętą do tej pory w coś śmierdzącego kurzem i stęchlizną, by zorientować się po chwili, że leży na brązowej polówce – bez prześcieradła czy choćby koca. Z obrzydzeniem pomyślał, że przez całą noc przytulał twarz do tego syfu, z którym przez ostatni tydzień tak usilnie próbował nie mieć żadnego kontaktu. Wezbrały w nim mdłości. Podniósł się gwałtownie, co spotęgowało klucie w mózgu – wskazówka jego wewnętrznego miernika bólu przeskoczyła w ułamku sekundy z pozycji „nie do zniesienia” na sam koniec skali z napisem „śmierć w męczarniach”. Syknął i ostrożnie osunął się na stojące obok krzesło.

Musiał się skupić i oszacować straty. Na tapczanie, obok niego ani pod nim nie leżała żadna kobieta. Nic nie wskazywało też na to, by siedziała teraz w łazience albo w kuchni. Zresztą gdyby nawet przyprowadził tutaj jakąś laskę, widok tej zapuszczonej nory od razu by ją spłoszył. Gniazdko miłości to to nie było.

Na stoliku i blacie kuchennym wały się zgniecione puszki po piwie. Na podłodze leżała opróżniona w dwóch trzecich butelka wódki. Widocznie sięgnął po nią, gdy piwo się skończyło. Auć. Na samą myśl o smaku gorzały żołądek wywrócił mu się na drugą stronę.

Czy oprócz tego zrobił coś głupiego? Przypomniał sobie, że sikał gdzieś pod murem. Żadnej pijackiej sprzeczki czy bójki nie odnotował. Dla pewności przejechał językiem po zębach – wszystkie. Dobra, chyba nie było tak źle.

Ania, Ania... Stała mu przed oczami. Raczej się z nią wczoraj nie widział. Może podrywał kogoś podobnego do niej? Hmm, chyba nie. Nie miał ostatnio ochoty na romanse. Więc jednak Ania. Rozmawiali. Tak, wyraźnie przypominało mu się, że rozmawiali. To ona dzwoniła czy on? Nie był pewien. Zmrużył oczy, starając się skupić... Zaginiona dziewczynka, coś o śpiewie, jakaś babcia. No tak, zgodził się coś sprawdzić. Jasny gwint! Akurat dzisiaj, kiedy najchętniej zapiłby kaca piwem i cały dzień przeleżał przed telewizorem. Ale telewizora nie miał, a leżeć nie za bardzo było na czym. Kurwa. Co za świat.

Bilski dźwignął z krzesła swoje ciężkie ciało i poczłapał do łazienki. Pomimo upału wziął ciepły prysznic, by złagodzić targające nim dreszcze, i dopiero pod sam koniec zmienił wodę na lodowatą. Następnie wypił trzy

mocne espresso zaparzone w przywiezionym z Sopotu ekspresie – jedynym luksusowym sprzęcie w tej parszywej dziupli. Na telefonie otworzył mail od Ani, zapoznał się ze szczegółami sprawy i zerknął na załączone zdjęcie poszukiwanej trzynastolatki.

Babcia dziewczynki, Alicja Stępień, mieszkała przy ulicy Przy Rzeźni. Z GPS-u wynikało, że z Osiedla XX-lecia PRL-u, na którym miał wątpliwą przyjemność mieszkać, mógł się tam dostać piechotą w sześć minut. „Powiniennem podołać” – pomyślał sarkastycznie i wyszedł z mieszkania. Gdy tylko stanął przed blokiem, uderzył go afrykański skwar. Leopold niemal osunął się na chodnik. Wziął się jednak w garść i ruszył przed siebie. Minął swojego ukochanego saaba 9-3 aero, który marniał w kurzu i słońcu nieruszany od tygodnia. Do pracy Bilski miał sześćset metrów, nad jezioro dwieście. Osiedlowy sklepik mu wystarczał. Prokurator stwierdził rozgoryczony, że jak tak dalej pójdzie, to będzie wsiadał za kółko jedynie po to, by odwiedzić matkę w Sopocie. Jakże stał się żaloszny.

Z wysiłkiem brnął przed siebie. Minął salon urody Urok i stanął przed jednym z betonowych żółtych klocków tworzących krajobraz tej części miasteczka.

Pani Alicja mieszkała na drugim piętrze.

– Policjanci już u mnie byli dwa dni temu – stwierdziła zdziwiona, gdy Bilski pokazał jej prokuratorską legitymację.

– Zadam pani tylko kilka pytań – odparł i omijając kobietę bokiem, nieproszony wszedł do mieszkania.

Nie miał dziś siły na kurtuazję.

Minął przedpokój ozdobiony wiszącymi na ścianie fajansowymi talerzami w kwieciste wzory w różnych odcieniach błękitu i wszedł do pokoju. Na politurowanej na wysoki połysk meblościance, zajmującej większą część pomieszczenia, stały liczne zdjęcia w ozdobnych ramach. Większość z nich przedstawiała zaginioną trzynastolatkę. Dziewczynka miała charakterystyczną szramę na policzku. Na kolejnych fotografiach Amelka w białej sukience przyjmowała pierwszą komunię, sypała kwiatki w Boże Ciało, stała dumnie wśród chórzystów.

– Nadal nie mamy żadnych wieści – powiedział w przestrzeń Bilski, przyglądając się rządowi ramek. – Dlatego tak ważne jest, by się pani skupiła. – Odwrócił się do kobiety i wbił w nią spojrzenie.

Babcia Amelki oblała się rumieńcem i opuściła wzrok. Zaczęła skubać rąbek obrusa.

„Nerwowa. Rozkojarzona. Coś ukrywa” – pomyślał prokurator, choć dzisiaj nie ręczył za swoją intuicję.

– Kiedy ostatni raz widziała pani wnuczkę?

– W niedzielę. Poszliśmy na dwunastą do kościoła i po mszy odprowadziłam ją na przystanek autobusowy.

– Czyli dokładnie sześć dni temu, tak?

– Tak.

– W co była ubrana?

– Jak to w co ubrana?

– No co Amelia miała na sobie, gdy po raz ostatni ją pani widziała? Proszę przypomnieć sobie waszą ostatnią rozmowę i powiedzieć, jak wnuczka wyglądała.

– Niech się zastanowię... No, miała na sobie koszulkę, czarną, i krótkie spodenki.

– A na nogach?

– Bo ja wiem... Pewnie trampki. Te zielone, co tak lubi.

– Aha. – Bilski udał, że zapisuje coś w notesie. – I puściła ją tak pani do kościoła – bardziej stwierdził, niż zapytał prokurator.

Baczenie przyglądał się twarzy Stępień.

– Ach, wie pan, jak to z nastolatkami. Trudno im teraz coś narzucić... – Zamilkła, owijając róg obrusa wokół palca wskazującego.

– No tak – potwierdził Leopold i uśmiechnął się uprzejmie.

Kobieta odpowiedziała mu uśmiechem. Chyba poczuła się trochę pewniej.

– Amelka często nosiła to samo ubranie?

– A nie! – Pani Alicja się zapaliła. – Ciągle się przebierała, jak to nastolatka. Plecak to zawsze miała wypchany po brzegi, gdy do mnie przyjeżdżała.

– Więc jakie jest prawdopodobieństwo, że w dniu zaginięcia miała na sobie to samo ubranie, które nosiła w niedzielę?

– Nie wiem. – Stępień wzruszyła ramionami. – Co to w ogóle ma do rzeczy? – obruszyła się.

– Pewnie nic... – Bilski westchnął. – Spokojnie, to tylko rutynowe pytania. A proszę mi jeszcze powiedzieć, czy wnuczka zwierzała się pani, że ktoś jej się naprzykrzał? Miała jakichś wrogów? Ktoś ją niepokoił? Czy umiałaby pani wskazać kogoś, kto mógłby ewentualnie ją porwać?

– Porwać? Gdzie tam! Nikt jej nie porwał! Wykluczone. Gdzieś uciekła i zaraz się znajdzie. Głupoty jej do głowy ostatnio przychodziły.

Wymyśliła coś sobie, ale... – Kobieta znów oblała się rumieńcem. – To znaczy, lubiana była i tyle, i...

– Coś sobie wymyśliła? – przerwał Bilski. W głowie zapaliła mu się lampka alarmowa. – A mianowicie?

– Nie, nic. Tak tylko mi się powiedziało. Amelka ma bujną wyobraźnię i czasami coś jej się wydawało...

– Na przykład? – naciskał prokurator.

– Że jej źle na świecie, że nic nie ma sensu, wie pan, takie tam myśli, jakie czasami każdy z nas ma, nic wielkiego.

– Czy podawała jakieś szczegóły? Mówiła, dlaczego tak się czuje?

– Nie, nic konkretnego.

– Czyli uważa pani, że uciekła?

– Tak, zaczęła się buntować i uciekła. Plakaty nawet rozwiesiłam na mieście, może ktoś widział, dokąd poszła.

– Tutaj? Przecież mówiła pani, że Amelia wróciła do Sopotu w niedzielę – zastanowił się Bilski.

– Robię, co mogę! – Pani Alicja wyraźnie się zdenerwowała.

– Czy w domu działa jej się krzywda?

– Nie! No co pan?! My wszyscy Amelkę bardzo kochamy!

– Czy kiedykolwiek słyszała pani, by rodzice Amelki ją uderzyli?

– W życiu! No nie podoba mi się...

– A pani? Czy kiedykolwiek uderzyła pani Amelkę? – Leopold wszedł jej w słowo.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Zza ściany doszedł ich tubalny krzyk mężczyzny i po chwili płacz dziecka.

Alicja Stępień się rozplakała. Niczego więcej Bilski z niej nie wyciągnął.

17

Anna Górka zanurzyła się w strumieniu zimnej wody. Przymknęła oczy. Woda przyjemnie obmywała jej twarz, chłodziła szyję, masowała ramiona. Na szczęście w otwartej łaźni nikogo nie było. Zupełnie nie rozumiała koncepcji instalowania rzędu niczym nieodgrodzonych pryszniców, pozwalających na legalną obserwację innych nagich ciał. Czy to miało być jakieś nawiązanie do czasów plemiennych, gdy ludzie, nie bacząc na wstyd, myli się wspólnie w rzekach lub jeziorach, golusieńczy jak ich Pan Bóg stworzył? A może do starorzymskich Bachanaliów – hulaszczej zabawy kończącej się dzikimi orgiami? Co z tego, że prysznic

były przeznaczone dla samych kobiet? Konieczność oglądania gołych namydlonych tyłków uważała za grube przegięcie, a łaźnie bez osobnych kabin za raj dla ekshibicjonistów i podglądaczy. Doskonale zdawała sobie sprawę, że istnieją ludzie pragnący być obserwowanymi, jak i ludzie potrafiący rozładowywać napięcie seksualne jedynie podczas obserwowania. W takich publicznych łaźniach zawsze na myśl przychodziło jej *120 dni Sodomy* markiza de Sade'a. W jednej z opisanych w tej książce historii bohater płacił, by patrzeć przez dziurę w ścianie na kopulującą parę, podczas gdy zabawiający się na jego oczach z kobietą mężczyzna doznawał ekstazy, wiedząc, że ktoś go obserwuje. Idealna transakcja wiązana. Błyskotliwy pomysł na zabicie fortuny.

Asesor ponownie rozejrzała się wokół. Woda nagle przestała być przyjemna. Zrobiło jej się nieswojo. A jeśli ją też ktoś teraz podpatruje? Skąd mogła mieć pewność, że właściciel siłowni nie zainstalował gdzieś ukrytej kamerki do podglądania nieświadomych niczego dziewczyn? A może pozwala też patrzeć innym? Szybko zakręciła kurek i owinęła się ręcznikiem.

W sobotnie poranki zawsze chodziła na basen znajdujący się w sopockim hotelu Marina, lecz w związku z remontem dziś wybrała zatłoczony aquapark. Choć nic tak nie rozładowywało u niej stresu, jak wysiłek fizyczny, to cel nie został osiągnięty. Anna nie zdołała zagłuszyć ćwiczeniami rozbrzmiewającego w jej głowie głosu matki Amelii Stępień, która wydzwaniała do niej co pięć minut, pytając, czy jest coś nowego w sprawie. Córki nie było już czwarty dzień i kobieta odchodziła od zmysłów. Dla wszystkich stawało się jasne, że dziewczynkę musiało spotkać coś strasznego. To nie mogła być zwykła ucieczka.

Przebrała się szybko i wsiadła do windy. Przywitała się z mężczyzną i z małym chłopcem jadącymi tak jak ona na parter.

– A ja mówię tym paniom, co ćwiczą aquaaerobik, czy widziały kiedyś orki albo walenie? Czy one są chude? – Mężczyzna roześmiał się głośno, a synek mu zawtórował. Anna przewróciła oczami.

Gdy tylko winda zatrzymała się na parterze, popędziła do auta i oddzwoniła do Bilskiego. Rozmawiając, ruszyła w stronę sopockiej komendy. Już z daleka dostrzegła stojących przed budynkiem Pajaka i Kite. Trudno było ich nie rozpoznać. Kita w czarnym T-shircie z nazwą jakiejś nieznanej jej grupy rockowej i niemal dwumetrowy Pajak byli wyraziści jak makijaże lasek z gdańskiej Oruni.

Górska dotknęła czerwonej słuchawki na cyfrowym wyświetlaczu w samochodzie. Bilski nie ustalił nic szczególnego. Babcia potwierdziła

wersję wydarzeń sprzed dwóch dni, choć jak stwierdził prokurator, „coś tam śmierdziało”.

– Jakbym miał strzelać, dziewczynka faktycznie dała nogę w związku z jakimiś wydarzeniami w rodzinie – stwierdził Leopold i poradził, by wypytać sąsiadów Stępników, czy nie widzieli lub nie słyszeli czegoś budzącego niepokój.

Anna podeszła do funkcjonariuszy. Nie widzieli się od kilku miesięcy. Miała ochotę ich uściskać, lecz zamiast tego formalnie podała im rękę i spytała:

– Jakie wieści?

– Żadna z koleżanek nie widziała Amelki od dłuższego czasu. Z nikim nie umawiała się też do kościoła. Ten pomysł wzbudził raczej ogólne rozbawienie, że tak to ujmę. – Pająk zdusił papierosa w popielniczce na długiej nodze, stojącej pod ścianą, i kontynuował: – Z tego co udało mi się ustalić, Amelka do świętych nie należała. Zdarzało jej się walnąć ze znajomymi wino owocowe produkcji krajowej. Lubiła też zaciągnąć się bagiennym zieleń, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Cały ten kościół to była raczej jakaś ściema dla ubogich – podjął Kita i mocniej ściągnął włosy zebrane w kucyk.

– Ustaliliście jakieś miejscówki, w których można jej poszukać?

– Flaty koleżanek raczej odpadają. Rozmawialiśmy z ich rodzicami i nikogo nie nocowali. Rozpytaliśmy w kawiarniach, pokazaliśmy zdjęcie; nikt jej nie widział. Wrzuciliśmy informację do sieci, może ktoś łaskawy się odezwie. Póki co żadnych śladów – stwierdził Pająk

– Squaty?

– Gdański przy Jana z Kolna zlikwidowany. Coś wróbelki ćwierkały o komunie na Wyścigach – kontynuował Pągowski.

– Gdzie?

– Przy Polnej, koło hipodromu. Sprawdzaliśmy jakiś czas temu, ale była cisza.

– Trzeba przeprowadzić wywiad środowiskowy. Bilski twierdzi, że rodzina Amelki coś nie halo.

Kita uniósł brwi, Pająk natomiast uśmiechnął się do niej szeroko.

– Czyli znowu serduszka, motylki i amorki? – Ostentacyjnie wystawił kciuki w górę.

– Nic z tych rzeczy – zachnęła się Ania. – Historia zamknięta. Leo pracuje w Kartuzach, więc miał najbliżej do babci.

– Okej, okej. – Pająk podniósł ręce w geście kapitulacji. – Ale wiesz, Kupidyna nie oszukasz.

Górska zignorowała zaczepkę i zarządziła:

– Dobra, chłopaki. Ja podjadę na Polną, żeby stary potem nie wymyślał, że działacie bez podkładki. Sprawdźcie mi tylko Stępniów. Opieka społeczna, interwencje, pobyty na izbie wytrzeźwień i tak dalej. Wszystko, co mogłoby świadczyć o trudnej sytuacji rodzinnej. Przecież nastolatki tak po prostu nie wyfruwają z domu. Zawsze jest jakiś powód.

– Zrobi się. – Pająk zasalutował. – No i Aniu, muszę powiedzieć, że sexy ci w roli szefa. – Teatralnie zatrzepotał rękami.

Anna Górska popukała się w czoło i wsiadła do bordowej mazdy CX5, którą sprawiła sobie na raty, gdy tylko dostała etat. Odpaliła silnik, a z głośnika ryknął Krzysztof „Sado” Sadowski z sopockiego punkrockowego zespołu Vulgar.

– *Six, six, six. Seven, seven, seven. I don't wanna go to heaven* – zanuciła i wcisnąwszy gaz do dechy, ruszyła w stronę sopockiego hipodromu.

18

Samochód utknął w monstrualnym korku. Na torze wyścigów konnych, wybudowanym w południowo-wschodniej dzielnicy Sopotu – Karlikowie, odbywała się międzynarodowa wystawa psów rasowych. Wielbiciele czworonogów tłumnie kierowali się ku wejściu na teren hipodromu, wykorzystując wszelkie dostępne środki lokomocji. Pomędzy stojącymi w rzędzie autami czekającymi na możliwość wjazdu na parking przeciskali się ludzie na rowerach, motocyklach i hulajnogach. Górska nieświadomie wbiła się w ten cyrk i nie miała już możliwości odwrotu. Odstała więc swoje, poruszając się w najlepszych momentach pięć na godzinę.

W końcu udało jej się skrócić w przeciwną stronę, niż zmierzał tłum, i zaparkować w cieniu pod rozłożystym drzewem tuż obok Sopockiego Rynku – największego targu warzywnego w mieście. Dalej postanowiła pójść pieszo. Minęła budynek Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej i zagłębiła się w graniczącą z tą uczelnią dzielnicę willową. Panował tu zaskakujący – jak na miejsce położone tuż obok turystycznego centrum Trójmiasta – spokój. Wiekowe drzewa, iglaste krzewy, żywopłoty i malwy rosły dumnie wzdłuż ogrodzeń. Słońce paliło skórę. Anna poczuła się błogo, niemal zapominając, po co tu jest.

W końcu zatrzymała się pod wskazanym przez Pajaka i Kitę numerem. Piętrowy dom wyglądał niepozornie. Fasada budynku była

nieotynkowana, a w częściowo zasłoniętych roletami frontowych oknach wisiały zakurzone zazdrostki. Nic jednak nie wskazywało na to, by ktoś tu nielegalnie pomieszkiwał. Ania otworzyła obrośniętą bluszczem furtkę i już miała zapukać do drzwi, gdy te się otworzyły. Dziewczyna o kasztanowych włosach, które prosiły się o kapkę szamponu, niemal się z nią zderzyła. Spojrzała na Anię zdezorientowana, ewidentnie starając się zebrać myśli. Górską wyciągnęła legitymację. Dziewczyna popatrzyła na dokument ze strachem. Zamarła.

– Spokojnie – rzekła Ania. – Poznajesz tę dziewczynę? – Wyciągnęła zdjęcie zaginionej.

Trzynastolatka wyglądała na nim niepozornie. Długie jasne włosy, niebieskie oczy, nieśmiały uśmiech. Jedynym znakiem szczególnym była cienka blizna na policzku. Ewelina Stępień zeznała, że powstała wskutek upadku, gdy córka miała trzy lata. Amelia przewróciła się podobno na leżące na podwórku szkło.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Ja nic nie wiem – powiedziała cicho.

– Jak ci na imię?

– Kasia.

– Słuchaj, Kasiu, ta dziewczynka trzy dni temu wyszła z domu i nie wróciła. Może być w niebezpieczeństwie, rozumiesz?

Kasia kiwnęła głową.

– Pomożesz mi? Obiecuję, że nie będziesz miała kłopotów.

Dziewczyna znów przytaknęła i popchnęła uchylone drzwi.

W środku panował półmrok. Pod sandałkiem Ani coś zazgrzytało. Spojrzała w dół. Krzywa podłoga z gołego betonu pokryta była grudkami zbrylonego cementu i odłamkami szkła. Pod ścianą Ania ujrzała rząd sfatygowanych materacy, na których spało kilkoro nastolatków pozawijanych w pamiętające lepsze czasy koce. Na środku pomieszczenia przy podniszczonym okrągłym stoliku siedziało dwóch chłopaków i dwie dziewczyny. Starszy z nich, długowłose chudzielec, przygotowywał jointa. Na widok kobiety zamarł z bibułą w ręku.

– Filip, bo pani szuka takiej jednej – zaczęła cicho dziewczyna, która wprowadziła Anię do środka.

Górska wyciągnęła zdjęcie w stronę siedzących. Cała czwórka wlepiła w nie oczy, a po chwili obie dziewczyny i młodszy z chłopaków spojrzeli wyczekująco na Filipa.

Ten powoli podniósł się z krzesła i wziął od niej zdjęcie.

– Zaginęła? – spytał.

Głos miał chrapliwy i donośny. Zupełnie nie pasował do tego chudego hipisa.

– Trzy dni temu. Ma trzynaście lat. Wszyscy bardzo się o nią martwią. Filip podrapał się w głowę i odparł:

– Nie widziałem.

– Jesteś pewien? – naciskała Ania. – Bo jeśli to porwanie, a nie zwykła ucieczka, powiedzmy do jakiegoś zapyziałego trolowiska, będziemy musieli zrobić grubo kipisz. A wiesz, co to znaczy?

– Nie. – Chłopak wyglądał na rozbawionego.

Górska była przekonana, że jest nieźle upalony. Przekrwione żółte oczy ledwo mrugały w unoszącym się w powietrzu dymie.

– Znaczy to tyle, że niedługo wjadą tu śledzie i rozniosą ten syf.

– Śledzie? – zasepił się Filip. Miał tępy wyraz twarzy.

Ania pomyślała, że jeszcze kilka lat takiego życia, a z jego mózgu zostanie papka.

– Policjanci śledczy – wyjaśniła z westchnieniem. – I zlikwidują to wasze słodkie gniazdko. A was wyślą do mamy i taty, choć pewnie wcześniej wylądujecie jeszcze w izbie lordów, by trochę wytrzeźwieć.

Na przyszczatej twarzy chłopaka pojawił się grymas zdradzający, że stara się zebrać myśli. Przebiegł wzrokiem po wszystkich w pokoju i zatrzymał się na ciemnowłosym nastolatku, który obudził się chwilę wcześniej i siedział teraz cicho pod ścianą, przysłuchując się rozmowie.

– Janek, ty nie nawijałeś ostatnio o dziewczynie z blizną na policzku? Że na plaży siedzieliście?

Asesor podeszła do materaca i podetknęła zdjęcie tuż przed oczy chłopaka. Ten mu się przyjrzał i pokiwał głową:

– Nieźła pojebuska. Widziałem ją jakieś dwa tygodnie temu wieczorem na plaży. Ze znajomymi paliliśmy ognisko i się do nas przysiadła. Była nieźle zrobiona. W pewnym momencie wyjęła z plecaka nóż. Taki kuchenny. Chwilę trzymała go w dłoni i w końcu walnęła: „Nie mogę się doczekać, kiedy w końcu wbiję go w jego gardło”.

Zapadła cisza. Po chwili Filip wybuchnął śmiechem. Niemal natychmiast zawtórowały mu pozostałe dzieciaki.

19

Uchyliła powieki i zdezorientowana rozejrzała się wokół.

„Nie, nie. Tylko nie to. Boże, spraw, żeby to miejsce zniknęło”.

Ale miejsce nie zniknęło. Z chwili na chwilę stawało się coraz bardziej realne. Zimne, ciemne, przytłaczające. Od jak dawna tu była? Nie potrafiła tego określić. Odkąd mężczyzna ją tu zamknął, czas się rozlał jak klejąca maść, przestał biec w dotąd jej znanych jednostkach.

Chciało jej się pić. Chciała przełknąć ślinę, ale przętyk był suchy. Zesztywniały język dotykał czegoś twardego, co wypełniało jej usta. Nie miała jak się tego pozbyć, bo ręce skrępowano jej z tyłu sznurem. Zerwała się z materaca, ale poczuła zawroty głowy, więc znowu usiadła. Łańcuch przymocowany do jej kostki lekko zabrzączał.

„To dlatego, że krzyczałam – pomyślała Amelia. – Ukarzał mnie za mój krzyk”.

Łzy potoczyły się po jej twarzy. Nigdy nie bała się bardziej niż teraz. Nawet wtedy, gdy spotykało ją Tamto. Nawet wtedy, gdy chciała wbić nóż w ciało żywego człowieka. Nigdy, przenigdy nie bała się tak jak teraz.

Czy kiedykolwiek zobaczy jeszcze mamę i tatę? Czy zjedzą wspólnie kolację, obejrzą głupi film, pójdą na wieczorny spacer promenadą? Czy zanurzą stopy w ciepłym piasku, położą się na wznak i wsłuchają w szum morza? Oddałyby wszystko, by znaleźć się z nimi na plaży. By mama powiedziała: „Zamknij oczy i odpocznij. Po prostu. Czy nie miło?”. Mama zawsze uśmiechała się wtedy w ten swój specyficzny sposób. Jakby odkryła jakąś tajemnicę, jakby wiedziała coś, czego córka nie potrafiła zrozumieć. Amelię irytował ten uśmiech. Bo co niezwykłego było w leżeniu plackiem na plaży? W dodatku z rodzicami? Nudy. Totalne nudy i obciach. Jeszcze ktoś by ją zobaczył.

Teraz jednak oddałyby wszystko, by zobaczyć maminy uśmiech. By mama zbliżyła do niej swą twarz, pocałowała w czoło, utuliła. By pozostawiła po sobie w jej sypialni nutkę balsamu i kremu do twarzy na zmarszczki, który tak bardzo lubiła.

Dziewczynka zacisnęła oczy. Poczuła palącą tęsknotę. Gdy wróci do domu, wszystko będzie inaczej. Odkurzy bez szemrania mieszkanie, gdy rodzice o to poproszą. Będzie się częściej do nich uśmiechać. Jeśli w najmniej niespodziewanym momencie usłyszy „kocham cię” padające z ich ust, odpowie tym samym, nawet jeśli będzie uważać, że to nie czas i miejsce na takie wyznania. Zawsze będzie ich słuchać. I najważniejsza sprawa – będzie im wszystko mówić. Nawet jeśli mieliby na nią nakrzyczeć albo dać jej karę. Nawet jeśli mieliby jej nie uwierzyć. Zawsze będzie z nimi szczerą. Już nigdy ich nie okłamie.

Otworzyła oczy. Nadal była w piwnicy. Nic się nie zmieniło. Jej postanowienia nie odwróciły czasu, nie zabrały jej z powrotem do domu.

Łzy kapały jej na bluzkę. Nie mogła ich powstrzymać. Nos zupełnie się zapchał i zaczęło brakować jej tchu. Ogarniała ją coraz większa panika. Zebrała siły, by wstać. Pochyliła się do przodu.

„Oddychaj – nakazała sobie. – Oddychaj”.

Wdech, wydech. Wdech, wydech.

Ciało zaczęło się uspokajać.

Może, jeśli będzie współpracować, nic złego jej się nie stanie? Może mężczyzna chciał od niej czegoś konkretnego, a gdy to dostanie, to ją wypuści? Może wystarczy trochę pokory? Babcia zawsze powtarzała, że miała jej w sobie za mało.

Osunęła się po ścianie na materac, starała się głęboko oddychać przez nos. Powietrze z trudem przedostawało się do płuc.

Gdy usłyszała szcęk zasuwki, serce zaczęło walić jej jak szalone, lecz siedziała spokojnie. Drzwi otworzyły się i w progu stanął mężczyzna. Maskarada starca, kaptur na nogach. Czy go znała? Czy był to ktoś zupełnie obcy? Nie potrafiła stwierdzić.

Mężczyzna stał bez ruchu. Również jej się przyglądał. W końcu ruszył przed siebie. Szu, szu, zaszurały kaptur. W ręku trzymał emaliowaną miskę. Gdy postawił ją obok materaca, na podłogę wychlapała się odrobina wody. Dziewczynka znów poczuła straszne pragnienie.

„Pokora” – pomyślała, gdy mężczyzna zbliżał się do materaca. Nawet nie drgnęła, gdy wyjął jej knebel z ust. Znów stanął przy materacu i ruchem głowy wskazał miskę. Zrozumiała. Na kolanach podpełzła do miski, nachyliła głowę i zaczęła pić.

20

„Mam cię, zjem cię”.

Julia Sarman otworzyła oczy. Serce waliło jej jak oszalałe. Ten sen prześladował ją od dzieciństwa. W sumie trudno było to nazwać snem. W ciemności rozlegał się głos. Wyraźny, niczym niezakłócony, złowrogi. Ktoś zły szeptał jej do ucha.

„Mam cię, zjem cię”.

Zawsze wtedy się budziła.

Zerknęła na zegarek w komórcie. Dochodziła osiemnasta. Musiała się zdrzemnąć nad książką. Była przykryta kocem. Piotruś siedział na dywanie przed telewizorem i oglądał bajkę.

– Ile spałam? – spytała zdezorientowana.

– Jakieś dwadzieścia minut – odparł chłopczyk, nie odrywając wzroku od kreskówki.

– Dzięki za kocyk. – Choć Julia obudziła się spocona, to jednak doceniła gest.

– *You welcome* – odpowiedział synek. Odwrócił w jej stronę głowę i puścił oczko. – Pójdziemy na to ognisko?

Zupełnie wyleciało jej z głowy. Pani Elżbieta z Trulôcza zaprosiła ich dwa dni temu. „Wpadnijcie, kochani. Poznacie sąsiadów. Wszyscy są bardzo podekscytowani, że zamieszkała obok nich sławna pisarka”. Piotruś był w siódmym niebie. Uwielbiał ogniska.

– Oczywiście, skarbie. – Julia też puściła do niego oczko, tak jak on robiąc przy tym śmieszny minę.

Szczerze mówiąc, nie uśmiechało jej się poznawanie podekscytowanych jej obecnością sąsiadów. Wiedziała, co to znaczy. Że przez cały wieczór wszyscy będą jej się przyglądać.

Westchnęła.

Trudno, grunt, że mały się cieszył. Nie było nic ważniejszego. Szczególnie po tym, co ostatnio przeszedł...

W drodze na ognisko Piotruś trzymał ją za rękę i wesoło podskakiwał. Upał zelżał. Julia tłumaczyła chłopcu ideę dożynek – które miały się odbyć nazajutrz w niedzielę. Zatrzymali się przed gablotą z ogłoszeniami, w której zawieszono promocyjny plakat. Kobieta i mężczyzna w kaszubskich strojach ludowych trzymali przed sobą wieniec spleciony z kłosów zboża.

– Widzisz kolory na sukience tej pani? Jest ich siedem, tyle samo co w tęczy. Kolor chabrowy to piękne kaszubskie jeziora, niebieski jest jak niebo nad Kaszubami, granatowy oddaje głębię morza, żółty – łany zbóż na polach, a zielony – lasy. Czerwony symbolizuje krew, której Kaszub nie waha się przelać za ojczyznę, natomiast czarny jest jak kaszubska ziemia.

Piotruś wyciągnął paluszek i na głos policzył kolory.

– A ta dziewczynka? – zapytał.

Obok plakatu przyczepiono kartkę z czarno-białym zdjęciem. Nad nim widniało napisane drukowanymi literami słowo: ZAGINIONA!

– Amelia Stępień. Lat: trzynaście. Wzrost: metr pięćdziesiąt pięć. Włosy: długie ciemny blond. Wyszła z domu: środa 27 sierpnia 2014 – odczytał Piotruś. – Co to znaczy „zaginiona”?

– To znaczy, że dziewczynka się zgubiła. I teraz rodzice bardzo się martwią i próbują ją znaleźć.

- A czemu się zgubiła? – drążył chłopczyk.
- Nie wiem, skarbie. Może była nieuważna i pomyliła drogę do domu?
- Ojej. – Piotruś się zasmucił. – Ale ma głupio.
- No, głupio ma – potwierdziła Julia.
- I nie ma GPS-u?
- Wiesz, nie zawsze ludzie mają GPS.
- To jak sobie teraz poradzi?
- Nie wiem, synku. Musi czekać, aż zostanie odnaleziona. Na pewno szuka jej już cała brygada policjantów i zaraz trafią na jej trop, nic się nie martw. No dobra, chodź, bo nam zjedzą całą kiełbasę!
- O nie! – krzyknął Piotruś i czym prędzej pobiegł przed siebie.

21

Pani Elżbieta Pakosz przysiadła się do Julii.

- Rozkoszny ten pani synek.

Zdążyło zrobić się ciemno. Twarze siedzących wokół ludzi rozświetlał blask ognia. Tak jak przypuszczała, wszyscy nadstawiali uszu, by nie uronić ani jednego słowa padającego z jej ust.

- Tak – przytaknęła pisarka i z zadowoleniem spojrzała na chłopca.

Ten, pohukując, biegał z gromadką rówieśników po ogrodzie.

– Dzieci to największy skarb – stwierdziła właścicielka Trulôcza. – Mój już dorosły, a wydaje się, że dopiero co go urodziłam. Trzydzieści sześć godzin! Tyle to trwało. Ledwo ducha nie wyzionęłam. Matko! – westchnęła.

– Mój przeciskał się na świat cztery godziny, ale i tak wydawało mi się, że to trwa w nieskończoność. Ale było warto pocierpieć. To najukochańszy chłopczyk pod słońcem. – Julia z czułością patrzyła na bawiącego się synka. – Wie pani, że urodził się w czepku? Kiedy wcześniej słyszałam, że ktoś urodził się w czepku, to wyobrażałam sobie taką świetlistą czapkę. – Julia się zaśmiała. – Okazało się jednak, że worek owodniowy oblepia całe ciało dziecka. Piotruś wyglądał jak potworek z filmów science fiction. Przeraziło mnie to. Trochę trwało, zanim go wydobyli z błony i mogłam zobaczyć moje piękne dzieciątko w pełnej krasie. W sumie jak się teraz nad tym zastanawiam, to niesamowicie było zobaczyć malca dokładnie w takiej postaci, w jakiej przez dziewięć miesięcy siedział u mnie w brzuchu.

W tej chwili ktoś podniósł się raptownie. Poleciała potrącona miska z sałatką. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Pani Elżbieta pobiegła ratować sytuację.

Julia zapatrzyła się w ogień, kątem oka zerkając na bawiącego się z innymi dziećmi Piotrusia. Nagle jej wzrok padł na mężczyznę stojącego po przeciwnej stronie ogniska. Ten przez chwilę spoglądał na nią badawczo, po czym uśmiechnął się szeroko i podniósł rękę w geście pozdrowienia. Julia kurtuazyjnie odmachnęła, co nieznajomy musiał odczytać jako zaproszenie do rozmowy, bo wstał i skierował się w jej stronę.

– Cześć! Pamiętasz mnie? – zapytał, przystanawszy obok niej.

Sarman niepewnie zerknęła na gościa.

O kurcze! To był ten malarz, którego obserwowała z ulicy. Opadające na czoło włosy, identyczna sylwetka. O matko, czyli jednak ją zauważył! Widział, jak stoi przed jego domem i podgląda jego prywatne sprawy. Julii momentalnie zrobiło się strasznie głupio.

– Przepraszam... – zaczęła, lecz malarz przerwał jej w pół słowa.

– Wiedziałem, że nie poznasz. No, trochę się zmieniłem. – Roześmiał się.

Julia nie miała zielonego pojęcia, kim jest ten facet.

– Jabłko? – odpowiedział mężczyzna i wyciągając do niej otwartą dłoń, z emfazą wyrecytował: – Weź to jabłko. To nie jest zwykłe jabłko. To symbol mojej energii. To jabłko jest teraz twoje.

– Patryk Deczer? – spytała zaskoczona.

Patryk, którego pamiętała, miał włosy do pasa i był o połowę chudszy. Nie wspominając już o tym, że miał ułamaną jędynkę, co nie stanowiło jednak problemu dla tłumu fanek, które chodziły za nim jak za guru. Nigdy nie mogła tego zrozumieć. Ona widziała w nim same niedoskonałości.

– Faktycznie trochę się zmieniłeś. – Uśmiechnęła się uprzejmie.

– A ty w ogóle! Wszędzie poznałbym tę twarz! Nie dałem się oszukać, Ju-li-ta. – Ostatnie zdanie wypowiedział niemal szeptem, wyraźnie akcentując sylaby imienia.

Bez pytania usiadł obok niej, tak blisko, że ich ciała niemal się stykały. Julia dyskretnie się odsunęła.

Prokurator Leopold Bilski obudził się w trochę lepszym nastroju niż poprzedniego dnia. Głowa nie pulsowała już boleśnie przy każdym ruchu. Zaleczony wczoraj kilkoma popołudniowymi piwami kac powoli odchodził w zapomnienie.

Zrobił sobie jajecznicę na maśle z pięciu jaj i zjadł ją z porządną pajdą chleba. Wypił obowiązkowe poranne espresso i mógł się zbierać. Była niedziela, więc mógł się wybrać tylko w jedno miejsce – do kościoła.

Saab stojący przed blokiem znów spojrzął na niego tęsknie. Leopold zacisnął szczęki. „Nie będę się dzisiaj w to bawić” – postanowił. Czekąco go zadanie. Dziewczynka nadal się nie znalazła. Od zaginięcia mijały cztery dni i sprawa stawała się paląca. Co z tego, że Amelce zdarzało się już wcześniej odpalić wrotki? Trzynastolatki nie znikają z domów tak po prostu. Normalne dziewczynki marzą o romansie z wampirem albo studiowaniu w Hogwarcie, ale nie uciekają z tych powodów od mamy i taty. Chyba że tata ma śliskie myśli, a mama zdaje się tego nie zauważać. Albo tata ma ciężką rękę, która czasem przez przypadek omsknie mu się na córcię. Albo rodzice chleją na umór i bywa, że zapominają o zrobieniu dziecku kolacji. Tego typu akcje.

By dowiedzieć się, gdzie jest poszukiwana, najpierw należało ustalić, co mogło ją skłonić do ucieczki. Jeśli to była ucieczka.

Leopold miał nadzieję dzisiaj to ustalić. W końcu ksiądz jako najbardziej zaufany powiernik zaleknionych dusz powinien co nieco orientować się w sytuacji.

Dopiero wkraczając na rynek, prokurator zorientował się, że wybrał się nie w porę. Zegar na kościelnej wieży wskazywał kwadrans po dwunastej, co znaczyło, że niedzielna msza dopiero się rozkręcała. Że też o tym nie pomyślał! No cóż, trochę go usprawiedliwiało to, że religijne obrzędy zarzucił już dawno temu.

Usiadł na ławce i zapalił papierosa. Słońce świeciło mu prosto w twarz, a w promieniu kilkudziesięciu metrów Bilski nie zauważył nawet skrawka cienia, by schronić się przed skwarem. Popatrzył wokół. Kartuski rynek był jednym z najbrzydszych przykościelnych placów, jakie widział w życiu. Bruk o nieokreślonym kolorze płynnie przechodził w zniszczoną i popękaną jezdnię. Kwiaty w drewnianych donicach rozstawionych tu i ówdzie bez dającego się zauważyć zamysłu wyblakły lub uschły. Kamienice, które z czterech stron otaczały rynek, oszpecono pstrokatymi sztyldami. Jedyne obiekty przyciągające wzrok stanowił neogotycki kościół, przed którym o dziwo można było swobodnie parkować. Samochody

otaczały świątynię tak ściśle, że Bilski zastanawiał się, jak wiernym udało się przecisnąć między nimi do wejścia.

Z minuty na minutę plac wypełniał się ludźmi. Leopolda frustrowało, że po dwóch raptem tygodniach mieszkania w tym bądź co bądź niemal piętnastotysięcznym mieście zaczynał powoli kojarzyć twarze. Tęga kobieta z dwójką dzieci tak jak on stołowała się w Trulôczu. Faceta w pasiastej podkoszulce widział na pomoście łowiącego ryby. Mężczyzna poruszający się o lasce stał kilka dni temu na korytarzu prokuratury. Jego towarzysząca, córka, jak przypuszczał, dreptała za nim krok w krok. No i koleś z łaciatym pitbullem ubranym w czapkę bejsbolową. Ich nie dało się z nikim pomylić. Zazwyczaj wozili się czarnym jeepem cabrio. Teraz siedzieli na jednej z ławek i Bilski był pewien, że chłopak poi psa piwem – końcówka butelki wystawała z papierowej torebki.

Nieopodal mężczyźni w roboczych drelach wnosili na prowizoryczną scenę ogromne głośniki i Leopold zorientował się, że szykuje się jakaś impreza. Wieńce ze zboża przewiązane granatowymi kokardami, które ustawiono po obu stronach konstrukcji, nie pozostawiały cienia wątpliwości, że chodzi o dożynki. Faktycznie, od kiedy tu przyjechał, wszyscy szykowali się na ten festyn, jakby wybierali się co najmniej na Open'era. Słyszał nawet, jak Czerniak, Dobosz i Wiśniewski umawiali się na konkurs rzutu beretem i wyścigi w potrójnych spodniach. Początkowo myślał, że prokuratorzy posługują się jakąś kartuską grypszą, ale nie. Chodziło o udział w turnieju sołectw w parku Solidarności.

Drzwi kościoła wreszcie się otworzyły i z budynku wartkim strumieniem zaczął się wylewać tłum. Zrobiło się gwarno. Wtem tuż przed Bilskim kobieta w sukni flamenco oraz mężczyzna w czarnej dopasowanej koszuli i garniturowych spodniach zaczęli tańczyć, a po chwili niemal wszyscy ludzie na placu płąsali w parach jak rodowici Latynosi. Leopoldowi zabrakło chwili, nim połapał się, że to flash mob, nie mógł jednak zrozumieć, co ma tango do kaszubskich dożynek. Ale może ten taniec odbywał się z zupełnie innego powodu? Albo happening zorganizowali przeciwnicy regionalnej tradycji? Bilskiemu, całe życie mieszkającemu w Trójmieście, trudno było pojąć prawa małomiasteczkowej dzungli.

Gdy kościół opuścili ostatni wierni, Leopold wszedł do środka. Zdecydowanie miał dość i upału, i ludzkich mas.

Na klatce schodowej kamienicy unosił się znajomy zapach stęchlizny. Przywoływał wspomnienia licznych zabaw w chowanego, wypraw z mamą po sukienki z „ciuchów”, godzin przeczekanych na stopniu, gdy przestała chodzić do kościoła.

– Pani Sarman! – Blondynka w średnim wieku uśmiechnęła się szeroko, gdy przestąpiła próg mieszczącej się na pierwszym piętrze kancelarii. – Agentka uprzedzała, że pani przyjdzie. Zapraszam.

Sarman odwzajemniła uśmiech.

– Przepraszam, że tak w niedzielę, ale Matylda mówiła, że...

– Nie ma sprawy – powiedziała Katarzyna Kowalska, radca prawny. – Tak się składa, że w weekend przyjmuję najwięcej klientów. Zresztą w tygodniu prawie ciągle jestem w sądzie.

– Przyszłam z synkiem. – Pisarka wskazała na stojącego obok chłopca. – Czy to nie problem?

– Oczywiście, że nie! Zaraz poproszę Anetę, żeby dała mu ciasteczka i puścimy jakieś bajki, hmm? Co ty na to, młodzieńcze? – zapytała Piotrusia prawniczka, a ten uprzejmie skinął głową. – Anetko! – zawołała w głąb korytarza. – Zajmij się, proszę, synkiem pani Sarman!

Po chwili w drzwiach pojawiła się młoda sekretarka i zaprowadziła Piotrusia do sąsiedniego pokoju.

– A zatem – prawniczka wskazała Julii krzesło – chce pani założyć fundację?

– Tak – odpowiedziała Sarman. – Już od dłuższego czasu o tym myślałam, ale nigdy nie było czasu. Teraz... teraz przyszedł na to dobry moment.

– Wspaniale! – ucieszyła się Kowalska. – To ja już wszystko tłumaczę. Założenie fundacji może wydawać się dość skomplikowane, ale jak się ma do tego odpowiednich ludzi, to wszystko powinno pójść jak z płatka – powiedziała uspokajająco radca. – Zanim omówimy formalności, warto byłoby się zastanowić nad celem działania fundacji. Myślała pani o czymś konkretnym?

– Tak – przytaknęła Julia. – Chciałabym zbudować miejsce, które pomagałoby ludziom mierzyć się z traumami, przede wszystkim z utratą bliskich osób, generalnie z żałobą.

– Yhm, rozumiem, ciekawe. Zazwyczaj fundacje powoływane są, żeby wspierać chorych albo niepełnosprawnych – zauważyła prawniczka.

– Chciałabym też, aby poza tym fundacja wspierała osoby mierzące się z innymi negatywnymi doświadczeniami, generalnie z różnego rodzaju krzywdami – dodała Julia. – Myślałam o pomocy psychologicznej, indywidualnych i zbiorowych terapiach, grupach wsparcia, wskazywaniu ścieżek rozwoju.

– Oczywiście. Bez problemu można byłoby to połączyć. – Kowalska kiwnęła głową. – Jeśli chodzi o osoby prawne, to fundację może założyć zarówno taka, która ma siedzibę w Polsce, jak i taka, która rezyduje poza granicami naszego kraju. Ale siedziba fundacji powinna, choć nie musi, znajdować się na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej.

– Chciałabym, żeby siedziba fundacji mieściła się w Kartuzach. Agentka już umówiła mnie z pośrednikiem nieruchomości, który podobno znalazł odpowiedni lokal.

– Świetnie. Czyli przeprowadzka na stałe?

– Na to wygląda.

– Rozumiem, że z kapitałem też nie będzie problemu?

– Mąż zostawił mi spory spadek.

– A nazwa? – spytała prawniczka. – Ma już pani nazwę?

– Tak – odparła Julia. – Śmierci w twarz.

Katarzyna Kowalska uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Ciekawa nazwa. Tak. Myślę, że... jak by to najlepiej ująć... chwytna?

– Też mi się tak wydaje – odparła Sarman. – A więc zaczynamy od...?

– Od notariusza. Umówię panią na jutro rano. Czy tak będzie dobrze?

– Doskonale. – Sarman się rozpromieniła.

Z sąsiedniego pokoju doleciał śmiech Piotrusia. Bajka musiała mu się podobać.

24

Woń kadzidła ledwie dawała się wyczuć. Wnętrze kościoła było zaskakująco jasne dzięki wysokim ostrołukowym witrażom znajdującym się na trzech spośród czterech ścian kościoła. Część ołtarzowa, utrzymana w kolorze purpury, kontrastowała z bielą murów. Wystrój nawy dość surowy – ciężkie brązowe ławy, obrazy przedstawiające Drogę Krzyżową, drewniana więźba dachowa. Jedyne ozdobny element stanowił srebrny żyrandol zwieszający się nisko nad rozdzielającym wnętrze świątyni na pół przejściem.

Bilski stanął pośrodku budowli. Kościół, którego próg przekroczył po raz ostatni, był zupełnie inny. Mroczny, duszny, przytłaczający – przynajmniej tak Leo go zapamiętał. Choć mieszkał w Sopocie całe życie, od lat nie odważył się wejść do Świętego Boboli. Szerokim łukiem omijał też inne świątynie. Szczególnie zapamiętał drewnianą rzeźbę Chrystusa. W twarz wiszącego na krzyżu Jezusa wpatrywał się przez cały czas odmawiania Różańca. Modlitwa zdawała się nie mieć końca, a on śledził każdą rysę, przyglądał się kaleczącej czoło koronie cierniowej, studiował wyraz bólu wykrzywający oblicze umierającego pół człowieka, pół Boga. Nie odwracał od tej twarzy wzroku. Byle tylko nie patrzeć na trumnę. Byle nie widzieć nieruchomego ciała ojca spoczywającego na czarnym aksamicie. Leopold pamiętał, że matka się natrudziła, by ceremonia pogrzebowa nie miała świeckiego charakteru. Nie obchodziło jej, że milicjantom zobowiązanym do przestrzegania ateistycznych praktyk nie wolno było chodzić do kościoła.

Miał wtedy dwanaście lat. Nim zamknięto trumnę przed nabożeństwem, mama kazała mu do niej podejść, by się pożegnał. Strasznie się bał. Nie trupa czy śmierci, która zabrała mu tatę. Bał się, że gdy spojrzy martwemu ojcu w twarz, tak właśnie go zapamięta. Dlatego stojąc przy katafalku, wpatrywał się wyłącznie w złożone dłonie taty. Oglądał złotą obrączkę na serdecznym palcu, przycięte kwadratowo paznokcie, bruzdy i plamy. Ręce wydawały się nierealne, jakby zrobiono je z wosku. „To nie tata – powtarzał Leo. – To nie tata”. Wiedział, że ojciec jest już daleko. Tak było mu łatwiej.

– Szczęść Boże. – Starszy mężczyzna ubrany w liturgiczne szaty wyrósł przed Leopoldem nie wiadomo kiedy.

„Ksiądz Wojciech” – domyślił się prokurator i odpowiedział:

– Szczęść Boże. Ładny kościół.

– Ładny – przyznał ksiądz i z przyjemnością rozejrzał się wokół. – Dom Boży, to musi być ładnie. A pan nie z naszej parafii – stwierdził.

– Nie, nie. Ja nie stąd... tak jakby. To skomplikowane – przyznał Bilski, zły na siebie, że w ogóle zaczął w to brnąć.

– Wiele nas jeszcze czeka pracy – kontynuował proboszcz. – Widzi pan te organy? – Wskazał na chór. Nad drewnianą antresolą znajdował się spory instrument. – To dzieło kartuzian, Rudolfa Plenikowskiego i Józefa Adamczyka, z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Mają dziesięć głosów, pneumatyczne traktury gry i rejestrów. Niebawem będziemy je rozbudowywać. – Proboszcz uniósł głowę i z podziwem patrzył na stylizowaną konstrukcję.

– Lubi ksiądz muzykę? – zapytał Leopold.

– Ach, bardzo! – Proboszcz się zaśmiał. – To moja mała słabość, choć nie taka straszna, bo nic tak nie przybliży do Boga jak sztuka. A organy piszczałkowe to nieporównywalny z żadnym innym instrument! Biorąc pod uwagę ich rozmiar, liczbę źródeł fal dźwiękowych, sumaryczną moc emitowaną do otoczenia, dynamikę, złożoność konstrukcyjną, ale i różnorodność barwową, nic nie może się z nimi równać. Proszę sobie wyobrazić do tego śpiew chóru. Czy istnieje doskonalsze połączenie? – zachwycał się ksiądz.

– Duży macie zespół chórny? – Bilski skorzystał z okazji, by skierować rozmowę na interesujące go tory.

– Duży nie duży. Obecnie w chórze śpiewa czternaście osób.

– Czyli można powiedzieć, że wszystkich chórzystów ksiądz zna?

– A znam, znam – stwierdził proboszcz.

– A Amelię Stępień ksiądz kojarzy? – Leopold nadal patrzył na organy z obojętnym wyrazem twarzy.

– Przepraszam, a kim pan jest? – dopiero teraz zainteresował się wielebny. – Bo jeśli znowu z Iskry, to bardzo proszę opuścić...

– Leopold Bilski. Prokuratura Rejonowa – odpowiedział i wyciągnął przygotowaną wcześniej legitymację.

– Ach, przepraszam, myślałem, że pan z tego portalu.

– Zwiertzyli już temat. – Leopold pokiwał głową.

– Jaki temat? – Ksiądz wydawał się wzburzony.

– No zaginięcia dziewczynki. Amelii Stępień.

– Ach, to! Nie, nie. Nikt tu jeszcze o to nie pytał. Nieważne. Chodzi panu o Amelkę? Babcia zgłosiła już nam tę przykrą sprawę, tak. – Ksiądz się zasepił.

– Długo Amelka u was śpiewała?

– Nie, no niedługo. Drugie wakacje. Można powiedzieć, że gościła u nas tak jakby z doskoku. Ładna dziewczuszka. Głos solidny. Pani Alicji bardzo zależało, żeby wnuczka miała latem jakieś wartościowe zajęcia, a nie tylko przed komputerem siedziała. Wie pan, jakie teraz są dzieci. Nic, tylko te komórki, tablety, internety, z domu trudno je wygonić...

– Tak, tak – przerwał mu Bilski. – Dzieci dwudziestego pierwszego wieku, co zrobić? – Wzruszył ramionami. – A więc Amelia Stępień. Czy miał ksiądz z nią jakikolwiek kontakt od środy dwudziestego siódmego sierpnia?

– Od środy... – Ksiądz się zamyślił.

– Od dnia zaginięcia – sprecyzował Leopold.

– Ach, nie. Niestety. Ostatni raz widziałem Amelię chyba w zeszły piątek.

– W jakim była nastroju?

– W nastroju? Oj, to trzeba by organistę zapytać. Radosława Filipiaka. Bo ja w czasie prób zawsze wychodzę na posługi. Wie pan, do biednych rodzin, do hospicjum. Nie chcę tu przeszkadzać. W każdym razie nic nie wskazywało... Raczej grzeczna dziewczynka, układna. Problemów nigdy nie sprawiała. Aż dziw bierze, że tyle zmartwień rodzinie przysporzyła. No dziw.

– Jest ksiądz pewien, że to była ucieczka?

Duchowny spojrział na Bilskiego zdziwiony.

– A nie ucieczka? – spytał. – Pani Alicja wyraźnie powiedziała, że Amelia uciekła z domu. Bała się, czy Bóg jej wybaczy, że się przeciw rodzinie zbuntowała. Uspokoilem ją, że Bóg wybaczał większym grzesznikom.

– Czy wie ksiądz, czemu Amelia mogłaby się buntować przeciwko rodzinie?

– Nie mam pojęcia. To chyba taki wiek. Tak to już Bóg wymyślił. – Ksiądz Wojciech uśmiechnął się dobrotliwie. – Hormony buzują. Człowiek przez chwilę się gubi. Ech, kto z nas tego nie przeżył! No co pan tak patrzy? Ksiądz też człowiek, jak to się mówi. – Proboszcz lekko się zaśmiał. – Ale na szczęście potem wszystko wraca do normy. Jestem przekonany, że Amelia niebawem się odnajdzie. Będę się o to modlił. – Proboszcz mimochodem zaczął prowadzić Bilskiego do wyjścia. – W razie dalszych pytań jestem do dyspozycji. I niech pan szuka Filipiaka na Chmieleńskiej, niedaleko cmentarza. A teraz pan wybaczy. Muszę wracać do obowiązków.

Ksiądz Wojciech powoli oddalił się nawą i zniknął w drzwiach do zakrystii. Leopold wyszedł z kościoła i znalazł się na zalanym słońcem rynku. Poziom dożynkowego szaleństwa wyraźnie wzrósł. Kobiety w kaszubskich sukniach rozdawały kołaczki, jakiś przygodny zespół wesoło podśpiewywał w takt dźwięków wydobywanych przez podstarzałego muzykanta z akordeonu, zza rogu wychylna dziewczynka z wieńcem otwierająca barwny pochód mieszkańców. Bilski poczuł panikę wielkowiejskiego zwierzęcia. Wiedział, że musi uciekać.

– Wata cukrowa! – krzyknął Piotruś i pociągnął Julię za rękę.

Chłopiec biegał jak szalony pomiędzy stoiskami z popcornem, żelkami najróżniejszych kształtów i smaków, krówkami ciągutkami i innymi przysmakami. Był już na karuzeli, która w opinii Julii pozostawiała wiele do życzenia pod względem bezpieczeństwa, w domu strachów, na prawdziwym koniu, a nawet na plastikowym osiołku za złotówkę przeznaczonym dla dużo mniejszych dzieci. Wcześniej przyglądali się, jak dorośli ludzie, przeważnie mężczyźni, ścigają się w potrójnych spodniach, rzucają beretami w dal i doją sztuczną krowę. Piotruś chciał skorzystać ze wszystkich atrakcji festynu.

Julia powoli robiła się zmęczona. W powietrzu stał kurz, a hałas w parku Solidarności przekraczał poziom, który była w stanie znieść. Tymczasem na ustawionej specjalnie na tę okazję scenie zaczął koncert ściągnięty z Zamościa zespół disco polo Power Play – „prawdziwa gwiazda disco sfery” – jak głosiły promocyjne plakaty. „Jesteś dla mnie gwiazdą, która spadła z nieba” – zapodało trzech facetów w ciasnych białych dzinsach i kwiecistych kamizelkach energicznie machających w górę i w dół rękami. „Jesteś dla mnie śniegiem, który mnie ogrzewa” – odpowiedział tłum podskakujący w rytm gestów wykonywanych przez idoli.

Na szczęście Piotruś nie zainteresował się długo koncertem i już ciągnął ją za rękę ku następnym atrakcjom. Tym razem za punkt honoru uznał ustrzelenie wielkiej pluszowej papugi. Chłopiec przez pół godziny starał się w nią trafić, by wygrać dla mamy misia. Niestety lotki wylatujące z pistolecika ciągle lądowały tuż przed papugą. Jawne oszustwo. Julia już gotowała się w środku. Pryszczaty koleś obsługujący atrakcję musiał dostrzec wściekłość na jej twarzy, bo w końcu się zlitował i podał Piotrkowi pistolet większego kalibru. Lotka wbiła się w głowę papugi, a chłopiec zdobył breloczek. Na szczęście łup okazał się wystarczający, by mogli ruszyć dalej.

Przecisnęli się przez tłum i stanęli przed siłomierzem młotem. „Przetestuj swoją siłę!” – zachęcał szyld i faktycznie niejeden osiłek starał się zaprezentować swe nadludzkie moce. Przed migoczącym urządzeniem stał sznur mężczyzn najróżniejszej budowy, którzy cierpliwie czekali na swoją kolej. Oczywiście wynik nie zależał od siły uderzenia i im bardziej ktoś się starał, tym gorzej mu szło. Nie zniechęcało to jednak konkurentów. Każdy myślał, że to właśnie on odkryje technikę pozwalającą zdobyć najwięcej punktów. Piotruś z zainteresowaniem

śledził te zmagania, co chwila wybuchając śmiechem wraz z innymi widzami.

Julia rozpoznała go, gdy tylko podszedł do młota. Ten specyficzny chód, jakby z trudem odrywał nogi od ziemi. Pociągnęła Piotrusia za rękę, dając mu znak, by szli dalej. Synek jednak się zaparł i nie odrywał wzroku od siłomierza. Mężczyzna uderzył, osiągając całkiem niezły wynik. Zadowolony spojrzał na tłum. Powiódł po nim wzrokiem, napawając się chwilą tryumfu. Drgnął. To był lekki grymas, ale Julia od razu wiedziała, że ją dostrzegł. Złapała Piotrka za ramię i mocno pociągnęła. Tym razem chłopiec ustąpił i dał się poprowadzić w innym kierunku. Szedł przez chwilę z naburmuszoną miną, ale na widok kolejnej atrakcji rozpozgodził się.

– Strzelanie z łuku! – krzyknął i chciał podbiec do przodu, ale Julia przytrzymała go za rękę.

– Kochanie, jestem już trochę zmęczona i głodna. Co powiesz na naleśniki w Trulôczu i powrót do domu, hmm? – spytała łagodnie.

– Jeszcze tylko łuk! Proszę! – Piotruś zrobił błagalną minę podpatrzoną u kota ze *Shreka*. Wiedział, że Julia miękła za każdym razem, gdy ją stosował.

– Dobrze, ale to już ostatnia atrakcja i idziemy coś zjeść, tak?

– Tak! – wykrzyknął podekscytowany.

Julia obawiała się, że synek nie zaśnie dzisiaj od nadmiaru emocji.

Rozejrzała się wokół. Nigdzie nie dostrzegła mężczyzny z pooraną bliznami twarzą.

Piotruś zatrzymał na wyznaczonej farbą linii, a pracownik strzelnicy wręczył mu łuk. Następnie schylił się nad chłopcem i zaczął go instruować.

Julia stała wyprostowana jak struna. Jej ciało było spięte do granic możliwości. Chciała uciec stąd jak najszybciej.

Synek przymierzał się do kolejnej próby. Miał dziesięć strzałów. Szło mu coraz lepiej. Strzała nie tylko dolatywała do tarczy, ale także się w nią wbijała. Za piątym razem Piotruś trafił w ósemkę.

– Brawo! – krzyknęła Julia.

– Słyszałem, że jesteś w mieście, suko. – Głos, który usłyszała przy samym uchu, był niski i zachrypnięty.

Julia na chwilę zamarła. Mężczyzna stał tuż za nią. Poczowała na szyi jego oddech. Szybko zrobiła kilka kroków do przodu i stanęła przy instruktorsze. Piotruś oddawał dziewiąty strzał. Znów ósemka. Julia

machinalnie klasnęła w dłonie. Odwróciła głowę. Mężczyzna nie ruszył się z miejsca. Blizny na jego twarzy połyskiwały w słońcu.

Ostatnia wypuszczona przez Piotrusia strzała wbiła się niemal w sam środek tarczy. Julia podbiegła do chłopca i z uśmiechem potargała mu włosy.

– No dobra, zbieramy się! Szybciutko! Kto pierwszy do bramy wyjściowej?

– Pewnie, że ja! – krzyknął i ruszył biegiem.

Wyjście było na prawo od nich. Musieli tylko minąć kilka stoisk ze słodyczami i przejść skrajem płyty. Chłopiec biegł przodem, a Julia szła tuż za nim. Serce niemal wyrywało jej się z piersi. Odwróciła się, a porwana bliznami twarz mignęła jej w tłumie. Mężczyzna poruszał się w tym samym kierunku co oni. Piotruś mijał przechodniów zwinnym slalomem. Matka starała się dotrzymać mu kroku, lecz zostawała coraz bardziej z tyłu.

– Piotruś! – krzyknęła. – Poczekaj!

Nie spuszczała wzroku z jasnej czupryny. Muzyka stała się znów napastliwie głośna. „Wszystkie noce, wszystkie dni. Zawsze razem, zawsze my!” – skandował tłum. Ktoś na nią wpadł. Odkoczyła w bok. Straciła na chwilę z oczu głowę synka. Po chwili dostrzegła ją kilka metrów przed sobą. Brama była niedaleko. Jeszcze tylko kilka straganów. Facet z pacynką Myszki Miki zgromadził przed sobą niewielką widownię. Przed stojącym nieopodal food truckiem ustawiała się kolejka. Julii mignął w tłumie niebieski trampek synka sprawnym zygzakiem lawirującego wśród ludzi.

– Ej, maleńka, a gdzie ci tak spieszno? – Czerwony na twarzy facet zagroził jej drogę. Cuchnął alkoholem.

– Przepraszam. – Sarman chciała go wyminąć.

– Zaczekaj, kicia, dzień jeszcze młody.

Pisarka odkoczyła w bok i zaczęła przebijać się przez szpaler ludzi. W końcu tłum się przerzedził. Julia Sarman stanęła pod niemal pustą bramą do parku. Niespokojnie rozejrzała się wokół. Pobiegnęła w lewo, potem w prawo.

– Piotruś! Piotruuuuś! – zaczęła histerycznie krzyczeć.

Chłopca nigdzie nie było.

1986

1

„Mam cię, zjem cię”.

Julita otworzyła oczy. W pokoju było ciemno. Bała się wyciągnąć rękę, by zapalić stojącą przy łóżku lampkę. Jeszcze bardziej bała się leżeć w ciemności. Wzięła trzy głębokie oddechy. W głowie wciąż dudniły słowa z koszmaru.

„Mam cię, zjem cię”.

Ręka wymacała włącznik. Pokój wypełniło nagle światło.

Dziewczynka zwinęła się w kłębek i przejechała dłonią po wolnym miejscu na wersalce.

– Jesteś na mojej połowie – usłyszała wydobywający się ze wspomnień cieniutki głos siostry.

Niemal poczuła, jak Andżelika odsuwa jej rękę paluszkami.

– To ty jesteś na mojej! – zakomunikowała Julita w odwecie i zrobiła siostrze atak gilgotników.

Andżelika podskoczyła.

– Zostaw mnie, zostaw! – Śmiała się, łapiąc za brzuch.

W pokoju rozbrzmiało głucho pukanie. To ojciec w przyległej sypialni walił w ścianę pięścią. Znak, że dziewczynki są za głośno. Coś, co sprawiało, że atak śmiechu zawsze narastał. Siostry zagłębiły twarze w poduszki, a ich ciała podrygiwały. Gdy tylko na siebie spojrzały, śmiały się jeszcze bardziej. Nie mogły się opanować.

Julita uśmiechnęła się na to wspomnienie i zacisnęła rękę na kołdrze. Przez brzuch przeszła fala bólu. Dziewczyna ponownie odwróciła się na plecy i wbiła wzrok w sufit.

To było tak dawno, że niemal w innym życiu.

Łapała się na tym, że w ciągu dnia nie potrafi czasem przywołać twarzy Andżeliki. Niby ją widziała, ale jakąś zatartą i niewyraźną. Za to w nocy postać siostry znów nabierała kolorów. Julita dokładnie widziała jej wąskie usta, oczy jak dwie niebieskie kule i delikatne włosy. Niemal czuła truskawkowy zapach szamponu z paczki z Niemiec, który Andżelika tak bardzo lubiła.

– Szampon z Enerefu – chwaliła się.

– Z Erefenu – poprawiała ją Julita. – A tak w ogóle to z Enerde.
Siostra wzruszała ramionami. Nie rozumiała różnicy.

Julita tak bardzo za nią tęskniła. Wszystko się zmieniło, od kiedy jej zabrakło. A na pewno zmieniła się Julita.

Andżelika przybyła za nią, a ona ją zawiodła.

Dziewczynka znów skuliła się w kłębek, starając się zdusić ból brzucha.
Czasami wołałaby zapomnieć. Czasami wołałaby nie pamiętać.

„Myśl o czymś innym” – nakazała sobie.

Pani Ołpińska. Myśl, co wywinąć pani Ołpińskiej.

2

Sabina Ołpińska z wysiłkiem otworzyła drzwi. Naparła rękoma na masywne koła, by wjechać do klasy. W ostatniej chwili złapała stos klasówek, który zaczął zsuwać się z jej kolan.

Wózek inwalidzki, na którym jeździła, był ciężki. Marzyła o innym modelu. Słyszała, że na Zachodzie wózki inwalidzkie są leciutkie i zwrotne. Ale szanse na zdobycie takiego cudenka były nikłe. Nawet ksiądz niewiele mógł zdziałać, choć potrafił załatwić niemal wszystko. Wózek to w końcu nie kawa z darów.

Trzecia B już na nią czekała. Nauczycielka prześlizgnęła się wzrokiem po twarzach uczniów. Większość nosiła modne obecnie fryzury, których tak nie cierpiała – włosy na trwałe, tapirowane, maksymalnie uniesione u nasady, krótkie z płetwą z tyłu, jeden irokez. Nienawidziła tej klasy. Żadna inna klasa w liceum nie okazywała jej takiego braku szacunku jak ta. Zazwyczaj uczniowie i nauczyciele użalali się nad nią, czego zresztą też nie znosiła, ale z dwojga złego wołała już współczucie niż arogancję tych gówniarzy.

Na samym końcu sali dostrzegła Julitę Burchardt. Ta była najgorsza. Z wyglądu prawdziwy diabeł: kruczoczarne napuszone włosy z wyskubaną grzywką, oczy jak malowane węglem, usta zawsze wydęte w szyderczym grymasie. Opryskliwa, zaczepna, jak na zawołanie miała w zanadrzu jakąś inteligentnie obraźliwą ripostę. Ołpińska dałaby sobie rękę uciąć, że to od Julity i jej humoru w dużej mierze zależy zachowanie innych uczniów.

– Pani Sabino! – krzyknął na widok germanistki Antek Wrona. – Czy użyzyć pani ramienia?

Nikt się nie zaśmiał, nikt nawet nie drgnął. Jakby to nie był obrzydliwy, cyniczny żart. Cała klasa miała miny niewiniątek. Wolałaby już, żeby się śmiali. Ale oni wiedzieli, jak ją zranić. Oj, wiedzieli.

– Dzień dobry – powiedziała z trudem, zatrzymując wózek na środku klasy.

– Dzień dobry, pani Sabino – wykrzyczała klasa zgodnym chórem. Jakby byli w podstawówce.

Jej imię w ich ustach brzmiało jeszcze obraźliwiej niż zwykle.

Sabina... Że też matka musiała dać jej właśnie takie imię. Niewątpliwie pasowałoby do jakiejś czarnowłosej piękności. Tymczasem ona od dziecka miała nie tylko niedowład nóg, ale też zauważalnie zdeformowaną szczękę.

Sabina: imię żart. Mama się o to postarała.

Niemal trzydziestoletnia Ołpińska nie zawsze patrzyła na siebie tak krytycznie. Wcześniej była silna i z uporem realizowała wyznaczone cele. Od najmłodszych lat ciężko pracowała z rehabilitantem, by być samodzielną. Podstawówka i liceum – wszystko w zwykłych szkołach, bo nie zgodziła się na specjalne. Nie chciała ulgowego traktowania. Jej umysł pracował tak samo sprawnie jak umysły innych. Zaparła się. Skończyła szkołę języków obcych, otrzymała pracę jako nauczycielka niemieckiego. Wszystko układało się dobrze, dopóki nie dostała zastępczego wychowawstwa trzeciej B.

– *Thema: Wie soll man gesund leben?* – zaczęła. – Jak żyć zdrowo?

Oczywiście nikt nie zapisywał. Przynajmniej siedzieli spokojnie w ławkach. Zdarzało się, że chłopcy biegali po klasie, dziewczyny siadały na parapetach, w powietrzu latały liściki. Bywało różnie. Tym razem panował spokój. Przynajmniej tyle.

– Otwórzcie książki na stronie sześćdziesiątej szóstej – poleciła Ołpińska.

Wjechała między ławki, by jak zwykle zrobić rundkę po klasie. W połowie sali utknęła. Kółka wózka nie chciały się ruszyć ani w przód, ani w tył. Usilnie naciskała dłońmi na opony, starając się je przesunąć, podskakiwała, przenosząc ciężar ciała na ręce. Nic.

W końcu wychyliła głowę i spojrzała w dół.

Znajdowała się w sieci.

– Tym razem chyba przesadziliśmy – stwierdził Wrona, wyjmując papierosa Caro z czerwonego opakowania.

Wycieniowane na czubku głowy oraz dłuższe na wysokości karku włosy falowały pod wpływem silnego jesiennego wiatru.

– Nie pitol, Wrona! Żart był na medal! – odparł Kazik, wskakując na ławkę i siadając na jej oparciu.

Czarna skórzana kurtka i pofarbowana na blond czupryna upodobniały go do Davida Bowiego.

Pochylające się nad nimi drzewa w Gaju Świętopełka były pomarańczowe. Suche liście pokrywające spacerową ścieżkę nad Jeziorem Klasztornym Małym kruszyły się pod ich stopami.

– Ciekawe, czy nadal tam siedzi?! – Rudy się zaśmiał i odpalił papierosa od kolegi.

Ołpińska jeszcze przez dłuższą chwilę się szamotała. W końcu zdała sobie sprawę, że sama sobie nie poradzi, i odpuściła. Do końca lekcji siedziała na wózku spokojnie, tępo wpatrując się w ścianę. Oni zajęli się swoimi sprawami, a gdy tylko dzwonek oznajmił koniec zajęć, wyszli, zostawiając ją w klasie.

Julita patrzyła w dal. Jesienne słońce odbijało się w tafli wody. Aleja Filozofów to była ich miejscówka. Niedaleko szkoły mieszczącej się przy ulicy Klasztornej, ale nie za blisko. No i klimatyczna bez względu na porę roku; zaciszna, z widokiem na dostojną kolegiatę. Wedle podań niegdyś kontemplowali i modlili się tu mnisi z pobliskiego klasztoru Kartuzów, dlatego ludzie mówili, że nad brzegiem Jeziora Klasztornego Małego dobrze się myśli, jednak w jej opinii przede wszystkim dobrze się tu paliło. Choć jej koledzy preferowali caro lub ścinające z nóg radomskie, to Julita najbardziej lubiła carmeny – eleganckie, dłuższe niż inne, foliowane. Pogłoska, że są opiumowane, sprawiała, że smakowały jej jeszcze bardziej.

Dziewczyna poczuła chłód, więc schowała brodę w wełniany szal. Uśmiechnęła się. To ona wymyśliła numer z włóczką. Nauczycielka wjechała pomiędzy ławki, a oni przeturlali po podłodze włóczkę. Kolejni uczniowie podawali ją sobie z jednej strony na drugą, zaczepiając o krzesła i tworząc coś na kształt pajęczej sieci. „Pułapka doskonała” – cieszyła się dziewczyna.

Wyszło lepiej, niż się spodziewała. W sumie nie przypuszczała, że Ołpińska utknie na amen. Wyobrażała sobie, że po prostu będzie miała problemy z przejechaniem. Ale nie. Ugrzęzła i została tak do końca lekcji.

Najpierw panowała cisza. Potem zaczęli gadać. Na końcu już wszyscy chodzili po klasie, jakby nauczycielki tam w ogóle nie było.

Julita miała tylko nadzieję, że matka nie dowie się o jej roli w zrobionym Ołpińskiej psikusie, bo kazałaby ojcu spuścić jej łomot. Fabiola Burchardt nadal uważała, że najlepszą metodą wychowawczą jest lanie. Co z tego, że Julita miała już siedemnaście lat? Przecież w Starym Testamencie powiedziano, że kara cielesna to nie tylko konieczny środek wychowawczy, ale też dowód miłości rodzicielskiej i troski o przyszłość dziecka. „Nie kocha, kto różgi żałuje, kto kocha go – w porę go karci”³, jak napisano w Księdze Przysłów. Więc ojciec prał Julitę na życzenie matki dość regularnie. Nawet mała Andżelika zdążyła przyjąć swoje. Julita pamiętała, jak siostrzyczka uciekała po domu przed ojcem, ale ten w końcu ją dorwał. Podniósł za nogę jej chude ciało i wymierzał razy na oślep. Andżelika tak rzewnie wtedy płakała. Jak kot. Nie mogła mieć więcej niż sześć lat.

Szanse, że Ołpińska coś wypaple, były raczej niewielkie. Germanistka jeszcze nigdy nikomu na nich nie nakablowała. Pewnie się bała, że ją uznają za niezdolną do pracy i wywalą ze szkoły. Ale tym razem mógł to zrobić ktoś, kto ją znalazł. Chyba że w końcu wyswobodziła się sama.

Julia uwielbiała takie akcje. Czuła wtedy, że żyje. Gang Bizona nie tańczył, jak mu zagrają. Oni wiedzieli i robili swoje. Nie mogli dać Ołpińskiej taryfy ulgowej tylko dlatego, że była niepełnosprawna. Przecież sama oznajmiła im na pierwszej lekcji, że mają traktować ją tak jak innych nauczycieli.

– No dobra. Czas się zbierać – stwierdził Wrona.

Wyrzucił niedopałek na ziemię i przydeptał. Suche liście zaszeleściły pod jego butem.

Julita skinęła głową. To ona przewodziła Gangowi Bizona, choć nigdy formalnie tego nie ustalali. Dziewczyna nieustannie wyskakiwała z nowymi pomysłami i dbała, by nigdy nie zrobiło się nudno. Właśnie za to cenili ją koledzy. Byli w nią wpatrzeni jak w obrazek, co Julicie bardzo odpowiadało. Wiedziała, że zrobiliby dla niej wszystko.

Minęli średniowieczną kolegiatę o dachu w kształcie trumny i przeszli wzdłuż muru dawnego browaru klasztornego. Na chwilę zatrzymali się przy saturatorze. Pobierana przez wąż wprost z hydrantu woda wzbogacona dwutlenkiem węgla z butli smakowała wybornie, a jeszcze lepiej przepłukiwała gorzki posmak papierosów. Po kolei napili się ze szklanej musztardówki, którą sprzedawca jedynie opłukiwał po każdym kliencie, i ruszyli dalej. Po chwili dotarli pod piętrowy budynek liceum.

– Okej. To bądźcie grzeczni. – Julita zgryźliwie uśmiechnęła się do chłopaków.

– Ty nie idziesz na lejby? – spytał Wrona.

– Eee, biola, wiesz, że to nie dla mnie – odpowiedziała dziewczyna i wysunęła język na bok, udając wisielca. – Kazik, będziesz miał na jutro?

– Będę. – Blondyn rozpromienił się. – Ale będzie ubaw!

– To do jutra, Bizony – rzuciła Julita i oddaliła się Klasztorną.

4

Przewodnicząca kartuskiej Rady Narodowej, Fabiola Burchardt, wzięła słuszny łyk kawy Ekstra Selekt. Zielono-srebrną paczuszkę kupiła spod lady od pani Marioli prowadzącej sklep Społem. Zmielona w NRD-owskim młynku smakowała wybornie. Kobieta przymknęła oczy i delectowała się chwilą. Choć zajmowała wysoki stołek, nie zawsze tak łatwo zdobywała dobra luksusowe. Swoje w kolejkach też musiała odstać. A to, żeby pomarańcze przed świętami zdobyć, a to by kupić kasety magnetofonowe Stilon C-60, żeby sobie dziewczynki z radiowej Trójki Maanam albo Lady Pank ponagrywały. Czasami nawet po Cypiska, gumę do majtek albo mydło w kostce Zefir trzeba się było nastać. Nie mówiąc o papierze toaletowym – szara rolka papieru toaletowego, skarb nad skarby, siedem rolek na głowę na rok, jak ktoś gdzieś oszacował.

Dopiła kawę, przeczesła palcami burzę loków i w końcu przystąpiła do pracy. Zerknęła na dzisiejszy terminarz. Narada z przedstawicielem z przedstawicielem Wojewódzkiego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, potem wygospodarowana chwila dla faceta z Filii Literatury Społeczno-Politycznej, który męczył ją od kilku tygodni o spotkanie w sprawie popularyzowania książek inspirujących do aktywnego działania dla dobra Polski i jej socjalistycznego rozwoju. O piętnastej miała otwarcie przedszkola w Kiełpinie. O siedemnastej wywiadówka w liceum Julity.

Do szkoły raczej nie zdąży. Westchnęła. Będzie musiała poprosić Marka, choć on nie lubił się angażować w szkolne sprawy. Mówił, że kosztuje go to zbyt dużo nerwów. Ale w co on w ogóle lubił się angażować? Mąż coraz bardziej ją irytował. Odkąd zastąpili kupionego siedem lat temu za dziewięć tysięcy złotych lampowo-tranzystorowego taurusa kolorowym rubinem w ogóle sprzed telewizora nie odchodził.

Magnetowid JVC z pewexu jedynie pogorszył sprawę. Zupełnie zgnuśniał. Na rentę przeszedł. Nic mu się nie chciało.

Fabiola automatycznie przeglądała dokumenty, które trafiły dziś na jej biurko: założenia miejskiego planu ogólnego zagospodarowania przestrzennego na lata 1986–1990, uchwała rad narodowych w sprawie pięcioletniego planu społeczno-gospodarczego.

Z mężem trzeba będzie coś zrobić. Znaleźć mu coś do roboty. Ciągłe tylko popija jarzębiak. Puste kwadratowe butelki zawija w gazetę i wkłada do kosza na śmieci. Myśli, że Fabiola tego nie widzi. Nawet kilka razy butelkę po żytniej znalazła. Na pewno od Ściepury, co wódkę zgromadzoną w tapczanie sprzedawał po bajońskich cenach bez kartek. Zawsze to lepiej, niżby miał bimber pić, ale i tak skaranie boskie z tym facetem było. Będzie musiała porozmawiać z księdzem Wojciechem. On coś wymyśli. Bez niego cała lokalna społeczność by się rozpadła! Zostałyby zgorszenie i demoralizacja. A tak inicjatywy społeczne, oazy, chór, pielgrzymki. Nikt dotąd nie jednoczył młodzieży tak jak on. Bycie ministrantem zrobiło się wręcz modne. Ksiądz Wojciech wie, jak młodych do Kościoła przyciągnąć, to i na Marka sposób znajdzie.

„Niech się trochę poudziela, bo Bóg mi świadkiem: wykopię z domu na zbity pysk” – pomyślała przewodnicząca Burchardt.

Dobrze, że Julita się w końcu uspokoiła, bo przecież sama by sobie z nią rady nie dała. W podstawówce skaranie boskie z nią było. Co oni się naprzeżywali, to ich. To wtedy Marek ostatnie siły stracił. Ciśnienie mu skakało, serce zaczęło szwankować. No wykończyła go dziewczyna, wykończyła. Dobrze, że Fabiola jest jak skała. Twarda i niezniszczalna. Diabeł na nią sposobu znaleźć nie potrafił. Światło z niej za duże było, jak to mawiał ksiądz Wojciech.

Na tę myśl Fabiola Burchardt dumnie się uśmiechnęła i z większą motywacją spojrzała na papiery. Spłynęła na nią boska łaska – poczuła to całą sobą.

„Ksiądz Wojciech to święty człowiek” – pomyślała raz jeszcze i z zapalem zabrała się do pracy.

5

– Masz? – Julita była podekscytowana.

– Mam! – Zziajany Kazik wyszczerzył się w uśmiechu, zsiadając z czerwonego rometa waganta.

– Pokaż!

Chłopak otworzył torebkę i podsunął im. Członkowie Gangu Bizona nachylili głowy.

– Fuj!

– Yhhh!

– Bajerancka!

– Ale odlot!

Kupa wyglądała jak prawdziwa. Nie jakiś plastikowy szajs, tylko brązowa, mięsista, lepka materia, od której dało się odkrawać kawałki. I nawet zapach miała! Lekki odór krowiego placka. Sam Borewicz by się nie kapnął.

– No, Kazik, spisałeś się – pochwaliła chłopca Julita, a on oblał się rumieńcem.

Ojciec Kazika był marynarzem na statkach żeglugi wielkiej i często przywoził mu różne gadżety: świecące buty, szwedzkie gwoździe, zegarki z Myszką Miki czy gumy do żucia z Donaldem. Tak czy siak Kazik poczuł się dumny jak konstruktor bomby atomowej.

– To dajemy – zdecydowała Julita z szelmowskim wyrazem twarzy.

Cieszyła się na akcję od samego rana. „To będzie istna petarda!” – przemknęło jej przez głowę, gdy przedostawali się hołem do klasy.

Kazik podszedł do biurka nauczycielki i włożył kupę do szuflady.

Sabina Ołpińska wyglądała dziś dość niemrawo. Na bladej twarzy malowało się zmęczenie. Pod opuchniętymi powiekami kładły się cienie. Germanistka wjechała do sali, nie podnosząc głowy. Nie powiedziała „dzień dobry”, nie spojrzała w twarze uczniów, uparcie wbijając wzrok w ziemię.

Julitę przez sekundę ruszyło sumienie. Może powinni trochę odczekać od numeru z siecią? Ale nie było już odwrotu. Jak się powiedziało a, to trzeba powiedzieć...

Rozmyślanie przerwał krzyk. Ołpińska już zdążyła otworzyć szufladę i włożyć do niej rękę. Teraz patrzyła na uniesioną dłoń umazaną strzępami śmierdzącej masy i wyła. Wrzeszczała głośno i rozdzierająco. Wyglądała jak opętana. Twarz wygięto jej jeszcze bardziej niż zwykle, łzy spadały ciurkiem na koc okrywający kolana.

– Jak mogliście! Jak mogliście! Jak mogliście! – powtarzała w kółko.

Choć uczniowie dawno przestali się śmiać, germanistka się nie uspokajała.

Drzwi do klasy raptownie się otworzyły. Do Sabiny Ołpińskiej podbiegł dyrektor Milewski, klęknął obok niej i powtarzał:

– To jest sztuczne! To jest sztuczne, słyszysz?!
Sabina Ołpińska nie słyszała. Dygotała jak w malinie.

6

Fabiola Burchardt długo stała przy oknie. Na dworze było ciemno. W szybie odbijała się kuchnia. Jasne drzwi drewnianych szafek, wiszące na sznurkowych kwietnikach paprotki, gazowa kuchenka i stół, przy którym siedział Marek. Julita opierała się nonszalancko o ścianę, rytmicznie pukając palcami w zieloną lamperię. Panowała cisza, ale Fabiola nie mogła zebrać myśli. Czuła się upokorzona. I to właśnie dziś, gdy pomyślała, że Julita w końcu się uspokoiła. Zapeszyła. Jak nic zapeszyła. Bez sensu tak się uwijała, żeby zdążyć na wywiadówkę. Po co? By się dowiedzieć, że jej córka to same kłopoty? Że to pyskata, niemająca dla nikogo szacunku dziewczucha? Że wagaruje? Że nawet dla nauczycielki na wózku nie ma litości?

W końcu odwróciła się od okna i popatrzyła na córkę. Rozpuszczone włosy, dekolt, oczy umalowane czarną kreską jak u dziwki. Czy to możliwe, żeby ona, Fabiola, wydała ze swojego łona taką grzesznicę? Nie. To było dobre dziecko. Tylko zboczyło na złą ścieżkę. Pozwoliło, żeby zawładnął nią diabeł.

– Skąd w ogóle coś takiego wzięliście? – odezwała się wreszcie.

– Tata Kazika przywiózł z rejsu. – Julita wzruszyła ramionami. – Ciągle takie fajne rzeczy przywozi.

– Fajne? Sztuczna kupa to fajna rzecz?! – Fabiola uderzyła otwartą dłoń w stół.

Zaskoczony niespodziewanym hałasem Marek drgnął, jakby się właśnie obudził, ona zaś poczuła ulgę. Widać Bóg zesłał jej nowe siły. Jak zawsze.

– Nawet dyro się śmiał – powiedziała Julita. – Najpierw mu to zanieśliśmy pod gabinet i jak wyszedł, to zaraz wdepnął. Ale jakoś afery nie zrobił. Normalny widać jest, a nie jak ta walnięta inwalidka Ołpińska.

– Nie tobie oceniać! – Fabiola była coraz bardziej wściekła. – Za kogo ty się masz, co? Diabeł znów cię opętał, dziewczyno?! – Dopadła do Julity i wpatrzyła się jej w oczy.

Przez chwilę poruszała głową na boki i mrużyła powieki – jakby spodziewała się zobaczyć urzędującego w głowie córki Lucyfera.

– Trzeba będzie powtórzyć terapię – stwierdziła po chwili.

Julita zamarła. Dopiero teraz zrozumiała powagę sytuacji. Przypomniała sobie kładących się na niej mężczyzn, wykręcone ręce, smród wydzielin.

– Chyba nie mówisz serio? Przecież to był tylko żart. Głupi żart! – krzyknęła przerażona.

– Żart? Zrobiony kalece?! Moja córka nigdy by czegoś takiego nie zrobiła, gdyby jej nie podkusił diabeł! – Głos Fabioli się trząsał. Była na granicy płaczu.

– Nie zgodzę się – powiedziała dziewczyna. – Nigdy, przenigdy więcej się na to nie zgodzę!

– Nie od ciebie to zależy – ucięła matka i zwróciła się do męża: – A ty, Marek, dopilnuj, żeby ona zrozumiała.

Ojciec podniósł się powoli z krzesła, odpiął sprzączkę i sprawnym ruchem wyciągnął pasek ze spodni. Fabiola Burchardt wyszła z kuchni i zamknęła za sobą drzwi. Nastawiła płytę gramofonową. Anna German zawsze koła jej nerwy. Człowieczy los, zanuciła. Zrobiła głośniej i usiadła w ulubionym fotelu Chierowskiego. Przymknęła oczy. Musiała w końcu odpocząć.

7

Ławka była twarda. Julita popatrzyła na sfatygowaną zieloną walizkę. Wystawały z niej skrawki przyciętego wiekiem materiału. Pakowała się w pośpiechu.

Po tęgim laniu Julita leżała na łóżku i płakała. Pośladki paliły żywym ogniem i była pewna, że ślady paska utrzymają się długo. Fabiola Burchardt weszła do pokoju, usiadła obok niej i położyła dłoń na jej włosach. Dziewczyna zwróciła na nią zapuchnięte oczy. Myślała, że matka chce ją pocieszyć, może przeprosić.

– Dzwoniłam do księdza Gustawa. Może cię przyjąć już jutro – powiedziała Fabiola, patrząc na córkę z żalem.

– Mówiłam już, że nie pójdę. – Julita nie mogła uwierzyć, że matka nadal się upiera. Po jej policzkach znowu potoczyły się łzy. – Proszę, mamo, nie każ mi tam iść. Ja tego nie przeżyję. Nie tym razem. Proszę! – Spojrzała na matkę błagalnie.

– Pójdiesz. Albo wynoś się, jak ci się nie podoba – odparła Fabiola Burchardt.

Jej głos był opanowany i stanowczy. Zupełnie pozbawiony emocji.

Julita nie spała przez całą noc. Leżała i myślała. Gdy zaczęło się rozwidniać, podjęła decyzję. Chwyciła walizkę, wyciągnęła ze szkatułki stojącej na kredensie odłożone przez matkę pieniądze i poszła w stronę szkoły. Godzinę przesiedziała na murku, a gdy woźny otworzył drzwi do budynku, weszła do szatni.

– A co ty tu robisz z tą walizką? – usłyszała nagle.

Kojarzyła dziewczynę, która nad nią stanęła. Wysoka blondynka z tlenioną grzywką i trwałą chodziła do klasy wyżej.

– Siedzę. Właśnie związałam z domu – odpowiedziała Julita.

Miała nadzieję, że któryś z chłopaków z Gangu Bizona przenocuje ją chociaż przez kilka dni. „Matka będzie miała nauczkę i w końcu otworzą jej się oczy” – pomyślała. Przecież na pewno nie chciałyby stracić drugiej córki.

– Ty, moi rodzice wyjechali na dwa tygodnie, wprowadź się do mnie – zaproponowała blondynka i wyciągnęła do niej rękę. – Jestem Kaśka.

– Julita. – Dziewczyna ochoczo ścisnęła podaną dłoń.

– Wiem – odparła tamta. – Wszyscy w szkole znają twoje imię.

8

Fabiola Burchardt przeżegnała się i wyszeptwała:

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków. Amen. – Spowiednik miał miękki i kojący głos.

Kobieta od razu poczuła się lepiej.

– Ostatnia moja spowiedź była miesiąc temu. Mam czterdzieści lat. Od dwudziestu lat jestem zameżna, obecnie mam jedno dziecko. Jedną z córek straciłam lata temu... – Słowa ugrzęzły Fabioli w gardle.

– Pani Fabiolo, przecież się znamy – powiedział łagodnie ksiądz. – Nie musi się pani za każdym razem przedstawiać.

– Ach, tak. Ksiądz wybaczy. Przyzwyczajenie. No i czasami człowiek musi sobie przypomnieć, kim jest.

– To zrozumiałe, pani Fabiolo. Całkowicie zrozumiałe – szepnął duchowny.

Jego szept wypełnił konfesjonał. Fabiola Burchardt uwielbiała chwile spowiedzi. Ciemność, w której można się skryć. Ciszę otulającą ciasne pomieszczenie. Zapach kadzidła i starego drewna. W oddechu księdza wyczuła nutę alkoholu. „To pewnie mszalne wino” – pomyślała, a jej

ciałem wstrząsnął dreszcz. Misterium Eucharystii od dziecka wywoływało w niej uczucie wzniosłości. Przemiana wina w krew Chrystusa. Spożywanie Ciała Pańskiego. Katolicyzm pełen był tajemnych symboli, które obiecywały zbawienie. Między innymi dlatego tak bardzo kochała Kościół.

– Na ostatniej spowiedzi postanowiłam pracować nad swoją główną wadą, którą jest gniew. Proszę księdza, ciągle w sobie go czuję.

– Drogie dziecko, gniew to poważne wykroczenie przeciwko miłości.

– Tak, wiem. Dlatego jest mi tak ciężko. Ale nie potrafię się go pozbyć.

– Jakie jest źródło twojego grzechu?

– Moja córka, Julita, ciągle sprawia mi problemy i przez to straciłam do niej serce. Opętał ją diabeł, a ona nie chce się go wyrzec. Czuję gniew, że moja córka przeciwstawia się Kościołowi, który chce jej pomóc.

– Drogie dziecko, w takim razie twój gniew to obiektywna reakcja na zaistniałą sytuację. Twoja córka przez swoje czyny chce zniszczyć coś, co stanowi dla ciebie najwyższą wartość. Nic dziwnego, że tak się czujesz. Gniew to więcej niż złość, ale silniejsza od niego jest wściekłość. Gdy ona ogarnie człowieka, traci się kontrolę nad swoimi myślami i emocjami, a potem nad odruchami swojego ciała. Pilnuj więc, by nie ogarnęła cię wściekłość. A za swój gniew odmów dwadzieścia Zdrowaś Mario i dziesięć Ojczy Nasz. Módl się za swoją grzeszną córkę, by kiedyś zaznała odkupienia i zasłużyła na zbawienie.

– Dziękuję, ojczy. Ksiądz zawsze potrafi podtrzymać mnie na duchu.

– Takie jest zadanie Kościoła, moja droga.

– Wychwalajmy Pana, bo jest dobry.

– Bo Jego miłosierdzie trwa na wieki. Pan odpuścił tobie grzechy, idź w pokój.

– Amen. Bóg zapłać.

Fabiola Burchardt podniosła się z kolan. Od klęczenia zdrętwiały jej nogi. W stopach czuła mrowienie. Odchyliła kotarę z bordowego pluszu i wyszła z konfesjonału, mrużąc przyzwyczajone do mroku oczy. Przez witraże przenikało do wnętrza świątyni oczyszczające światło. Wypełniła ją wdzięczność. Bóg znów okazał jej miłosierdzie. Miała za co dziękować. A za Julitę będzie się modlić. Modlitwa działała cuda. Fabiola wierzyła, że dziewczyna w końcu przejrzy na oczy, trzeba jej tylko dać trochę czasu. Na pewno wróci do domu i podda się terapii. Te wcześniejsze bardzo jej pomogły, więc i tym razem uda się wygonić diabła, który zalał się w jej duszy jak robak w jabłku.

Z tą radosną myślą Fabiola Burchardt wyszła z kościoła.

Julita stanęła przed budynkiem. Zmierzchało. Okna pustostanu zionęły pustką. Były jak oczy obserwujące każdy jej krok.

Rozejrzała się wokół. Patryk mówił, że to tutaj. Echo niosło jakieś głosy, lecz dziewczyna nie była pewna, w którą stronę się skierować. Obeszła niewykończony budynek i w jednym z okien dostrzegła ciepłe światło. Odszukała najbliższe wejście.

– To but. – Długowłosey chłopak bez koszulki wskazywał na stojący na podłodze trampek. – Ale i nie but. To przedstawienie tego, co ludzie chcą w tym bucie widzieć. – Patryk Deczer powiódł wzrokiem po zebranych.

Wokół niego siedziała w kręgu grupa nastolatków. Słuchali uważnie, z uwielbieniem wpatrując się w swojego guru.

– Diabeł chce, żebyście w tym bucie widzieli pragnienia. Upiory was zwodzą, mamia wam oczy, chcą, byście im uwierzyli. – Patryk się zaśmiał, a tłum westchnął ze zrozumieniem.

Z podłogi wstała rudowłosa dziewczyna w długiej kwiecistej sukni i zaczęła tańczyć, kreśląc rękoma w powietrzu skomplikowane esy-floresy w rytm niesłyszalnej muzyki. Po chwili zaczęły wtórować jej uderzenia tamburyna wydobywane przez chudego chłopaka o nagim torsie. Oszołomiona młodzież ekstatycznie zaczęła się kołysać.

Julita skrzywiła się. Nie lubiła takich klimatów. Od butaprenu i tamburyna wołała wódkę i rocka.

– Julia! – krzyknął Patryk. Podbiegł do niej i ucałował w policzek. – Jesteś. Cieszę się. Jak ci się podobał happening?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Może być – rzuciła na odczepnego. – Czyli co? – Rozejrzała się po rozświetlonym świecami pomieszczeniu, zawałonym starymi materacami. – Tak tu sobie koczujecie?

– My nie koczujemy. My egzystujemy – odpowiedział chłopak podniosłym tonem. – Wiesz, co to jest strumień świadomości? To czysty nurt, niepodatny na wpływy, rozumujący logicznie. Wsłuchujemy się w swoją świadomość, by dowiedzieć się, kim naprawdę jesteśmy.

– To ważne? – spytała sceptycznie Julia.

– Pewnie, że ważne! Ucząc się kontrolowania świadomości, jesteś w stanie dotrzeć do swojej podświadomości. A podświadomość to niewyczerpana skarbnica wiedzy o nas samych. Zwróć uwagę ku wnętrzu, a znajdziesz spełnienie swoich pragnień.

– Yhm.

Patryk chwycił Julitę pod ramię i poprowadził do środka kręgu, nie przestając dywagować.

– Wszyscy wybitni ludzie potrafili porozumiewać się ze swoją podświadomością, przez co wyzwalali własne wewnętrzne siły. Posłuchaj, to fascynujące. – Patryk podniósł głos. – Jeśli przed snem powiesz swojej podświadomości, że chcesz obudzić się o jakiejś konkretnej godzinie, no powiedzmy o piątej, to punktualnie o tej godzinie się obudzisz.

– He, matka by się cieszyła, bo rano nie może mnie dobudzić do szkoły. – Julia zaśmiała się i dopiero wtedy zauważyła, że wszyscy bacznie się jej przypatrują, szepcząc coś między sobą i pokazując palcami.

– To jesteś ty, prawda? – Błada dziewczyna w czarnym golfie nagle do nich podeszła. – To ona, Patryk, nie?

Julia spojrzała pytająco.

– Mam dla ciebie niespodziankę. Chodź – powiedział i pociągnął ją w stronę klatki schodowej.

– Zamknij oczy – zakomenderował na półpiętrze.

Przez chwilę miała ochotę przerwać tę kretyńską zabawę, ale ciekawość zwyciężyła irytację. Posłusznie opuściła powieki i dała mu się poprowadzić wyżej. Echo ich kroków odbijało się od gołych ścian.

Schody się skończyły. Przeszli jeszcze kilka metrów, po czym Patryk chwycił ją lekko za ramiona i obrócił w prawo.

– Teraz patrz – powiedział uroczystym tonem.

Otworzyła oczy.

Niemal całą powierzchnię ściany, przed którą stali, zajmowało malowidło przedstawiające nagą kobietę siedzącą w nieskrępowanej pozie. Sterczące sutki, ciemne włosy łonowe, czarne kręcone włosy opadające na twarz. Ostatnie promienie słońca wpadające przez wychodzący na zachód otwór okienny rzucały na graffiti czerwonawą poświatę.

To była ona.

Dziewczyna oniemiała patrząc na swój nagi portret. Po chwili wściekła zaczęła zbiegać po schodach.

10

Sopocka ulica Bohaterów Monte Cassino była kompletnie zatłoczona. Ludzie przeciskali się, szukając otwierających się tu i ówdzie w tłumie

tuneli, skręcających to w lewo, to w prawo. Przebicie się przez Monciak w czasie wakacji wymagało żelaznej kondycji i stalowych łokci.

Składane metalowe stoiska z książkami, wyglądające jak monstrualnej wielkości żaby, lśniły w słońcu. Julita siedziała na turystycznym krzeselku i obserwowała kolorową pulsującą masę. Długie opalone nogi w szortach, wielkie przeciwsłoneczne okulary, T-shirt z Billym Idolem i mocno natapirowane kręcone włosy przyciągały do jej straganu nie tylko amatorów literatury. Niezwykle zainteresowani książkami okazywali się nagle najrozmaitsi mężczyźni, z których większość wyglądała tak, jakby w całym swoim życiu nie przeczytała nic poza wynikami meczów w „Przeglądzie Sportowym”. Ale to nie było ważne. Liczyło się tylko, że interes się kręcił, a Julicie obiecano procent od każdej sprzedanej książki. Właściciel straganu miał jej wypłacić pieniądze pod koniec miesiąca, a lipiec właśnie się kończył.

Dziewczyna bardzo się cieszyła na pierwszą w życiu wypłatę. Chciała wreszcie odwdzińczyć się Kaśce i jej mamie za to, że przygarnęły ją na niemal pół roku. Nadal nie mogła uwierzyć, że tak długo u nich siedziała. Sądziła, że gdy rodzice koleżanki wrócą po dwóch tygodniach z podróży, będzie musiała opuścić lokum. Okazało się jednak, że Lewiccy są naprawdę w porządku. Opowiedziała im o konflikcie z matką i pozwolili jej zostać. Musiała tylko obiecać, że nadal będzie chodzić do szkoły i wracać do nich na noc, żeby nie musieli się o nią martwić. Przez tych kilka miesięcy Julita w końcu czuła, że ma kochającą rodzinę, choć tak naprawdę mieszkała wśród obcych.

Na początku było jej przykro, że rodzice w ogóle jej nie szukali. Nie byli w szkole, nikogo o nią nie pytali. Nauczyciele nawet nie wiedzieli, że uciekła z domu, dziwili się tylko, że przestała w trzeciej klasie wagarować. Pewnie myśleli, że to za sprawą załamania nerwowego Ołpińskiej w Julicie odezwało się sumienie. Tak naprawdę dziewczyna miała gdzieś, że germanistka nie wróciła do szkoły. Liczyło się tylko to, by dotrzymać obietnicy złożonej jedynym ludziom w jej życiu, którzy okazali jej serce.

Fabiola i Marek Burchardtowie zjawili się na rozdaniu świadectw. Czekali na Julitę przy samochodzie. Drzwi nowiutkiej łady były zapraszająco otwarte.

– Jeśli chcesz, możesz wrócić – powiedziała matka. – Oczywiście na naszych warunkach.

Julita dobrze wiedziała, co to oznaczało: wielomiesięczne tortury określane jako „posługa miłości”. Minęła rodziców bez słowa. W kwietniu

skończyła osiemnaście lat. Postanowiła, że już nigdy nie wróci do domu.

Gdy tylko zaczęły się wakacje, ruszyła do Sopotu. Zatrzymała się u koleżanki, ale rzadko tam zaglądała. Noce przeważnie spędzała w knajpach, w ciągu dnia pracowała na stoisku z książkami, popołudnia odsypiała na plaży. Szybko odnalazła się w środowisku innych osób na gigancie. Było ich tu zadziwiająco dużo. Dzieci Monte Cassino – tak o sobie mówili. Grupa popaprańców o natapirowanych grzywach, ubranych w dziurawe dżinsy i wyciągnięte koszulki, obowiązkowo przewiązanych w pasie koszulami w kratę. Chłopaki grały na gitarach, dziewczyny zbierały wśród turystów kasę do kapeluszy – drobne, które wydawali potem na piwo w okolicznych barach. Miesiąc zleciał w mgnieniu oka.

Do stoiska zbliżał się Dominik. Julita bez trudu wypatrzyła go w tłumie. Starszy od niej o kilka lat, wysoki, gibki. W ramonesce i w przetartych dżinsach. Mówili na niego Żelazna Pięść. Zrozumiał, dlaczego, gdy po raz pierwszy zobaczyła go w akcji. Cios miał szybki i mocny. Gdy dochodziło do bijatyki, a zdarzało się to dość często, nokoutował największych byków. Od razu pomiędzy nimi zaskoczyło. Choć Julicie, nieustannie przyciągającej do siebie różnych facetów, w liceum przyklejono łatkę puszczalskiej, Dominik był pierwszym chłopakiem, z którym się całowała. To on wprowadził ją do Bungalowu – najdłużej otwartego lokalu w Sopocie. Wyglądająca z zewnątrz jak rezydencja dyskoteka z didżejami mieściła kilka odrębnych barów, sale restauracyjne, i jak mawiano, pokoje przeznaczone na schadzki. Przed klubem, niczym przed słynnym nowojorskim Studiem 54, zawsze ciągnęła się długa kolejka. Selekcja była ostra, lecz przed Dominikiem od razu odpinano linkę. Julicie imponował ten świat – dziewczyny jak z zachodnich teledysków, mężczyźni przypominający George'a Michaela. By nie odstawać, Julita przerabiała swoje ciuchy – a to obcięła dół golfu, a materiał przyszyła pod stanikiem, by odsłonić brzuch jak Janet Jackson, a to obszyła biały stanik czarnym materiałem, na szyję założyła łańcuchy i zarzuciła na siebie kataną, wzorując się na Madonnie. Szybko stała się rozpoznawalna. To tam od tygodnia spędzała noce, opuszczając klub o szóstej nad ranem.

– Czołem, Dzidzia. – Dominik przystanął obok niej i przeciągnął dłonią po rozjaśnionych włosach.

– Czołem, Domi – odparła Julita z uśmiechem.

– Skoczymy gdzieś? – Puścił do niej oko.

Julita spojrzała na zegar na wieży kościoła Świętego Jerzego. Dochodziła piętnasta. Zaraz kończyła zmianę, a cycata Mariolka już wabiła klientów jeszcze większym niż zwykle dekoltem.

– To gdzie idziemy?

Przepchnęli się przez tłum i przystanęli przy mniej zatłoczonej ulicy Czyżewskiego.

Julita była w dobrym humorze. Choć nie spała niemal od doby, czuła się pełna energii. Wakacje, Sopot, chłopak. Życie wydawało się piękniejsze niż kiedykolwiek.

– Myślałem, żebyśmy poszli do mnie. Pokazałbym ci moją kolekcję płyt. – Dominik złapał ją za rękę, przyciągnął do siebie i pocałował.

Serce Julity zaczęło mocno bić. Nie wiedziała, czy jest gotowa na coś więcej niż pocałunki. Z drugiej strony on naprawdę jej się podobał. Większość dziewczyn w jej wieku swój pierwszy raz miała dawno za sobą, lecz ona na myśl o zbliżeniu odczuwała irracjonalny lęk. To normalne – tłumaczyły koleżanki – każda z nas się bała, że będzie boleć albo, co gorsza, że nie będziemy wiedzieć, co robić. Ale to przychodzi samo. A boli tylko przez chwilę – śmiały się.

„Raz kozie śmierć” – pomyślała Julita i odwzajemniła pocałunek. Nie miała z niego specjalnej przyjemności, ale też nie czuła większego obrzydzenia. Ot, mokry język przejeżdżający po jej zębach. Świeży oddech. Nic strasznego.

Dominik zajmował sztywnie urządzone mieszkanie w narożnej secesyjnej kamienicy przy ulicy Chmielewskiego. Bordowy narożnik, turecki dywan i wieża hi-fi Panasonica robiły wrażenie. Przynależący do sopockiego klubu rugby Ogniwo Dominik radził sobie nad wyraz dobrze, z pewnością kombinując na boku. Julita gdzieś podsłuchiwała, że chodziło o auta z Berlina.

Usadowił dziewczynę na kanapie i podał jej szklaneczkę martini dry z lodem. Dla Julity na ulubiony alkohol było trochę za wcześnie, ale kurtuazyjnie pociągnęła łyk.

– Piękne mieszkanie – stwierdziła.

Czuła się coraz bardziej niezręcznie.

– Tak, całkiem niezłe gniazdko. Kupione za gotówkę, wyremontowane. Widziałaś sztukaterię na balkonach? Musisz koniecznie zwrócić uwagę, jak będziesz wychodziła.

– Yhm – mruknęła Julita i wzięła kolejny łysek.

Alkohol spłynął po przełyku. Lód dźwięcznie uderzał o ściankę szklanki. Ten odgłos z czymś się jej kojarzył, ale nie potrafiła powiązać go

z jakimkolwiek wspomnieniem. „Dzyń, dzyń”. Z każdym brzdęknięciem czuła, jak narasta w niej niepokój.

Dominik usiadł obok niej, delikatnie wyjął szklanę z jej dłoni i odstawił na podłogę. Położył rękę na jej udzie i zaczął je gładzić. W górę, w dół. W górę, w dół. Palce zwinnie pomykały w tę i z powrotem, przybliżając się coraz bardziej do jej krocza. Mężczyzna nachylił się ku niej, a ona znów poczuła jego język w ustach. Tym razem smakował słodyczą burbona. Dominik przywarł do niej mocno, powoli przyciskając jej plecy do kanapy. Jego ręka rozpięła jej szorty i wsunęła się do środka.

W głowie Julity pojawiło się ostrzeżenie. Chciała powiedzieć „nie”, ale z jej ust nie wydobywał się dźwięk. „Nie, nie, nie” – myślała, ale leżała spokojnie, nie mogła nawet drgnąć. Mężczyzna wszedł w nią i zaczął poruszać się miarowo, coraz szybkiej i szybciej. Nic nie czuła. Była zupełnie sparaliżowana. Jej kark, ręce, nogi, stopy podrygiwały jak u poruszanej za sznurki kukły. Miała wrażenie, że opuściła swoje ciało i patrzy na wszystko z boku.

Gdy w końcu się z niej zsunął, czucie po chwili wróciło. Julita wstała powoli i drżącymi rękoma wciągnęła spodenki. Potrąciła nogą stojącego przy kanapie drinka. Trzask, trzask. Lód uderzył o drewniany parkiet. Alkohol cicho rozlał się po powierzchni.

Wyszła bez słowa. Stojąc na chodniku, zadarła głowę. Z góry spojrzały na nią maszkarony i sztukateryjne kobiece główki.

„Mam cię, zjem cię” – zabrzczało w jej głowie i Julita straciła przytomność.

11

Wrona, Rudy i Kazik czekali na kartuskim dworcu PKS. Wystarczył jeden telefon. Julita miała na sobie wpuszczoną w dzinsy z wysokim stanem czarną koszulkę z logo The Smiths. Pofalowana grzywka niesfornie opadała jej na czoło. Przez ramię przewiesiła duży wojskowy plecak.

– Kierunek Wdzydze, Bizony! – krzyknęła radośnie i po kolei przytuliła chłopaków.

Naprawdę się za nimi stęskniła.

– Gdzie się podziewałaś? – W głosie Wrony brzmiała nuta wyrzutu.

– Tu i tam, znasz mnie – odparła Julita. – W każdym razie wróciłam i jestem już wasza. Wszyscy gotowi?

– Tak jest! – odpowiedzieli chórem.

Rozsiedli się na ławeczce. Rudy wyjął z plecaka blok czekoladowy i mleko. Podzielił się z kolegami. Pół godziny zleciało w mig. W końcu podjechał ryczący przegubowy autobus. Z trudem wspięli się z plecakami po stromych schodkach i usiedli na zwróconych do siebie fotelach. Czerwono-biały ikarus 280 głośno ruszył z przystanku, wyrzucając z siebie wielką chmurę spalin. Panował nieznosny upał, pomimo że otwarto duże przesuwne okna. Nie można było jednak narzekać. Zimą w ikarusach robiło się wręcz lodowato, a zamrożone szyby całkowicie przysłaniały widok.

– Chciałbym kiedyś zostać kierowcą takiego ikara – rozmarzył się Rudy.

– Co?! – Kazik zaśmiał się, zarzucając blond grzywą. – Ale masz ambicje!

– Pśśś. Co ty tam wiesz? – obruszył się Rudy. – Powożenie takim pojazdem to nie lada wyczyn. Lewar klasyczny, manualny, częściowe wspomaganie kierownicy. Trzeba być zręcznym i silnym, żeby kierownicę utrzymać. A zarazem jedzie jak złoto. Leciutko, spokojniutko, gdy na pętli się wychodzi, to nogi nie drżą. A, no i osobna kabina, nikt ci na plecach nie stoi jak w jelczu.

– Ty, to ty se może jakiś fanklub załóż, co? – szydził dalej Kazik.

Wszyscy wybuchli śmiechem. Zanim się obejrzel, byli na miejscu.

– I co teraz? – Rudy był podekscytowany. Cały lipiec przesiedział w domu, więc miał ochotę zaszaleć.

– Coś wynajmiemy – odparła Julita i pomyślała o pieniądzach schowanych pomiędzy kartkami *Mistrza i Małgorzaty*.

To do niej przez ostatnie dni wkładała różnicę z podniesionych samowolnie cen książek. Gdy tylko usłyszała od innych pracowników, że prowadzący interes na lewo Michalak ściemnia z wypłatami, zaczęła gromadzić kasę na własną rękę. I to z należytą górką.

– Pani mąż jest chujem – poinformowała na odchodnym jego żonę.

Mina pani Michalak była bezcenna.

– Masz kasę? – spytał Rudy. – Bo ja mam jakieś drobne, ale niedużo. Myślałem, że raczej rozbijemy namiot. – Wskazał na trzymany w ręce pakunek.

– Pokombinujemy. – Julita puściła do niego oko i rozejrzała się wokół.

– No dobra, to zróbcie jakieś zakupy w spożywczym, a ja się rozejrzę.

Chłopaki weszły do sklepu, a Julita stanęła przed wejściem do ośrodka wczasowego Mag. Za bramą dostrzegła pole namiotowe, boisko,

drewniane domki campingowe. Jezioro Wdzydze połyskiwało w słońcu powoli chyłącym się ku zachodowi. Julita namyślała się, czy zaszać i wynająć dla wszystkich domek, gdy obok niej stanął chłopak. Krótkie włosy, dobrze zbudowany, sportowe spodenki odsłaniające umięśnione łydki.

– Przyjechałaś na wczasy? – zagaił i przyjaźnie się do niej uśmiechnął.

– Tak jakby – odparła, starając się zdmuchnąć grzywkę z twarzy.

– Na rodziców czekasz? – Chłopak się rozejrzył.

– Nie, jestem na gigancie – pochwaliła się Julita, marszcząc nos. – Z kolegami.

– No co ty?! Jesteś z Kartuz, no nie? Bo ja też. Tylko chodziłem do Dwójki. Na Wybickiego. Właśnie skończyłem, no i tak kombinuję, co dalej.

– Aha. – Julita zupełnie go nie kojarzyła.

– Jestem Arek.

– Julita.

– A macie gdzie spać?

– Nie.

– Szmalcu też pewnie nie macie?

– No nie bardzo – przyznała.

Arek wydał usta i przez chwilę myślał.

– Bo ja pracuję tutaj w recepcji i mam pewien pomysł – powiedział w końcu.

Julita spojrzała na chłopaka z ciekawością. Nie wiedziała, czy nie żartuje, ale on już prowadził ją do ośrodka.

Domek był naprawdę niezły. Duży, ze spadzistym dachem i tarasem wychodzącym na jezioro. W środku cztery sypialnie, przestrzeń dzienna z aneksem kuchennym i antresola. Wyposażony we wszystkie niezbędne sprzęty.

– Ale mnie na to nie stać – stwierdziła Julita, z niedowierzaniem oglądając lokum.

– Spokojnie. Nic nie musisz płacić. Widzisz tę dziurę w ścianie? – Arek wskazał na niewielkie pęknięcie w rogu. – Zanim tego nie naprawią, domku nie można wynajmować. Stał pusty prawie cały lipiec i nie zapowiada się, żeby to zreperowano przed końcem wakacji. Więc... – Chłopak szeroko rozłożył ręce.

– Jej, super! – Julita rzuciła ciężki plecak na podłogę. – Ale... czemu to robisz? – spytała podejrzliwie.

– Powiedzmy, że zawsze mi się podobałaś. – Arek rzucił Julicie wymowne spojrzenie. – Masz tu klucz. I możecie korzystać z kajaka i rowerów.

Julita się rozpromieniła.

– Nie wiem, jak ci się odwdzięczę – powiedziała.

– Na pewno coś wymyślimy – odparł chłopak i skierował się w stronę recepcji.

Przez tydzień Julita, Wrona, Rudy i Kazik spędzali radosny czas nad jeziorem. Kąпали się, opalali i bawili w wodzie bez końca. Arek wpadał do nich w wolnych chwilach w dzień, wieczorem wstępował na piwko, czasami przynosił im prowiant, który został z kolacji letników.

Któregoś wieczora zrobili ognisko. Noc była ciepła i gwiazdzista. Księżyc odbijał się w jeziorze. Granie świerszczy zlewało się z trzaskaniem ognia. Julita położyła się na plecach i patrzyła w niebo. Chłopacy opowiadali kawały, co chwila wybuchając śmiechem.

„Mogłabym tu zostać na zawsze” – pomyślała dziewczyna.

Usłyszała chlupanie wody. To Wrona, Rudy i Kazik postanowili się wykąpać. Na trzy cztery skoczyli w slipkach z pomostu do jeziora.

– Piękna noc – szepnął Arek, który położył się obok niej.

– No – odparła.

– Komary nawet tak nie tną strasznie.

– Aha. – Julita nie miała specjalnej ochoty na rozmowę.

Przez chwilę leżeli w milczeniu. Dochodziły ich tylko pohukiwania i krzyki bawiących się w wodzie chłopaków.

– Wiesz, że jezioro Wdzydze nazywają kaszubskim morzem? – podjął Arek.

– Tak? – Julita ziewnęła.

– No. Bo takie jest wielkie.

– Fajnie – stwierdziła dziewczyna i dalej patrzyła w gwiazdy.

Wielki Wóz. Mały Wóz. Gwiazda Polarna.

Niespodziewanie poczuła na ramieniu jego palce.

– Co robisz?! – Podniosła się na łokciach i spiorunowała Arka wzrokiem.

– Nic, tak tylko, wiesz. Mówiłaś, że jakoś mi się odwdzięczysz – powiedział i złapał ją za brodę.

Poczuła w ustach jego język. Oddech chłopaka cuchnął piwem i czosnkiem. Arek przycisnął udem jej nogi i włożył rękę w majtki. Próbowwała się wyrwać, krzyknąć, ale nie miała siły. Zacisnęła powieki.

W tym momencie usłyszała głucho uderzenie. Ciało Arka przygniotło ją do ziemi. Otworzyła oczy. Nad nią stał Rudy. W dłoni trzymał polano.

Wrona właśnie do nich dobiegał. Chwycił Arka za ramiona, sprawnym ruchem podniósł z Julity i pchnął na bok.

– Chyba musimy się zmywać – stwierdził zziębnięty Kazik.

Woda kapała mu z włosów na twarz. Julita powiodła za jego przerażonym wzrokiem.

Arek leżał w dogasającym ognisku. Twarzą w żarze.

2014

1

– Proszę się uspokoić! – Cierpliwość komendanta Zdzisława Mączyńskiego powoli się kończyła.

Policjant wyciągnął się na krześle i założył ręce na potężnym brzuchu. Materiał koszuli rozszedł się pomiędzy guzikami. Mączyński westchnął. Weekend dożynkowy co roku dawał mu w kość. Przy okazji festynu lały się hektolitry wódki, a wiadomo – kto pije gorzałkę, ten dostaje małego rozumu. Ogniska przekształcają się w pożary, tańce przechodzą w bijatyki. Rozochoceni mężowie piorą żony albo, co gorsza, podminowane baby piorą mężów. Zoo normalnie. I jeszcze ten dzieciak. Był i nagle zniknął. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Rozpłynął się w powietrzu.

Komendant popatrzył na siedzącą przed nim Julię Sarman. Łzy ciekły jej po twarzy. Tusz rozmazał się na policzkach. Kobieta się trzęsła. Mączyński widział ją pierwszy raz. Czarnulka, zgrabna, całkiem „fifą”, jak zwykł mawiać w udawanej francuszczyźnie. Gdyby nie okoliczności, chętnie wystawiłby jej „mandat”.

– Czyli podejrzewa pani porwanie, tak? – skonstatował Mączyński z grymasem powątpiewania na twarzy i przejechał ręką szczeciniaste włosy.

– Tak, przecież tłumaczę! – Sarman znów zaniósł się płaczem. – Mówiłam już, że chwilę wcześniej spotkałam znajomego z dawnych lat. Najpierw wyzwał mnie od suk, a potem za mną szedł.

Mówiła z trudem, rozpaczliwie próbując opanować szloch.

– Czy może się pani uspokoić? Inaczej będziemy tu siedzieć do rana, a chyba wolałaby pani, żebyśmy w tym czasie szukali młodego, prawda? – Mączyński położył nacisk na przedostatnie słowo i spiorunował Sarman spojrzeniem.

Podziałało. Kobieta pokiwała głową, przetarła twarz zmiętą chusteczką i wyprostowała plecy.

– Czemu niby ten pani znajomy z dawnych lat miałby posunąć się do porwania? Obelgi to jedno, wiadomo, każdy jest nerwowy w tych dzikich czasach. Przemocy w telewizji się człowiek naogląda i potem go nosi. Ale

porwanie to, wie pani, już inna skala. Tego się nie robi ot, tak sobie. – Komendant zmienił pozycję i położył ręce na stole. Kilkakrotnie zacisnął dłonie w pięści, mimowolnie strzelając knykciami.

– Powiedzmy, że ten pan miał wobec mnie kiedyś pewne zamiary, a ja... cóż, wybiłam mu je z głowy. Dość skutecznie, że tak ujmę.

– Ehe. – Komendant przyjął do wiadomości. – Jednakowoż... – wymownie zawiesił głos – istnieje możliwość, że pani syn...

– Piotruś – wtrąciła.

– W rzeczy samej Piotruś samowolnie oddalił się z miejsca.

– Nie. Piotruś by tego nie zrobił. On zawsze się mnie słucha. To grzeczny, wspaniały chłopczyk, on nigdy by sam... – Głos kobiety znów zaczął się trząść. – Ktoś musiał go zmusić. To niemożliwe. To na pewno był Arek. – Sarman walnęła pięścią w stół.

Mączyński spojrzał na nią poirytowany. Julia wytrzymała jego wzrok. Przez kilkanaście sekund patrzyli sobie prosto w oczy, rozgrywając niemy pojedynek na spojrzenia. Komendant pierwszy odwrócił głowę.

– No dobra, sprawdź mi tego Arkadiusza... – powiedział do Waldemara Żaczka i pytająco zerknął na kobietę.

– Filipiaka – wydukała Julia.

– Filipiaka – powtórzył Mączyński.

Komisarz Żaczek zmrzył zielone oczy i otworzył wąskie usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale po chwili cmoknął, odkleił plecy od ściany i wyszedł z pokoju.

– Na tę chwilę mamy wszystko. Ubranie, znaki szczególne, zdjęcie. Ostatnie miejsce pobytu. Miejsce zamieszkania. Dane kontaktowe. Nasi ludzie już sprawdzają okoliczne szpitale. Wprowadziliśmy sprawę do systemu, więc informację o zaginięciu syna mają już wszystkie służby w kraju, łącznie z Itaką. Od roku dysponujemy systemem Child Alert, ale póki co nie widzę powodu, by go uruchomić. Jednym słowem działamy.

– Czy ja mogę jakoś pomóc? Coś zrobić? Przecież nie dam rady po prostu czekać, ja zwariuję... – Julia Sarman złapała się za głowę i zamknęła oczy.

Mączyński był pewien, że kobieta zaraz zacznie się kołysać jak dziecko z chorobą sierołą. Wielokrotnie widywał zdesperowane matki.

– Proszę iść do domu, na wypadek gdyby syn wrócił. Nigdy nie wiadomo, może ktoś go przyprowadzi? Powinna pani powiadomić rodzinę, przyjaciół, znajomych. Może mały do kogoś się odezwał, może ktoś coś będzie wiedzieć. No i przede wszystkim bliscy mogą pomóc

w poszukiwaniach. Działanie w grupie jest zawsze skuteczniejsze. Ma pani tutaj kogoś, do kogo mogłaby się pani odezwać?

Julia popatrzyła na niego nieobecny wzrokiem. Milczała przez dłuższą chwilę, po czym cicho odparła:

– Tak.

– No dobrze. W takim razie niech pani jedzie do domu. Odwiózłbym panią, ale sama pani rozumie, obowiązki. – Mączyński rozłożył ręce w bezradnym geście.

– Ja odwiozę panią Sarman.

Leopold Bilski podniósł się z krzesła. Mączyński spojrział na niego spode łba. Nie podobał mu się ten nowy prokurator. Wścibski jakiś. Natarczywy. Nie dał się wyprosić z pokoju. Będą z nim kłopoty. Mimo to komendant skinął głową w geście przyzwolenia i zmusił się do zdawkowego uśmiechu.

2

Leopold Bilski stanął przed budynkiem komendy. Przez białe chmury przykrywające niebo przebijało się słońce. Choć minęła dziewiętnasta, upał w ogóle nie zelżał. Prokurator rozejrzał się po parkingu i zdał sobie sprawę, że zostawił saaba przed blokiem. Z ulicy Sambora na Osiedle XX-lecia PRL-u było ponad pół kilometra. Dom Sarman znajdował się niewiele dalej, ale w przeciwną stronę.

Prokurator niepewnie spojrział na kobietę. Wciąż stała na schodach. Wyglądała na zagubioną.

– Zapomniałem, że nie przyjechałem samochodem – powiedział, uśmiechając się przepaszająco. – Może się przejdziemy?

Kobieta zeszła wolno po stopniach i stanęła obok niego. Wyglądała, jakby nie do końca wiedziała, co się dzieje. Leopold ruszył niespiesznie przed siebie, a ona posłusznie podreptała za nim.

Szli chodnikiem, mijając stojące wzdłuż ulicy domy. Po dwustu metrach zabudowania się skończyły i weszli w las.

Julia Sarman powłóczyła nogami, jakby opuściły ją resztki sił. Wbijała wzrok w ziemię. Nagle oprzytomniała. Spojrzała na Bilskiego szeroko otwartymi oczami i wykrzyknęła spanikowana:

– Muszę wrócić do parku! Piotruś na pewno tam na mnie czeka.

Leopold natknął się na Sarman, gdy szedł w stronę cmentarza. Kobieta, z którą kilka dni wcześniej minął się w drzwiach Trulôcza, biegła jak

opętana przed parkiem Solidarności, wykrzykując imię synka. Przez trzy godziny Bilski też biegał między stoiskami ze zdjęciem chłopca wyświetlonym na komórcę, wypytywał o zaginionego każdego spotkanego człowieka, wszedł nawet na scenę, zabrał mikrofon kandydatce na miss usilnie starającej się opowiedzieć, co zmieniłaby na świecie, gdyby wygrała konkurs, i poprosił, by wszyscy rozejrzeli się za siedmioletnim chłopcem w niebieskiej koszulce i spodenkach z nadrukiem z bajki *Tom i Jerry*. Na widowni nastąpiła chwilowa konsternacja, ludzie zaczęli popatrywać na boki, w końcu ktoś krzyknął: „Zabierzcie pajaca ze sceny!”. Ktoś inny dodał: „Dajcie miski!”. Padło też: „Pokażcie cycki!”. Ostatecznie prowadzący wyrwał Bilskiemu mikrofon i stwierdził, że najlepszym wyjściem z sytuacji będzie opowiedzenie nieśmiesznego żarciku. W tym czasie Julia Sarman czatowała przy bramie. Za żadne skarby nie chciała się ruszyć z miejsca.

– A co, jeśli Piotruś jest już w domu? – spytał teraz Leopold. – Może faktycznie ktoś go przyprowadził.

Kobieta przyspieszyła tak gwałtownie, że Bilski z trudem za nią nadążał. Morze wypitego ostatnio alkoholu i wagony spalonego tytoniu dawały mu się we znaki. Serce zatrzepotało mu w piersiach, a przed oczyma na chwilę stanęły mroczki.

„Ja pierdole – pomyślał, z trudem opanowując zawroty głowy. – Baba mnie wykończy”.

W końcu dotarli na miejsce. Julia wpadła do domu i wykrzykując imię syna, sprawdzała pokoje. Wyskoczyła do ogrodu, zbiegła nad jezioro, wróciła i ponownie przeszukała oba piętra. Piotrusia nie było. Usiadła na schodach i zaczęła płakać. Po chwili wstała.

– Jadę do parku – powiedziała. – Albo do Arka. Tak, jadę do Arka. To on musiał zabrać Piotrka. To na pewno on. Piotruś musi być przerażony, on...

Bilski złapał Julię za rękę, ale wyrwała mu się i ruszyła w amoku ku drzwiom. Prokurator dogonił ją i objął od tyłu. Czytał kiedyś o wykorzystywanej przez niektórych terapeutów technice relaksacyjnej wykorzystującej fakt, że ciało i umysł wzajemnie na siebie oddziałują. Uspokajające działanie holdingu miało się brać z tego, że mocny, ciągły i jak najciaśniejszy ucisk większej powierzchni ciała odciąża współczulny układ nerwowy, spowalniając bicie serca. Leopold przytulał zatem Julię tak mocno, jak tylko mógł bez zadawania jej bólu.

Początkowo Sarman szamotała się w jego uścisku, próbując uwolnić rękę i niemal wyjąc. Jednak po trzydziestu sekundach tej rozpaczliwej

walki jej oddech się uspokoił, a ciało zaczęło się poddawać.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie – powiedział Bilski. – Piotruś zniknął. Nie wiadomo, czy się zgubił, czy jak twierdzisz, ktoś go uprowadził. Bez względu na to, co się stało, musisz się teraz skupić. Twoim zadaniem jest odnalezienie syna. Nerwy i panika ci w tym nie pomogą. Musisz się uspokoić i wyznaczyć sobie zadania. Postępować metodycznie. Nie ma czasu na załamania, na łzy, na rwanie włosów z głowy, rozumiesz? Tym nic nie osiągniesz. Popłaczesz sobie później, jak już go odnajdziesz, okej? Teraz masz zadanie. Tylko to się liczy. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Tak – szepnęła Julia. – Rozumiem.

Jej głos był zdecydowanie bardziej opanowany. Leopold zaczął zwalniać uścisk.

– A teraz weź długopis i kartkę – powiedział – i spisz wszystkie osoby, do których możesz się zwrócić. Spisz wszystkich wrogów, którzy przychodzą ci na myśl. Spisz każdego, kogo spotkałaś podczas festynu, każdego, kogo kojarzysz, kto mógł coś widzieć, z kim można by porozmawiać. Spisz wszelkie detale, które przyjdą ci do głowy. Kolory, twarze, ubrania, rozmowy, słowem wszystko, co zapamiętałaś z dzisiejszego dnia. Jeśli Piotruś się tylko zapodział, to tę kartkę niebawem podrzemy. Jeśli rzeczywiście został przez kogoś zabrany – Bilski starał się uważnie dobierać słowa, omijając określenia, które mogłyby znów wywołać u niej panikę – ważny jest każdy szczegół. Czasami rozwiązanie sprawy zależy od drobiazgu.

Julia pokiwała głową. Leopold wypuścił ją w końcu z objęć, a ona podeszła do stołu i chwyciła długopis.

3

Silnik saaba cicho zamruczał. Leopold Bilski zmrużył oczy – uwielbiał ten dźwięk. Przez jego ciało przetoczyła się fala zadowolenia. Wcisnął gaz i ruszył. Zmierzał na Chmielenką.

Filipiak... Gdy na komendzie usłyszał to nazwisko, na chwilę zdębiał. Arkadiusz Filipiak, którego Julia podejrzewała o uprowadzenie Piotrka, był synem organisty, z którym Leopold chciał sobie dzisiaj uciąć pogawędkę o Amelii Stępień. Ciekawy zbieg okoliczności.

Prokurator uśmiechnął się półgębkiem. Dawno już nie czuł się tak podekscytowany. Coś mu podpowiadało, że sprawa zniknięcia dzieci jest bardziej skomplikowana, niż się z początku wydawało. Doświadczenie

zawodowe nauczyło go, że w śledztwie nie ma zbiegów okoliczności. Jak mawiał profesor Halicki, na którego pasjonujące wykłady z kryminalistyki Bilski uczeszczał nawet po ukończeniu studiów: „Na płaszczyźnie przestępczej nie istnieją przypadki, są jedynie tropy kształtujące mapę zbrodni”.

To dla tych emocji został prokuratorem, choć ostatnio zaczynał żałować, że nie wybrał pracy w policji jak ojciec. Coraz bardziej doskwierało mu siedzenie przy biurku i papierkowa robota. Prawdziwego kopa dawała mu praca w terenie. Nie było nic lepszego od złapania tropu, a teraz miał pewność, że coś zwęszył.

Zmierzchało. Pierzaste chmury zabarwiły się na czerwono. Bilski zaparkował przy parku Solidarności. Tu i ówdzie stały jeszcze ostatnie grupki ludzi, choć park w zasadzie opustoszał. Na ziemi wały się plastikowe kubeczki i opakowania po chipsach. Leopold wysiadł z auta i oparł się o karoserię. Skrzyżował ręce.

Pachniało latem. Powietrze stało w miejscu, zapowiadając nadejście kolejnej burzy. Prokurator przejechał ręką po wilgotnej od potu brodzie i rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki, która by mu odpowiedziała, co się stało z Piotrusiem. Nic jednak nie budziło podejrzeń. Bilski przespacerował się w tę i we w tę. Wpatrywał się w ziemię, choć wiedział, że nawet jeśli były na niej jakiś ślady, to wszystkie zostały zdeptane. Wzgórze Wolności, na którym znajdował się park, stanowiło po imprezie jedno wielkie pobojuwisko.

Leopold wszedł do auta i ruszył w stronę cmentarza. Po obu stronach drogi ciągnęły się szpalery liściastych drzew. W oddali mignęły mury eremu kartuzów i kolegiaty. Dojechał do przeciętej na pół przez ulicę nekropolii i skręcił w lewo w Chmieleńską.

Dom stał na niewielkim wzgórzu pod lasem. Drzwi otworzył mu starszy wychudzony mężczyzna z dużym, krzywym nosem. Przerzedzone włosy zaczesane na pożyczkę raczej eksponowały łysinę, niż ją zasłaniały.

– Syn wyszedł – mruknął nieprzyjaźnie, patrząc na Bilskiego spode łba.
– Zresztą policja już u nas była.

– Dzień dobry. Prokurator Leopold Bilski. Mam tylko kilka dodatkowych pytań, jeśli można. Kiedy syn wróci?

Organista zmarszczył brwi, wciąż niechętnie mierząc go wzrokiem.

– Prokuratora wysyłają, żeby w niedzielę po domach chodził? Dziwne jak cholera.

Sięgnął po legitymację, którą wyciągnął Leopold, i bacznie się jej przyjrzał.

– Faktycznie to wbrew praktyce – powiedział Bilski. – Ale sprawa jest pilna, rozumie pan. Zaginęło dziecko, a nawet dwoje dzieci.

– Dwoje, pan mówi? – Radosław Filipiak zrobił zdziwioną minę. – No dobrze, zapraszam. Syn tylko do Żabki wyszedł, tu niedaleko. Zaraz powinien być.

Wpuścił Leopolda do środka i skierował do pokoju.

– Wody może pan chce? Spiekota jak diabli.

Prokurator skinął głową, a organista zniknął za drzwiami. Bilski rozejrzał się po pomieszczeniu. Kultowy mebel peerelu – meblościanka na wysoki połysk – zajmował całą jedną ścianę. Po przeciwnej stronie stały stół nakryty haftowanym obrusem i keyboard na stalowych nóżkach. Nad stołem, na honorowym miejscu, wisiała tania kopia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej z Dzieciątkiem w złotej masywnej ramie. W oknie białe firany. Dopiero po chwili Leopold zobaczył staruszkę siedzącego na fotelu w kącie, nieruchomo patrzącego przed siebie.

– To mój ojciec – wyjaśnił Filipiak, wchodząc do pokoju. – Całe życie był grabarzem. Tu na cmentarzu. Na artretyzm cierpi. Udar miał. Niewiele już kontaktuje. Pan siądzie.

Postawił szklanę wody na stole i wskazał Bilskiemu krzesło.

– A pan organista, jak słyszałem? – Leopold podszedł do keyboardu i odczytał: – Yamaha. Dobry model?

– E, taki tam. Dla syna kupiłem, żeby się uczył, ale do muzyki go nie ciągnęło niestety.

Bilski ze zrozumieniem pokiwał głową, sięgnął po szklanę i wypił wodę duszkiem. Dopiero wtedy usiadł na krześle.

– Amelię Stępień pan kojarzy?

Radosław Filipiak wydał mięsiste usta.

– Amelię? A i owszem. Śpiewa u nas w chórze. Sporadycznie w sumie. W wakacje. A czemu pan o nią pyta?

– A kiedy ostatnio pan ją widział? – Bilski zignorował pytanie organisty.

– Hmm. – Filipiak się zastanowił. – W środę.

– W ostatnią środę, cztery dni temu? – Leopold starał się zachować kamienną twarz.

– Uhm. O dziewiętnastej mieliśmy próbę chóru. Pojawiła się jakąś godzinę wcześniej, pamiętam, bo się zdziwiłem, że tak szybko przyszła. Ale ona powiedziała, że dzisiaj nie zostaje i że księdza Wojciecha tylko szuka. Ja na to, że ksiądz jest chyba u siebie w domu, i ona poszła.

– Jak była ubrana? – zapytał Bilski.

– O Matko Przenajświętsza! A bo ja wiem? Nie patrzyłem. Jakbym miał strzelać, to... jakąś czarną koszulkę i krótkie spodenki.

– Czy wiedział pan, że Amelia Stępień zaginęła dokładnie w środę dwudziestego siódmego sierpnia?

– Nie, a gdzie tam? Nikt nic nie mówił wcześniej – zmartwił się Filipiak.

– Czy zauważył pan coś podejrzanego w jej zachowaniu?

Siedzący w kącie ojciec organisty nagle stęknął i zaczął przeciągle jęczeć.

Radosław Filipiak podniósł się ciężko z krzesła, wyjął z zamykanej na klucz szafki strzykawkę i napełnił ją płynem z małej buteleczki. Podniósł nogawkę dresu na nodze ojca i wbił igłę w łydkę. Bilski zwrócił uwagę, że koścista noga starca jest cała w fioletowych plamach.

– Na uspokojenie – wytłumaczył organista.

– A więc, wracając do tematu... – podjął Leopold.

– Nie, raczej nie. Zawsze taka jakaś rozkojarzona się wydawała, jakby trochę nieobecna. Jej babka mówiła mi raz, że jakieś tam kłopoty z nią były.

– A może zauważył pan kogoś podejrzanego kręcącego się tego dnia na terenie kościoła?

– Nikogo obcego nie widziałem. Dzień jak co dzień.

– Syn bywał na tych próbach chóru?

– Gdzie tam, mówiłem przecież, że muzyka go w ogóle nie interesuje.

– A czy mógł gdzieś poznać Amelię Stępień?

– Co pan mi tu! – oburzył się organista. – Arek nie miał jak poznać Amelii – kategorycznie stwierdził Filipiak. – Nie rozumiem zresztą, do czego pan...

– Amelii? – W drzwiach pojawił się postawny czterdziestoparoletni mężczyzna. Jego twarz pokrywały blizny. Skóra na policzkach, czole i nosie była różowa i błyszcząca. – Myślałem, że interesuje was Julita. To nie bachor tej suki zaginął?

– Arek! – upomniał go ojciec. – Pan wybaczy, ale syn ma pretensje do tej kobiety.

– Pretensje?! Widzi pan moją twarz? Raczej trudno nie zwrócić uwagi, prawda? To jej sprawka! Ona mi to zrobiła! Gdyby nie ona, moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej! – krzyknął wzburzony.

– Może miała dobry powód, co? – spytał Leopold beznamiętnym tonem.

Blizny na twarzy Filipiaka podbiegły czerwienią. Mężczyzna zacisnął pięści. Widać było, że walczy ze sobą, by nie rzucić się na prokuratora.

– Ja już wszystko mówiłem Żaczkowi, to znaczy policjantowi. Nie wiem, co się z gówniarzem stało. Po spotkaniu z tą suką, od razu wyszedłem z parku i poszedłem na piwo do Zagłoby. Siedziałem tam ze dwie godziny. Barman potwierdzi. A potem wróciłem do domu. Tata tu był, też może potwierdzić.

– Czy zna pan Amelię Stępień? – Bilski zmienił temat.

– Kogo znowu, kurwa? – Filipiak rytmicznie zaciskał i rozluźniał pięści.

– Trzynastoletnia Amelia Stępień, śpiewała w chórze u pana ojca. Widział ją pan kiedyś? – Leopold wyciągnął komórkę i podsunął mu zdjęcie pod nos.

Arek zerknął na wyświetlacz.

– Nie, kurwa, nigdy jej nie widziałem.

Prokurator schował telefon do kieszeni.

– Na dzisiaj to tyle – stwierdził. – Ale nie wykluczam, że jeszcze się zobaczymy w najbliższych dniach. Bardziej formalnie – ostrzegł, świdrując Arka wzrokiem.

Chwycił klamkę i zadał ostatnie pytanie organiście:

– A tego księdza to, jak pan myśli, po co dziewczynka szukała?

Organista wzruszył ramionami.

– Może wypowiadać się chciała? Skąd ja mam wiedzieć?

Schorowany grabarz znów przeciągle jęknął. Gdy Bilski odwrócił w jego stronę głowę, starzec patrzył wprost na niego.

4

Dźwięk rozległ się gdzieś za ścianą i po chwili ucichł. Chłopczyk z trudem otworzył oczy. Powieki miał tak ciężkie, że zdołał je unieść ledwie o milimetr lub dwa. Przez wąską szparkę dojrzał brudny materac. Z wysiłkiem uchylił powieki szerzej.

Starał się zrozumieć, gdzie jest i jak się tu znalazł. Pamiętał, że biegł, a mama była tuż za nim. W końcu stanął przy bramie. Ktoś chciał się przywitać, wyciągnął rękę i w tym momencie świat się rozpląnął.

Kręciło mu się w głowie. Otaczające go szare ściany nachodziły na siebie jak obrazki w kalejdoskopie. Piotruś wyteżył wzrok. W półmroku dostrzegł twarz. Chciał krzyknąć, ale nie mógł – w ustach miał knebel. Znów skupił wzrok. Wpatrujące się w niego oczy nie wyglądały strasznie. Były duże, niebieskie i ładne. Ich właścicielka – drobna blondynka

z włosami do połowy pleców – wyglądała na starszą od niego o kilka lat. Też była zakneblowana i tak jak on miała związane nadgarstki.

Prawą kostkę dziewczynki opasywała ciasna obręcz. Odchodzący od niej metalowy łańcuch przytwierdzono drugim końcem do masywnego haka oczkowego zabetonowanego w ścianie. Po chwili Piotruś zorientował się, że jego prawa kostka jest uwięziona w ten sam sposób. Z całej siły pociągnął za łańcuch, lecz nic to nie dało.

Ile tu siedział? Mama musiała umierać z niepokoju. Zawsze mu powtarzała, żeby nie ufał nieznajomym, nie brał cukierków od obcych ani nie wsiadał z nimi do samochodów. Ale przecież to naprawdę nie była jego wina, że się tu znalazł. Miał nadzieję, że mama zrozumie.

Oczy mu się zaszklily, ale chłopiec powstrzymał łzy. Nie będzie płakać przy dziewczynie. Mogłaby sobie pomyśleć, że jest mięczakiem. A Piotrek mięczakiem nie był. Najlepszy w zajęciach sprawnościowych; najdalej wybijał piłkę bejsbolową i najszybciej zaliczał wszystkie bazy.

Dziewczynka z trudem podniosła się z materaca i usiadła na podłodze, naciągając łańcuch do granic możliwości. Piotruś zebrał resztki sił i zrobił to samo. Gdyby nie mieli skrępowanych za plecami rąk, mogliby się dotknąć. Siedzieli tak przez chwilę, przyglądając się sobie nawzajem. I wtedy Piotruś skojarzył. Przecież to była ta dziewczynka ze zdjęcia! Amelia, lat trzynaście, metr pięćdziesiąt pięć. Zaginęła w środę – przypomniał sobie.

Dziewczynka odgięła się w bok i związanymi w nadgarstkach dłońmi z trudem podważyła materac.

Oczom Piotrusia ukazał się nóż.

I wtedy dziewczynka puściła do niego oko. Trochę nieporadnie, podnosząc do góry policzek. Niemal jak jego tata. Piotruś pokiwał głową i odpowiedział tym samym. Poczuł się trochę lepiej.

W tym momencie zgrzytnęła przesuwana zasuwka.

5

Dom wydał jej się dużo większy niż wtedy, gdy patrzyła na niego ze wzgórza. Julia Sarman od kwadransa stała pod drzwiami.

W nocy prawie w ogóle nie spała. Po wyjściu Bilskiego zjawił się policyjny psycholog, który przez niemal godzinę tłumaczył jej, jak powinna się czuć.

– Znalazła się pani w sytuacji kryzysowej – mówił. – Nikt nie jest przygotowany na zaginięcie bliskiej osoby, dlatego to jest takie trudne. Może pani doświadczać szoku i przerażenia. Ogarnie panią poczucie bezradności. To normalne.

Już po pierwszych kilku wygłoszonych przez niego banałach Julia uznała, że prokurator Leopold Bilski był o niebo lepszym psychologiem.

Sen zmorzył ją tylko na chwilę, ale akurat wtedy do drzwi zapukali policjanci z prośbą o kilka sztuk garderoby Piotrusia, by psy tropiące poznały jego zapach. Potem przez wiele godzin siedziała na tarasie zawinięta w koc i wpatrywała się w jezioro. Nashuchiwała. Każdy szelest podrywał ją z fotela. Biegła do drzwi wejściowych z nadzieją, że zobaczy w nich Piotrusia, i raz po raz wchodziła do jego pokoju, łudząc się, że może to wszystko jej się przyśniło, a synek jest u siebie, cały i zdrowy. Bezpieczny. Brała w ramiona poduszkę, na której od kilku dni spał Piotruś. Tuliła ją i wachała. Poduszka pachniała chłopcem.

Nigdzie nie mogła znaleźć ukochanej maskotki synka. Nie przypominała sobie, by dawała ją funkcjonariuszom, choć wszystko działo się tak szybko, że nie była pewna, co właściwie policjanci zabrali. Piotrek spał z Kicusiem, od kiedy skończył pół roku. Czy będzie w stanie bez niego zasnąć? Czy ma chociaż poduszkę? Czy jest mu wygodnie? Czy...

Julia zacisnęła powieki i spróbowała opanować rozedrgane ciało. Musiała się skupić. Nie mogła się rozklejać. Musiała myśleć trzeźwo.

Odczekała, aż nastanie ranek, wsiadła do wypożyczonego przez Matyldę opla astry i zajechała pod ogrodzoną murem posiadłość. Furtka była zamknięta, więc Julia sięgnęła ręką pomiędzy sztachety i od środka odblokowała skrzydło bramy. Stara sprawdzona metoda, którą stosowała już jako dziewczynka.

Nie widziała matki od prawie trzydziestu lat. Nie skończyła nawet czwartej klasy liceum. Po prostu wyjechała. Zaczepiła się w Gdańsku jako barmanka. Potem Poznań, Warszawa, Łódź. Nic jej nigdzie nie trzymało. Pracę w barze czy restauracji można było dostać wszędzie. Nawet w Nowym Jorku.

Rodzice nigdy jej nie szukali. Przynajmniej tak sądziła. Wiedziała, że gdyby naprawdę chcieli, to bez problemu by ją namierzyli. Wynajęcie detektywa nie jest przecież takie trudne. A już na pewno nie dla wpływowej i zamożnej przewodniczącej Rady Narodowej, teraz pani burmistrz.

Julia co jakiś czas śledziła, co u nich słychać, nie wiedząc, po co to robi. Dzięki temu, że matka sprawowała funkcję publiczną, było to łatwe.

Po wyborach samorządowych w 2006 roku Fabiola Burchardt objęła stanowisko „gospodyni miasta”, jak zwykła się nazywać w wywiadach, których chętnie udzielała. Obecnie sprawdzała się w tej roli już drugą kadencję. Marek Burchardt zmarł dwa lata temu na zawał.

Julia przełknęła ślinę. Wielokrotnie wyobrażała sobie to spotkanie. Przez ostatni miesiąc układała w głowie wszelkie możliwe scenariusze. Co powie matka, co powie ona. Ale nadal nie czuła się gotowa. Bała się, że gdy tylko przekroczy próg domu, nie będzie w stanie nic powiedzieć. Już teraz drżała i miała mdłości.

Wdusiła dzwonek. Jego ostry dźwięk przeciął ciszę poranka. Po chwili na progu stanęła jej matka. Czarne loki miała starannie upięte w kok. Obszerna tunika, opadając na spodnie cygaretki, kamuflowała obfite kształty matki.

– Julita – powiedziała beznamiętnym tonem Fabiola i cofnęła się, robiąc przejście. Nie wyglądała na szczególnie zdziwioną.

Julia powoli przeszła przez próg, a wspomnienia oblepiły ją jak muchy. Nie potrafiła strząsnąć ich ze skóry.

Matka poprowadziła ją do dużego pokoju. Przez te wszystkie lata niemal nic się tu nie zmieniło. Komoda na wysoki połysk przykryta dzierganą serwetą, na której poustawiano w równiutkim szeregu kilkanaście porcelanowych figurek z Ćmielowa – kotki, pieski, byczki, żyrafy, a nawet mamuty. W oknach ciężkie zasłony we wzór kaszubskiego tulipana, w rogu długa szafka z rumuńskiego kompletu Bilea. Jedyną nową rzeczą, jaką spostrzegła, była mleczna sofa, która zastąpiła zieloną czechosłowacką kanapę. Parkiet zaskrzypiał pod jej nogami dokładnie w tym samym miejscu co zawsze. Wiekowy zegar z takim samym pustym brzmieniem odmierzał czas.

Julia przystanęła przed ścianą. Z obrazu spojrzała na nią Matka Boska Bolesna. Sarman przyjrzała się wiszącym obok zdjęciom. Mała Andżelika siedząca na nocniczku. Mała Andżelika w stroju księżniczki na balu przebierańców. Mała Andżelika w ramionach rodziców. Było też zdjęcie matki stojącej w tłumie witającym papieża Jana Pawła II na lotnisku w Rębiechowie w 1999 roku i matki ściskającej rękę kolejnym prezydentom. Załapała się fotografia ślubna rodziców. Na żadnym ze zdjęć Julia nie dojrzała siebie, choć pamiętała, że dawniej było tu kilka przedstawiających ją fotografii.

Przez chwilę panowała cisza. Fabiola Burchardt usiadła przy stole i złożyła ręce jak do modlitwy.

– A więc wróciłaś – stwierdziła.

– Wróciłam.
– Ojciec nie doczekał. – Matka pokiwała głową.
– Wiem – odpowiedziała Julia i chrząknęła, by pozbyć się nieprzyjemnego uczucia ściśniętego gardła.

– Może to i dobrze – kontynuowała Fabiola. – Miał słabe serce. Na pewno dużo by go kosztowała ta wizyta.

Julii stanęły w oczach łzy; matka zawsze wiedziała, jak ją zranić. Zignorowała jednak zaczepkę i odezwała się najspokojniejszym tonem, na jaki było ją stać:

– Zaginał mój synek. Wczoraj na dożynkach.

Gdy usłyszała wypowiedziane przed chwilą przez siebie zdanie, coś ścisnęło ją w piersi tak mocno, że ledwo mogła zaczerpnąć powietrza.

Fabiola Burchardt przyjrzała się Julii bez cienia współczucia.

– I to z tej okazji dowiedziałam się, że mam wnuka.

– To nie tak... – zaczęła Julia.

Nagle poczuła się bardzo zmęczona, jakby każde wypowiedziane słowo stanowiło nieznośny ciężar. Popatrzyła z niedowierzaniem na matkę i poczuła gniew. Jak Fabiola to robiła, że każda ich rozmowa prędzej czy później kończyła się kłótnią? Nikt nie potrafił tak wyprowadzać Julii z równowagi jak ona.

– Zresztą to nieważne. Ważne jest to, że Piotruś zniknął i nie wiem, gdzie teraz jest. Być może coś mu grozi. To jest ważne, a nie to, kiedy dowiedziałas się o jego istnieniu! – podniosła głos.

W środku aż wrzała.

– Nic się nie zmieniaś – stwierdziła sucho Fabiola. Jej twarz pozostała bez wyrazu. – Niektórzy ludzie nie nadają się do bycia rodzicami. Trzeba być zrównoważonym, jeśli chce się wychowywać dziecko, inaczej łatwo o nieszczęście.

Julię zmroziło. Choć wizualizowała sobie spotkanie z matką tysiąc razy, nigdy nie pomyślała, że ta może zachować się tak podle. Zbliżyła się do kobiety i poczekała, aż Fabiola podniesie wzrok.

– Coś o tym wiesz, nieprawdaż?

Jej głos był pełen jadu.

6

Dziki żerowały na skraju lasu. „Piąty, szósty, siódmy... i tam ósmy” – policzył w myślach. Zwierzęta spokojnie ryły w ziemi w poszukiwaniu

pożywienia. Nawet z tej odległości słyszał ich chrumkanie. W tle śpiewały ptaki. „Piękny dzień” – pomyślał. Rzadko o tej porze roku było tak ładnie. Rozejrzał się wokół. Słońce powoli wdrapywało się na niebo. Ani jednej chmurki. Liście na drzewach nadal zielone. Fajnie, ciepłutko. Lubił to. Życie zgodnie z naturą. Spokój. To najbardziej cenił w Kaszubach. Blisko wielkich miast, ale jednak na uboczu – wokół lasy, jeziora, dzikie zwierzęta.

Wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze z płuc. Tu nawet oddychało się inaczej. Powietrze czyściutkie, pełne jodu znad morza. No fajnie było, fajnie.

Uwielbiał przyrodę. Nic innego nie dawało mu takiej radości. Siły witalne, energia, odporność. To wszystko jej zasługa. Jak zdrowie szwankuje, to znaczy, że człowiek ma za mało kontaktu z naturą, że w domu za dużo siedzi, przed telewizorem, w internecie. Wystarczy wyjść na dwór, skupić wzrok na detalu, wsłuchać się w świat, chwilę pobyc tu i teraz. Czytał ostatnio, że spędzanie czasu na terenach zielonych obniża ryzyko przedwczesnej śmierci, cukrzycy, chorób układu krążenia, a także wydłuża sen. Same zalety. Od razu problemy znikają.

Mężczyzna musiał zmienić pozycję, bo poczuł, że od długiego leżenia drętwieje mu noga. Powoli przesunął kolano do przodu. Spojrzał przez lornetkę na dziki. Nic nie usłyszały. Nadal spokojnie jadły, przekopując ryjami ziemię. „Ładne są – pomyślał – dorodne, brązowe, z paskami ciemniejszej sierści na grzbiecie. Takie jak trzeba”. Słyszał, że jakiś czas temu leśniczy z Pniew natrafił na watahę, w której był jeden albinos. Wszystkie dziki ciemno umaszczone, a ten jeden cały biały i w kropki na dodatek. Ta natura to zaskakiwać potrafi, no potrafi. Mężczyzna pokiwał głową. Chciałby spotkać takiego odszczepieńca. Ale tym tutaj też niczego nie brakowało. Bez dwóch zdań.

Oparł się na łokciach. Znów podniósł lornetkę do oczu i zachwycony przyglądał się dzikom. Silnie rozwinięty przód ciała, muskularna szyja, tarcza ryjowa, wysoko osadzone sterczące uszy. Przejechał lornetką po szczeciniastym tułowiu, dotarł do wyraźnie niższego zadu, przyjrzał się zakończonemu pękiem długich włosów ogonowi.

Piękno. Piękno w najczystszej postaci. Pierwotna surowość w sylwetce. Większość ludzi widziała w tych zwierzętach po prostu dzikie świnie. Dla niego stanowiły uosobienie dostojeństwa, siły i sprytu. Trzeba było dużej wiedzy i zręczności, by się do nich niepostrzeżenie zbliżyć.

Mężczyzna odłożył na ziemię lornetkę i sięgnął po leżącą tuż obok dubeltówkę. Zawsze polował przy użyciu dubeltówki. Nie sztucera, nie

boka, ale horyzontalnej, klasycznej gładkolufowej flinty nabitej kulami W8. Nikt dotąd nie zdołał przekonać go do zmiany broni na któryś z rzekomych cudów współczesnego rusznikarstwa.

Dziki nadal stały spokojnie. Nie musiał oddawać strzału z wyprzedzeniem. Wybrał największego odyńca i przez chwilę zastanawiał się, czy strzelić za ucho, w kark czy na komorę. W końcu zdecydował się na komorę. Pociągnął na spust. Huknęło. Zwierzęta podskoczyły i rzuciły się do ucieczki.

Trafiony kulą odyniec przewrócił się na ziemię. Przez moment jeszcze zabawnie fikał racicami w powietrzu, aż w końcu znieruchomiał.

Mężczyzna odłożył strzelbę. Przeturlał się na plecy. Głęboko wciągnął powietrze i popatrzył na bezchmurne przejrzyste niebo.

7

Prokuratura Rejonowa w Kartuzach mieściła się w malowniczym budynku z początku dwudziestego wieku. Anna Górską zaparkowała przy drewnianej przybudówce z ażurowymi zdobieniami i wyłączyła muzykę. W uszach nadal grzmiał jej kawałek ulubionego sopockiego zespołu. Mało kto wiedział, że zdyscyplinowana młoda prawniczka uzyskująca najlepsze oceny na roku gustuje w tak mocnych brzmieniach.

Nerwowo postukała palcami o kierownicę. Wzięła głęboki wdech i wysiadła. Uderzyła ją fala gorąca. Różnica temperatur pomiędzy klimatyzowanym wnętrzem auta a skwarem na zewnątrz była miazdząca.

Anna wbiegła po schodkach przybudówki prowadzącej do prokuratury i skierowała się do pokoju Bilskiego.

Leopold rozmawiał przez telefon. Gdy ją zobaczył, zapraszająco kiwnął ręką. Cienie pod oczami i bujny zarost dodawały mu lat. Ale poza tym wyglądał nad wyraz dobrze.

– Mamy, mamy – powiedział Bilski do słuchawki. – Ale wyznaję zasadę podwójnej weryfikacji. Znasz mnie. Zresztą – zniżył głos – jakoś nie mam zaufania do tych miejscowych funkcjonariuszy. Wydają mi się – chrząknął i zawiesił wzrok na pracującym w drugim końcu pokoju Marku Czerniakowi – nieobiektywni, że tak to ujmę... No... No... Tak, dzięki, Kita. Masz u mnie dług. Co? Tak, wiem, że nie pierwszy. Yhm. Co zechcesz... Pewnie, tylko dopiero jak wygram w totka. No. Nara.

Bilski odłożył słuchawkę i błysnął zębami. Uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, wydał się Ani przesadny.

- Usiądziesz? – zapytał i wskazał jej krzesło po drugiej stronie biurka.
- Wolałabym nie – odparła. – Trochę mi się spieszy.
- Myślę, że jednak powinnaś usiąść – zasugerował Leopold.

Górska podniosła brew.

– Jakież nowe ustalenia? – zapytała i posłusznie zajęła wskazane krzesło.

Założyła nogę na nogę i machinalnie odrzuciła kosmyki opadające na jej twarz.

– Tak jak mówiłem przez telefon, organista potwierdził, że widział Amelię Stępień w dniu zaginięcia. Sprawdziliśmy monitoring z rynku. Jedna z kamer faktycznie wyłapała dziewczynkę idącą tego dnia w stronę kościoła. Niestety rusztowanie sceny ustawione na rynku w związku z dożynkami zasłoniło kamerę skierowaną na kościół, więc nie wiemy, czy Amelia weszła do środka, a jeśli tak, to czy potem wyszła i ewentualnie o której. W każdym razie niewątpliwie trzeba rozszerzyć poszukiwania na teren Kartuz. Udało się Pająkowi wyłowić coś z telefonu?

– Nic ciekawego. Od dłuższego czasu z nikim nie esemesowała. Nie miała Instagrama, konto na Facebooku skasowała w połowie wakacji. Zresztą niewiele tam wcześniej wrzucała. Ale udało się ustalić kilka interesujących rzeczy. Koleżanki, z którymi według zeznań rodziców miała spędzać czas, nie widziały jej od zakończenia szkoły. Mówią, że się od nich odcięła. Pisała i dzwoniła jeszcze na początku wakacji, jak pojechała do babci, a potem nagle cisza. Nie odpisywała, nie odbierała. Raz do jednej z nich wysłała wiadomość, że nic nie ma sensu. Najwyraźniej przeżywała jakiś kryzys. Rodzice twierdzą, że to z powodu dojrzewania córka miewała humory. Moim zdaniem ewidentną depresję zrzucili na karb buzujących hormonów. Wywiad środowiskowy przeprowadzony przez Kitę nic nie wykazał. Żadnych awantur, przemocy domowej ani nadużywania alkoholu.

– Obniżony nastrój, niezrozumienie w rodzinie, izolacja społeczna, brak poczucia sensu. Faktycznie klasyczna deprecha – podsumował Bilski. – Czyli co, podtrzymujecie tezę o ucieczce?

– Hmm, sama nie wiem. Mam wrażenie, że coś tu nie gra. Nawet jeśli rzeczywiście uciekła, to w sprawie jest jakieś drugie dno. Tym bardziej że babcia kręci. Czemu ściemnia, o ile ściemnia, że nie widziała wnuczki w dniu zaginięcia? Tak jakby nie zależało jej na tym, żeby się znalazła. Przecież to nielogiczne. Tak czy siak dziewczynka od kilku dni jest poza

domem i trzeba ją odnaleźć. Mało to debili chodzi po świecie? Przecież wszystko może się wydarzyć.

Bilski przytaknął. Zerknął ponad Anią w kąt gabinetu i konspiracyjnym tonem powiedział:

– Słuchaj tego. Wczoraj podczas imprezy dożynkowej zaginął siedmioletni chłopiec.

Ania wysoko podniosła brwi. Leopold znów rzucił okiem na Czerniaka. Rudzielec udawał, że pisze coś na komputerze, ale Bilski był pewien, że intensywnie nadstawia uszu. To on koniecznie chciał prowadzić sprawę Piotrusia Sarmana. Rano doszło z tego powodu do ostrej awantury w pokoju szefa. Czerniak się wściekł, że to Leopold dostał śledztwo w sprawie porwania dzieciaka, chociaż jest nowy i w ogóle nie zna miasta. A przecież to on ma najdłuższy staż w biurze. Bilski argumentował, że to on znalazł się na miejscu zdarzenia, spędził tam długie godziny, poszukując chłopca, następnie był obecny podczas składania zawiadomienia o zaginięciu, jednym słowem znał sprawę od początku, a na dodatek nawiązał już relację z Julią Sarman, co może się pozytywnie przełożyć na dalsze poszukiwania. Rudy prokurator szyderczo się na ten argument uśmiechnął i stwierdził, że Leopold już ostrzy zęby na czarnowłosą pisarkę. Stefan Pakosz uspokajał, że na razie nic o żadnym porwaniu nie wiadomo, a zwykle zapodzianie się małego nie stanowi aż tak łakomego kąska. W końcu przyznał rację Bilskiemu, że znajomość sytuacji przemawia za tym, by zajął się sprawą. Od tej pory Czerniak mierzył Leopolda jeszcze bardziej nienawistnym wzrokiem niż dotychczas, prychnając za każdym razem, gdy prokurator z Sopotu podnosił słuchawkę, by wydać dyspozycje policjantom z wydziału dochodzeniowo-śledczego.

– Dwa zniknięcia nieletnich w ciągu tygodnia na tym samym terenie? – zdziwiła się Anna.

– Otóż to. Chociaż nic nie wskazuje na razie, że sprawy coś łączy. Dzieci są w innym wieku, różnej płci i zaginęły w innych okolicznościach. Chyba, bo nie wiemy, co się właściwie stało z Amelią. Z drugiej strony są pewne zbieżności, jak choćby to, że zarówno Amelia Stępień, jak i Piotrek Sarman nie byli z Kartuz. Dziewczynka odwiedzała tu babcię, natomiast chłopiec całe życie mieszkał w Stanach i dopiero kilka dni temu przyjechał z matką do miasta.

– Mało.

– Jest coś jeszcze. – Bilski wstał i przeniósł krzesło bliżej Górskiej. – Matka chłopca oskarżyła o porwanie mężczyznę, który napastował ją

podczas imprezy dożynkowej. Podobno miała z nim jakąś ambę wiele lat temu, dlatego twierdzi, że facet kierował się chęcią zemsty. I teraz słuchaj. Okazuje się, że ten cały Arkadiusz Filipiak jest synem Radosława Filipiaka, organisty prowadzącego chór, w którym śpiewała Amelia Stępień. Być może to zbieg okoliczności, ale...

– Na płaszczyźnie przestępczej nie ma przypadku... – zaczęła cytować asesora.

– ...są jedynie tropy kształtujące mapę zbrodni – dokończył prokurator. Anna Górską i Leopold Bilski spojrzeli sobie w oczy.

8

Komendant Zdzisław Mączyński siedział w swojej ulubionej pozycji – rozciągnięty w służbowym fotelu. Ręce złożył na brzuchu, z którego dobiegało głośnie burczenie. Choć dopiero co zjadł solidne śniadanie – kanapki z pastą jajeczną i śledzika w śmietanie – znów czuł się głodny. Stał mu przed oczami befszytk, który zawsze zamawiał w Trulôczu. Spojrzał na zegarek. Dochodziła trzynasta, ale w sumie dziś mógłby sobie zrobić przerwę o godzinę wcześniej. W końcu to on był tu szefem i coś mu się chyba z tego tytułu należało.

Właśnie zamierzał poderwać się do wyjścia, gdy w drzwiach stanął prokurator z Sopotu z jakąś kobietą. Oczy miała tak zielone, że nawet z drugiego końca gabinetu wyraźnie widział ich kolor. Brązowe włosy opadały jej na ramiona. Bufet niczego sobie. Mączyński spojrział z zaciekawiony.

– To asesora Anna Górską – przedstawił Bilski. – Z Prokuratury Rejonowej w Sopocie.

Policjantowi mina zrzędała. „Po kiego diabła ściągnął tu kolejną prokuratorkę?” – pomyślał. Doskonale wiedział, co to oznacza. Długi dzień w pracy. A już na pewno opóźnioną przerwę obiadową. Jasna cholera.

– Czym mogę służyć? – spytał bez entuzjazmu.

– Mamy już jakieś statystyki dotyczące zaginięć na terenie Kartuz w ostatnich pięciu latach? – spytał Leopold.

– Wystarczyło przecież zadzwonić. Po co się fatygować? – odpowiedział pytaniem na pytanie Mączyński.

– Lubię czasami wyjść z biura. – Leopold wzruszył ramionami. – Wie pan, kałdun aż tak nie puchnie – dodał z niewzruszoną miną i dla efektu

stuknął dwukrotnie w płaski umięśniony brzuch pod czarnym T-shirtem.

Policjant poczerwieniał na twarzy, ale spokojnym głosem zwrócił się do siedzącego przy drugim biurku komisarza:

– Waldek, odpowiedz panu prokuratorowi na pytanie.

Żaczek podniósł głowę znad papierów i tłumiąc ziewnięcie, wyrecytował monotonnym głosem:

– Żadnych niewyjaśnionych zaginięć dzieci w ostatnich pięciu, a nawet dziesięciu latach w Kartuzach nie było. Podobnie nie odnotowano w tym okresie zaginięć osób nieletnich, że uprzedzę następne pytanie.

Leopold Bilski już chciał powiedzieć, że w rozumieniu prawa karnego pod pojęciem nieletniego rozumie się osoby, które nie ukończyły siedemnastego roku życia, więc czynienie rozróżnienia na dzieci i nieletnich nie ma generalnie sensu, ale ugryzł się w język. Nie potrzebował jeszcze większej niechęci ze strony kartuskich psów.

– Najbardziej praworzadne miejsce na mapie Polski, co? – skomentował rewelacje Żaczka.

Co roku znika w Polsce kilka tysięcy dzieciaków, ale w Kartuzach przez dekadę nie odnotowano choćby jednej ucieczki z domu. Nieprawdopodobne. Leo był pewien, że lokalnym śledziom po prostu nie chciało się dokładnie sprawdzić historii tego typu spraw.

– A alibi Filipiaka? – zmienił temat.

– Potwierdzone, choć średnio przekonujące. Arkadiusz Filipiak faktycznie spędził kilka godzin w Zagłobie. Dotarł tam w okolicach godziny porwania, więc nie można wykluczyć, że zamknął gdzieś dzieciaka i poszedł pić. No ale ojciec za niego ręczy, a ze służą Pańskim nie będę dyskutować – powiedział Żaczek.

Leopold spojrzał na niego rozbawiony. Pomyślał, że młody policjant żartuje. Jednak tamten siedział z poważną miną, a na jego twarz nie zakradł się nawet cień uśmiechu.

– A stary Filipiak? Jakie ma notowania? – włączyła się do rozmowy Anna.

Żaczek pytająco spojrzał na Mączyńskiego. Ten dyskretnie skinął głową, dając znak, by potraktować prokuratorkę poważnie.

– Wysokie. Tak jak mówiłem, za poręczeniem naszego organisty samego Ala Bundy’ego bym wypuścił.

Bilski niemal parsknął śmiechem. Był pewien, że dzięciołowi chodziło o seryjnego mordercę Teda Bundy’ego, a nie o bohatera popularnego w latach dziewięćdziesiątych sitcomu, ale powstrzymał się od komentarza.

– W takim razie czy mają panowie jakieś hipotezy? – ponownie odezwała się Górka.

Policjanci popatrzyli po sobie z niechętnymi minami. Mączyński ostentacyjnie wyciągnął przed siebie nogi, jeszcze bardziej eksponując wystający brzuch, i stwierdził:

– Mały pewnie zgubił się w tłumie i nie umie teraz wrócić do domu. Co ma wisieć, nie utonie, więc dzieciak się znajdzie, o to jestem spokojny. Moi ludzie od rana przeczesują teren. Nawet wsparcie ze Stężycy, Chmielna i Przodkowa dostaliśmy. W końcu idzie o wnuka naszej pani burmistrz.

Miny Leopolda i Ani musiały wyrażać zdziwienie, bo komendant spojrzął na nich z wyższością. „Miastowe waźniaki, a chuja wiedzą” – pomyślał.

– No, wnuk pani Burchardt. Okazało się, że ta cała pisarka z Nowego Jorku to nasza jest. Julita Burchardt uciekła z domu, jak miała osiemnaście lat. Czarna owca w rodzinie. Zawsze z nią kłopoty były. Wagary, pyskówki, awantury z nauczycielami. Kto wie, czy synek się w nią nie wdał i sam nie czmychnął? Jak rok temu: jedna matka wysłała siedmiolatka po chleb do sklepu, a ten wsiadł sobie do pociągu na Lębork. Pamiętasz, Żaczek? – zwrócił się do młodego policjanta, a ten zaśmiał się głupkowato pod nosem. – No, w każdym razie burmistrzowa nigdy nawet wnuka nie miała okazji poznać, takie buty.

– Jeśli sprawa jest priorytetowa, rozumiem, że nagrania z monitoringu już zostały przejrane, tak? – Asesor Górka nie dała się zbić z pantafelku.

– W parku Solidarności nie ma kamer. Bo i po co? Żeby monitorować krzaki i paprotki? Imprezy odbywają się tam sporadycznie – odparł spokojnie Mączyński. – Ale za to mamy nagrania z pobliskich ulic i powoli je przegłędamy. Ludzi tego dnia zważyło się tam od chuja i ciut-ciut, ale nikt nie zachowywał się podejrzanie.

– A auta jakieś podejrzane? – spytał Bilski.

– Żadnych samochodów z napisem „porywacz” nie odnotowaliśmy. – Żaczek się zaśmiał.

– Aut tego dnia były tam setki – dodał spokojnie Mączyński. – Parkingi przy Klasztornej i naprzeciwko liceum, parking przy Biedronce, wszystkie chodniki, a nawet trawniki z zakazem parkowania: wszystko pękało w szwach. Możemy zacząć sprawdzać, ale zajmie to...

– A na terenie parku? – Prokurator nie dawał za wygraną.

– Na teren parku wjazd miały dostawczaki, samochody ze sprzętem muzycznym, firmy cateringowe i ochroniarskie, artyści, konferansjerzy,

władze miasta, organizatorzy... Też było tego! – Komendant machnął ręką. – Mogę zorganizować listę firm.

Leopold skinął głową.

– Poproszę. I najlepiej na wczoraj – dodał.

Mączyński mruknął coś pod nosem i wstał.

– A teraz jeśli państwo pozwolą. – Poklepał się po burczącym brzuchu i wskazał prokuratorom drzwi. – Obowiązki wzywają.

Gdy Bilski i Górska opuścili pokój, stał jeszcze przez chwilę, głęboko się nad czymś zastanawiając. W końcu westchnął i rzucił:

– No, Żaczek, zbieraj się. Befszyk w Trulôczu nie będzie czekał cały dzień.

9

Leopold i Anna wyszli na parking przed komendą.

– Wnuk pani burmistrz? – Górska badawczo spojrzała na Bilskiego.

– Taa, nic mi mendi nie mówią. – Prokurator był wściekły. – W kwitach, które dziś dostałem na biurko, nie ma o tym słowa – warknął.

– Czy to coś zmienia?

– Czy ja wiem? Może należałoby dopuścić również motyw polityczny porwania? Może pani burmistrz ma jakichś wrogów, może ktoś chciał się na niej zemścić? Cholera, trudno powiedzieć. Błądzimy we mgle.

– Jeśli sprawa jest polityczna, to doszukiwanie się związku ze zniknięciem Amelii Stępień traci sens.

– Traci nie traci, cholera wie. Mamy same poszlaki, być może nic niewarte. Nie ma się czego chwycić. Jedno dobre, że w związku z koneksjami rodzinnymi wszyscy ruszyli dupy. No, z wyjątkiem komedianta Mączyńskiego i jego klakiera, jak widać.

Leopold przejechał dłonią po czole, na którym zebrały się krople potu. Znów było gorąco jak w piekarniku. Po niebie nie przesunął się ani jeden obłoczek, który choć na chwilę przysłoniłby pomarańczowego smoka. Bilski otworzył saaba i sięgnął do skrytki po okulary. Pół godziny parkowania w pełnym słońcu wystarczyło, by wewnątrz auta nagrzało się jak piec. Żar niemal zwałił go z nóg. Leopold szybko wychynął z samochodu i włożył na nos ulubione awiatory.

– Może przejedziemy się nad jezioro? – zaproponował. – Kupimy po drodze zmrożone napoje, usiądziemy w cieniu, przedyskutujemy sprawę.

– Dzięki. Muszę jeszcze skoczyć w kilka miejsc. Umówiłam się z babcią Amelii. Chcę też porozmawiać z księdzem, no i przede wszystkim z tym organistą, który jako ostatni widział dziewczynkę. Muszę mieć podkładki na wszystkie te zeznania, inaczej ojciec urwie mi dupę za to, że się tu przywlokłam.

– Okej. To do... potem? Wracasz czy zostajesz na noc?

– Chyba zostanę. Zarezerwowałam pokój w Gościńcu Kaszubskim przy Parkowej. Na razie wszystkie tropy prowadzą do Kartuz, więc warto tu trochę powęszyć. W Sopocie czuwają Pająk i Kita, jakby wypłynęło coś nowego, dadzą znać.

– Chłopaki nie do zdarcia. Mocni jak beton, pewni jak stal.

– Dokładnie – potwierdziła Ania i otworzyła drzwi auta.

W tej samej chwili na parking z piskiem opon wjechała granatowa astra i zatrzymała się tuż obok nich. Z samochodu z impetem wysiadła atrakcyjna brunetka w średnim wieku.

– Wszędzie cię szukałam! To moja matka! Moja matka zabrała Piotrusia! – krzyknęła i zaczęła histerycznie płakać.

10

Ptaki śpiewały jak oszalałe. Jezioro skrzyło się w słońcu, lekko falując od powiewów wiatru. W cieniu, który wpełzał powoli na pomost, temperatura zrobiła się nawet znośna. Bilski zdjął buty i zanurzył stopy w wodzie. Julia spojrzała na niego niepewnie, po czym zrobiła to samo.

Nad ich głowami przeleciały dwa ogromne ptaki z długimi szyjami. Usłyszeli charakterystyczny przeciągły skrzek.

– Żurawie – powiedziała Julia, zadzierając głowę.

– Nigdy nie wiedziałem ich na żywo.

– Na Kaszubach jest ich pełno. Uwielbiałam je jako dziecko. Wiesz, że one zawsze latają w parach? Dobierają się na całe życie i stają się nierozłączne. Taka para kręciła się zawsze w pobliżu naszego domu. Razem z siostrą nadałyśmy im imiona. – Julia uśmiechnęła się.

To był pierwszy nikły uśmiech, jaki Bilski u niej widział. Dobrze, że miał w aucie relanium. Tuż po sprawie Skalpela przepisał mu je lekarz, ale choć Leopold zrealizował receptę, nigdy po lek nie sięgnął. I tak miał doła. Nie chciał jeszcze bardziej tracić kontaktu z rzeczywistością.

Dzisiaj jednak relanium się przydało, bo gdy spotkali się przed komendą, Julia Sarman była tak roztrzęsiona, że ledwo formułowała

zdania. Na widok Ani w ogóle przestała mówić, jakby się przestraszyła, że prokuratorka jej nie uwierzy. Bilski dał Górskiej znak, żeby odjechała, i nakłonił Sarman do zażycia żółtawej tabletki. Po dwudziestu minutach rysy kobiety złagodniały. Dała się namówić na przejażdżkę.

– Nie wiedziałem, że masz siostrę – zdziwił się Leopold, przyglądając się twarzy pisarki. Kręcone włosy nadawały Julii nieco egzotyczny wygląd. W źrenicach, niemal zlewających się z ciemnymi tęczęwkami, odbijało się jezioro.

– Miałam – potwierdziła Julia. – W innym życiu – dodała cicho.

Bilski pomyślał, że ta kobieta ma wiele tajemnic. Był pewien, że nie podzieli się z nim wszystkimi.

– Czemu mi nie powiedziałaś, że twoja matka jest burmistrzem?

Julia wzruszyła ramionami.

– Nie myślałam, że to ważne.

– Aż do dzisiaj.

Leopold przez chwilę przetrawiał informacje, którymi przed komendą podzieliła się z nimi kobieta, po czym najłagodniej jak potrafił, stwierdził:

– Wiesz, to jeszcze o niczym nie świadczy.

– Ty jej nie znasz! – Julia podniosła głos. – Ona... Ona zawsze stawiała na swoim. Wszystko musiało być tak, jak chciała. Nawet ojciec się jej bał i bez szemrania wykonywał jej polecenia. Raz nasza kotka urodziła kocięta. Cztery. Dwa szare, jedno czarne z białymi kołnierzykiem i skarpetkami i jedno w rude ciapki. Prześliczne. Chciałyśmy je zatrzymać, ale matka się nie zgodziła. Powiedziała, że oddamy je do domu opieki, żeby sieroty miały radość. A tak naprawdę wsadziła je do worka i utopiła w jeziorze. Widziałam to. Poszłam za nią tamtego wieczoru. Nie mogłam uwierzyć, że jest zdolna do czegoś takiego. Ale potem przekonałam się, że ona nie ma żadnych wyższych uczuć – prychnęła Julia. – Tak naprawdę lubiła zadawać ból innym. A w szczególności mnie.

– Dlatego uciekłaś?

Julia przytaknęła i smutno patrzyła przed siebie.

– Kolejne pytanie samo się ciśnie na usta – zauważył Bilski.

– Czemu wróciłam. – Kobieta westchnęła. – Czytałam kiedyś, że ludzie wracają do Czarnobyli choć na jeden dzień, wchodzą do dziury po swoim domu i meblują go pamięcią. Ładne, nie?

– Twoja przeszłość to aż taka katastrofa?

– A jednak coś mnie tu przyciągnęło na nowo. Nie wiem w sumie co. Tam... tam już nic mnie nie trzymało. Świat, który zbudowałam sobie

w Ameryce, runął jak domek z kart, a Kartuzy wydały mi się przynajmniej prawdziwe. Decyzję o powrocie podjęłam w pięć minut. Pomyślałam, że założę w Polsce fundację. Że raz w życiu zrobię coś dla innych, coś dobrego...

Po policzku Julii potoczyła się łza; zawisła na brodzie. Siedzieli w milczeniu jeszcze chwilę, aż Leopold pomógł kobiecie wstać i zaprowadził do auta.

Julia Sarman zasnęła, gdy tylko przyłożyła głowę do oparcia. Jej rozmazany makijaż zabrudził wiszącą na zagłówku marynarkę prokuratora.

11

Michał Pakosz odłożył sztucce na talerz. Wytarł usta papierową serwetką. Trzeba było przyznać, że matka robiła najlepsze schabowe w powiecie. Niech się schowa nawet zrewolucjonizowana przez Gessler knajpa w Babim Dole. „Co to w ogóle za nazwa? – skrzywił się Pakosz. – Trulôcz – szepnął pod nosem. No! To brzmiało. Miało sens. Do kaszubskiej kultury nawiązywało. A nie tam jakiś Schabowy Raz. Bułkę przez Bibułkę trzeba było nazwać”. – Zaśmiał się w myślach.

Rozejrzał się. Matka krzątała się za barem, Marta, nieco dziwna jak na jego gust kelnerka, sprzątała ze stolików. W tle sączyła się muzyka z radia. Lubił tu siedzieć. Czuł się bezpiecznie i błogo. Niemal jak u siebie. Mama kupiła lokal wiele lat temu i od tej pory Michał ani razu nie zjadł obiadu w domu. Nie było sensu gotować tylko dla jednej osoby, zresztą w barze jadał za darmo. Zawsze przychodził przed porą obiadową. Spokój, cisza. Tylko kilka stolików zajętych.

Michał zerknął przed siebie. Dwa stoły dalej siedziała ciemnowłosa kobieta w białej koszuli. Nie widział jej tu wcześniej. Pochylała się nad papierami, raz po raz sięgając po czarną kawę. Pewnie policjantka albo prokuratorka. Michał rozpoznałby funkcjonariusza publicznego w tłumie. Może za sprawą ojca, który przynależał do tego środowiska. Wszyscy mieli w oczach jakieś szaleństwo. Choć mówili, że wybrali ten zawód, by służyć ludziom, to jego zdaniem tak naprawdę kręciła ich zbrodnia. Im bardziej makabryczne morderstwo, tym większe podniecenie.

Tak, sprawa zaginionych dzieci niewątpliwie budziła ekscytację. Historia rozgrzała media do czerwoności, tym bardziej że brały w niej udział pani burmistrz i znana w Stanach pisarka. Wejścia na żywo

i reportaże z Kartuz nieustannie pojawiały się w środkach masowego przekazu. Na takiej sprawie można się było wybić, ale też skompromitować. Bo jak znajdą dzieci martwe, to na kogoś trzeba będzie zrzucić winę.

Brunetka musiała poczuć na sobie jego wzrok, bo podniosła oczy i spojrzała prosto na niego. Pakosz natychmiast spuścił głowę. Żałował, że nie wziął ze sobą jakiejś książki albo chociaż gazety. Mógłby zagłębić się w lekturze, a nie udawać, że zawiesił wzrok na nieznajomej jedynie przypadkiem. Zamiast tego wziął do ręki menu, choć znał je na pamięć.

– Na coś masz jeszcze ochotę, Michaś?

Nie zauważył nawet, kiedy matka do niego podeszła. Głos pani Elżbiety był przesłodzony. Nadal zwracała się do niego, jak do małego chłopca. Wyciągnęła rękę, by zmierzić mu włosy, lecz on zrobił szybki unik.

– Mamo! – stęknął zawstydzony.

Gospodyni ściągnęła brwi i rozejrzała się wokół.

– A! – Uśmiechnęła się szeroko, gdy zobaczyła siedzącą nieopodal Annę Górską. Przysiadła się do syna i trąciła go w bok. – Prokuratorka. Z Sopotu – szepnęła konspiracyjnie. – Przejazdem, ale na moje oko kilka dni pobędzie.

Michał Pakosz z niedowierzaniem pokręcił głową. Kochał matkę całym sercem, ale czasami doprowadzała go do białej gorączki. Chyba niczego tak nie pragnęła, jak tego, by syn znalazł w końcu żonę, ustatkował się i dał jej wnuki. Nieustannie zabawiała się w swatkę. Zdarzało się nawet, że wysyłała do jego pralni dziewczyny z sąsiedztwa, oferując im rabaty, o których nie raczyła go nawet poinformować.

– Aha. Znowu matka robiła przesłuchanie? – burknął zgryźliwie.

Pani Elżbieta wzruszyła ramionami, wstała urażona i ruszyła w stronę kuchni.

Cholera. Znowu będzie musiał ją przeproszać. Zrobiła się ostatnio jakaś przewrażliwiona. „Pewnie menopauza” – pomyślał Pakosz i znów kątem oka zerknął na ciemnowłosą piękność.

Właściwie mógłby podejść i się przywitać. A co? Niczego mu nie brakowało. Był wysoki, postawny. Błękitne oczy jak u anioła – tak mówiła matka. Schludny. Zadbany. Grzeczny. Robił w myślach przegląd swoich walorów. Ale miał też feler. Chorobliwą nieśmiałość. Tak wielką, że sama myśl, by zagadnąć nieznajomą kobietę, zupełnie go paraliżowała. Michał poczuł w żołądku gulę napięcia. Uciął te rozważania. Stres zaczął powoli ustępować.

Tak samo poczuł się ostatnio, gdy matka niby mimochodem przedstawiła go tej amerykańskiej pisarce. Każda tego typu sytuacja wprawiała go w stupor. Zacinał się jak zepsuty suwak. Robił z siebie totalnego idiotę. Już dawno pogodził się z faktem, że na zawsze pozostanie sam.

Swoją drogą to zabawne, że na początku nie skojarzył jej twarzy, a przecież niewiele się zmieniła. Julita Burchardt.

Michał poczuł znajomy skurcz. Jej powrót wywołał w nim niepokój. Julita od dziecka skupiała na sobie uwagę wszystkich wokół. Była jak burza w słoneczny, letni dzień. Nie dało się przejść koło niej obojętnie. Gdy się pojawiała, stawało się jasne, że zaraz coś się wydarzy. Michał nie potrafił zrozumieć, czemu wszyscy tak się nią zachwycali. Chuchali na nią jak na złoto. A ona zawsze mieszała. Była chodzącym chaosem.

I nigdy go nie widziała. Traktowała go jak powietrze.

Michał przymknął oczy, uspokoił oddech i uśmiechnął się na myśl o czekającym go zadaniu. Wstał z ławy i bez słowa opuścił lokal. Szybko przebiegł na drugą stronę ulicy. Nie miał ochoty kolejny raz natknąć się na wzrok prokuratorki.

12

Anna Górską otworzyła drzwi i weszła do hotelowego pokoju. Był duży i przytulny. Na łóżku leżała kapa w kolorze pudrowego różu.

Postawiła małą walizkę na ziemi i usiadła na brzegu pościeli.

Pod maską, którą nosiła, jej twarz była ścierpnięta; zastygła w pustej mimice wyrażającej obojętność. Teraz mogła ją zrzucić. Mogła złagodzić rysy, odpuścić. Nikt jej nie widział, nikt nie obserwował, nikt nie oceniał, czy jest twarda, czy daje radę. Ale Górską jeszcze jakiś czas siedziała wyprostowana. Grała sama przed sobą. Nie chciała przyznać, że ten dzień kosztował ją tak wiele.

Rozstanie z Leopoldem pozostawiło w niej piętno i Anna wiedziała, że będzie je nosić przez całe życie. To dzięki Bilskiemu historia ze Skalpelem tak szybko z niej spłynęła. Gdy ocknęła się na szpitalnym łóżku, Leo czuwał obok. Nie puszczał jej ręki przez kilka dni. Odwiózł ją w końcu do domu i zabrał prosto do sypialni. Był czuły i pewny siebie. Tak bliski, jak żaden mężczyzna dotąd.

– To pana gwiazdy? – zapytał taksówkarz, gdy wracali któregoś wieczoru z imprezy.

Była z nimi Maryśka, przyjaciółka Ani.

– Tylko ta tutaj. Moja gwiazda polarna. – Leo spojrzał na Anię z uśmiechem.

– Polarna, bo taka zimna? – zadrwił taksówkarz.

– Nie, bo najjaśniejsza.

Te słowa nieznośnie teraz do niej wracały. Głucho wybrzmiewały tuż przy uchu, gdy zastanawiała się, dlaczego Leo od niej odszedł.

Anna nie dopuszczała wcześniej do siebie mężczyzn. Była w kilku przelotnych związkach, lecz nie potrafiła się zaangażować. Szybko nauczyła się, że ludzie odchodzą i nic nie trwa wiecznie. Nie chciała zostać skrzywdzona. Woląca odtrącać innych.

Lecz z Bilskim było inaczej. Coś w niej pękło i pozwoliła mu zobaczyć ją taką, jaką była naprawdę. Przez kilka miesięcy po raz pierwszy od lat nikogo nie udawała. I nigdy nie czuła się lepiej.

Zamieszkali razem prawie od razu. Samoistnie, bez żadnych ustaleń. Leopold nocował u niej i z dnia na dzień w mieszkaniu przybywało jego rzeczy. Po namiętym seksie pili wino i oglądali stare filmy zawinięci w jeden koc. Nie potrzebowali słów, wystarczyła wzajemna obecność. Anna cieszyła się życiem jak nigdy. Czuła się prawdziwie szczęśliwa.

Nie od razu zauważyła zmianę. A przecież powinna. Powinna była spostrzec, że Leopolda coś gryzie, że coś trawi go od środka.

Czy to była jej wina?

Często zadawała sobie to pytanie. Czasem myślała, że gdyby lepiej grała, mogłaby zapobiec katastrofie. Nie powinna była zrzucić wszystkich masek. Mężczyźni lubią dostrzegać w kobietach głęboką tajemnicę, a im mniej potrafią ją pojąć, tym dłużej są zainteresowani. A ona się obnażyła. Bez wahania pokazała mu całą prawdę o sobie. I wtedy Bilski zniknął. Jednego dnia był, a następnego wyjechał. Jakby ich wspólny świat nigdy nie miał dla niego znaczenia.

Ciekawe, że najdalej można być tylko z kimś, z kim było się kiedyś naprawdę blisko. Choć byli w jednym mieście, Annę Górską i Leopolda Bilskiego dzieliła teraz czasoprzestrzeń nie do pokonania. Byli dla siebie tak obcy, jakby ich życia nigdy się nie przecięły. Jakby przeszłość nigdy nie miała miejsca.

Może tak było lepiej? Może lepiej było zamrozić wszystkie uczucia i jak najdalej wypchnąć wspomnienia? Znów stać się silną, niezależną... zupełnie wolną?

Ania rozpięła koszulę, zdjęła ją i rzuciła na podłogę. W samej bieliźnie wsunęła się pod kapę i zwinęła jak kotka. Teraz wreszcie mogła odpuścić.

Rozluźniła mięśnie twarzy i przymknęła oczy.
Po jej policzku nie spłynęła jednak żadna łza.

13

Czerwonofioletowe niebo nad jeziorem powoli szarzało. Rozsiane na wodzie łódki ratownicze były coraz mniej widoczne. Przeleciał helikopter, omiatając światłem rozchodzące się po powierzchni fale.

Pod wodą przepłynął płetwonurek. Bilski obserwował z góry, jak powoli się wynurza przy pomoście, na który wciągają go koledzy z WOPR-u.

Nurek usiadł na deskach i wypluł ustnik automatu oddechowego.

– Jezu – sapnął, łapczywie wciągając powietrze. – Już myślałem, że to on. – Pokręcił głową i przyłożył dłonie do czoła. – Straszne uczucie.

– Spisałeś się, Seba – powiedział Marcin Kalinowski, Komendant powiatowy Państwowej Straży pożarnej w Kartuzach pełniący funkcję „oka”. – Nie spanikowałeś, nie wycofałeś się. Wykonałeś zadanie. – Podał nurkowi rękę i pomógł mu wstać.

Leopold patrzył, jak pozostali nurkowie pakują ekwipunek. Nad wodą niosło się nawoływanie ekip poszukiwawczych. Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Znów nieopodal przeleciał helikopter. Wzdłuż linii jeziora przesuwwały się grupy ubranych na czarno policjantów. Połyskiwały światełka skierowanych na szuwary i krzaki latarek.

„Właśnie w takich chaszczach odnaleziono ciało ojca” – pomyślał Leopold.

Gdy tylko uzyskał uprawnienia prokuratorskie, wyciągnął akta sprawy prowadzonej w związku ze śmiercią Miłosza Bilskiego. Powoli oglądał serię czarno-białych zdjęć. Milicjant miał na sobie jasną koszulę, wyglądającą na zachlapaną błotem, którego odpryski widoczne były również na twarzy i rękach. Leopold najpierw zwrócił uwagę właśnie na to. Na tę ciemną maź, w której leżał ojciec. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to nie było błoto, lecz krew.

– No dobra, to był ostatni nurek. – Komendant rozejrzał się wokół. – Robi się ciemno. Już nic dzisiaj nie zdziałamy.

Bilski skinął głową.

– Jutro wznowicie?

– Tak, z samego rana.

– Dzięki – powiedział prokurator. – A jeśli mogę spytać, na co trafił ten pletwonurek? Wiesz, jak pomyślał, że to on... że to był chłopiec.

– Na oponę.

– Hmm, na zwykłą oponę. – Zamyślony Leopold prześlizgnął się wzrokiem po tafli jeziora.

– Czasami pod wodą widoczność jest tak ograniczona, że nie da się nawet odczytać danych z przyrządów, to i o pomyłkę łatwo – wyjaśnił Kalinowski. – Podczas jednego z moich pierwszych zejść czyściliśmy jezioro ze śmieci. Wylądowałem w mule i po omacku szedłem na czworakach po dnie. Gdy natknąłem się na trupa, byłem na początku pewien, że znalazłem butelkę.

– Nie było zgłoszenia? – zdziwił się Bilski.

– Nie. Okazało się, że to był taki miejscowy pijaczek. Nikt go nie szukał, chociaż nie wracał do domu kilka dni. Rodzina myślała, że facet baluje. Od tamtej pory za każdym razem gdy coś znajduję pod wodą, w pierwszej chwili wydaje mi się, że to zwłoki. Taka praca – skwitował na odchodne.

Leopold został na pomoście. Starał się zebrać myśli. Gdzie mógł być chłopiec? Czy ktoś faktycznie go porwał, czy mały się zgubił i zawędrował aż nad jezioro? Prokurator popatrzył w stronę domu Julii Sarman. Budynek stojący samotnie na przeciwległym wzgórzu był zasłonięty przez las. Sarman pewnie odchodziła od zmysłów. Doskonale wiedział, co musiała czuć. Pamiętał ten wieczór, gdy podjęto poszukiwania ojca. Matka udawała, że wszystko jest w porządku, ale on czuł jej narastający niepokój. Myła naczynia, coś porządkowała, ale w głębi duszy umierała ze strachu. Jej uspokajający uśmiech był fałszywy i Bilski, będący wtedy przecież tylko chłopcem, doskonale to wiedział. Tak jak ona wpatrywał się w drzwi i czekał. Ale gdy wreszcie rozległ się terkot elektrycznego dzwonka, żadne z nich przez dłuższą chwilę nie ruszyło się z miejsca. Oboje wiedzieli, że z chwilą gdy otworzą drzwi, wszystko zmieni się bezpowrotnie.

Prokurator miał wielką nadzieję, że dla Julii Sarman nic się dziś bezpowrotnie nie zmieni. Szybkim krokiem skierował się na brzeg i dołączył do jednej z grup poszukiwawczych.

Pokój wypełniała szarość. Zasnuwała meble, osadzała się na książkach. Julia podniosła się na łokciu i spojrzała w panoramiczne okno. Za jeziorem zachodziło słońce. Pozostawiało czerwoną poświatę unoszącą się nad taflą wody. Julia Sarman nie pamiętała, jak wróciła do domu. Siedziała na pomoście z prokuratorem Bilskim, a potem przebudziła się tu. To ta tabletki. Malutka, żółtawa tabletki.

– Czemu tabletki mają różne kolory? – spytała kiedyś swojego terapeuty.

Wy tłumaczył jej, że do połowy dwudziestego wieku wszystkie lekarstwa w pigułce miały mniej więcej takie samo jasne zabarwienie. Dopiero w latach sześćdziesiątych zaczęto wprowadzać kolory. „Obecnie używa się aż osiemdziesięciu tysięcy odcieni, by rozróżnić lekarstwa i chronić ludzi przed pomyłkami” – powiedział terapeuta, unosząc palec, a ona pomyślała wtedy, że różowe tabletki nie ochroniły Andżeliki. Może nawet to właśnie ich kolor ją zachęcił? Jakiś czas po rozmowie z terapeutą Julia wyczytała w „Newsweeku”, że różowe medykamenty stanowią dla psychiki obietnicę szybkiej i niezawodnej ulgi w bólu. A Andżelikę bolało. Płakała wiele nocy, ale nikt jej nie wierzył. Mówili, że oszukuje.

„Chyba nie chcesz być grzesznicą” – złowieszczy głos matki zawisł tuż nad Julią. Mogłaby przysiąc, że te słowa dopiero co rozbrzmiały.

Matka. Matka. Coś mającego z nią związek zaczęło kołatać jej w głowie. Jakiś obraz, który Julia starała się przywołać, ale ciągle uciekał. Musiało się jej coś śnić, ale teraz nie mogła sobie przypomnieć.

Powoli wstała. Czuła się zdecydowanie lepiej, choć nadal była zmęczona. Nerwowość zniknęła. Ciało przestało się trząść. Zdecydowanie musi sobie załatwić opakowanie relanium.

Uchyliła drzwi tarasowe i poczuła na twarzy przyjemną bryzę. Po raz pierwszy, od kiedy tu przyjechała. Wiatr poruszał parasolem ogrodowym. Znowu zbierało się na burzę. Julia chwyciła rozpinany sweter z miękkiej wełny i ruszyła nad jezioro.

Piotruś poszedłby dziś do pierwszej klasy. Pewnie o tej porze jadłby kolację i cieszył się na kolejny dzień szkoły. Na tę myśl poczuła skurcz w całym ciele. Musiała na chwilę przystanąć. Uklękła i wzięła kilka głębokich wdechów. Nie mogła się rozklejać. Jeszcze nie teraz. Musiała być silna. Musiała działać.

Wstała i weszła na dróżkę obsadzoną tujami. Solarne lampiony zaczęły nieśmiało świecić. Zapalały się i gasły na zmianę, jakby nie potrafiąc się zdecydować, czy trwa jeszcze dzień, czy zapadła już noc. Wiatr się

wzmagał. Wiał Julii prosto w plecy, pchał do przodu. Drzewa kiwały się coraz silniej, suchy piasek wirował nad ziemią, raz po raz tworząc miniaturowe trąby powietrzne. Sarman poczuła na twarzy pierwsze krople deszczu.

Doszła nad jezioro. Fale marszczyły tafłę wody. Wiatr coraz mocniej szarpał Julię za włosy, wpychając jej kosmyki do oczu i ust. Sweter zrobił się ciężki – napęczniał od zacinającego deszczu, który nie wiadomo kiedy przybrał na sile. W oddali zagrzmiało.

Julia Sarman patrzyła przed siebie. Na drugim brzegu stał jej dom rodzinny. Być może matka siedzi teraz w fotelu i odpoczywa po ciężkim dniu pracy. W tle gra muzyka. Gramofonowa płyta cicho szumi pod igłą. Powietrze ze oknem przecina błyskawica, która na chwilę rozświetla pokój. Rozlega się grzmot. Matka jeszcze chwilę delektuje się bezczynnością, po czym wstaje i idzie do kuchni. Przygotowuje talerz kanapek. Masło, szynka, zielony ogórek. Ulubiony zestaw Andżeliki, która nie znosiła pomidorów i żółtego sera. Matka bierze talerz, idzie korytarzem i wchodzi na piętro. Przekręca klucz i uchyla drzwi. Dziecinny pokój niewiele się zmienił. Pastelowo niebieskie ściany, żółte zasłony, zielony, wełniany dywan. Na sekretarzyku, w którym pani Burchardt nie wiecieć czemu trzymała niegdyś lekarstwa, siedzi kilka misiów i lalek. Plakaty zespołów, którymi Julia wytapetowała ściany pokoju jako nastolatka, zostały zerwane. Ślady kleju, które mogłyby świadczyć o ich niegdyś obecności, dawno zeskrobano i zamalowano. W myślach matki ten pokój należał kiedyś wyłącznie do Andżeliki.

Matka uśmiecha się lekko i wchodzi do środka. Na łóżku siedzi chłopiec. Chętnie sięga po jedną z kanapek i zaczyna jeść. Pani Burchardt z zadowoleniem obserwuje, jak dziecko przeżuwa i połyka chleb. Gładzi Piotrusia po włosach. Gdy chłopczyk kończy posiłek, kobieta zabiera talerz i wychodzi z pokoju. Zamyka drzwi na klucz.

„Czy tak właśnie jest?”

Pomimo zalewających jej twarz strumieni deszczu Julia niemal nie mrugała. Starła się wypatrzeć jakikolwiek – choćby najmniejszy – znak, wskazówkę, która podpowiedziałyby jej, gdzie szukać synka. Obraz ze snu to się przybliżał, to oddalał. Matka, matka, matka. Matka i mężczyzna. Matka i mężczyzna w koloratce. Tak! Przecież to nie był sen! Widziała matkę przed domem. Z księdzem. Matka schyliła się, by pocałować go w rękę. To było dokładnie dzień po ich przyjeździe do Kartuz; dzień po

tym, jak zaginęła tamta Amelia. Dziewczynka, pośpiech, trzeba się ubezpieczyć... To były słowa, które wyłapała z ich rozmowy!

Chciała chwycić telefon i powiedzieć Bilskiemu o tym, co słyszała tamtego ranka, ale zdała sobie sprawę, że zostawiła komórkę w domu. To nic, i tak trudno byłoby rozmawiać w deszczu. Zadzwoń, jak tylko wróci. Tymczasem nogi zaczęły prowadzić ją ścieżką przy jeziorze. Po chwili wybrała drogę ku górze i wyszła na ulicę. Domy po obu stronach tonęły w strugach wody. Zapalone latarnie pochylały się sennie nad chodnikami. Julia Sarman wcisnęła dłonie pod pachy. Zrobiło jej się zimno. Podeszła do bramki ostatniej posesji. W dużym pokoju paliło się światło. Sztaluga stała pusta. Julia nikogo nie dojrzała.

Trzęsącą się ręką nacisnęła dzwonek. Nie była pewna, czy działa. Nie usłyszała żadnego dźwięku. Po chwili w drzwiach pojawił się mężczyzna. Przyglądał się jej chwilę. Musiał ją rozpoznać, bo zaraz podbiegł do furtki i wprowadził Julię do środka.

Podłoga była mokra. Sarman stała pośrodku pokoju, a kapiące z niej krople tworzyły wokół niej sporą kałużę. Patryk Deczer pomógł jej zdjąć sweter i narzucił jej koc na ramiona.

– Usiądź – powiedział. Sprawnym ruchem zebrał rzeczy z kanapy. – Zaraz przyjdę.

Po chwili wrócił z suchą koszulą w kratę i dzinsami w rękę.

– Masz. Pewnie będą za duże, ale lepsze to niż przeziębienie. Tu jest łazienka. – Wskazał drzwi w głębi. – Zaraz dostaniesz herbatę, nastawiłem wodę.

Julia niemal bezwolnie wstała i poszła się przebrać. Gdy wróciła, parujący kubek stał już na stoliku, a Patryk rozpałał w kominku.

Rozejrzała się po pokoju. Panował tu artystyczny nieład, ale było naprawdę przytulnie. Usiadła na kanapie i przyglądała się ruchom mężczyzny. Delikatnie dmuchał na cienkie szczapki drewna, które powoli zajmowały się ogniem. W końcu zamknął szybę kominka i wstał. Dopiero teraz Julia zauważyła, że był boso i nie miał na sobie koszulki. Mięśnie brzucha rysowały się w blasku ognia. Deczer musiał zauważyć jej wzrok, bo włożył T-shirt wcześniej wiszący na poręczu krzesła.

– Słyszałem, co się stało. – Jego głos był pełen współczucia. – Jak się czujesz?

Julia wzruszyła ramionami. Jak miała się czuć? Przepelniał ją strach. Od stóp do czubka głowy. Nigdy w życiu tak bardzo się nie bała.

Mężczyzna chwycił krzesło i przysunął je do kanapy.

– Nie martw się. Na pewno za chwilę chłopak się znajdzie. Dzisiaj szukało go całe miasto. Podzielili nas na grupy nadzorowane przez policjantów. Były psy tropiące. Trackery GPS. Nawet helikopter z kamerą termowizyjną przyleciał. Pełna profeska.

– Nie pozwolili mi uczestniczyć w poszukiwaniach – powiedziała cicho Julia. – Psycholog, którego wczoraj do mnie wysłali, wytłumaczył mi, że towarzyszą temu zbyt silne emocje, które mogą dodatkowo niekorzystnie wpłynąć na mój stan. I że poszukującym, którzy działają pod presją czasu, niepotrzebna jest zdenerwowana matka. – Ukryła twarz w dłoniach.

Znów miała ochotę się rozryczeć. Powstrzymała się ostatkiem sił.

– Wiesz, może to i lepiej – odparł Patryk. – Po dzisiejszym dniu mogę stwierdzić, że chodzenie po lesie i wielogodzinne wpatrywanie się w ściółkę wywołuje frustrację. Dla osoby, która szuka najbliższej osoby, może być to zabójcze, serio. Nadzieja, że za chwilę trafi się na coś przełomowego, ciągle napięcie... – Z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Ale ja nie mogę tak beczynnie siedzieć! – zawyła Julia. – Ta bezsilność mnie wykończy! To, że nie mam na nic wpływu, że nic nie mogę zrobić, jest zabójcze! Mój synek jest gdzieś tam sam. Nadchodzi kolejna noc, a ja nie wiem gdzie. Boże, nie wytrzymam tego!

Julia znów cała się trzęsła. Wyobraziła sobie Piotrusia leżącego w ciemności, zmarzniętego, głodnego. Ta wizja opanowała jej umysł. Wstała i chciała gdzieś pobiec, ale nie wiedziała dokąd i po co. W końcu zaczęła chodzić od ściany do ściany. Przemierzała pokój szybkimi krokami, jakby od tego marszu zależało życie jej synka. Czowała, że wariuje. Nie wiedziała, ile jeszcze wytrzyma.

– Internet! – zawołał Patryk.

– Co? – burknęła Julia, nie przerywając marszu.

– Stwórz stronę na Facebooku, wiesz, poświęconą Piotrusiowi. Będziemy wrzucać tam jego zdjęcia, informacje o nim, prośby o udostępnianie i tak dalej. Im bardziej nagłośnimy sprawę, tym więcej osób zaangażuje się w poszukiwania. Może ktoś go rozpozna, może ktoś coś będzie wiedzieć. Myślę, że warto spróbować.

Julia przystanąła. Pełna wątpliwości spojrzała na Patryka. To Matylda zawiadywała jej profilem na portalach społecznościowych, ona nie miała nawet pojęcia, jak otwierać Facebooka, a co dopiero, jak zrealizować taką akcję.

– Przynajmniej czymś się zajmiesz – przekonywał Patryk. – Ja ci we wszystkim pomogę. Zobacz.

Włączył komputer. Na ekranie szybko pojawiła się biało-niebieska strona logowania. Palce Patryka Deczera sprawnie przebiegały po klawiaturze.

- Masz jakieś zdjęcie synka?
- Nie wzięłam komórki, ale coś powinnam mieć na mailu.
- To dawaj.

Julia zajęła miejsce przy stole. Oboje pochylili się nad laptopem.

15

Leopold Bilski pociągnął łyk lurowatej kawy. Skrzywił się. Co za ohydztwo. Kawa była kwaśna, a jednocześnie cholernie przesłodzona. Tylko takie rarytasy serwowała maszyna stojąca na korytarzu w kartuskiej prokuraturze. Leopold pomyślał o specjale, który przyrządzał w domowym ekspresie. Niestety obudził się mocno spóźniony i wyskoczył z domu niemal tak, jak stał. Tym razem nie miał nawet tych siedmiu minut, których potrzebował, by wziąć prysznic i łyknąć ulubione espresso.

Poszukiwania przeciągnęły się prawie do czwartej rano. Prokurator wraz z drugą zmianą policjantów i wolontariuszy brnął grząskim po wieczornej ulewie brzegiem jeziora. Liczne światełka latarek i telefonów komórkowych pobłyskiwały nad wodą niczym rój światełek. Nie znaleziono żadnego śladu, który mógłby prowadzić do dzieci.

Noc spędzona w szuwarach nie przyniosła żadnego rozwiązania, a czas nie był sprzymierzeńcem. Choć policyjne statystyki wskazywały, że w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin odnajdywanych jest jedynie około trzydziestu procent wszystkich zaginionych i potrzeba niemal miesiąca, by policja wyjaśniła sprawy około dziewięćdziesięciu procent zaginięć, to jednak każdy śledczy wiedział, że w przypadku dzieci każda mijająca godzina znacznie zmniejszała szansę na happy end. Jeśli nieletni zostawali wywiezieni za granicę przez zorganizowaną grupę przestępczą, rzadko kiedy rodzice odzyskiwali swoje pociechy. Tak wyglądała smutna prawda i można się było jedynie modlić, by poszukiwane dzieciaki nie natknęły się na gang trudniący się tym procederem. Oczywiście nic nie wskazywało, by handlarze żywym towarem działali na terenie Kartuz, gdzie wszystkie porwania, ucieczki czy zaginięcia były skrupulatnie wyjaśniane przez czujnych stróżów

prawa wzorowo dowodzonych przez nieustrzonego komendanta Mączyńskiego, pomyślał Bilski zgryźliwie.

Zacisnął oczy i wypił duszkiem mętłą resztkę kawy. Potrzebował kofeiny i miał nadzieję, że w brunatnej cieczy z automatu znajdowała się chociaż jej śladowa ilość. Popatrzył na leżące na biurku papiery. Wziął do ręki kartkę zapisaną przez Julię Sarman. Lista osób, które pisarka zapamiętała z miejsca zdarzenia, nie była długa. Figurowała na niej tylko jedna osoba nadająca się do zidentyfikowania. Wytatuowany mężczyzna z pitbullem. Trudno było niestety namierzyć resztę wskazanych osób, jak „chłopaka z jasnymi postawionymi włosami w tradycyjnych dresach Adidasa”, „dziewczynę w niebieskiej sukience z torebką Chanel (raczej podróbką)” czy „wyglądającą na zmęczoną blondynkę w złej jakości kombinezonie z dziećmi w wieku około sześciu i ośmiu lat”. Bez wątplenia mama Piotrusia miała pamięć do szczegółów i potrafiła opisać ludzi z literackim zacięciem, jednak Bilski nie był w stanie wezwać na tej podstawie świadków na przesłuchanie. Poprosił o pomoc prokuratorów Wiśniewskiego i Dobosza, mając nadzieję, że może oni kogoś skojarzą. Przesłał nawet skan listy do Mączyńskiego. Niestety, Kartuzy okazały się większe, niż przypuszczał; nie było tak, że każdy tu znał każdego.

Prokurator zerknął na zegarek. Za kwadrans jedenasta. Postanowił wyskoczyć po jakąś normalną kawę do najbliższej kawiarni, bo nie wyobrażał sobie prowadzenia rozmowy w tym stanie. Zbiegł po schodach i wyszedł z budynku. Tuż przy wejściu stał Tomasz Nicewicz, pseudonim Nicpoń. Leopold szybko odtworzył w głowie podstawowe informacje na jego temat. Dwa lata w domu poprawczym, potem jakieś zawiąsy, następnie rok odsiadki za pobicie. Obecnie prowadzi własną działalność. Branża: turystyka.

– Ładny piesek – zagaił Bilski.

Facet zmierzył Leopolda niechętnym spojrzeniem. Nic nie odpowiedział.

– Pan chyba do mnie. Byliśmy umówieni dokładnie za... – prokurator zerknął na zegarek – trzynaście minut. Prokurator Leopold Bilski. – Wyciągnął rękę.

Pitbull warknął, więc Bilski ostrożnie cofnął dłoń. Nicewicz rzucił psu groźne spojrzenie, a ten momentalnie ucichł i przysiadł na jednym półdupku.

– Przejdziemy się? – zaproponował prokurator. – Taka duchota, że szkoda psa na słońcu zostawiać, a z budynku ochroniarz na pewno zaraz by go wyrzucił.

Był drugi września, ale lato nie odpuszczało. Leopold z zazdrością spojrzął na bejsbolowe czapki, które dumnie nosili pan i jego pies. „Może powinienem sobie taką sprawić?” – przemknęło mu przez głowę. Szybko jednak odrzucił tę myśl. Bejsbolówka, choć praktyczna, zupełnie nie współgrałaby z image’em włóczykija, który obecnie prezentował. Przejechał dłonią po wilgotnej od potu brodzie. Bezlitosne słońce sprawiło, że poczuł się jeszcze bardziej zmęczony niż przedtem.

Nicewicz skinął głową i ruszył za Bilskim.

– Jak się wabi? – zaczął Leopold.

– Kurczak.

– Dziwne imię dla pitbulla – skomentował prokurator.

– Lubi kurczaki. Połyka je w całości. Ze wszystkimi kosteczkami i całą resztą.

– To wiele wyjaśnia – uznał Bilski. – A czy psom w ogóle można dawać kurczaczę kości?

Zdębiały Tomasz Nicewicz zerknął na Leopolda spod daszka czapki i szeroko się uśmiechnął.

– Kurczakowi nie przeszkadzają „kurczaczę kości”. Jeszcze nigdy się nimi nie zadławił.

Bilski pokiwał ze zrozumieniem głową i szli dalej. Pies cały czas dreptał przy nodze swojego pana, nie wysuwając się przed niego nawet na milimetr.

– Posłuszna bestia – skomentował prokurator.

– No – przytaknął Nicpoń. – Dziewczyna raz zasnęła u mnie na kanapie, a ja musiałem wyjść, to mówię do niego: „Waruj”. Ta się budzi, a pies nie pozwala jej nawet z tej kanapy wstać. Co ona się rusza, to on warczy. W końcu Ilona do mnie dzwoni roztrzęsiona i mówi: „Zwolnij, kurwa, psa, bo ja muszę do toalety!”. – Zaczął się śmiać. – Przyjechać musiałem i dopiero wtedy Kurczak odpuścił. Ale zjeby od Ilony przyjąłem, matko!

Leopold szczerze się uśmiechnął. Usiedli na mieszczącym się na piętrze tarasie kawiarni Perełka. Nikt nie zaprotestował w związku z obecnością psa. Kelnerka natychmiast przyniosła Kurczakowi miskę z zimną wodą. Na stoliku po chwili pojawiło się podwójne espresso dla Bilskiego i duże piwo dla jego kompana.

Leopold jednym haustem wypił kawę i od razu zamówił następną. Nicewicz z zainteresowaniem śledził jego ruchy.

– Ciężka noc? – spytał.

– Ciężka – potwierdził. – Poszukujemy chłopca, który zaginął w niedzielę. Ostatni raz był widziany na imprezie dożynkowej w parku Solidarności. Coś panu świta?

– Świta – odparł Nicpoń.

– Matka chłopca widziała pana na miejscu zdarzenia.

– Aha. No byłem tam. Niedługo. Wraciałem z rynku, widział mnie pan tam zresztą. Pan wszedł do kościoła, a ja poszedłem do parku. Trochę się pokręciłem i poszedłem do domu. Za głośno było. Nie lubimy z Kurczakiem takich klimatów.

– Nie zauważył pan nic podejrzanego?

– Oprócz tłumu idiotów tańczących disco polo? Raczej nic.

– Tego chłopczyka pan widział? – Bilski wyświetlił zdjęcie na telefonie.

– Twarz kojarzę z internetu. Na Facebooku ludzie publikują informacje o tym zaginięciu. Ale na dożynkach nie, raczej nie zwróciłem uwagi. Za to matka chłopca... No cóż, przyciąga wzrok, nie powiem. Ją pamiętam doskonale, bo takie piękności to w Kartuzach rzadko się widuje. Nie żeby moja Ilona jakoś odstawała, ale wie pan...

Tomasz Nicewicz wyciągnął przed siebie dłonie i narysował koła na wysokości klatki piersiowej. Jasne, Julia Sarman miała duże piersi. Nie sposób było nie zauważyć.

– W jakich okolicznościach dostrzegł pan matkę chłopca?

– Zatrzymała się przy siłomierzu. Ja stałem w kolejce.

– Czy był z nią wtedy synek?

– Nie wiem. Raczej tak. Szczerze mówiąc, patrzyłem tylko na nią.

– Zna pan Arkadiusza Filipiaka?

– Taaa, facet z bliznami. Kojarzę. Specyficzny gość.

– Widział go pan wtedy?

– No, był kilka osób przede mną.

– Widział pan, żeby poszedł za Julią Sarman?

– Hmm, jak pan teraz tak to ujął, to mogło tak być. Ja od tej babki oczu nie mogłem oderwać, rozumie pan? – Mężczyzna znów narysował dłońmi w powietrzu kobiece krągłości. – Więc zauważyłem, że nagle się oddaliła. Wyglądała, jakby się czegoś przestraszyła. Ten cały Arek też od razu potem się zmył, chociaż miał jeszcze kilka uderzeń. Ten facet, co za nim stał, te uderzenia wykorzystał. Trochę mnie to wkurzyło.

– Czemu określił pan Arkadiusza Filipiaka jako „specyficznego gościa”?

Nicpoń wziął kilka łyków piwa. Cmoknął z zadowoleniem i otarł dłonią pozostałą nad ustami piankę. Bilski poczuł nieprzepartą ochotę na browara. Choć znajdowali się pod zacieniającymi parasolami, czuł, że

temperatura z minuty na minutę wyraźnie wzrastała. Koszula zaczęła kleić mu się do pleców.

– Czy ja wiem. Taki przychlast. Może to te blizny takie wrażenie robią? Tartak prowadzi tu w okolicy.

– Agresywny?

– Może być. Łatwo to on przez te blizny nie miał. Śmiali się z niego, wytykali palcami. Każdy by się odwinął.

– A o organiście coś pan słyszał kiedyś niepoehlebnego, że tak to ujmę?
– podjął prokurator.

– Różne opowieści krążą. – Nicewicz znów upił łyk piwa, po czym nalał trochę do miski psu. – Kurczak lubi browca. – Wzruszył ramionami, widząc minę Bilskiego.

– Jakie opowieści? – Leopold wbił w mężczyzną świdrujące spojrzenie.

– Opowieści, wie pan, jak to opowieści. Nie wiem, ile tam w nich prawdy, ale nigdy nikt od was się tym nie zainteresował, więc pewnie niewiele, co nie? – Nicpoń przybrał sarkastyczny ton.

– Okej, rozumiem aluzję. Wymiar sprawiedliwości działa do dupy. Podzielał tę opinię. Więc?

– Słyszałem kiedyś, ale to już dobrych kilka lat temu, że ten organista opiekował się takim jednym chłopaczkiem. Mówili, że z bardzo biednej rodziny był, wielodzietnej, co tam brud, smród i chujnia z grzybnią generalnie. Matka to taka rozplodowa foka, ojciec pijak pracujący na budowie. Podobno te dzieciaki bite, niemyte, z psem z jednej miski jadły. Kolega, co niedaleko nich mieszkał, opowiadał, że jak kiedyś coś do jednego z nich zagadał, to ten jak pies na niego zawarczał, jakby zachowania nie od ludzi się uczył. No, to mi w pamięci mocno utkwilo. Nie wiem dokładnie, jak to było, ale jednym z tych dzieciaków zainteresował się organista. Że podobno utalentowany, że do chóru się nadawał. Kumpel, jak mi to opowiadał, śmiał się, że ten chłopaczek to chyba w tym chórze będzie raczej jak wilk wył, he he. – Nicpoń znów pociągnął piwa i strzepnął pianę z dna szklanki do miski Kurczaka.

– I śpiewał w tym chórze w końcu? – Bilski poczuł przyływ adrenaliny.

– Chyba tak, w sumie nie wiem. Jak potem tego kolegę przy okazji spytałem, co tam u małego wilczka, to okazało się, że chłopak zaginął. Cała okolica go szukała przez dwa dni, po czym rodzice wycofali się z tej wersji i stwierdzili, że małego do jakiejś rodziny wysłali, tylko zapomnieli. Rozumie pan, zapomnieli! Fakt faktem, że jak na mój gust to

byli trochę niedorozwinięci, ale żeby zapomnieć o czymś takim, rozumie pan? No mały od tej pory zapadł się pod ziemię.

– Kiedy to dokładnie było?

– Niech pomyślę... No tak, Kurczak był wtedy jeszcze szczeniakiem, bo ten kumpel to tę historię mi wtedy opowiadał właśnie à propos odgłosów, które Kurczak z siebie wydawał. Tak śmiesznie ujadał wtedy, jakby dyszkantem. Więc to musiało być jakieś sześć lat temu jak na mój gust.

– A czemu myśli pan, że to zniknięcie miało coś wspólnego z organistą?

Nicpoń rozejrzał się wokół, jakby lustrował, czy nikt ich nie podsłuchuje. Stoliki wokół były jednak puste. Kelnerka stała za barem w środku wpatrzona w telefon.

– Z organistą, a może i z kimś innym? – Tomasz Nicewicz szepnął konspiracyjnie. – Może ten chłopczyk za bardzo tam się komuś w kościele spodobał. – Mężczyzna skrzywił się z niesmakiem.

Kofeina z dwóch podwójnych espresso najwyraźniej zaczęła już działać. Bilski czuł, jak pulsuje mu skroń.

– Rozwinie pan temat?

– Powiedzmy, że nie od dzisiaj wiadomo, że ktoś ma słabość do śpiewających w chórze dzieci, choć tu nikt wiary w to nie daje. Była nawet raz afera, w latach osiemdziesiątych jakoś, ja w podstawówce wtedy byłem, że się jedna dziewczynka poskarżyła w rodzinie, że tam takie rzeczy się dzieją. No ale skończyło się tak, że kazali tej dziewczynce przeprosić. Coś tam jeszcze było, ale teraz już nie pamiętam. Moja noga w każdym razie w kościele od dawna nie powstała, bo jak człowiek takie historie słyszy, to włos na głowie się jeży.

– Tak – przyznał Bilski i dodał zamyślony: – Tylko ten zaginiony Piotruś w chórze nie śpiewał. Zresztą dopiero co tutaj przyjechali.

– A jednak z jakiegoś powodu pyta mnie pan o organistę, co nie?

16

Policjant wydziału dochodzeniowo-śledczego Komendy Miejskiej Policji w Sopocie, Adam Kowalewski, znany w środowisku jako Kita z powodu fryzury rodem z gangu motocyklowego, stukał palcami w blat i przyglądał się wynikom. Faktycznie, w Elektronicznym Rejestrze Czynności Dochodzeniowo-Śledczych nie figurowały zgłoszenia zaginięć nieletnich na terenie Kartuz, które pozostałyby niewyjaśnione. Nie odnotowano również żadnych zaginięć osób dorosłych, które dotychczas

by się nie odnalazły. W Sopocie wyświetliły się cztery osoby, w tym głośna sprawa Iwony Wieczerek z dwa tysiące dziesiątego roku. Na terenie Gdańska nadal poszukiwano osiemnastu osób, w tym pięciu, które zniknęły bez śladu jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Baza wskazywała też pięć osób, które ostatni raz widziane były w Gdyni. Kita sprawdził jeszcze raz rejestr spraw prowadzonych przez prokuraturę w Kartuzach. Tam statystyki dotyczące wykrywalności od wielu lat były wzorowe. Wyglądało na to, że nowa placówka Bilskiego radziła sobie świetnie, choć wszystkie inne prokuratury w kraju miały ogromne problemy z utrzymaniem odpowiedniego wskaźnika rozwiązywalności spraw – czego wymagało od nich Ministerstwo Sprawiedliwości w powszechnie zniechędzonych tak zwanych planach statystycznych. Wiadomo, funkcjonariuszy było po prostu za mało. Prokuratorzy i sędziowie zmuszeni byli do pracy po godzinach i w weekendy, by wyrobić się z numerkami w referatach, a i tak nigdy nie udawało im się sprostać wymaganiom góry.

„Poziom przestępczości w małych miastach zawsze jest niższy niż w metropoliach, przede wszystkim z powodu mniejszej liczby ludności, ale i mniejszej anonimowości, nierzadko zniechęcającej przestępców do podejmowania czynów karalnych – zastanawiał się Kita. – Ale z drugiej strony, w takich miastach jak Kartuzy w sądach i prokuraturach pracuje zdecydowanie mniej ludzi. Doskonałe pokrycie wpływu w Kartuzach jest wręcz podejrzane. Żadnych większych trudności, brak przewlekłości. Wzór do naśladowania! Awanse i nagrody powinny się sypać”.

Policjant wyjął papierosa z czerwonego pudełka. Próbował ograniczyć palenie i wyznaczył sobie limit pięciu papierosów na dzień. Na dzisiaj zostały mu już tylko dwa. Na tę myśl cmoknął z niezadowoleniem. Już wiedział, że i tym razem nie dotrzyma postanowienia. Pewnie należałoby po prostu rzucić. Kupić sobie jakieś plastry czy coś. Uciąć nałóg towarzyszący mu od przeszło trzydziestu lat. Kita jednak wyznawał zasadę, że nie należy wyskakiwać na głowę z pędzącego pociągu, dlatego dzienny limit wydawał mu się znacznie lepszym rozwiązaniem – z akcentem na „wydawał się”.

Policjant zerknął na prostokąt na dole opakowania. „Palenie zabija”. Ten slogan już dawno przestał mieć dla niego jakąkolwiek moc. Gdy pojawił się na paczkach, raził może przez pięć minut. Wywoływał lekki grymas niesmaku. Kita starał się omijać go wzrokiem, żeby nie dopuszczać do siebie przekazu, który Unia Europejska narzuciła producentom. W ciągu kilku dni przestał go zauważać. Słyszał, że

niebawem w życie miała wejść nowelizacja dyrektywy w sprawie wyrobów tytoniowych, zgodnie z którą ostrzeżenia zdrowotne miały zająć aż sześćdziesiąt pięć procent przedniej i tylnej powierzchni opakowania papierosów. Co więcej, mówiono też o pojawieniu się drastycznych zdjęć – nie dzieci, które palacz zostawi, gdy wykituje na raka płuc, czy pomarszczonych jabłek symbolizujących zmasakrowane narządy. Teraz mieli postawić na dosłowność. Kita wyobraził sobie umieszczone na leżącej przed nim paczce zdjęcia zniszczonych zębów i dziąseł, krwawej wydzieliny z płuc, ran pooperacyjnych. Ha! Kto wie? Może i trupów? Sflaczałych przyrodzeń? Odpadających członków? Czy powstrzymałoby to Kitę przed sięgnięciem po fajkę?

Nie. Adam Kowalewski wiedział, że tylko się oszukuje i jego walka z nałogiem jak zwykle skończy się niepowodzeniem. Cokolwiek by mu pokazali, on prędzej czy później wróci do palenia. Zawsze tak było.

Wyszedł przed budynek komendy. Przy popielnicy na długiej nóżce stał Pająk i wystawiał twarz do słońca.

– Kurwa! – stęknął Kita, odbijając się od nagrzanego muru, o który próbował się oprzeć.

– Pięknie, nieprawdaż? – Paweł Pałowski był dzisiaj w znakomitym humorze. Z przyjemnością zaciągnął się papierosem i wypuścił dym. – Takiego lata to jeszcze nie było. W radiu mówili, że w Polsce zaczyna się nowa era klimatyczna. Podobno za dziesięć lat będziemy drugą Hiszpanią: gaje oliwne, winnice, te rzeczy. Żyć nie umierać!

– Świetnie – mruknął Kita.

Nie znosił wysokich temperatur. Heavymetalowe zapędy funkcjonariusza znajdowały wyraz nie tylko w charakterystycznych długich włosach. Kowalewski przez cały rok nosił czarne ciuchy i ciężkie bucior, przez co upały znosił szczególnie ciężko. Z politowaniem, ale też z pewnego rodzaju zazdrością zerknął na Pajaka. Lniane spodnie, jasna koszula z krótkim rękawem, przewiewne mokasyny. Kontrastująca z włosami opalenizna długich rąk wskazywała, że kumpel uwielbia słońce. Ulubionymi porami roku Kity były jesień i zima. Z utęsknieniem wyglądał już deszczy i śnieżnych zawieruch. I papierosy wtedy łatwiej rzucać, bo palenie na balkonie, kiedy cholernie piździ, to już nie taka przyjemność.

– Wiesz, że aby uzależnić się od alkoholu, potrzeba minimum pięciu miesięcy? A papierosa wystarczy zapalić kilka razy i często już odczuwa się przymus – rzucił rozżalony i z namaszczeniem zapalił przedostatnie dziś, przynajmniej w teorii, marlboro.

– A co to za wisielczy nastrój? – Pająk z rozbawieniem przyjrzał się koledze. – Znowu rzucasz... a nie, sorry: ograniczasz nałóg? Podobno modlitwy do ojca Pio pomagają.

– Taa, Hela znów się uparła na bycie eko, fit czy inne tam zdrowe chuje muje. Powiedziała, że jeśli tym razem nie rzucę, to odchodzi, bo nie będzie mnie niańczyć, jak będę zdychał na raka.

– Kochająca żonka – stwierdził Pająk i strzepnął żar do popielnicy.

– Srąca – syknął Kita.

– HUUU. – Pająk podniósł ręce w geście kapitulacji. – Nie było tematu. Coś nowego w sprawie kartuskiej?

– Której?

Pająk dawno nie widział kumpla w tak podłym humorze.

– A nie wszystko jedno?

– Czy ja wiem? – Kita wzruszył ramionami. – Nie ma żadnych dowodów, że sprawy są powiązane.

– Ale kosmiczna intuicja pana prokuratora podpowiada co innego. – Pająk się uśmiechnął.

– A co więcej, mniej więcej. – Na twarzy Kity pojawił się cień uśmiechu. Nadkomisarz łąpczywie zaciągnął się resztką papierosa. – Jednak trzeba przyznać, że nosa ma. – Puknął palcem w prawe nozdrze. – Wiesz, że Kartuzy to oaza praworządności? Wszystkie sprawy załatwiane niemal od ręki, plany statystyczne bez skazy, firma pracuje na medal.

– To może powinniśmy w Kartuzach robić, co?

– W Kartuzach mnie, kurwa, jeszcze nie widzieli. Prędzej zdechnę, niż mojemu buickowi przypnę GKA.

Kita smętnie pomyślał o swojej starej skodzie, którą od lat przekornie nazywał buickiem. Przynajmniej z rejestracją GSP. Zawsze dodawało jej to trochę prestiżu. Wrzucił niedopałek do popielniczki. Ten odbił się od krawędzi i wylądował na chodniku z szarej kostki brukowej. Kitę przez moment kusiło, żeby go tam zostawić, ale po chwili schylił się ze stęknieniem i umieścił peta w popielniczce.

„Faktycznie, na chuj mi to palenie” – pomyślał poirytowany.

Po chwili znów siedział za biurkiem. Spojrzał na wyświetloną na ekranie bazę zaginięć i ponownie postukał palcami w blat. Coś mu nie pasowało. Otworzył Google'a i zaczął wklepywać słowa. Na pierwszych stronach z wynikami wyszukiwania niczego ciekawego nie znalazł. Ale Kita się nie poddawał. Wiedział, że większość ludzi szukających czegoś w „internetach” nigdy nie dociera dalej niż pierwsza dziesiątka wyplutych przez komputer linków – top ten. Co ambitniejsi dojeżdżają do top

twenty. Wydaje im się, że na pierwszych stronach zawsze zawarta jest śmietanka. Tymczasem liczyła się nie tylko trafność, ale i pozycjonowanie. Ślady często myliły też ciasteczka oraz inne narzędzia marketingowe, z czego ludzie nie zdawali sobie sprawy. Kita mozolnie przeglądał kolejne artykuły. W końcu po jakichś czterdziestu minutach na coś trafił.

– W mordę różowego miśka! – Uśmiechnął się szeroko.

Chwycił komórkę i – po zaledwie sekundowym wahaniu – papierosa. Wyszedł przed budynek i wybrał numer Bilskiego.

17

Prokurator Leopold Bilski jechał saabem w stronę jeziora Klasztornego Dużego. W radiu znów puszczali Dziarmę. Gwiazda TVN-owskich programów rozrywkowych śpiewała, że może wszystko i nic nie musi. Hit tego lata wrzynał się Bilskiemu w mózg, pobudzając w nim jednak małą nutkę zazdrości. Bo on nie mógł niczego, a wiele musiał, choć jeszcze niedawno miesiącami wył w górach w niebo jak szary wilk.

Przełączył stację. Radio Gdańsk nadawało wiadomości, ale Leopold słuchał jednym uchem. Na chwilę znów zatopił się w rozmyślaniach.

„To już dwa dni od tajemniczego zniknięcia małego Piotrusia Sarmana. Przypomnijmy, wnuk burmistrz Kartuz, Fabioli Burchardt, zaginął podczas niedzielnej imprezy dożynkowej” – bezemocjonalnie zakomunikowała spikerka.

Bilski podkreślił głośność.

„Trwają poszukiwania. Nieformalnie spekuluje się, że sprawa może być powiązana z zeszłotygodniowym zaginięciem trzynastoletniej Amelii Stępień, do którego najprawdopodobniej również doszło w Kartuzach. Czy mamy do czynienia z seryjnym porywaczem? Być może – odpowiada Zdzisław Mączyński, komendant miejscowej policji. – Niewątpliwie trzeba zwrócić szczególną uwagę na dzieci i nie puszczać ich nigdzie samych, szczególnie po zmroku – dodaje”.

– No żeż kurwa – syknął Leopold. – Nie ma jak siać panikę. Choć słowa Mączyńskiego nie były zupełnie bez pokrycia. Nie dalej niż kwadrans temu prokurator odebrał telefon od Kity. Policjant natknął się na kilka artykułów prasowych dotyczących zaginięcia chłopca w dwa tysiące ósmym roku. Opis pasował do dziecka, o którym wspominał sąsiad Nicponia. Kicie na podstawie dostępnych danych udało się ustalić

nazwisko zaginionego. W policyjnej bazie nie było natomiast żadnych rejestracji dotyczących tego wydarzenia.

Bilski zaparkował przed domem na wzgórzu. Kilkakrotnie zadzwonił do drzwi wejściowych, a gdy nikt mu nie otworzył, obszedł budynek. Julia Sarman, która poprosiła go o spotkanie, siedziała na tarasowych schodach prowadzących do ogrodu. Patrzyła bez ruchu na jezioro. Leopold pomyślał, że wyglądała jak postać z obrazów Vermeera – zamyślona, nieobecna, jakby z innego świata.

Usiadł obok niej. Betonowy stopień był nagrany od słońca. Julia lekko drgnęła, nadal jednak wbijała wzrok w przestrzeń jak zahipnotyzowana.

– Wiesz, że większość polskich jezior ma jakieś kilka tysięcy lat? Podobno z roku na rok jest ich coraz mniej, bo zarastają. Za kolejne trzy, góra pięć tysięcy lat jeziora w Polsce przestaną istnieć. Wyobrażasz to sobie? Świat bez jezior? Jak myślisz, gdzie wtedy będziemy?

Głos miała smutny, zrezygnowany. Mówiła z wysiłkiem, a Bilski domyślił się, że nie spała kolejną noc.

– Raczej nie będzie nas. Po prostu. Nie wierzę w życie po śmierci – odparł Leopold i czując delikatne ukłucie smutku, spojrzał na jezioro.

„Szkoda jezior” – pomyślał. Zdążył je polubić w ostatnim czasie.

– Mam nadzieję – stwierdziła Julia. – Zawsze przerażała mnie wizja nieba. Jakiś dziwny świat nad nami, a w nim sami uśmiechnięci i szczęśliwi ludzie. Istny dom wariatów, nie? Jak matka straszyla mnie piekłem, to niespecjalnie mnie to ruszało. Myślałam sobie nawet, że w piekle mieszkają chociaż ci normalni, co nie boją się żyć.

Bilski pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Pewnie nic nowego nie wiecie, co? – Julia westchnęła ciężko.

– Na razie nie. Nic nowego nie wypłynęło. Ale sprawdzamy wszystkie tropy, no i to, że nic nie odnaleźliśmy, yhm... w terenie... – Leopold starał się ostrożnie dobrać słowa – ...również jest pozytywnym znakiem.

Julia podniosła i opuściła brwi. Zaciśnęła usta.

– A ta Amelia? Znalazła się?

Bilski spojrzał na kobietę zaskoczony.

– Ona też zaginęła kilka dni temu, prawda? Tu, w Kartuzach?

– Prawdopodobnie. Dziewczynka jest z Sopotu, ale kamery monitoringu nagrały ją w dniu zaginięcia w Kartuzach.

– Czy to prawdopodobne, żeby w ciągu kilku dni zniknęło dwoje dzieci w tym samym mieście, a zaginięcia nie były powiązane? Jaka jest szansa?

– Hmm, na mój gust mała, tym bardziej że w Kartuzach zaginięcia zdarzają się rzadko, że tak to ujmę – przyznał prokurator.

– Opowiesz mi o tej Amelii? – poprosiła Julia.

– Trzynastolatka. Z normalnej rodziny. Brak oznak patologii. Dziewczynka od jakiegoś czasu zaczęła się dziwnie zachowywać. Zerwała kontakty ze znajomymi, wypisała się z portali społecznościowych, kilka razy nie wróciła do domu na noc. Podobno popalała trawkę. Rodzice zrzucają to zachowanie na karb dorastania, co zresztą nie jest takie znów z palca wysane. Wiem po sobie. W każdym razie jak matka zgłaszała zaginięcie, to wspomniała o wcześniejszych eskapadach córki, więc z góry wszyscy założyli, że mała uciekła. Podjęto oczywiście rutynowe działania, ale w związku z nadaną kategorią trzecią nie tak dynamiczne i liczne, jak w przypadku Piotrka. Co jeszcze? – zastanowił się Bilski. – A tak. Amelia śpiewała w kościelnym chórze w Kartuzach. Wydaje się, że babcia ją tam pchała na siłę. Ostatni raz widział ją właśnie organista. Amelia przyszła do kościoła w środę. Nie chciała zostać na próbie chóru. Podobno szukała księdza. Tylko tyle udało się ustalić.

– Też śpiewałam w tym chórze. – Głos Julii był drwiący i pełen pogardy. – I moja siostrzyczka, Andżelika. Też śpiewała, choć większość czasu spędzała w zakrystii, stemplując święte obrazki – oznajmiła kobieta i zapatrzyła się w jezioro.

Jezioro rozplynęło się w jej łzach. Julia zamknęła oczy. Jezioro zniknęło.

18

W prokuratorским gabinecie panował gwar.

– Tak się nie da pracować – syknął Marek Czerniak i wyszedł z pokoju.

Dobosz i Wiśniewski uśmiechnęli się życzliwie i podążyli za nim.

– Na kawkę sobie skoczymy, a wy tutaj na spokojnie... – powiedział Dobosz i cicho zamknął za sobą drzwi.

Dopiero po chwili Bilski dostrzegł Jeżynę. Chłopak usiadł na biurku twarzą do nich. W rękę trzymał notatnik i długopis. Miał minę pilnego studenta.

– Chcę pomóc! – Choć głos Mateusza Borowskiego załamał się na ostatniej sylabie, zabrzmiał dość przekonująco.

Leopold przypomniał sobie, jak chłopak zdeterminowany brodził w błocie podczas poszukiwań Piotrusia Sarmana ostatniej nocy. Oddalił się do domu jako jeden z ostatnich.

Prokurator skinął głową i odwrócił się ku białej przesuwnej tablicy ustawionej na środku gabinetu. Była w całości zapisana. Hasła i nazwiska łączyły się strzałkami, tworząc zagmatwaną pajęczynę.

– Amelia Stępień śpiewała w chórze prowadzonym przez organistę, podobnie jak przed laty mama Piotrusia. To stary Filipiak jako ostatni widział Amelię Stępień. Przez ostatnie miesiące miał wiele okazji, żeby nawiązać z nią bliższy kontakt. Jeśli tak się stało, byłby w stanie łatwo zmanipulować dziewczynkę i na przykład nakłonić, by z nim gdzieś poszła. Możemy założyć motyw seksualny, ale też nie odrzucałbym innych ewentualności. Może był skłócony z babcią Amelii? Albo z jej rodzicami? Trzeba sprawdzić, czy w przeszłości nie doszło do jakichś animozji pomiędzy Filipiakami a Stępniami. A może dziewczynka po prostu zobaczyła coś, czego widzieć nie powinna? Natomiast w kontekście porwania Piotrusia Sarmana pojawia się motyw zemsty za okaleczenie syna. Może Filipiak nakręcił się porwaniem Amelii i na fali dorwał też małego? Nie wiem. Na pewno wspólnym mianownikiem jest w jakiś sposób chór.

– Nie wykluczałabym też księdza Wojciecha jako porywacza – stwierdziła Anna Górka. Miała na sobie ołówkową spódnicę i szpilki. Tym razem postarała się, by Leo pożałował, że był takim dupkiem. – W końcu to księdza szukała Amelia przed zniknięciem – kontynuowała. – A Filipiak sam się przyznał, że Amelia Stępień pojawiła się w dniu zaginięcia w kościele. Gdyby był winny, to po co by o tym wspominał?

– Może jest głupi i bezmyślnie się wysypał? – stwierdził Jeżyna.

Wszyscy popatrzeni na chłopaka zdziwieni. Ten wzruszył ramionami i stwierdził:

– Gdybym miał wybierać, to organista bardziej pasuje na sprawcę. Tym bardziej że prokurator Bilski opowiadał o tym małym chłopcu... o chłopcu, który czekał. Jeśli chodzi o księdza, to ja bym uważał. Ksiądz to u nas dla wielu świętość. Zanim coś zaczniecie mu zarzucać, dobrze byłoby mieć pewność, inaczej może być z tego ostra chryja. Nie gadôj, jaź ùdrzisz. Nie mów, zanim nie zobaczysz. Takie mamy przysłowie. W tym przypadku chyba dość trafne.

– Nie podoba mi się to – zachnął się Żaczek. Do tej pory policjant stał oparty o ścianę i sceptycznie przysłuchiwał się dyskusji. – Ksiądz czy organista to same pomówienia i wyssane z palca gdybanie. Tak naprawdę to nic nie macie. Żadnych konkretnych dowodów. Ja organistę Filipiaka od dziecka znam i złego słowa powiedzieć na niego nie dam. Co to w ogóle za akcja jest! Jakieś polowanie na czarownice sobie urządza!

– Spokojnie – odezwał się Zdzisław Mączyński. – Na razie nikt nikogo nie oskarża, Żaczek. To tylko luźne rozważania, które faktycznie na razie donikąd nie prowadzą – zwięździł głośnym chrząknięciem. Od tego upału zasychało mu w gardle.

Komendant siedział rozparty na twardym krześle. Co jakiś czas wyjmował z kieszeni chusteczkę, którą przecierał wilgotną od gorąca twarz. „Że też klima nie miała kiedy pieprznąć” – pomyślał zirytowany.

– Jak na moje oko – kontynuował – całe to postępowanie przygotowawcze prowadzone przez prokuratora Bilskiego stoi w martwym punkcie i prawdę powiedziawszy, zmierza donikąd. Dowodów dla sądu nie ma. Zarządzenia co do kierunków postępowania również brak. Wytycznych też nadal nie dostaliśmy. A pan prokurator, z tego co widzę, nie tyle lubi uczestniczyć w czynnościach wykonywanych przez policję, ile raczej woli samodzielnie je przeprowadzać, by nie powiedzieć, przejmować do prowadzenia. Nie tak się u nas pracuje. – Mączyński niechętnie powiódł wzrokiem po zgromadzonych. Zatrzymał spojrzenie na siedzących po drugiej stronie pokoju Pajaku i Kicie. Zmrużył oczy i nie odrywając wzroku od sopockich policjantów, zwrócił się do Bilskiego: – Czy pan prokurator chce zlecić nam wykonanie jakichś czynności? Bo jeśli nie, to nic tu po nas.

Leopold poczuł się lekko skonsternowany.

– Może najlepiej będzie, jeśli będziemy działać dwukierunkowo? – zaproponował. – Prokurator Górski wraz z Pajak... ze śledczymi Pągowskim i Kowalewskim będą pracować nad sprawą Amelii Stępień, a wy zajmijcie się Piotrusiem Sarmanem. Pozostawiam wam w tym zakresie wolną rękę, tylko informujcie mnie na bieżąco o wynikach. A ja będę koordynował oba przewody i czuwał nad przepływem informacji.

– Eph – prychnął Zdzisław Mączyński i wstał z nieukrywanym wysiłkiem. – Sranie w banie, a na wierzbach różowe bombki. Dobra, lecimy, bo prawdziwa robota czeka.

– Przemili panowie – stwierdził Kita, gdy komendant Mączyński i komisarz Żaczek zniknęli za drzwiami.

– Taa, prawdziwe przytulanki – odparł Bilski.

Odczuwał lekkie wyrzuty sumienia, że współpraca z miejscowymi glinami zupełnie się nie układała. Nie można było jednak zaprzeczyć faktowi, że chemii pomiędzy nimi nie było. A Leopold uważał, że na płaszczyźnie zawodowej chemia potrzebna była bardziej niż podczas całowania z jęczyzkiem.

– Dobra, to przejdźmy do konkretów. – Kita zeskoczył z biurka i podszedł do tablicy.

Jednym ruchem zmasał wcześniejsze gryzmoły i wielkimi literami napisał: „Zmowa”.

– Zmowa? – powtórzył Bilski.

– Zmowa, spisek, konspira, układ, szachrajstwo, knucie. Jak zwał, tak zwał. Coś tu śmierdzi na kilometr i myślę, że w kartuskich papierach nie wszystko się zgadza. Adaś Poznański, lat osiem, znany też jako „chłopiec, który warczał”. Zaginął w dwa tysiące ósmym. W policyjnej bazie brak ogłoszenia, żadnej toczącej się czy umorzonych sprawy. Ale w necie kocioł. Tuż po zniknięciu chłopca apele matki do porywacza, wywiady z sąsiadami, łzawe rysy charakterologiczne, poszukiwania prowadzone w okolicy przez wolontariuszy. I tak przez dwa dni, a potem cisza. Temat ucięty, a chłopca od tamtej pory nikt nie widział. Matka nagle sobie przypomniała, że synek pojechał do krewnych, którzy mieli mu zapewnić lepszy byt. A w komentarzach jeden nadgorliwy sąsiad jeszcze przez jakiś czas pisał, że skandal, że dzieciaka jak nie było, tak nie ma, że Poznańscy żadnych bogatych krewnych nie mają, że dowodów, by dziecko nadal żyło, brak. Ktoś nawet zrobił wrzutkę, że dzieciaka rodzina się „pozbyła” – Kita zrobił w powietrzu cudzysłów – bo kasy na siedmioro malców nie starczało. Dokopałem się też komentarza, że wkrótce po zniknięciu Adasia Poznańscy wybudowali sobie duży dom. – Jakieś przemyślenia?

Pytanie zawisło w powietrzu jak podrzucony przez magika słoń.

– Zaciukali Adasia i wydebili kasę z odszkodowania? – rzucił Jeżyna.

– Matka sprzedała chłopca pedofilom – powiedziała Ania.

– Albo jakimś bezdzietnym bogaczom marzącym o brzdącu – rzucił Bilski.

– Nielegalna adopcja byłaby chyba najlepszą z możliwych hipotez – stwierdził Pająk. – Ale trzeba też rozważyć seksbiznes, zmuszanie do żebractwa, wynajmowani do udziału w popełnianiu przestępstw, a nawet handel organami. Takie są realia. – Policjant bezradnie podniósł ręce. – Pamiętam taką głośną sprawę, jak grupa młodych ludzi uprowadziła pięcioro dzieci i przemierzyła z nimi pięć europejskich krajów, podając się za ich prawnych opiekunów. W tych krajach handlarze znajdowali na nich klientów. Dzieci udało się w końcu uwolnić, ale porywacze uciekli.

– No dobra, a brak informacji w bazach? – drażył Kita.

– Matka wycofała się z zeznań, chłopczyk się znalazł, więc nie było sprawy. Może nie zdążyli nawet wprowadzić tego do systemu? – zastanowił się Jeżyna.

– Albo ci, którzy maczali w tym paluchy, zapłacili komuś z biura, żeby sprawa rozplynęła się we mgle – skonstatował Pająk.

Wszyscy zamilkli.

– Mączyńskiemu? – rzucił Bilski.

– Jemu, Żaczkowi albo innemu sierściuchowi mającemu dostęp do systemu. Jak na moje oko, to żeby sprawa zniknięcia Adasia Poznańskiego poszła w zapomnienie, ktoś musiał zapłacić raczej całej ekipie, od starszych do młodszych stopniem.

– Myślicie, że mamy do czynienia ze zorganizowaną grupą? Tu, w Kartuzach? – Jezyna wyglądał, jakby miał zemdleć.

– W Kartuzach, Trójmieście, a może w ogóle na całym Pomorzu – odparł Kita.

– Tak czy siak elementem wspólnym jest organista Filipiak. To do niego prowadzą wszystkie nitki – stwierdził Bilski.

W tym momencie przypomniał sobie starego grabarza. Przeszywające spojrzenie jego nagle pobudzonych do życia oczu. Czy najstarszy członek rodziny Filipiaków próbował mu coś powiedzieć? Po plecach Leopolda przeszły ciarki.

19

Trulôcz był niemal pusty.

Ania, Leopold, Kita i Pająk zajęli duży stół przy oknie. Zimne powietrze z klimatyzatora przyjemnie chłodziło zgrzane ciała. W lokalu panował mrok. Na zewnątrz po chwilowym przejaśnieniu granatowoczarne chmury znów zasnuły niebo. Zbierało się na kolejną burzę.

– Prawda, że nie ma nic piękniejszego niż ciemności przed burzą? – Pani Elżbieta stanęła przy nich z kartami dań w ręku.

Patrzyła przez okno. Wzmagający się wiatr przesunął i poderwał cienką foliową siatkę.

– Fakt – przytaknęła Ania.

Miasto za szybą z minuty na minutę stawało się coraz bardziej grafitowe, jakby ktoś nałożył na nie filtr. Nic nie mogło powstrzymać ulewy.

– A państwo w sprawie porwania, tak? – zainteresowała się właścicielka knajpy, ciekawie przyglądając się gościom.

– Przejazdem – dyplomatycznie odpowiedziała Górka. – Stek wołowy poproszę. Krwisty.

– Analogicznie do nastroju? – Pająk uśmiechnął się od ucha do ucha. – To dla mnie też.

– Niech będzie stek, ale dla mnie dobrze wysmażony – poprosił Bilski.

– Pan prokurator to prawdziwy mięczak – bezceremonialnie stwierdziła Anna.

– Robi się ciekawie. – Pająk był coraz bardziej rozbawiony. – Ach, te kłótnie kochanków.

Pani Elżbieta podniosła brew i ponownie spojrzała na Anię. Górska spiorunowała Pągowskiego wzrokiem, Leopold natomiast oblał się rumieńcem.

– Normalnie cycki opadają – skwitował Kowalewski z ponurą miną i zwrócił się do właścicielki knajpy: – A co pani poleca?

– Dziadówkę na przykład. A do tego ferkasę. – Pani Elżbieta się uśmiechnęła i widząc minę Kity, dodała: – Czyli zupę z maślanki okraszoną boczkim, a na drugie danie potrawkę z gotowanego mięsa kury z ryżem i specjalnym białym sosem.

– Biorę. – Policjant przełknął ślinę.

– A dla pana będzie zupa brukwiowa po kaszubsku i szmurowany pomuchel – zdecydowała gospodyni, patrząc na Pajaka.

– Nie śmiałbym się kłócić. – Pągowski zaśmiał się, unosząc ręce.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Spektakl za oknem się rozkręcał. Deszcz zaczął zacinać na prawo, a wiatr porwał śmieci, które kręciły się teraz wokół własnej osi. Granat nieba co chwila przecinały błyskawice, rozświetlając miasto niemal na biało. Pomiedzy budynkami niczym widmo wyrastał miedziany dach kościoła.

– Ładne miasteczko – zauważył Pająk. – Jakies rozrywki do ogarnięcia? Bo nie wiem, czy już wiesz, ale kilka dni będziemy tu melinować – zwrócił się do Bilskiego.

– Stary was puścił? – zdziwił się prokurator.

– Cóż, właściwość miejscowa zaginięcia Stępień, jak widzisz, się zmieniła, a dziennikarze ostro atakują. Jak zwykle Ambroziak już sra pod siebie.

– Kutas – stwierdził Leopold, zagryzając wargę.

– Wiesz, mogłeś wylądować gorzej. W Glinojocku na przykład – skwitował Kita.

– Albo w Starych Juchach – dodał Pająk. – Lub nie szukając daleko, w Swornychgaciach.

– Albo w Kocach-Schabach – rzuciła Ania.

– Gdzie? – stęknął Pająk, trzymając się za brzuch. – Zmyślasz!

– Wcale nie! Jest taka dziura na Podlasiu!

– Ej, w tych pipidówach to nawet prokuratur rejonowych nie ma – stwierdził Bilski.

Powietrze przeciął grzmot. Huknęło tak bardzo, że Górska, aż podskoczyła, co tylko wzmogło wesołość przy stole.

Przez chwilę poczuli się jak dawniej, gdy pracowali w czwórkę nad sprawą Skalpela. Wspólne podążanie tropem seryjnego mordercy topiącego kobiety, a następnie wycinającego im skalpelem usta wytworzyło między nimi niezwykłą więź. Więź, na którą mrocznym cieniem kładł się jednak dramatyczny finał śledztwa. Zabrakło dosłownie kilku sekund, by odgrywająca rolę przynęty na mordercę Ania straciła życie. Bilski, by ją ratować, zastrzelił zbrodniarza. Dokładnie w tym momencie wszystko zaczęło się między nimi psuć – z początku niezauważalnie, a potem definitywnie. Jednak teraz na chwilę, w to burzowe popołudnie jednego z ostatnich dni lata, w kartuskim Trulôczu mieli wrażenie, jakby cofnęli się w czasie o kilkanaście miesięcy, i odetchnęli.

– Wiecie, że za handel dziećmi w Polsce grozi kara w wymiarze zaledwie trzech lat pozbawienia wolności? – rzucił Leopold.

– Tak, to niebywałe – odparła Górska.

– Czyli naprawdę idziemy w handel ludźmi? – spytał Pająk.

– Hmm, sam nie wiem – zawahał się Bilski. – Na razie mamy tylko jakąś niepotwierdzoną opowieść świadka i komentarze internetowe. Ale trzeba zbadać ten trop. I porozmawiać z mamą Adasia Poznańskiego, tylko delikatnie, bo nie sądzę, żeby chciała się pochwalić, że sprzedała komuś synka.

– Chyba że jest głupia i bezmyślnie się wysypie. – Pająk zacytował słowa Jeżyny.

Znów wszyscy wybuchli śmiechem.

– Powęszymy w Trójmieście. Większe miasto, więcej bandziorów, więcej szans na jakiś trop w sprawie handlarzy żywym towarem – stwierdził Kita.

– A ja rozmawiam z Poznańską – powiedziała Górska.

Bilski pokiwał głową i spojrzał jej w twarz. Zielone oczy Ani w panującym w knajpie mroku wydawały się czarne. Kobieta popatrzyła na niego poważnie i nie odrywając od niego wzroku, wbiła widelec w swoją sztukę mięsa. Przekroiła. Po talerzu rozlała się krew.

Noc już dawno zapadła. Ale zabawa w sopockich klubach trwała w najlepsze. Tam noc była dniem, a dzień nocą. Knajpy budziły się do życia tuż przed północą, by zamrzeć o wschodzie słońca.

Policjanci Adam Kowalewski i Paweł Pągowski stanęli przed Centrum Handlowym „Rezydent”. Budynek Krzywego Domku zdawał się falować w puszczonej od dołu sztucznym świetle jeszcze bardziej niż zwykle. Monciak był wypełniony po brzegi. To nic, że był poniedziałek, że pierwszy dzień szkoły. Studenci i turyści bawili się w najlepsze. Sezon urlopowy przeciągnął się w związku z piękną pogodą na kolejny miesiąc, a branża turystyczna zacierała ręce. Do Sopotu tłumnie zjeżdżała Warszawka, lokowała się na krótki termin na Dolinie Gołębiewskiej, wynosiła pełne siatki zakupów z Żabek, płaciła grube rachunki w restauracjach, wypijała niezliczone shoty w klubach. Wszystko się zgadzało.

Obok mężczyzn przetoczyła się grupa skąpo odzianych dziewczyn. Same czarnule. Opalone, wysztafirowane. Roztoczyły wokół siebie zapach perfum i wakacyjnego słodkiego potu. Kita uwielbiał to połączenie. Odprowadził je wzrokiem. Jedna z czarnul rzuciła mu spojrzenie spod długich rzęs i kokieteryjnie się uśmiechnęła.

Twarz policjanta rozpromieniła się jak słońce nad Kalifornią.

Pająk spojrział na kolegę z politowaniem.

– Nie twoja liga, bracie. – Pokręcił głową. – A tak w ogóle to nie wiem, co te laski w tobie widzą. Stary wyleniały lis.

– No widzisz, a jednak urok pozostał. – Zadowolony Kowalewski pstryknął niedopałkiem do stojącego nieopodal śmietnika. – Idziemy czy chcesz jeszcze podyskutować o moim bezdyskusyjnym magnetyzmie?

Skierowali się do środka i bez pośpiechu zaczęli wchodzić po schodach. Wyprzedził ich ubrany w podkoszulek i krótkie dżinsy mężczyzna. Przcisnął się między ramieniem Kity a balustradą schodów, by po chwili skrócić w stronę klubu Egon.

– Kurwa, co za bezczaj. – Ich uszu doszedł tubalny śmiech. – Buda, chłopie!

Mężczyzna zawrócił i chwiejnym krokiem minął się z policjantami, akurat gdy ci weszli na piętro.

Na hokerach w przedsionku siedziało dwóch karków.

– No i mówię ci, wczoraj przyszedł tu ten bokser, wiesz, Michałowicz. Kurwa, on to lubi przewietrzyć nozdrza, zaćpał się wczoraj jak szatan. –

Ochroniarz się zaśmiał. – Więc podchodzę do faceta i wiesz, z szacunkiem do niego, bo wiadomo mistrz świata i w ogóle, mówię: „gościu, źle wyglądasz”, a ten pyta: „serio”? No „serio”, mówię.

Bramkarz spojrział przelotnie na wchodzących do klubu Pajaka i Kite, nie przerywając wywodu. Drugi ochroniarz skrzyżował ręce, odprowadzając policjantów wzrokiem.

– A ten wyciąga, kurwa, worek, normalnie woras białego, nie, i wkłada mi do kieszeni. No to wziąłem za fraki. Nawet nie miał siły protestować, nie? A worek w mojej kieszeni został...

Wybuch śmiechu mięśniaków zagłuszyła głośnie muzyka elektro. Podkrecone na maksa basy zaczęły tętnić policjantom w gardle. Klub zalewało niebieskie światło, które przesunęło się po tańczących na parkiecie i podestach gościach. Dziewczyny ocierały się o siebie, nisko zginając kolana, kolesie podskakiwali jak jelonki, nie odrywając wzroku od dziewczyn. Powietrze było aż gęste od feromonów – większość tańczących przyszła tu po to, by prędzej czy później skończyć z kimś w łóżku.

Śledczy przeszli wzdłuż zajmującego całą długość ściany kontuaru. Barman wycierający szkło podniósł głowę i wymienił z nimi spojrzenia. Witold Szarłacki na pewno został już poinformowany.

Przeszli obok palarni, a stojący na podeście didżej po długim wprowadzeniu zapodał w końcu zmiksowany refren. Tłum oszalał, po lokalu rozniosły się okrzyki ekstazy.

Pajak pchnął skrzydło czerwonej wahadłowej furtki w kowbojskim stylu i znaleźli się w przedsionku. Ktoś przed nimi uchylił na moment drzwi do VIP-roomu, doszły ich śmiechy, wystrzelił korek od szampana. Kita kątem oka dostrzegł ekran monitoringu z podglądem na główną salę klubu.

W końcu stanęli przed biurem. Pajak bez pukania otworzył drzwi.

Witold Szarłacki, menedżer Egona, już wyciągał do nich rękę.

Kowalewski nie znosił gościa. Nieraz mu się upiekło tylko dlatego, że kogoś wsypał. Tak naprawdę frajer już dawno powinien siedzieć.

– Witam, witam – odezwał się grubas.

Na czole Szarłackiego połyskiwał pot. Tuż pod nosem mężczyzny Kita zauważył biały kryształek. Jedno zerknięcie na biurko i było jasne, że dosłownie przed chwilą ktoś tu ścigał z blatu kreski.

– Siadajcie. – Mężczyzna wskazał krzesła. – Coś do picia?

Pągowski oparł się o brzeg szafy, na której piętrzyły się segregatory. Kowalewski usiadł na biurku, z góry spoglądając na Szarłackiego, który

zdążył zająć fotel po drugiej stronie.

– Sprawę mamy – zaczął Kita.

– Porwane dzieciaki, w tym trzynastolatka z Sopotu. Coś ci styka? – dodał Pająk.

– Nic nie wiem. – Menedżer wzruszył ramionami.

– Nic nie wiesz – powtórzył Kowalewski. – Nie wiesz, co się w twoim mieście dzieje?

– Nie, no wiem, słyszałem – zmieszał się Szarłacki. – Ale nic nie wiem. Serio.

– Serio? No dobra, a co powiesz na to, żeby ruszyć do przodu sprawę wyłudzenia lokalu, co? Słyszałem, że ładnie tam umoczyłeś paluchy. Ciepła posadka nie wzięła się znikąd, nie?

– Nie wiem, o czym mówisz – sapnął grubas.

Pot na jego czole połyskiwał coraz mocniej. Po skroni przetoczyła się kropla, zatrzymując się tuż przy uchu. Witold Szarłacki strzepnął ją jak komara.

– No dobra, to może inaczej. – Kita zerwał się na równe nogi i doskoczył do mężczyzny.

Jednym ruchem pchnął fotel pod ścianę i przedramieniem przycisnął do niej krtań grubasa.

Szarłacki złapał Kowalewskiego za rękę, próbując ją odciągnąć, ale policjant trzymał mocno.

– Jeszcze raz. Zniknęły dzieciaki. Kto w tym robi teraz na mieście? – syknął.

Witold Szarłacki zaczął się robić czerwony na twarzy.

– To jak? Odpierdala się jakiś handel żywym towarem czy nie? – wrzasnął Kita, jeszcze mocniej dociskając grdykę menedżera.

Mężczyzna zaczął energicznie machać głową, próbując coś powiedzieć.

Policjant zwolnił ucisk, a menedżer klubu zaczął kaszleć rozpaczliwie łapiąc powietrze.

– Dalej pchasz się do gipsu czy wolisz pogadać? – Pająk się zaśmiał.

– Jest taki jeden skaut, który wyszukuje młode laski – wychrypiął Szarłacki, masując szyję. – Umalowane wieśniary ze Starogardu, Tczewa, Pruszcza, Rumi... Takie, co za kreskę amfetaminy są w stanie otworzyć się na dalszy ciąg wydarzeń, rozumiesz? – powiedział i znowu się rozkaszał.

– Weź mi tu, kurwa, nie pluj, tylko nawijaj dalej. – Kita z niesmakiem popatrzył na kropelkę śliny, która wylądowała na jego czarnych dżinsach.

– Czy może mam ci wyjebać z buły, kurwa?

Podniósł pięść na wysokość twarzy menedżera.

– No mówię przecież, ja pierdołę. – Szarłacki był na pograniczu płaczu.

– No więc ten koleś, Kacperek na niego mówią, zabiera te siksy do sopockich klubów, stawia im alk, a potem te dziewczyny lądują na apartamentach z jakimiś dziadami. Słyszałem, że za ich całkowitym przyzwoleniem.

– Trzynastolatki też? – warknął policjant.

– Nie wiem dokładnie, no nieletnie jakieś. Ale to są dziunie z jakichś dziur, nie od nas, nie z miasta. Zupełnie inna historia. Z tą waszą główniarą to raczej nie Kacperka robota.

– Kurwa. – Kowalewski walnął pięścią w stół, a następnie, nie mogąc znaleźć ujścia dla nerwów, uderzył grubasa w twarz.

Pągowski spojrział na niego z dezaprobatą.

– No co? Żeby, kurwa, pamiętał, że nam się nie fika. – Kita wzruszył ramionami. – To do następnego – rzucił do zakrwawionego Szarłackiego na odchodne.

21

Julia Sarman nie mogła nawet drgnąć. Próbowwała poruszyć palcami dłoni, ale mózg nie przekazywał odpowiednich impulsów. Połączenie pomiędzy jej umysłem a ciałem zostało zerwane.

Jej stany katatoniczne nigdy jeszcze nie trwały tak długo. Zazwyczaj ograniczały się do kilkunastosekundowych epizodów. Kiedyś zdarzały jej się dość często, ale gdy poznała Wiktora, zupełnie zanikły. Mąż był jedyną osobą, przy której kiedykolwiek czuła się bezpiecznie. Gdy go zabrakło, dolegliwość wróciła. Lekarz stwierdził, że ataki mają podłoże psychotyczne, i przepisał jej tabletki. Ale Julia brała je tylko przez kilka dni. Czuła się po nich senna, jeszcze bardziej przybita i nieobecna duchem. Piotruś tego nie lubił. Mówił, że go straszy.

„Gdy jesteśmy razem, nie mam stłachu” – znów dziecinny głos Andżeliki zabrzmiał w głowie Julii.

Andżelika. Upchane do najciemniejszych zakamarków umysłu wspomnienia powracały.

To Julia nakłoniła Andżelikę, by też śpiewała w chórze. Siostra nie chciała. Bardzo się wstydziła. Paraliżował ją lęk. Ale matka powiedziała, że albo na próby chóru będą chodziły obie, albo żadna, bo w tym czasie

nie miał kto zająć się młodszą siostrą. Właśnie dlatego Julia nie chciała odpuścić.

– Jak ze mną nie pójdziesz, to przestanę cię kochać – zagroziła siostrze, a w oczach Andżeliki zaszklily się łzy.

– Nie mozesz pestać, bo ja jestem twoją siostrą – odpowiedziała dziewczynka z chmurną miną.

– Ale przestanę, zobaczysz – twardo stwierdziła Julia.

No i Andżelika poszła. Początkowo stała jedynie obok Julii i kurczowo ściskając jej rękę, wpatrywała się w podłogę. Julię to denerwowało, więc wyrywała dłoń, a siostra zaczynała płakać. Stała bez ruchu w pierwszym rzędzie i marszczyła buzię. Robiła się coraz bardziej czerwona na twarzy, aż w końcu wstrząsał nią przejmujący szloch, który sprawiał, że Julia w pierwszym odruchu chciała ją przytulić i przeprosić, ale ostatecznie tego nie robiła.

W końcu organista zaproponował, by Andżelika spędzała próby w zakrystii i stemplowała święte obrazki.

– Zawsze to praca dla dobra Kościoła – stwierdził i puścił oko do małej.

Ta przytaknęła i od tej pory biegła do zakrystii, gdy tylko przekraczały próg świątyni. Aż pewnego dnia powiedziała, że więcej nie pójdzie. Nigdy, przenigdy nikt jej do tego nie zmusi.

Po twarzy Julii stoczyła się łza. Straciła Andżelikę, a teraz straciła Piotrusia. Od zaginięcia synka minęły już trzy dni.

Mamo!

Drgnęła. To na pewno głos Piotrka. Słyszała go wyraźnie. Krzyk był trochę przytłumiony, jakby dochodził z oddali, ale bezsprzecznie to on ją wołał.

Poderwała się ze stojącego na tarasie fotela. Chusta, którą przykryła nogi, spadła na ziemię. Zaczęła biec. Mokra od deszczu ziemia przyklepała się do jej nagich stóp. Nadepnęła na szyszkę. Jej twarda powierzchnia boleśnie wbiła się w skórę.

Zbiegła nad jezioro. Wydawało jej się, że właśnie z tej strony dochodziło wołanie.

– Piotruś! – krzyknęła. – Piotruś!

Biegała wzdłuż brzegu w tę i z powrotem, rozglądając się na boki. Nagle znów usłyszała głos Piotrusia. Teraz była już pewna, że synek woła ją z przeciwległego brzegu. Z miejsca, gdzie stał dom Burchardtów.

– Piotruuuuuś! – zawyła.

Wyczerpana opadła na kolana. Spojrzała na ciemniejącą w zapadającym zmierzchu wodę. I znów poczuła ogarniający całe ciało

paraliż.

22

Zamaskowany mężczyzna stanął w drzwiach i podejrzliwie popatrzył na dzieci. Siedziały na materacach, każde pod swoją ścianą. Wpatrywały się w niego bez słowa.

Zaszurał kapciami. Woda w misce, którą trzymał w ręku, zafalowała. Kilka kropel skapnęło na podłogę. Postawił miskę przy materacu chłopca. Ten przełknął ślinę, ale nie poruszył się. Patrzył na niego zaleknionym wzrokiem. Taki wzrok mężczyzna lubił najbardziej.

Zbliżył się do dzieciaka, a ten odwrócił się gwałtownie i wbił się w ścianę, trzęsąc się jak osika.

Mężczyzna wyjął knebel z jego ust. Rozwiązał węzeł na nadgarstkach. Cofnął się na środek pokoju. Rzucił suchą bułką, która wylądowała tuż przy nogach małego. Ale ten nawet nie drgnął. Jak sparaliżowany siedział w miejscu.

Porywacz skierował się więc w stronę dziewczyny. Wyglądała mizernie. Czekwała spokojnie, by usunął knebel i rozwiązał sznur. Gdy cofnął się o kilka kroków, rzuciła się do miski stojącej obok i zaczęła z niej pić jak pies. Zaspokoiwszy pragnienie, wróciła na materac. Łapczywie wgrzyzła się w bułkę. Żuła pieczywo, połykała i prędko brała kolejny kęs. Chłopiec przez chwilę ją obserwował, po czym zrobił to samo. Pił jak szczeniaczek. Małym językiem zagarniał wodę do ust, a krople rozpryskiwały się psotnie naokoło.

Mężczyzna lubił te momenty. Lubiał przeciągać w czasie to, co miało nadejść. Dawał, by potem odebrać.

Dzieci skończyły jeść. Usiadły przy ścianach i spokojnie czekały, aż je zwiąże. Były całkowicie podporządkowane. Zależne od jego woli. Zakneblował chłopca, po czym związał mu ręce. Stanął przed dziewczynką. Wyjął z kieszeni chusteczkę i flakonik. Nasączył materiał płynem i ruszył w jej stronę. Dziewczynka przez chwilę siedziała spokojnie, ale zaraz zerwała się na równe nogi. Przyciskając plecy do ściany, przyczała się jak zwierzę w potrzasku, gotowa walczyć. Nie miała jednak szans. Mężczyzna doskoczył do niej jednym ruchem i całym ciężarem ciała przycisnął dziecko do ściany.

Zakrył jej nos i usta wilgotną chusteczką, a ona po chwili opadła bezwładnie w jego rękach.

Chłopczyk szamotał się i wył, gdy mężczyzna niósł dziewczynkę w stronę drzwi.

1

Czesław Filipiak odstawił na stół szklanę w metalowym koszyczku. Mocna herbata pozostawiła na języku miły gorzki posmak. Mężczyzna podniósł się z wysiłkiem z krzesła. Włożył podszytą sztucznym barankiem kurtkę, na głowę nasunął beżową pilotkę i wyszedł na dwór.

Śnieg zaskrzypiał pod ciężkimi butami. Grabarz rozejrzał się wokół. Było zupełnie bezwietrznie. Z nieba niespiesznie opadały niewielkie płatki. Panowała przejmująca cisza. Ciągłą się wzdłuż płotu cmentarza ulicą nie jechał żaden pojazd. Wszyscy odwiedzający groby już dawno wyszli.

Filipiak zamknął na klucz drzwi budynku administracyjnego i ruszył przed siebie. Temperatura na wieczór odczuwalnie spadała. Oceniał, że może być nawet dziesięć stopni mrozu. Płyty nagrobków połyskiwały jak zroszone wodą. Ogień w zniczach płonął spokojnie i niezakłócenie.

Grabarz poczuł zadowolenie. Cmentarz wyglądał zjawiskowo. Wszystko było na swoim miejscu. Na ziemi nie leżała żadna ułamana gałązka, ani jedna z latarenek nie była przewrócona. Czystość i harmonia – to nad ich utrzymaniem mężczyzna czuwał. I swoją pracę wykonywał perfekcyjnie.

Szedł dalej główną aleją. Oświetlone blaskiem latarni drzewa rzucały na ziemię długie cienie. Ciszę przerwało skrzeczenie kruka. Czarne ptaszysko rozsiadło się na betonowym krzyżu wieńczącym stary rodzinny grobowiec i wodziło wzrokiem za idącym starannie odśnieżoną ścieżką grabarzem. Po chwili ptak rozpostarł skrzydła i przeskoczył kilka grobów dalej, jakby chciał towarzyszyć Filipiakowi w wędrówce. Mężczyzna przystanął, ściągnął grube brwi i tupnął. Kruk nie poderwał się jednak do lotu. Wciąż siedział na szczycie marmurowego nagrobka, uparcie wpatrując się w Filipiaka.

Grabarz mruknął coś pod nosem i skręcił w boczną ścieżkę. Tu śnieg nie był uprzątnięty – dziś sił starczyło mu tylko na pozbycie się go z głównej alei. Co robić, starość nie radość. Biały puch chrzęścił przy każdym kroku. Grabarz wysoko podnosił nogi, ale i tak odrobina śniegu wpadła mu za cholewy traperów. Gdy mężczyzna dotarł w pobliże ogrodzenia, gdzie znajdowały się świeższe groby, znów usłyszał znajome

skrzeczenie. Poczł irytację. Wypatrzył ptaka na murze i rozejrzył się w poszukiwaniu jakiegoś kamyka, jednak żadnego nie dostrzegł. Śnieg wszystko zakrył. Nie miał czym w kruka rzucić. Zresztą i tak wiedział, że nie dałby rady wcelować w ptaszysko. Od lat kruk bawił się z nim w tę grę, towarzysząc mu przy nocnych obchodach. I za każdym razem potrafił uniknąć lecącego w jego stronę kamienia. Filipiak pokręcił głową. Przekornie się uśmiechnął i skierował w stronę grobów dziecięcych.

Dziś pochowali chłopczyka. Ech, przykro było patrzeć na tę biedną rodzinę. Matka to ledwo stała, podtrzymywana przez ojca. Ten zaś udawał opanowanego, ale w oczach miał takie cierpienie, że aż żal serce ściszał. Filipiak ciężko westchnął. Dzieci nie powinny przed rodzicami odchodzić, nie powinny. Każdy to wiedział, że nie tak natura chciała.

Przysypany śniegiem kopczyk ziemi wyróżniał się spośród kanciastych grobów z granitu i marmuru. Czesław Filipiak przystanął tuż obok, z namaszczeniem złożył ręce do modlitwy i smutno popatrzył na mogiłę chłopca. Nagle coś go tknęło. Zawsze bardzo starannie formował ziemię na świeżym grobie w kształt idealnej elipsy. Tymczasem ta była nieznacznie przesunięta. Czy to możliwe, by omsknęła mu się ręka? Nigdy dotąd mu się to nie przydarzyło. Na dodatek warstwa śniegu przykrywająca grób była wyraźnie cieńsza niż wszędzie wokół.

Jeszcze raz przyjrzał się wzgórkowi, obok którego wbito w ziemię lichy, byle jak zbity krzyż. Kruk przeleciał tuż nad jego głową i usadowił się na gałęzi stojącego nieopodal drzewa.

Czesław Filipiak niepewnie obszedł mogiłę, pochylił się i odgarnął śnieg ze szczytu kopczyka. Wyprostował się i z góry jeszcze raz przyjrzał się badawczo proporcjom usypanej z ziemi górki.

Poczł, że mokre skarpetki zaczynają mu zamarzać w butach. Palce stóp zdrętwiały na kość. Już miał zrezygnować z dalszych oględzin i iść do domu, gdy nagle dostrzegł oparty o drzewo szpadel. Był pewien, że go chował, ale może jednak o nim zapomniał? „Starość nie radość” – pomyślał po raz drugi tego dnia i znów sceptycznie pokręcił głową.

Ponownie zerknął na nagrobek chłopca. Poczł w sercu znajome ukłucie. Przez chwilę się wahał, po czym podreptał po szpadel.

Zaczął kopać. Narzędzie łatwo wbijało się w ziemię, jakby mróz nie zdołał jeszcze w nią wejść. Mimo to grabarz dostał zadyszki, zanim dokopał się do trumienki. Pod wełnianą czapką poczł krople swędzącego potu. Gdy mężczyzna usłyszał głucho stuknięcie metalu o drewno, uklęknął i delikatnie zaczął rozsuwać glinę rękoma.

Śruby służące do zamknięcia trumny wyrwano, wiekiem można było poruszyć. Z całej siły je podniósł i choć boleśnie łupnęło mu w krzyżu, jednym susem wyskoczył z dołu.

Oniemiały patrzył na ubrane w ciemny garnitur ciało chłopca. Głowa, która jeszcze rano była przecież na swoim miejscu, znajdowała się teraz pomiędzy nogami. Ktoś musiał ją ściąć i przełożyć. Ta myśl pozbawiła go na chwilę oddechu. Przyklęknął na jedno kolano, podpierając się ręką. Śnieg był zimny i sypki; wilgoć powoli przenikała przez spodnie i rękawiczkę. Grabarz ponownie spojrzął na trumienkę. Oczy zmarłego dziecka pozostały zamknięte, twarz wydawała się spokojna, i to chyba ten pozorny spokój przeraził go najbardziej.

Nagle coś zwróciło jego uwagę. Ślady butów kilka metrów dalej. Już lekko przyprószone, jednak wciąż wyraźnie widoczne pod gładką pierzyną pokrywającego ścieżkę śniegu. Nie mogły być jego, bo on przecież nadszedł z przeciwnej strony. Trop urywał się przy rzeźbie anioła.

Wtedy ją zauważył. Postać wychynęła nagle zza kamiennych skrzydeł i rzuciła się w stronę leżącego na ziemi szpadla. Gdy niespodziewana zjawka chwyciła narzędzie do ręki i wyprostowała się, światło latarni oświetliło na moment wykrzywioną w dziwnym grymasie twarz. Czesław Filipiak nie miał nawet cienia wątpliwości, do kogo należała. Chciał się podnieść, lecz ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Krzyk zastygł mu na ustach. Zamiast niego mężczyzna wydał z siebie dziwne charczenie i stoczył się bezwładnie do grobu.

Siedzący na drzewie kruk wzbił się w powietrze. Grabarz zupełnie przestał go obchodzić.

2014

1

Leopold Bilski obudził się z dziwnym przeczuciem. Jeszcze chwilę temu sprawa wydawała mu się jasna. Wystarczyło jednak, że słońce przywaliło mu w oczy, a na chwilę się rozproszył i myśl uciekła. Igrała na pograniczu jawy i snu, coraz głębiej zapadając w nieświadomość.

Prokurator wyskoczył z łóżka i popędził do łazienki. W ekspresowym tempie odbębnił poranną toaletę, włożył ciemne spodnie i koszulę, zaparzył kawę. Pijąc małymi łyżkami gorący aromatyczny napój, starał się złożyć w logiczną całość strzępki nocnych obrazów. Śnił mu się Adaś Poznański. Na pewno to był on, bo Bilski złapał go za ramię, a chłopczyk odwrócił się i warknął. Następnie uciekł i wbiegł do kościoła. Leopold wszędzie go szukał. W końcu natknął się na niego przed zakrystią. Chłopiec spojrzał na niego, przyłożył palec do ust i cichutko otworzył drzwi. Prokurator przez nie przeszedł i znalazł się w swoim gabinecie. Adaś zniknął, a przed nim siedział prokurator Czerniak. Gapił się na Bilskiego, pogardliwie szczerząc żółte zęby.

Leopold skrzywił się na myśl o Czerniaku. Od kiedy tylko dostał sprawę Piotrusia, mężczyzna prychał na jego widok i ostentacyjnie wychodził z pokoju, ilekroć Bilski się tam zjawiał. „I bardzo, kurwa, dobrze” – myślał Leopold za każdym razem, czując drobną satysfakcję.

Bilski chwycił kluczyki i wypadł z mieszkania. Zdusił przekleństwa, które cisnęły mu się na usta, gdy wsiadł do piekielnie rozgrzanego pomimo wczesnej pory saaba i ruszył w stronę prokuratury. Przez te raptem kilka minut jazdy nadal męczyło go to dziwne przeczucie. Coś gdzieś usłyszał, coś miał sprawdzić, kurde franc, nie był pewien, o co chodziło.

Zatrzymał się na parkingu i lustrował budynek. Wejściowa przybudówka, trzy piętra, poddasze. Coś zaczynało mu świtać. Żółte ząbki Czerniaka. Pełen satysfakcji uśmiech. Bingo!

Wszedł energicznie po schodach i w drzwiach wejściowych zderzył się z Anią.

– Niech cię, Bilski – fuknęła zirytowana, a po chwili szybko rozejrzała się wokół, czy nikt nie słyszał jej wybuchu. Rozmasowała bolący bark.

– Może przydałby się masażysta? – Leopold uwodzicielsko podniósł brew. Stare nawyki sopockiego podrywacza jeszcze się w nim tliły.

Górska spiorunowała go wzrokiem, ale zanim zdążyła wymyślić ciętą ripostę, Bilski już prowadził ją pod rękę.

– Chodź, mam pewien pomysł – powiedział rozentuzjasmowany.

Zatrzymali się przed zejściem do piwnicy.

– Chyba żartujesz?! – warknęła Anna. – Jeśli myślisz, że pozwolę ci się masować w jakiejś piwnicy, to grubo się mylisz, ty cholerny zboku – syknęła. – Po tym wszystkim, co...

– Archiwum – przerwał jej Leopold. – Chcę coś sprawdzić w archiwum. Choć propozycja masażu w piwnicy wydaje się zdecydowanie bardziej atrakcyjna. – Uśmiechnął się zadziornie.

Górska rąbnęła go łokciem w bok.

– Auć. – Bilski ze śmiechem odskoczył. Miał dziś znakomity nastrój. – Poczekaj tu. Tylko skombinuję klucz.

Po kilku minutach byli już w archiwum. Z sufitu zwisała zaklejona kurzem goła żarówka. Co chwila migiała i wydawała z siebie rytmiczny brzdęk. Cztery ściany pomieszczenia zajmowały wypełnione po brzegi tekturowymi teczkami i segregatorami regały.

– Czego szukamy? – spytała Anna, odruchowo zniżając głos do szeptu. Poczowała się trochę jak w bibliotece.

– Repertorium pozakarnego z dwa tysiące ósmego roku.

– Okej. – Głos Górskiej był pełen wątpliwości. – A czego konkretnie? Doniesień o atakach kosmitów czy uprowadzeniach różowych misiów? – spytała sarkastycznie.

Każdy prokurator wiedział, że w tak zwanym Ko lądowały same bzdury, dlatego w branżowym slangu tę część archiwum nazywano po prostu śmietnikiem. Wszystkie sprawy godne uwagi odnotowywano w dochodzeniowo-śledczym „deesie”.

– Zgłoszenia o zaginięciu Adasia Poznańskiego – odparł uśmiechnięty od ucha do ucha Bilski.

Anna jeszcze nie widziała go w takim wydaniu. Wyglądał jak świr. Uradowany świr.

– Zobacz! Adaś Poznański zaginął, prawda? Nieważne, czy się w końcu znalazł, czy nie. Było zgłoszenie. Była sprawa. Były artykuły. A jednak w papierach pustka. Podejrzane?

– Podejrzane – przytaknęła.

– No, a ten kutas Czerniak wspomniał coś ostatnio o repertorium pozakarnym. I teraz tak sobie zacząłem kombinować. A co, jeśli

zawiadomienie wylądowało właśnie tam?

– Hmm, mało prawdopodobne – stwierdziła.

– Fakt, ale nie niemożliwe. – Bilski ściągnął brwi.

Przeszedł wzdłuż ścian i w końcu zatrzymał się przy jednej z półek. Stał na palcach, uklęknął, przesunął się w prawo, w lewo. W końcu znalazł. Repertorium miało format podwójnego albumu. Przeniósł je na stojący pośrodku stół. Ciężki zeszyt z hukiem wylądował na blacie. W powietrze uniosły się drobiny kurzu.

– Z artykułów znalezionych przez Kitę wynika, że Adaś Poznański zaginał w kwietniu dwa tysiące ósmego. Mniej więcej w pierwszej połowie.

Bilski przerzucał nieporęcznie duże kartki i wodził palcem po rubrykach.

– Ja pierdolę! – krzyknął nagle.

– Co?

– Jest!

– Nie wierzę!

Oboje pochyłili się nad księgą. W ciągnącej się przez dwie strony poziomej rubryce mieściły się informacje dotyczące zgłoszenia zaginięcia Adama Poznańskiego, lat osiem. Numer porządkowy: 28. Kwalifikacja prawna: Art. 211 k.k.: Urowadzenie lub zatrzymanie małoletniego albo osoby nieporadnej. Podejmowane czynności: rejestracja zawiadomienia o zaginięciu osoby oraz rejestracja osoby zaginionej; zorganizowanie i przeprowadzenie penetracji terenu ostatniego miejsca pobytu osoby zaginionej przy wykorzystaniu środków technicznych i psów służbowych; szczegółowe rozpytanie osób, które jako ostatnie miały kontakt z osobą zaginioną; opublikowanie informacji o zaginięciu osoby wraz z jej zdjęciem w portalu internetowym Komendy Głównej Policji; publikacja o poszukiwaniu osoby zaginionej w środkach masowego przekazu. Środki zaskarżenia: brak.

– Ale jaja. – Bilski osunął się na krzesło.

– Jak to możliwe, że zgłoszenie o uprowadzeniu nie znalazło się w deesie? Po co ktoś by je wrzucał do śmietnika? – zapytała z niedowierzaniem w głosie Ania.

Też odruchowo chciała przysiąść na stojącym nieopodal starym zakurzonym krześle, ale opamiętała się w ostatniej chwili.

– Obiło mi się kiedyś o uszy, że zdesperowani szefowie rejonówek rejestrują czasami sprawy karne w zawiadomieniach pozakarnych.

– Po cholere? – zdziwiła się Ania.

– Cóż, najprościej mówiąc, by ukryć rzeczywisty wpływ spraw, na przykład wtedy, gdy pojawia się problem z jego pokryciem.

– Plany statystyczne – olśniło Górską.

– Plany statystyczne – potwierdził Leopold. – Im lepsze wyniki, tym lepsza ocena pracy przez zwierzchników, a wiadomo, od tego zależą awanse.

– O kurcze – stęknęła.

– Niezawodny sposób na ukrywanie spraw długotrwałych. Prowadzi się je pod sygnaturą Ko, a z chwilą ich zakończenia ujawnia w deesie. Doskonałe.

Zamilkli.

– Myślisz, że w przypadku Adasia Poznańskiego chodziło jedynie o statystyki? – Anna spojrzała na Bilskiego z błyskiem w oku. – Czy może chcieli zatuszować...

– ...przestępstwo popełnione przez kogoś wpływowego? – dokończył Leopold i porozumiewawczo popatrzył na asesora. – Jeśli tak się mają sprawy, to ktoś stąd siedzi w niezłym gównie.

2

Sześć punktów karnych i dwieście złotych mandatu.

Dzień nie mógł zacząć się gorzej.

Arkadiusz Filipiak spojrzał na prędkościomierz i zdjął nogę z gazu. Czuł, że przestał cokolwiek kontrolować. Trochę go ostatnio poniosło. Zdecydowanie za bardzo. Ale nie miał wyboru. Grunt usuwał mu się spod nóg.

Skreślił w Gdańską i przejechał przez rondo. Przez uchylone okna do wnętrza auta wciskał się parny podmuch. Mokra od potu koszulka kleiła mu się do pleców i klatki piersiowej. Ustawił pokrętko klimatyzacji na maksimum, ale nic to nie dało. Dawno jej nie nabijał. Strumień powietrza płynący przez kratki nawiewu był ciepły i irytujący.

Filipiak mimowolnie potarł skórę twarzy. Była twarda i zgrubiała. Miał świadomość, że od potu blizny lśniły jeszcze bardziej niż zwykle. Freddy Krueger. Tak nazywali go na mieście. Nie mieli litości. Nikt mu nigdy nie współczuł. Od razu zaczęli go wyśmiewać. Gdy po raz pierwszy pokazał się na ulicy po zdjęciu opatrunków, usłyszał: „Zobaczcie! Idzie Freddy Krueger!”. Od tamtej pory łątka do niego przylgnęła. W sumie już się przyzwyczyił, a przezwisko – zaczerpnięte z popularnego horroru

powszechnie oglądanego na pirackich kasetach VHS – zaczęło mu nawet odpowiadać. Budziło strach. Każdy wiedział, że kto spotka na swojej drodze psychopatycznego mordercę dzieci z ulicy Wiązów, może się spodziewać wszystkiego najgorszego. Dosłownie wszystkiego. Teraz wreszcie Arek to wszystkim udowodni.

Filipiak ścisnął kierownicę. Starał się dodać sobie animuszu, choć tak naprawdę bał się jak cholera. Ale nie było odwrotu. Powiedziało się a, trzeba powiedzieć b. Normalnie. Nie ma co się zastanawiać. Trzeba robić swoje i już. Nie miał wyboru. Życie samo go do tego zmusiło.

Zjechał z Kartuskiej w Kościerską i wjechał w bramę tartaku. Zaparkował pod budynkiem i ponownie z lekką obawą zatrzaskał drzwi. Musiał w końcu oddać grata do naprawy. Musiał, musiał... Niedobrze mu się robiło, jak pomyślał, ile musiał. Co też go podkusiło, żeby odkupić dziewiętnastowieczny chłopski tartak? Ludzie, jak się o tym dowiedzieli, to padli ze śmiechu. Poparzony Freddy kupił tartak! Nigdy nie słyszeli większego absurdu. Ale on od dziecka marzył o tartaku. Praca z drewnem to było coś, do czego zawsze go ciągnęło. A po wypadku z ogniskiem to właśnie robota przy wycince drzew go uratowała. Wkładał na głowę hełm, chował się za osłoną siatkową, brał do ręki sprzęt i znikał w lesie na cały dzień. Uwielbiał ten fach. Tam przestawał być oparzeńcem. Był twardzielem. Prawdziwym mężczyzną, drwalem, najlepszym z najlepszych.

Po latach ciężkiej pracy mięśnie miały już jednak dość, więc jak usłyszał o tym tartaku, zareagował od razu. Pewna inwestycja, mówili. Popyt jest, dofinansowanie można wziąć. Wszystko się składało. Do czasu.

Mężczyzna wyjął papierosa z paczki i zapalił. Zerknął na dwukondygnacyjny budynek o spadzistym dachu. Drewniana szopa wydawała się trzymać na kamiennej piwnicy stabilnie, ale były to tylko pozory. Częściowo wieńcowa, częściowo słupowo-ryglowa konstrukcja niemal się rozpadała. Dofinansowanie unijne starczyło na zakup, ale nie przewidział wielu innych kosztów, które już dawno zjadły oszczędności. Niby sprzedaż szła dobrze. Miał stałych kupców. Interes się kręcił. Ale nie przekładało się to na zwiększenie dochodów z tartaku. Okazało się, że na wyciągane zyski wpływało zyliard innych czynników, których nie ogarniał. Najzwyczajniej w świecie się na tym nie znał.

Rzucił niedopałek na ziemię i wdeptał go w piasek. Wszedł do hangaru i kilkoma susami pokonał schody prowadzące na podest. Robert Kiedrowski jak zawsze wychylił głowę ze swojej kabiny, by pogawędzić, ale tym razem Filipiak zbył go gestem ręki i skierował się do biura.

Zamknął za sobą drzwi, przekreślił kluczyk. Wyjrzał przez okno na halę. Nikt nie patrzył w jego stronę, zasunął więc kanarkowe zasłonki i usiadł za biurkiem. Przymknął powieki i odruchowo sięgnął do twarzy, by przejechać palcami po bliznach. Przemierzył wszystkie zgrubienia, podrapał twardy naskórek. Zastanawiał się.

W końcu sięgnął do szuflady biurka. Wyciągnął i położył na blacie nożyczki oraz wczorajszą gazetę. Na dłonie wsunął cienkie lateksowe rękawiczki. Zaczął wycinać litery.

3

Julia Sarman zaparkowała przed Urzędem Miasta. Oparła pulsującą głowę na zagłówek. Ból narastał od rana i właśnie w tym momencie osiągnął apogeum. Kobieta pomasowała skronie, przycisnęła punkt leżący pomiędzy brwiami. Nie pomagało.

Spojrzała przed siebie. Ostre promienie słoneczne odbijały się w licznych oknach klockowatego budynku z lat sześćdziesiątych, wyglądającego niczym kopia szkoły tysiąclatki. Jaskrawe światło raziło ją w oczy, potęgując ból.

Ciężko westchnęła i wysiadła z auta. Czuła się potwornie zmęczona. Po krótkim śnie, który zmorzył ją w końcu nad ranem, pojechała pod dom Fabioli. Nikt jej nie otworzył, więc tak jak ostatnio sięgnęła pomiędzy sztachety i odblokowała skrzydło bramy od środka. Obeszła budynek i obeszła budynek dookoła, mając nadzieję dostać się do wnętrza przez któreś z okien na parterze. Jednak wszystkie były chronione zamkniętymi roletami antywłamaniowymi. Pukała rozpaczliwie w drzwi. Kopała. Wykrzykiwała imię syna. Nic. Wokół panowała cisza.

– Czy myśli pani, że można zaprzyjaźnić się z Bogiem?

Dwie pulchne kobiety wyrosły przed nią jak spod ziemi.

Julia zatrzepotała rzęsami. Przez chwilę miała wrażenie, że to sen.

– Czy myśli pani, że można zaprzyjaźnić się z Bogiem? – powtórzyła kobieta stojąca bliżej. – Jehowa zaprasza nas, byśmy się do Niego zbliżyli – kontynuowała podniosłym głosem, uśmiechając się dobrotliwie. – Jest gotów obdarzyć nas względami jako swych przyjaciół, jeśli tylko zaczniemy dążyć do takiej zażyłości.

Julia skrzywiła się i bez słowa wymięła schludnie ubrane akwizytorki Bożego miłosierdzia.

– Bóg może stać się twoim wyjątkowym przyjacielem – doleciało ją zza pleców.

– Pieprzone manipulantki – mruknęła Julia pod nosem i pomimo bólu ruszyła schodami pod górę, skacząc po dwa stopnie.

Weszła do budynku, wjechała windą na pierwsze piętro i odnalazła sekretariat burmistrza. Tuż obok wejścia wisiało ogromne godło z gryfem. Napis pod nim stanowczo oznajmiał, że to Kartuzy są jedyną prawowitą stolicą Kaszub, choć o to miano od lat walczyły także Gdańsk, Kościerzyna, a nawet Wdzydze Kiszewskie. Sarman z impetem otworzyła drzwi zwieńczone kaszubskimi wzorami. Zignorowała siedzącą przy biurku sekretarkę i wtargnęła do gabinetu burmistrza.

Fabiola Burchardt siedziała na fotelu przy stoliku kawowym, nad którym pochylała się w jej stronę trzydziestoletnia na oko kobieta w granatowej garsonce, dzierżąca w ręku mikrofon, a na kolanach tekturową podkładkę z klipsem przytrzymującym zabazgraną drobnym pismem kartkę: standardowy zestaw reportera. Julia zdawała się jednak nie widzieć nikogo prócz matki.

– Gdzie on jest?! – krzyknęła w szale.

Włosy miała potargane. Oczy skrzyły się jak w gorączce.

Pani burmistrz zmieszana uśmiechnęła się do dziennikarki i słodkim jak miód głosem zwróciła do córki:

– Kochanie, co ty tu robisz?

– Gdzie on jest?! – powtórzyła wyższym tonem Sarman. – Gdzie jest Piotruś?

– Nie wiem, skarbie. Wszyscy go szukamy. Mówiłam właśnie pani redaktor...

– Wiem, że go masz! – krzyknęła Julia. – Gdzie go przetrzymujesz? W domu?!

– Córeczko... – Fabiola Burchardt zrobiła zatroskaną minę i wstała z fotela. – O czym ty mówisz? Chodź, usiądź, porozmawiamy spokojnie.

– Nie chcę siadać! Oddaj mi mojego synka, słyszysz? Oddaj mi go! – wrzasnęła Julia.

Dopiero teraz zauważyła operatora. Podszedł do niej tak blisko, że kamera znalazła się tuż przy jej twarzy.

Niewiele myśląc, z całej siły odepchnęła obiektyw. Mężczyzna zachwiał się.

– Widziałam cię z księdzem tamtego dnia! Słyszałam, co mówiliście! Co wy kombinujecie, co? Oddajcie dzieci!

W tym momencie do gabinetu wpadło dwóch ochroniarzy. Skonsternowani stanęli w progu, oceniając sytuację. Gdy Julia skoczyła w stronę Fabioli, chwycili ją z dwóch stron za ręce.

– Nie pozwolę skrzywdzić więcej dzieci! Nie pozwolę! Oddajcie Piotrusiaaaaa! – krzyczała Sarman, gdy wyprowadzali ją z budynku.

Świadców Jehowy nadal stały przed urzędem. Rozmawiały teraz z młodym blondynem w niebieskiej koszuli. Ich uśmiechnięte twarze zamarły w grymasie przerażenia, gdy ogarnięta szałem Julia Sarman popędziła w ich stronę.

4

Dom Poznańskich mieścił się w dzielnicy przemysłowej. Usytuowany pomiędzy ulicami Kolejową a Węglową zupełnie nie pasował do otoczenia. Mury budynku pomalowano na ciemnozielony kolor. Z rynien schodziła złota farba. Na wyłożonej kostką ścieżce prowadzącą rozmowę telefoniczną Annę Górską przywitała okazała rzeźba lwa. Cztery stylizowane na greckie kolumny podtrzymywały trapezoidalny daszek nad gankiem. Pod drucianym płótnem ujadają przy zbitej ze starych desek budzie dwa przywiązane do łańcuchów psy.

Marzena Stępień płakała w słuchawce, a asesorka nie wiedziała, jak ma ją uspokoić. Nie miała dla rodziców zaginionej Amelii żadnych wiadomości. Nie miała nic, co dawałoby nadzieję. „Robimy wszystko, co w naszej mocy” – powtarzała wytartą formułkę, która dla niej samej brzmiała nieprzekonująco. W końcu niezgodnie z zasadami etyki rzuciła: „Znajdziemy ją” i szybko zakończyła rozmowę. Podeszła do drzwi, wdusiła dzwonek i po chwili otworzyła jej około czterdziestoletnia chuderlawa szatynka w znoszonej podkoszulce. Na ramieniu trzymała mniej więcej roczne dziecko w samej pieluszcze. Pomiedzy palcami tlił się papieros. Nieufnie spojrziała na Annę.

– A pani czego? – Zmrużyła oczy.

– Pani Irena Poznańska? Nazywam się Anna Górka. Jestem prokuratorką. Czy możemy chwilę porozmawiać?

– A o co chodzi? – Kobieta strzepnęła popiół na podłogę. Sepleniała. Anna nie była pewna, czy z powodu braku kilku zębów, czy krzywego nosa.

– O zaginięcie dwójki dzieci. Może pani słyszała? Trzynastolatka i siedmiolatek. Przepytujemy wszystkich sąsiadów.

– Ja tam nic nie wiem – odparła kobieta.

– Bardzo proszę. To potrwa tylko chwilę, a liczy się każdy szczegół.

Poznańska wzruszyła ramionami i niechętnie wpuściła Annę do środka. Górską od wejścia uderzyły bizantyjski przepych i mieszanka stylów architektonicznych. Połączone klamki, dekoracyjne kasetony na ścianach i sufitach, kilka przasných obrazów, zbierające kurz wianki z kłosów, kolorowe wazony i porcelanowe figurki słoni. Wszystko to tonęło w kurzu i brudzie. Anna była pewna, że gdyby czegokolwiek dotknęła, na jej palcach pozostałby czarny tłuszcz. Po podłodze walały się dziurawe kapcie, bluzki i opakowania po chipsach. Śmierdziało moczem. Panował taki chaos, że aż zakręciło jej się w głowie.

– Ładny dom – zagaiła Anna.

– A dziękuję – odpowiedziała Irena Poznańska, dumnie rozglądając się wokół. – Staraliśmy się ładnie umeblować.

– Doskonale państwu wyszło. Dom pewnie nowiutki?

– E, już z osiem lat będzie, ale ciągle coś do zrobienia. Z domem gorzej niż z dziećmi. – Zaśmiała się, pokazując niekompletne ciemne uzębienie.

– Najważniejsze to mieć dach nad głową – stwierdziła Górską i wysiliła się na miły uśmiech.

Poznańska włożyła dziecko do kojca, w którego rogu siedział już trzyletni na oko chłopczyk. Nieopodal na burym dywaniku leżały dwa owczarki niemieckie o zapadniętych bokach. Jeden z nich niemrawo zawarczał.

– Przy dwójce dzieci to pewnie nie lada praca – powiedziała Anna, wskazując na maluchy w kojcu.

– Przy jakiej tam dwójce? Ja na utrzymaniu mam czwórkę. Tyle dobrego, że dwie najstarsze już wybyły na swoje.

– O matko! To pewnie ciężko utrzymać! I dom, i dzieciaki. Jak dajecie radę?

– Eee. – Kobieta się zamyśliła. – No, zasiłki mamy, dodatki, mąż coś tam na budowie dorobi. Rachunki się same płacą, to jedno dobre. Ale ciężko jest, nie powiem. – Mówiła tak niewyraźnie i powolnie, że Ania musiała mocno się starać, by ją zrozumieć.

– Rachunki same się płacą? Jak to? – zdziwiła się Górską.

– Eee, tak mi się tylko powiedziało. – Poznańska machnęła ręką. – To o co chodzi z tymi zaginięciami?

– Niemal przed tygodniem zaginęła trzynastoletnia dziewczynka, Amelka, a trzy dni temu siedmioletni chłopczyk, Piotruś. Rodziny odchodzą od zmysłów.

Irena Poznańska ze zrozumieniem pokiwała głową. Zerknęła na siedzące w brudnym kojcu dzieciaki.

– Masakra – stwierdziła.

– Tak. I wie pani, dziewczynka śpiewała w chórze kościelnym. Idąc tym tropem, natknęliśmy się na historię sprzed lat. Pani synek, Adaś, też śpiewał w tym chórze, prawda? I również zaginął. – Ania starała się przybrać współczujący, ciepły ton.

Kobieta spojrzała na nią przestraszonym wzrokiem i przygarbiła wątłe ciało.

– Nie, Adaś nie zaginął – powiedziała. – On... tak mi się wydawało, ale tylko przez chwilę, bo się zaraz znalazł, jak to dziecko, wie pani. My go oddaliśmy.

– Komu?

– Gdzieś dali mi papiery. Ale przeprowadzka była, hmm. Nie wiem, się gdzieś zapodziały.

– To nie do krewnych oddaliście?

– Co? Nie, no do krewnych. Tak. Tylko ja już nie pamiętam nazwiska. Do dalekich takich krewnych, ehm.

– Więc nie utrzymujecie z synem kontaktu?

– Gdzie tam, przy tylu dzieciach to człowiek nie ma czasu na nic już. Tam mu dobrze, to nas zapewnili.

– Kto zapewnił?

– Nie, no ja tak myślę, że dobrze. U bogatych jest, to zawsze lepiej dziecku niż tak na kupie.

– A w tym chórze to Adaś długo śpiewał?

– Czy ja wiem? No śpiewał jakiś czas. Pan organista sam po niego przyjeżdżał, a potem odwoził. Czasami, jak już późno się zrobiło, to dzwonił, że Adaś na noc zostanie, a jutro odwozą, to zostawał. Przez jakiś rok może tam chodził? Teraz nie powiem. Ale się jakiś czas ciągnęło. Miłe to było, nie powiem, że ktoś się dzieckiem zainteresował. I nami przy okazji. Kogoś przez chwilę obchodziliśmy.

Anna pokiwała głową.

– I nikt inny z rodzeństwa w tym chórze już nie śpiewał? – spytała.

– No nie. Mówili, że do trzynastu lat ten chór tylko, więc część za stara. Część jeszcze za malutka. A zresztą dzieciaki talentu nie miały. Jakby słoń im na uszach stanął. W sumie Adaś też niespecjalnie, ale niby dawał radę. Pani sobie wyobraża? Ledwo mówić umiał, a nucić potrafił, taki spryciarz! – Poznańska przejęta pokręciła głową. – Chociaż jeden się udał, no – dodała dumnie.

– I tak po prostu go oddaliście? – spytała prokurator.
– Wyboru nie mieliśmy specjalnie. – Poznańska nadeła policzki.
– Wyboru nie mieliście? Przecież to było wasze dziecko! – Ania na chwilę wypadła z roli.

Irena Poznańska zmrużyła oczy.

– A co pani taka ciekawska, co? – Jej głos zrobił się agresywny. – A won mi z domu! – krzyknęła. – Co to za przepytanki mi tu. Ja nie wiem nic zresztą. Nie pani sprawa. – Kobieta chwyciła się pod boki.

Ania dopiero teraz zauważyła, że w palcach właścicielki domu nadal znajdował się niedopałek, który teraz zniknął w zaciśniętej pięści.

– Won, bo psami poszczuję! – Poznańska znów podniosła głos.

Owczarki jak na komendę powoli dźwignęły ciała. Stały na cienkich nogach, pokazując kły.

Górska, nie czekając, aż zaatakują, ruszyła do wyjścia. Poznańska nie pofatygowała się, by ją odprowadzić.

5

– Ksiądz Wojciech przybył do kościoła na początku lat osiemdziesiątych. Jeszcze jako wikary rozkręcił ruch oazowy, dzieciaki przy ognisku z gitarą śpiewały, nad jezioro chodzili. Ludzie chwalą, że od początku ksiądz miał mnóstwo pomysłów i energii. Przyciągał dzieci i młodzież. Rok później pojawił się Radosław Filipiak, organista bez wykształcenia, ale grał przyzwoicie. Wspólnie zorganizowali chór dla najmłodszych, żeby dzieciaki miały co robić w wolnym czasie – zrelacjonował asystent Mateusz Borowski.

– Rodzice nigdy nie sygnalizowali niczego podejrzanego? – Anna Górska stała przy otwartym na oścież oknie.

– Nie. Wszyscy, z którymi rozmawiałem, bardzo chwalili księdza i organistę. Uważają ich za, cytuję, „wybawicieli”, „złotych ludzi”, „świętych”. – Jeżyna z głupim uśmiechem oderwał wzrok od kartki z zapiskami. – Zresztą sam potwierdzam. W Kartuzach księdza Wojciecha traktuje się jak największy autorytet. Kołeda to u nas w domu była wydarzeniem roku. Posprzątane na błysk musiało być. Wszystko na tip-top. No i organista też ma ogromne poważanie.

Bilski z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Dzieci nigdy nie skarżyły się na... ehm... zły dotyk? – spytała Anna.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Asystent rozłożył ręce.

– Od lat osiemdziesiątych nie toczyły się żadne sprawy przeciwko Kosmowskiemu czy Filipiakowi?

– Nie. Nic. Formalnych skarg na księdza Wojciecha czy organistę Filipiaka nigdy nie było.

– A nieformalnych?

– Mogę spróbować się dowiedzieć, ale nie sędzę, żeby coś wypłynęło. – Jeżyna przygryzł wargę.

W tym momencie do gabinetu weszli Kita i Pająk. Kita w dresowych czarnych spodenkach za kolano, Pająk cały na beżowo.

– Pągowski, a gdzie zgubiłeś swój słomkowy kapelusz? – zakpił Bilski.

– Śmiej się, śmiej. Jak nasz metalowiec dostanie w końcu udaru, to może się nauczy sięgać po len. – Pająk ostentacyjnie spojrział na obute w rangersy stopy Kowalewskiego.

– Taa, len, a może nawet jedwabne sukienki. – Kita z politowaniem zmierzył wzrokiem szerokie jak u Aladyna spodnie Pągowskiego.

– A może byśmy już porzucili tematykę modową? – zakpił Leopold.

– Mamy dwa newsy – pochwalił się Kowalewski.

– Dawaj.

– Po pierwsze odnalazł się laptop Amelii Stępień. Był od miesiąca w naprawie i rodzice zapomnieli o nim wspomnieć.

– I?

– Cóż, na pierwszy rzut oka nic ciekawego, za to w trybie incognito...

– To można sprawdzić, jakie strony ktoś przeglądał w trybie prywatnym?! – Jeżyna się zarumienił.

Kita wybuchnął śmiechem.

– Teoretycznie incognito nie pozostawia śladów w historii. Ale... – Pająk podniósł palec i zrobił pauzę dla lepszego efektu. – Wystarczy wbić odpowiednie komendy i wszystko wypływa na wierzch.

– Dobra, każdy głupek, no prawie każdy głupek wie, że w necie nic się nie ukryje. – Leopold wzruszył ramionami. – A więc?

– A więc Amelia Stępień miała całkiem ciekawe zainteresowania. Od jakiegoś czasu systematycznie odwiedzała strony typu sadistic.pl, bestgore.com, nożownik.pl czy bestmurder.com. Wśród najczęściej wbijanych w Google'a fraz znalazły się natomiast: „Jak zabić nożem”, „Jak uderzyć nożem, żeby zabić”, „Gdzie uderzyć nożem, żeby zabić”, „Zabijanie nożem” i tak dalej. Mniej więcej już chyba wyłapaliście kontekst. A, mała Amelka spędzała też sporo czasu, korzystając z gier online. Generalnie większość wpisywała się w zbiór gier, w których

bohaterowie posługiwali się nożem w walce. Dodałbym, że dość krwawych.

Bilski aż gwizdnął.

– Co to znaczy? – zapytał Jeżyna.

– To znaczy, że Amelce Stępień ktoś musiał solidnie podpaść – odparł Kita.

– Ten koleś ze squatu też o czymś takim wspomniał. „Nie mogę się doczekać, jak w końcu wbiję go w jego gardło”, takich słów użyła Amelia. Myślałam, że to wymyślił, żebym się odczepiła – przyznała Anna.

Przez chwilę panowała cisza, choć można było niemal usłyszeć intensywne procesy myślowe przebiegające w głowach zebranych.

– Jest jeszcze drugi news – przypomniał Kowalewski.

Wszyscy ciekawie zwrócili głowy ku policjantom.

– Odpalcie YouTube’a. Tytuł: „Szalona córka pani burmistrz”.

– Co? – Tym razem zerwał się Bilski.

– Wygląda na to, że nasza nowojorska pisarka narozrabiała – odparł Kita, szczerząc zęby w uśmiechu.

6

Patryk Deczer postawił na stoliku parujący kubek.

– Melisa – poinformował. – Dobrze ci robi.

Julia Sarman siedziała skulona na kanapie. Choć na dworze panował nieznośny upał, miała gęsią skórę i cała dygotała.

– Dziękuję – powiedziała słabym głosem.

– Za melisę czy za to, że wyciągnąłem cię z paki?

– Chyba za jedno i drugie.

Straż miejska odwiozła pisarkę do komisariatu. W rozmowie, którą przeprowadzili z komendantem Mączyńskim, wielokrotnie pojawiło się słowo „napaść”. Mączyński słuchał, wzdychał, w końcu z trudem dźwignął się z krzesła i podszedł do siedzącej w rogu Julii.

– Znieważenie urzędnika. Zelżenie i napaść na świadkowe Jehowy. Czynna napaść na funkcjonariusza publicznego – wymienił.

Sarman podniosła głowę. Nie wyglądała dobrze. Błada, zmęczona, z podkrążonymi oczami, bez makijażu. Włosy miała w nieładzie.

– Czy jest coś nowego w sprawie mojego synka? – spytała cicho.

Wzrok miała pełen nadziei. Mączyńskiego aż zakłuło serce, choć nie ze współczucia. Kobieta tak na niego po prostu działała. Zmęczona czy nie,

nadal była to niezła dupa z twarzy, jak zwykli żartować, więc dla komendanta kwestia „mandatu” pozostawała otwarta. W głowie już słyszał jej słowa: „Ale panie policjancie, czy nie da się tego załatwić inaczej? Na pewno się jakoś dogadamy”. Nowojorska pisarka spojrzała na niego uwodzicielsko i odpięła dwa górne guziki koszuli.

– Komendancie? – Waldemar Żaczek wychylił głowę zza drzwi i rozwiął tę piękną wizję. – Pan pozwoli. – Komisarz porozumiewawczo przewrócił oczami, dając szefowi znak, że ktoś czeka na korytarzu. – Pani burmistrz – szepnął w progu i zerknął na Julię.

Po chwili Mączyński wrócił. Chrząknął i niechętnie pozwolił Sarman zadzwonić po kogoś, kto odwiezie ją do domu.

– Jakieś nowe wieści? – Patryk Deczer usiadł obok Julii.

Współczującym gestem chwycił jej dłoń i zaczął delikatnie głaskać.

Sarman przecząco pokręciła głową i mimochodem uwolniła rękę z uścisku mężczyzny.

– A na profilu? – spytała.

– Ludzie ciągle komentują – powiedział malarz. – Przesyłają ci pozdrowienia, piszą, żebyś się trzymała, że są z tobą. Zresztą zobacz.

Patryk wyciągnął telefon. Faktycznie aktywność pod zamieszczanymi postami była duża. Julia przeleciała wzrokiem komentarze. Wysiliła się na uśmiech.

– To miłe – uznała. – Ale czy ktoś coś widział? Ktoś wspomniał o czymś, co mogłoby pomóc?

– Nic konkretnego – przyznał Patryk. – Niestety.

Julia zacisnęła usta. Na dworze rozległo się charakterystyczne skrzeczenie. Spojrzała w tarasowe okno. Nad drzewami przeleciała para żurawi.

– Za to od dwóch godzin ludzie nieprzerwanie debatuje pod filmikiem z Urzędu Miasta, na którym oskarżasz matkę.

– Udostępniłeś to?!

– I tak wylądowało na YouTube. Więc chciałem pokazać to z twojej perspektywy, dodałem pod nim odpowiedni wpis. Tym sposobem ograniczyłem straty.

– I co, podziałało?

– Cóż, hejt jest spory, większość ludzi uznała cię za... wariatkę. – Patryk skrzywił usta i skulił się, jakby oczekiwał ciosu. – Twoja matka ma duże poparcie w mieście. Ale generalnie ludzie ci bardzo współczują. Snują też ciekawe teorie spiskowe. Wiesz, w każdej opowieści jest ziarno prawdy, więc...

Julia Sarman już nie słuchała. Patrzyła na skrzące się w słońcu jezioro, w kierunku stojącego po drugiej stronie domu.

7

Alicja Stępień z westchnięciem usiadła na krześle. Tuż nad nią Chrystus ubrany w białe szaty wznosił jedną rękę do błogosławieństwa, drugą trzymał na sercu.

– W 1931 roku Pan Jezus w takiej odświeżeniu ukazał się siostrze Faustynie. „Jezu ufam Tobie”, taki napis Syn Boży nakazał jej umieścić pod wizerunkiem – powiedziała kobieta, zauważając skierowany na obraz wzrok Anny Górskiej. – Jezu, ufam Tobie – powtórzyła. – Ładne, prawda? Górską przytaknęła.

– Jak się pani czuje, pani Alicjo? – zapytała.

– Jako tako, gołąbeczko. Jako tako – odparła Stępień.

– To zrozumiałe – stwierdziła Ania ze współczuciem w głosie. – Ale może mieć pani pewność, że robimy wszystko, by jak najszybciej odnaleźć pani wnuczkę.

– Niech Bóg dopomoże – powiedziała pani Alicja i gestem Jezusa Miłosiernego dotknęła lewej piersi.

Anna wzięła łyk wody ze szklanki i wstała. Podeszła do ustawionych na segmencie zdjęć Amelki.

– Widzę, że kocha pani wnuczkę – stwierdziła.

– Pewnie, że kocham – przyznała babcia. – Jedyne wnuczka. Jedyne szczęście.

– To już tydzień – powiedziała Anna.

Alicja Stępień z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Boże kochany.

– Rozumie pani więc powagę sytuacji?

– No naturalnie.

– Więc może czas, żeby wyznała pani prawdę?

Alicja Stępień zamarła.

– Organista Radosław Filipiak zeznał, że widział Amelię Stępień w środę 27 sierpnia tego roku, a zatem w dniu jej zaginięcia. Przyszła do kościoła i szukała księdza Wojciecha. Jedną z kamer złapała Amelię tego dnia na rynku. Jest pani pewna, że nie widziała pani wnuczki w dniu jej zaginięcia? – spytała Górską. – Bo wygląda na to, że któreś z państwa nie mówi prawdy: albo pani, albo organista.

Starsza pani zacisnęła usta i wytrwale patrzyła na dzierganą serwetę leżącą na stole.

– Przypominam pani, że choć to jedynie rozpytanie, to jednak obowiązkiem świadka jest mówienie prawdy.

Alicja Stępień nadal milczała.

– Nie wspomnę już o tym, że kłamstwo, choć jest grzechem powszednim, może również stać się poważnym wykroczeniem, jeśli godzi w miłość bliźniego i narusza porządek sprawiedliwości. A pani zeznania wydają się nieszczerze i pełne sprzeczności, a przecież chodzi o wnuczkę. O jej bezpieczeństwo i życie – kontynuowała Anna.

Kobieta podniosła głowę i otworzyła szerzej oczy. Wyraźnie ze sobą walczyła.

– Co więcej, mamy powody sądzić, że Amelia wpadła w jakieś tarapaty – naciskała Górską. – Przypuszczamy, że pani wnuczka chciała zrobić sobie albo komuś krzywdę, więc tym bardziej liczy się czas.

Babcia Amelii zaczęła kiwać głową. Po chwili oparła twarz na dłoniach. Anna z powrotem usiadła na krześle i przysunęła się do kobiety.

– Pani Alicjo, czy Amelia miała ze sobą nóż?

Kobieta natychmiast zerwała się spanikowana z krzesła.

– Czy Amelka chciała zrobić komuś krzywdę? To bardzo ważne, żeby powiedziała pani prawdę. Tylko tak możemy dojść tego, co się wydarzyło.

Alicja Stępień rozpląkała się. Ścisnęła wiszący na szyi święty medalik i bezwładnie osunęła się na krzesło.

– Nie wiem dokładnie... – zaczęła, ale rozpaczliwy szloch uniemożliwił jej dokończenie zdania.

– Spokojnie, pani Alicjo. Spokojnie. – Anna mówiła łagodnym tonem. Delikatnie chwyciła dłoń kobiety i czule ją pogłaskała. – Proszę zacząć od początku. Amelia była tutaj w środę, prawda?

Kobieta przytaknęła pełnym rezygnacji skinieniem głowy.

– Przyjechała w środę po południu bez zapowiedzi, jakaś niespokojna. Chodziła z miejsca na miejsce. Widziałam, że coś się z nią niedobrego dzieje, ale nie chciała nic powiedzieć. Stwierdziła, że i tak jej nie uwierzę, bo to ja tam ją wysłałam, w sensie do tego chóru. – Łzy płynęły babci po twarzy. – „Wnusi, co ty opowiadasz”, zapytałam, ale ona strasznie się zdenerwowała, zaczęła krzyczeć, tupać nogami. Nie mogłam jej uspokoić. Nigdy nie widziałam jej w takim stanie. To wzięłam i ją uderzyłam po twarzy. – Kobieta westchnęła ciężko i załamała rękę. – Powiedziałam zaraz, że przecież jej pomogę, cokolwiek by się działo. Ale Amelka tak na mnie popatrzyła ze wstrętem i powiedziała, że ja wcale nie chcę jej

pomóc, więc ona to sama załatwi. I wtedy wyjęła nóż. Normalnie z plecaka. Zanim zdołałam coś powiedzieć, to wypadła z mieszkania. I od tej pory jej nie widziałam.

Alicja Stępień znów zaniósł się płaczem.

Anna wstała. „Trzeba będzie sporządzić oficjalny protokół” – pomyślała.

– Dobrze, że wyznała pani prawdę. To zrozumiałe, dlaczego nie chciała pani tego powiedzieć. Chciała pani chronić...

Babcia Amelki spojrzała na nią z wdzięcznością.

– Dziękuję – powiedziała, zanim Górska zdążyła dokończyć zdanie. – Ona coś sobie ubzdurzyła. Bo ksiądz na pewno nic jej złego nie zrobił. Dlatego ja nie chciałam powiedzieć. Jedna plotka może człowiekowi zniszczyć życie przecież.

8

Gdy zajechała pod Urząd Miasta przy Hallera, dochodziła szesnasta, ale pani burmistrz już wyszła do domu. Skierowała się więc w stronę Jeziora Klasztornego Dużego. Na odstresowanie włączyła płytę sopockich ziomali. *Sex Disease Deadly Kills* – rozdarł się „Sado” Sadowski. Pogłośniła. Wdusiła gaz.

Słońce wyszło zza chmur, rozświetlając wodę Klasztornego Dużego. Liście na drzewach w ciągu dwóch dni pożółkły. Strącane podmuchami wiatru powoli opadały na ziemię.

Dom pani burmistrz był pogrążony w ciszy. Górska zadzwoniła domofonem i chwilę odczekała. Nic. Ponownie wdusiła przycisk. Bez odzewu. Coś poruszyło się w oknie. Anna wspięła się na palce. Zauważyła opadającą firankę. Wcisnęła palcem guzik dzwonka i przytrzymała przez kilkanaście sekund.

– Tak? – usłyszała poirytowany głos Fabioli Burchardt wydobywający się z głośnika.

– Prokurator Anna Górska – powiedziała. – Chciałabym zadać pani kilka pytań.

– To nie najlepszy moment.

– Chyba że woli zostać pani wezwana na komendę? – Górska nie odpuszczała.

Kliknęła zapadka w furtce. Ania weszła na teren posiadłości.

Fabiola Burchardt uchyliła drzwi. Włosy miała w nieładzie. Luźna granatowa koszula wpuszczona na spodnie była krzywo zapięta, jakby kobieta ubierała się w pośpiechu.

– Przepraszam. – Gospodyni wyglądała na zmieszaną. – Położyłam się na chwilę. Nie najlepiej się dziś czuję.

– To nie zajmie dużo czasu – stwierdziła Anna i weszła do środka.

Przeszły do przestronnego i jasnego salonu. Za nim rozciągał się, widoczny przez przeszklone drzwi, duży drewniany taras wychodzący na jezioro. Zastony w oknach były rozsunięte. Widok zapierał dech w piersi.

Górska ciekawie rozejrzała się po schludnym wnętrzu. Meble w klasycznym stylu, obrazy, galeria zdjęć. Porządek. Każda rzecz miała tu swoje miejsce.

– Pięknie, prawda? – spytała Burchardt, śledząc wzrok Ani wpatrującej się w jezioro.

– Niesamowity widok – potwierdziła Górska, lekko się uśmiechając.

– Kocham ten dom – powiedziała Fabiola. – Mieszkam tu niemal od pięćdziesięciu lat i wciąż nie mogę się napatrzeć.

– Nie dziwię się pani – przytaknęła uprzejmie Anna i usiadła na wskazanym krześle.

– Proszę wybaczyć, ale muszę zadać pani kilka rutynowych pytań.

Fabiola Burchardt skinęła głową.

– Jak się pani poczuła, gdy usłyszała, że do miasta wróciła Julia Sarman?

Pani burmistrz westchnęła.

– Cóż, poczułam się... dziwnie. Chyba to najlepsze słowo. Chociaż w głębi serca wiedziałam, że Julita kiedyś wróci. Człowiek prędzej czy później chce wrócić tam, gdzie się wychował. Mnie z córką wiążą, hmm, dość skomplikowane relacje. Nie rozstałyśmy się w zgodzie. Ale to moja córka. Jedyna, jaką mam.

– A wiedziała pani o istnieniu wnuka?

– Nie, choć przypuszczałam, że Julita może mieć dzieci. Oczywiście nie spodziewałam się, że tak późno zdecyduje się na macierzyństwo.

– Co pani poczuła na wieść o siedmioletnim wnuku?

– Ucieszyłam się. Dzieci to zawsze szczęście.

– Nie bała się pani, że córka nie będzie chciała go pani przedstawić?

– Nie wiem. Nie myślałam o tym.

– A co by pani zrobiła, gdyby tak się stało?

– Mam prawo widywać wnuka.

– Rozumiem. A gdzie pani była w dniu zaginięcia Piotrusia Sarmana, to jest trzydziestego pierwszego sierpnia w godzinach popołudniowych?

– Tak jak zeznałam już policji, odpoczywałam w domu. Po trzynastej wróciłam ze mszy świętej i nigdzie nie wychodziłam.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Obawiam się, że nie. Byłam sama.

– Czy kiedykolwiek widziała pani wnuka?

– Nie.

– Czy mam rozumieć, że o jego istnieniu dowiedziała się pani dopiero po zaginięciu?

– Tak. To znaczy... nie... – Fabiola Burchardt lekko się zarumieniła. – Usłyszałam, że Julita wróciła do miasta z synem w niedzielę rano.

– Kto panią o tym poinformował?

– Przyjaciół – odpowiedziała kobieta. – To znaczy znajomy – dodała ciszej.

– Może podać pani imię i nazwisko?

– Czy to ważne?! – uniosła się.

– Dość ważne. Proszę odpowiedzieć.

– Patryk Deczer. Poinformował mnie o tym Patryk Deczer.

Ania zapisała dane. Jej twarz była bez wyrazu.

– Jakie stosunki łączą panią z Patrykiem Deczerem?

– Stosunki? – Kobieta znów się zaczerwieniła. – Tam od razu stosunki. Czasami kupuję od niego obrazy.

– Nazwała go pani wcześniej przyjacielem – przypomniała Ania.

– No bez przesady. Tak jak wspomniałam, to znajomy. Utalentowany malarz.

– No dobrze. Rozumiem. – Ania nadal skrupulatnie notowała. – Chciałam jeszcze zapytać, czy zna pani zaginioną Amelię Stępień.

– Tak, poznałam ją. Dziewczynka brała udział w przygotowaniach do dożynek. Co roku robimy wieńce do poświęcenia.

– Co pani o niej myśli?

– Miła, trochę cicha, taka raczej spokojna dziewczynka. Dobrze sobie radziła, ale przed samymi dożynkami zrezygnowała. A chciałam, żeby jechała na wozie w reprezentacyjnym miejscu. Musiałam ją zastąpić. Szkoda, bo taka ładna dziewczynka była.

– Dlaczego użyła pani czasu przeszłego?

– Czasu przeszłego? Kiedy? – zdziwiła się Fabiola.

– Powiedziała pani, że Amelia była ładna.

– Chodziło mi o to, że ładnie by wyglądała na tym wozie.

– Czy pani zdaniem dziewczynka mogła mieć jakieś kłopoty?
– Raczej nie miałam okazji, żeby ją lepiej poznać. Chyba nigdy z nią nawet nie rozmawiałam na osobności.

– Yhm. A jak określiłaby pani swoje stosunki z księdzem Wojciechem Kosmowskim?

– Z księdzem Wojciechem? – Fabiola zrobiła wielkie oczy.

– Z księdzem Wojciechem – powtórzyła Anna.

– Ksiądz Wojciech to mój... mentor? – zastanowiła się Fabiola. – Wielki człowiek. Dużo robi dla lokalnej społeczności. Chciałabym powiedzieć, że to przyjaciel, ale nie wiem, czy mogę aż tak się spoufalać. W każdym razie znamy się od wielu lat. Myślę, że można powiedzieć, że jesteśmy blisko. Współpracujemy.

– Ksiądz Wojciech bywał na tych przygotowaniach do dożynek?

– Tak, wpadał kilkakrotnie, jak co roku.

– Jak Amelia zachowywała się, gdy przyjeżdżał ksiądz Wojciech?

– Czy ja wiem? Raczej tak samo. Nie zauważyłam nic szczególnego.

– Czy ksiądz kiedykolwiek zostawał z nią sam na sam?

Fabiola Burchardt zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem, do czego pani zmierza.

– Proszę odpowiedzieć.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Chyba nie. Nadzorował pracę, oglądał postępy, podchodził do dziewczynek, normalnie. Mogłam w tym czasie wychodzić z pokoju, zrobić herbatę czy przygotować jakiś lunch.

– Czemu ksiądz, wychodząc od pani kilka dni temu, trzymał w ręku sznur?

– Sznur? – Fabiola Burchardt była zaskoczona.

– Tak. Według zeznań świadka ksiądz Wojciech trzymał w ręku sznur.

– Świadka? Czyli mojej córki Julity, tak? Niestety Julita nie jest do końca, hmm, jak by to ująć? Sprawna na umyśle. Od dziecka miała bujną wyobraźnię. Nic dziwnego, że została pisarką.

Anna zachowała kamienną twarz i drążyła dalej:

– Czyli ksiądz Wojciech według pani nie trzymał w ręku sznura?

– Może i trzymał. Jak mówiłam, przygotowywaliśmy wieńce, więc sznury też wykorzystywaliśmy.

– Okej. Przepraszam, musiałam spytać dla porządku. – Górską wprowadziła informację do protokołu. – To by chyba było na tyle.

Pani burmistrz wstała i poprowadziła Górską do holu.

– Naprawdę nie mam nic wspólnego z zaginięciem wnuka, bez względu na to, co opowiada moja córka – powiedziała. – Widzi pani, Julita nie jest w pełni zrównowazona i prawdę mówiąc, zaczynam się obawiać, czy po powrocie chłopca do domu będzie w stanie odpowiednio się nim zająć. Jeśli mogłaby to pani też zapisać w dokumencie...

Anna spojrzała na Fabiolę Burchardt badawczo.

– Będę o tym pamiętać – stwierdziła sucho, zerkając na górę klatki schodowej. – Więc jeśli przeszukałabym teraz wszystkie pokoje, w żadnym z nich nie znalazłabym chłopca?

– Oczywiście, że nie. – Głos matki Julii Sarman był opanowany.

Kobiety przez chwilę mierzyły się wzrokiem.

– Czyli nie ma pani nic przeciwko temu, bym się rozejrzała?

– Nie widzę takiej potrzeby.

Anna pokiwała głową. Fabiola Burchardt swoją postawą sygnalizowała, że spotkanie dobiegło końca.

Górska wyszła z domu. Gdy otwierała furtkę, miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła się i spojrzała w górę. W oknie na piętrze znów poruszyła się firanka. Annie wydawało się, że dostrzegła za nią przez moment sylwetkę mężczyzny, choć może to tylko wyobraźnia płatała jej figle.

9

Nagi mężczyzna leżał na lewym boku. Miał smukłe twarde ciało. Blond włosy opadały na czoło. Wyglądał niemal jak marmurowy Dawid, którego Fabiola Burchardt widziała na wycieczce we Florencji. Kobieta zerknęła na jego przyrodzenie. Penis swobodnie zwisał pomiędzy nogami, miękko spoczywając na różowawych jądrach. Szybko przeniosła wzrok wyżej. Widok męskiego przyrodzenia zawsze wprawiał ją w zakłopotanie. Ta narzucająca się obecność, dziwaczna anatomia niepotrafiąca udawać. Z drugiej strony to była przecież Boża kreacja. Właśnie takim musiał być Pan Bóg, który stworzył mężczyznę na swoje podobieństwo. Ta myśl sprawiła, że poczuła się pewniej. Weszła do pokoju i stanęła przy oknie.

– Czego chciała? – zapytał Patryk Deczer, przekręcając się na plecy.

Podłożył sobie ręce pod głowę, demonstrując jasne owłosienie pod pachami. Członek znów ostentacyjnie skierowany był w jej stronę.

– Węszyła – stwierdziła i wzruszyła ramionami.

Oparła się o parapet. Miała ochotę zapalić. Co się z nią działo? Stała się słaba. Nie potrafiła oprzeć się pokusom. Przymknęła oczy. Miała ostatnio dość tej ciągłej walki, nieustannego odmawiania sobie wszystkich przyjemności. Robiła się stara, a jej życie zaczynało być puste. W sumie wypełniała je tylko praca. Praca i praca. Gdzie była w tym wszystkim ona? Czy Bóg chciał dla niej takiego życia?

– Co jej powiedziałaś? – zapytał.

– Nic. A co miałam powiedzieć? Wiesz, że Julita oskarża księdza Wojciecha?! Bo co? Bo chór zorganizował? Bo pomaga dzieciakom cel w życiu znaleźć? Co ta gówniara sobie myśli?!

– A wiesz, że ja też w tym chórze śpiewałem? – zamyślił się Orfeusz. – Chyba poszukiwałem jakiegoś sposobu artystycznego wyrazu. Ale w końcu wybrałem malarstwo... – Wzruszył ramionami, spojrzął na Fabiolę poważnie i po chwili milczenia zapytał: – Na pewno tego chcesz?

– Nieważne, czego chcę. Ona nie jest w stanie opiekować się dzieckiem. Widziałeś przecież, w jakim jest stanie!

– Dziwisz jej się? – zachnął się Patryk, ale natychmiast tego pożałował i zmienił front: – Pewnie wiesz najlepiej.

– Tak, wiem najlepiej – powiedziała Fabiola. – Dlatego ma to znaleźć. Ma ześwirować. Schowaj tak, żeby się na to natknęła.

Mężczyzna skinął głową i sprawnym ruchem wyskoczył z łóżka. Penis kiwał się przy tym na boki niczym radosna huśtawka. W jednym momencie w Fabioli Burchardt starły się poczucie winy i wielkie pragnienie. Przyłożyła rękę do piersi. Serce biło jak oszalałe. Pod palcami poczuła zwisający na łańcuszku medalik Świętego Benedykta. Umieszczony na rewersie krzyż z pierwszymi literami wyrazów z modlitwy egzorcyzmu miał oddalać niebezpieczeństwa wynikające z kuszenia szatana. Patryk zbliżył się do niej zmysłowym krokiem. Zaczął rozpinać guziki jej koszuli. Jego oczom ukazał się biały nieusztyniony stanik, spod którego prześwitywały ciemne sutki. Fabiola szybko zakryła je złożonymi na krzyż rękoma. Poczowała wstyd. Nie tylko dlatego, że mężczyzna mógłby być jej synem, a na pewno nie był jej mężem. Wstydziała się swojego dużego brzucha, wałków tłuszczu na biodrach, ciężkich białych piersi, pomarszczonej skóry na dekolcie. Wołała osłonę nocy, zgaszone światło. Bezlitosny blask obnażał i potęgował wszystkie niedoskonałości.

Patryk Deczer zdawał się jednak ich nie zauważać. Odpiął klamrę z jej włosów. Czarne loki spłynęły na ramiona kobiety.

– Jesteś seksowną suczką – szepnął i zaczął całować jej obojczyki.

Na nodze poczuła jego twardą męskość.
Fabiolę Burchardt przeszedł dreszcz. Postanowiła, że tym razem wypowiada się w kościele poza miastem.

10

Powoli zmierzchało. Ścieżka ginęła w mroku. Stożkowate snopy światła latarek przesuwają się po podłożu i pobliskich krzakach. Było ich mnóstwo. Miejscowi tłumnie uczestniczyli w poszukiwaniach. Raz po raz wykrzykiwali imiona zaginionych dzieci.

– Zaraz nie będzie nic widać – stwierdził Mateusz Borowski. – Trzeba będzie kończyć.

Pod ich stopami trzaskały łamane patyki.

– Mój wujek, prokurator Pakosz, podobno kiedyś zgubił się w tym lesie. Miał wtedy może z osiem lat. Matka opowiadała, że nie było go przez dwa dni. Wyobrażacie sobie spędzić w lesie dwa dni? Masakra. Jak to musi na psychikę wpływać.

Szli dalej. Nikt nie skomentował.

– Mały chłopiec dwa dni w lesie – kontynuował Jeżyna. – Bez jedzenia i picia, w ciemności. Pewnie w nocy odgłosy zwierząt się słyszy. Nie wiem, czybym dał radę, nawet teraz bym chyba na zawał padł.

Mateusz Borowski potknął się o wystający konar. Poleciał kilka kroków do przodu. Z trudem złapał równowagę.

– Jeżyna, ty weź się skup – powiedział Bilski, odwracając się w jego stronę.

Zaświecił młodemu mężczyźnie latarką prosto w twarz. Ten przymrużył oczy i szedł dalej. Po chwili znów się odezwał:

– Nie wiem jak kiedyś, ale teraz to wilki tu mamy. Podobno przywędrowały zza Wisły albo z Borów Tucholskich. Ludzie mówią, że to jakieś hybrydy teraz. Nie tylko szare, ale też brunatne, a nawet czarne są, można je z szakalami pomylić, bo te też w lasach u nas siedzą. I słyszałem, że atakują grupami. Nie chciałbym ich spotkać na swojej drodze.

– Wilki nie są groźne dla człowieka – przerwała mu Anna Górka. – Ludzie wymyślili bajki o złych wilkach, żeby usprawiedliwić ich zabijanie, bo konkurowali z nimi o zwierzynę łowną. Po wojnie rozpoczęło się wielkie polowanie na wilki. Do lat siedemdziesiątych

wytrzebiono niemal całą populację! Na szczęście wilka wzięto w końcu pod ochronę.

– Może i ludzi nie atakują – przyznał Jeżyna. – Ale już zwierzęta hodowlane tak. Jakiś czas temu gdzieś tam w okolicach Przywidza wilki wzięły się za owce na polu. Gospodarz znalazł je zaduszone, brzuchy rozplątane, wyjedzone fragmenty mięsa...

Jego słowa zagłuszył przelatujący helikopter. Silny snop światła przetoczył się po ścieżce i okolicznych krzakach. Charakterystyczne „whoop, whoop, whoop”, towarzyszące im od kilku dobrych godzin, nagle przybrało na sile, a po chwili znów zaczęło się oddalać.

Jeżyna jeszcze chwilę odczekał i podjął wątek:

– Więc jeśli dzieci ukrywają się gdzieś w lesie, to lepiej, żeby takiego wilka nie spotkały. Bo jak wilk głodny, to przecież nigdy nic nie wiadomo. Skrada się zupełnie niepostrzeżenie. – Aplikant zniżył głos. – Jeśli nie chce być zauważony, przejdzie tuż obok ciebie, a ty nawet nie będziesz wiedzieć – zakończył niemal szeptem.

– Jeżyna! – uniósł się Bilski. – Ja cię, chłopie, proszę!

– Dobrze, dobrze. Już nic nie mówię. – Borowski wzruszył ramionami i zaczął świecić latarką na boki. – Ja pierdziele! – wrzasnął nagle.

– Co?! – Leopold przystanął i skierował snop światła w stronę, w którą patrzył aplikant.

– Nie, nic, sarna przebiegła – westchnął Jeżyna. – Ale się przestraszyłem! Jezu! – Chłopak zaczął się śmiać.

Prokurator pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Jeżyna! Ty jesteś gorszy niż dziecko – sarknął i przyspieszył kroku.

W ciszy, która w końcu nastąpiła, słychać było dobiegające z różnych stron nawoływanie, szuranie stóp po ściółce leśnej i rozlegający się raz po raz trzask pękających pod nogami gałązek. Co jakiś czas zaszczekał pies. Mrok coraz bardziej gęstniał. Niebieskawe jeszcze przed chwilą niebo poczerniało. Pojawiły się pierwsze gwiazdy.

W ciemności ktoś przedzierał się w ich kierunku przez krzaki. Rozchybotane światło latarki przybliżało się szybko. Usłyszeli szum krótkofalówki i jakiś niewyraźny komunikat.

– A! To wy! – Komisarz Żaczek wyłonił się zza krzaków. – Zawracamy. Ludzie są zmęczeni, a nocne poszukiwania w lesie nic nie dają. Trzeba będzie podjąć je na nowo rano.

Policjant stanął na ścieżce. Znów tuż nad nimi zadudniły śmigła helikoptera. Whoop, whoop, whoop. Silny snop światła prześlizgnął się po

drzewach kilka metrów od nich. Przez hałas maszyny doszedł ich głos uaktywnionej krótkofalówki.

– Szyyyyyyyy. Coś mamy. Szyyyyyyyy. Psy wyczuły jakiś trop. Idziemy w stronę polany. Szyyyyyyyy.

Śmigłowiec zatoczył nad nimi koło i skierował się na zachód. W końcu zawisł w jednym miejscu. Świetlisty stożek szperacza znieruchomiał.

Waldemar Zaczek ruszył biegiem. Leopold wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Anną i pognali za nim. Mateusz Borowski zamarł.

– Matko jedyna! – szepnął spanikowany i po chwili pomknął za resztą.

Ścieżka była nierówna. Mateusz Borowski biegł, potykając się o korzenie. Wątle światło latarki sunęło, zygzakując w rytm kroków po miękkiej glebie. Nagle zobaczył przed sobą kałużę zajmującą całą szerokość dróżki. W biegu spróbował ją przeskoczyć, ale nie dał rady. Jego prawa stopa wylądowała z głośnym chlupotem w sięgającej kostki wodzie, która zmoczyła mu nogawkę spodni i nalała się do tramppek. Gnał dalej. Nie widział nikogo przed sobą. Odbił w bok, kierując się w stronę padającego z góry snopu jaskrawego światła. W końcu wbiegł na polanę. Zatrzymał się, spuścił głowę, dłonie oparł na kolanach. Ledwo oddychał. Paliły go płuca.

Gdy trochę odsapnął, popatrzył w stronę wciąż wiszącego nad polaną śmigłowca. W świetle reflektora dostrzegł mundury kilku policjantów. Jeden z nich, wyraźnie poruszony, rozmawiał przez krótkofalówkę. Zaczek opierał się o drzewo zapatrzony w dal. Jeżyna namierzył Bilskiego i Górską. Stali na skraju polany wpatrzeni nieruchomo w jakiś punkt przed sobą.

Chłopak podszedł do nich powoli. Serce dudniło mu w piersi. Przystanął i w końcu odważył się spojrzeć w kierunku, w którym ujadały trzymane przez funkcjonariuszy na krótkich smyczach psy.

Pod drzewem leżało ciało. Czarna koszulka, krótkie granatowe spodenki. Kościste ramiona, szczupłe nogi. Na stopach zielone trampki. Przesunął wzrok na twarz. Cienka blizna na policzku. Zamknięte oczy. Spokojny wyraz ust. Można byłoby pomyśleć, że dziecko śpi, gdyby nie to, że jego głowa znajdowała się pomiędzy nienaturalnie szeroko rozłożonymi udami.

Zacisnął oczy. Mateusz Borowski nigdy nie widział nic bardziej makabrycznego. Wiedział, że obraz martwej Amelki Stępień będzie prześladował go już całe życie.

1

Katechetka Iwona Niwińska wielkimi literami napisała kredą na tablicy: „Objawienie się Boga przez słowo”.

– Dziś porozmawiamy o dziele stworzenia – powiedziała, a na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech.

Poprawiła okulary o grubych szklach, nad którymi rysowały się krzaczaste brwi. Podwinęła rękawy czarnego habitu, wyciągając przed siebie Biblię, przeczytała zaznaczony fragment i dodała:

– Musicie zrozumieć, że Bóg, stwarzając świat, opierał się na swojej nieskończonej dobroci. Tym samym Bóg stworzył nieskończenie dobry świat. I to zasadnicza nauka, którą musicie przyjąć, wchłonąć. Musicie ją poczuć, w sobie, w swoich ciałach, a wtedy zrozumiecie sens istnienia.

Iwona Niwińska zakończyła swój wywód podniośle, zachwycając się w duchu wydźwiękiem własnych słów. Przez głowę przemknęła jej myśl, że to Bóg musiał ją natchnąć, skoro tak pięknie udało jej się to wytłumaczyć dzieciom. Wzruszyła się jeszcze bardziej. Poczuli się wybrana.

Jedna z dziewczynek podniosła palec. Katechetka kiwnęła głową, udzielając jej głosu. Z napięciem czekała na pytanie. Rozumiała, że dzieci nie do końca mogły pojąć, jak Bóg dał radę stworzyć świat, zwierzęta i ludzi w tak krótkim czasie. Sześć dni. To wszak prawdziwy cud. Na końcu języka Iwony Niwińskiej czało się słowo „wszechmoc”. Określenie wytrych, na tyle abstrakcyjne, by dzieci otworzyły ze zdumienia buzie i ze zrozumieniem pokiwały głowami. Z dorosłymi było dużo gorzej. Czasami do skrajności racjonalizowali zapisy Biblii, gdy tymczasem tylko niewinne, nieskalane i otwarte na niezwykłość umysły najmłodszych potrafiły prawdziwie przyjmować święte opowieści.

– Skoro kazirodztwo jest grzechem, to jak dzieci Ewy i Adama się rozmnażały? – Julita Sarman przenikliwie przyglądała się katechetce.

Po klasie przebiegł szept. Kilkoro dzieci zaśmiało się pod nosem, część siedziała osłupiała, jakby nie do końca pojęły sens zadanego pytania. Jeszcze inni uczniowie z dezaprobatą pokręcili głowami.

Iwona Niwińska uśmiechnęła się sztucznie. Wzniosły nastrój runął jak wieża Babel. Nie dlatego, żeby kobieta nie słyszała wcześniej tego pytania. Słyszała je z tysiąc razy. Wiedziała jednak, że osoby, które o to pytały, to zwykle niedowiarki. A Iwona Niwińska nie znosiła niedowiarków. Nie było dla nich miejsca w jej klasie.

Pomimo to katechetka łagodnym tonem udzieliła dziewczynce odpowiedzi.

– Moje dziecko, Stary Testament pisany jest językiem literackim. Nie możemy odbierać więc jego zapisów w sposób dosłowny. Opowiadanie o stworzeniu świata nie stanowi spisane wydarzenie historyczne. Bóg został tam ukazany w procesie stwarzania, który trzeba traktować symbolicznie.

Katechetka zamilkła i zerknęła na Julitę Sarman. Miała nadzieję, że taka odpowiedź wystarczy, by dziewczynka nie drążyła tematu. Ta jednak siedziała z pogardliwą miną, stukając palcami o blat biurka. Stuk, stuk, stuk. „Może potrzebuje czasu, by przetrwać to, co przed chwilą usłyszała?” – pomyślała Iwona Niwińska. Jednak z sekundy na sekundę stuknięcia stawały się bardziej napastliwe, niosąc się przez salę niczym wyzwanie.

– Aha. – Julita Sarman przewróciła oczami. – Wiadomo, że Biblii nie czytamy w sposób dosłowny. Ale mimo wszystko istnieją fragmenty tak jasne, że trudno je rozumieć na kilka sposobów. W Księdze Rodzaju czytamy, że Ewa stała się matką wszystkich żyjących. A potem, że Adam i Ewa mieli wiele dzieci. Czyli obok Adama i Ewy istnieli w tym samym czasie inni ludzie, których w tekście po prostu pominięto? A jeśli nawet tak było, to aby powstało wiele ludzi, o których wspomniano potem w Biblii, pierwszych kilka osób musiało początkowo wziąć za współmałżonka siostrę lub brata. Zresztą każdy wie, że kiedyś obyczaje dotyczące zawierania małżeństw czy płodzenia dzieci różniły się od tych, które są przyjęte teraz.

– Nie znamy wszystkich tajemnic stworzenia świata – odpowiedziała Niwińska.

Była coraz bardziej rozdrażniona. „Gówniara” – przemknęło jej przez głowę. Będzie musiała zaraportować o tym księdzu Wojciechowi. Takie dziecko to wstyd dla rodziców. Dyscyplina... tak, bez dyscypliny w domu jeszcze żaden porządny katolik nie wyrósł.

Westchnęła.

– W Biblii pojawiają się fragmenty, na podstawie których należy przyjąć, że istnieli też inni ludzie. Słowa „każdy”, „ktokolwiek” padające

choćby w dialogach z Bogiem sugerują, że nie tylko byli Adam i Ewa i ich potomstwo. A kazirodztwo, podobnie jak cudzołóstwo czy innego rodzaju cielesność, poza związkiem męża i żony, to najcięższy grzech. Niezmywalny. O tym, dzieci, powinnyście pamiętać, jeśli nie chcecie palić się w ogniu piekielnym! – Katechetka pogroziła uczniom palcem, po czym zaśpiewała: – Stwórz serce czyste we mnie, o Boże mój... I wszyscy razem!... A prawego ducha we mnie odnów.

Uczniowie podjęli pieśń. Tylko usta Julity Sarman pozostały zaciśnięte. Za oknem pięknie czerwieniły się liście.

2

– Co to jest?! – huknęła Fabiola Burchardt.

W rękach trzymała książkę.

Julita dostała ją od Anki. Poradnik dla par osiagający od dekady rekordowe wyniki sprzedaży przechodził z rąk do rąk. Wszystkie dziewczyny w klasie już przeglądały książkę Wisłockiej. Julicie głupio było nie wziąć, gdy Anka jej ją wcisnęła. Wrzuciła *Sztukę kochania* do plecaka, po czym zupełnie o niej zapomniała. Te tematy w ogóle jej nie interesowały. Nie rozumiała ekscytacji koleżanek. Seks. Dla niej to słowo było puste. Nic ze sobą nie niosło. Może jedynie trochę obrzydzenia, jakieś głęboko schowane uczucie niepokoju i odrazy. Miała wielką nadzieję, że rodzice nie robili tego, co zdążyła zobaczyć na ilustracjach. Myśl, że matka z ojcem mieliby leżeć na sobie nago, ocierać się o siebie jak jakieś zwierzęta, wywoływała w niej obrzydzenie. Pocieszała się, że już dawno spłodzili potomstwo, więc nie widziała potrzeby, by nadal mieli to robić.

Julita wzruszyła ramionami. W sumie co miała powiedzieć? Matka i tak nie przyjęłaby żadnych tłumaczeń. Nie uwierzyłaby, że córka ani nie przeczytała zakazanej lektury, ani nawet nie miała ochoty jej przeczytać. Julia była bezbronna. Nie miała argumentów.

– Maaaaarek! – krzyknęła matka.

Ojciec przeszedł przez obity sosnową boazerią przedpokój i zajrzał do kuchni.

– Patrz, co znalazłam w jej plecaku! – zawyła kobieta i złapała się za głowę. – Jak siły nie użyjesz, to nic nie zrozumie, nic!

Fabiola Burchardt zmierzyła Julitę wzrokiem pełnym pogardy. Podniosła zaciśniętą pięść i podsunęła ją dziewczynce pod nos.

– Powąchaj – syknęła.

Przemoc miała zapach jutowego worka. Matka musiała wcześniej obierać ziemniaki.

– Powąchaj i zapamiętaj. Bo tylko to czeka grzesznice.

Kobieta porozumiewawczo spojrzała na męża i cicho zamknęła na sobą kuchenne drzwi.

Marek Burchardt podszedł do Julity, złapał ją mocno za ramię i obrócił przodem do krzesła. Przycisnął, aż zgięła kolana.

Sięgnął do paska, ale zdał sobie sprawę, że tym razem miał na sobie spodnie dresowe. Trochę go to zezłościło. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie cofnąć się po pasek. Ale córka już klęczała, a Fabiola zapewne niecierpliwie czekała, by wrócić i skończyć obiad. Za dużo zachodu.

Jednym ruchem ściągnął córce spodnie. Obnażył pośladki. Zauważył, że jej pupa nie była już jak u małej dziewczynki. Wyraźnie się zaokrągliła. Stała się kobieca. Odrzucił jednak tę myśl. Nie miał wyjścia. Zona wymagała, by wykonał zadanie.

Podniósł rękę i zamachnął się. Uderzył mocno. Pośladki klasnęły i miękko odskoczyły. Pozostał na nich czerwony ślad. Znowu wymierzył cios. Kolejny. I kolejny. W końcu zaczął bić na oślep.

Po policzkach dziewczynki potoczyły się łzy. Zawiesiła wzrok na religijnym obrazku wiszącym nad stołem. Matka Boska z Guadalupe miłościwie pochylała nad nią swą głowę.

3

Motocykl Janka był czerwony. A jakże. Dwusuwowy, z charakterystycznym zbiornikiem paliwa i bocznymi osłonami. Czterobiegowa skrzynia, dwucylindrowy silnik. Bijąca rekordy popularności jawa 350 wyciągała sto trzydzieści kilometrów na godzinę i ważyła sto siedemdziesiąt kilogramów. Julita już z daleka słyszała głośny dźwięk silników.

Przed szkołą zrobiło się zbiegowisko. Uczennice z zazdrością przyglądały się umalowanym laskom obejmującym dwudziestokilkuletnich chłopaków w skórach. Uczniowie z podziwem oglądali konstrukcje, komentowali parametry, przerzucali się wiadomościami. Ktoś się mądrzył, że jawa wyszła spod ręki czeskiego przedsiębiorcy, który wcześniej produkował granaty i karabiny.

– Dlatego jawy to prawdziwe rewolwery – skonstatowała Julita, przystając obok.

Nikt nie zwrócił na nią uwagi, dopóki Janek nie dał jej znaku, że ma wsiadać. Dziewczyna posłusznie usadowiła się na szerokim wygodnym siedzisku. Koniec wyprofilowanej kanapy lekko się uniósł.

Nikt nie kazał, by włożyła kask. Nie miały go też inne pasażerki. Nie chwyciła Janka wokół pasa. Oparła ręce z tyłu za sobą. Gdy wystartowali, włosy rozwiął wiatr. Jak szpan, to szpan.

Pojechali za miasto. Rozpalali ognisko. Julita wpatrywała się w ogień, który żywo buzował, niemal sięgając gałęzi sosen. Ktoś podał jej piersiówkę. Pociągnęła małego łyeczka, który rozszedł się po przełyku gorącym.

Janek siedział tuż obok. Jasne włosy zebrane w kucyk, orli nos. Oczy osadzone miał dość głęboko, co nadawało mu trochę dziki wygląd. „Fajny jest” – myślała Julita, modląc się jednak w duchu, by nie chciał jej całować. Na myśl o tym, że miałyby poczuć jego mokre usta na swoich, ogarniała ją panika.

Julita rozejrzała się wokół. Inne dziewczyny siedziały chłopakom na kolanach. Pozwalały gryźć się w szyje. Z pewnością żadna z nich nie chodziła już do podstawówki. Tylko Julita nadal uczęszczała do siódmej klasy, choć wyglądała na starszą. Na szczęście Janek nie wykonywał żadnych ruchów, których by nie chciała. Palił papierosa i spoglądał na ogień. Traktował ją raczej jak maskotkę niż obiekt pożądania.

To ona ich zaczęła. Stali przed sklepem i rozmawiali. Motocykle zaparkowane były obok. Julita jak gdyby nigdy nic spytała pierwszego z brzegu chłopaka, czyby jej nie przewiózł. To był Janek. Od tej pory jeździła z nimi już kilkakrotnie. Lubiła adrenalinę, która zaczynała krążyć w jej żyłach, ilekroć Janek przyspieszał. Najbardziej podobało jej się jednak to, że jazda była niebezpieczna. A niebezpieczne oznaczało zakazane.

Nie mogła już doczekać się zabawy. Ta część wyprawy była najbardziej ekscytująca. Wjeżdżali na obwodnicę Trójmiasta. Połowa grupy zawracała pod prąd. A gdy się mijali, dziewczyny klepały się w ręce. Klask. Klask. Królowie szos.

Julita uśmiechnęła się na samą myśl. Znów spojrzała w ogień. Pomarańczowy, gorący, pulsujący. Coś zaczęło się z niego wyłaniać. Dłoń. Sięgająca, by ją schwycić.

„Mam cię, zjem cię” – zahuczał ogień, a ona zerwała się na równe nogi.
– Jedziemy? – spytała szybko.

Janek spojrział na nią zaskoczony.

– Już?

– Tak, jazda po obwodnicy jest najbardziej ekscytująca.

Grupa zaczęła się śmiać.

– Niecierpliwa – stwierdził chłopak i podniósł się z ławki.

Pędzili. Wiatr rozwiął jej włosy. Kosmyki zaczęły kręcić piruety wokół jej oczu. Wszystkie myśli uleciały. Głowa stała się czysta jak ocean bez mięsożernych ryb.

Wyciągnęła rękę. Nie spuszczała wzroku ze zbliżającej się z naprzeciwka jawy. Klask. Jej dłoń spotkała się na ułamek sekundy z dłonią koleżanki. Królowie szos. Znów czuła, że żyje.

4

Fabiola Burchardt postawiła na stole dwie filiżanki. Aromat kawy wypełnił pokój. Porcelana w małe delikatne kwiatki pięknie komponowała się z dzierganą białą serwetą. Kobieta uśmiechnęła się zadowolona. Lubiła to uczucie, gdy wszystko było na swoim miejscu. Idealnie zaplanowane, uporządkowane. Wtedy ogarniał ją spokój.

– Ze śmietanką? – spytała.

– Nie powinienem, ale... czemu nie. – Ksiądz Wojciech uśmiechnął się dobrodusznie, jego niebieskie oczy zamieniły się w szparki.

Kobieta naląła do filiżanki białej gęstej kremówki.

– Cukru?

Mężczyzna skinął głową. Fabiola przelotnie spojrzała na jego zdrowe kasztanowe włosy i wsypała do filiżanki dwie czubate łyżeczki. Wymieszała. Ksiądz Wojciech podniósł naczynie na spodku i z przyjemnością zaciągnął się zapachem.

– Ach, pani Fabiolo, nikt nie przyrządza kawy tak jak pani – pochwalił i wziął kilka łyżczków.

Z powrotem postawił filiżankę na stole.

– O czym to ja mówiłem... Tak. A więc diabeł nie jest, cokolwiek sądziliby powierzchownie myślący ludzie, jakimś mistycznym, tajemniczym bytem. Dla chrześcijan to osobowa realność, która robi wszystko, by człowieka oddalić od Boga. Szatan może brać w posiadanie nie tylko jakąś rzecz czy miejsce, ale również osobę. Nazywamy to demonicznym zniewoleniem człowieka. Objawia się ono poprzez zwykłe pokusy, których doświadczają niemal wszyscy. Ale potrafi też działać

w sposób nadzwyczajny, kusić wysublimowanie, objawiając się w różnorodnych formach. Istotne jest to, by umieć rozpoznać, kiedy na człowieka oddziałuje zły duch.

Ksiądz znów podniósł filiżankę do ust i westchnął z rozkoszą.

– No właśnie, rozpoznać... – Fabiola zawiesiła głos. – Czy ksiądz myśli, że Julita... Czy to możliwe, by Julita poddała się złemu duchowi?

Ksiądz odstawił kawę na stół. Zapomniał o spodku. Filiżanka niebezpiecznie zachwiała się na dzierganej serwecie. Mężczyzna w ostatniej chwili ją chwycił, ale kilka kropel ciemnego płynu kapnęło na białe nitki plecionki.

Fabiola Burchardt poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku, ale upomniała się szybko w myślach: „Nie bądź drobiazgową. To też grzech”. Zrobiła pogodną minę. Nic się nie stało.

– Na tym etapie trudno powiedzieć – odpowiedział ksiądz. – Musiałbym poznać jeszcze więcej szczegółów. Być może wtedy mógłbym orzec...

W tym momencie usłyszeli zgrzyt klucza w zamku. Fabiola Burchardt obdarzyła mężczyznę porozumiewawczym spojrzeniem.

– Julita? – krzyknęła w stronę przedpokoju.

– Cześć! – odkrzyknęła córka.

– Pozwolisz, proszę!

Po chwili dziewczyna stanęła w progu. Włosy miała skołtunione. Wyraźnie pachniała dymem.

– Przywitaj się z księdzem Wojciechem – nakazała matka.

Julita, nie patrząc mężczyźnie w oczy, powiedziała:

– Szczęść Boże.

– Szczęść Boże – odparł ksiądz Wojciech łagodnym głosem.

– Mogę odejść? – Julita wbiła wzrok w matkę.

– Może usiądziesz z nami? – Ton Fabioli nie znosił sprzeciwu.

– Mam dużo lekcji. – Głos dziewczyny był równie stanowczy.

Zanim matka zdążyła zaprotestować, Julita wyszła z pokoju. Usłyszeli, jak wbiega po schodach na górę. Trzasnęły drzwi.

Fabiola Burchardt demonstracyjnie westchnęła.

– Sam ksiądz widzi. Ul na głowie, zapach ogniska. Nie wiem, z kim i gdzie się szlajała. No i ten ostatni incydent w kościele. Przy komunii zemdlą, jakby w ciąży była albo świętość sakramentu ją przerosła?

Kobieta wstała i podeszła do okna. W ogrodzie walały się liście przywiane przez jesienne wiatry. Będzie musiała pogonić Marka, żeby się tym zajął. Jak tego faceta się nie upomni, to nic sam z siebie nie zrobi.

Pokręciła głową. Wszystko spoczywało na niej. Dobrze, że Bóg dał jej tyle sił.

– Czyli co? Myśli ksiądz, że coś by to mogło pomóc? – znów zwróciła się do mężczyzny siedzącego przy stoliku.

Ten jadł właśnie wuzetkę, którą Fabiola specjalnie przygotowała na dzisiejsze spotkanie. Ksiądz Wojciech uwielbiał jej wypieki, ale wuzetkę upodobał sobie szczególnie. „Bóg zapłać za tę wuzetkę” – tak zawsze mówił, gdy pakowała mu pół blachy ciasta na wynos. „Dzieciaczki z chóru poczęstuję, to się będą cieszyć. Tak ciężko pracują, tak ciężko, by uszczęśliwić Pana”.

Fabioli Burchardt nic bardziej nie ożywiało niż dobre słowo od księdza Wojciecha. A jeśli jeszcze mogła się przyłożyć do radości dzieciaków... Cóż. Nie było nic lepszego.

– Na pewno by nie zaszkodziło – odparł duchowny. – Dziewczynka, z tego co pani mówi, wyraźnie potrzebuje pomocy. Można rozważyć terapię psychologiczną, ale w walce z diabłem najlepiej jednak radzi sobie Kościół. Ja sam nie mam takich zezwoleń, ale popytam, kto by się tego podjął.

– Dziękuję księdz! – Fabiola uklękła obok fotela i ucałowała dłoń mężczyzny.

Ten zrobił jej znak krzyża na czole, a kobietę przeszedł dreszcz.

Znów poczuła wewnętrzny spokój, jakby sama decyzja o podjęciu działań miała zbawienny wpływ na życie ich rodziny.

5

Droga wydawała jej się długa, choć z Kartuz do Gdańska było tylko trzydzieści kilometrów. Niebieski trabant sunął powoli. Ksiądz kierował niespiesznie i uważnie, wychylając ciało do przodu, niemal przyklejając się do przedniej szyby. Julita siedziała za kierowcą. Zapadła się w fotelu, wsuwając nogi daleko pod przednie siedzenie.

Fabiola Burchardt mówiła tym swoim głosem. Spokojnym, wyważonym, przymilnym. W ten sposób rozmawiała tylko z księdzem Wojciechem. Julita nie mogła znieść jej sztucznego tonu, podobnie jak tembru głosu mężczyzny. Ich kurtuazyjne wywody sprawiały, że wywracały jej się flaki.

Założyła na uszy słuchawki i włączyła walkmana – prawdziwy rarytas zaprojektowany przez Sony. Czasami posiadanie matki radnej miał swoje

plusy.

Robert Smith zagłuszył trajkotanie rodzicielki. *Come closer and see, See into the trees, Find the girl, If you can* – zanuciła Julita bezgłośnie. Za oknem migwały mijane drzewa. Słońce przenikało przez ich złotawe korony. Raz po raz muskało jej twarz.

Nie do końca wiedziała, na czym cała ta terapia miała polegać. Co z nią będą robić? Jak to będzie wyglądać? Starła się nie myśleć. W końcu chyba nic strasznego nie mogło jej spotkać. Matka na pewno by na to nie pozwoliła. Przynajmniej taką miała nadzieję.

„Jak jesteśmy lazem, to nie mam stłachu” – usłyszała w głowie głos Andżeliki.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Siostrzyczka wyciągała do niej ręce. Jej drobna twarzyczka była poważna. Julita opowiedziała jej wtedy o kaszubskiej morze. Ubrany w biały całun upiór miał ogniste oczy i rozsiewał zarazę. Andżelika, cała przejęta, bacznie rozglądała się wokół, czy mora nie czai się gdzieś w pobliżu. I wtedy wyciągnęła rączki do Julii. „Jak jesteśmy lazem, to nie mam stłachu” – stwierdziła, choć na pierwszy rzut oka było widać, że boi się jak cholera.

Teraz Julita też bała się jak cholera. I nie miała nikogo, przy kim czułaby się bezpiecznie. Łzy znów napłynęły jej do oczu.

Nie chciała panikować. Musiała być dzielna. Pojedzie i udowodni im wszystkim, że nie ma w sobie żadnego diabła. Ksiądz pokropi ją wodą święconą, przyłoży do czoła krzyż, i tyle. Na jej skórze nie wypali się przecież od tego znamię. Nie będzie mówiła wszystkimi językami i chodziła po suficie ze skreconą szyją, jak w tym filmie, o którym opowiadali koledzy z klasy. Będzie siedzieć spokojnie i nawet nie piśnie, a wtedy zobaczą, że się pomylili. Zobaczą, że Julita jest tylko sobą i nikim innym. Że tęskni za Andżeliką i potrzebuje trochę uwagi i miłości.

Ta myśl sprawiła, że poczuła się trochę lepiej. Przymknęła powieki, a pod nimi rozbłyskało i gasło światło, zasłaniane co chwila przez drzewa. Robert Smith skończył śpiewać. Musiała przełożyć kasetę na drugą stronę. Przez chwilę mocowała się z blokującą się od jakiegoś czasu klapką. W końcu udało jej się poprawnie umieścić kasetę. *Sunk deep in the night, I sink in the night*, zaśpiewał wokalista The Cure.

Podniosła głowę. Ksiądz opierał się wygodnie o zagłówek. Przyspieszył. Jego oczy odbite w lusterku patrzyły prosto na nią.

– No i jak, dziecinko? Co u ciebie, mała? – Ubrany w czarną sutannę ksiądz Gustaw miał jasnoniebieskie oczy, przejrzyste jak źródłana woda. Kontrastowały z jego ciemnymi włosami, przyciętymi tuż przy skórze.

Julita wzruszyła ramionami.

– Dobrze – odparła.

– Możesz mi powiedzieć, jeśli nie jest dobrze. Nie zawsze musi być dobrze. Życie często daje w kość, i to normalne. Normalne jest, że życie czasem boli.

Dziewczynka kiwnęła głową na znak zrozumienia.

– Nie jest dobrze – szepnęła i niepewnie spojrzała na mężczyznę.

Ten uśmiechnął się do niej łagodnie.

– Widzisz, warto komuś powiedzieć, jeśli się źle czujesz. Już sama rozmowa o tym daje ukojenie, prawda?

– Tak – przyznała Julita.

– No właśnie. Ja jestem po to, żeby ci pomóc. Pomóc ci wyrzucić z siebie ból, który masz w środku. Bo czujesz ból w sobie, czy nie tak właśnie jest?

– Tak.

– Ja ten ból widzę. Widzę go w tobie gołym okiem.

Julita zdziwiona zerknęła na księdza.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Widzę w tobie też strach i smutek, i złość, i samotność. Wszystko to w tobie widzę. Czy mam rację?

Dziewczyna przytaknęła.

– To nic. – Mężczyzna się uśmiechnął. – To nic, z czym byśmy sobie nie poradzili.

Spojrzenie jego błękitnych oczu dodało jej otuchy.

– Spróbujemy? – spytał.

Julita znów kiwnęła głową.

– Cieszę się, dziecko. Bardzo się cieszę. Chodź ze mną. Nic się nie bój.

Ksiądz Gustaw sprowadził ją do podziemi kościoła. Było zimno. Jej oddech zostawiał obłoczki pary. Nieopodal skromnego ołtarza stał skórzany fotel, podobny do tego, który znajdował się w gabinecie dentystycznym pani Marioli.

– Poprosiłbym cię teraz, żebyś tu usiadła. – Mężczyzna wskazał jej fotel. – I mi zaufała, dobrze?

Julita pokornie spełniła prośbę.

– Ufasz mi? – dopytał ksiądz.

– Tak – potwierdziła.

Ksiądz przypiął jej nadgarstki do fotela skórzanymi paskami, zaciskając je mocno. Następnie w ten sam sposób unieruchomił jej łydki, uda, przedramiona i korpus.

Julita zaczęła odczuwać niepokój. Ale nie chciała dać tego po sobie poznać. W końcu obiecała księdzu Gustawowi zaufać.

– Jesteśmy gotowi – łagodnie powiedział duchowny, a z cienia wyłoniło się czterech mężczyzn.

Świeccy pomocnicy wzniesli trzymane w dłoniach srebrne krzyże Świętego Benedykta i zaczęli recytować modlitwę Świętego Michała Archanioła. „Boże w Trójcy Świętej Jedyny, błagam Cię i proszę za wstawiennictwem Bogurodzicy Dziewicy Maryi” – słowa odbijały się echem o piwniczne ściany.

Julita starała się siedzieć spokojnie. „To zaraz się skończy – powtarzała sobie w myślach. – I wrócę do domu. Tylko muszę jeszcze chwilę wytrzymać”.

Dziewczyńce robiło się coraz zimniej. Zaczęła dygotać. „Mogłam nie zdejmować kurtki” – pomyślała.

Starała się skupić. Stojący naprzeciwko niej ksiądz Gustaw wypowiadał zdania modlitwy, patrząc jej prosto w oczy. Mężczyźni podchodzili coraz bliżej, zamykając ją w krąg.

Nagle zamilkli. „Koniec” – pomyślała z ulgą Julita. Zaraz ksiądz ją odwiąże i pojedzie do domu.

Ksiądz Gustaw na chwilę zniknął jej z oczu, po czym znów stanął przed nią. W rękach trzymał karafkę.

Mężczyźni wznowili modły, wyciągając przed siebie krzyże. Niemal dotykali nimi jej twarzy.

Ktoś nagle chwycił ją od tyłu za twarz, zatkał jej nos i zmusił do otworzenia ust. Poczowała, jak coś leje się jej do gardła. Nie mogła oddychać. Zaczęła się dusić.

7

Pokój Julity był pusty. Zdjęto białe firany i żółte grube zasłony, usunięto doniczkowe rośliny. Na wyłożonej linoleum podłodze nie leżał już mołdawski wełniany dywan. Z półek modułowej meblościanki MK zniknęły wszystkie książki oraz kolekcja kolorowych puszek po napojach gazowanych i kupowanej w pewexie herbacie. Nie pozostawiono ani maskotek, ani puzzli, ani nawet ulubionej planszówki Skoczki. Oczywiście

zdematerializowały się również przenośny magnetofon Kasprzaka, ukochany walkman i kasety z ulubioną muzyką, nagrywaną wieczorami z radia.

Rodzice za namową księdza egzorcysty wyrzucili z domu wszystko, co do niej należało. Wszystko, w czym mógł czaić się diabeł. Nawet jej to nie zdziwiło. Już nic nie mogło jej zdziwić.

Julita usiadła na łóżku. Nogi miała złączone. Dłonie złożyła na kolanach. Spojrzała na swoje dziurawe i brudne rajstopy. Śmierdziały moczem i olejkami. Marzyła, by się umyć, by zmyć z siebie wspomnienie spoconych mężczyzn wpychających jej krzyż głęboko w usta. Ale drzwi były zamknięte, a ona nie miała siły wołać matki.

Przejechała językiem po obolałych dziąsłach. Czuła w ustach smak krwi. Oto koszt przyjęcia Chrystusa.

– Zęby jej wybiesz! – Jeden z pochylających się nad nią mężczyzn śmiał się.

Chciała uciekać, ale pasy więziły jej nadgarstki i kostki. Każdy ruch sprawiał, że zaciskały się jeszcze bardziej, raniąc skórę. Otarcia były nadal widoczne. Świeże na starych, tych sprzed trzech miesięcy.

Trzy miesiące. Tyle trwał koszmar.

Nie protestowała, gdy pomagierzy księdza Gustawa przytrzymali jej dłonie, a jeden z nich – najbardziej krągły, przygwoździł ją swym ciałem. Namoczył dłoń w świętym oleju i zaczął mazać po twarzy, szyi i dekolcie. Dokładnie widziała strużkę potu tuż nad jego górną wargą. W końcu wepchnął rękę pod jej bluzkę. Dokładnie namaścił piersi i brzuch. Potem przeniósł dłoń na uda i krocze.

– Odejdź, szatanie – szeptał, obłapiając ją konsekrowanymi palcami.

Potem było coraz gorzej. Zaczęli ją wiązać i podduszać. Gdy płakała i krzyczała, by przestali, patrzyli na siebie porozumiewawczo i mówili, że oto w końcu zaczął objawiać się szatan. Pocieszali, że im częściej i mocniej się manifestował, tym szybciej uda się ją od jego wpływu uwolnić. Kładli na sercu kustodię, wciskali ją w jej piersi. Czuła, jak łamią jej żebra.

Julita nie wiedziała, ile jeszcze da radę znieść.

Bardzo chciała umrzeć. Tak bardzo pragnęła, by wlewana siłą do jej gardła egzorcyzmowana woda w końcu ją zabiła. Utonąć w święconej wodzie. Piękny paradoks. Ale nie. Dusila się długie minuty, topiąc się jak w szklance wody. Boleśnie i bez skutku.

Dziewczyna prześlizgnęła się wzrokiem po pustych ścianach. W miejscu, gdzie tapeta była jaśniejsza i czystsza, wisiła bambusowa

makatka, do której przypięła plakaty z Ramones, Led Zeppelin i Sex Pistols. Nad biurkiem trzymała natomiast zdjęcie Andżeliki. Siostra, w białych rajstopkach i sukience, stała na chodniku. Wyglądała niemal jak lalka. Julia podtrzymywała ją pod pachami. Nachylała do niej z czułością głowę. Andżelika uśmiechała się do aparatu. Zdjęcie zrobiono, gdy miała raptem półtora roku i ledwo co nauczyła się chodzić.

Teraz w tamtym miejscu przybito krzyż. Mały czarny krzyż, na którym wisiał miniaturowych rozmiarów Jezus. Był smutny i cierpiący. Julita dobrze go rozumiała.

„Jak jesteśmy lazem, to nie mam stłachu” – znów usłyszała w głowie głosik siostry.

Zacisnęła dłonie w pięści. Poczowała, jak przeszywa ją ból.

1

Czysty, donośny śpiew ptaków niósł się przez pachnący igliwiem las. Mroczna i wyboista ścieżka, którą przemierzali nocą, wydawała się teraz szerokim gładkim traktem z paprociami po obu stronach. Promienie słońca przebijały się przez korony drzew, rzucając na ziemię ażurowe refleksy.

Szli w ciszy rozmiękłą po rozpętanej nad ranem ulewie drogą. Fioletowe cienie rysujące się pod oczami zdradzały, że nikt z nich nie zdołał zmrużyć oka. Nie po tym, co zobaczyli o zmroku.

Stanęli na skraju polany dokładnie o dziewiątej. Nad otoczoną wysokimi świerkami śródleśną łąką unosiła się mgła, w której niemal ginęli stróżujący przy ciele funkcjonariusze. Ambona myśliwska stojąca na jej skraju była porośnięta mchem. Po drewnianych nogach wieżyczki piał się liściasty pęd. „Wygląda jak baśniowy stwór, który ma zaraz się obudzić” – pomyślał Bilski. Następnie zerknął ku otoczonej przez policjantów taśmie wyznaczającej zabezpieczony obszar; wydała mu się równie nierealna co baśniowy stwór.

– No dobra, panowie – powiedział niewysoki młody blondyn, stawiając na ziemi walizki ze sprzętem do oględzin. – Czas zabierać się do pracy.

Lekarz medycyny sądowej Maciej Grzymała był najmłodszym w historii szefem Zakładu Medycyny Sądowej na gdańskich Dębinkach, a teraz kierował powołanym rano zespołem oględzinowym. Grupa operacyjno-procesowa składała się jeszcze z kilku mężczyzn, którzy powoli przygotowywali się do działań.

– Państwa prokuratorów proszę o zajęcie dogodnych miejsc i cierpliwość. Jak na coś trafimy, będziemy wołać. – Grzymała spojrzał surowo na Leopolda i Annę, którzy już kierowali się w stronę oznaczonego terenu.

Prokuratorzy niechętnie skinęli głowami, a specjaliści ruszyli przed siebie. Bilski i Górka przysiedli na pieńkach i przyglądali się pracy techników. Ci po krótkiej konsultacji obrali dośrodkowy schemat prowadzenia działań, kierując się w stronę miejsca szczytowego zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Co jakiś czas pochylano się nad ziemią.

Rozsypywano proszki, stosowano pędzle, do papierowych kopert i różnej wielkości woreczków strunowych zbierano ślady. Jeden z mężczyzn fotografował, drugi utrwał czynności na wideo. Wykwalifikowany rysownik nieopodal nich tworzył szkice miejsca zdarzenia. Ubrani w białe kombinezony, okulary i czepki ochronne członkowie zespołu wyglądali jak ekipa naukowców zawezwanych do walki z zagrażającą całej ludzkości epidemią w którymś z hollywoodzkich filmów katastroficznych. Ale to nie był plan filmowy. Ktoś naprawdę zamordował trzynastoletnią dziewczynkę i obciął jej głowę.

– Myślisz, że ten sam sprawca schwytał Piotrka Sarmana? – Górska nie mogła oderwać wzroku od leżącego na skraju polany ciała.

Choć z tej odległości nie było dobrze widoczne, asesora mogła odtworzyć ten obraz w głowie z drobiazgową szczegółowością. Przed oczyma stały jej wyciągnięte wzdłuż boków chude ręce, rozłożone w kształt litery V nogi, zakrwawiony dekolt czarnej koszulki, przerażający kikut szyi i obcięta głowa wciśnięta potylicą w krocze dziewczynki. Wiedziała, że niebawem lekarz medycyny sądowej wraz z technikami przetrną ubranie zamordowanej Amelki, pochylą się nad jej nagim ciałem, będą skrupulatnie oglądać każdy skrawek jej skóry.

– Mam nadzieję, że nie – odparł Leopold cierpkim głosem. – Na razie nic nie wskazuje na to, że sprawy są powiązane. Zresztą seryjni mordercy raczej nie atakują na początku w tak krótkim odstępie czasu. Rozkręcają się dopiero później.

Reszta popołudnia minęła im w ciszy. Nawet policjanci nie byli dziś skorzy do pogaduszek. Wszyscy patrzyli z jakimś dziwnym namaszczeniem na poruszających się metodycznie po polanie techników. Jakby oznakowany teren stanowił sacrum, którego nie można naruszać dźwiękiem.

W końcu dostali znak od lekarza medycyny sądowej. Zbliżyli się do szczytu polany.

Ciało dziewczynki leżało na błotnistej ziemi. Ręce i nogi były oblepione ziemią. Na czoło dziecka spadła igła sosny. Bilski poczuł ogromną ochotę, by ją usunąć. Przyciągała jego wzrok. Czuł narastający niepokój.

– Dziewczynka w wieku trzynastu lat, wzrost metr pięćdziesiąt pięć, budowa ciała ektomorficzna, zauważalne niedożywienie.

– Czas zgonu? – zapytał Leopold.

– Znamiona śmierci wczesne. Ciało zimne i sztywne. Rogówka oka zamkniętego wyschnięta, podobnie jak czerwień wargowa i opuszki palców. Utrwalone plamy opadowe występują w okolicach grzbietu i

tylnych powierzchni kończyn dolnych. Stężenie pośmiertne w pełni rozwinięte we wszystkich mięśniach, lekko ustępujące. Jeśli miałbym strzelać, to od zgonu minęło od trzydziestu sześciu do czterdziestu ośmiu godzin, choć pewnie pan prokurator zdaje sobie sprawę, że szacowanie czasu zgonu zależy od tak wielu zmiennych, że to trochę jak wróżenie z fusów.

– Jaka była przyczyna zgonu? – zapytała Anna. – Odrąbanie głowy? – Starła się uspokoić drżący głos.

– Nie. Głowa została odseparowana od ciała już po śmierci, bo przy takim krwotoku zewnętrznym nie pojawiłyby się plamy opadowe. I nie została odrąbana, lecz ucięta, na moje oko piłką do metalu, bo na poprzecznym przekroju szyi widać linie cięcia odsłaniające kości i ścięgna. – Lekarz palcem w rękawiczce wskazał na szyję zmarłej dziewczynki. – Musiałbym to jednak potwierdzić w laboratorium. Separacja nastąpiła tutaj, na polanie. Widzicie ślady krwi na ziemi? Rozlała się gładko, w niemal regularne skupisko. Krew, która przestaje krążyć, odpływa z obszarów w ciele położonych wyżej do tych położonych niżej. Jeśli dziewczynka by jeszcze żyła, gdy sprawca dokonał cięcia, to wokół widać byłoby rozbryzg. A co do przyczyny zgonu... Nie odnotowaliśmy ran postrzałowych, kłutych, tłuczonych, rąbanych, szarpanych, które mogłyby wskazywać na przyczynę śmierci. Nie ma złamań kości. Otarcia naskórka oraz siniaki na rękach i nogach sugerują, że mogła się bronić. Raczej jej nie torturowano, choć nie mogę wykluczać urazów wewnętrznych. Więcej będę mógł powiedzieć, jak otworzę ciało.

– Była wiązana – stwierdził Bilski, kucając obok zwłok i przypatrując się nadgarstkom.

– Tak, mocne otarcia na nadgarstkach sugerują, że denatka podczas przetrzymywania miała związane ręce. Najprawdopodobniej sznurem. Rany przy ustach – Grzymała wskazał na leżącą pomiędzy nogami odciętą głowę – sugerują użycie knebla. Ciekawe są otarcia na kostce bocznej i przyśrodkowej prawej nogi. – Technik i śledczy nachylili się nad ciałem. – Zobaczcie, są zupełnie inne niż te od sznura. Stawiałbym na jakiś rodzaj zacisków, hmm, raczej nie plastikowych, bo otarcia byłyby głębsze.

– Jakies widoczne zanieczyszczenia powłok skórnych? – dopytała Górska.

– Ziemia, jak widać. Runo leśne. Zauważalnych gołym okiem śladów pochodzenia biologicznego brak. Więcej powiem po dokonaniu analiz laboratoryjnych.

– Zgon nastąpił na polanie?

– Część plam pozostała w miejscu pierwotnym, jednak ułożenie zwłok nie zgadza się do końca z układem wybroczyn. Tym samym do zabójstwa doszło w innym miejscu i ciało zostało przemieszczone po śmierci.

– I w sposób przemyślany wyeksponowane – zauważył Bilski.

– Tak, niewątpliwie wyeksponowane, i to dość efektownie. – Grzymała odkaszlnął.

– Jakież ślady pozostawione przez sprawcę?

– Odciski obuwia zostały w dużej mierze zmyte przez deszcz, nie sposób więc odtworzyć ścieżki chodu. – Maciej Grzymała rozejrzał się po polanie. – Tu i ówdzie pozostały jakieś fragmentaryczne ślady, lecz wczorajszego wieczoru przetoczyło się tutaj tyle osób, że trudno stwierdzić, które należą do sprawcy, a które do osób biorących udział w poszukiwaniach. Natomiast wokół ciała brak jakichkolwiek odcisków. Oznacza to, że sprawca świadomie je usunął lub używał specjalnych ochraniaczy na buty, takich jak te. – Lekarz medycyny sądowej wskazał na niebieskie pokrowce, które miał założone na adidas.

– W jaki sposób sprawca przeniósł ciało? – zapytał Leopold.

– Nic nie wskazuje na to, żeby ciało ciągnięto po ziemi. Sprawca zapewne niósł je na rękach, choć przemierzenie trasy przez las na polanę z ciałem ważącym na oko gdzieś czterdzieści pięć kilogramów na rękach wiązałoby się z koniecznością posiadania niemałej tężyzny fizycznej.

– Mógł ciało przewieźć – stwierdził Bilski.

– Nie wykluczam takiej opcji. Nieopodal ciała zabezpieczyliśmy ślad koła. Raczej nie szprychowego, jak od roweru, szerszego, mocniejszego, a przy tym lekko nieregularnego.

– Wózek myśliwski? – zastanowił się Leopold.

– Nie skreślałbym takiej ewentualności.

– Ale w takim razie powinny być ślady dwóch kół – zauważyła Anna.

– Ulewa była tak silna, że mogło je wymyć. – Grzymała wzruszył ramionami.

– Albo podjechał wózkiem od strony lasu – odezwała się Górską.

– Sprawdzimy teren przyległy. – Grzymała ręką dał znać technikom, by się tym zajęli. – A teraz niezwłocznie trzeba przewieźć ciało do zakładu na Dębinkach. Które z państwa będzie obecne przy sekcji?

– Ja – powiedziała Anna, zanim Leopold zdążył otworzyć usta. – Ja prowadzę sprawę Amelii Stępień – zaznaczyła, twardo patrząc mu prosto w oczy.

Bilski skinął głową.

– No dobra, nie ma na co czekać, ruszajmy – ponaglił Grzymała i skierował się w stronę ścieżki.

Anna Górska ruszyła za nim. Kątem oka dojrzała, że technicy wkładają ciało do czarnego worka. Jeden z nich osobno zabezpieczał odciętą głowę

2

Waldemar Żaczek patrzył, jak pracownicy zakładu pogrzebowego wkładają czarny worek z ciałem do karawanu i odjeżdżają. Z rury wydechowej wydostał się kłęb spalin. Spod kół auta strzelił mokry piasek.

Samochód stawał się coraz mniejszy, aż zniknął za zakrętem.

Komisarz rozejrzał się wokół. Przy ogrodzonym terenie nadal stali policjanci z wydziału prewencji zabezpieczający miejsce znalezienia zwłok. Laboranci kryminalistyczni zbierali jeszcze ślady w przyległym terenie, technicy je numerowali, mierzyli i wypełniali metryczki. Policjant z owczarkiem niemieckim u boku mówił coś Zdzisławowi Mączyńskiemu, po czym oddalił się ścieżką.

Żaczek podszedł do komendanta.

– I jak tam? – zapytał przełożony.

– Rozpytaliśmy okolicznych mieszkańców, czy coś widzieli. Kazałem sprawdzić najbliższe monitoringi i kamery ze stacji paliw. Na razie nic konkretnego.

– Yhm – mruknął komendant. – Jak coś będziecie mieli, to daj mi znać.

– Mężczyzna podniósł rękę w geście pożegnania i ruszył w stronę radiowozu.

– Szefie! – krzyknął za nim komisarz i kilkoma susami go dogonił.

Mączyński przystanął.

– Co?

– Nie uważa szef, że powinniśmy powiedzieć o tamtym?

– Niby o czym? – warknął komendant i ściągnął brwi.

– No o tamtym... – szepnął Żaczek, rozglądając się, czy nikogo nie ma w pobliżu. – O tamtym chłopcu.

Mączyński złapał go za rękaw i odciągnął na bok. Teraz on czujnie zlustrował okolicę. Uśmiechnął się przyjacielsko do przechodzącego obok technika, poczekał, aż tamten odejdzie, i syknął:

– Ani mi się, kurwa, waż.

– Ale szefie! – wykrzyknął Żaczek. Po chwili opanował się i mówił dalej półgłosem: – Przecież to seryjny! Jeśli mały Sarman jest w jego rękach,

to...

– Przestań pieprzyć! To nic nie zmieni. – Komendant znów się rozejrzył. – Do chuja pana! – wycedził przez zęby. – Tamtych dowodów już nie ma, jest po sprawie i sam się na to zgodziłeś. Nikt cię nie zmuszał. Kasę wzięłeś? Wzięłeś! Więc morda w kubek.

– Ale skąd wiesz, że to nie on? – Komisarz spojrział poważnie na komendanta.

– Bo to nie on – twardo odpowiedział Mączyński. – Już ci to tłumaczyłem. Myślisz, że kryłbym kogoś, kto zamordował dzieciaka? Tak o mnie myślisz?

Żaczek wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Nie wiem. Sam już nie wiem, co myśleć. – Machnął z rezygnacją ręką i odwrócił się, chcąc odejść.

Zdzisław Mączyński znów złapał go za rękę, stanął tuż za nim i warknął mu do ucha:

– Jak chcesz nas umoczyć, to proszę bardzo. Ale pamiętaj. Ja sobie poradzę, ale ty, kurwa, będziesz ziemię z rodziną żreć.

3

Tomasz Nicewicz zmierzał w stronę rynku. Krótkie spodenki odsłaniały geometryczne tatuaże na jego łydkach. Dwa czarne, stojące na tylnych łapach lwy wyciągały pazury. Gdy szedł, wydawało się, że drapieżniki toczą między sobą bitwę.

Choć bejsbolowa czapeczka osłaniała go przed słońcem, czuł zbierający się na czole pot. Było cholernie upalnie. Zbyt upalnie. Zawsze irytowało go, że Polacy ciągle narzekają na pogodę. Że jest za zimno albo za ciepło, że jest zbyt deszczowo albo zbyt parno, albo że śnieg jest, więc trudno auta spod zasp wyciągać, a jak nie ma śniegu, to chujowo, bo dzieciaki na sankach nie mogą śmigać. W Polsce pogoda nigdy nikomu jeszcze nie dogodziła. Obok polityki stanowiła najbardziej znienawidzoną przez wszystkich dziedzinę. Ale tym razem nawet on miał dosyć. No a tym bardziej Kurczak.

Nicpoń zerknął na drepczącego przy jego nodze psa. Zwiesił nisko łeb, powłóczył łapami, bejsbolowa czapka zsunęła mu się na oczy. Jedyne browar ich jeszcze ratował. Choć do pory obiadowej było daleko, zdążyli machnąć już po kilka kufelków. Tylko w ten sposób udawało im się przeżyć.

Kurczak uwielbiał piwo. Już jako szczeniak miał na jego punkcie hopla. Pakował nos do opróżnianych przez Tomka kufla, bawił się puszkami, nawet nauczył się łąpać pyskiem za szyjki butelek i przechylać je w taki sposób, że udawało mu się spijać ostatnie kropelki z samego dna. Nicewicz szybko zrozumiał, że piwo to również psa paliwo. No i cieszył się, że zawsze miał przy sobie kompana do picia.

Mężczyzna zbliżał się do skrzyżowania Kościuszki z Kolejową. Obdrapana i ponura reklama firmy budowlanej zajmująca całą boczną fasadę klockowatego bloku jak zawsze wywołała w nim niesmak. Jakby nie można było walnąć tu jakiegoś barwnego graffiti, jak w Gdańsku. Od razu by się człowiekowi japa śmiała. Ale nie. Ogłoszenie o utylizacji azbestu musiało straszyć tu niezmiennie od lat i nikomu nie przychodziło do głowy, żeby coś z tym zrobić. Może trzeba się skrzyknąć z chłopakami i samemu się tym zająć? Ale by się ludzie zdziwili, jakby rankiem natknęli się na portret cycatej nimfetki na całą ścianę! O! Albo lepiej! Na wizerunek pierwszej lolitki animowanego ekranu Betty Boop. Nicpoń uwielbiał Betty Boop. Pół kobieta, pół dziecko. Choć w bajkach miała jedynie szesnaście lat, jej zmysłowe ruchy i świadomie naszpikowany seksapilem wygląd sprawiały, że od ponad osiemdziesięciu lat stanowiła obiekt fantazji erotycznych mężczyzn. To by było dopiero! Zawsze idąc na rynek, napotykać po drodze Betty Boop. Nicpoń uśmiechnął się pod nosem, a upał przez chwilę wydał mu się bardziej znośny.

Pociągnął za smycz Kurczaka, który przysiadł na chodniku i nie zamierzał się ruszyć.

– No dalej! – krzyknął. – Zaraz będziemy na miejscu i otworzymy zimnego specjale.

Pies podniósł głowę i oblizał się po suchym pysku. Od niechcienia wstał i powłókł się za panem.

Nicpoń widział już wieżę kościoła. Znów pociągnął za smycz, żeby pospieszyć pitbulla. Tym tempem nie dojdą tam przed końcem dnia. A Nicewicz miał co robić. Dobre życie i fajna fura kosztowały. Na szczęście interes się kręcił. Wszystko się układało.

Dotarli na rynek. Ich ławka była wolna. Ludziom nie uśmiechało się siedzieć w pełnym słońcu. Woleli o tej porze chronić się w cieniu. Nicpoń nie zważał jednak na pogodę. Czy mróz, czy upał, codziennie tutaj przychodził. Nie potrafił odpuścić. Pewnie dlatego nigdy nie wyjechał z Kartuz w siną dal, choć nic za bardzo tu go nie trzymało. No może Ilona trochę, choć coraz bardziej miał wrażenie, że jest z nią tylko z przyzwyczajenia. Zresztą nawet nie mieszkali razem, to co to za związek

był. Pewnie za dużo miał przed nią tajemnic. „Ty i te twoje tajemnice” – mówiła ciągle. Faktycznie, Ilona nic o nim nie wiedziała i wolałaby nie wiedzieć. Na pewno nie chciałaby wtedy dzielić z nim łóżka.

Nicewicz otworzył puszkę piwa i połowę jej zawartości wlał sobie od razu do gardła. Drugą z puszek wsadził do papierowej torebki i napoił Kurczaka. Nie chciał, żeby jakaś stara kłępa się do niego przypieprzyła, że psa alkoholizuje. Kiedyś jedna próbowała, to się odwinął. Złe się to skończyło. Nie potrzebował problemów.

Znów pociągnął solidny haust. Ze smakiem zlizął pianę znad górnej wargi. Spojrzał przed siebie. Kościół Świętego Kazimierza stał jak zawsze. Niezachwiany. Słońce odbijało się od jego miedzianego dachu. Zegar spokojnie odmierzał minuty. Wszystko było tak, jak powinno być.

Dokończył piwo, zgniótł puszkę i wycelował w śmietnik. Wstał i doszedł na skraj rynku. Jeszcze raz spojrzął na mury z czerwonych cegieł, splunął i odwróciwszy się do kościoła plecami, ruszył przed siebie.

U jego boku zataczał się pies. Kurczak miał nieźle w czubie. Tak jak lubił.

4

Czerwony samochód podjechał na parking Zakładu Medycyny Sądowej na gdańskich Dębinkach. Chwilę manewrował, zanim zmieścił się na wyznaczonym miejscu postojowym.

Anna Górską nie miała dzisiaj głowy do prowadzenia auta. Droga z Kartuz minęła jej jak sen, wszystkie czynności wykonywała automatycznie, niemal nie zwracając uwagi na światła i znaki drogowe. Nie spała od półtorej doby. Po wczorajszych poszukiwaniach pojechała do Sopotu, by powiedzieć Stępiom, że ich dziecko nie żyje. Marzena Stępień wiedziała, gdy tylko Ania pojawiła się na progu. Wystarczyło jedno spojrzenie, by mina lekkiego zaniepokojenia, z jaką kobieta otworzyła drzwi, zmieniła się w grymas bólu. Kobieta zawyła i złapała się za brzuch. Pająk podtrzymał ją za ramię i wprowadził do środka. Andrzej Stępień przybiegł do przedpokoju, objął małżonkę i wbił w Annę dzikie spojrzenie:

– Boże, niech pani w końcu to powie! – krzyknął.

Ania znów usłyszała w głowie ten krzyk i zmęczona przymknęła oczy. Praca w wydziale karnym wymagała rzeczowego podejścia do śmierci. Prokurator musiał przede wszystkim uwzględnić dowody, jego ogląd

powinien być trzeźwy i racjonalny, pozbawiony zaciemniających obraz sprawy sentymentów. Górskiej wydawało się dotychczas, że doskonale panuje nad nerwami, których wielu kolegów z aplikacji nie potrafiło utrzymać na wodzy. W pierwszym dniu zajęć wręczono im akta prowadzonych wówczas spraw. Annie dostało się zabójstwo brzemiennej przedszkolanki z Sopotu, skatowanej blokadą na kierownicę przez mężczyznę, który nie chciał dla ciężarnej kochanki zostawić rodziny. Górską przypatrywała się zdjęciom leżącej w kałuży krwi kobiety i analizowała szczegóły. Metodycznie i spokojnie, jakby rozwiązywała matematyczne zadanie. Koleżanka z ławki nie zniosła widoku pracownika Politechniki Gdańskiej zabitego siekierą przez studenta. Wybiegła z sali i więcej się w niej nie pojawiła.

Po tym, jak szybko otrząsnęła się po sprawie Skalpela, Anna była pewna, że świetnie nadaje się do tej pracy. Ale tym razem chodziło o dziecko. Dziecko! Na myśl o tym żołądek podchodził jej do gardła.

Górska pokręciła głową, starając się pozbyć stojącego jej wciąż przed oczyma obrazu zamordowanej Amelii. Wzięła głęboki wdech i zdecydowanie wysiadła z samochodu. Weszła do budynku i przeszła korytarzem.

– A! Jest pani! – Maciej Grzymała wchodził akurat do sali. – Proszę, ciało jest już przygotowane.

Anna podążyła za lekarzem medycyny sądowej.

Znała to pomieszczenie. Nieraz prowadzono tu zajęcia na studiach, a potem na aplikacji. Ale zawsze w prosektorium byli z nią też inni studenci, cała grupa ambitnych przyszłych prokuratorów, metodycznie przyglądających się każdemu ruchowi patomorfologa. Teraz sala była niemal pusta i jeszcze bardziej przygnębiająca. Ścienny zegar głośno tykał. Opuszczone do połowy rolety w oknach sprawiały, że pokój spowijała zielonkawa poświata; wszystko wokół wydawało się Górskiej zgniłe, niezdrowe, toczone przez chorobę.

Włożyli odzież ochronną i podeszli do ciała nakrytego białym prześcieradłem. Wystawały spod niego jedynie drobne stopy dziewczynki. Grzymała ściągnął materiał, a ich oczom ponownie ukazał się makabryczny obraz, który znali z lasu.

Lekarz medycyny sądowej pochylił się nad ciałem. Powoli, niezwykle skrupulatnie zaczął oglądać obnażone zwłoki. Po chwili zatrzymał się i zauważył:

– To jest ciekawe. – Zatrzymał się Grzymała. – Proszę zobaczyć. Ten ślad. – Wskazał na małą czerwoną kropeczkę na ramieniu, wokół której

utworzył się siniak.

– Co to? – zainteresowała się Górska.

– Wygląda na ukłucie igłą. Prawdopodobnie sprawca podał dziecku jakiś środek. W związku z brakiem widocznych obrażeń mogła to być przyczyna śmierci. Zobaczymy jednak, co powie krew. No i co znajdziemy w środku.

Grzymała przyjrzał się dalszym partiom ciała, dokonał obmycia i w końcu wziął do ręki skalpel, zerknął na Annę i zapytał:

– Możemy zacząć oględziny wewnętrzne?

Prokurator skinęła głową.

– Zazwyczaj zaczynam od głowy – zaznaczył medyk. – Ale tym razem...

– spojrzaj na głowę, którą wcześniej ułożył tuż nad szyją – ...odwróć kolejność, jeśli pani prokurator pozwoli.

Nie czekając na odpowiedź, patomorfolog zaczął wykonywać nacięcia w powłokach brzucha. Omijając brzeg pępka, poprowadził cięcie w linii pośrodkowej, od połączenia wyrostka mieczykowatego z trzonem mostka w dół do spojenia łonowego. Następnie bocznie przesunął skalpel od górnego końca pierwszego cięcia, sunąc w dół do linii pachowej tylnej. Trzecie cięcie Grzymała przeprowadził z dolnego końca cięcia pierwszego, bocznie kierując się wzdłuż grzebienia łonowego do guzka łonowego, a następnie w górę wzdłuż więzadła pachwinowego, przedłużając cięcie o około pięć centymetrów wzdłuż grzebienia biodrowego. Lekarz medycyny sądowej odgiął w końcu na boki powstałe płaty skóry. Ukazała się powięź powierzchowna brzucha, którą medyk spreparował. Przeciął jeszcze mięśnie i w końcu dostał się do brzucha.

– Jak widać, nie rozwinęły się jeszcze procesy gnilne. Na powłokach brzusznych nie ma zielonkawego zabarwienia powstającego na skutek połączenia hemoglobiny z siarkowodorem, we krwi brak smug dyfuzyjnych, jamy ciała niewypełnione gazami. Na tej podstawie uznałbym, że od zdarzenia nie minęły jeszcze dwie doby. Przepuszczalny czas zgonu w mojej opinii to... – biegły zerknął na ścienny zegar – niedziela około dwudziestej drugiej. Ale opinię potwierdzę jeszcze odpowiednimi badaniami.

Anna znów bezgłośnie przytaknęła i przyglądała się dalszym czynnościom. Biegły po kolei otwierał jamę brzuszną pod przeponą, klatkę piersiową z płucami, śródpiersie z sercem, jamę miednicy, wyjmował i badał narządy. To mruzczał pod nosem, to dyktował asystentowi swoje spostrzeżenia.

– No dobrze. – Zdjął rękawiczki ochronne. – Nic tu nie widzę. Wstępnie mogę stwierdzić, że prawdopodobną przyczyną śmierci było podanie jakiegoś środka. Zabezpieczyłem materiał do badań toksykologicznych; mam krew, mocz, żółć, treść żołądkową wraz z fragmentem ściany żołądka, fragment wątroby, nerki – wyliczał. – Zabezpieczyłem też fragment płuca, na wypadek obecności trucizn wziewnych, a także fragment skóry z tkanką podskórną, by zbadać truciznę podawaną w iniekcjach.

Grzymała założył nową parę rękawiczek i zerknął na mniejszy stół, na który asystent przeniósł odciętą głowę.

– To teraz zbadamy czaszkę.

Wziął do ręki nożyczki i zaczął obcinać włosy tuż przy skórze. Delikatne blond loki opadały na wyłożoną szarym marmurem podłogę.

5

Julia Sarman siedziała na brzegu kanapy. Ręce trzymała na kolanach.

– Ciało trzynastoletniej dziewczynki znaleziono wczoraj wieczorem w kartuskim lesie. Z nieoficjalnych źródeł wiadomo, że zostało w nietypowy sposób okaleczone, jednak ze względu na dobro śledztwa rzecznik miejscowej policji nie potwierdził tej informacji. Przypomnijmy, trzynastoletnia mieszkanka Sopotu zaginęła w zeszłą środę. Od tygodnia trwały...

Julia patrzyła w ekran telewizora. Słowa stojącej na skraju lasu dziennikarki dochodziły do niej jak zza mgły. Choć dokładnie je słyszała, nie była w stanie pojąć, co oznaczają. Wzięła leżące na blacie kuchennym kluczyki i wyszła z domu. Podbiegła w deszczu do auta i zatrzasnęła się w środku. Kluczyk ślizgał jej się w dłoni, gdy celowała w stacyjkę. Z włosów kapało na tapicerkę.

Wycofała i ruszyła przed siebie. Deszcz uderzał o szyby wściekłymi kroplami. Wycieraczki z wysiłkiem ściągały wodę z szyby; wytarta guma raz po raz wydawała skrzypiący dźwięk. Kobieta przejechała przez Sambora, minęła Powiatową Komendę Policji, skręciła we Wzgórze Wolności i zaparkowała przy placu Solidarności. Wycieraczki wciąż pracowały na maksymalnych obrotach. Park pojawiał się i znikał.

Sarman pochyliła się do przodu i patrzyła na park przez zalewaną strugami wody szybę, skupiona, bez ruchu. Starła się coś dostrzec. Coś, czego nie zauważyli policjanci.

Jak to możliwe, że chłopczyk w jednej chwili był, a w drugiej zniknął?
Jak to możliwe, że nikt nic nie zauważył, nie usłyszał?

Narastał w niej niepokój. Jak pęczniejący stwór, który wypełniał jej brzuch i gardło.

Raptownie wysiadła z samochodu, zostawiając zapalony silnik; przebiegła ulicę. Zostawiła otwarte na oścież drzwi, wycieraczki nadal usilnie przerzucały wodę.

Stała na środku parku, rozglądając się wokół. Obracała się wokół własnej osi. Tu były stragany, tu scena, przed nią tłum ludzi. Tuż za nią biegł Arek, przed nią slalomem poruszał się Piotruś. Jego ubranie migotało pomiędzy mijanymi ludźmi. W końcu oddalił się za bardzo. Nie mogła za nim nadążyć. Nie mogła...

Julia po raz kolejny analizowała każdy szczegół. Starła się jak najdokładniej odtworzyć ten dzień. Koszulka i dzinsy robiły się ciężkie od deszczu, trampki zagłębiały się w mokrą ziemię.

„Tu były stragany, tu scena, przed nią tłum ludzi – wyliczała. – Myśl, myśl, myśl – starała się zmobilizować mózg. Ale nic nowego się nie pojawiało”.

– Nie rozumiem, nie rozumiem, nie rozumiem – szeptała do siebie, skubiąc paznokciami skórki kciuków. – Kurwa – warknęła w końcu, przebiegła ulicę i wsiadła do auta. Ze złością zatrzaskała drzwi. – Kurwa, kurwa, kurwa. – Zaczęła bić wilgotnymi rękoma w kierownicę. – Kurwaaaaaaaaaaaaa!

6

Julia Sarman stała tak już dłuższy czas. Dzień niepostrzeżenie mijał. Jej mokre ciuchy dawno zdążyły wyschnąć. Patrzyła na ceglana bryłę, wysokie witraże okienne, strzeliste portale, charakterystyczną dzwonnice. Choć była zdecydowana, by wejść, nie mogła poruszyć nogami. Czuła niewytłumaczalną trwogę.

Przechodnie zaczęli w końcu dziwnie się jej przyglądać. Musiała wyglądać jak wariatka. Zresztą po ostatnim internetowym wystąpieniu sporo osób orzekło jej niepoczytalność.

– Córka znajduje się ostatnio pod wpływem silnego stresu i niewątpliwie potrzebuje hospitalizacji – skomentowała w radiu Fabiola Burchardt. – Gdy Piotruś w końcu do nas wróci, zapewnimy mu odpowiednią opiekę.

„Czy Bóg siedzący w tych przeklętych murach też jest przeklęty?” – pomyślała Julia, patrząc na kościół. Całe życie wpajano jej, że jest dobry i łaskawy. Chciała w to wierzyć. Teraz potrzebowała tego bardziej niż kiedykolwiek.

W końcu udało jej się zrobić krok. Jeden, drugi. Weszła po schodkach i uchyliła ciężkie odrzwia. W środku panował mrok. Umoczyła palce w wodzie święconej i zrobiła znak krzyża. Pierwszy raz od wielu lat.

Przeszła nawą i usiadła z boku. Ławki w głównej nawie wydały jej się zbyt przytłaczające. Rozejrzała się po wnętrzu kościoła. Świątynia wydała jej się zdecydowanie mniejsza, niż pamiętała. W sumie nie było tu nic strasznego. Ot, zwykły budynek. To nie budynki są straszne. To ludzie, którzy je wypełniają.

Próbowała się skupić. Zamknęła oczy. Od razu zobaczyła Piotrusia. Tęsknota ścisnęła jej serce tak boleśnie, że Julii zrobiło się słabo. „Boże – pomyślała. – Panie Boże, proszę cię. Od dawna o nic nie prosiłam. Jeśli mnie słyszysz, spraw, by Piotruś był bezpieczny, by się odnalazł i jak najszybciej do mnie wrócił. On jest sensem mojego życia. Bez niego... ja... umrę. Ja umrę...”.

Spod zaciśniętych powiek popłynęły łzy. Przetoczyły się po policzku i skapnęły na złożone do modlitwy dłonie.

„Proszę cię o litość dla rodziców tej dziewczynki. Daj im siłę, Boże, daj im siłę – dodała. – Jeśli mnie słyszysz, wiedz, że... – Julia westchnęła i otworzyła oczy. Zatrzymała wzrok na wiszącym na przeciwległej ścianie obrazie Jezusa Chrystusa. – Jeśli mnie słyszysz... – powtórzyła – ...wiedz, że ci wybaczam”.

W tym momencie usłyszała skrzypienie. Ktoś otworzył drzwi. Do kościoła weszła grupa dzieci. Dwie dziewczynki szły, trzymając się za ręce. Julia pomyślała, że tak kiedyś musiała wyglądać ona z Andżeliką. Kilku chłopców przepchnęło się po schodach na piętro. Drzwi znów się uchyliły. Dziewczynki i chłopcy wbiegali na górę.

„Próba dziecięcego chóru” – przeszło Julii przez myśl. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Po chwili odezwały się organy. Tylko kilka dźwięków. To organista sprawdzał dyszę.

– Ja też zostanę kiedyś organistką. – Julia usłyszała swój głos.

– Posługę organisty może pełnić tylko mężczyzna – odparł mężczyzna i pogłaskał ją po głowie.

– Czemu?

– Bo tak ustanowił Bóg – stwierdził organista. – Widziałas, żeby obok Chrystusa siedziały przy stole jakieś kobiety?

– Maria Magdalena siedzi po prawicy Jezusa – odparła, wzruszając ramionami.

– To Jan Ewangelista! – oburzył się organista. – No idź już, stań w szeregu i nie opowiadaj głupot. – Popchnął ją do przodu.

To na pewno był ten sam człowiek. Choć Radosław Filipiak miał teraz siwe włosy, a jego sylwetka mocno się przygarbiła, to jednak nawet z daleka rozpoznawała jego krzywy nos i charakterystyczną fryzurę. Mówili, że w dzieciństwie spadła mu na przód głowy cegła i uszkodziła cebulki włosów. Dlatego był niemal łysy, co skrzętnie starał się tuszować, czesząc się na pożyczkę. Oczywiście nigdy nie udało mu się nikogo tym oszukać. „Trzech na jednego to banda łysego Filipiaka” – takie mieli powiedzenie w szkole.

– Do szeregu, zbiórka! – Dopiero teraz Julia zauważyła drugiego mężczyznę. Wysoki blondyn miał w ręku gitarę. – Na rozgrzewkę *Ty tylko mnie poprowadź*.

Mężczyzna zaczął grać. Chwyty były proste: E, A, H, gis, A, H, E. Dzieci zaczęły śpiewać: „Gdy drogi pomyli los zły. I oczy mgłą zasnuje, miej w sobie tę ufność, nie lękaj się”. Julia pamiętała tę piosenkę. Też śpiewali ją na rozgrzewkę, choć nikt wtedy nie przygrywał im na gitarze.

Sarman nadal pamiętała słowa i mimowolnie zaczęła nucić w myślach: „Ty tylko mnie poprowadź, Tobie powierzam mą drogę, Ty tylko mnie poprowadź, Panie mój”. Gitarzysta dynamicznie uderzał w struny. Kołysząc się na boki, odwrócił się ku ołtarzowi.

Julia uświadomiła sobie, że go skądś zna. No tak, syn pani Elżbiety, Michał. Poznała go wcześniej w Trulôczu. Ale coś jeszcze nie dawało jej spokoju...

Chór ponownie śpiewał refren. Gitarzysta dołączył teraz do śpiewających, odwracając się w jej stronę.

Dopiero teraz Julia skojarzyła, skąd znała tę twarz. Należała do chłopca, z którym wiele lat temu śpiewała w chórze.

To jego widziała wtedy z księdzem w zakrystii.

7

– Gdzie jesteś? – Marta Czuba oparła się na łokciu.

Jej proste czarne włosy zsunęły się na niewielkie piersi, zakrywając medalik z pentagramem.

– Tutaj jestem przecież – szepnął leżący na plecach Mateusz Borowski i delikatnie się uśmiechnął.

– Nie dzisiaj – stwierdziła dziewczyna z przekąsem.

– Daj spokój, mała. – Jeżyna również przekręcił się na bok.

– Przecież widzę – odparła i naburmuszona wzruszyła ramionami.

– Odpoczywam sobie normalnie. Było mi przed chwilą dobrze, a teraz się relaksuję. – Wyciągnął dłoń i pogładził jej policzek.

– Na pewno?

– Było mi bardzo dobrze. Chyba że tobie nie?

– Było spoko.

Mateusz Borowski nie rozumiał dziewczyn. Wszystko musiały komplikować. Analizowały każdą najmniejszą pierdołę, nad którą mężczyźni najzwyczajniej w świecie nawet się nie pochylali. Wszystko stanowiło dla nich znak, który trzeba wziąć pod lupę.

– O czym teraz myślisz? – zapytała Marta, zmieniając ton na pogodniejszy.

– O niczym szczególnym – westchnął Jeżyna.

Naprawdę nie rozumiał dziewczyn. Ale kelnerka z Trulôcza bardzo mu się podobała, więc znosił jej humory i dawał się wciągać w te jej dziwne gry. Nie skarżył się, że jednego dnia była miła, a drugiego go odpychała, jakby nic dla niej nie znaczył. Nie wiedział, na czym stoi, ale może właśnie to rajcowało go w niej najbardziej?

– Myślisz o tym morderstwie, nie? – stwierdziła.

Asystent prokuratora znów przewrócił się na plecy. Spojrzał w sufit. Dwie niewielkie plamy przy lampie natrętnie przyciągały jego wzrok.

– Może – westchnął.

– Nie dziwię ci się. Widziałeś to?

– No.

– I jak to wyglądało?

– Jak trup dziecka.

– Ej, weź.

– No co?

– No ale jak? Dokładnie.

– Na polanie leżała.

– Słyszałam, że miała odrąbaną głowę.

– No.

– I co?

– I nic. – Jeżyna odetchnął głęboko.

– Trauma pewnie coś takiego zobaczyć.

– Pewnie trauma.

– Nie chcesz mówić, to nie. – Marta znów wzruszyła ramionami, wstała z łóżka i zaczęła się ubierać.

Mężczyzna przyglądał się, jak wkłada koronkową bieliznę, a następnie narzuca na siebie czarny obszerny T-shirt, którego kolor podkreślał bladość jej szczupłych nóg. Ponownie wskoczyła na łóżko i usiadła po turecku.

– Dziwne, że znaleźli ją akurat na polanie, nie – podjęła temat.

– Czemu dziwne?

– No wiesz, zważywszy na historię.

– Ale że co?

– Jak to, że co? W tych lasach na początku drugiej wojny światowej zamordowano setki, a może nawet tysiące Kaszubów, elitę przede wszystkim. Kości to wszędzie można znaleźć. Podobno właśnie na tej polanie masowy grób był.

– Jo, akurat!

– No tak! U nas się zawsze w domu mówiło, że tam straszy i w ogóle, że dziwna energia tam jest!

Jeżyna parsknął śmiechem, a Marta zdzieliła go w bok.

– Co z ciebie za Kaszub, jak ty w moc nie wierzysz! Głupek!

– Sama jesteś głupek!

Jeżyna rzucił się na dziewczynę i zaczął udawać, że gryzie ją w szyję.

– Aaaaa! Jestem wampirem. Krwi! Aaaaa! – wołał.

– Spadaj! No weź przestań! – piszczała Marta.

W końcu Mateusz przeturlał się z powrotem na plecy. Przez chwilę leżeli, stykając się ramionami, raz po raz kokieteryjnie się szturchając.

– No to jak to ciało wyglądało, co? – zagadnęła znowu.

– Jezu, Marta! – Jeżyna odwrócił głowę w jej stronę i zmarszczył brwi.

– Naprawdę cię to interesuje?

Uśmiechnęła się przymilnie.

– No dobra, tylko nikomu nic nie możesz mówić, okej? Bo miałbym kłopoty.

Marta przekreśliła niewidoczny kluczyk na ustach i udała, że go wyrzuca.

– Dziewczynka leżała z rozłożonymi nogami i rękoma. Faktycznie ktoś obciął jej głowę. Ale najgorsze było to, że ta głowa leżała między jej nogami. – Jeżyna usiadł i objął kolana ramionami.

– Kurcze, grubo – podsumowała Marta. – Czyli wyglądała jak taka... choinka?

Jeżyna obrzucił dziewczynę spojrzeniem pełnym niedowierzania.

– No chcę to sobie tylko zwizualizować – wytłumaczyła. – Bo to może być jakiś symbol na przykład. Wiesz, jak pentagram czy odwrócony krzyż. Jeśli sprawca świadomie tak ułożył ciało, to znaczy, że miał to być jakiś komunikat, nie?

Mateusz chwilę przetrawiał jej słowa, następnie cicho stwierdził:

– Nie miało to nic wspólnego z choinką. Nic a nic.

I zaczął płakać.

8

„Czy Michał to pamiętał? – zastanawiała się Julia. – A może wtedy tylko mi się wydawało?”. Sama nie była pewna, co tak naprawdę zobaczyła. Scena, którą miała w głowie, równie dobrze mogła być fragmentem snu. Minęło przecież niemal czterdzieści lat.

Julia Sarman szła wzdłuż jeziora. Zmierzchało, a woda i niebo przybrały pastelowe barwy. Odcienie fioletów i różów sprawiały, że świat wyglądał nierzeczywiście.

Stanęła przed domem na skraju drogi. Przez okno dojrzała Patryka. Pracował nad obrazem. W jednej ręce miał paletę, w drugiej trzymał pędzel, którym kreślił energicznie na płótnie. Nie widziała dokładnie, co przedstawiało malowidło. Mężczyzna zasłaniał go swoim ciałem.

Patryk Deczer zadzwonił do niej jakąś godzinę temu. Chciał pokazać jej nowe wpisy na stronie poświęconej zaginięciu Piotrusia.

Gdy weszła do pokoju, sztaluga była już zakryta materiałem. Usiadła przy stole.

– Jak się trzymasz? – zapytał malarz.

Twarz miał umazaną farbą. Włosy w nieładzie. Pomyślała, że musiał mieć wenę. Wzruszyła ramionami. „Jak się trzymasz?”, sztandarowe pytanie, które zadawali jej niemal wszyscy. Julia pomyślała, że w sumie słusznie. Codziennie od rana do wieczora wkładała całą swoją energię w to, by się nie rozsypać psychicznie.

– Coś chciałeś mi pokazać? – spytała.

– Tak. Zobacz. – Mężczyzna otworzył laptopa i usiadł obok niej. – Wczoraj po południu ktoś napisał w komentarzu: „Dzieci żyją. Widzę je w ciemnym wilgotnym pomieszczeniu”. Jakiś jasnowidz. Jak wszedłem

na jego profil, to zamieszcza same informacje o gwiazdach, horoskopach i takich tam. Kurcze, może warto byłoby się z nim spotkać, pogadać?

– Ale przecież dziewczynka nie żyje! – Julia Sarman zerwała się jak oparzona. – Nie żyje! Została znaleziona w lesie. Leżała martwa w lesie!

– Tak, wiem – odparł Patryk. – Tylko wiesz, on to pisał jeszcze przed...

– Nie obchodzi mnie, kiedy ten facet to pisał. Słyszysz? Nie obchodzi! – zaczęła krzyczeć. – Boże, ja chcę mojego synka. Chcę, żeby do mnie wrócił!

– Wiem, kochana, wiem. – Malarz objął Julię. – I właśnie dlatego musisz spróbować! Musimy próbować wszystkiego!

Julia pokręciła głową. Odsunęła się.

– Ciemne wilgotne pomieszczenie... Nie widzisz, co to za gość? Każdy mógłby tak napisać! Zaginęły dzieci. To gdzie ktoś je przetrzymuje? W piwnicy! Wiadomo! Kurwa, w każdym filmie kryminalnym prędzej czy później pojawia się piwnica. Ile facet chce za te swoje wizje?

– Dwieście złotych – odparł cicho Patryk.

– Czyli już się z nim skontaktowałeś, tak?

– Ma tu być za pół godziny. – Malarz uśmiechnął się niepewnie.

– Nie wierzę. – Julia już zmierzała do wyjścia. – To sobie pogadaj z tym wizjonerem, ja zapłacę, luz. Ale nie chcę przy tym być.

– Julia! – krzyknął za nią Patryk.

– Co?! – Cofnęła się z korytarza.

– On wyraźnie powiedział, że musisz przy tym być. Chodzi o energię czy coś tam. Ze mną się nie uda. Mówił, że musi być przy tym matka. No chyba warto spróbować? Przecież chodzi o twojego synka, nie?

Julia stęknęła i usiadła z powrotem na kanapie. Znów dopadło ją uczucie zapadania się w sobie. Ręce i nogi zaczynał ogarniać postępujący paraliż.

Identycznego uczucia doznawała jako dziewczynka tuż przed rozpoczęciem „terapii”. Doskonale pamiętała to nieznośne oczekiwanie. Cierpienie było coraz bliżej, ksiądz Gustaw kręcił się gdzieś wokół, to wchodził, to wychodził z pokoju, czasami zjawiali się też inni. Witali się, powoli zajmowali miejsca, a ona czekała. Czasami marzyła już o tym, by wreszcie znaleźć się w środku, by w końcu zaczęło się dziać, by ból odebrał jej resztki rozumu. Teraz czuła się tak samo. Niecierpliwie patrzyła na wiszący na ścianie zegar, a jego wskazówki poruszały się jak w zwolnionym tempie.

Kobieta poczuła ból głowy, a przed oczami zaczęły pojawiać się mroczki. Resztkami sił wstała i przeszła do łazienki. Zmoczyła twarz pod

bieżącą wodą. Rozejrzała się wokół. Otworzyła szafkę nad zlewem. Przejrzała jej zawartość, szukając czegoś przeciwbólowego. Uchyliła szufladę.

Kicuś.

Chwyliła maskotkę w dłonie i przycisnęła ją do twarzy.

Co on tu robi?!?

Zakręciło jej się w głowie.

Wyszła z łazienki i asekuracyjnie sunęła przy ścianie. Czuła się coraz słabiej.

W końcu znalazła się w dużym pokoju. Na środku stał obraz. Płótno na sztalugach przedstawiało Piotrusia. Twarz dziecka była odwzorowana ze zdjęcia, które Julia dała Patrykowi. Obok stali malarz i jakiś mężczyzna, który wyciągał do niej dłonie. Kątem oka Julia dostrzegła kamerzystę. Chyba tego samego, którego kobieta popchnęła w gabinecie Fabioli.

– Co on tu robi?! – krzyknęła.

– Przecież ci mówiłem, pan Andrzej jest jasnowidzem i zgodził się...

– Nie on! Mówię o Kicusiu?! Skąd go masz?! – Wyciągnęła maskotkę przed siebie.

– Co? – Patryk wydawał się zdziwiony.

W tym momencie jasnowidz podszedł do Julii i dotknął jej ramienia. Kobieta odskoczyła jak oparzona.

– Nie dotykaj mnie! – wrzasnęła i słaniając się na nogach, ruszyła do drzwi wyjściowych. Wypadła na dwór.

9

Od progu powitał go hałas.

– Mamo! Kuba mi znowu zabiera lalkę! Oddawaj, słyszysz! Oddawaj!

– Niiieeee!

– Maaaaamooooo!

– Kuba, nie zabieraj siostrze lalki – krzyknęła Marlena Żaczek z kuchni.

– No maaaaamooo! On mi zabiera!

Kobieta wyszła z kuchni do przedpokoju.

– A! Jesteś! Dobrze. Tylko buty na klatce zdejmij, całe ubłocone. – Spojrzała na męża z dezaprobatą.

Komisarz Waldemar Żaczek zerknął w dół. Faktycznie, buty miał solidnie uświnione. Wyszedł na klatkę i ściągnął trapery. Chwilę stał w samych skarpetkach na betonie, zastanawiając się, co zrobić

z trzymanymi w ręku buciorami. W końcu postawił je na wycieracze i wrócił do mieszkania.

Żona była już z powrotem w kuchni.

– Obiad jest jakiś? – zapytał.

– Obiad, obiad, tylko czy obiad jest. Myślisz, że ja mam cztery pary rąk? – odpowiedziała poirytowana Marlena.

– Czyli nie ma?

– No jest przecież. Jak by miało być, żeby nie było. Siadaj, zaraz podam.

Żaczek wszedł do łazienki. Odkręcił kran i zaczął myć ręce. Podniósł głowę i spojrzał na swoje odbicie w lustrze.

„Ja sobie poradzę, ale ty, kurwa, będziesz ziemię z rodziną żreć” – zabrzmiało mu w uszach.

Za drzwiami coś huknęło. Kuba zaczął płakać.

– Co zrobiłaś bratu?! – krzyknęła żona.

– Ja nic nie zrobiłam! To on sam pociągnął i się wywalił!

Chłopiec wył coraz głośniej.

– On udaje – upierała się dziewczynka.

Szum wody z kranu tłumił dochodzące zza drzwi krzyki. Żaczek nie odrywał wzroku od swojego odbicia w lustrze. Oczy miał podkrążone, skórę szarą. Czuł się zmęczony. Potwornie zmęczony.

Westchnął, wyszedł z łazienki i podreptał do dużego pokoju.

– Tata! – Kuba rzucił mu się w ramiona.

– No chodź, chłopie. – Ojciec wziął syna w objęcia i schylił się nad Zosią, by dać jej całusa. – Co tu się dzieje, co?

– Bo Zocha mi nie chciała dać zabawki! – poskarżył się synek.

– Masz swoje. To jest moja Barbie. Kto to widział, żeby się chłopiec Barbie bawił! – warknęła Zosia.

– A czemu miałyby się Barbie nie bawić? – zapytał mężczyzna. – Ty samochodzikami się bawisz.

– Barbie to co innego. Barbie ma cycki!

– Cycki nie cycki. Zabawka jak każda inna. – Żaczek puścił oko do syna i postawił go na podłodze. – Daj mu się chwilę pobawić, to ci jutro kupię jeszcze jedną.

Zosia natychmiast podała bratu lalkę i podbiegła uściskać tatę.

– Niby za co jej kupisz, co?

Marlena Żaczek weszła do pokoju z parującym talerzem zupy.

– Daj spokój, Marla – odparł komisarz. – Obiecałem, to kupię.

Żona prychnęła, machnęła ręką i wyszła z pokoju. Żaczek przełączył telewizor z kanału dziecięcego na wiadomości.

– Znalezione wczoraj w kartuskim lesie ciało trzynastoletniej dziewczynki nadal znajduje się w Zakładzie Medycyny Sądowej. Choć przeprowadzono już sekcję zwłok, rodzice do tej pory nie mogli zobaczyć dziecka – mówiła dziennikarka stojąca przed zielonym budynkiem prosektorium na gdańskich Dębinkach.

Cięcie.

Marzena Stępień, podtrzymywana przez męża, ledwo stała. Zapłakana nieumalowana twarz, włosy w nieładzie, krzywo zapięte guziki bluzki.

– Chcemy tylko zobaczyć nasze dziecko – powiedział Marcin Stępień. Miał pusty wzrok. – Przecież to w ogóle może nie być ona! A jeśli to ktoś inny?

Cięcie.

– Ciało znalezione w kartuskim lesie należy do Amelii S. Nie mamy co do tego żadnych wątpliwości. Potwierdziły to odpowiednie badania – poinformowała rzeczniczka prasowa sopockiej policji. – Niestety, do zakończenia śledztwa prowadzonego przez organy ścigania nawet rodzina nie ma prawa zobaczyć ciała. Jest to procedura objęta odpowiednimi przepisami.

Cięcie.

Ekran wypełniło kolejne zbliżenie twarzy matki zamordowanej dziewczynki. Była naznaczona bólem.

Żaczek wyłączył telewizor i spojrzał na bawiące się obok dzieci. Zosia i Kuba siedzieli teraz zgodnie. Chłopiec trzymał Barbie, a Zosia Kena i odgrywali jakąś scenkę. Mężczyzna przyglądał im się przez chwilę, po czym wstał i skierował się do drzwi.

– Wychodzę! – krzyknął do żony.

– Ale schabowego smażyć! – Zdziwiona żona stanęła w drzwiach kuchni.

Mężczyzna już nie słuchał. Stał w skarpetach na klatce schodowej i wkładał zabłocone buty.

10

– Nie widzisz, że oni chcą ze mnie zrobić wariatkę?! – Julia Sarman była roztrzęsiona.

Stała na środku pokoju, ściskając w rękach maskotkę syna.

– Policjanci już sprawdzili tego Patryka. Podobno królika znalazł w ogrodzie u pani Elżbiety. Wtedy, gdy byłaś tam z Piotrusiem na ognisku. W przeddzień zaginięcia małego – odpowiedział Leopold Bilski.

– Nie, to niemożliwe.

– Pani Elżbieta potwierdziła tę wersję. Podobno Patryk pytał, czy ktoś nie zostawił zabawki.

– Ale to może chodziło o inną zabawkę. Piotruś zasypiał z Kicusiem, ale nigdy nie zabierał go ze sobą.

– Mówisz, że maskotki nie było w sypialni małego wieczorem po jego zaginięciu, tak?

– Tak.

– Czyli mały musiał ją ze sobą wziąć, tak czy inaczej.

– Hmm.

– Dopuszczasz możliwość, że Piotruś zabrał ze sobą maskotkę na ognisko?

– Miał ze sobą plecak, ale zazwyczaj nosił tam bardziej, hmm, męskie zabawki. G.I. Joe i takie tam.

– Może chwycił Kicusia przez przypadek? A może w nowym środowisku chciał mieć ze sobą coś bliskiego, z czym czuł się bezpiecznie?

Julia usiadła na kanapie. Podwinęła nogi.

– Może – stęknęła. – Piotruś ostatnio dużo przeszedł. Śmierć ojca, przeprowadzka. Może faktycznie... A może ten porywacz wszedł do domu, jak byliśmy na posterunku, i zabrał maskotkę? Piotruś nie potrafił bez niej zasnąć!

Bilski zacisnął usta.

– Drzwi były zamknięte? Widziałaś ślady włamania?

– No nie. Ja wiem, jak to brzmi... Ty też mnie masz za wariatkę?

– Nie. – Leopold usiadł obok Julii. – To dobrze, że kombinujesz, że jesteś czujna, że snujesz domysły, nakreślasz ewentualne scenariusze. To może pomóc w poszukiwaniach. Więc nie przestawaj. Wiesz, tylko czasami trzeba odrzucić jakieś hipotezy, gdy są bez pokrycia, iść w innym kierunku. Z doświadczenia wiem, że najgorzej się na czymś zafiksować, bo to zniekształca obraz całości.

Julia kiwnęła głową. Prokurator miał rację. Musiała myśleć jasno. Musiała brać pod uwagę różne opcje.

– Nie wiem, co kombinuje twoja matka. Ale ten jasnowidz, kamerzysta... Faktycznie powinnaś uważać.

– Myślisz, że moja matka z Patrykiem...?

– Nie wiem. – Bilski wzruszył ramionami. – Może rzeczywiście chcą z ciebie zrobić wariatkę? A może Patrykowi, niespełnionemu malarzowi, po prostu chodziło o rozgłos? Namalował obraz Piotrusia, prowadzi stronę o jego zaginięciu, zorganizował telewizję, żeby pokazać akcję z jasnowidzem. Może chciał coś na tym ugrać? Dowiemy się. Chłopaki właśnie go cisną.

– Myślałam, że chciał mi pomóc. – Kobieta wydała się zdruzgotana.

Leopold poważnie przyjrzał się twarzy Julii.

– A ja myślę, że powinnaś na niego uważać – stwierdził. – Co ty w ogóle o nim wiesz? Jak dobrze go znasz?

Julia wzruszyła ramionami.

– Poznałam go w liceum. Oboje byliśmy wtedy innymi ludźmi. Ja buntowałam się przeciwko całemu światu, on był odjechanym artystą, do którego lgnęli wszyscy nawiedzeni licealiści. Traktowali go jak jakiegoś magika, proroka, może kapłana? Bez wątpienia miał w sobie jakiś rodzaj charyzmy, a w szarym peerelowskim świecie, w dodatku w małym miasteczku, w każdej odmienności ludzie doszukiwali się czegoś więcej. Patryk z tym swoim wyglądem Jezusa i szokującymi poglądami dla wielu chłopaków i dziewczyn w moim wieku stanowił ikonę buntu przeciw otaczającej rzeczywistości. No i trzeba przyznać, że miał gadane. Chociaż ja za nim nie przepadałam. Był zbyt dziwny, nawet jak dla mnie.

– Dobra, przyjrzymy mu się, okej? Dowiemy się, czy coś kombinuje.

– Dzięki. Najgorsze jest to, że już nie wiem, komu ufać.

– Najlepiej nikomu – stwierdził Bilski.

– Tobie też nie?

Leopold uśmiechnął się do niej łagodnie. Mimowolnie wyciągnął rękę, przejeżdżając palcami po jej policzku. Pauza, która nastąpiła, była pełna wyczuwalnego napięcia.

– To cholernie zły pomysł – powiedziała Julia Sarman.

Bilski nie odrywał wzroku od kobiety.

– Cholernie zły – szepnął i po chwili wahania skierował się w stronę drzwi.

11

Na korytarzu stał Waldemar Żaczek. Przygarbiony i przemoknięty. Miał smętną minę.

Bilski nie pytał, skąd zdobył jego adres; bez słowa wpuścił go do środka. Podali sobie ręce.

– Przyszedłem pieszo. – Żaczek wytarł mokre dłonie w wyciągnięty szary T-shirt.

– Mieszkasz w pobliżu? – zapytał Leopold.

– Tak, na Nowym Osiedlu.

Bilski wskazał Żaczkowi stołek barowy. Wyjął dwa kieliszki i nalał do nich wódki. Stuknęli nimi o blat i na raz wychylili ich zawartość.

Prokurator nalał po jeszcze jednym.

– Chciałeś pogadać? – spytał w końcu Leopold, bo komisarz zamyślony wpatrywał się w trzymany w dłoni kieliszek.

Żaczek jednym haustem wypił wódkę.

– Tak – powiedział i znowu zamilkł.

– Co jest? – zachęcił Bilski i znów polał.

Żaczek oparł głowę na dłoniach, a po chwili raptownie ją uniósł.

– Dobra. W dwa tysiące ósmym zacząłem pracę w policji. Tu, w Kartuzach. Zaraz po szkole. Urodził mi się syn. Córa miała dwa latka. Łatwo nie było. Żona nie pracowała, wiadomo, dziećmi się musiała zająć. Nieważne zresztą. Jakoś na początku roku, w styczniu, a może w lutym, na komendę przyszedł myśliwy, Stefan Wieczorek. Zeznał, że z ambony na polanie dostrzegł przez lornetkę ciało. – Żaczek na chwilę umilkł i spojrzał na Leopolda.

Prokurator wyprostował się na te słowa, ale dał komisarzowi znak, by kontynuował.

– Wieczorek dużo pije, każdy to wie, więc pomyślałem, że pewnie miał jakieś omamy. No ale trzeba było sprawdzić. Komendant Mączyński powiedział, że idzie z nami. Zdziwiłem się, bo on zazwyczaj do ruszenia tyłka ostatni. Nieważne. Poszliśmy przez te śniegi. I faktycznie, na polanie leżało ciało. Dziecka ciało. Chłopaka.

Żaczek przechylił kieliszek.

– Nazywał się Adam Poznański. Ośmiolatek. Poszukiwaliśmy go kilka miesięcy wcześniej przez jakieś dwa dni, ale się niby okazało, że dzieciak ukrywał się u jakiejś dalszej rodziny. A tu nagle leży w śniegu, martwy.

– Na tej samej polanie co Amelia? – zapytał Bilski.

– Tak, dokładnie w tym samym miejscu, na skraju. I tak samo... w takiej samej pozycji, w sensie z obciętą głową między nogami.

Leopold spodziewał się takiej odpowiedzi, jednak gdy padła, szybko wychylił kieliszek wódki. Była gorzka i zimna. Zupełnie go otrzeźwiła.

– Ja pierdołę. Czyli mamy seryjnego. Znowu mamy seryjnego. – Bilski pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Na to wygląda. – Żaczek zszedł ze stołka i lekko się zachwiał.

– Jakim cudem to nie wypłynęło? – spytał Leopold.

– Mączyński. Stwierdził, że ludzie wpadliby w panikę, a że chłopca nikt i tak nie szukał... Zadzwoił do kogoś, a potem zaproponował nam kasę. Dużo kasy. Mnie i temu Wieczorkowi.

– Poszliście na układ – stwierdził Bilski. – Czemu?

– Mówię... wydawało się to wtedy najlepszym rozwiązaniem. Może byłem w szoku czy coś. I na kasę się poasiłem. Mówiłem, że nie przelewało się w tamtym czasie. A potem już było za późno. Za daleko to zaszło.

– Do kogo dzwonił Mączyński?

– Nie wiem.

– Ale domyślasz się.

Żaczek spojrzał w ziemię.

– Może. Jest taki facet. Bogdan Chojnacki, szwagier Mączyńskiego, właściciel przetwórni mięsa. Biuro i jeden ze sklepów firmowych ma przy rynku, a zakład pod miastem. Ludzie różne rzeczy o nim mówią. On wszystkich trzyma w kieszeni. Mączyńskiego też. Myślisz, że czemu Mąka jest szefem placówki?

– Kurwa, ktoś zabił dzieciaka, a wy kryjecie takiego skurwysyna?

– Mączyński twierdzi, że to dwie odrębne sprawy. Słyszałem... słyszałem, że ten Chojnacki miał jakąś słabość do tego chłopaczka. To się pewnie bał, że go od razu powiążą z jego śmiercią.

– Ja pierdołę, ale wy jesteście naiwni. – Leopold nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. – Co zrobiliście z ciałem?

– Nie wiem. Ja nie miałem z tym nic wspólnego. Gdy następnego dnia poszedłem sam nie wiem po co na polanę, ciała już nie było. Nigdy go nie odnaleziono.

– A jak sądzisz... co mogli z tym ciałem zrobić?

– Nie wiem. – Policjant wzruszył ramionami. – Jakbym miał strzelać – chrząknął – to Chojnacki ma w przetwórni jakieś maszyny do mielenia zwierzęcych resztek na mączkę czy coś... – Skierował się w stronę drzwi. – Jutro złożę odznakę.

– Chuja złożysz – sarknął prokurator. – Dociągniesz to do końca. Masz przeszukać bazy i archiwa policyjne. Interesuje nas wszystko, co zamieciono pod dywan w ostatnich dziesięciu... hmm, nie wiem,

piętnastu latach. I Mączyńskiemu ani słowa, że się wysypałeś. Jak coś piśniesz, osobiście dopilnuję, żebyś nawet jako cieć pracy nie dostał.

Gdy tylko Żaczek opuścił mieszkanie, Bilski sięgnął po telefon.

12

Arkadiusz Filipiak zamknął za sobą drzwi i klatką schodową zbiegł w dół. Wieczór był ciepły, choć powietrze miało już ten specyficzny zapach jesieni. I dobrze, mężczyzna marzył o chłodzie, który wreszcie ukoi jego skórę. Zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął. Żar milimetr po milimetrze zaczął zbliżać się do jego twarzy. Filipiak odwrócił wzrok i z niechęcią pomyślał o Julicie. Powtarzał ten schemat za każdym razem, gdy zapalał papierosa. Piętnaście razy dziennie od niemal trzydziestu lat ta zniechęcona twarz pojawiała mu się przed oczami.

Z papierosem w ręku wszedł do auta i cofnął. Spod maski rozległ się rozpaczliwy pisk. Pasek klinowy od dawna nadawał się do wymiany. Ale to musiało poczekać. Miał teraz ważniejsze sprawy na głowie.

Ulica świeciła pustkami. Można było przycisnąć gaz i pomknąć przed siebie. W tartaku znalazłby się w kilka minut. Ale teraz musiał uważać. Nie mógł pozwolić sobie na żadne wpadki. Za bardzo go ostatnio poniosło. Działał impulsywnie. Inaczej, niż sobie zaplanował, zdecydowanie inaczej. Skorzystał z okazji. I tyle. W przeciwnym razie nigdy by sobie tego nie wybaczył. Nie był w końcu mięczakiem. Był cholernym twardzielem. Drwalem, myśliwym, prawdziwym mężczyzną.

Wszystko dokładnie przemyślał. Pojedzie do Gdańska i tam wrzuci kopertę do skrzynki. Wprawdzie list będzie szedł ze dwa dni, ale to lepsze niż nadanie go z Kartuz, gdzie ktoś mógłby go skojarzyć. Myślał też o tym, by zostawić go Sarman pod furtką, ale to też byłoby ryzykowne. Ewentualnie mógłby włożyć tę zeszłoroczną halloweenową maskę, ale wtedy od razu wyglądałby podejrzanie. A przecież policja mogła obserwować dom. Kto tam ich wiedział.

Podjechał pod tartak i wysiadł z auta z pękiem kluczy w ręku. Lampa podświetlająca dziedziniec raptownie zamigłała i zgasła. Zaklął pod nosem, podświetlił zamek telefonem i otworzył drzwi. Przesunął włącznik światła. Górne reflektory zapaliły się kaskadowo z cichym brzdęknięciem. Po schodkach wszedł na rampę. Zdziwiło go skrzypienie konstrukcji, zagłuszane na co dzień przez hałasujące maszyny.

Wszedł do biura. Łby wiszących na ścianie zwierząt wydały mu się większe niż w świetle dnia. Uśmiechnął się zadowolony. Jego zdobycze. Jego trofea. To on odbierał życie. To on miał władzę.

Założył lateksowe rękawiczki i sięgnął do szuflady biurka. Wyciągnął list i wsunął go do tylnej kieszeni bojówek.

Zamknął biuro na klucz, zszedł po rampie na parter i wyłączył światła. Podświetlając zamek telefonem, zablokował drzwi do tartaku i ruszył w stronę auta.

I wtedy z ciemności wynurzyła się pięść, która trafiła go centralnie w nos.

Arkadiusz Filipiak upadł na ziemię.

– Gdzie nasza kasa, cwelu? – usłyszał.

Zanim zdążył odpowiedzieć, poczuł kolejne ciosy.

1976

1

Andżelika Burchardt szczelnie nakryła się kołdrą. Wystawały tylko mały nosek i duże czarne oczy. Julita już się szykowała. Podśpiewywała pod nosem, szukając w szafie „czegoś schludnego” do ubrania. Mama zawsze kazała ubierać im się na próby „schludnie”. Andżelika nie do końca wiedziała, jakie znaczenie ma to słowo. Dla pewności zawsze wkładała rajstopy, granatową sukienkę i biały sweter. Tak jak chodziła do szkoły na galowo.

Dziewczynka obserwowała siostrę, która energicznie kręciła się po pokoju, nie mogąc doczekać się występu. Julita lubiła być w centrum uwagi. Miała piękny głos i ładnie tańczyła. Andżelikę natomiast paraliżował wstyd. Przerazało ją niemal wszystko, a najbardziej ludzie. Wśród obcych czuła się nieswojo. Oblewał ją pot, szumiało w uszach i zawsze marzyła, by znaleźć się z powrotem w swoim pokoju. Leżeć na łóżku z Julitą i czuć się bezpiecznie. Z nikim nie czuła się tak dobrze, jak z siostrą.

Żałowała, że dała się namówić na ten chór. Żałowała, że Julita w ogóle zauważyła to ogłoszenie. Gdyby nie to, wszystko byłoby jak dawniej. One dwie, ich wspólne zabawy i chichranki. A tak Julita się oddaliła. Ciągle tylko mówiła: „a na próbie to”, „a organista pochwalił mój głos”, „a w niedzielę wielki występ”. Andżelika nie chciała o tym słuchać. Wołałaby, żeby chór zniknął. Żeby wszystko wokół zniknęło. I zostały tylko Julita i ona.

Siostra szykowała się do wyjścia. Włożyła dzinsy z rozszerzającymi się u dołu nogawkami i szary golf.

– Czy dzwony są schludne? – spytała Andżelika.

Julita zrobiła strapioną minę.

– Myślisz, że nie?

– Nie wiem. – Andżelika wzruszyła ramionami.

– Myślisz, że źle wyglądam? Bo nie chcę znowu dostać w tyłek – jęknęła Julita.

– Co to znaczy schludnie? – Cienki głos Andżeliki dochodził spod naciągniętej do połowy twarzy kołdry.

- No, tak żeby nie obrażać Pana Boga – odpowiedziała Julita.
- Aha.
- Myślisz, że Bóg się obrazi, jak zobaczy mnie w dzwonach? Może Bóg nie lubi mody? – Julita parsknęła śmiechem.
- Nie bluźnij! – automatycznie powiedziała Andżelika.
Julita skoczyła na łóżko i zaczęła ściągać z siostry kołdrę.
- Atak gilgotników!
- Neeeeee! – krzyczała Andżelika, zanosząc się śmiechem.
- Czemu nie chcesz iść do kościoła? – zapytała Julita, opadając na poduszkę.
Mała zwinęła się w kłębek.
- Bo nie – szepnęła.
- To przez to, co powiedziałaś rodzicom?
- Słyszałaś?
- No.
- Julita podniosła nogi i starała się zrobić świecę.
- Wierzysz mi? – spytała Andżelika, a jej usta ułożyły się w podkówkę.
Julita wyciągnęła nogi do sufitu i podparła biodra rękoma. Złapała pion.
- Może coś ci się wydawało – sapnęła.
- Nie! – Andżelika podniosła głos i odwróciła się plecami do siostry.
- W kościele nie ma żadnego upiora. – Julita skończyła ćwiczenia i położyła się na boku.
- A właśnie, że jest!
- Niby gdzie?
- W zakrystii był. A potem poszliśmy gdzieś indziej.
- I jak wyglądał?
- Normalnie, jak ludź.
- Nie mówi się ludź, tylko człowiek.
Andżelika wzruszyła ramionami.
- I co ci zrobił?
- Bawił się ze mną. Tak dziwnie... – cicho powiedziała dziewczynka.
- Ale w co?
Andżelika znów wzruszyła ramionami. Sama nie była pewna.
- O matko! Muszę lecieć, bo się spóźnię. – Julita wyskoczyła z łóżka. –
Idziesz?
- Przecież jestem chora!
- Nie jesteś!

– Jestem! Właśnie, że jestem! Nawet mama tak mówiła – krzyknęła Andżelika.

– Powiem księdzu, że udajesz – zagroziła Julita.

– Nie powiesz! – zerwała się Andżelika. – Przysięgnij, że nie powiesz!

– Dobra, dobra. Idę. Paaaa!

– Julita! – krzyknęła jeszcze Andżelika.

– No? – Siostra się cofnęła.

Mała niezgrabnym gestem posłała jej całusa.

Julita pomachała i wybiegła z pokoju. Andżelika znów naciągnęła kołdrę pod brodę. Została sama. Mama poszła na zebranie rady, tata miał wrócić dopiero za godzinę. Dziewczynka jeszcze nigdy nie była w domu zupełnie sama, jak już, to zostawała z Julitą. Przekręciła się na jeden bok, na drugi. Usiadła na łóżku.

Wokół panowała cisza. Coś stuknęło na dole, zaskrzypiały stare deski. Andżelika pomyślała o morze i zaczęła czuć strach. „Mora dusi tylko nocą. Teraz śpi” – próbowała się uspokoić, ale czuła coraz większy niepokój.

Przynajmniej była w domu, w swoim pokoju. Co z tego, że sama? Teraz nikt nie miał do niej dostępu.

Andżelika położyła się na plecach i patrzyła w sufit. Przed oczami stanął jej tamten mężczyzna.

Na początku był miły. Czasami przychodził do zakrystii i patrzył, jak stempluje obrazki. Chwalił, że dobrze sobie radzi, i częstował zagranicznymi cukierkami. Któregoś dnia nachylił się nad nią i przyglądał się z bliska jej pracy. Powiedział, że tak ładnie stempluje, że zasługuje na więcej cukierków, które miał w domu, więc Andżelika z nim poszła. Niedaleko. I tam zaproponował jej zabawę.

Andżelika zacisnęła oczy.

Najpierw było śmiesznie. Trochę jak z Julitą, gdy ta ją straszyla. Ale potem dziewczynka naprawdę zaczęła się bać. Kaszubski upiór nie chciał puścić. Czuła na nogach jego dotyk.

Dziewczynka zerwała się z łóżka. Rozejrzała się po pokoju. Zatrzymała wzrok na sekretarzyku. W zamykanej na klucz szafce znajdowały się lekarstwa. W foliowej przezroczystej siatce walały się różne stare fiołki, syropy i tabletki. Andżelika wykradła kiedyś stamtąd chlorchinaldin. Lubiła jego smak. Schowała się za szafą i zjadła całe opakowanie. Jak mama się zorientowała, dziewczynka dostała solidne lanie, ale i tak nie żałowała. Tabletki były słodkie i pyszne. I wcale nie bolał jej potem brzuch, jak przewidywała Julita.

Andżelika przystawiła taboret do sekretarzyka i wspięła się na niego. Usiadła na górze, przekreśliła kluczyk i otworzyła szafkę. Wyjęła woreczek i wysypała jego zawartość na półkę. Jej uwagę przyciągnęły dwa listki z różowymi tabletkami. Pomyślała, że na pewno są równie smaczne jak chlorchinaldin. Może truskawkowe?

Julita opowiadała jej o takiej znanej aktorce z Ameryki. Melin Mono. Andżelika nie potrafiła dobrze wymówić jej imienia i nazwiska, i strasznie się wtedy śmiały. Kiedyś widziały z nią jeden film. Grała tam polską piosenkarkę, która marzy o tym, żeby wyjść za mąż za milionera. Fajny był. I ta aktorka była nieszczęśliwa, i zjadła dużo tabletek. Julita powiedziała, że poszła do nieba.

Andżelika też chciała iść do nieba. Może wtedy nie będzie musiała się bawić z tamtym mężczyzną.

Dziewczynka zabrała opakowanie i zeskoczyła na dół. Usiadła znowu na łóżku. Wzięła różową tabletkę do ust i próbowała ssać. Na początku nie miała smaku, ale potem zrobiła się gorzka. Andżelika się skrzywiła i popiła oranżadą z foliowego woreczka. Jednak nic się nie stało. Niebo nadal było daleko.

Wyjęła z listka kolejną tabletkę i połknęła. Popiła i wzięła następną. Andżelika umiała połykać tabletki. Julita nie potrafiła. Żeby przełknąć, musiała zagryzać chlebem. Przynajmniej w tym Andżelika była lepsza od siostry.

Nadal nic nie czuła. Sięgnęła po drugi listek.

Położyła się na plecach i patrzyła w sufit. Kontury pochylającej się nad nią twarzy zaczęły się w końcu rozmywać.

2

Julita miała ochotę pokazać mu język. Powstrzymała się w ostatniej chwili. Matka na pewno nie pochwaliłaby takiego zachowania. Dziewczynka zmrużyła oczy i odprowadziła chłopca wzrokiem. „Na bank dostanie te cuksy z zagranicy” – przemknęło jej przez głowę. E tam, ale ominie go próba. I dobrze, Julita nie będzie przynajmniej musiała z nim konkurować. Musiała przyznać, że chłopak dość dobrze śpiewał. Organista często go chwalił. Nie tak często jak ją, ale zawsze.

Chociaż do Bożego Narodzenia zostały jeszcze dwa miesiące, już zaczęli ćwiczyć świąteczne pieśni. Julita nie mogła doczekać się pasterki. Po raz pierwszy w życiu miała iść do kościoła w nocy i była mocno

podekscytowana. Przyjdzie dużo ludzi, a oni nie będą tym razem stać na piętze. Mieli występować tuż przy ołtarzu. Wiele par oczu skieruje się właśnie na nią.

Po raz kolejny powtarzali *Bóg się rodzi*. Większość dzieci nie mogła zapamiętać słów. Ciągłe się myliły. Julita opanowała tekst już dawno. Jak tylko organista Filipiak zapowiedział bożonarodzeniowy repertuar.

Dziewczynka zaczęła przestępować z nogi na nogę. Coraz bardziej chciało jej się siusiu. Próbowwała wytrzymać, ale nacisk na pęcherz był silny. Tylko tego brakowało, żeby zsikała się w majtki. Jeszcze matka zakazałaby jej śpiewać. Do tego nie mogła dopuścić. Podniosła rękę. Filipiak spojrzął na nią spode łba. Jego twarz zawsze trochę ją przerażała. Podobno jego ojciec był grabarzem, co znaczyło, że zakopywał trupy. Julia wzdrygnęła się na tę myśl i powiedziała: „Muszę siku”. Wszystkie dzieci zaczęły się śmiać. Julita oblała się rumieńcem. Mogła wcześniej przemyśleć swoją wypowiedź. „Czy mogłabym pójść do toalety” – tak uczyła ją matka. Julita miała nadzieję, że nikt na nią nie naskarzy.

Szybko zbiegła na dół, przeszła przez nawę, uklękła przed ołtarzem i weszła do zakrystii. Skorzystała z toalety i już chciała biec z powrotem, gdy zdała sobie sprawę z tego, że w pomieszczeniu nikogo nie było. Spojrzała na boczne drzwi. Nigdy tam nie zaglądała.

„Może uda mi się wyłudzić tego zagranicznego cuksa? – pomyślała. – Powiem, że to dla chorej Andżeliki”.

Cichutko uchyliła drzwi. Natknęła się na kotarę. Powolutku ją rozsunęła.

W pokoju panował półmrok. W rogu paliła się jedynie lampka z czerwonym abażurem. Chłopiec opierał się o stół. Był odwrócony tyłem. Widziała tylko jego patykowate blade kostki, bo resztę zasłaniał ubrany na czarno mężczyzna. „Uuuu” – usłyszała ciche wycie. Andżelika miała rację. Ktoś w zakrystii udawał upiora.

Julita zasłoniła kotarę i zamknęła za sobą drzwi. Serce wyrywało jej się z piersi.

Na paluszkach przeszła przez kościół. Wróciła na balkon. Stała na swoim miejscu. „A Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami” – zaśpiewała wraz z pozostałymi dziećmi. Niecierpliwie czekała do końca próby i popędziła przez kałuże do domu.

Jeszcze nigdy tak szybko nie biegła. Chciała powiedzieć Andżelice, że jej wierzy. Nie dziwiła się, że siostra nie chciała chodzić więcej do zakrystii. Mała nie lubiła się bać.

Otworzyła drzwi. Spojrzała na podłogę w korytarzu. Rodziców jeszcze nie było. Buty matki i ojca nie stały na półce. Szybko ściągnęła kalosze i ustawiła je równiutko na podłodze. Odwiesiła płaszcz i wygładziła ręką – żeby mama się nie czepiała, że zajmuje za dużo miejsca. Wbiegła po schodach i weszła do pokoju siostry.

Andżelika leżała na łóżku z zamkniętymi oczami. Faktycznie musiała się źle czuć. Julita przyjrzała się jej twarzy – wyglądała jak aniołek.

Dziewczynka cichutko wycofała się z pokoju. „Niech mała jeszcze odpocznie” – pomyślała.

2014

1

Leopold Bilski wysiadł z windy. Ostre światło szpitalnego korytarza przywaliło mu w zaspane oczy. Była czwarta nad ranem.

Na spotkanie wyszedł mu policjant dyżurujący, Antoni Konarski, który prowadząc go przez hol, zaczął od razu relacjonować:

– Arkadiusz Filipiak. Ostro go pobili. Znalazł go cieć pod tartakiem. Nie wiadomo, jak długo tam leżał.

– W jakim jest stanie?

– Złamanie kości nosa, liczne stłuczenia.

– Przytomny?

– Właśnie odzyskał przytomność.

– Mówić może? – Policjant wzruszył ramionami. – Ktoś już u niego był?

– Nie. Czekamy na adwokata.

– Pokaż. – Bilski wyciągnął dłoń.

Policjant podał mu przezroczystą torebkę na dowody. W środku znajdowała się kartka z tekstem z powycinanych z gazety i przyklejonych koślawo liter. „Mam Piotrka. Trzysta tysięcy. Środa o 16 pod Młyńskim Wiaduktem”.

– Młyński Wiadukt? – Leopold zerknął na aspiranta. – Gdzie to?

– Koło Rozłazina, taka kaszubska wioska.

– Idę z nim pogadać.

Konarski chwycił Bilskiego za rękaw.

– Dobrze pan wie, że przesłuchanie osoby faktycznie podejrzanej jako świadka, zanim zostaną jej postawione zarzuty, jest niedozwolone – wyrecytował.

– Konarski, tak? – upewnił się Leopold. – Masz dzieci?

– Nie – odpowiedział aspirant.

– Nie masz. Ale sumienie chyba masz, co?

– Prokuratorze, obowiązują nas procedury – odpowiedział Konarski, ale Bilski szybko mu przerwał.

– Chcesz mieć na sumieniu tego dzieciaka? Słyszałeś, co się stało z tą trzynastoletnią dziewczynką, czy mam ci opowiedzieć?

Konarski przystanął z niepewną miną. Odwrócił głowę, szukając kogoś wzrokiem.

Leopold zauważył stojącego z boku Zdzisława Mączyńskiego, który przysłuchiwał się ich rozmowie. Komendant skinął głową, ale Konarski jeszcze próbował przekonać Bilskiego:

– Rozumie pan jednak, że cokolwiek teraz Filipiak powie, nie będzie mogło zostać wykorzystane jako materiał obciążający? Może warto jednak poczekać, bo...

Prokurator już nie słuchał i zdecydowanym krokiem wszedł do sali Filipiaka.

Arkadiusz Filipiak wyglądał jak kupa nieszczęścia. Podbite oczy. Na nosie biały opatrunek. Pod klatką piersiową pas usztywniający żebra.

– Słyszałem, że lubisz wyklejanki – zagaił Bilski, z piskiem przysuwając do łóżka chorego obrotowe krzeselko.

Filipiak patrzył przed siebie.

– To lubisz czy nie lubisz? Trzeba się było napracować, by tyle literek wyciąć, nie?

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł słabo Filipiak.

– O takim ładnym liściku, który pielęgniarka znalazła w twojej kieszeni. O chłopcu i Młyńskim Wiadukcie. Coś ci świta?

– Nie.

– Nie? To skąd to się wzięło u ciebie w kieszeni, co?

– Musieli mi podrzucić. Ci, co mnie pobili.

– Klej też ci do biurka podrzucili? I pocięte gazety do szuflady też? – Arkadiusz Filipiak drgnął. – Tak się składa, że gdy tylko usłyszałem o liście z żądaniem okupu, wystawiłem nakaz przeszukania twojego mieszkania i tartaku. Moi ludzie już tam byli. Długo nie musieli szukać. Głupio żeś zrobił, że nie schowałeś dowodów, co? Musisz sobie w brodeń pluć, nie?

Filipiak wciąż nieruchomo patrzył przed siebie, ale Leopold zauważył, że cały się spiął.

– Lubisz polować? – Bilski zmienił temat. – Słyszałem, że masz niezłą galeryjkę tam u siebie w tartaku. Łby dzików, saren, jeleni. Wiesz, że głowę trzynastoletniej Amelii Stępień ucięto piłką do metalu? Podobno takiej używacie, żeby odseparować zwierzęce głowy od reszty ciała.

Filipiak po raz pierwszy zerknął na prokuratora. W jego oczach można było wyczytać strach.

– Pojechało cię! – uniósł się. – Co ty mi tu, kurwa, opowiadasz?! Ja z tym nie mam nic wspólnego. Ani z jednym, ani z drugim.

– Fakty mówią same za siebie.

– Jakie znowu fakty?

– Miałeś motyw, żeby porwać Piotrusia. Każdy wie, że winisz Julię Sarman za to, co stało się z twoją twarzą. Porwanie miało być zemstą, a żądanie okupu zadośćuczynieniem. Znaleziony list potwierdza linię oskarżenia, a przede wszystkim stanowi niepodważalny dowód materialny. Za uprowadzenie małoletniego grozi od trzech miesięcy do pięciu lat. Sędzia na pewno weźmie pod uwagę fakt, że to matka porwanego dorobiła ci taką szpetną buźkę, więc będzie to okoliczność łagodząca. Myślę, że dostaniesz trzy lata, po dwóch wyjdiesz za dobre sprawowanie. Brzmi nieźle, co? Oczywiście ta szczęśliwa wersja będzie ciebie dotyczyć tylko wtedy, gdy wskażesz, gdzie przetrzymujesz chłopca, i odnajdziemy go całego i zdrowego.

– Wal się – wycedził przez zęby Filipiak.

– Arek, po prostu powiedz, gdzie jest Piotrek, i gwarantuję ci, że odetniesz sobie połowę problemów.

– Nie wiem, gdzie on jest, kurwa! Nie wiem!

– No dobrze, jeśli ta wersja cię nie interesuje, to powiem ci, jak zrobimy. – Filipiak zawiesił na Bilskim oczekujące spojrzenie. – Udowodnimy ci morderstwo trzynastoletniej dziewczynki, bo jeśli porwałś Piotrusia, to zapewne również nie miałeś problemu z porwaniem małej. Zabiłeś ją, przewiozłeś do lasu i uciąłeś jej głowę, tylko po to, żeby zrealizować swoje chore fantazje. Zgaduję, że to samo chciałeś zrobić z Piotrusiem po wydębieniu kasy od matki.

Właściciel tartaku zaczął ciężko oddychać. Chciał się zerwać z łóżka, ale natychmiast opadł z powrotem. Zawył z bólu i zaczął płakać.

– Posadzą cię na dożywocie. A wiesz, co robią w pierdlu z mordercami dzieci? Uuuu, nie zazdroszczę – cmoknął Leopold.

– Nie mam z tym nic wspólnego. – W głosie Filipiaka pobrzmiwała wrogość.

Bilski wstał z krzesła i nim właściciel tartaku zdążył zareagować, ścisnął opatrunek na złamanym nosie. Przytrzymał.

Filipiak zaczął krzyczeć, starając się odepchnąć prokuratora, lecz ten nie puszczał.

– No to jak to jest, Arek, bo ja już się zgubiłem – powiedział spokojnie i jeszcze mocniej przycisnął usztywnienie.

– Ja tylko chciałem wydębić kasę. Długi mam, możesz sprawdzić. – Filipiak płakał z bólu. – Trafiła się okazja, żeby pocisnąć Julię, jak już wróciła taka ważna i bogata. Ot, i cała historia.

Leopold puścił nos, ale ciągle stał nachylony nad Filipiakiem.

– Arek, weź nie ściemniaj. – Prokurator pokręcił głową, wycofał się do okna i dodał: – Jak jesteś taka miękka faja, to w pierdlu zajadą cię w tydzień.

– Sam jesteś miękka faja! – warknął Filipiak i zmierzył Bilskiego nienawistnym spojrzeniem.

Do sali zajrzał Konarski.

– Papuga dotarł.

– Ja już skończyłem – odparł Leopold i skierował się do drzwi. – A ty się decyduj – zwrócił się jeszcze do Filipiaka – bo moja oferta jest ważna tylko do południa.

2

Leopoldowi śnił się ojciec. Miłosz Bilski systematycznie przesuwał się przy ścianie. Krok za krokiem, spokojnie, bezszelestnie. Było słycać jakieś głosy, ktoś rozmawiał, ktoś się śmiał, stuknęło szkło.

Kierował piolet ku podłodze. Był gotowy, by użyć go w każdym momencie.

Dźwięki nagle ucichły, trzasnęły drzwi. Zatrzymał się i wyteżył słuch. Nic. Wszystko wokół milczało.

Znów ruszył do przodu, doszedł do krańca korytarza, który nagle skręcał. Przycisnął plecy do ściany, chwilę głęboko oddychał. Następnie przyłożył broń do policzka i wyszedł zza muru, celując przed siebie z pistoletu.

Na korytarzu, plecami do niego, stało dziecko. Policjant powoli opuścił broń. Rozpoznawał ciemne włoski za ucho, zgarbione plecy, szarą bluzę z pewexu, którą za dolary kupiła Aleksandra.

– Leoś – szepnął. – Synku.

Leopold odwrócił się do mężczyzny uśmiechnięty. W rękach trzymał pistolet. Wymierzył, a korytarz wypełnił się znaną melodyjką.

Prokurator znał tę melodyjkę. Wiedział, że coś oznaczała. Wybudził się w jednej chwili, przekręcił się z brzucha na plecy i sięgnął po komórkę.

– Technicy zbadali ślad koła – usłyszał głos Anny Górskiej w słuchawce.

– I? – wykrztusił Bilski.

– Miałeś rację. To ślad koła lanego, o nieregularnej linii. Idealnie odpowiada kołu od wózka myśliwskiego.

– Dobrze, mamy konkret.

– A Grzymała ma wyniki sekcji – dodała asesor. – Zaraz jadę na Dębinki.

– Jadę z tobą – odparł Leopold.

Starał się oprzytomnieć, jednak nie potrafił pozbyć się z głowy sceny ze snu. Raz po raz przed oczyma stawał mu obraz ciemnego korytarza, w którym stał, trzymając w ręku wycelowany w ojca pistolet.

Po nocnej wizycie w szpitalu przespał się raptem dwie godziny. Ze zmęczenia mąciło mu się w głowie.

Gdy dojechali do Gdańska, dochodziła ósma. Do zielonego modernistycznego budynku spieszyli pracownicy. Naprzeciw wyszedł im Grzymała.

– Witam. – Po kolei podał im dłoń. – Mam wyniki laboratoryjne. Sam nie miałem jeszcze możliwości się z nimi zapoznać. Zapraszam.

Wskazał im przeszklone drzwi.

Grzymała zalogował się na komputerze, przeleciał wzrokiem po ekranie, mruknął coś niezrozumiale i wcisnął guzik drukowania. Następnie rozdał kopie prokuratorom i zaczął:

– Ilość potasu w ciele szklistym oka i cytometria potwierdziły ustaloną na podstawie znamion śmierci datę zgonu. Dziewczynka umarła około dwudziestej drugiej w niedzielę trzydziestego pierwszego sierpnia. Bezpośrednią przyczyną śmierci była iniekcja *etorphine hydrochloride*, inaczej etorfiny, organicznego związku chemicznego, fenantrenowej pochodnej opium o budowie zbliżonej do tebainy. To półsyntetyczny lek przeciwbólowy, w zależności od stopnia nasycenia roztworu tysiąc do osiemdziesięciu tysięcy razy silniejszy od morfiny. Ta sama substancja wykryta została również w płucach, co oznacza, że sprawca mógł najpierw natychmiastowo uspić dziecko, podając truciznę w sposób wziewny, następnie zaś wykonać śmiertelny zastrzyk. W mojej opinii tak zadana śmierć była bezbolesna.

– Gdzie ten środek może być dostępny? W szpitalach, placówkach medycznych? Bo chyba nie w aptekach? – zastanowił się Bilski.

– O nie! – zaprzeczył Grzymała. – Etorfina nie ma zastosowania w medycynie. Jest tak silna, że nawet najmniejsza ilość mogłaby wywołać depresję oddechową. Tym samym jej właściwe dawkowanie byłoby bardzo trudne. Natomiast z tego co wiem, jest używana przez weterynarzy do usypiania dużych ssaków, takich jak słonie, konie czy bydło.

– Czyli dostęp do niej mają tylko weterynarze, pracownicy ogrodów zoologicznych, pewnie inspektoraty weterynarii? – wyliczała Anna.

– Niekoniecznie. Na czarnym rynku można teraz kupić wszystko. Co więcej, etorfina pojawia się też w dopalaczach, choć nie w takich dawkach. Mieliśmy już takich denatów na stole. – Biegły pokręcił głową.

– No dobrze, czyli trzeba zbadać czarny rynek pod tym kątem. Na pewno Pająk i Kita mają jakieś doświadczenie. – Leopold spojrzał porozumiewawczo na Anię.

– Zajmiemy się tym – odparła i zwróciła się do lekarza medycyny sądowej: – Jakies ślady na ubraniach czy ciele ofiary?

– Odnaleziono zanieczyszczenia pochodzenia obcego, w tym ziemię i ciała obce, które pochodziły jednak z miejsca znalezienia zwłok. Nie odnotowano żadnych zanieczyszczeń powłok skórnych pochodzenia biologicznego, w tym śliny czy krwi osób trzecich. Nie wykryto też śladów spermy. Brak otarć w miejscach intymnych sugerujących dokonanie na nieletniej czynności seksualnej, choć dziewczynka nie była dziewicą. – Grzymała znacząco zerknął na prokuratorów, po czym kontynuował: – Wydaje się, że przed przeniesieniem z miejsca zbrodni na miejsce odnalezienia zwłoki zostały gruntownie obmyte. Daktyloskopia nie wykazała na nich żadnych odcisków palców, można zatem stwierdzić, że prawdopodobnie sprawca działał w rękawiczkach i dochował wszelkiej staranności, by nie pozostawić po sobie śladów.

– Czyli nie mamy nic nowego – podsumował Leopold.

– Nie do końca. – Biegły uniósł palec. – Zdołano pobrać ślad nietypowego materiału z miejsca skaleczenia powstałego na prawej kostce bocznej w związku z założeniem na nią jakiegoś zacisku. Ręce zgodnie z analizą zostały skrupowane zwykłym sznurem, natomiast na nogę założono pewnego rodzaju obrożę wyprodukowaną z twardego, niezwykle lekkiego i jednocześnie elastycznego tworzywa sztucznego, zawierającego w swoim składzie między innymi specyficzne rodzaje metalu i polimeru. Bez wdawania się w zbędne dywagacje, podobnego materiału używa się w branży zajmującej się lotami kosmicznymi.

– Lotami kosmicznymi? – zdziwiła się Anna. – Co to oznacza?

– To, proszę państwa, oznacza, że morderca popełnił błąd. – Grzymała uśmiechnął się szeroko.

Waldemar Żaczek od samego rana przeszukiwał Krajowy System Informacji Policji, ale choć bardzo się starał, nie znalazł w Kartuzach żadnych podejrzanych zgłoszeń wprowadzonych do systemu; nic, co mogłoby mieć związek z uprowadzeniami dzieci, pedofilią czy bezczeszczeniem zwłok. W ostatnich dziesięciu latach najczęściej ludzie zgłaszali kradzieże i rozboje. Kilka spraw dotyczyło przemocy domowej. Komisarz odhaczył przypadki znęcania się nad dziećmi, ale wszystko skierowano do PPCR-u. Wrzucił na bęben również Chojnackiego. Sprawdził go pod kątem rejestracji procesowych i nic oprócz kilku mandatów mu nie wyskoczyło, co jednak w ogóle go nie zdziwiło. Właściciel przetwórni właściwie władał miastem. Nikt nie śmiał mu podskoczyć.

Mężczyzna przeciągnął się na fotelu i zerknął na stanowisko Mączyńskiego. Szef od rana nie pojawił się na komendzie, więc komisarz mógł swobodnie pracować. „Ja se poradzę, ale ty będziesz ziemię z rodziną żreć” – słowa komendanta po raz kolejny tego dnia zabrzmiały mu w głowie, ale tym razem nie zrobiły na nim wrażenia. Pieniądze za służbę w policji nie były wcale takie duże. Tyle samo mógł przecież zarobić jako pracownik agencji ochrony. Teraz przynajmniej czuł, że robi coś ważnego, że jego praca coś znaczy. Po raz pierwszy od dawna był z siebie dumny.

Spojrzał na zegarek. Zbliżała się pora obiadowa. Zaburczało mu w brzuchu, bo tego ranka Marlina nie przygotowała mu kanapek. Gdy wyczuła od niego wódkę, wręczyła mu koc i poduszkę, zamykając ostentacyjnie drzwi sypialni. Po drodze kupi jej bukiet kwiatów z Biedronki. Powinno wystarczyć, by mu wybaczyła. Jakby kupił w porządnej kwiaciarni, to zrobiłaby awanturę, że wydaje pieniądze, których nie mają. A tak wilk będzie syty i owca cała. No.

Z takimi myślami Waldemar Żaczek zszedł do podziemi. Otworzył drzwi składnicy akt i ciężko westchnął, mierząc wzrokiem piętrzące się na półkach pudła opatrzone datami. Postanowił zacząć od najstarszych, jednak przeszukanie akt o piętnaście lat wstecz, czego żądał Bilski, wydało mu się przegięciem. Na początek sięgnął więc do dokumentów sprzed dziesięciu lat. Postawił ogromne pudło na ziemi i wyciągnął papiery na stół.

Nie minął kwadrans, nim jedna z teczek skupiła jego zainteresowanie. Znieważenie miejsca pochówku i uszkodzenie mienia; artykuł 263 paragraf 1 Kodeksu karnego. Serii zgłoszeń na przełomie dwa tysiące trzeciego i dwa tysiące czwartego roku dokonał Czesław Filipiak, grabarz

na cmentarzu rzymskokatolickim przy Wzgórzu Wolności. Sprawa została umorzona w związku z niewykryciem sprawcy. Żaczek przeleciał wzrokiem protokół i już miał odłożyć go na kupkę, gdy nagle jego uwagę przyciągnęło jedno słowo. Ponownie wczytał się w zgłoszenie i raptownie wstał.

4

Prokurator Bilski wjechał na Chmiieleńską i przejechał obok jeziora Mielenko. Następnie skręcił ostro w lewo w stronę Promenady Asesora ciągnącej się wzdłuż Jeziora Karczemnego.

Posiadłość Bogdana Chojnackiego wyglądała imponująco. Piętrowy nowoczesny dom z kilkoma skrzydłami pokryty był szarą dachówką. Za płotem minimalistycznego ogrodu ciągnęło się ściernisko. Widok na połyskujące wody jeziora zapierał dech w piersiach.

Leopold wjechał na nieogrodzony podjazd, wysiadł z auta i skierował się do drzwi. Zadzwoił. Po chwili na progu pojawił się starszy mężczyzna. Siwe, ale nadal gęste włosy, koszula z krótkim rękawem, prężna postawa. Podał prokuratorowi rękę i zaprosił do środka.

– Dziękuję, że zgodził się pan spotkać – zaczął Leopold, rozglądając się po pokoju, do którego wprowadził go gospodarz.

Skórzana brązowa kanapa Chesterfield, drewniany stolik kawowy na czarnym sznurkowym dywanie, samotnie stojący w rogu figowiec.

– Nie ma sprawy. Jestem zawsze dla ludzi, jak trzeba. Napije się pan czegoś? Whisky, burbon, brandy? – Wskazał na stojącą na komodzie tacę z kilkoma karafkami z ciętego kryształu wypełnionymi alkoholem.

– Dziękuję, to jeszcze nie moja pora. Zresztą, służba, rozumie pan. – Bilski puścił do biznesmena oko. – Ale proszę się nie krępować.

Chojnacki nalał sobie szklaneczkę i zaproponował:

– Może usiądziemy w ogrodzie? Trzeba korzystać z pogody, póki jest.

Leopold skinął głową i wyszli na taras.

Jezioro ciągnęło się na horyzoncie jak okiem sięgnąć. Ciszę zakłócał jedynie śpiew ptaków.

– Pięknie, prawda? – Chojnacki usadowił się na słomianym fotelu i wskazał miejsce Bilskiemu.

– Pięknie – potwierdził prokurator. – Od dawna pan tu mieszka?

– Będzie kilka lat. Wcześniej miałem dom po drugiej stronie, ale było tam za dużo turystów. A tu, jak pan widzi, zacisze, odpocząć można po

ciężkim dniu pracy.

– Pozazdrościć.

– Ale pewnie nie przyszedł pan, żeby rozmawiać o nieruchomościach. Co więc pana sprowadza?

– Przejął pan po ojcu przetwórnictwo mięsne Dzik. Pomnożył pan odziedziczony majątek, dostarczając mięso do sklepów na całe Pomorze. Jest pan znany w mieście z działalności charytatywnej. Na kościół dużo pan daje, finansuje pan działalność chóru, dofinansowuje inwestycje miejskie, przyznaje dotacje dla różnych fundacji i stowarzyszeń oraz stypendia dla uzdolnionych dzieci. Jednym słowem, dużo pan dla miasta robi.

– Tak, wszystko się zgadza. – Chojnacki się uśmiechnął.

– Widzi pan, panie Bogdanie, jeśli pan tak wszystkim wspiera i wszystkim pomaga, to pomyślałem, że też zapewne pan wiele o wszystkim wie, nieprawdaż?

– Można tak powiedzieć – zastanowił się Chojnacki.

– No właśnie. A o morderstwie dziewczynki pan zapewne słyszał, prawda?

– Oczywiście, oczywiście. Straszna sprawa. Strach pomyśleć, że ten szalenciec nadal chodzi po wolności.

– Dokładnie. Dlatego tu jestem.

Bogdan Chojnacki spojrzał na Bilskiego podejrzliwie.

– Nie rozumiem.

– Bo tak sobie pomyślałem. Kto może być najbardziej pomocny, jak nie osoba, która wie o mieście najwięcej?

– No tak. – Gospodarz znów rozsiadł się wygodnie. – Ale nie mam pojęcia, jak mógłbym panu pomóc. Sam się nad tym wszystkim zastanawiam, moi ludzie nawet pytali tu i tam. I nic konkretnego się nie pojawiło. Słyszałem tylko, że ten Filipiak, ten najmłodszy, pobliźniony, to jakiś list o okup przy sobie miał, jak go do szpitala wzięli. To prawda?

– Nie mogę udzielić panu takich informacji.

– No tak, oczywiście. W każdym razie to raczej jednoznaczny trop.

– Może tak, a może nie.

– To znaczy?

– Że czasami jednoznaczne tropy są najmniej znaczące.

– Ciekawa teoria – powiedział Chojnacki i spojrzał na Leopolda sceptycznie.

– Wie pan, że wielu spośród największych zbrodniarzy wpadło przez drobiazgi? Niezapłacone rachunki za prąd, mandaty za zbyt szybką jazdę,

awarie kanalizacyjne, kropelka spermy – wymieniał Bilski, przyglądając się Chojnackiemu. – No a przede wszystkim poczucie bezkarności. To na pierwszym miejscu.

Bogdan Chojnacki uprzejmie się uśmiechnął i odparł:

– Będę miał to na uwadze. Rozejrzę się, roześlę wici i w razie czego dam znać.

– Świetnie. – Leopold wstał.

Chojnacki poprowadził go przez ogród do wyjścia.

Bilski nagle przystanął.

– Poluje pan? – zapytał, wskazując na oparty o ścianę domu składany wózek myśliwski z uchwytem w barwach moro.

– Ach nie, to syna. Szczerze mówiąc, to gardzę polowaniami.

– Naprawdę? A prowadzi pan przetwórstwo mięsa.

– To biznes odziedziczony po ojcu. Na nim się dorobiliśmy, to fakt. Mnie bardziej interesuje innego rodzaju działalność. Spełniam się przede wszystkim jako filantrop.

– Słyszałem. Jest pan w mieście lubiany.

– Sam też bardzo lubię to miasto. Szwajcaria Kaszubska. Nie ma bardziej malowniczej krainy.

„Malownicza kraina, w której grasuje potwór” – zadumał się Leopold.

Rzucił raz jeszcze okiem na jezioro i wsiadł do auta.

5

– Cieszę się, że pomimo... ehm... okoliczności chciała się pani spotkać. – Szpakowaty mężczyzna w garniturze podał jej dłoń.

Kącik ust drgnął mu w niepewnym uśmiechu. Marian Prądyński przystąpił z nogi na nogę, unikając wzroku Sarman. Był wyraźnie skrępowany.

– Okolica dobra, jak pani widzi, ładna, zadbana, każdy do pani dotrze. Plac Świętego Brunona, ściśle centrum, wszędzie blisko. Chce pani zobaczyć w środku?

Julia Sarman w odpowiedzi kiwnęła głową. Pośrednik nieruchomości wyjął z kieszeni pęk kluczy i wyszukał właściwy. Sprawnym ruchem otworzył lokal użytkowy na parterze.

– Zapraszam. – Przepuścił kobietę w drzwiach.

Pisarka przystanąła przy ścianie. Bezmyślnie wpatrywała się w białe puste ściany. Nie potrafiła się skupić.

– A więc, siedemdziesiąt metrów kwadratowych, tu z boku łazieneczka. Zaraz po prawej dwa małe pokoje, idealne na poszczególne biura. I duża przestrzeń otwarta. – Wskazał ręką. – Można ewentualnie przedzielić biurka jakimiś szybkami czy coś.

Nie wiedziała, po co tu przyszła. Cały ten projekt stracił dla niej sens. „Musisz robić swoje, inaczej zwariujesz” – powtarzał jej psycholog, który nakłonił ją do spotkania z pośrednikiem. Ale ona chciała zwariować. Chciała, by świat przesłał istnieć.

Wyrzała przez odgradzającą wewnątrz od ulicy taflę hartowanego szkła. Chodnikiem szła czteroosobowa rodzina. Ojciec taszczył zakupy. Matka trzymała za rękę trzyletnią na oko córeczkę. Dziewczynka małymi kroczkami drobila przed siebie. Wyglądała jak lalka. Na głowie biała zawiązywana pod szyją czapeczka z postawionym lnianym daszkiem, sukienka w kwiatki, ortopedyczne sandały. Tuż za nimi szedł chłopiec prowadzący na smyczy biszkoptowego golden retrievera. Był mniej więcej w wieku Piotrusia. Może byliby w jednej klasie? Może usiedliby w jednej ławce? Może chłopiec z psem odwiedzałby ich w domu?

Z siatki, którą niosło dziecko, wystawała nasada sporej kości.

„Pewnie zahaczyli o sklep zoologiczny – pomyślała Julia. – Chyba był tu gdzieś kiedyś za rogiem”.

„Dla psów najlepsze są kości z prasowanej skóry wołowej” – usłyszała w głowie głos męża. Kiedy to było? Na jakimś pikniku czytelnicznym. Wiktor rozmawiał z prezesem wydawnictwa, a Julii chciało się śmiać, gdy udawał przed nim, że zna się na psach.

– ...myślę, że to dobra oferta, zważywszy na metraż. Trzeba jedynie trochę odmalować...

Słowa pośrednika padały w jakimś innym wymiarze. Słyszała je jak przez ścianę z grubego szkła. Patrzyła, jak chłopiec przystaje z psem, a ten kuca na płytach chodnika, pozostawiając za sobą ciemną kałużę, która rozlewa się po płytach. Chłopiec pociąga za smycz i biegiem dołącza do rodziny.

– ...może w łazience trzeba byłoby odświeżyć kafle, no ale to już według uznania. Tak że tak. Pewnie chciałyby pani zapytać o cenę?

„Taka zwyczajna rodzina” – pomyślała Julia i wyobraziła sobie ich mieszkanie w którejś z okolicznych kamienic. Może z balkonem, po którego balustradzie pnie się zasadzona przez kobietę róża. Pokoiki dzieci są schludne i porządne. Pies ma legowisko tuż przy drzwiach wejściowych. „Na pewno wrócą teraz do domu i będą przygotowywać obiad. Potem dzieciaki odrobią lekcje, chłopiec wyjdzie z psem na

wieczorny spacer, mama przygotowuje kolację. Gdy zapadnie zmrok, wszyscy zasiądą przed telewizorem i obejrzą program rozrywkowy”.

Ta wizja sprawiła, że żołądek skręcił jej się w supeł.

Normalność. Nie ma w życiu nic lepszego.

– Pani Sarman? Pani Julio?

Kobieta podniosła wzrok i spojrzała pytająco na pośrednika.

– Może jednak spotkamy się kiedy indziej? – Marian Prądyński miał zaniepokojony głos. – Wyraźnie nie jest pani dziś w formie. Może mogę coś dla pani...

– Nie, nie – weszła mu w słowo. – Dziękuję. Lokal mi się podoba. Myślę, że to jest właśnie to, czego szukam. – Sarman wysiliła się na nikły uśmiech i ponownie zwróciła wzrok na szybę.

Chodnik był pusty. Rodzina już dawno zniknęła. W szybie odbijała się samotna sylwetka Julii.

6

– To naprawdę nie ma sensu – uznał Radosław Filipiak, odwracając się do przybyłych mężczyzn.

– Proszę spróbować jeszcze raz – poprosił Leopold Bilski i uparcie wpatrzył się w twarz staruszka, jakby siłą woli mógł go pobudzić do mówienia.

– Tato, słyszysz mnie? – Organista znów nachylił się ku ojcu. – Kiwnij głową, że tak.

Czesław Filipiak bez ruchu patrzył w okno.

– Proszę zapytać o dewastację grobów – podsunął Waldemar Żaczek. – Niech pan spyta, czy kojarzy sprawcę.

Organista spojrzał na komisarza pełen wątpliwości, jednak znów pochylił się nad ojcem.

– Tato, pamiętasz te rozkopywane groby? Wiesz, kto to robił?

Starzec nie reagował. Na jego twarzy nie drgał nawet jeden mięsień.

– Ojciec od dawna nie jest w dobrym stanie. Czasami wydaje się, jakby coś rozumiał, ale moim zdaniem to tylko pozory – powiedział Radosław Filipiak.

– A jakby dać mu długopis i podstawić kartkę. Czy byłby w stanie... – zaczął Żaczek.

– Nie, ręce ma zupełnie sparaliżowane. Czasami tylko kiwa głową albo krzyczy. Ale nic się z tego nie da zrozumieć. Może ja jakoś mogę pomóc?

– Filipiak wskazał Leopoldowi miejsce przy stole.

– Pana ojciec kilkakrotnie zgłaszał na policji sprawę dewastowanych dziecięcych grobów. Do incydentów dochodziło pomiędzy – prokurator zerknął do trzymanego w ręce protokołu – wrześnieniem dwa tysiące trzeciego a lutym dwa tysiące czwartego roku.

– Ojciec o tym wspominał – potwierdził Radosław Filipiak. – Pamiętam, że bardzo się tym denerwowałam.

– Czy ojciec mówił panu o szczegółach? – zapytał Leopold.

– Nie. Ojciec się tylko wściekał, że ktoś rozkopuje groby tuż po pogrzebach. Chodził zestresowany i pamiętam, że się złościł na policję.

– Na policję?

– Jo, że nic nie robią i nie traktują sprawy poważnie. Mówili, że to jakieś dzieciaki się wygłupiają, nie chcieli postawić patrolu.

– Czy wspominał o... czymś szczególnym?

– To znaczy?

– O sposobie potraktowania zwłok.

– Nie przypominam sobie. Ojciec raczej mówił ogólnikami, a ja nie wypytywałam. Szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to obchodziło wtedy. Jednym uchem wpuszczałam, drugim wypuszczałam, wie pan? – Radosław Filipiak uśmiechnął się zawstydzony. – Tak samo mój syn teraz ze mną. Jak coś mu mówię, macha ręką i idzie do siebie. No, tak to już jest, nie?

Bilski i Żaczek uprzejmie się uśmiechnęli.

– W każdym razie ojciec to zawsze był choleryk – ciągnął Filipiak. – I w końcu przez te swoje nerwy udaru dostał. Do grobowca wpadł. W głowę się przy tym uderzył. Znaleźli go nad ranem przysypanego śniegiem. Ledwo go odratowano. Od tej pory to już się nie podniósł.

Wszyscy skupili wzrok na sparaliżowanym starcu.

– Czy mógłby pan nas zostawić samych z ojcem? – zapytał prokurator.

Organista zrobił zdumioną minę.

– Nie sądzę, żeby to coś...

– Bardzo proszę. Żebyśmy mieli podkładkę dla szefa, rozumie pan? – Bilski podniósł ręce w geście kapitulacji.

Radosław Filipiak przez chwilę się wahał, po czym opuścił pokój. Żaczek zamknął za nim drzwi.

Mężczyźni podeszli do wózka i stanęli naprzeciwko starca.

– Czy kojarzy pan sprawcę, który rozkopywał nagrobki i ucinał trupom głowy? – powiedział Żaczek, pochylając się do ucha grabarza. – U-cię-te głó-wy dzie-ci! – przesyłabizował przesadnie głośno.

Prokurator zmierzył go ironicznym wzrokiem.

– No co? – zachnął się Żaczek i wzruszył ramionami.

Leopold przyciągnął krzesło i usiadł naprzeciwko grabarza.

– Panie Czesławie – zaczął. – Składał pan zawiadomienia o rozkopywaniu grobów. Trzykrotnie zgłosił pan, że zmarłym dzieciom obcięto głowy i ułożono pomiędzy ich nogami. Czy domyśla się pan, kto mógł to zrobić?

Prokurator bacznie przyglądał się starcowi. Po chwili wyjął z kieszeni kilka zdjęć. Leżące na polanie ciało dziewczynki ujęte z różnych perspektyw. Powoli przesuwiał je przed oczami Filipiaka. Ostatnia fotografia przedstawiała twarz. Dziewczynka wyglądała, jakby spała. Jednak znajdująca się pomiędzy udami ścięta głowa pozbawiała obserwatora tych złudzeń. Bilski przytrzymał to zdjęcie dłużej przed twarzą starego.

– Czy widział pan sprawcę? Czy wie pan, kto mógł tego dokonać?

Czesław Filipiak mrugnął i Bilski dałby sobie rękę obciąć, że grabarz wyraźnie dostrzegł to, co pokazywał mu prokurator.

– Teraz zaginął chłopczyk. Siedmioletni chłopczyk, który może skończyć tak samo. Proszę dać znać, jeśli widział pan sprawcę.

Leopoldowi wydało się, że mężczyzna lekko przesunął głowę, jakby starał się kiwnąć.

Waldemar Żaczek wstrzymał oddech i patrzył na starca jak zahipnotyzowany. Przez chwilę wierzył, że grabarz nagle się ocknie i wyjawi im prawdę. Ten siedział jednak niewzruszony.

Sledczy wiedzieli już, że tylko zmarnowali czas.

– Dobra, to na nic. – Bilski wstał z krzesła.

Żaczek otworzył drzwi i do pokoju ponownie wszedł Radosław Filipiak.

– Co, ojciec nic nie powiedział? – zapytał zgryźliwie. – Mówiłem, że to na nic.

Na korytarzu zaszurały kapcie i w drzwiach stanął posiniaczony Arkadiusz Filipiak. Opatrunek na złamanym nosie nadawał mu jeszcze bardziej makabryczny wygląd.

– A wy tu znowu węszyć? – spytał poirytowanym głosem.

Nim ktokolwiek zdążył mu odpowiedzieć, rozległ się przeraźliwy krzyk grabarza. Przez twarz starca raz po raz przechodziły spazmy bólu. Obaj funkcjonariusze zastygli, patrząc to na niego, to na Arka. Żaczek podszedł gwałtownie do krzesła Czesława.

– Czy to był Arek? Czy sprawcą jest pana wnuk? – zapytał.

Wpatrywał się intensywnie w starego grabarza, za wszelką cenę próbując wyczytać odpowiedź z jego wykrzywionej w grymasie bólu twarzy.

– Niech się pan odsunie! – Radosław Filipiak krzyknął na Żaczka i podszedł do ojca ze strzykawką w rękę. Schylił się nad starcem i zrobił mu zastrzyk w łydkę. – Proszę stąd wyjść! Natychmiast! – wrzasnął, pokazując śledczym drzwi.

– Chodź. – Bilski pociągnął Żaczka za rękaw.

Jęki grabarza powoli cichły. Gdy funkcjonariusze wychodzili z mieszkania Filipiaków, panował w nim już spokój.

7

Julia Sarman stanęła przed jednorodzinny domem zwieńczonym stromo opadającym dachem. W jego suterenie mieściła się pralnia Czyścik. Wiatr się wzmógł. Las ciągnący się po przeciwnej stronie ulicy zaszumił. Włosy zakryły twarz Julii. Dopiero gdy je odgarniała, poczuła, że są wilgotne od deszczu. Nawet nie zauważyła, że padało. Od kilku dni żyła jakby w innym wymiarze. Miała wrażenie dryfowania w bezkresnej ciemnej przestrzeni pełnej ostrych kantów. Unosiła się w niej jak balon. Wiedziała, że wystarczy jeden nieopatrzny ruch, jedna niebezpieczna myśl, i pęknie. Bardzo się pilnowała, by do tego nie doszło. Trzymała emocje na wodzy. Rozklei się dopiero, gdy znajdzie się jej synek.

Julia dzierżyła w ręku dużą skórzaną torbę. Przed wyjściem wepchnęła do niej pierwszą lepszą garsonkę, jaką znalazła w szafie. Pretekst wydał jej się teraz głupi. Tego właśnie potrzebowała matka, której kilka dni temu zaginęło dziecko – czystej garsonki z grubej dzianiny, którą miała na sobie raz w życiu na jakimś spotkaniu autorskim.

Nie miała pomysłu, jak zacząć rozmowę. Nie mogła przecież tak po prostu spytać Michała, czy pamięta, że jako dziecko był molestowany. Brzmiało jak żart. Bardzo kiepski i zdecydowanie nieśmieszny żart.

– Pani Julia? – Michał Pakosz wchodził właśnie po schodkach prowadzących z suterenu na ulicę.

Julia nie wiedziała, co powiedzieć. Uśmiechnęła się niepewnie, wyjęła z torebki zmiętą garsonkę i wyciągnęła ją w stronę właściciela pralni. Materiał zaczął błyskawicznie nasiąkać wodą. Deszcz z każdą sekundą przybierał na sile.

Pakosz podbiegł do kobiety i poprowadził ją do znajdujących się na prawo od schodków pralni drzwi domu.

– Pralnia już zamknięta, ale proszę, niech pani wejdzie na herbatę. Jeszcze się pani gotowa przeziębici – powiedział.

Dopiero teraz zwróciła uwagę na jego aksamitny baryton, którego nie powstydziliby się najlepszy lektor filmowy.

W środku panował mrok. Mężczyzna zapalił światła. Wstawił wodę w czajniku – zwykłym stalowym, emaliowanym czajniku stawianym na gazie. Julia Sarman już dawno takiego nie widziała. Usiadła przy stole. Rozejrzała się wokół. Kuchnia pamiętała jeszcze lata siedemdziesiąte. Lakierowane szafki, przeszklone drzwiczki, wypielęgnowane pnąca doniczkowe opadające zielonymi warkoczami po bocznej ścianie białej lodówki.

– Cała się pani trzęsie – zatroszczył się Pakosz.

Miał intensywnie niebieskie oczy, niemal identyczne jak pani Elżbieta z Trulôcza. Blond włosy były krótko przycięte, rękawy swetra podciągnięte.

Julia dopiero teraz uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy niewiele różnił się od tamtego chłopca sprzed lat. Urósł. I to bardzo. Musiał mieć jakieś metr dziewięćdziesiąt wzrostu, bo przerastał ją o głowę. Ale jego mimika w ogóle się nie zmieniła. Kobieta nie rozumiała teraz, czemu wtedy tak bardzo irytowała ją jego twarz. Michał miał przyjemne i budzące zaufanie rysy.

– To nic. Trochę zmarzłam – powiedziała pisarka. – Trudno nadążyć za tą zmienną pogodą.

Michał Pakosz postawił przed nią kubek z herbatą. Sam oparł się o blat i patrzył na nią.

– Czyli chciała oddać pani ubranie... – zaczął.

– Możemy skończyć z tą panią? – zaproponowała Julia. – My się przecież znamy.

– Tak, wiem, dopiero gdy usłyszałem nazwisko panięskie, skojarzyłem. Śpiewaliśmy razem w chórze.

– Dokładnie. Tylko wtedy byłeś bardzo drobnym chłopcem i wszyscy mówili na ciebie Michaś.

– A ty miałaś najładniejszy głos ze wszystkich. Pamiętam, że bardzo ci zazdrościłem.

– Stare czasy – westchnęła Julia.

Przed oczami stanęła jej Andżelika. Machała do niej rączką, zanim zniknęła za drzwiami zakrystii.

– Nadal śpiewasz? – spytał Michał.

– Nie. Od dzieciństwa nie śpiewałam.

Stwierdzenie zaskoczyło ją samą. Nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Szkoda. Ja dalej udzielałam się w chórze.

Julia spojrzała na niego. Jego lekko niepewna postawa, jakieś wewnętrzne skulenie sugerowało, że czuł się skrępowany. Choć wyrósł na dużego mężczyznę, pozostał tym samym nieśmiałym chłopcem, jakiego pamiętała z dzieciństwa. Kobieta przypomniała sobie jego wzrok, gdy został wybrany przez organistę do stemplowania. Chyba wtedy po raz pierwszy odważył się spojrzeć jej w oczy.

– Nadal? – Julia udała zdziwienie.

– Tak z doskoku, jak czas pozwoli, ale wciąż ciągnie mnie do muzyki.

– Mnie chór nie kojarzy się zbyt dobrze...

Michał drgnął, ale nie spytał dlaczego. Wyraźnie wyczuwała jego napięcie.

– Wiesz, moja siostra niedługo potem popełniła samobójstwo – powiedziała.

Głos miała opanowany. Nie załamał się nawet na chwilę. Zdanie miękko wypłynęło z jej ust, jakby nadal rozmawiali o pogodzie.

– Tak, pamiętam. To była tragedia. – Michał pokręcił głową i wlepił wzrok w podłogę.

Podkurczył nerwowo palce stopy odzianej w czarną skarpetę, jakby poczuł nagły ból w podeszwie. Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę.

Julia wzięła łyk herbaty. Napar trochę ostygł. Miał teraz idealną temperaturę. Przyjemnie spłynął przez przełyk.

– Czemu wróciłaś? – zapytał nagle Michał.

– Umarł mój mąż – odpowiedziała i uświadomiła sobie, że znów nic nie poczuła. Jakby uodporniła się na wszystkie emocje, które jeszcze tak niedawno nie pozwalały jej oddychać. „Może faktycznie znalazłam się w czyścicu?” – przemknęło jej przez głowę.

– Jak? – Pytanie było proste.

Odpowiedź już mniej:

– Miał wypadek samochodowy. Jechał na konferencję do Waszyngtonu, ale zginął na trasie prowadzącej w zupełnie innym kierunku.

Mężczyzna podniósł pytająco brwi.

– Mój mąż jechał w nieznanym kierunku z kobietą. Zginęli razem.

– Przykro mi. – Michał uśmiechnął się pocieszająco.

Dotąd nie mówiła o tym nikomu. Dalej nie wiedziała, czy bardziej bolała ją śmierć męża, czy to, że jedyna osoba na świecie, której

kiedykolwiek zaufała, tak jak inni okazała się oszustem.

Właściciel Czyścika nadal milczał. Podniósł kącki ust w nikłym współczującym uśmiechu. Pewnie nie wiedział, co powiedzieć. Sama nie wiedziała, jakie słowa mogły być odpowiednie.

– A pamiętasz? – Słowa nadal wypływały z ust Julii gładko. – Organista wysłał cię do zakrystii, żebyś stemplował święte obrazki.

– Poszedłem za twoją siostrę – szepnął Michał.

– Tak. Poszedłeś za Andżelikę – powtórzyła Julia. – Nie żałujesz?

Michał Pakosz wzruszył ramionami.

– Czy ksiądz robił to też innym dzieciom? – zapytała.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł.

Bacznie przyglądał się Julii.

– Myślę, że wiesz. – Julia spojrzała mu w oczy. – On cię skrzywdził.

Michał Pakosz uśmiechnął się krzywo.

– Nie wiesz, o czym mówisz. Tam nie było księdza.

Julia z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Przecież widziałam!

– Tam nie było księdza, rozumiesz? – Michał podniósł głos. – W zakrystii nie było księdza.

– A kto?

– Sponsor chóru. Przychodził tam od czasu do czasu.

– Nie pamiętam go.

– Dziwne. Zresztą nieważne. Nie ma o czym mówić. – Mężczyzna zniecierpliwiony machnął ręką. – Przepraszam, nie mogę ci pomóc.

Wyraźnie czekał, aż Julia wyjdzie.

Kobieta przyjrzała mu się raz jeszcze. Znów przemknął jej przed oczami ten obraz: mały chudy chłopczyk z dumnie podniesioną głową ufnie wkładający rączkę w wyciągniętą dłoń organisty.

Wstała. Powoli podeszła do drzwi. Michał podążał za nią. Na progu wyciągnęła z torby zwiniętą w kłębek fioletową garsonkę. Nie wiedziała po co, ale podała ją mężczyźnie.

8

W Trulôczu było gwarno. Pani Elżbieta krzątała się za barem. Brzdękało radio. Na zewnątrz od godziny nieprzerwanie padało.

– Za sprawą ciepłego powietrza płynącego do nas znad Afryki ubiegły miesiąc był niezwykle parny. Ale jesień zbliża się już wielkimi krokami

i może być zimniejsza niż zwykle! – ogłosił prezenter z ekranu wiszącego na ścianie telewizora. – Nad Morzem Północnym i Norweskim kształtuje się niż niosący ochłodzenie na tej części kontynentu...

Anna Górka ziewnęła i pochyliła się nad talerzem z jajecznicą. Nie miała siły, by jeść. Kawa z mlekiem była natomiast pyszna. Kończyła już drugi kubek.

– Coś kochanieńka dzisiaj bez apetytu. – Pani Elżbieta trzymała w ręku dzbanek z parującym napojem. – Długa noc?

– Można tak powiedzieć – westchnęła Ania.

– Nadal nic? – Właścicielka knajpy pokiwała głową. – Pomyśleć, że taki człowiek gdzieś tu po mieście chodzi! Pani powiem, panika w mieście. Ludzie się boją nosa z domu wychylić po zmroku. Ale chyba macie jakieś tropy, co?

– Naprawdę nie mogę...

– Tak, tak, wiem. Tajemnica zawodowa – dokończyła pani Elżbieta. – Całe życie to słyszałam. No nic. Modlę się, żeby śledztwo ruszyło do przodu. – Kobieta zacisnęła usta i wróciła za kontuar.

W tym momencie odezwał się dzwoneczek nad drzwiami baru, a w progu pojawił się Bilski. Zdjął z głowy mokry kaptur wiatrówki i skierował się do stolika Anny.

– Gdzie chłopaki? – spytał.

– Zaraz będą. Podobno coś mają. A w sprawie Arkadiusza Filipiaka co nowego?

– Jak wiesz, wczoraj wyszedł ze szpitala. Kita i Pająk oficjalnie go przesłuchali. Nadal twierdzi, że chodziło o wyłudzenie. W związku z listem żądania okupu wydałem postanowienie o przedstawieniu zarzutów, ale zrezygnowałem z wniosku o areszt. Jest pod stałą obserwacją. Może gdzieś nas zaprowadzi.

– Ale myślisz, że to fałszywy trop – stwierdziła Ania.

– Myślę, że to nie takie proste.

– Kto normalny pisze list z żądaniem okupu, jeśli nie jest zamieszany w porwanie? To musi być on.

– Może. A może ma jakiegoś współnika. Nie wiem, coś tu nie klika. Rozpytaliśmy wszystkich jego znajomych. Przeszukaliśmy tartak, okolicę, mieszkanie, piwnice we wszystkich blokach na jego osiedlu. Nic.

– Las jest duży.

– Tak. Las jest duży – westchnął Bilski.

„Nic nie wskazywało, że zniknięcie dziewczynki skończy się tak tragicznie. Jakie wrażenie sprawiała Amelia? – reporter telewizyjnego

magazynu *Alert!* wyciągał mikrofon do kobiety stojącej w progu swojego mieszkania. – Fajna dziewczynka była. Grzeczna. Zawsze się witała. – Sąsiadka państwa Stępników otarła łzy. – Boże, taka tragedia. Taka tragedia. Co ci rodzice muszą teraz przeżywać, matko jedyna!”

Goście baru skierowali oczy na ekran, kiwając głowami. Po chwili ich spojrzenie przeniosło się na prokuratorów. Coś zaczęli szeptać między sobą, raz po raz wskazując na funkcjonariuszy.

„Się boimy z domu wychodzić. Niby to w innym mieście się stało, ale nadal, niedaleko. Kto wie, kogo ten potwór teraz wybierze” – chudy mężczyzna w telewizji machnął ręką. Za chwilę na ekranie zastąpił go kolejny sąsiad, który stwierdził: „Na tych rodziców to aż patrzeć się nie da. Takie cierpienie w oczach. Przez chwilę tylko mi mignęli na klatce, ale wystarczyło. Serce pęka”. „Kim jest Potwór z Kartuz?” – zapytał prowadzący, patrząc prosto w kamerę. „Mówi się, że...”

Pani Elżbieta wzięła do ręki pilota i wyłączyła dźwięk.

– I tak powtórka. – Uśmiechnęła się półgębkiem i wyszła na zaplecze.

Przez chwilę panowała cisza. Deszcz uderzał o parapety.

– Co robimy ze sprawą Poznańskiego? – spytała cicho Anna. – Jeśli akta wylądowały w śmietniku, to oprócz Mączyńskiego zamieszany jest w to ktoś z prokuratury.

Leopold rozejrzał się wokół i konspiracyjnie szepnął:

– Sam nie wiem. Przecież nie zadenuncjuję szefa po dwóch tygodniach współpracy.

– Z torbami może pójść cała firma.

– Cała nie cała, ale ktoś będzie musiał za to beknać. – Prokurator wzruszył ramionami. – Już sama bezczynność przy nadaniu biegu zawiadomieniom o przestępstwie to solidna podstawa do dyscyplinarki. A ukrycie trupa dziecka to już sprawa karna. Jak zwęszą to media, rozpęta się piekło. Raczej nie ma się co spieszyć z ujawnianiem tej bomby.

Ania przytaknęła. Znów nastąpiła cisza. W radiu cicho śpiewał Phil Collins. Za oknem siąpił deszcz.

– Ania – zaczął Bilski. – Ja chciałem ci w końcu wyjaśnić, czemu tak wyszło. Czemu wyjechałem.

– Nie. – Górska pokręciła głową.

– Co nie?

– Nic nie mów.

– Ale...

– To już nie ma znaczenia – powiedziała i popatrzyła na ulicę. Po chodniku szła kobieta z czerwoną parasolką. Wiatr okręcił jej wokół kolan czarną spódnicę. Schyliła się, by ją poprawić, po czym szybko przebiegła po pasach. Po chwili dźwięk dzwoneczka nad drzwiami oznajmił, że weszła do baru.

– Pamiętasz ten dzień na plaży w Brzeźnie? – Leopold patrzył przez okno. – Też się tak wtedy rozpadało.

– Yhy – mruknęła Ania.

– Schroniliśmy się w takiej małej knajpce i piliśmy wino. Nie pamiętam nazwy, ale nigdy wcześniej nie piłem lepszego. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. – Głos Bilskiego przybrał czułe tony. Leopold jak zahipnotyzowany patrzył na krople deszczu spływające po szybie.

– The Better Half – powiedziała Ania.

– Co?

– The Better Half – powtórzyła. – Tak się nazywało wino.

– The Better Half... – Leopold uśmiechnął się i po chwili dodał: – Chciałbym, żeby wszystko było tak łatwe jak wtedy.

Anna zmierzyła go surowym wzrokiem.

– Wiesz, na czym polega twój problem? Całe życie za łatwo ci wszystko przychodziło. Raz na twojej drodze pojawiła się przeciwność, a ty się po prostu poddałeś.

– To nie tak... – zaczął Bilski, lecz Ania od razu weszła mu w słowo.

– Myślisz, że mi było łatwo? To mi związano ręce z tyłu. To mnie Skalpel niemal utopił. To moje ciało miało wypłynąć na którejś z trójmiejskich plaż, wystawione na widok publiczny, okaleczone, napuchnięte od wody jak balon. Myślisz, że o tym nie myślałam? Że nie śni mi się to po nocach?! – podniosła głos.

Leopold skinął głową i utkwiał wzrok w jakimś odległym punkcie za oknem.

– Nic, co powiesz, nie sprawi, że poczuję się lepiej – dodała Ania łagodniej. – Dałeś dupy, Leo. Żadne słowa tego nie cofną.

Kolejny brzdęk dzwoneczka znad drzwi wydał im się surrealistyczny. Wesole dzyń dzyń zupełnie nie pasowało ani do ogarniętego szarością miasteczka, ani do ponurego nastroju, jaki ich ogarnął.

– Więc mówię frajerowi: „Mordeczko, ty chyba nie wiesz, do kogo fikasz?”. – Donośny głos Pajaka wypełnił całą restaurację. Czas znów ruszył do przodu. – Ten się na mnie patrzy. Na twarzy zero kumacji, jakby delfin z gorylem go spółdzili. Gęba brzydka. Włosy miał normalnie takie, jakby nimi frytki mieszał. No koszmar, mówię ci. I ten dalej swoje.

Jak odznakę wyjąłem, to zdębiał. Kurwa, zielony jak Święty Patryk się zrobił. Mówię ci!

Pająk i Kita wybuchnęli śmiechem. Rozejrzeli się po sali i zobaczywszy parę prokuratorów, ruszyli do ich stolika.

– No kochani – odezwał się Kita, siadając obok Bilskiego. – Mamy gorące newsy.

Dopiero w tym momencie zauważył miny prokuratorów. – Ktoś znowu umarł? – Policjant zerknął porozumiewawczo na Pająka, który ulokował się na krześle w przejściu.

– Co macie? – zapytał Leopold.

– Byliśmy w Enerdze, w gazowni, a nawet w lokalnej oczyszczalni ścieków – podchwycił Pająk. – Zgadnijcie, kto płaci rachunki Poznańskich?

– Radosław Filipiak – strzelił Bilski.

– No w bingo nie miałbyś szczęścia, ale w Catchy Bouncy zdobyłbyś jakiś punkt.

– Catchy Bouncy? – Kita nie ukrywał sarkastycznego uśmiechu.

– Siostrzenica. Nie pytaj. – Pająk wzruszył ramionami.

– No dobra, do brzegu – ponagliła Ania.

– A więc okazało się, że kasa za sracz Poznańskich idzie z Funduszu Kościelnego.

Leopold wysoko podniósł brwi.

– A raczej z czegoś, co taki fundusz udaje, bo konto jest prywatne, ale działa pod nazwą Fundusz Kościelny. Nie będzie pewnie zaskoczeniem, że zostało otwarte chwilę po tym, jak zniknął mały Adaś.

– Przez kogo?

– Przez Chojnackiego. Rachunki Poznańskich na pełnej lambadzie opłaca nasz drogi filantrop. – Kita uśmiechnął się, moszcząc się na krześle.

– A niech mnie... – Bilski pokręcił głową.

– Ale to nie wszystko. Przycisnęliśmy Irenę Poznańską. Najpierw próbowała ściemniać, ale jak ją postraszyliśmy odpowiednim paragrafem, to szybko pękła. Okazało się, że ten Chojnacki faktycznie Adasia nad wyraz polubił. Więc jak chłopak zniknął, to matka postraszyła biznesmena, że wszystko wyśpiewa glinom. I Chojnacki zapłacił. Dużo. Dom wybudował, do ręki dał i od kilku lat utrzymuje rodzinę. Matka twierdzi, że Chojnacki gdzieś Adasia wywiózł, niby żeby lepiej mu w życiu było, ale to chyba wersja, którą sobie sama codziennie powtarza przed lustrem.

– No dobra – powiedziała Górska. – Bierzemy Chojnackiego do pokoju zwierzeń.

9

Julia Sarman podjechała pod szkołę imienia Świętego Kazimierza. Okazały pruski gmach z początku dwudziestego wieku z przestronnymi oknami, wieżyczką i zegarem wyglądał dostojnie. Choć niewątpliwie wymagał renowacji, był jednym z piękniejszych budynków w Kartuzach, dlatego Julia cieszyła się, że udało się w ostatniej chwili zapisać Piotrusia właśnie tutaj.

Zamknęła drzwi auta i stanęła na placyku przed szkołą. Musiała właśnie odbywać się lekcja, bo nikogo nie było na dziedzińcu, a z wnętrza budynku nie dobiegały krzyki. Jedynie przez otwarte okno dobiegał monotony męski głos. Zapewne nauczyciel dyktował coś uczniom.

W jednej z tych klas siedziałyby teraz Piotruś. Notowałyby coś w zeszycie. Pewnie używałyby tego niebieskiego długopisu z piłką na końcu, który wybrał sobie w papierniczym. Bardzo mu się spodobał.

Julia usiadła na ławce naprzeciwko klasycystycznych portyków, przez które wchodziło się do szkoły. Dochodziła czternasta. W paralelnej rzeczywistości siedziałyby tu i czekała, aż synek skończy lekcje. Niebawem dokładnie tędy Piotrek wybiegłby na dwór i rzuciłby się jej w ramiona. No może nie rzucił, bo krępowałby się przy kolegach tak z nią obściskiwac, ale podbiegłby do niej i może dałby się jej pocałować. Z uśmiechem powiedziałaby „cześć” i byłoby to tak normalne, zupełnie naturalne i oczywiste.

Oddałaby wszystko, by znaleźć się w tym równoległym świecie. Wszystko! Ale nikt nic od niej nie chciał, nikt niczego nie wymagał, nikt nie stawiał warunków. Nikt nie chciał zwrócić jej synka.

Jej ciało przeszło spazm bólu. Jakby rozdrapała otwartą, głęboką ranę. I dobrze. Lubiła, gdy bolało, bo choć na chwilę zapominała o tym okrutnym poczuciu bezsilności, które towarzyszyło jej niemal bez przerwy.

Nie zwróciła uwagi na dzwonek, choć głośnik znajdował się dosłownie kilka metrów od jej ławeczki. Podniosła głowę dopiero wtedy, gdy przez portyki zaczęły wylewać się na dziedziniec dzieci. Młodsze i starsze. Chłopcy i dziewczynki. Jedni biegli, inni szli niespiesznie. Ktoś kogoś popychał, ktoś był popychany. Cicha jeszcze przed chwilą przestrzeń

wypełniła się gwarem dziecięcych głosów. Krzyki, śmiech i pohukiwania sprawiły, że świat stał się namacalny i ostry jak brzytwa.

Mężczyzna w średnim wieku grabił trawnik oddzielający dziedziniec od ulicy. Na głowie szary kaszkiet, drelichowa kurtka. Jego ręce mechanicznie poruszały się w tył i przód, ale oczy wpatrzone były w coś znajdującego się dalej niż oczyszczany z liści kawałek murawy. Julia podążyła wzrokiem za spojrzeniem mężczyzny. Patrzył na chłopca, który smętnie kopał kamień, nie odrywając od niego oczu.

Julia znów zerknęła na mężczyznę. Ten wciąż przyglądał się dziecku, automatycznie wykonując pracę. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, była pozbawiona jakiejkolwiek mimiki.

„A może to on? – pomyślała Sarman. – Może to jest morderca? Może to on zabrał Piotrusia?”. Serce zaczęło jej walić. „To by się zgadzało. Facet pracował jako woźny, by mieć dostęp do dzieci, by swobodnie móc je obserwować”.

Przymrużyła powieki, starając się obiektywnie ocenić mężczyznę. Nie zwracał na siebie specjalnie uwagi; wyglądał nijako, niczym się nie wyróżniał. Dzieci przebiegały obok niego, zupełnie jakby go nie dostrzegały. Nikt nie mówił mu „dzień dobry”, nikt się z nim nie witał. Jakby był powietrzem. Człowiek bez właściwości. Czy był w parku Solidarności tamtego dnia? Czy to dlatego nikt nie zwrócił na niego uwagi?

„Czy to woźny? A może ktoś z zewnątrz i tylko woźnego udaje? Nie wiadomo, czy ten mężczyzna w ogóle tu pracował. Przecież na teren szkoły mógł wejść każdy. Nikt tego nie sprawdzał”. Myśli Sarman galopowały w zawrotnym tempie. Dawno nie myślała tak trzeźwo i racjonalnie, jakby nagle wydostała się z jakiejś oblepiającej ją mazi. Gdyby pracowała nad książką o porwaniu dzieci, na sprawcę wybrałaby przecież właśnie kogoś takiego: bezbarwnego i przeciętnego, prowadzącego pozornie szare życie, za którego fasadą kryłaby się przerażająca otchłań.

Mężczyzna w końcu dojrzał do końca trawnika, mijając chłopca wciąż kopiącego kamień. Zrobił ruch, jakby chciał do niego podejść, ale nagle zrezygnował, zapewne bojąc się, że ktoś to zauważy.

Julia była już pewna, że to właśnie tego faceta poszukuje policja. Siedziała na placyku przed szkołą jeszcze godzinę, obserwując, jak woźny krząta się po dziedzińcu. Wreszcie skończył pracę i wszedł do budynku. Czekala w pełnym napięciu. Gdy w końcu porywacz wyszedł poza teren

szkolny i powolnym krokiem ruszył wzdłuż ulicy 3 Maja, podążyła za nim.

10

Słońce ponownie wyszło zza chmur i rozświetliło pokój. Nagie pośladki kobiety leżącej obok Leopolda przybrały brzoskwiniowy odcień. Mruknęła i odwróciła się na bok. Jej ciało składało się z samych krągłości; brzuch opadał miękko ku prześcieradłu. Ciemne duże obwódki otaczały sterczące sutki.

– Czyli jak, panie prokuratorze? – powiedziała zadziornie. – Nieoficjalnie postępowanie prowadzi do...? – zawiesiła głos w oczekiwaniu.

– Nieoficjalnie nic nie mogę powiedzieć. Podobnie jak oficjalnie – twardo odpowiedział Bilski.

Wstał i owinął się w pasie ręcznikiem. W wiszącym na ścianie małym lusterku zobaczył odbicie swojej twarzy. Poczul do siebie obrzydzenie.

Natalia Rybarczyk podeszła do niego w Trulôczu zaraz po wyjściu Ani i policjantów. Po prostu położyła na jego stoliku czerwoną parasolkę i przysiadła się, jakby byli starymi znajomymi. Leopold był w podłym nastroju. Ale gdy kobieta wyjęła dyktafon i oznajmiła, że może zwracać się do niej Nestle, uśmiechnął się. „Jak czekolada” – dodała z filuternym łypnięciem oka, a on wybuchnął śmiechem. Dawno nie słyszał nic tak absurdalnie komicznego. Kartuska prowincja wydała mu się nagle tak zabawna, że gdy wreszcie skończył rechotać, musiał otrzeć łzy. Pierwszy raz od dawna nie były to łzy rozpaczy.

Dziennikarka lokalnego portalu informacyjnego Iskra okazała się pretensjonalną blondynką. Głośną manieryczną tipsiarą o przyciężkim makijażu. Z drugiej strony wszystko to było w niej tak naturalne, że zgrzeszyłaby, udając kogoś innego. Rozmawiało się z nią lekko. Mówiła z kaszubskim zaśpiewem, co w tamtym momencie wydało się Bilskiemu urocze. Ona zadawała mu pytania o śledztwo, on błyskotliwie je zbywał. Niczym mistrz uniku zacytował w końcu minister Bienkowską: „Sorry, taki mamy klimat”, a Nestle zaczęła konwulsyjnie podskakiwać, jakby usłyszała najśmieszniejszy pod słońcem żart. Jej dorodne piersi zadrżały w skąpym bieliźnianym podkoszulku obszytym koronką. Wreszcie jej noga na długiej szpilce powędrowała pod stołem do jego łydki i przesunęła się zmysłowo w górę i w dół. Leopold był tak zaskoczony, że

aż zachłysnął się kawą. Myślał, że numer ze smyraniem zdarza się jedynie w filmach, ale nie. Natalia Rybarczyk jak prawdziwa Sharon Stone molestowała jego nogę, dając wyraźnie do zrozumienia, że jest silnie zainteresowana ujechaniem czegoś znacznie większego. Nestle była napalona jak piec, faktycznie rozpuszczała się jak czekolada.

Wyszli z Trulôcza jak para nastolatków: zarumienieni, nastawieni na szybkie skonsumowanie zadzierzgniętej właśnie znajomości. Dziennikarka uchachana wsiadła do jego saaba. Auto również zasłużyło na pokaźną porcję komplementów, co Bilskiego miło połechtało. Już na klatce schodowej Rybarczyk solidnie wzięła się do roboty. Przysiadła jak profesjonalistka i dogłębnie zbadała, co też prokurator miał do zaoferowania. W mieszkaniu ich ciuchy spadały na ziemię, znacząc niedługą drogę od drzwi do świeżutkiego materaca (dzięki Bogu za internetowe zakupy z opcją „dostawa do domu”). Nestle wyginała się jak akrobatka, ale tak zręcznie prowadziła grę, że nie pozwoliła mu skończyć, nim sama w spazmach nie padła na prześcieradło. Teraz Leopold nie wiedział, co mu strzeliło do łba, że po godzinie flirtu wylądowali u niego w mieszkaniu. Psychiczne zmęczenie, skrajny stres, seksualna frustracja i obecność dwóch fantastycznie atrakcyjnych kobiet, których nie mógł osiąść z dwóch zupełnie różnych powodów, sprawiły, że wybrał najprostszą z dróg. Przeważył samczy instynkt, który zupełnie zaćmił mu racjonalny ogląd.

Zerknął kątem oka na Nestle. Promienie słońca bezlitośnie wyeksponowały cellulit na jej udach. Spod blond włosów prześwitywały szarawe odrosty. Kobieta wydała mu się też znacznie starsza niż wcześniej. Pod rozmazanym od potu makijażem dostrzegł kilka przebarwień skóry występujących u kobiet, które przesadzają z solarium. „Może to były te dni?” – pomyślał zatrwożony Bilski. Czytał gdzieś, że kobiety wydają się mężczyznom najbardziej atrakcyjne w momencie, gdy istnieje największa szansa na poczęcie potomstwa. W trakcie dni płodnych wydzielają dzikie feromony, wobec których żaden zdrowy samiec nie przejdzie obojętnie. Maszkary zmieniają się na chwile w piękności, a faceci ganiający zazwyczaj za modelkami zostają niespodziewanie ojcami wyjątkowo paskudnych dzieci. O ironio natury!

Skrzywił się na tę myśl i stwierdził, że nie byłoby dla niego większej kary za ten głupi wyskok w chwili zupełnej niepoczytalności.

– Czyli nie macie żadnych tropów, tak? – Głos Nestle przybrał teraz jadowity ton, co zaskoczyło prokuratora. – Znika dwójka dzieci, jedno odnajduje się martwe, a wy jesteście w dupie, co? Czy to nie podpada pod

nienależyte wykonywanie czynności służbowych? – Kobieta wbiła wzrok w Leopolda, starając się sięgnąć do zapięcia stanika.

– Badamy różne opcje – wymijająco powtórzył Leopold.

Marzył, żeby baba w końcu wyszła. Chciał jak najszybciej wskoczyć pod prysznic i zmyć z siebie jej zapach.

– A co powiesz na małą podpowiedź? – Rybarczyk usiadła na krześle i założyła nogę na nogę.

Znów miała na sobie czarny podkoszulek lekko zakrywający pupę, który poprzedniego wieczoru, nie wiedzieć czemu, wydał się Leopoldowi zmysłowy. Teraz ciuch podpadał mu pod zwykłą gdańską gildię. Bilski nie miał pewności, czy dziennikarka zdążyła włożyć majtki, i szczerze mówiąc, bał się spojrzeć w dół. Tym razem do Sharon Stone Nestle było już daleko i ewentualna powtórka numeru z *Nagiego instynktu* mogłaby skończyć się dla niego zawałem.

– Co masz na myśli? – Leopold włożył dzinsy i koszulkę.

Podreptał do kawiarki, żeby zająć czymś ręce.

– Bogdan Chojnacki – odparła i uśmiechnęła się usatysfakcjonowana, bo prokurator zawrócił i usadowił się naprzeciwko niej.

– Mianowicie? – zapytał opanowanym głosem.

– Amelia Stępień śpiewała w kościelnym chórze. Julita Burchardt, matka zaginionego Piotrusia Sarmana, również. Nie mówiąc o jej zmarłej siostrze, Andżelice.

Bilski podniósł wysoko brwi.

– Jak widzisz, zdążyłam przeprowadzić research. Ale do rzeczy. Nie od dzisiaj wiadomo, że Chojnacki, który notabene sponsoruje działalność chóru kościelnego, ma, że tak powiem, lepkie ręce.

Prokurator przekrzywił głowę. Pierwszy raz ktoś powiedział to otwarcie.

– Mam twoje zainteresowanie? – spytała Nestle z błyskiem w oku.

– Masz – odparł spokojnie.

– Widzisz, ja sama swego czasu byłam na kilku próbach chóru, ale wypisałam się, jak tylko ręka Chojnackiego powędrowała w kierunku moich pośladków. Niby mnie tylko głaskał, po plecach, potem trochę niżej, nic wielkiego. Taka ojcowska czułość. Na szczęście moi rodzice mieli na tyle rozumu w głowach, że mi uwierzyli. Ale wiele dzieci u nas nie ma niestety szczęścia do rodziców. Jak tylko coś wyływało, od razu ucinano wszelkie spekulacje. Mówiono, że dzieci mają wybujałą wyobraźnię. W dziewięćdziesiątym szóstym przyszła do mnie matka jednej z dziewczynek. Ja zaczęłam wtedy pracę w lokalnej gazecie.

Dziewczynka zeznała, że Chojnacki ją wykorzystał. Opisała szczegóły. Matka chciała to nagłośnić. Mówiła, że policja ją odesłała. Wiadomo, rączka rączkę myje. Bogdan Chojnacki to u nas wpływowy człowiek. Lokalni samorządowcy jedzą mu z dłoni. Tak naprawdę to on sprawuje władzę w mieście. Zbadałam sprawę, napisałam artykuł. Jak już miał iść do druku, to szef się zesrał. Kazał mi odpuścić. Matka też nagle się wycofała. Musieli ją nastraszyć albo co, nie wiem do końca.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem. – Leopold ostentacyjnie ziewnął.

– Spokojnie, kochasiu – odparła i sięgnęła po leżącą na stole paczkę papierosów należących do Bilskiego. Zapaliła. Mocno się zaciągnęła.

– Adaś Poznański – powiedziała i wydmuchnęła dym. Leopold też zapalił. – Zaginiony w dwa tysiące ósmym roku. Ulubieniec biznesmena, który do tej pory opłaca jego rodzinie rachunki, zresztą za utrzymanie pięknego domu, który również został ufundowany z tak zwanych darów kościelnych.

– Yhm – mruknął.

Rybarczyk faktycznie odrobiła zadanie domowe. Jej wiedza mogła jednak okazać się dla nich kłopotliwa.

– Trzy zaginięcia i wszystkie prowadzą do Chojnackiego. Nie sądzisz, że coś tu nie gra?

– Sądzę – stwierdził Bilski. – Choć Piotruś Sarman nie pasuje do schematu.

– Chyba że Piotruś przypomniał Chojnackiemu jego pierwszą miłość. – Nestle znów wydmuchnęła dym i przebiegle się uśmiechnęła.

– Andżelikę – szepnął Leopold.

– Andżelikę – potwierdziła dziennikarka. – Prawdziwa obsesja.

– Obsesja – powtórzył.

Słowo zadźwięczało mu w głowie, jak dzwoneczek obwieszczający czyjeś przybycie, choć nie do końca wiedział czyje.

– Iluż to zbrodni dokonano z powodu obsesji – stwierdziła z figlarnym uśmiechem Natalia Rybarczyk, gasząc papierosa w popielniczce.

Jej głos ponownie miał w sobie nutkę erotyzmu. Bilski nie wiedział, na czym to polegało, ale dziennikarka znów wydała mu się atrakcyjna. „Feromony” – przemknęło mu przez głowę. Nestle już zdążyła ściągnąć koszulkę. Jej ogromne piersi rwały się, by wyskoczyć z biustonosza.

Leopold Bilski szybkim krokiem zmierzał korytarzem kartuskiej komendy policji. Był spóźniony, a na domiar złego żołądek skręcał mu się z głodu. Od śniadania nie miał nic w ustach, jeśli nie liczyć sterczących sutków jęczącej Nestle. Prokurator, zły na siebie, zacisnął na tę myśl oczy. Nestle rzeczywiście była jak czekolada. Po jej zjedzeniu pojawiały się mdłości i wyrzuty sumienia, ale i tak chciało się kosztować.

Otworzył drzwi pokoju okazań i wszedł do środka.

– No, brachu. – Pająk przywitał go tubalnym głosem. – Już myślałem, że rozpląnąłeś się w szerokim uśmiechu... – Policjant zrobił w powietrzu cudzysłów: „panny z czerwoną parasolką”.

Bilski poczuł, że się rumieni. „Cholera” – pomyślał.

– Skąd...? – zaczął.

– Widziałem przez okno, jak do ciebie podchodzi. Pismak, co?

– No – potwierdził prokurator.

– Aaaa, ma się ten nos. – Zadowolony z siebie Pająk postukał palcem w dziurkę od nosa.

– Pogoniłeś? – Kita zmrużył oczy.

– Można tak powiedzieć – odparł wymijająco i dodał w myślach: „Za króliczkiem raczej”.

Anna Górską przystanąła obok Leopolda i bacznie mu się przyjrzała. Podniosła ironicznie brew.

– Kazałeś na siebie czekać.

– Musiałem coś sprawdzić.

„Jak Nestle sprawuje się w każdej pozycji tantry...”.

Bilski skupił wzrok na obrazie za weneckim lustrem. Siwe włosy Bogdana Chojnackiego połyskiwały w świetle reflektorowej lampy punktowo oświetlającej środek pokoju przesłuchań. Na pierwszy rzut oka mężczyzna wydawał się spokojny.

„Zbyt spokojny” – pomyślał Bilski. Swoją drogą zaskoczyło go, że w takowe sprzęty wyposażona została kartuska jednostka.

– Pisnął coś?

– Nie. Milczy jak zaklęty. Czeka na papugę.

– Dobra, to jeszcze ja spróbuję – powiedział Bilski i skierował się do drzwi.

– Kurewsko zły pomysł – stwierdził Waldemar Mączyński.

Komendant stał przy ścianie w kącie w swojej zwyczajowej pozycji z rękoma skrzyżowanymi na klatce piersiowej.

– Bo? – Leopold spojrzał na niego wyzywająco.

– Bo cię miejscowi zlinczują. To nie amerykańskie kino, DiCaprio. Tutaj Chojnacki to świętość, ma medale za działalność na rzecz lokalnej społeczności. Ludzie go kochają.

– Leonard – mruknął Bilski.

– Co? – warknął Mączyński.

– DiCaprio to Leonard, a w zasadzie Leonardo. Podobnie jak da Vinci, jeśli chciałbyś jeszcze raz błysnąć i nawiązać tym razem do malarstwa. Ja zaś mam na imię Leopold, jak Leopold Staff, poeta – nakręcił się Bilski. – A tak w ogóle to chyba powinieneś być wyłączony z przesłuchania. Chojnacki to chyba twoja rodzina, nie? Ale tym razem dupy mu nie uratujesz, to ci gwarantuję.

Leopold spojrzął komendantowi prosto w oczy. Mączyński jedynie prychnął i pozostał na swoim miejscu.

Prokurator bez słowa wszedł do pokoju przesłuchań.

– Dzień dobry, panie Bogdanie. – Uśmiechnął się szeroko i usiadł naprzeciwko biznesmena.

– Pan prokurator. Witam – powiedział spokojnie Chojnacki.

Bilski położył na stole dyktafon.

– Będziemy rejestrować – uprzedził. – Rozumiem, że nie jest pan pod wpływem alkoholu lub żadnych środków odurzających? – Pytająco spojrzął na biznesmena i położył przed sobą protokół.

– Policjanci już to sprawdzali.

– Musiałem spytać. Procedury. – Bilski wzruszył ramionami.

Badawczo przyjrzał się Chojnackiemu.

– Lubi pan dzieci? – spytał.

Bogdan Chojnacki podniósł wysoko głowę i odparł z godnością:

– Kocham wszystkie boże stworzenia.

– Aha – przytaknął Leopold. – Ale jak rozumiem, do dzieci ma pan szczególną słabość?

– Do czego pan prokurator zmierza? – Chojnacki nadal wydawał się opanowany. Nie drgnął mu nawet jeden mięsień na twarzy.

– Od lat sponsoruje pan chór kościelny, prawda?

– Tak, każdy to wie. Zresztą przecież rozmawialiśmy o tym dziś rano.

– No tak, pewnie. Ale muszę dopytać o pewne sprawy.

– Mianowicie?

– Uczestniczy pan w wyborze kandydatów do chóru?

– Owszem, nadzoruję, by w chórze śpiewały tylko utalentowane dzieciaki.

– Przychodzi pan na próby?

– Zdarzało się. Owszem. To chyba żaden grzech.
– Kojarzy pan Amelię Stępień?
– Dziewczynka, która została zamordowana. Oczywiście. Wszędzie o tym mówią.

– Znał ją pan?

– Nie bardzo.

– Ale zgodził się pan na jej kandydaturę?

– Tak, chyba tak. Nie pamiętam dokładnie.

– Nie pamięta pan. A pamięta pan chłopca, Adasia Poznańskiego?

– Hmm, nie, raczej nie. Nic mi nie mówi to nazwisko.

Leopold przedłożył na biurko dokumenty, które otrzymał od Pająka i Kity.

– Nic nie mówi panu nazwisko Poznański? A przecież płaci pan ich rachunki, zresztą od... – Bilski ponownie zerknął na kartkę. – Od sześciu lat już.

Bogdan Chojnacki wziął do ręki papiery i przeleciał je wzrokiem.

– Z tego co widzę, to opłaty idą z funduszu. Pomagamy w ten sposób wielu rodzinom. Może pan sprawdzić. Ja osobiście się tym nie zajmuję. Mam od tego ludzi. To oni weryfikują sytuację finansową rodzin i podejmują decyzje w sprawie zakresu pomocy.

– Ha. No tak, no tak. – Leopold ze zrozumieniem pokiwał głową. – Irena Poznańska, mama Adasia, to zwykła pijaczka, prawda? – spytał po chwili. – Wymyśliła sobie zapewne, że napastował pan jej synka, a gdy zniknął, zapłacił jej za milczenie?

– Rzeczywiście, panie prokuratorze. Żaden sąd nie dałby wiary słowom osoby z taką reputacją.

– Raczej – potwierdził Bilski. – Nie ma ciała, nie ma zbrodni.

– Słucham? – Chojnacki niepewnie spojrzął na funkcjonariusza.

– Nic, nic. – Prokurator machnął ręką. – A Amelia Stępień, że jeszcze dopytam. Czy kiedykolwiek zachowywał się pan niestosownie względem Amelii Stępień?

– Nie.

– Tak dziewczynka wyznała babce – naciągnął fakty Bilski.

– Nigdy w życiu nic takiego nie zrobiłem.

– Nie molestował jej pan? Nie molestował, a gdy chciała się zemścić, nie uwięził jej pan i nie zabił? Tak samo jak Adasia Poznańskiego?

– Co też pan! – Chojnacki wstał.

Powoli tracił nad sobą panowanie.

– Czy zgodzi się pan na przeszukanie domu, czy mam wydać nakaz? – spytał Leopold.

– Ja pana zaskarżę! – krzyknął Chojnacki. – Jak pan śmie! Ja to zgłoszę! Pan będzie skończony!

– Rozumiem. Czyli nakaz.

– Nic więcej nie powiem bez obecności mojego adwokata – powiedział stanowczym głosem Chojnacki i ponownie usiadł na krześle.

– Oczywiście. Ma pan do tego prawo – odpowiedział Bilski, zebrał swoje rzeczy i wyszedł z pokoju.

Kątem oka zauważył, że Chojnacki wpatruje się dzikim wzrokiem w weneckie lustro.

Gdy Leopold opuścił pokój przesłuchań, Zdzisław Mączyński stał już pod drzwiami.

– Przerwanie toku wypowiedzi świadka, okazywanie zniecierpliwienia, ocenianie przesłuchiwanego, przedstawianie własnego punktu widzenia, narzucanie wersji wydarzeń. Mam wymieniać dalej? – zapytał z drwiną w głosie. – Złamał pan wszystkie etyczne aspekty przesłuchania, o czym nie omieszkam poinformować pana przełożonego.

– A spierdalaj – odparł Bilski i skierował się do wyjścia.

12

– Na Armii Krajowej – zakomenderował Paweł Pągowski, wsiadając do czarnego mercedesa.

– Pan pójdzie do pierwszego – odpowiedział taksówkarz, wskazując na rząderek zaparkowanych przed nimi aut na podjeździe Grand Hotelu.

– Ale ja z tobą, Bolo, chcę. – Pająk złapał spojrzenie mężczyzny w lusterku wstecznym.

Taksówkarz bez słowa włączył silnik, wrzucił kierunkowskaz i włączył się do ruchu na spokojnej o tej porze ulicy Grunwaldzkiej.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Cicho mruczało ściszone prawie na minimum radio.

– Co tam słyhać w interesie? – zagadnął policjant. – Kręci się?

– Kręci – potwierdził obojętnym tonem taksówkarz. – Jak zawsze.

– Hmm – mruknął Pająk i wlepił wzrok w szybę.

Zachodzące słońce zostawiło na niebie czerwoną poświatę. Nadmorską promenadą niespiesznie przechadzali się spacerowicze. Jack russell terrier podskoczył pręźnie po lecące frisbee. Na trawniku w Łazienkach

Północnych mężczyzna z samurajskim kokiem na czubku głowy wykonywał ćwiczenia z taśmami przywiązanymi do drzewa. Pająk z daleka widział napinające się mięśnie, prostą atletyczną sylwetkę, którą ukradkiem podziwiała siedząca na ławce dziewczyna z książką.

– O co naprawdę chodzi? – spytał w końcu Bolo zupełnie spokojnie. – Bo chyba nie chciałeś tylko pogadać ze mną o popycie na białe?

– Potrzebuję informacji – odparł Pągowski, odrywając spojrzenie od przelatujących za oknem obrazów nadmorskiego zmierzchu.

– Informacji... Jak zawsze – sapnął taksówkarz.

Pągowski zerknął na odbijające się w lusterku oczy Bola. Były ciemne i beznamietne. W skupieniu patrzyły na drogę.

– Etorfina – powiedział policjant.

– Etorfina? Ciekawe. – Taksówkarz zawiesił głos, po czym znów zerkając we wsteczne lusterko, dodał: – Nie handluję takim gównem.

– To wiem. A kto?

Bolo wjechał w ulicę Armii Krajowej i zatrzymał auto na przystanku autobusowym.

– Jest jeden facet – zastanowił się. – Taki zakapior z Byłowa. Jak ktoś ma mieć, to on. Zajmował się kiedyś przemysłem aligatorów.

Pągowski przyjął wydrukowany z kasy fiskalnej rachunek i zapłacił należność.

– Byłowo. A gdzie to? – zapytał, uchylając drzwi.

– Gdzieś koło Kartuz. Leśnictwo.

– Kurwa – rzucił Pająk i poklepał Bola po ramieniu.

13

Zgrzytnęła zasuwą. Siedzący na pryczy Bogdan Chojnacki podniósł głowę.

Do celi wszedł Zdzisław Mączyński.

– Zostaw nas samych – powiedział do funkcjonariusza, który otworzył stalowe drzwi.

Ten skinął głową, wyszedł i zamknął drzwi od zewnątrz. W zamku zachrobotał klucz.

– Zdzisiek! – Chojnacki wstał i energicznie podszedł do komendanta. – Ty mnie, kurwa, z tego wyciągnij.

Mączyński chwycił dłonie, które złapały go za kołnierzyk, i siłą je opuścił.

– Nie tym razem, Boguś. – Pokiwał głową. – Nie tym razem.

– Zdzisiek, ty mi się tu, kurwa, nie poddawaj. Nie po to cię komendantem zrobiłem.

– Zrozum, to już nie jest lokalna sprawa. Mam całe Trójmiasto na głowie. Nic nie zrobię.

Chojnacki wzruszył ramionami.

– Co na mnie mają? – spytał.

– Rachunki z fundacji, zeznania Poznańskiej. Tyle wiem.

– Czyli gównu mają.

– Nie wiem, kurwa. Odsunęli mnie od sprawy.

– Jak to? Komendanta odsunęli?

– Rodziną jesteśmy, nie? To co się dziwisz?

Chojnacki przysiadł z powrotem na pryczy.

– Nic nie mają na mnie. Mogą mi skoczyć – stwierdził. – Na razie blefują. Grunt im się pod nogami pali, więc nie mają wyjścia.

– Może. Chyba że... – Mączyński ściszył głos – że Wieczorek się wysypał. Albo Zaczek.

– Co wysypał, co wysypał? Kasę, kurwa, wzięli? Wzięli. To co mi się mieli wysypywać, co? – warknął biznesmen.

– Dziwisz się? – spytał Mączyński. – Dziewczynkę bez głowy znaleźli w lesie. Kurwa, to już nie przelewki.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Kurwa, mordercę chcą ze mnie zrobić!

– Chcą zrobić – prychnął Mączyński.

– A co ty, kurwa, myślisz, że to ja? Ty myślisz, że ja te dzieci?!

Komendant Mączyński poważnie popatrzył na szwagra.

– Ja nie wnika – stwierdził. – Tak jak wcześniej nie wnikałem, co ty z tym małym Adasiem wyprawiałeś. Mówię ci tylko, że tym razem nie dam rady kryć twojej dupy.

– Pojebało cię?! Ty myślisz, że ja ze śmiercią tego chłopca miałem coś wspólnego? Że łeb mu odciąłem? Kurwa! – Zdenerwowany Chojnacki złapał szwagra za poły marynarki.

– To po chuja płaciłeś Poznańskiej? Po chuja kasę dawałeś Wieczorkowi i Żaczkowi, jeśli to nie ty? Kurwa, po co to było, co? Po co?! – warknął, odpychając jego ręce.

Bogdan Chojnacki usiadł na pryczy. Spuścił wzrok.

– Poznańska przecież chciała na mnie donieść, jak zniknął jej syn! Ja tego chłopca pod skrzydła wzięłem, a ona nie wiadomo co chciała opowiedzieć! Byłbym skończony. Reputacji nie odbudujesz! To jej zapłaciłem, żeby ryj stuliła. I to był, kurwa, błąd! Skąd miałem wiedzieć, że ktoś tego chłopca zabił?! Myślałem, że uciekł! Kurwa, od takiej matki

to ja bym spierdolił! A jak się nagle znalazło ciało, to wiadomo, na kogo by padło. Na mnie, kurwa, na mnie! Kurwa, Zdzisiek, przecież nie raz to omawialiśmy!

Policjant walnął pięścią w drzwi. Po chwili znów zgrzytnęła zasuwka.

– Krew i tak masz na rękach. Jak nie tego chłopca, to tej dziewczynki na pewno – stwierdził.

– Zdzisiek, ty mnie tak nie możesz zostawić. – Chojnacki znów wstał z łóżka. Miał purpurową twarz. – Słyszysz, Zdzisiek? Ze mną na dno pójdziesz, rozumiesz?

– Tak. Rozumiem – odparł Mączyński i wyszedł z celi.

14

Woźny mieszkał nieopodal torów kolejowych w zdewastowanym, starym domu o płaskim dachu. Tynk opadał ze ścian, okna były zaciemnione ciężkimi zasłonami. Przez wiele godzin wczorajszej obserwacji nikt oprócz woźnego z budynku nie wyszedł. Nikt inny do niego nie wszedł. Julia Sarman miała pewność, że mężczyzna mieszkał sam.

Powoli budził się dzień. Słońce już dawno wstało. Na ulicy nadal nie pojawił się żaden człowiek, ale za firankami okien w okolicznych domach już można było dostrzec ruch. Gdzieś zaszczekał wypuszczony do ogrodu pies, ludzie powinni za chwilę zacząć szykować się do pracy, by zdążyć na ósmą.

Nogi jej zdrewniały. Pęcherz niemiłosiernie cisnął. Całe ciało domagało się ruchu. Kilka godzin siedziała w aucie, wpatrując się w ściany tego mrocznego, uśpionego w porannej mgle domu. Przyjechała na miejsce około czwartej, nie chciała przegapić momentu, gdy mężczyzna wyjdzie do pracy. Podjęła decyzję, gdy tylko poprzedniego dnia zobaczyła ten dom. Budynek z piwnicą, o której wspominał jasnowidz. Może nie był wcale aż tak głupi, jak Julia z początku uznała.

Nie miała wyboru. Musiała to zrobić, by odzyskać Piotrka. Musiała działać. Nikt inny tego za nią nie robi.

„Ale to szaleństwo! – zadudniło jej w głowie. Bilski nie rozumiał. Nie rozumiał tego, co ona jako matka zrozumiała od razu. – Śledziłaś jakiegoś woźnego i chcesz, żebyśmy przeszukali jego dom?! Ja rozumiem, że przechodzisz teraz trudny czas...”

– Rozumiesz? Nic nie rozumiesz – odparła. – Nikt nie potrafi zrozumieć, co ja teraz czuję! – wykrzyczała w słuchawkę i rozłączyła się.

W środku aż gotowała się ze złości. Pobiegła do garażu i przeszukała wszystkie półki. Na szczęście Matylda zadbała, by i tu znalazły się najpotrzebniejsze przybory. Przerzuciła skrzynkę z narzędziami i w końcu znalazła to, czego szukała. Do rana nie zmrużyła oczu. Gdy tylko zaczęło robić się jasno, wsiadła w auto i pojechała na Kolejową.

Przejeżdżający pociąg zagwizdał przeciągle. Stukot kół nasilił się, by po chwili zacząć cichnąć. W drzwiach pojawił się woźny. Tak jak wczoraj miał na sobie szary kaszkiet i szare podniszczone garniturowe spodnie. Zamknął drzwi, zszedł po murowanych schodach i skierował się w stronę szkoły.

Gdy zniknął z pola widzenia, Julia wysiadła z samochodu. Dla pewności spojrzała, czy nikt nie idzie chodnikiem. W oddali zobaczyła przechodzącą przez jezdnię kobietę. Ulicą przejechał samochód. Może powinna poczekać jeszcze chwilę? W końcu o tej porze wiele osób spieszy do pracy... Nie, zbyt długo już zwlekała! Zbyt długo Piotruś czeka, by ktoś po niego przyszedł! Oczami wyobraźni zobaczyła synka siedzącego na podłodze piwnicy. Ziębniętego i głodnego. Natychmiast ruszyła przed siebie.

Dom nie miał ogrodzenia. Pospiesznie weszła po schodach i kucnęła przy drzwiach. Na ziemi położyła klucz nastawny, kombinerki i długi zakrzywiony gwóźdź. Zerknęła na drzwi. Były stare i nie sprawiały wrażenia solidnych. Zamek wyglądał na montowany pewnie jeszcze w latach siedemdziesiątych. Wkładka bębenkowa wystawała na kilka milimetrów. Powinno się udać. Na szczęście za młodu wkradali się dla zabawy na tereny przemysłowe, gdzie źle dobrane wkładki zamków standardowo wystawały poza obrys drzwi. Patent zawsze działał.

Wzięła do ręki szwedzki klucz nastawny i chwyciła nim wkładkę. Z wysiłkiem podważyła i popchnęła, następnie wyrwała wkładkę. Ha! Poczowała przyływ adrenaliny. Kombinerkami wyciągnęła czarny plastikowy element zamka ze środka, gwoździem przesunęła rygiel. I już. Drzwi się otworzyły.

Julia Sarman wstała i zerknęła za siebie. Akurat tuż obok domu przechodził młody mężczyzna w szortach. Jej serce zaczęło bić mocniej. Ale facet nawet nie spojrzał w jej kierunku. Trzymał w ręku komórkę i stukał palcem w ekran. Po chwili się oddalił, a ona weszła do środka, przysmykając za sobą drzwi.

Korytarz spowijał mrok. Po chwili wahania Julia zapaliła światło. Na jednej z pokrytych boazerią ścian wisiało zakurzone poroże jelenia. Po prawej stronie od wejścia zauważyła obite starą bordową wykładziną

schody prowadzące na piętro. Przestrzeń pod nimi była zabudowana. Jej wzrok przyciągnęły znajdujące się przy wyższym skraju trójkątnej ścianki niewysokie drzwi z mocno zniszczonej płyty pilśniowej. „Piwnica” – pomyślała i poczuła lęk. Przeszła kilka kroków i zajrzała do wyłożonej zielonymi kafkami kuchni. Na ścianie głośno tykał zegar z kukułką. Za kolejnymi drzwiami natknęła się na pokój z telewizorem i sfatygowaną sofą.

Julia wróciła na korytarz i spojrzała na piwniczne drzwi. Chwilę nasłuchiwała i w końcu nacisnęła klamkę. Schody nie było oświetlone, ale w głębi piwnicy dostrzegła blask żarówki. Szybko zbiegła na dół. Półki ze słoikami, narzędzia, stare pudła i rupieci.

– Piotruś! – krzyknęła. – Synku!

Nic. Zajrzała w każdy kąt. Wróciła biegiem na korytarz i nie zatrzymując się, popędziła schodami na piętro. Otworzyła pierwsze z brzegu drzwi. Pokój sypialny. Kolejne drzwi. Pokój dziecięcy. Zamarła. Małe łóżko, niebieskie biurko, na półkach zabawki i książki. Weszła do środka. Jej wzrok przyciągnęły zdjęcia w ramkach. Wychudzony łysy chłopiec z maską tlenową w ręku tulił się do woźnego. Obaj uśmiechali się do aparatu.

Szybko wyszła na korytarz. Nie mogła złapać oddechu. Jak najszybciej chciała stąd uciec. Ruszyła ku schodom, ale nagle usłyszała jakiś dźwięk. Chwilę się wahała. Wreszcie podeszła do ostatnich drzwi i powoli nacisnęła klamkę. Stęchłe powietrze i zapach moczu. To poczuła najpierw. Wyteżyła oczy, bo zaciągnięte story nie przepuszczały światła. W końcu ją dojrzała. W łóżku leżała staruszka. Lekko pojękiwała przez sen.

Julia natychmiast zrobiła krok w tył i rzuciła się do wyjścia.

15

Szara skoda przemknęła przez Kartuzy, na skraju miasta skrzyła w ulicę Księdza Henryka Ormińskiego i po kilkuset metrach wąskiej betonowej drogi przecinającej bukowy las wjechała do Leśnictwa Byłowo. Murowany dom ze spadzistym dachem, o który oparta była długa drabina, mały płotek, rozłożyste, wiekowe drzewa w ogrodzie, z tyłu budynek gospodarczy.

Kita i Pająk wyszli z auta, trzasnęli drzwiami i rozejrzeli się wokół. Dojmująca zieleń. W zasięgu wzroku żadnych innych mieszkańców.

Wszechogarniający śpiew ptaków.

Obcięta na zapałkę starsza kobieta pielila grządki. Podniosła się na ich widok i wytarła ubrudzone ziemią ręce w robocze spodnie.

– Dzień dobry. Nadkomisarze komendy miejskiej w Sopocie, Paweł Pągowski i Adam Kowalewski. – Pająk pokazał odznakę. – Szukamy mężczyzny. Smok na niego mówią.

– Smok – powtórzyła i niespokojnie spojrzała za siebie. – To lepiej męża pytać.

Dostrzegli mężczyznę zmierzającego w ich kierunku. Siwego, postawnego, w wojskowych spodniach i czarnej koszulce. Doszedł do płotu, wbił w ziemię trzymany w ręce szpadel i pytająco spojrzał na przybyłych.

– Dobry – bąknął.

– Pan jest tu leśniczym? – zapytał Pająk.

– Tak, Ireneusz Wawrzyniak – przedstawił się.

– Pągowski i Kowalewski, komenda policji w Sopocie. Szukamy mężczyzny, ksywka Smok.

– Smok pan mówi? Nie znam.

– Na pewno? Dobrze zbudowany, kozia bródka, łysawy z kitką z tyłu.

– U nas w osadzie to za dużo ludzi nie ma, skojarzyłbym.

– Gdyby się coś panu przypomniało – Pająk podał mu wizytówkę – to proszę o telefon.

– Hmm – mruknął leśniczy, spoglądając na wizytówkę. – Odezwę się jak coś.

Pająk i Kita wsiedli do skody. Kowalewski wycofał i powolutku ruszył.

– I jak? – zapytał.

– Facet kręci – uznał Pągowski.

– Jeśli Smok faktycznie się tu gdzieś kitra, to nie ma bata, żeby leśniczy o tym nie wiedział.

– Nie inaczej. – Pająk zerknął w boczne lusterko. – Wyjął telefon.

– Aha – skonstatował Kita. – Dzwon do operacyjnych z Gdańska, niech instalują lokalizator pod dzipem. Komendant wojewódzki przy tego typu sprawie powinien klepnąć wniosek na cito.

– Analiza połączeń?

– Jak chłop siedzi w lesie, to analiza połączeń niewiele da w namierzaniu – zastanowił się Kita. – Ale i tak warto prześledzić. Może coś ciekawego wypłynie.

Pająk przytaknął, nie odrywając wzroku od malejącego odbicia Wawrzyniaka.

Prokurator Leopold Bilski bez celu kursował saabem po Kartuzach. Starał się poskładać w logiczną całość zebrane informacje, lecz wizja Bogdana Chojnackiego przejeżdżającego dłonią po udach dzieci nie pozwalała mu się skupić. Musiał zresetować głowę. Zerknął przez okno. Przejeżdżał właśnie wzdłuż szeregu zabytkowych kamienic z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku przy Jeziornej. Jego uwagę zwróciła secesyjna budowla ozdobiona stiukową dekoracją w kształcie słońca. Nieregularna wieżyczka na jej szczycie wyglądała całkiem atrakcyjnie. Minał parterowe domki mieszkalne, zwolnił obok piętrowych neogotyckich kamieniczek. Wszystko to potrzebowało renowacji, ale po drobnych pracach na pewno dodałoby miasteczku blasku.

Nadal świeciło słońce, choć z północy nadciągały ciemne chmury. Pogoda zupełnie zwariowała, co dodatkowo wzmagало jego niepokój.

Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Miał mętlik w głowie. Już dwukrotnie okrążył miasto, ale puzzle poszlak nie chciały się ułożyć w jego głowie w żaden spójny obraz. Poirytowany wjechał na wylotówkę na Trójmiasto. Chciał przycisnąć gaz, a zamiast tego wbił się w korek przed rondem w Żukowie. Nie tego było mu trzeba. Zrezygnowany zawrócił na podwójnej ciągłej i zerknął kątem oka na tylne siedzenie. Wciąż leżała tam marynarka ze smugami makijażu Julii na klapach. Wbił w GPS ulicę Majkowskiego i skierował się w stronę pralni.

Już z daleka zauważył szyld: „Ekopralknia Czyścik”. Nazwa była tak dosadna, że Leopoldowi stanęły przed oczami rzędy świeżych, wykrochmalonych, idealnie wyprasowanych koszul, których brakowało mu w szafie. Wyciągnął z auta marynarkę i zaparkował na podjeździe.

Deszcz właśnie ustał. Małe kropelki nieruchomo stały na masce białej furgonetki. Powietrze było rześkie i przyjemne. Bilski odetchnął z przyjemnością.

Zszedł do sutereny, nacisnął klamkę i aż przystanął na progu, patrząc z niedowierzaniem na wnętrze pralni. Wszystkie ściany pomieszczenia obwieszono dziesiątkami religijnych obrazów tak ciasno, że niemal się stykały. Pan Jezus w złotej ramie uśmiechał się łagodnie, Matka Boska tuliła do piersi Dzieciątko. Byli też Jan Paweł II i Matka Teresa z Kalkuty. Prokurator oniemiały wodził oczami po zaskakującej w tym miejscu galerii.

– Wesołych świąt! – usłyszał męski głos.

Michał Pakosz siedział za kontuarem. Miał w ręku książkę. Uprzejmie się uśmiechał.

– Przepraszam, ale wydawało mi się, że to dopiero wrzesień – odpowiedział Bilski i uniósł brwi w grymasie sygnalizującym zdziwienie.

– Każdy dzień życia to cud, niezwykle święto wiary – odpowiedział mężczyzna.

Prokurator nie był pewien, czy Pakosz żartuje, czy jednak mówi poważnie. Uznał, że najlepszym wyjściem będzie nie wchodzić w to dalej, i uśmiechnął się lekko do swojej myśli. Lubił grę słów. Położył na ladzie zabraną z samochodu marynarkę.

– Co my tu mamy? – zapytał właściciel pralni i podniósł się z krzesła.

– Marynarka. W pudrze i tuszu do rzes. – Bilski uśmiechnął się półgębkiem, a wspomnienie śpiącej Julii niespodziewanie go rozczuliło.

– Yhm. – Pakosz podniósł marynarkę i chwilę się jej przyglądał. – Będzie musiał pan pokwitować, że w razie zniszczenia nie będzie pan żywił pretensji.

Leopold zdębiał.

– Markowa jest. Widzi pan? – Pakosz wskazał na metkę. – Armani, a wskazań co do sposobu prania nie ma. Więc ja nie biorę odpowiedzialności, rozumie pan.

– Aha. – Bilski pokiwał głową. – Ale wie pan, jak wyprać, żeby było dobrze, tak?

– No wydaje mi się, że wiem. – Mężczyzna wzruszył ramionami i zgarnął marynarkę z kontuaru.

– Ciekawa wystawka. – Leopold wskazał na obrazy.

– Mam słabość do malarstwa sakralnego – stwierdził Michał Pakosz i z dumą rozejrzał się po pomieszczeniu. Wyszedł zza lady i podszedł do jednego z obrazów. – To mój ulubiony. Archanioł Michał strąca Lucyfera i zbuntowane anioły do piekła. Reprodukacja Rubensa. – Wskazał na utrzymane w odcieniach złota dzieło, na którym kotłowały się anielskie ciała. Twarz szatana wykrzywił ból.

– Ciekawy wybór – skomentował Bilski.

– Obraz, choć namalowany w siedemnastym wieku, doskonale oddaje ducha naszych czasów, nie uważa pan? – Pakosz, nie czekając na odpowiedź prokuratora, kontynuował: – Otaczająca nas rzeczywistość to obszar zła, któremu trudno się oprzeć. Na każdym kroku czai się Lucyfer próbujący omamić człowieka, dlatego każdy powinien nieustannie się mu przeciwstawiać. – Mężczyzna na chwilę się zadumał, po czym z emfazą szepnął: – Strącać Lucyfera w odmęty piekła.

Leopold skrzywił się z niesmakiem, ale nie skomentował. Kim on w końcu był, by krytykować ludzi żywiących jakieś religijne przekonania? Jego ateizm nie dawał mu prawa do oceniania tych, którzy wierzą w Boga.

– Może pomylił pan zatem profesje? – skonstatował.

– Co ma pan na myśli? – Pakosz podniósł wysoko brwi.

– Może należało zostać księdzem?

– Już myślałem, że powie pan, malarzem. – Mężczyzna uśmiechnął się.

– Bo do malarstwa niestety nie mam żadnego drygu. A co do kapłaństwa... Byłem nawet w seminarium duchownym, ale ostatecznie Bóg mnie nie wezwał.

– No tak, powołanie to chyba dość ważna kwestia, jak się idzie na księdza.

– Dokładnie – przytaknął właściciel Czyścika. – Uznałem, że bardziej ciągnie mnie jednak do muzyki, i w ten sposób niosę posługę innym.

– A tak. Słyszałem, że udziela się pan w kościelnym chórze – powiedział Bilski.

Michał Pakosz popatrzył na niego spłoszonym wzrokiem.

– A pan to, przepraszam, kto? – zapytał.

– Leopold Bilski. Prokuratura Kartuzy – przedstawił się, a w brzuchu poczuł gułę.

„Prokuratura Kartuzy” brzmiało jak ponury żart. Wcześniej, gdy się legitymował, pęczniał z dumy. Wystawiał asa z rękawa. Rozmówcy bieleli na twarzy. Wygrywał rozdanie. Teraz poczuł, jakby sam dzielił siebie w twarz.

Właściciel pralni podniósł wysoko brwi, lecz nic nie powiedział. Przeszedł ponownie za ladę i stanął w wyczekującej pozie.

– Domyślam się, że chce mi pan zadać kilka pytań o Amelię Stępień? – zapytał w końcu formalnym tonem.

– Owszem – przytaknął Leopold. – Rozumiem, że kojarzy pan sprawę?

– Tak, dziewczynka zaginęła w zeszłym tygodniu.

– Dokładnie. Ale wcześniej odwiedziła kościół. Czy był pan tam tego dnia? W środę dwudziestego siódmego sierpnia?

Pakosz wzruszył ramionami.

– Musiał pan być, bo kamery monitoringu nagrały przed kościołem pański samochód. Biała dacia dokker. To pana auto, prawda?

– Tak – odparł Pakosz. – Czyli musiałem tam być.

– Widział pan dziewczynkę?

– Nie, na próbie jej nie było.

– Yhm – westchnął Bilski. – Ale zna ją pan?

– Tak, ładny sopran.

– Jakież inne spostrzeżenia?

– Czy ja wiem? – zastanowił się Pakosz. – Miła, sympatyczna, raczej wycofana. Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć.

– Zauważył pan, by miała jakieś specjalne względy u Chojnackiego?

Pakosz wzruszył ramionami.

– W jakim sensie?

– Ano w takim, czy Chojnacki zniknął z Amelią w zakrystii na przykład?

Pakosz poczerwieniał. Delikatnie się skrzywił.

– Nie. Nigdy niczego takiego nie zaobserwowałem. – Mężczyzna mówił tak cicho, że Leopold ledwie go słyszał.

– A z innymi dziećmi?

Michał Pakosz niemal niezauważalnie pokręcił głową.

– A z panem? – rzucił Bilski.

Właściciel Czyścika zamarł. Stał bez ruchu, wyprostowany jak struna. Prokurator dałby sobie rękę odciąć, że Pakosz przestał oddychać.

– Proszę mnie nie dręczyć – szepnął po dłuższej chwili. – Ja nie mam nic w tej sprawie do powiedzenia. To wszystko jakiś absurd.

Nagle Michał Pakosz wydał się Bilskiemu mniejszy, jakby skurczył się w sobie. Wyglądał jak mały bezbronny chłopczyk, który zgubił się w lesie.

– To moje namiary. – Leopold zostawił na ladzie wizytówkę. – Jakby sobie pan coś przypomniał...

– Ojciec wie, że pan tu przyszedł? – zapytał Pakosz cicho.

– Nie muszę ze wszystkiego spowiadać się szefowi – odparł Bilski.

Przez głowę przebiegła mu myśl, że mężczyzna nigdy nie zdradził swojego sekretu ojcu. Czy wstydził się bycia ofiarą, czy raczej obawiał tego, że głowa kartuskiej prokuratury od razu wydałaby na niego wyrok skazujący? Stefan Pakosz wydawał się Leopoldowi miękki jak plastelina, ale może prokurator zbyt pochopnie go ocenił.

– A na dożynkach pan był? W parku Solidarności? – spytał.

– Nie gustuję w disco polo – odparł Pakosz.

– Ale może na przykład odbierał pan brudne obrusy od firm cateringowych? – naciskał Leopold, choć już dawno sprawdził, że samochodu Pakosza nie było na liście aut uprawnionych do wjazdu na teren imprezy.

– Nie świadczyłem tego dnia usług pralniczych. Może pan sprawdzić.

Bilski skinął głową. Zacisnął usta. Próbował się uśmiechnąć, jakby chciał dodać Pakoszowi otuchy. Właściciel pralni nie patrzył jednak na

twarz prokuratora. Wbijał wzrok w swoje splecione na ladzie dłonie.

Gdy prokurator wyszedł na podjazd, świat znów przybrał kolor granatu. Tuż nad nim rozległ się donośny grzmot.

17

Mateusz Borowski wlał gorącą wodę do kubka. Odczekał, aż herbata dobrze naciągnie, i wyrzucił saszetkę do śmieci. Postawił kubek na kuchennym stole, rozłożył akta. Ponownie przejrzał zeznania okolicznych mieszkańców i wczytał się w protokół oględzin miejsca znalezienia ciała oraz wyniki sekcji zwłok. Następnie wyjął na stół pierwszą serię zdjęć. Wziął łyk herbaty i zaczął przyglądać się panoramicznym, stereoskopowym, metrycznym i skalowym kadrom, na których widniały wbite w ziemię tabliczki i strzałki. Polana została obfotografowana równocześnie w kilku kanałach spektralnych, by wykryć mikroślady substancji organicznych lub chemicznych. Zdjęcia w niebieskich, zielonych i czerwonych barwach nic Mateuszowi nie mówiły. Wyodrębnił zatem zdjęcia analogowe i te zrobione w ultrafiolecie. Były dla niego najbardziej czytelne. Potem przeszedł do mikrofotografii, na których obok powiększonych obiektów widniały taśmy miernicze. Wreszcie w równiutkich rzędach ułożył przed sobą zdjęcia zamordowanej Amelii Stępień.

Okaleczone ciało dziecka leżące na leśnej ściółce wyglądało nierealnie. Asystent prokuratora głęboko odetchnął, odchrząknął, strzelił knykciami. Znów wziął łyk herbaty. Po kolei brał fotografie do ręki. Zaczynał od tych zrobionych ze zwykłej perspektywy, na których było widać ułożenie zwłok. „Wygląda jak choinka” – w umyśle pojawiło się określenie Marty. Z niedowierzaniem pokręcił głową i znów skupił się na obrazie. Czemu sprawca odciął głowę dziecka i ułożył ją między nogami? Taką po prostu miał zajawkę czy jednak miało to jakieś znaczenie? Morderca nie czerpał przyjemności z cierpienia dziecka, bo zadał mu bezbolesną, zdaniem lekarza, śmierć. Czy zatem chodziło o akt zdekonstruowania ciała?

Jeżyna przełożył serię zdjęć na brzeg stołu, a przed sobą rozłożył fotografie sygnalityczne. Obejrzał portret prawego boku, lewego półprofilu i en face. Skupił się na linii odcięcia głowy. Lekarz stwierdził, że cięcie zostało wykonane piłą do metalu, taką, jakiej używali myśliwi do odcinania gwizdu dzika. Biegły myśliwy potwierdził, że takie narzędzie jest najczęściej wykorzystywane przy preparowaniu oręza

dziczy, bo stolarską piłę trzeba by co chwilę ostrzyć. Jeżyna pochylił się nad jednym ze zdjęć, analizując przekrój poprzeczny cięcia. Zatrzymał się chwilę na odsłoniętych kościach i ścięgnach, które w przybliżeniu wyglądały jak gąbka.

Nagle coś huknęło. Podskoczył. To Irena Borowska postawiła na blacie siatki z zakupami.

– Kopytka zrobię, wiesz, Mati? Zjadłbyś pewnie, co? – Nie zauważył, że matka wróciła do domu. – Takie wiesz, z sosikiem, jak lubisz – kontynuowała kobieta. – I kapustę kiszoną kupiłam. Od pani Krysi. Ona ma najlepszą. Kwaśną, jak trzeba, a nie to słodkie nie wiadomo co z dyskontu.

– Mamo, ja pracuję! – Mateusz zerwał się od stołu, starając się ciałem zasłonić zdjęcia.

– A pracuj, pracuj. Przecież ja nie patrzę. – Matka wzruszyła ramionami. – Ja tu sobie stanę plecami do ciebie i będę robić swoje. Bo jak się z obiadem spóźnię, to ojciec będzie narzekać, jak z pracy wróci.

Irena Borowska zaczęła wykladać produkty z siatki na blat. Otworzyła lodówkę, wsadziła do niej to, czego aktualnie nie potrzebowała. Nalała wodę do największego garnka i zaczęła obierać ziemniaki.

Mateusz westchnął i po chwili wahania z powrotem usiadł przy stole.

Potrzebował swojego miejsca. Miał już dosyć kitrania się w wąskiej kuchni. Swój pokój musiał oddać babci Stasi, która po śmierci dziadka się do nich wprowadziła. Od tej pory sypiał w dużym pokoju na rozkładanej leżance. Teraz Andrzejek oglądał tam bajki.

No dobra. Dopił herbatę, wyprostował kark, znów strzelił knykciami i wrócił do zdjęć. Na nadgarstkach ofiary było widać otarcia. Od sznura, jak stwierdził lekarz medycyny sądowej. Na prawej stopie przez jakiś czas musiał być zatrask albo obroża wykonane ze specyficznego materiału, takiego, jakiego używa się w branży zajmującej się lotami kosmicznymi. To stanowiło jakiś trop, tylko kto mógł mieć dostęp do takich...

– A to łopiego szukacie? – Mateusz nagle usłyszał głos babki.

Staruszka siedziała po drugiej stronie stołu. Chłopak nie wiedział, kiedy zdążyła tu przydreptać. Przyglądała się zdjęciom leżącym na skraju stołu, spokojnie dziergając na drutach.

– Babcia nie patrzy! – krzyknął Mateusz i szybko zaczął zbierać fotografie.

– Po co tak krzyczy? – Stanisława Borowska wzruszyła ramionami. – Toć ja słyszę doskonale i wzrok też mam świetny.

– Że wzrok to ja wiem – odparł chłopak. – I dlatego babcia nie patrzy, bo babcia spać nie będzie mogła potem.

– E tam, spać to ja i tak nie mogę od wojny. – Babcia Borowska sprawnie ruszała drutami, nie patrząc nawet na robótkę. – A na takie zdjęcia to ja się napatrzyłam za młodu, to na mnie wrażenia nie robią.

Pani Stanisława zerknęła na szal i niezadowolona popuściła kilka oczek.

– Taki album mieliśmy w domu. Wprawdzie to były takie rysunki tylko, ale zawsze.

Mateusz Borowski spojrzał na babcię z powątpiewaniem.

– Co tam babcia mówi znowu?

– No twój pradziadek, Stanisław, na jego cześć mam imię, to wielki pasjonat kultury kaszubskiej był. To wiesz. No i mieliśmy w domu taki album z różnymi historiami, legendami i takimi tam. No i z rysunkami też. Ty, Irenka, pamiętasz może ten album?

Mama Borowska machnęła ręką, nie odwracając głowy od stolnicy.

– Ja tam nie wiem nic o żadnym albumie.

– No u dziadka stał w pokoju, wiesz, na tej witrynce. Ty to byłaś mała pewnie, to nie pamiętasz. A może tej witrynki już nie było, jak ty się urodziłaś? Czekaj, bo tę witrynkę to wujek Jerzy chyba wywiózł w sześćdziesiątym pierwszym, to ty wtedy miałaś...

– No dobra, babcia – przerwał jej Mateusz – co w tym albumie było?

– No rysunki takie zmarłych w trumnach.

– Aha – burknął zawiedziony.

– No i te głowy też pomiędzy nogami tak leżały. Jej, pamiętam, jak pierwszy raz to zobaczyłam. Miałam wtedy z sześć lat i nawet nie wiedziałam jeszcze, że ludzie to w ogóle umierają, a tu taki...

Mateusz Borowski raptownie wstał. Krzesło zaszurało o posadzkę.

– Głowy mieli pomiędzy nogami? Tak jak tutaj? – Podstawił babci zdjęcie tuż przed oczy.

– No mówię przecież, że jak tutaj. O łopiego chodzi, tak? – upewniła się kobieta.

– Kto to, do cholery, jest łopi?

Stanisława Borowska popatrzyła na wnuka zdumiona.

W sali konferencyjnej panował gwar. Wszystkie krzesła były zajęte. Dziennikarze gromadzili się też tłumnie przy drzwiach wejściowych. Dziesiątki mikrofonów celowały w stronę podestu. Kolorowe kostki z logo stacji radiowych i telewizyjnych zlewały się w wielobarwną plamę.

Leopold Bilski opierał się o ścianę. Po raz kolejny poprawił krawat, który dusił go w szyję. Nie znosił krawatów i nosił je tylko na specjalne okazje. Nawet w prokuratorskiej todze nie czuł się tak skrępowany, jak wtedy, gdy coś owijało mu się wokół szyi. Niestety szef Prokuratury Rejonowej Stefan Pakosz nakazał wszystkim „zachowanie szczególnej elegancji stosownej do rangi wydarzenia”, patrząc przy tym ostentacyjnie w oczy właśnie Bilskiemu. Najwyraźniej nie pasowało mu, że podczas gdy lokalni prokuratorzy nawet w największe upały paradowali w dwuczęściowych garniturach, koszulach z długimi rękawami i wypastowanych oksfordach z długimi noskami, Leopold prezentował półoficjalny styl i pojawiał się w pracy w ciemnych chinosach, czarnych trampkach i wyszukanych koszulach z krótkim rękawem, pozwalając sobie od czasu do czasu na zabawne kolorowe skarpetki. Oczywiście zawsze na podorędziu miał świetnie skrojoną marynarkę, ale od kiedy trafił do Kartuz, nie miał nawet okazji, by ją włożyć. Podobnie zresztą jak togi, bo stopa Bilskiego już dawno nie powstała na sali rozpraw. Ta myśl nieprzyjemnie go zakłuła. Nadal nie mieli nawet podejrzanego, więc perspektywa rozprawy bezsprzecznie była odległa.

Leopold ponownie pociągnął granatowy węzeł krawata. Czuł lekkie podenerwowanie. Stefan Pakosz wezwał go rano na dywanik i choć swoim zwyczajem przymilnie się uśmiechał, a nawet poklepał go kilkukrotnie po plecach, rozmowa nie należała do najprzyjemniejszych. Stary wymagał wyników, liczył na jakieś konkrety, dając mu jasno do zrozumienia, że są „w naszym pięknym kraju” większe dziury niż Kartuzy, w których może jeszcze wylądować. Tymczasem Leopold nie miał mu nic do zaoferowania, oprócz domniemanej pedofilskiej afery, o której Pakosz nawet nie chciał słuchać. Oczywiście Bilski mógł wspomnieć o sprawie Adasia Poznańskiego, która pokryła się kurzem w repertorium pozakarnym, jednak czuł, że jeszcze nie pora iść z szefem na noże.

Sala konferencyjna wypełniała się coraz bardziej. Niemal nie było już czym oddychać. Leopold nerwowo spojrzął na zegarek.

– Spokojnie – szepnęła stojąca obok niego Anna Górka. – Przecież tym razem nie ty idziesz na kozła ofiarnego.

Faktycznie. Stefan Pakosz wystawił na żer dziennikarzom rzeczniczkę prasową urzędu, Marzenę Zarębę. Młoda prokurator, która zajmowała stanowisko od niedawna, oczekiwała na początek konferencji. Nawet z oddalenia Bilski mógł dostrzec, że trzęsa się jak osika. Nad górną wargą kobiety zebrał się pot. Leopold zdecydowanie jej nie zazdrościł. Po tym, jak skompromitował się w zeszłym roku na spotkaniu z dziennikarzami w sprawie Skalpela, nikt wołami nie zaciągnąłby go na ten podest. Tym bardziej że jedyny trop prowadził do dobrodziejstwa miasta, czego na tym etapie śledztwa z pewnością nie można było ujawnić, nie wystawiając się na lincz.

Bilski zerknął na Annę. W damskim dopasowanym garniturze w grafitowym kolorze i czerwonych szpilkach wyglądała zjawiskowo. Patrzyła w stronę drzwi. Zielone oczy z ciekawością lustrowały zebranych. Nagle jej twarz wykrzywił pogardliwy grymas.

Leopold podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Do sali weszła Natalia Rybarczyk. Z gracją przecisnęła się przez tłum przy wejściu i rozejrzała w poszukiwaniu dogodnego miejsca. Jej tapirowane włosy sterczały na wszystkie strony zgodnie z obowiązującą w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku modą, a jaskrawa krwistoczerwona szminka podkreślała biel sukienki z głębokim dekoltem. Gdy zauważyła Bilskiego, uśmiechnęła się zalotnie i wesoło pokiwała mu ręką. Prokurator zdawkowo skinął głową, jednak kobieta, niezrażona, zaczęła przeciskać się w jego stronę. W ostatniej chwili jakiś wpatrzony w nią facet zerwał się z krzesła i ustąpił jej miejsca, a dziennikarka skwapliwie je zajęła, nie spuszczając jednak Leopolda z oczu. Jej spojrzenie paliło prokuratora bardziej niż krawat.

Na podest wszedł w końcu szef kartuskiej prokuratury Stefan Pakosz. Popukał palcem w mikrofon. Po sali rozniósł się nieprzyjemny dźwięk sprzężenia. Mężczyzna dał znać technicznemu, by obniżył czułość mikrofonu.

Znów popukał palcem w główkę mikrofonu. Tym razem obyło się bez efektów dźwiękowych.

– Dzień dobry – przywitał się funkcjonariusz. – Bardzo proszę wszystkich o zajęcie miejsc. Musimy zaczynać – odchrząknął i przedstawił rzeczniczkę prasową, która zajęła miejsce za ustawionym na podwyższeniu stołem.

Tuż za Marzeną Zarębą podążył komendant Zdzisław Mączyński, który usadowił się na krześle obok z dłońmi swoim zwyczajem opartymi

o wystający brzuch. Policjant wydawał się całkowicie spokojny – nie była to dla niego pierwszozna.

– Proszę państwa – zaczęła Zaręba, poprawiając okulary, które pod wpływem potu zaczęły ześlizgiwać się z nosa. – Przez ostatnie sześć dni wykonanych zostało wiele czynności. W szczególności dotyczyły one wyjaśnienia okoliczności związanych z zaginięciem Piotra S., jak również śmierci Amelii S., której ciało znaleziono w pobliskim lesie trzy dni temu. Muszę dodać, że na tej płaszczyźnie podjęliśmy współpracę z Prokuraturą Rejonową w Sopocie, która równolegle pracowała nad sprawą zaginięcia dziewczynki zamieszkałej w Sopocie. Dotychczas udało nam się zgromadzić istotny materiał dowodowy, jednak na obecnym etapie śledztwa nie wiemy jeszcze, kto jest sprawcą śmierci Amelii S. Nie wiemy również, gdzie na tę chwilę przebywa Piotr S. Czy są jakieś pytania? – Zaręba podniosła wzrok znad kartki.

Na sali podniósł się las rąk.

– Z uwagi na dobro toczącego się postępowania możemy odpowiadać na pytania jedynie bardzo ogólnie – asekuracyjnie dodała rzeczniczka i dała znać kobiecie z pierwszego rzędu, że może zabrać głos.

– Czy mają państwo jakieś dowody, że w przypadku chłopca doszło do porwania, czy opierają się państwo jedynie na poszlakach? – podjęła blondynka z opadającymi na ramiona lokami stojąca z tyłu sali.

– Mogę jedynie wskazać, że dysponujemy licznymi poszlakami, które układają się w logiczną całość. Pozwalają one na przyjęcie określonej kwalifikacji czynu.

– A zatem porwanie? – dopytała dziennikarka w kwiecistej spódnicy.

– Ze względu na dobro śledztwa nie mogę udzielić takiej informacji.

– Czy zakładacie, że obu porwań dokonał ten sam sprawca? – odezwał się mężczyzna w jasnej polówce.

– Ze względu na dobro śledztwa nie mogę wypowiadać się w tej sprawie. Nadal prowadzone jest postępowanie. Podejmujemy intensywne czynności, aby ustalić, co się wydarzyło.

– Jeśli potwierdzi się, że dzieci zostały uprowadzone przez tego samego sprawcę, możemy zakładać, że mamy do czynienia z seryjnym porwaczem, prawda? – bardziej stwierdziła, niż spytała kobieta w obszernym czarnym golfie. Na jej szyi połyskiwał łańcuszek z krzyżykiem. – Czy w związku z tym podjęli państwo jakieś działania, aby jakoś zabezpieczyć inne dzieci? Przecież w takich okolicznościach wszystkie dzieci są zagrożone. Czy nie należałoby zamknąć szkół?

– Nie popadajmy w panikę – odpowiedziała Zaręba. – Na razie nie mamy podstaw, by twierdzić, że w okolicy grasuje seryjny porywacz.

– Ale przecież jakieś działania należałoby podjąć, czyż nie? – Głos kobiety w golfie stał się jeszcze bardziej piskliwy. Niewątpliwie przybyła na konferencję nie tylko w roli dziennikarki, ale również matki.

– Ze wzmożoną uwagą patrolujemy ulice. Przede wszystkim bacznie obserwujemy tereny szkolne – wtrącił się komendant Mączyński. – Istotne jednak jest, by rodzice porozmawiali ze swoimi dziećmi na temat bezpiecznej drogi do szkoły i do domu. Dzieci powinny podróżować do i ze szkoły w kilkusobowych grupach. Na pewno nie powinny poruszać się pojedynczo. No i przede wszystkim nie powinny rozmawiać z żadnymi nieznajomymi.

– Czyli zagrożenie jest rzeczywiste? – przeraziła się dziennikarka.

– To tylko środki ostrożności – odparł komendant i z poczuciem dobrze wypełnionego obowiązku opadł na krzesło.

– Nieoficjalnie wiadomo, że ciało dziewczynki zostało makabrycznie okaleczone. Czy to prawda? O jakiego typu okaleczeniach jest mowa? Słyszałam, że dziewczynkę pozbawiono głowy – odezwała się dziennikarka z tyłu sali.

– Ze względu na dobro śledztwa nie mogę udzielić takiej informacji. – Marzena Zaręba szukała wzrokiem szefa prokuratury, licząc na jakieś wsparcie, ale Pakosz udawał, że tego nie widzi.

– Czy macie już jakichś podejrzanych? – zapytał chudy dziennikarz w okularach z czerwonymi oprawkami. – Czy wiecie już, kto jest Potworem z Kartuz?

– Potworem z Kartuz?... – Rzeczniczka na chwilę straciła rezon.

– Tak, czy wiadomo już, kto może nim być?

– Badamy obecnie liczne hipotezy – wtrącił się znów Mączyński. – Niewątpliwie jesteśmy blisko rozwiązania sprawy.

– Ze sprawdzonego źródła wyciekły informacje, że porwań mogło być więcej. – Tym razem z krzesła podniosła się Natalia Rybarczyk. Jej obfite piersi zatańczyły pod materiałem sukienki. – A także, że prawdopodobnie mają one podłoże seksualne.

Po sali przebiegł niespokojny szept. Wszyscy zgromadzeni wlepili wzrok w jasnowłosą dziennikarkę.

– Nie wiem, skąd ma pani takie informacje, ale... – zaczęła spanikowana rzeczniczka, ale Nestle jej przerwała.

– Dowiedziałam się także, że zniknięcia miały związek z kościelnym chórem sponsorowanym, jak wiadomo, przez Bogdana Chojnackiego

i głównym podejrzanym w sprawie jest właśnie on. Zresztą biznesmen został dziś zatrzymany. – Nestle rozejrzała się po sali z triumfalnym wyrazem twarzy i ostentacyjnie zatrzymała spojrzenie na Bilskim.

– O kurwa – syknął prokurator.

Na sali konferencyjnej zapanował gwar.

– Rozumiem, że policja dokona niebawem przeszukania jego posiadłości, ale czy nie trzeba byłoby też przeszukać terenów kościelnych? W końcu to na terenie kościoła odbywało się molestowanie dzieci – kontynuowała Nestle.

Dziennikarze zaczęli się przekrzykiwać, zarzucając przedstawicieli organów ścigania pytaniami.

– Proszę o spokój! – krzyknęła rozpaczliwie rzeczniczka, ale jej głos zniknął w coraz głośniejszym harmidrze.

Jakiś mężczyzna zaczął skandować: „Skandal!”. Dołączyło do niego kilka osób. Nagle ktoś rzucił się na Natalię Rybarczyk. Przepychanki przerodziły się w bijatykę ogarniającą całą salę. Wkroczyli funkcjonariusze. Konferencja została zakończona bez formalnego pożegnania.

Leopold i Anna stali bez ruchu pod ścianą.

– No to przejebane – mruknęła Górską.

– No – przyznał Bilski. – Przejebane.

– Szykuj się na kolejne zesłanie. – Górską z niedowierzaniem pokiwała głową. – Żeby takiemu babsztyłowi zdradzać...

Nie zdążyła dokończyć, bo do sali konferencyjnej wpadł Mateusz Borowski i pognął w ich stronę.

– Łopi! – wydyszał i zgiął się wpół, opierając ręce o kolana. – Łopi!

19

– Kto to, do cholery, jest łopi? – zapytał Leopold Bilski.

– Niech pan słucha. Jesteśmy na Kaszubach, nie? Niby Kaszubi są bardzo religijni, ale ten nasz katolicyzm, tak jak przed wiekami wchłonał przeróżne pogańskie obrzędy, tak kultuwuje je do dziś. Dlatego stawiamy kropielniczki z wodą święconą przy drzwiach, żeby odstraszyć złe duchy, zawieszamy wiechę na budowanym domu, by zapewnić mu pomyślność, i tak dalej. No nie ma co ukrywać: wierzymy w magię.

– No dobra, wierzycie w magię. I co to ma wspólnego z Amelią Stępień? – spytała Anna Górską.

– Dajcie powiedzieć, co? – westchnął Jeżyna.

– No mów, mów, tylko szybko. – Prokurator patrzył na niego zniecierpliwiony.

– Kaszubi głęboko wierzą w Boga – kontynuował Borowski – ale są jednocześnie przekonani o istnieniu czarownic, demonów i... – Jeżyna podniósł ostentacyjnie palec wskazujący – ...upiorów! I tak dochodzimy do łopiego. Musiałem trochę poszukać, ale dowiedziałem się co nieco. Łopi, w zależności od regionu nazywany też wieszczym, niełapem albo połapem, to upiór, w którego niektórzy ludzie przemieniają się po śmierci. Najpierw pożerają swoje własne zwłoki, a potem wstają z grobu, by szkodzić żywym.

– Dobra, spoko, upiory, obrzędy, czarownice. Nadal nie widzę powiązania – zauważył Leopold.

– Tu chciałbym się odwołać do publikacji doktora Nadmorskiego z końca dziewiętnastego wieku: *Wieszcz rodzi się w czapeczce*. Niech pan słucha: „Wieszczego kładą na twarz do trumny, aby nie powstał, lub przynoszą do cmentarza z jego grobu część ziemi i kładą takową do trumny, aby miał się czym żywić. Zachowują dziś jeszcze ostrożność ścinania wieszczym po śmierci głowy – powiadają, że zaszły tu niedawno dwa takie wypadki – i układania jej u nóg, aby nie przyrosła w swem miejscu”.

– Pokaż to. – Leopold wyrwał Borowskiemu książkę z rąk i zaczął czytać.

– Tu jest jeszcze rysunek. – Borowski wskazał.

Wszyscy pochylili się nad ilustracją. Obrazek do złudzenia przypominał makabryczną scenę z miejsca znalezienia zwłok, którą mieli w głowach od trzech dni.

– Dobra robota, Jeżyna. – Kita klepnął asystenta po ramieniu.

– No, Mateusz, spisałeś się! – pogratulował Bilski.

Asystent prokuratora zrobił się czerwony i szeroko się uśmiechnął.

– A o co chodzi z tą czapeczką? – zapytała Ania.

– Według ludowej wiary dzieci urodzone w czepek, czyli po prostu w błonie płodowej, po śmierci stają się upiorami – odparł Jeżyna.

– Myślałam, że jak ktoś się urodzi w czepek, to będzie miał szczęście w życiu – zastanowiła się Górka.

– Rzeczywiście, zazwyczaj urodzenie w czepek wywołuje pozytywne skojarzenia. – Mateusz Borowski zerknął w notatki. – W średniowieczu takie dzieci uznawano za stworzone do wielkich czynów. Czepek traktowano jako talizman, a kobiety sprzedawały go za duże pieniądze.

Dzieciom urodzonym w czepku często przypisywano również zdolności do zwalczania zła, przede wszystkim wiedźm i czarownic. Na wsiach uważano z kolei, że takie narodziny chronią człowieka przed utonięciem. Ale można też odnaleźć podania, że dzieci urodzone w czepku po śmierci stają się wampirami. No a na Kaszubach przyjęło się, że czeppek jest oznaką upiora.

– Czyli zapalnikiem i z drugiej strony punktem wspólnym mogłyby być narodziny w czepku? – zastanowił się Leopold.

– Jeśli można byłoby sprawdzić, które dzieciaki w okręgu urodziły się w czepkach, moglibyśmy zapobiec potencjalnym kolejnym zaginięciom – zapalił się Jeżyna. – Czy policjanci mają dostęp do baz związanych z historią medyczną?

– Jeżyna, to nie Ameryka. – Pająk uśmiechnął się pobłaźliwie. – Nasze komputery z bazami danych są połączone z wewnętrzną siecią policyjną, która nie jest podpięta do internetu.

– Serio? Przecież mamy dwudziesty pierwszy wiek! – zdziwił się Borowski. – To jak wy w ogóle pracujecie?

– Sam się czasem nad tym zastanawiam – westchnął Kita. – Wszelkie informacje tego rodzaju są udzielane po zwolnieniu lekarza lub szpitala z tajemnicy lekarskiej przez prokuratora albo sąd. Tym samym namierzenie dzieciaków urodzonych w czepkach jest, praktycznie rzecz biorąc, niemożliwe nie tylko dla policji, ale również dla sprawcy.

– Chyba że sprawca pracuje w szpitalu, przykładowo przy odbieraniu porodów – wtrącił Pająk.

– Przypominam, że Piotruś Sarman nie urodził się w Kartuzach – zauważyła Górka.

– No dobra, chyba zmierzamy w ślepy zaułek – stwierdził Bilski. – Dla pewności zapytajcie rodziców zaginionych dzieci o te czepki. Poznańską też oczywiście.

– Zajmiemy się tym – zapewnił Pająk.

– Okej. Niby się to wszystko składa – odezwał się Kita – ale czy jakieś ludowe wierzenia z zamierzchłych czasów mogą być motywem zbrodni? Dziś? W dwudziestym pierwszym wieku?

– To nie było wcale tak dawno, jak mogłoby się wydawać. Na Kaszubach, a najwięcej w okolicach Staniszewa, jeszcze w dziewiętnastym wieku odbywały się procesy czarownic. W wieszczych i łopich głęboko wierzono nawet w pierwszej połowie dwudziestego wieku – odparł Borowski. – A starsi mieszkańcy Kaszub nadal mówią o upiorach zupełnie serio.

– Mój dziadek – odezwał się komisarz Żaczek – często mi opowiadał o łopim. Twierdził, że zatrzymać upiora w grobie mogła włożona pod język moneta. Mówił też, że jak policzki leżącego w trumnie nieboszczyka rumieniły się, to trzeba mu włożyć sweter. W razie czego upiór zapłaci się w wełnę i nie wstanie z grobu. Więc jak umarł dziadek i w pustą noc czuwaliśmy przy jego trumnie, to cały czas patrzyłem, czy się nie robi czerwony na twarzy. Nawet sweter miałem przygotowany. – Waldemar Żaczek uśmiechnął się kącikiem ust.

– Wiem, że to brzmi dość nieprawdopodobnie... – zaczął Borowski.

– Brzmi, ale musimy brać pod uwagę wszystkie ewentualności, nawet te najbardziej nieprawdopodobne – przerwał mu Bilski. – Przepięstwa popełniane są z różnych pobudek. Z zazdrości, zemsty, z powodów ekonomiczno-rabunkowych, z lubieżności, poczucia krzywdy, ale też w związku z odczuwaniem lęku.

– Lub urojeniami – dodała Anna.

– Urojenia to bardzo rzadki motyw przestępstw – wtrącił się Żaczek.

– Ale jednak spotykany. – Pająk pstryknął palcami.

– Tym bardziej w miasteczku, w którym od pokoleń wierzy się w trupią ekipę. – Kowalewski trzykrotnie podniósł znacząco brwi, po czym odebrał telefon, który właśnie rozdzwonił mu się w kieszeni.

Wszyscy wymienili znaczące spojrzenia.

– No! Leśniczy Wawrzyniak w końcu nadał kierunek. – Kita zakończył połączenie po kilkunastu sekundach. – Zeszłej nocy pojechał do lasu i zaparkował koło jakiejś chaty pięć kilometrów od leśniczówki. Po czterdziestu minutach znów uruchomił silnik, a następnie wrócił do siebie. Jeden z operacyjnych od razu to sprawdził. Mówi, że koło domku kręcił się łysawy facet z kitką. Wysyłają współrzędne.

20

Szara skoda Kity przeleciała przez Kartuzy, przemknęła obok cmentarza w Byłowie i wjechała w las. Dłuższy czas trzymali się głównej drogi. Samochód podskakiwał i trzeszczał, jakby miał się rozpaść. GPS w końcu nakazał im odbić w lewo. Kita sceptycznie popatrzył na wyboistą leśną ścieżynę i zaparkował przed skrzętem, wciskając auto w krzaki. Dalej ruszyli pieszo, wzdłuż głębokich śladów terenowych opon.

Ścieżka prowadziła to w górę, to w dół. Między drzewami mignęły wody leśnego jeziora. Niebo pociemniało gwałtownie. Słońce zakryły

grube czarne chmury. Poczuli na twarzy pierwsze, na razie delikatne, krople deszczu.

Ziemia zaczęła kleić się do butów. Obok rozłożystego drzewa dostrzegli martwego zająca złapanego w sidła. Nad truchłem unosił się rój much.

– Tu zaparkował – powiedział Kita. – I wycofał. – Policjant wskazał na odcisnięte w mokrej ściółce koleiny.

Popatrzyli uważnie wokół, a następnie wspięli się na stromy pagórek, u podnóża którego dojrzeli odbity w błocie ślad turystycznego buta z traktorową podeszwą.

W dolince stała drewniana chata.

– Bingo – szepnął Kita.

Mech porastający teren wokół budynku aż fosforyzował zielenią. Na sznurkach rozciągniętych pomiędzy drzewami wisiały suszące się szmaty i skóry zwierząt.

Policjanci ostrożnie podeszli do chaty. Zajrzeli przez okna do środka, ale szare od brudu firany przysłaniały widok. Pająk mocno zapukał do drzwi. Raz jeszcze. Nie było odpowiedzi.

Deszcz się wzmaczał. Przeszli na tył budynku. O biele jak zbudowaną z desek szopę opierał się wózek myśliwski. Miał lane, lekko nieregularne koła. Na przymocowanych do ściany hakach porozwieszano różnej wielkości sidła. Kita zajrzał do wnętrza.

– O kurwa!

Szopa była zavalona narzędziami: od w miarę nowych siekier i pił po zupełnie zardzewiałe szpikulce, noże i pilniki. Pośrodku rupieciarni leżało kilka drewnianych kołków, wokół których dostrzegli kałużę zaschniętej krwi. Rozległą kałużę.

Pająk wyjął w kieszeni pojemniczek i pobrał próbkę.

– Pewnie zwierzęca, ale nie zaszkodzi sprawdzić – szepnął.

Z powrotem wyszli na polankę.

– Dobra, nie czekamy. Niech WTO zainstaluje jakąś kamerkę na drzewie, żeby podpatrzeć, co się tu odpiędała – powiedział Kita.

Po jego twarzy spływały grube krople deszczu przebijające się przez korony wiekowych buków.

Policjanci ruszyli z powrotem. Deszcz szumiał coraz głośniejsze. W oddali usłyszeli ujadanie psa.

Biegły psycholog sądowy Marcin Chraoł rozsiadł się w wygodnym zielonym fotelu. Jego ustawione pod kątem prostym cienkie nogi niemal dotykały pochylonej do przodu klatki piersiowej. W całej posturze mężczyzny było coś ptasiego. Lekko wytrzeszczone oczy, długi nos i postawione pionowo jasne włosy sprawiały, że przypominał dudka.

Prokuratorzy Leopold Bilski i Anna Górńska zajęli miejsca na kanapie. Za oknem panowała ciemność rozświetlana przez samotną lampę uliczną. W pokoju na szerokich drewnianych regałach piętrzyły się książki. Na podłodze w wysokich stosach leżały różnego rodzaju magazyny, przedruki i kserówki. Z kuchni dochodził zapach gotowanego rosółu. Dało się słyszeć pokrywkę wesoło podrygującą na parującym garnku.

– Widzę, że nie potwierdziła się hipoteza, że sprawca poszukuje dzieci narodzonych w błonach płodowych? – zaczął mężczyzna, odkładając na stojący nieopodal fotela stolik okulary o grubych szklach.

– Nie, jedynie Piotruś Sarman urodził się w czepku.

– Yhm. To by znaczyło, że z punktu widzenia sprawcy ważne jest samo ułożenie zwłok, a ofiary dobierane są według innego klucza, o ile w ogóle można mówić o kluczu. Seryjni mordercy często kierują się zupełnie przypadkowym wyborem. No dobra. Nie miałem za dużo czasu, by zapoznać się ze sprawą. Ale coś niecoś mogę powiedzieć. – Biegły odchrząknął. – Jeśli wasze przypuszczenia są słuszne i możemy potraktować ułożenie ciała zmarłej jako znaczący aspekt, mamy do czynienia z motywem urojeniowym. Popełniane przestępstwa, w tym często drastyczne zabójstwa, wiążące się z bardzo specyficznym traktowaniem zwłok ofiar, wynikają często z choroby psychicznej, zazwyczaj schizofrenii. Zabójca słyszy głosy, które nakazują mu działać w określony sposób. W przypadku schizofrenii paranoidalnej u osoby chorej mogą występować halucynacje. Towarzyszą jej też urojenia, na przykład o istniejącym spisku czy popełnionej zdradzie. Ale urojenia mogą dotyczyć też przykładowo wykradania myśli i działania mrocznych sił, z którymi trzeba walczyć na śmierć i życie.

– Ale to nie znaczy, że szukamy osoby, która przejawia zauważalne aberracje psychiczne, prawda? – westchnął Bilski.

– Cóż, może tak, a może nie – stwierdził Marcin Chraoł. – Pod uwagę należy tutaj też wziąć paragnomen, czyli niezwykle i niespodziewane zachowanie zdrowej osoby, które może stanowić objaw początku choroby psychicznej. Zachowanie takie może przejawiać się właśnie w uprowadzeniu czy zabójstwie. Co więcej, druga opcja, o której muszę wspomnieć, rozważając motyw urojeniowy, zakłada, że sprawca może

cierpieć na osobowość borderline, w której również ujawniają się urojenia. W takim wypadku przestępca jest zupełnie samodzielny i pozornie funkcjonuje normalnie.

– Jak objawia się takie borderline? – zapytała Anna.

– U każdego pacjenta wygląda to inaczej, choć występują pewne wspólne powtarzające się objawy – odpowiedział psycholog. – Większość ludzi z osobowością borderline ma trudności w kontrolowaniu emocji, co oznacza, że zachowują się impulsywnie. Z drugiej strony zdarza się, że są wręcz nadmiernie opanowani i przesadnie kontrolują swoje emocje. W tej grupie pacjentów przeważają osoby wykształcone, inteligentne i przykładające dużą wagę do tego, jak są postrzegane przez otoczenie. W pewnym momencie długo tłumione uczucia wybuchają jednak ze zdwojoną siłą.

– Czyli szukamy kogoś, kto zachowuje się agresywnie lub nad wyraz spokojnie? Za bardzo nie zawęźa to grupy podejrzanych – stwierdził ironicznie Leopold.

– Są jeszcze inne objawy – kontynuował biegły. – Zmienność nastrojów, lęk przed odrzuceniem i trudności w relacjach interpersonalnych, ryzykowne zachowania, autodestrukcja i próby samobójcze, zaburzenia tożsamości i psychotyczne dekompensacje.

– Czyli? – zapytał Bilski.

– Chorzy często nie potrafią określić, kim są i co naprawdę czują lub myślą. Podsumowując, specjaliści sytuują borderline pomiędzy nerwicą a psychozą. Osoby z takim rozpoznaniem przeważnie funkcjonują lepiej niż pacjenci z psychozą, ale gorzej niż ludzie cierpiący na nerwicę.

– No dobrze, a czy jest możliwe, by wiara w upiory była aż tak silna, by z tego powodu chory porywał dzieci? – spytała Anna.

Hipoteza zabrzmiała w jej uszach tak absurdalnie, że aż z niedowierzaniem prychnęła.

– Słyszeliście o amerykańskim seryjnym mordercy, nekrofilu i kanibalu Richardzie Trentonie Chasie? – odpowiedział pytaniem na pytanie niewzruszony lekarz. – Działał w latach siedemdziesiątych.

– Chodzi panu o Wampira z Sacramento? – zapytał Leopold.

– Dokładnie – odparł Chraboł.

– Omawialiśmy kiedyś jego przypadek na uczelni – powiedziała Anna.

– Chase był uzależniony od picia krwi. Najpierw zabijał króliki i psy, potem przerzucił się na mordowanie ludzi. Ofiarom spuszczał z ciała krew, a następnie ją wypijał.

– Yhm – przytaknął psycholog. – Ale czemu to wszystko robił?

Bilski i Górka milczeli w oczekiwaniu na ciąg dalszy.

– Otóż Chase uważał, że ktoś ukradł mu tętnicę płucną, jego głowa zmienia kształt, a krew obraca się w proszek. Wierzył, że picie krwi ofiar pomaga mu hamować te organiczne zmiany.

Nastąpiła chwilowa cisza. Leopold i Anna przetrawiali informacje.

– Czasami się wydaje, że to, co się wydaje, naprawdę jest. – Psycholog wybuchnął niespodziewanym chichotem. – Fajne, nie? Gdzieś się kiedyś natknąłem na takie zdanie. Zupełnie adekwatne. – Niewinnie wzruszył ramionami.

Prokuratorzy wymienili spojrzenia. „Biegły psycholog też musi być niezłym świrem” – pomyślał Bilski i spytał:

– Przechodząc do konkretów: kogo by pan obstawiał?

Biegły Marcin Chraoń postukał palcami w oparcie fotela i zrobił skupioną minę.

– Sprawcą przestępstw opierających się na motywie urojeniowym przeważnie jest mężczyzna w dojrzałym wieku. Podejrzałbym, że sprawca ma między czterdzieści a sześćdziesiąt lat, co wynika z faktu, że tak osobliwe i silne zaburzenie musi mieć czas, by się rozwinąć. Zabójca urojeniowy najczęściej dokonuje zbrodni w miejscu, w którym czuje się najbezpieczniej, a tym samym chłopca lub, nie daj Boże, jego ciała szukałbym w domach czy mieszkaniach osób podejrzanych, jeśli takowych już macie. Mogę również przypuszczać, że wasz sprawca to seryjny, i jeśli nie myli mnie intuicja, powiedziałbym, że podobnych uprowadzeń dopuścił się już wcześniej.

Leopold zerknął na Annę. Ta wysoko podniosła brwi.

– No właśnie. – Biegły doskonale odczytała mowę ciał swoich rozmówców. – Rozumiem, że nie chcecie wywoływać paniki?

– Nie do końca o to chodzi. Po prostu przypadek podobny do naszej sprawy miał miejsce dość dawno – odpowiedziała Górka.

– To wcale nie wyklucza, że porwań dopuścił się ten sam sprawca – stwierdził mężczyzna. – Uczyli was pewnie na studiach o okresach wyciszenia. Otóż seryjni mordercy bardzo często dokonywali jakiejś zbrodni, a następnie przez ćwierć wieku czy więcej nie ujawniali swoich inklinacji. Fakt, że coś uszło im na sucho, może jednak sprawić, że stają się mniej uważni. Podejmują spontaniczne działania, i tak pewnie było z porwaniem chłopca tuż po uprowadzeniu dziewczynki.

Leopold i Anna wstali z miejsc. Podziękowali za rozmowę i pożegnali się z biegłym. Mieli wiele do przemyślenia.

Stali już przy bramie, gdy Marcin Chraoń za nimi wybiegł.

– Jeszcze jedno! – powiedział lekko zdyszany. – Zdarza się, że działania o charakterze urojeniowym wzmacniane są przez inne motywy. Urojenia bardzo często dotyczą relacji, no wiecie, emocjonalnych czy też erotycznych. Więc należałoby wziąć też pod uwagę motyw seksualny uprowadzeń.

22

Prokurator Stefan Pakosz świdrował Bilskiego wzrokiem. Choć nie wypowiedział ani słowa, myśli wyraźnie się w nim kotłowały. Przetrawiał.

Poprzedniego wieczoru przeszukano posiadłość Bogdana Chojnackiego. Nie zabezpieczono żadnych kaset, płyt CD ani innych nośników z materiałami o charakterze pedofilskim. Leopold chodził zdenerwowany w tę i w tę, nie mogąc uwierzyć, że nie natrafili na nic świadczącego o karalnych skłonnościach filantropa.

Dopiero sprawdzenie laptopa Chojnackiego przyniosło przełom. Materiał zgromadzony w zakodowanej chmurze nie pozostawiał cienia wątpliwości, że biznesmen swoją działalnością charytatywną zagłuszał chore sumienie.

Choć technicy pracowali wiele godzin, nie odnaleziono jednak żadnych śladów prowadzących do Piotrusia Sarmana. Dlatego Bilski, zgodnie z sugestią Nestle, zdecydował się sprawdzić nieruchomości kościelne. Czas ich naglił. Szanse, że znajdą chłopczyka żywego, malały w zastraszającym tempie.

Stefan Pakosz to patrzył na Leopolda powątpiewająco, to znów mruczał coś pod nosem, od czasu do czasu kręcąc głową. Po jakichś dziesięciu minutach tego przedstawienia podniósł się z fotela, podszedł do okna i powiedział ni to do Bilskiego, ni to do siebie:

– Przeszukamy parafię, to wierni nas zlinczują. Nie przeszukamy, też nas zlinczują, tylko że środowiska liberalne. Co nie zrobimy, będzie chujnia.

Szef kartuskiej prokuratury odwrócił się raptownie do Leopolda.

– To kto ma cię dymać, Bilski? Katole czy liberały?

– Cóż, słyszałem, że paradoksalnie najlepiej dymają ci, którym to nie przystoi – odpowiedział zgryźliwie Leopold.

– A zatem katole – odparł cierpko Pakosz. – Ale dupę to sam będziesz nadstawiać.

Bilski skinął głową, podpisał wcześniej przygotowane postanowienie o przeprowadzeniu przeszukania i pognął z Anną Górską na Dworcową. Za nimi ruszyły trzy policyjne suki.

Rynek wypełniony był ludźmi. Jedną stronę zajmowało kilkuset wyznawców księdza Wojciecha. Religijne pieśni i ostentacyjnie głośne modły od wczorajszej konferencji niosły się po ulicach miasta. Zgromadzeni powoli zaczęli popadać w religijną ekstazę niczym obrońcy krzyża pod Pałacem Prezydenckim. W rękach ściskali różańce, płakali, a nawet organizowali przemarsze na kolanach w stronę kościoła. Raz po raz wykrzykiwali: „Żydzi!”, „Komuniści”, „Totalna opozycja”. Najczęściej jednak w kierunku stojących po drugiej stronie manifestantów z transparentami „Dość ukrywania przestępców w sutannach” i „Stop pedofilom w sutannach” skandowali hasło: „Hańba”. Panował ogólny chaos. Napięcie rosło. Rychłe starcie obu grup wydawało się nieuniknione. Stojący pod kościołem policjanci w czarnuchach bacznie obserwowali sytuację, gotowi interweniować.

Saab, skoda i trzy radiowozy podjechały prosto pod mieszkanie na plebanii. Bez sygnałów dźwiękowych, by dodatkowo nie podjudzać i tak napiętej do granic atmosfery. Niebieskie koguty wystarczająco przyciągnęły uwagę. Na placu szybko zaczęli zbierać się ludzie. Ktoś rzucił pomidorem. Rozplaskał się na przedniej szybie buicka Kity. Pająk zdusił głupi uśmiech. Kowalewski posłał mu groźne spojrzenie. Tłum znów zaczął skandować. „Żydzi”. „Komuniści”. „Totalna opozycja”. Ktoś krzyknął: „Całowanie dzieci to nie molestowanie!”. Nikt jednak nie odważył się wyjść przed szereg.

Gospoia, która otworzyła im drzwi, długo gapiła się tępym wzrokiem w postanowienie o przeszukaniu. W końcu wprowadziła funkcjonariuszy do kuchni. Ksiądz Wojciech siedział przy stole. Wpatrywał się w swoje ręce. Na blacie stała butelka wódki, obok napęczniony kieliszek.

– W domu Bożym coś takiego się działo – powiedział jakby do siebie. – Pod moim dachem. – Pokiwał głową i sięgnął po kieliszek.

Opróżnił go jednym haustem.

– Ja nic nie wiedziałem, naprawdę. – Duchowny wreszcie podniósł oczy na stojącego naprzeciwko prokuratora. – Chórem zajmował się organista, a w środowe i piątkowe wieczory przeważnie chodziłem z posługą. Tak się przyjęło. Ja... Ja nic nigdy nie zauważyłem złego.

Ksiądz zaczął płakać.

Bilski patrzył na niego uważnie. Zastanawiał się, czy przez tyle lat można było nie zauważyć dziejącej się dzieciom krzywdy? Czy naiwność

stanowiła wystarczające usprawiedliwienie?

– O tym, ile wiedzieli ksiądz i organista Filipiak, zadecyduje sąd – stwierdził. – Tymczasem musimy przeszukać teren.

Dał policjantom znak, by wzięli się do pracy.

– Plebania, kościół, zakrystia. Podziemia, jeśli jakieś tu są – polecił funkcjonariuszom. – Macie zajrzeć w każdą myśią dziurę. A! I zarekwirować wszelkie komputery i inne sprzęty elektroniczne.

Ksiądz Wojciech opadł z powrotem na krzesło, potrącając nogę stołu. Butelka wódki przewróciła się z hukiem. Alkohol rozlał się na białą dzierganą serwetę.

23

W mieszkaniu panował totalny bałagan. Ponownie. Rzeczy w szafach zostały wywrócone do góry nogami, zawartość wszystkich szuflad leżała na podłodze. Zdjęto wiszące na ścianach obrazy i wyjęto je z ram.

Organista Radosław Filipiak patrzył na pobjawisko i z niedowierzaniem kręcił głową.

„I kto to teraz będzie sprzątał? – myślał. – Ech, się porobiło. Porobiło” – westchnął i podniósł z dywanu pierwszy lepszy przedmiot. Rozejrzał się wokół, szukając dla niego najlepszego miejsca. Nie znalazłszy żadnego, odłożył rzecz z powrotem.

Zgrzytnął klucz. W drzwiach wejściowych stanął Arek. Już bez opatrunku na twarzy.

– I jak? Nie musieli łamać? – Organista podszedł do syna. – No, nie wygląda tak źle.

– Kurwa, co tu się stało? – Arek zdziwiony rozejrzał się wkoło.

– Znowu piłeś – z wyrzutem stwierdził Radosław.

– Piłem, a co mam niby robić? Już mi nic nie zostało. Nic! – huknął Arek. – Dobrze, że ta suka chociaż dostała za swoje – warknął pod nosem i znów rozejrzał się wokół. – To co tu się, kurwa, znowu odpierdalało? Myśla, że w szafie z podwójnym dnem tego dzieciaka schowałem?

– Nie, synuś. Tym razem nie chodziło o ciebie. Czegoś szukali, ale się pomylili.

– Niby czego, co? – Arek zmierzył ojca badawczym wzrokiem. – Ile jeszcze będziesz tego Chojnackiego krył, co? – warknął i rozdrażniony kopnął walający się na podłodze kalosz.

– Zamknij się, synuś.

– Myślisz, że ja ślepy jestem? Że nie wiem, że dzieciaki temu zbokowi organizowałeś, co? – Arek zatoczył się do tyłu.

Twarz Radosława Filipiaka wykrzywił grymas wściekłości. Zaczesała zsunęła się do tyłu, odsłaniając zniekształconą czaszkę.

– A ty myślisz może, że leki dla ojca są za darmo? Albo twoje przeszczepy były za darmo? Tak myślisz? Jakby nie Chojnacki, tobyś nie mógł nawet na ulicę wyjść, boby wszyscy uciekali. Nie pamiętasz, jak to na początku wyglądało?!

– Jo, ojciec. Na mnie zwalaj swoje grzechy. – Arek zniecierpliwiony machnął ręką. – Wasze to grzechy są! Wasze! Zboki. – Splunął z obrzydzeniem na dywan i wyszedł z pokoju, trzaskając z całej siły drzwiami.

Radosław Filipiak aż podskoczył. Powoli osunął się na podłogę. Uklęknął jak do modlitwy.

Czy Arkadiusz miał rację? Czy organista naprawdę nie wiedział, co się działo z dziećmi, które Chojnackiemu woził? Nie wiedział i wiedzieć nie chciał. Chojnacki zawsze dla dzieci był uprzejmy i miły. A że pogładził po włosach czy po plecach? To przecież normalne ludzkie zachowanie bliźniego względem bliźniego. I że do stemplowania świętych obrazków brał jednego czy drugiego? Przecież ktoś to musiał robić, ot co.

Zdarzyło się, że Radek musiał dla Chojnackiego jeden czy dwa pożary ugasić, ale tak to jest, jak się chce innym pomagać. Ludzie niejedno potrafią sobie wmówić i niejedno dla pieniędzy zrobią. Jak z tym małym Adasiem Poznańskim na przykład było. Chłopiec chudy, zaniedbany, w domu bida taka, że aż piszczalo, to Bogdan przygarnął, opieką otoczył, jak swojego traktował. Radosław też pomagał, woził, odwoził, żal mu małego było. A tu nagle chłopiec znika, a niewdzięczna matka filantropa oskarża, grozi, że jak nie zapłacą, to powie, że Czapiewski małego molestował, że wykorzystał. To zapłacili, co mieli robić. Co z tego, że okazało się potem, że syna do jakiejś rodziny wysłała? Zapłacili, bo dobre imię Bogdana Chojnackiego więcej warte przecież niż pieniądze. A i tak na szczytny cel poszły, bo przecież na dzieci, co w niedostatku żyją, to i sam Bóg wynagrodzi takie działanie.

Organista westchnął ciężko. Sam nie wierzył w wersję, którą sobie od lat powtarzał, by zagłuszyć sumienie. Znów prześlizgnął się wzrokiem po bałaganie, jaki zostawili po sobie policjanci. Może panią Alinkę poprosić? Pewnie pomoże posprzątać, dobra kobita, gospodarna, zawsze chętna, by szyby Filipiakom na święta umyć czy nawet obiad podrzucić. Tak, pani

Alinka ogarnie to najszybciej. Ta myśl podniosła organistę na duchu. Wstał z klęczek.

Zegar wybił dwudziestą i dało się słyszeć zawodzenie starego. Wieczorem bóle ojca się nasilały. Radosław Filipiak poszedł do dużego pokoju i wyjął z szafki strzykawkę.

24

Ciepło jest. Światło jest. Mama jest.

Ciepło jest. Światło jest. Mama jest.

Chłopiec szeptał do siebie w ciemności.

Mężczyzna od dawna ani razu nie zszedł do piwnicy. Według jego obliczeń dwa dni i drugą noc. Może o nim zapomniał? Zapomniał, że go tu zamknął w piwnicy; zimnej, ciemnej, samotnej.

Ciepło jest. Światło jest. Mama jest.

Piotruś powtarzał te słowa jak mantrę. Na chwilę to pomagało. Chłopiec widział swoją sypialnię. Pełną książek i zabawek. Pełną kolorów i faktur. Pełną słońca wpadającego przez okno. Leży pod kołderką i tuli Kicusia. A mama czyta mu do snu. Gdy kończy, całuje Piotrusia w czoło, kładzie się obok. Zwija się jak kot i głaszcze go po włosach. Chłopiec wyraźnie czuje jej zapach. Zapach mamy; jedyny i niepowtarzalny. Mógłby ją po nim poznać z zamkniętymi oczami. Gdyby teraz tu się znalazła, od razu by wiedział, że po niego przyszła. Choć panuje ciemność tak głęboka jak najgłębsza noc.

Ciepło jest. Światło jest. Mama jest.

Mały uśmiecha się w ciemności. Wspomnienie zapachu jest tak rzeczywiste. Przez moment wierzy, że jest w domu, a to co teraz, to tylko zły sen. Jednak zapach szybko rozplywa się w powietrzu i Piotruś nie może długo udawać, że to wszystko się nie dzieje. Zły pan go zabrał od mamy, a teraz o nim zapomniał.

Czy umrze i pójdzie do nieba jak tatuś? Mama mówiła, że niebo to dobre miejsce, o wiele lepsze niż ziemia. Tak mówiła. Miło byłoby zobaczyć się z tatą. Może zabrałby go na frytki i hamburgera, a potem by poszli do kina na najnowszą bajkę. O ile w niebie jest kino. Ale musi być, bo w fajnym miejscu musi być kino. Inaczej byłoby do kitu. Więc na pewno kino jest.

Ciekawe, czy dziewczynka też poszła do nieba. A może ten mężczyzna oddał ją rodzicom, bo wziął sobie w zamian Piotrka? Ale wtedy by

o Piotрку nie zapomniał. Chłopczyk już nic nie rozumiał. Nie wiedział, dlaczego tu jest. Po co go mężczyzna zabrał?

Tata zawsze mówił, że wszystko dzieje się po coś. Że los zsyła nam coś dobrego, bo nas nagradza, tak jak tacie los zesłał mamę, bo się wcześniej zawsze dobrze sprawował. A jak dzieje się coś złego, to los nas wystawia na próby. Więc teraz Piotruś ma próbę. I musi być dzielny, bo tata na pewno przygląda się z góry, jak sobie jego synek radzi.

Ciepło jest. Światło jest. Mama jest.

Musi być dzielny, żeby wrócić do domu do mamy. Albo pójść do nieba do taty. To już los sam wiedział, co będzie lepszą nagrodą.

1

Chłopiec siedział przy stole. Plecy matki były lekko garbate. Z każdym dniem pracy w zakładzie mięsnym jej kręgosłup coraz bardziej się zaokrąślał. Garnki pobrzękiwały. Młoda kobieta stała przy zlewie. Mechanicznym ruchem wyciągała rękę po naczynie, zanurzała je w ciepłej wodzie z pianą, przejeżdżała gąbką i płukała pod bieżącą wodą w prawej komorze.

– Jak w szkole? – zapytała, nie odwracając się.

– Dobrze – odpowiedział chłopczyk.

Zdziwiony podniósł głowę. Matka nigdy nie interesowała się tym, jak minął mu dzień.

– Yhm – mruknęła kobieta i zanurzyła w wodzie kolejny talerz.

Chłopiec chwilę odczekał. Gdy następne pytanie nie padło, znów zajął się zabawą. Samochodzik uderzył w drugi samochodzik. Oba się przewróciły. Pasażerowie wypadli na zewnątrz.

– Ocenę jakieś przyniosłeś? – ponownie odezwała się matka.

Syn wzruszył ramionami i wpatrywał się w ludziki leżące na stole. W prawdziwym wypadku mocno by ucierpiały. Rozbiłyby sobie głowy. Nie byłoby co zbierać.

– Czy jakieś oceny przyniosłeś, pytam? – Matka odwróciła się w jego stronę i patrzyła teraz prosto na niego.

– Tak, trójkę z matematyki – szepnął malec.

– Aha. – Matka zmrużyła oczy, jakby chciała go prześwietlić.

Może wiedziała, że trafiła się jeszcze dwójka z polskiego? Ale niby skąd miała wiedzieć? Przecież w szkole nie pojawiała się niemal nigdy.

Kobieta przypatrywała się synowi jeszcze jakąś chwilę. Na jej ustach zamajaczył ten dziwny grymas, który chłopiec widział u niej już nieraz. Ale zaraz zakryła go maska obojętności. Twarz matki znów była martwa i nijaka. Garnki brzdęknęły. Ręce zanurzyły się w pianie. Maleńka bańka poszybowała w powietrze. Uniosła się na metr, a chłopiec wodził za nią wzrokiem, aż pękła.

Dźwięk wsysanej do rur wody oznajmił, że matka wyjęła kurek ze zlewu. Wytarła ręce w ścierkę wiszącą na uchwycie kuchenki i zamieszała

w stojącym na gazie rondlu z bulgoczącym sosem mięsnym. Polizała chochlę i pokiwała głową.

– Dobry wyszedł – powiedziała jakby do siebie.

Wyjęła z koszyczka ogórek i sięgnęła po nóż.

– Ugotowana kasza jest pod pierzyną u babci w pokoju – rzuciła głośniej. – Na pewno jest jeszcze ciepła.

Przekreśliła nóż w dłoni. W ostrzu błysnęło odbite światło wiszącej pod sufitem rattanowej lampy. Kobieta chwilę mu się przypatrywała i w końcu zaczęła ciąć.

Chłopiec podniósł głowę, gdy matka usiadła na odstawionym od stołu krześle, a nóż położyła na blacie.

Ściekająca po jej palcach krew kapłała na podłogę. Rany na obu nadgarstkach były głębokie i ciemne.

Na jej twarzy pojawił się nikły uśmiech.

2

Babcia siedziała na bujanym fotelu. Przykryta kocem, cicho pochrapywała. Chłopcy stali w progu pokoju, przyglądając się jej.

Kobieta chrapnęła głośniej, zamlaskała ustami i spała dalej.

Dzieci wybuchły śmiechem, zasłaniając buzie dłońmi.

– Ciii. – Chłopiec w swetrze w czerwone romby przyłożył palec do ust i dał znać koledze, by poszedł za nim.

Na palcach weszli do środka. Regały na ścianie zastawiono książkami. Piętrzyły się jedne na drugich. Chłopiec przystawił cicho krzesło do półek i wspiął się na palce. Z wysiłkiem dosięgnął do albumu i chwycił za obwolutę. Krzesło zachybotowało się. Mały szybko przykucnął i ciężko odetchnął. Zeskoczył bezgłośnie na podłogę i położył album na ziemi.

Przerzucał kartki z czarno-białymi ilustracjami, aż wreszcie zatrzymał się na jednej ze stron.

– Tak wyglądał? – zapytał szeptem, wskazując na rysunek.

Michał uklęknął i pochylił się nad książką. Pokręcił głową.

– Nie. Nie tak. – Ponownie przyjrzał się upiorowi. Rozwichrzone włosy, wykrzywiony pysk, kilka par wyciągniętych rąk. – On się nie zmienił. Nadal wyglądał normalnie, jak facet. Tylko wył i miał czerwone oczy. No i twarz mu się dziwnie wykrzywiła.

– To może tylko udawał łopiego?

- Może udawał, nie wiem. – Jasnowłosy chłopiec wzruszył ramionami.
 - Ale na pewno był zły.
 - A który to?
 - Ten bogacz, wiesz.
 - A! No wiem. I co ci robił?
 - Nic.
 - A mówiłeś, że coś ci robił.
- Michał Pakosz nie odpowiedział. Z chmurną miną pochylił głowę.
- Chcesz wiedzieć, jak go zabić? – Szatyn szturchnął go w bok.
- Przerzucił kilka kartek i z entuzjazmem powiedział:
- Trzeba odciąć mu łeb i położyć między nogami. Wtedy go nie dosięgnie i nie da rady sobie z powrotem przyczepić.
 - No co ty? – zdumiał się Michał.
 - Patrz. – Chłopak wskazał na ilustrację. – Będzie lecieć krew, dużo krwi. I wtedy łopi się uspokoi.
 - Ble.
 - No, fajne, co nie? – potwierdził szatyn i z fascynacją wpatrywał się w stronę albumu.
 - Myślisz, że twoja matka, wiesz... że łopi po nią przyszedł? – Michał z szeroko otwartymi oczami zerknął na kolegę.
 - Nie, ona miała zwykły wypadek – skłamał szatyn.
- Chłopak nie odrywał wzroku od książki, ale przed oczami stanęła mu matka siedząca na krześle przy stole. Miała minę, której nie znał, ale to krew chłopczyk zapamiętał najlepiej. Czerwoną i lepką, powoli rozlewającą się po posadzce. Od tego dnia jej nie widział. Babcia mówiła, że zamknęli ją w ośrodku i tak będzie dla niej lepiej.
- To co? – zapytał.
 - Co co?
 - Mam ci pomóc z tym facetem?
 - Nie, poradzę sobie sam.
 - Jak chcesz. Zobacz na to! – Chłopak przejechał palcem po ilustracji do kikutu szyi ze starannie narysowanymi wystającymi z niej ścięgnami i kośćmi. Nad trumną pochylali się z pochodniami zatrwożeni ludzie. – W kolorze wyglądałoby lepiej. – Zmrużył oczy.
- Kobieta znów głośno chrapnęła i raptownie otworzyła oczy.
- A co wy mi tu...
 - Szybko! – Szatyn złapał blondyna za rękę i ze śmiechem uciekli z pokoju.

1

Dzik był naprawdę duży. Największy, jakiego kiedykolwiek ustrzelił. Sto kilogramów jak nic. Sto siedemdziesiąt centymetrów długości, metr wysokości. Piękny okaz.

Mężczyzna mruknął zadowolony.

Z wysiłkiem ściągnął tuszę z podwody i ułożył ją na grzbiecie. Podłożył na wysokości żeber drewniane klocki. Gruby klocek wsunął pod łeb, by mieć dobry dostęp do tabakiery. Wziął do ręki ostry nóż myśliwski o stalowym, gładkim ostrzu. Ścisnął rękojeść z drzewa orzechowego i zaczął ściągać skórę z zuchwy, kierując się do jej nasady. Następnie zajął się szczęką. Siłował się chwilę z mocnymi ścięgnami. W końcu udało mu się dostać do okostnej otaczającej fajki.

Odłożył nóż i sięgnął po piłkę do metalu. Właśnie ją stosował do cięcia kości gwizdu. Była ostra i skuteczna. Znacznie lepsza od wykorzystywanej przez niektórych stolarskiej płatnicy. Cięcie zuchwy przeprowadził tuż za pierwszym zębem trzonowym. Części szczęki odciął trzy centymetry za zgrubieniem okostnej okalającej fajki. Ten etap lubił najbardziej, bo wymagał precyzji i skupienia. Cięcie musiał prowadzić bardzo starannie, by nie uszkodzić uzyskiwanego oręza. Wielu myśliwych popełniało przy tym błędy. Ale nie on. Jego trofea były bezbłędne i piękne. I w końcu zostały dostrzeżone.

Mężczyzna przyjrzał się orężowi. Poczował zadowolenie. Odciętą część ryja włożył do foliowego woreczka i naciągnął na nią fragment obielonej skóry. Czekąło go jeszcze moczenie, gotowanie, usuwanie korzenia, czyszczenie i wypełnienie otworów zębowych twardym wypełniaczem. Ale to już pestka. Tu można było działać rutynowo, bez wielkiego skupienia.

Myśliwy chwycił worek i ruszył w stronę domu. Myślał o zadaniu, które niebawem go czekało, a po jego ciele przeszedł dreszcz.

2

– Cześć. – Prokurator Anna Górska weszła do pokoju policjantów z wydziału techniki operacyjnej przy Komendzie Wojewódzkiej Policji w Gdańsku. – Dzwoniłeś. I jak tam? Coś mamy?

– Potwierdziliśmy tożsamość Smoka. – Młody technik kryminalistyki Witold Ignatowicz zastopował obraz, odwrócił się od monitora i zerknął w notatki. – To Henryk Smoczyński, urodzony w Kartuzach. Odpowiadał w dziewięćdziesiątym trzecim za kłusownictwo i nielegalne posiadanie broni. Podczas przeszukania zabezpieczono u niego kilka dubeltówek, w tym jedną samoróbkę, kilkanaście sztuk amunicji, tuszę zwierzęcą oraz trofea myśliwskie. Dostał wtedy zawiasy trzy na pięć lat. W dwutysięcznym miał sprawę związaną z handlem substancjami nielegalnymi, w tym środkami obezwładniającymi dla dużych zwierząt. W procesie poszlakowym nic nie udało mu się udowodnić. Następnie koleś gdzieś wsiąkł i wszelki śluch po nim zaginął.

– Aż do teraz – stwierdziła Anna.

– Aż do teraz. – Ignatowicz ponownie włączył nagranie.

Przewinął do przodu, a na ekranie pojawił się mężczyzna. Wyszedł z drewnianej chaty, pokręcił się po obejściu, narąbał kilka szczapek drewna i znów skierował się w stronę domku.

Technik zatrzymał obraz w momencie, gdy facet spojrzał w stronę zainstalowanej na drzewie kamery, i przybliżył obraz.

W rozpixselowanym kadrze pojawiła sylwetka mężczyzny z kozią bródką i delikatną łysiną przykrytą przez cienkie włosy spięte w kucyk.

– Wczoraj rano odwiedził go leśnik Wawrzyniak. Poszli razem polować.

– Ignatowicz przesunął kursor o spory kawałek. – Wrócili późnym popołudniem z sarną. Potem ją obrabiali na podwórku.

Na ekranie pojawiła się rozplątana tusza sarny, z której Smok wyjmował wnętrzności. Leśniczy stał tuż przy nim i patrzył. Mówił coś i co chwila wybuchał śmiechem.

– Okej. – Górska odwróciła wzrok od monitora. – Coś podejrzanego?

– Na razie nic. Ale wyślę człowieka po kolejny twardy dysk, może wydarzyło się coś bardziej spektakularnego niż oprawianie zwierzyny.

– Dzięki.

– Do usług. – Technik się uklonił. – A coś dostanę za dobrą pracę? – Uśmiechnął się kokieterycznie.

– Nooo, jasne – odparła zalotnym tonem Ania. – Wypłatę.

Postukała się w głowę i wyszła z pokoju.

3

Przeszkłone nowoczesne budynki odbijały słońce. Anna Górska, która wjechała na teren Gdańskiego Parku Naukowo-Technologicznego, musiała zmrużyć oczy. Polska Agencja Kosmiczna mieściła się w sekcji C, którą udało jej się namierzyć po kilku minutach błędzenia.

Bilski czekał oparty o drzwi wejściowe. Wyrzucił niedopałek papierosa do kosza i uchylił zapraszająco drzwi. Anna przeszła przez nie bez słowa.

– Trzecie piętro – rzucił prokurator, gdy zmierzali w stronę windy.

– Wie, że będziemy?

– Tak, powinien już na nas czekać. Agencja rusza dopiero za trzy tygodnie, ale specjalnie przyjechał.

Ciche syczenie wypełniło szyb. Drzwi windy otworzyły się z brzdęknięciem na przestronny korytarz. Pachniało klejem do wykładzin.

– Proszę, proszę – przywitał ich Adam Wierciński.

Pucołowaty szef Departamentu Badań i Innowacji poprowadził Leopolda i Annę do jednego z gabinetów. Ściągnął pudła z krzesel stojących przy szerokim stole.

– Przepraszam, dopiero się urządzamy. Jeszcze ciągle w rozsypce. – Rozłożył ręce i nieśmiało się uśmiechnął.

W jego policzkach pojawiły się dołki.

– Czym mogę służyć? Pan prokurator mówił przez telefon, że to coś pilnego.

– Tak – odpowiedział Bilski, siadając. – Chodzi o konsultację w sprawie karnej.

– Zamieniam się w słuch.

– Zastosowanie technologii kosmicznej w życiu codziennym. Mamy coś takiego?

– Oczywiście. Kosmos to poligon technologii, z których później korzystają inne branże. Coraz więcej firm adaptuje rozwiązania stworzone na potrzeby eksploracji kosmosu. Często dzięki temu powstają innowacje, które rewolucjonizują gospodarkę – zapalił się Wierciński.

– W Polsce też? – zapytała Anna.

– Pewnie. Coraz więcej polskich firm stawia na innowacyjność. Przykładowo Grupy Kapitałowe PGE czy poznańskie Zakłady Cegielskiego wykorzystują technologie laserowe Scanway, monitorując proces eksploatacji turbin wiatrowych. Rozwiązania kosmiczne testowane są też w zakresie optyki czy systemów wizyjnych...

– Okej. A coś prostszego? – przerwał Bilski.

– Rozwiązania pomyślane dla przemysłu kosmicznego są wykorzystywane w rolnictwie, nawigacji morskiej, w branży ubezpieczeniowej, a nawet w turystyce.

– Przykładowo?

– Czujniki dymu, filtry węglowe. One zostały opracowane z myślą o kosmosie. Mamy narzędzia neurochirurgiczne i inne narzędzia medyczne, płynne paliwo do stabilizacji budynków, kamery samochodowe, nawóz roślinny, a nawet nakrętkę do składania kija golfowego. No i wiadomo: selfie – wymieniał Wierciński.

– Coś jeszcze?

– Co jeszcze? – zastanowił się specjalista. – Mleko modyfikowane dla dzieci, pianka poliuretanowa, szczelne opakowania, kostiumy kąpielowe, soczewki UV odporne na zarysowania, odkurzacz bezprzewodowy, koce ratunkowe, technologie odmrażania, skafandry strażackie. – Naukowiec przerwał i uśmiechnął się uprzejmie. – Proszę państwa, tak to my do niczego raczej nie dojdziemy. To bardzo obszerna tematyka. Musiałbym wiedzieć, o co tak naprawdę chodzi.

Leopold i Anna spojrzeli po sobie.

– To bardzo delikatna sprawa – zaczęła Górka.

– Rozumiem. Mogą państwo liczyć na moją dyskrecję.

Prokuratorzy ponownie porozumieli się wzrokiem. Bilski zaczął:

– We wtorek odnaleźliśmy w kartuskim lesie ciało zamordowanej trzynastolatki.

– Tak, słyszałem. Okropna tragedia.

– Ślady wskazują na to, że dziewczynka była krępowana. Ręce zostały związane sznurem, natomiast otarcia na nodze są dość specyficzne. Badania laboratoryjne wykazały, że na kostkę ofiary nałożono obrożę lub zatrząsk wyprodukowany z niecodziennego materiału.

Anna podała Wiercińskiemu dokument z wynikami badań.

– To jakieś lekkie, twarde, a zarazem elastyczne tworzywo sztuczne. W składzie ma między innymi wysokiej wytrzymałości stal i polimer. Reszta składu została opisana.

Wierciński pochylił się nad kartką.

– Yhm – mruknął. – Faktycznie, materiał o innowacyjnym składzie, niewątpliwie może wywodzić się z branży kosmicznej.

– Na co pan stawia?

– Mam pewien pomysł – powiedział. – Jakiś czas temu pojawiła się technologia, która by tu pasowała.

Górka i Bilski zastygli w oczekiwaniu.

– Oczywiście nie mam pewności, bo to tworzywo zostało opatentowane, ale składu dotychczas nie ujawniono. W każdym razie było o tym dość głośno, posypały się nagrody, no i powstał konkretny produkt...

– Co to?! – nie wytrzymała Anna.

Wierciński spojrział na nią z błyskiem w oku i dla lepszego efektu przetrzymał ją jeszcze chwilę.

– Zapięcie do roweru – rzucił wreszcie.

4

Sklep turystyczny mieścił się w kamienicy z wieżyczką przy ulicy Kościuszki. Na szczycie obłej kopuły niespokojnie poruszał się metalowy kogucik. Znów zbierało się na burzę. Leopold Bilski zerknął w stronę rynku. Miedziany dach kościoła Świętego Kazimierza tuż za rogami poszarzał na tle ciemniejącego nieba.

Prokurator postąpił chwilę przy witrynie, zaciągając się końcówką papierosa. Manekiny ubrane w sportowe stroje pochylały się nad wyeksponowanymi na podwyższeniach rowerami. Rozejrzał się za śmietnikiem, ale żadnego nie dostrzegł. Wrzucił niedopałek do studzienki i wszedł do lokalu.

Stojący pośrodku sklepu około dziesięcioletni blondyn w krótkich niebieskich spodenkach podskakiwał jak piłka.

– Chcę ten. – Wskazał na duży srebrny rower z szerokimi oponami.

– Ten jest dla dorosłych – odparł ojciec. – Zobacz, ten jest fajny. – Mężczyzna pokazał niebieski jednoślad. – Leciutki, zgrabny i niedrogi.

– Ten jest dla dzieci – jęknął chłopak.

– Mały ma rację, za rok będzie już za mały. Proponowałbym model pośredni. – Właściciel sklepu, Tomasz Nicewicz, szeroko się uśmiechnął i zaczął prowadzić rodzinę do kolejnej alejki. – Wszyscy będą zadowoleni.

W tym momencie zauważył prokuratora.

– Klaudia wam o nim opowie. Klaudia, mogę cię prosić? – zwrócił się do ekspedientki stojącej przy kasie i podszedł do Bilskiego.

– Fajny sprzęt – powiedział Leopold, rozglądając się po sklepie.

– Pewnie, że fajny. Sprowadzam tylko najlepszy towar. Żadnych chińczyków, jak w innych okolicznych salonach.

– Doskonale. Wobec tego na pewno będzie mi pan mógł pomóc.

– Pan prokurator interesuje się czymś konkretnym?

– Tak, zdecydowanie czymś konkretnym.
Właściciel sklepu przyjrzał mu się uważnie.

– W takim razie zapraszam na zaplecze.

Biuro było niewielkie. W pokoju dwa na dwa mieściło się biurko, na którym stał monitor. Na półkach piętrzyły się segregatory i liczne pudełka.

– A więc o co chodzi? – Nicewicz usiadł na obrotowym krześle i złożył wytatuowane ręce na klatce piersiowej.

– Zapięcie do roweru – odparł Bilski.

– Jakież konkretne?

– Roarflexicore. Coś ci to mówi?

– Pewnie. Nowość na rynku. Drogie skurwysyństwo, ale megawytrzymałe i przede wszystkim lekkie, nie jak to ciężkie żelastwo czy wkładki ceramiczne. Lepszego zabezpieczenia antykradzieżowego pan nie znajdzie.

Nicewicz znów bacznie spojrzał na prokuratora.

– Dla siebie pan szuka?

– Można tak powiedzieć.

– Hmm. – Nicpoń się uśmiechnął. – Jeśli pan prokurator tak twierdzi.

– Macie coś takiego na sklepie?

– Powinno być. Zamawiałem jakiś czas temu, niewiele, bo jak mówiłem, trochę to kosztuje, no ale są u nas amatorzy rowerów. Trasy dobre, jeziora, wiadomo.

– A pan jeździ?

– Zdarza się. Choć Kurczak już nie nadąża, więc rzadziej.

– No właśnie, a gdzie pies? – Leopold z rozbawieniem zerknął na zdjęcie pitbulla w czarnej czapeczce stojące na biurku.

– W domu. Za gorąco dla niego. Ostatnio prawie się przekręcił, jak powstał trochę na tym skwarze. Normalnie mu się nogi rozjechały. – Nicpoń stuknął na komputerze. – Mam dwie sztuki. Krótką i długą wersję. Pokazać?

Bilski skinął głową. Po chwili Nicpoń wrócił z zapięciami.

– Z normalnymi zapięciami złodziej może sobie poradzić w kilka sekund. Ale nie z tymi. Są niemal nie do sforsowania. Szlifierka kątowna, piła, palnik, nic nie da rady. Przynajmniej tak zapewnia producent.

Prokurator sięgnął po krótką wersję.

– Malutka – stwierdził, przyglądając się obroży.

– To zapięcie do rowerków dla dzieci. Ale jest tak elastyczne, że łatwo je przypiąć do różnych stałych elementów.

– Kiedy ostatnio coś takiego sprzedaliście?
– Ten krótki model? Już patrzę. – Nicpoń znów zerknął w komputer. – Sprzedaliśmy dwa egzemplarze miesiąc temu.
– Kto je kupił?
– Tego to już panu nie powiem. Z tego co widzę, nie były brane na fakturę, więc nie mam danych. Wystawiliśmy zwykły paragon.
– Nie pamięta pan, komu to sprzedawał?
– Ja na kasie nie stoję, zresztą nie zawsze jestem w sklepie. Mam od tego ludzi. Zaraz spytam Klaudię. – Nicpoń wychylił się z pokoju. – Klaudia, pozwól na moment.
Po chwili w drzwiach stanęła dziewczyna.
– Klaudia, pamiętasz, komu sprzedawaś takie zapięcia? – Nicpoń wziął obrożę do ręki. – Roarflexicore’y. Ktoś kupił dwie krótkie miesiąc temu. Szatynka przecząco pokiwała głową i oblała się rumieńcem.
– Przepraszam, naprawdę nie kojarzę. Tu się ciągle ktoś przewija, a ja mam fatalną pamięć do twarzy. Serio.
– Patryk Deczer nie kupował? Coś mi się kojarzy – zastanowił się Nicpoń.
– Który to Deczer? – zaciekawiała się kasjerka.
– Ten malarz.
– Ach, tak. Ten przystojny malarz – rozmarzyła się. – Faktycznie. Bywa tu co jakiś czas. Ma świra na punkcie tego swojego roweru.
– Ale czy kupował roarflexicore’y? – spytał Nicewicz.
Dziewczyna wzruszyła ramionami.
– Dobra, dzięki. – Nicpoń rozłożył ręce. – Mogę jeszcze jakoś pomóc?
– Nie. – Bilski wstał z krzesła i ruszył do wyjścia. – A w sumie tak. – Odwrócił się. – Proszę mi zapakować takie krótkie zapięcie. Dla siostrzenicy wezmę.
– Pewnie. – Nicpoń podniósł ironicznie brew. – Czego to dla siostrzenicy się nie robi.

5

Saab zatrzymał się pod lasem. Drzewa targane porywistym wiatrem niepokojąco szumiały. Po niebie nienaturalnie szybko mknęły pierzaste białe chmury. Ostre słońce wychylało się zza nich, raz po raz kłując ziemię sztyletami jaskrawych promieni.

– Nie mam podstaw, by wydać postanowienie o przeszukaniu – westchnął Leopold, przypatrując się domowi za płotem.

– Nigdy nie przejmowałeś się formalnościami – stwierdziła Ania.

– Trzecie postanowienie tego samego dnia tylko dlatego, że ktoś kupił zapieć do roweru? Sytuacja i bez tego jest napięta jak plandeka na żuku. Pakosz skopałby mi dupę i odesłał do tych twoich Koców-Schabów. Dziękuję.

– To nic. Idziemy. Najwyżej będziemy improwizować – uznała Górska i odpięła pasy.

Wysiedli z auta i podeszli do furtki. Leopold kilka razy wdusił przycisk dzwionka, ale nikt im nie otworzył. Za oknami bez zasłon nie dostrzegli ruchu. Dom wydawał się pusty. Przeszli wzdłuż ogrodzenia na tył budynku. Bilski wspiał się po murze od strony lasu i przeskoczył na drugą stronę.

– Serio? – mruknęła Ania, ale po chwili również wdrapała się na ogrodzenie i zeskoczyła do ogrodu. – Bo za nielegalne wtargnięcie na prywatny teren to dostaniesz medal? – szepnęła zgryźliwie do Leopolda.

– Chuj z tym, o życie dziecka chodzi, nie?

Bilski wzruszył ramionami i na ugiętych nogach podkraść się do budynku. Po chwili dołączyła do niego Ania. Szli wzdłuż ściany, po kolei sprawdzając wszystkie okna. Trzecie z kolei okazało się lekko uchylone. Zajrzeli do środka. Przed sobą mieli pracownię. W dużym pokoju walały się tubki farby, pędzle i poplamione szmaty. Na sztalugach rozciągnięte było płótno. Twarz małego Piotrusia Sarmana była poważna i zamyślona. Annę przeszedł dreszcz.

Weszli przez okno do domu. Najpierw przeszukali wszystkie pomieszczenia na parterze, potem trzy pokoje na górze. W końcu stanęli przy drzwiach do piwnicy. Gdy Leopold je uchylił, skrzypnęły. Na pajęczynie w kącie poruszonej podmuchem powietrza zatańczył opasły pająk. Bilski przyświecił sobie telefonem. Zauważył włącznik na bocznej ścianie i wcisnął go. Jarzeniówka nad schodami zapaliła się z brzękiem. Powoli zaczęli schodzić w dół.

Cała podłoga i wszystkie ściany piwnicy były wyłożone folią. Środek pomieszczenia zajmowały dziesiątki, a może setki poustawianych w rzędy obrazów. Wyglądały jak domino, wijąc się odnóżami do centralnego płótna. Widniała na nim ciemna postać, z wykrzywionymi członkami i rozwartym pyskiem. Ania zaczęła odwracać inne malowidła. Wszystkie zaludniały upiorne stwory, wyciągające dłonie, rozdzierające paszcze, wodzące zdeformowanymi ślepiami.

Bilski i Górka popatrzyli po sobie.

– Chyba mamy naszego szaleńca – skonstatował Leopold.

– Wzywam posiłki – odezwała się Ania.

Mieli już wracać na górę, gdy uwagę Górskiej przyciągnął jakiś szczegół. Przecisnęła się przez szpaler malunków i po krótkim wahaniu zaczęła odrywać folię. Coś pod nią zamajaczyło. Po chwili ich oczom ukazała się postać nagiej kobiety. Jej czarne oczy wydały się im znajome.

– Julia Sarman – szepnął zdumiony Bilski.

6

Prokurator Leopold Bilski wpatrywał się przez weneckie lustro w Patryka Deczera. Ten ustalał coś ze swoim adwokatem. Wyglądał na spokojnego, łagodnie się uśmiechał, od czasu do czasu klepał obrońcę po plecach, jakby to on musiał go pocieszać. „Czy to gra? – zastanawiał się prokurator. – Czy jego pewność siebie wynika z niewinności, czy jest szaleńcem, którego nic nie jest w stanie przestraszyć?”.

Na mocy artykułu dwieście czterdzieści siedem Kodeksu postępowania karnego malarz został zatrzymany i doprowadzony w roli podejrzanego. Bilski wystąpił już z wnioskiem do sądu o zastosowanie tymczasowego aresztowania. Znaleziona w szafie maskotka należąca do Piotrusia Sarmana, portret Julii wskazujący na wieloletnią obsesję na punkcie matki porwanego dziecka, a także oczywista fascynacja upiorami, którą przewidział biegły psycholog sądowy – stanowiły na tyle mocne poszlaki, by przetrzymać mężczyznę na dołku przez czterdzieści osiem godzin.

Kita i Pająk długo szukali Deczera po mieście. Wreszcie natknęli się na niego, gdy wychodził z domu Fabioli Burchardt. Asesor Anna Górka dopasowała w końcu twarz do postaci, która dwa dni wcześniej mignęła jej w oknie domu burmistrz.

Dokładnie przeszukano całą posiadłość malarza. Przekopano ogród w celu odnalezienia potencjalnych ciał, obejrzano każdy skrawek ziemi w pobliskim lesie i nad brzegiem jeziora. Nie trafiono na ślad chłopca, a Leopolda ogarniała coraz większa panika, że przybyli za późno; że chłopca spotkał ten sam okrutny los co Amelię Stępień.

Prokurator spojrzął na wyświetlacz telefonu. Miał dziesięć nieodebranych połączeń od Julii Sarman.

– Co myślicie? – Odwrócił się w stronę sopockich policjantów.

– Jak ułał pasuje do profilu – odparł Kita.

Tak było, bez dwóch zdań, ale Bilski czuł, że znowu coś im się wymyka. Jakby wciąż nie potrafili ułożyć znalezionych części puzzli we właściwy wzór. Przez chwilę wydawało się, że są tak blisko, a jednak nie mieli nic. Co więcej, Deczer składał już zawiadomienie o włamaniu do jego domu, a także zażalenie na zatrzymanie. Tłumaczył, że znalezione w piwnicy obrazy upiórów stanowią wyraz jego artystycznej fascynacji regionalną kulturą. Tym razem zesłanie prokuratora do kolejnej dziury mogło okazać się najłagodniejszą konsekwencją podjęcia niezgodnych z procedurami działań.

– Dobra – zdecydował Leopold. – Przyciśnijcie go jeszcze raz. Jak posiedzi na dołku, to w końcu straci rezon.

– O ile tylko namiętna Fabiola nie zrobi poruty u sędziego i tymczasowe nie pójdzie się bujać. – Pająk cmoknął.

– Aż tak to go chyba nie kocha, co? – zgryźliwie odparł Bilski i skierował się do drzwi wyjściowych.

7

– Mamy coś nowego. – Technik Witold Ignatowicz miał podekscytowany głos. – Będę u was za kwadrans.

Faktycznie, zanim się obejrzel, policjant pojawił się w gabinecie Bilskiego. Przywitał się i wyciągnął z torby dysk pamięci.

– Co tam mamy? – zapytała Anna Górka.

– Smoka odwiedził wczoraj jakiś mężczyzna.

– Aha.

– Najpierw zamknęli się w chacie, jakieś pół godziny tam siedzieli, potem wyszli na dwór.

– I?

– Zobaczcie sami.

Ignatowicz podłączył dysk do stacjonarnego komputera. Na ekranie pojawiło się dwóch mężczyzn. Smoczyński w krótkich wojskowych spodenkach i czarnym T-shircie, ten drugi ubrany w myśliwski uniform – bojówki w kolorze khaki i koszulkę z długim rękawem. Na oczach miał okulary przeciwsłoneczne, połowę twarzy zakrywała chusta.

– Kurcze, nie do zidentyfikowania – mruknęła Anna.

– No, trochę taki talib, nie? – stwierdził Ignatowicz.

– Dobrze, że chociaż włosy widać.

Przyjrzeni się im: były ścięte krótko przy skórze.

– Tia, bardzo to, kurwa, pomocne, zdecydowanie włosy zawężają profil – skomentował Bilski.

– Dobra, nie chodzi o faceta. – Technik przewinął film do przodu.

Mężczyźni weszli do chaty. Ignatowicz przeskoczył w nagraniu o pół godziny do przodu. Mężczyźni pojawili się na ganku. Kilka minut rozmawiali. W końcu Smoczyński rozejrzał się czujnie, zszedł po schodkach i wpełznął pod drewnianą konstrukcję ganku. Jego gość patrzył bacznie przed siebie. W rękę trzymał dubeltówkę. Po chwili podniósł ją do ramienia i zatoczył bronią szeroki łuk. Obrął cel, udał, że strzela, odchylając się do tyłu siłą odrzutu, i zaczął się śmiać. Wyglądało to tak, jakby celował w kierunku kamery.

– Do czego on mierzył? – zdziwił się Leopold. – Wie o kamerze?

– Nie ma mowy – uznał technik. – Kamera została zainstalowana w budce dla ptaków na drzewie. Musiałby ją zdjąć i rozbić, żeby się kapnąć.

– Może ktoś widział, jak montujecie albo zmieniacie dysk? – zastanowiła się Anna.

– Technik, który się tym zajmował, wcześniej był zwiadowcą w Iraku. Cichy jak cień. Niewidoczny jak ninja. Nie ma opcji.

– To do czego facet celował? – powtórzył Bilski.

– Nie wiem, może w drzewo celował albo sobie kogoś wyobraził. – Witold Ignatowicz wzruszył ramionami. – To rzecz drugorzędna.

Bilski schylił się nad monitorem i zmrużył oczy.

– A w szybie? Coś tu się nie odbija?

Ignatowicz przybliżył obraz. Na tle firanki faktycznie coś majaczyło na szkle.

– Taa, coś tu jest – mruknął technik i zaczął wyostrzać zdjęcie. – Nie analizowałem jeszcze szczegółów. Jak tylko zobaczyłem nagranie, wsiadłem w samochód i przyjechałem – zaczął się tłumaczyć. – No dobra, dajcie mi chwilę. Nie mam tu swojego softu, ale znajdę coś zastępczego w sieci.

Po kilku minutach pracy odbicie zrobiło się odrobinę wyraźniejsze.

– Co to, do cholery, jest?

Technik powiększył kadr. Na ekranie pojawiła się para oczu.

– Ktoś z nim był – stwierdziła Górka.

– Nie! – Ignatowicz się zaśmiał. – Na podwórku walają się wypchane stare futra. Na linkach też się suszą. To niewątpliwie przyszłe trofeum z sarny.

– Faktycznie, to nie są oczy człowieka – uznała Górka.

– Przynajmniej wiemy, do czego celował. – Technik ponownie włączył nagranie.

– No, a teraz gwóźdź programu!

Henryk Smoczyński wyczołgał się spod ganku, ciągnąc za sobą zбитy z desek kufer. Otrzepał nogi z ziemi i wspiał się po schodach. Postawił skrzynię na deskach i wydobył z niej buteleczkę. Mężczyzna z chustą na twarzy wyciągnął coś z kieszeni i podał Smoczyńskiemu. Nastąpiła wymiana.

Ignatowicz zatrzymał obraz i znów przybliżył kadr.

Na ekranie pojawiła się przezroczysta fiolka wypełniona jasnymi, lekko różowawymi kryształkami.

– Kryształy etorfiny, jak przypuszczam. Bez problemu można zrobić z nich roztwór. – Ignatowicz uśmiechnął się i posłał Annie zalotne spojrzenie.

8

Funkcjonariusze Samodzielnego Pododdziału Antyterrorystycznego Policji w Gdańsku w mundurach khaki, kamizelkach taktycznych, kaskach i zielonych kominiarkach rozpiezchli się po lesie. W rękach trzymali glocki i karabinki szturmowe. Zakradali się z każdej strony.

Ptaki śpiewały dalej, nie zwracając uwagi, że antyterrorysty otaczają chatę. Że wyważają drzwi i wrzucają do domku granat dymny.

– Czysto – krzyknął nadkomisarz Waldemar Nowak, a członkowie pododdziału zaczęli badać resztę terenu.

Jeden z funkcjonariuszy wczołgał się pod budynek i wyciągnął na wierzch skrzyneczkę. Skrupulatnie zabezpieczono jej zawartość.

Bilski obserwował akcję ze szczytu wzgórza. Na znak Nowaka zszedł na polankę.

– Mamy kryształ. – Do prokuratora podszedł Ignacy Mielewski, zajmujący w kartuskiej komendzie stanowisko w oddziale do walki z przestępczością narkotykową. – Na pierwszy rzut oka etorfina, ale trzeba potwierdzić laboratoryjnie.

Leopold skinął głową i rozejrzał się po obejściu. Skóry zwierząt suszyły się na linkach. Gdzieś waleły się zbutwiałe poroża i dziurawe zwierzęce futra. Bilski wszedł na taras i stanął w miejscu, w którym kamera uchwyciła niezidentyfikowanego mężczyznę. Udał, że mierzy z broni do czegoś, co znajdowało się przed nim. Zerknął na okno po

swojej lewej stronie. Znow spozrzał przed siebie. Zszedł po schodkach i stanął na wysokości okna. Badawczo przyjrzał się leżącym na pogniłym roboczym stole głowom saren, szacując odległość.

– W szopie na narzędzia znaleźliśmy piłkę do metalu odpowiadającą tej, którą mogła zostać odseparowana głowa dziewczynki. Są na niej ślady krwi – zaraportował funkcjonariusz wydziału kryminalnego, którego Bilski nie kojarzył z twarzy.

– A Smoczyński?

– Z relacji techników wynika, że wczoraj wybrał się na polowanie i do tej pory nie wrócił.

– Jakies szanse na zidentyfikowanie tego mężczyzny na nagraniach?

– Rozrzuciliśmy proszek do zabezpieczenia śladów linii papilarnych. Jeśli facet figuruje w bazie, to będziemy go mieć.

– Ślady chłopczyka?

Policjant pokiwał przecząco głową i wrócił do pracy.

Leopold przeszedł wzdłuż posesji i patrzył na krzątających się policjantów. Zbliżył się do ściany lasu i rozejrzał się wokół. Szukał czegokolwiek, co podpowiedziałoby mu, gdzie może być zaginiony chłopiec.

Wtem zobaczył mężczyznę. Henryk Smoczyński wychodził z lasu z wózkiem myśliwskim, na którym leżało sarnie truchło. Na widok policjantów rzucił się do ucieczki. Prokurator, nie czekając na wsparcie, natychmiast pobiegł za nim.

Smok był szybki i znał teren. Przeskakiwał przez krzaki ze zwinnością leśnego zwierza, precyzyjnie omijał slalomem pieńki, które pojawiały się na jego drodze, i leżące na ziemi ułamane konary drzew. Bilski co rusz wpadał w dziury i potykał się na korzeniach. Twarz haratały mu ostre gałęzie młodych drzew. Paliły go mięśnie, miał ochotę się poddać, lecz ze wszystkich sił pędził przed siebie. Odległość pomiędzy uciekającym a prokuratorem ciągle rosła. Na szczycie kolejnego wzgórza Smoczyński odwrócił się na ułamek sekundy, by oszacować swoje szanse, i w tym samym momencie potknął się o porośnięty mchem kamień. Mężczyzna poturlał się po ostrym zboczu. Gdy Leopold stanął na szczycie pagórka, Smok usiłował wstać. Jego prawa noga była wygięta pod nienaturalnym kątem. Przez dziurę w nasiąkającej szybko krwią nogawce spodni wystawała ostra końcówka kości. Bilski zsunął się ze wzgórza i dopadł myśliwego. Powalił go na ziemię mocnym ciosem w szczękę.

– Komu sprzedawałeś etorfinę? – warknął, pochylając się nad Smoczyńskim. – Komu, kurwa?

Myśliwy zerknął na wystającą przez dziurę w spodniach kość strzałkową i zaczął się śmiać.

– Nie widzicie tego, co jest najbardziej widoczne! Nie widzicie tego, co jest najbardziej widoczne! – zaśmiewał się jak szalencie, podczas gdy funkcjonariusze, którzy nadbiegli zaraz po Bilskim, skuwali mu nadgarstki.

9

Leopold podjechał pod tartak. Trzasnął drzwiami. Stojąca nieopodal latarnia na chwilę zgasła i znów zaświeciła. Wieczorne powietrze pachniało żywicą.

Prokurator rozejrzał się po okolicy. Różnej wielkości i kształtów tarcica leżała poukładana w stosy. Na podejździe parkował traktor.

Bilski przyświecił sobie telefonem, podszedł do hangaru w głębi, wyjął z kieszeni pęk kluczy i otworzył drzwi wejściowe. Górne reflektory zaczęły zapalać się jeden po drugim. Rozejrzał się w skupieniu po wnętrzu. Wprawdzie technicy skrupulatnie sprawdzili już halę i cały teren tartaku, nie znajdując nigdzie żadnych śladów Piotrusia Sarmana, ale Leopoldowi coś wciąż nie dawało spokoju.

Henryk Smoczyński okazał się totalnym świrem. Na pytania śledczych odpowiadał pohukiwaniem. Robił małe miny. Pokazywał im język. Przedrzeźniał. Na widok Anny Górskiej wykonywał wulgarne gesty. Nie zdołali z niego nic wydusić.

Ekspresowo zrobiona daktyloskopia też nic nie wniosła do sprawy. Na klamkach i ościeżnicach odnaleziono jedynie ślady palców Smoczyńskiego i leśniczego Wawrzyniaka. Wielkie nic. Bez informacji o tym, kim był tajemniczy gość Smoczyńskiego, śledztwo nie mogło się posunąć ani o milimetr do przodu.

Bilski przemierzył parter tartaku, przypatrując się uważnie poszczególnym maszynom. Trak taśmowy, pilarki, obrabiarki. Nowoczesny sprzęt musiał sporo kosztować. Nic dziwnego, że Filipiak miał długi.

Podszedł do otwartego, zięjącego czernią włazu. Pod drewnianym hangarem tartacznym znajdowała się sporych rozmiarów kamienna piwnica. Ją również technicy sprawdzili bardzo drobiazgowo i też niczego nie znaleźli. Prokurator powoli zszedł po chwiejnej drabinie na dół. Zapalił światło. Przestrzeń była nadspodziewanie rozległa. Piwnica

ciągnęła się pod całym obrysem budynku. Drabiny, narzędzia, pudła, zardzewiałe maszyny. Lewe skrzydło podzielono na liczne klatki, dosłownie. Grube kraty od góry do dołu, w każdej klitce dwie spróchniałe ławeczki, jakby przetrzymywano tu kiedyś więźniów.

Leopold wszedł do każdego pomieszczenia, zajrzał pod wszystkie ławeczki, rozgarniał butami walające się po podłodze zgniłe siano. Otworzył pudła. Obejrzał każdy kąt. Wiedział, że technicy i tak odkryliby coś szybciej niż on. Ale taki już był. Lubił sprawdzić wszystko sam. Psycholog powiedział, że dlatego bał się latać samolotami. Bo wtedy nic nie zależało od niego. A Bilski, zdaniem terapeuty, odczuwał paniczny lęk wcale nie przed przestrzenią i wysokością, lecz przed utratą kontroli nad sytuacją. Przerażeniem napawała go świadomość, że w razie wypadku nic nie zdołaliby zrobić. Tak jak wtedy, gdy zginął jego ojciec.

Prokurator kucnął na ziemi. Dotknął betonowej posadzki. Ostatni raz rozejrzał się po piwnicy i wyszedł z powrotem na górę. Ciągle miał to męczące wrażenie, że coś mu umyka.

Ponownie przemierzył halę produkcyjną i po rampie przeszedł do biura. Do wnętrza wpadało światło z hali, ale mimo to część pomieszczenia tonęła w półmroku. Leopold usiadł przy biurku i zapalił lampkę. Otworzył szuflady. Były puste. Wszystko zostało zabezpieczone przez śledczych. Zamknął szuflady, rozsiadł się w obrotowym krześle i położył nogi na blat. Wyjął z kieszeni zapięcie rowerowe. Płaska, zamykana na zatrzask klamra, niedająca złodziejowi żadnego punktu zaczepienia. Elastyczna taśma tak mocna, że nie sposób jej przeciąć. Wyobraził ją sobie na nodze trzynastoletniej dziewczynki. Zieloną fluorescencyjną obrozę przyczepiono do zwykłego łańcucha, jak wskazywały ślady laboratoryjne. Amelia Stępień musiała być przetrzymywana w taki sposób przez niemal tydzień. Co musiała czuć, patrząc na tę opaskę z kosmicznego materiału, która uniemożliwiała jej ucieczkę? Zgrozę, jak przypuszczał Bilski. Prawdziwą ludzką zgrozę.

Zlustrował wnętrze biura. Na ścianie wyłożonej boazerią wisiały myśliwskie trofea. Skierował strumień światła biurkowej lampy na kolekcję. Zbiór poroży i medali, jakaś skóra, wieniec jelenia, medalion dzika, popiersie sarny, muflon, kozioł, daniel. Leopold nie wiedział, czy dobrze rozpoznaje gatunki, ale to nie miało znaczenia. Ważne były oczy. Nieruchome, zastygłe, odbijające światło. Czy były sztuczne, czy prawdziwe? Niewiele wiedział o preparowaniu trofeów, ale podejrzewał, że wykonano je ze szkła.

Siedział bez ruchu. Patrzył zwierzętom prosto w martwe oczy, a martwe oczy patrzyły na niego.

Nagle drgnął. Jeden z puzzli wskoczył na miejsce. Czym prędzej zgasił światło i popędził do wyjścia.

10

– Wiem, że jest późno, ale musimy się spotkać. Będę w Gdańsku za jakieś czterdzieści minut. Widzimy się na Okopowej. – Bilski rzucił komórkę na siedzenie pasażera i mocno docisnął pedał gazu.

Like hide beach, like hide beach. Podkreślił głośność. The Stags. Ziomale z Sopotu. Zatęsknił za morzem. Zatęsknił za SPATiF-em. Zatęsknił za nocami, w których jako młody, jeszcze pełen ideałów człowiek lądował nad ranem twarzą w piachu po nieprzespanej szalonej nocy.

Kim się stał?

Leopold wdusił pedał gazu do oporu. O tej porze ulice świeciły pustkami. Pod murowany gmach komendy wojewódzkiej dotarł w pół godziny. Kompleks budynków, który powstał na początku wieku na terenach pofortecznych, pogrążony był w ciemności. Jedynie na parterze w niektórych oknach paliło się światło.

Po kwadransie pod komendę podjechał w końcu Witold Ignatowicz.

– Dawaj! – pospieszył go prokurator.

– Pali się?

Bilski rzucił mu zniecierpliwione spojrzenie, a technik posłusznie przyspieszył kroku. Minęli ochronę i przedostali się do wydziału techniki operacyjnej.

– Nagranie sprzed domku myśliwego. Odtwórz – zakomenderował Leopold.

– Ale które? – spytał Ignatowicz, włączając komputer.

– To, na którym Smok wyciąga kuferek z kryształem spod chałupy.

– Aha, daję.

Na ekranie pojawili się Henryk Smoczyński i ubrany w myśliwski strój nieznany mężczyzna. Chwilę postali na ganku i weszli do środka.

– Zatrzymaj i powiększ. – Bilski wskazał na szybę na przodzie chaty.

– Znowu odbicie?

– No, znowu odbicie.

Ignatowicz przybliżył kadr. W oknie wisiała firanka. Na jej tle widać było lustrzany obraz otaczających chatę drzew i jakiś niezidentyfikowany

kształt.

– Wygładź i wyostrz.

Technik zmrużył oczy i zaczął operować myszką, włączając odpowiednie opcje w wyskakujących okienkach.

– Masz.

Skierował monitor w stronę Leopolda.

Z ekranu prosto w prokuratora wpatrywała się para ciemnych oczu.

– Widzisz, mówiłem, że to tylko zwierzę – stwierdził Ignatowicz z przekąsem, przyglądając się obrazowi.

– No, zwierzę... A konkretnie, kurwa, pies – rzucił Bilski i wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami.

11

Julia Sarman zrezygnowana rzuciła telefonem. Odbił się od jednej z poduszek i wylądował na kanapie. Bilski nie odbierał, a ona odchodziła od zmysłów. Sięgnęła po przygotowaną na talerzyku tabletkę, ale cofnęła rękę. Wczoraj przespała cały dzień. Cały dzień, w którym jej synek siedział gdzieś zamknięty i panicznie się bał.

Wstała raptownie i przeraźliwie wrzasnęła. Przyłożyła obie dłonie do twarzy. Zaczęła tupać. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Opadła na podłogę i waliła w nią pięściami tak długo, aż przestała czuć ból. Zaczęło ogarniać ją odrętwienie. Spojrzała na rozpościerające się za oknem jezioro. Rozejrzała się wokół. W końcu podjęła decyzję. Ostatkiem sił wstała i chwyciła kluczyki.

Gdy podjechała pod pralnię, zza chmur wyszedł księżyc. Drzwi zakładu były otwarte na oścież, więc Julia zeszła po schodkach.

Za kontuarem na ustawionych w rzędach wieszakach wisiały ubrania osłonięte foliowymi workami. Julii natychmiast skojarzyły się z wieprzowymi tuszami na hakach w rzeźni. Makabryczne wrażenie było tak sugestywne, że poczuła na plecach ciarki.

– Halo! – krzyknęła.

Nikt jej nie odpowiedział. Rozejrzała się wokół. Ze ścian patrzyli na nią karcącym wzrokiem święci.

– Julita? – Michał wyłonił się zza bocznych drzwi.

– Przyszłam po... – zaczęła kobieta. Zawahała się na sekundę, po czym dokończyła szybko: – Po garsonkę.

Michał Pakosz nic nie powiedział. Zanurkował pomiędzy foliowe worki, które zaszeleściły głośno, i po paru chwilach wyłonił się z pakunkiem. Położył go na ladzie. Julia chciała wyjąć portfel z torby, ale zdała sobie sprawę, że nie wzięła jej z domu.

– Przepraszam. Nie wzięłam pieniędzy – powiedziała.

– Nic nie szkodzi. Na koszt firmy. – Michał uśmiechnął się do niej łagodnie.

– Zamknęli tego filantropa, Chojnackiego. Pewnie będą chcieli z tobą rozmawiać.

Mężczyzna zerknął w bok. Utkwił spojrzenie w portrecie twarzy Jezusa.

– Już ci mówiłem, ja nigdy nie byłem... On mnie nigdy... Ech, zresztą sam nie wiem. – Pakosz odwrócił wzrok od Zbawiciela i spojrzął Julii prosto w oczy.

– Ale ja widziałam... – powiedziała niepewnie.

– Nie rozumiesz? – warknął nagle Pakosz. – Do ciebie nie dociera, prawda? Coś widziałaś, coś ci się wydawało, nie liczy się dla ciebie prawda, co?

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. Chojnacki tylko się ze mną bawił.

– W co się bawił? To ty nie rozumiesz! – krzyknęła. – To nie była zabawa, tylko...

– W upiora się ze mną bawił. Schylał się nad moim uchem i wypowiadał te słowa. Wył. Udawał, że po mnie przyszedł. – Pakosz wzdrygnął się i poczerwieniał na twarzy. Oczy zaiskrzyły mu jak w gorączce. – Bawił się – powtórzył i wyszedł zza kontuaru. Stał przed jednym z obrazów. Wpatrywał się w strącanego do piekieł Lucyfera. – Czasami ta zabawa nadal mi się śni. Czasami nie wiem, czy to w ogóle nie był tylko sen. Odwrócił się twarzą do Julii. – Mam cię, zjem cię – powiedział Michał i zawstydzony wzruszył ramionami.

– Co? – Julia zamarła. – Co powiedziałeś?

– Mam cię, zjem cię – powtórzył Pakosz. – Tak mówił, gdy się bawiliśmy. „Mam cię, zjem cię”. Te słowa pamiętam dokładnie. Słyszę je w głowie w najmniej oczekiwanych chwilach.

Julia Sarman z trudem przełknęła ślinę.

– Muszę iść – szepnęła i roztrzęsiona wybiegła na ulicę. Usłyszała trąbienie, a potem huk. Jej ciało poszybowało w górę.

1973

1

Człap, człap.

Julita stawiała małe krocзки.

Człap, człap.

Mama trzymała ją za rękę. Wokół niej szło wiele cioć i wielu wujków. Julita wcześniej żadnego z nich nie znała, ale gdy tylko poczuła zmęczenie, mama przekazywała ją na ręce obcym osobom. Mówiła: „teraz poniesie cię wujek Roman”, „a teraz pójdziesz do cioci Marlenki, dobrze?”. Julita zgadzała się niechętnie. Wołała iść na nóżkach, jak wszyscy inni, ale mama denerwowała się, że opóźnia. „Co powie ksiądz Wojciech, jak się spóźnimy” – martwiła się. Zdanie księdza Wojciecha bardzo się dla niej liczyło.

Szli do Częstochowy. Mama tłumaczyła jej, że jest tam taka jasna góra. Julita wyobrażała sobie, że usypali ją z białego piasku, który mieni się w słońcu. Nie mogła się doczekać, by ją zobaczyć. No i był tam jeszcze obraz Maryi, który Święty Łukasz namalował na deskach ze stołu w domu Jezusa w Jerozolimie. Podobno był magiczny i działały się wokół niego cuda. Dziewczynka dokładnie wiedziała, o co poprosi obraz.

Człap, człap.

Bolały ją nóżki, ale nie chciała na rączki. Julita wołała wszystko robić sama, w przeciwieństwie do Andżeliki, bo ta siedziałaby najchętniej na rękach cały dzień. Tak mówiła mama. Andżelika została z tatusiem w domu, ale Julita obiecała jej wszystko opowiedzieć. O tej mieniącej się górze i wszystkich cudach, które zrobi dla niej obraz. Siostra będzie patrzyła na nią tymi swoimi błękitnymi jak niebo oczkami i jak zawsze będzie ją podziwiała. Julita była odkrywczą i niczego się nie bała. Andżelika wołała słuchać o przygodach Julity.

Człap, człap.

Szli już tak bardzo długo, a góry nadal nie było na horyzoncie. Nocowali już w kilku miejscach. A rano mama powiedziała, że dzisiaj powinni dotrzeć na miejsce.

Podjechał żółty fiat 127. Był ładny i nowy. Lakier ślicznie połyskiwał w słońcu. Bogdan Chojnacki wychylił się z okna i powiedział, że jedzie

sprawdzić, czy wszystko na miejscu przygotowane.

– Jedziesz ze mną, Julitka? – Uśmiechnął się do dziewczynki. – Na pewno bolą cię nóżki, he? – Mrugnął do niej i zapraszająco uchylił drzwi.
– Chcesz poprowadzić?

Julita bardzo chciała. To by była dopiero przygoda. Sama pomknie prościutko pod górę pełną cudów lśniącem jak słońce autem. Andżelika aż buzię otworzy, jak to usłyszy. – Dziewczynka uśmiechnęła się w duchu.

Mama z aprobatą skinęła głową i niemal rzuciła się do całowania Chojnackiemu rąk. Julita widziała, że mama wciąż księdzu Wojciechowi te ręce całowała, może każdemu dobrodziejowi tak trzeba było całować?

Bogdan Chojnacki posadził sobie Julitę na kolanach i ruszyli. Dziewczynka trzymała kierownicę. Bardzo starała się nie zjechać z drogi, choć ręce jej się trzęsły. Powolutku omijali pielgrzymkę, a wszyscy na nich patrzyli z zazdrością.

Pokój, do którego zaprowadził ją mężczyzna, był piękny. Miał duże łóże i turecki dywan. Na ścianach wisiały obrazy w złotych ramach.

– Masz cukierka. – Biznesmen wyciągnął z kieszeni krówkę.

Julita popatrzyła na mężczyznę z wdzięcznością. Maszerowała od wczesnego rana i powoli zaczynało ją ssać z głodu w brzuchu. Wzięła krówkę i po chwili wahania ucałowała wyciągniętą dłoń.

Bogdan Chojnacki zaśmiał się radośnie jak dziecko i zmierzwił jej włosy.

Krówka była słodka i ciągnąca. Julita nigdy w życiu lepszej nie jadła.

Mężczyzna podszedł do stojącej na stoliku tacy. Wziął do ręki butelkę z rdzawym płynem i nalał sobie szklaneczkę. Wrzucił do niej kostki lodu wyciągnięte z małej zamrażarki. Trzask, Trzask. Lód trzaskał, roztapiając się w ciepłym alkoholu. Chojnacki wziął łyk, przymknął oczy i z aprobatą mruknął.

– Chcesz? – Podstawił szklanekę Julicie pod nos.

Skrzywiła się. Zapach był ohydny.

– No weź łyeczka – zachęcał mężczyzna. – Przecież się nie otrujesz.

Dziewczynka niechętnie zamoczyła usta i wzdrygnęła się gwałtownie.

Chojnacki spojrzał na nią rozbawiony.

– Nie smakuje ci? Jeszcze kiedyś zasmakuje – zapewnił. Znów wsunął dłoń w czarne kręcone włosy i zwichrzył je. – A teraz czas na zabawę – powiedział i zaczął zasuwać zasłony.

W pokoju zrobiło się szaro.

– W co będziemy się bawić? – spytała Julita, rozglądając się niepewnie po spowitym w mroku pokoju. – W chowanego?

– Nie, w berka.

– Kto goni?

– Ano ja! – wykrzyknął mężczyzna i ruszył w jej stronę.

Julita pisnęła i odskoczyła.

Chojnacki znów do niej doskoczył. Dziewczynka natychmiast zrobiła dwa szybkie kroki w bok i zaczęła uciekać. Biznesmen popędził za nią. Przez chwilę dla zabawy się mijali. Dziewczynka śmiała się w głos.

W końcu mężczyzna złapał Julitę za ramiona.

– Mam cię, zjem cię – krzyknął.

Dziewczynka próbowała się wyrwać, ale mężczyzna trzymał ją mocno. Szamotała się rozpaczliwie, ale on nie puszczał.

– Mam cię, zjem cię! – Roześmiał się i przygniótł ją swoim ciałem.

Było ciężkie i spocone. Pachniało alkoholem i duszącymi perfumami.

Po chwili Julita poczuła szczypanie. Coś wypełniło jej ciało. Zastygła. Zabawa od tej pory działa się bez jej udziału. Czekwała, aż się skończy.

– Jeśli komuś powiesz, to łopi cię zje – wydyszał jej w ucho mężczyzna, a po chwili wydał z siebie dziwny jęk.

Odgłos był długi i niski. Julita wiedziała, że tak wyją tylko upiory. Po jej skórze przeszły ciarki.

– Tak wyje łopi, gdy jest zadowolony – stwierdził, puszczając do niej oko.

Opuścił podwiniętą koszulę i poszedł umyć ręce.

Niedługo potem podjechali pod klasztor. Mama, ciocie i wujkowie już tam na nich czekali. Góra w ogóle nie wyglądała tak, jak Julita sobie wyobrażała. Nie była ani tak stroma, ani nie jaśniała niezwykłym światłem. Dziewczynka wiedziała już, że nie wydarzy się żaden cud.

Przytuliła się do mamy i zaczęła płakać.

– Uspokój się, dziecko – zganiła ją Fabiola Burchardt, wyraźnie zawstydzona zachowaniem córki. – Panu Bogdanowi chociaż podziękowałaś? – zapytała kobieta, z wdzięcznością patrząc na filantropa.

Bogdan Chojnacki zaśmiał się radośnie jak dziecko.

– Podziękowała, podziękowała, a jakże – zapewnił i ponaglił: – No chodźcie, chodźcie wszyscy. Zaraz zacznie się powitanie.

2014

1

Zza ciężkich chmur wyszedł w końcu księżyc, a dom nad jeziorem wyłonił się z ciemności. W oddali ujadają psy. Na niebie nie świeciła ani jedna gwiazda.

Leopold wpatrywał się w ciemne okna. Wyglądało na to, że w domu nikogo nie ma, bo chyba nikt nie spał o dwudziestej pierwszej? Wybrał numer Ani, podał adres i poprosił o posiłki. Rozłączył się, nim zdążyła o cokolwiek zapytać.

Nie widzieli tego, co najbardziej widoczne. Przed oczami Bilskiego przewijały się obrazy. Mężczyzna na rynku, mężczyzna w parku Solidarności, mężczyzna pod budynkiem prokuratury, mężczyzna podrzucający im wskazówki prowadzące do innych zbrodni. Sprawca manipulował nimi jak dziećmi, a prokurator dał się zwieść niczym uczniak.

Leopold zwinnie wspiał się po płocie i przeskoczył na drugą stronę. Podeszedł do drzwi wejściowych i nacisnął klamkę. Dom były zamknięty. Obszedł budynek, wybrał okno z widokiem na rozświetlony lampkami solarnymi ogród, wziął do ręki leżący nieopodal kamień i wybił szybę. Przekreślił gałkę i wdrapał się do środka. Chwilę nasłuchiwał, jednak w domu panowała głucha cisza. Włączył latarkę w komórce i przeszedł przez pokój sypialny. Znalazł się na korytarzu. Wnętrze urządzone minimalistycznie. Szare ściany, laminowana podłoga, stal. Nie było tu żadnych zbędnych przedmiotów.

Bilski wszedł do dużego pokoju połączonego z nowoczesnym aneksem kuchennym. Spora wygodna sofa, ogromny telewizor, na podłodze duże futro. Oświetlił przeciwległą ścianę. Na tle betonu architektonicznego wyeksponowano myśliwskie trofea. Ogromne łby dzików patrzyły na niego martwym, szklanym wzrokiem.

Prokurator z powrotem wyszedł na korytarz i rozejrzał się wokół. Jego uwagę zwróciły drzwi obite czarną skórą. Otworzył je i zaświecił w dół. Drewniane schody prowadziły do piwnicy. Ziejąca czernią otchłań wyglądała ponuro i wrogo. Rozejrzał się za włącznikiem światła, ale nie znalazł go. Ruszył ostrożnie w dół, oczekując skrzypienia, jednak

porządnie zbite grube deski nie wydały pod jego ciężarem żadnego dźwięku.

Na ścianie piwnicy wisały narzędzia. Haki, siekiery, brzeszczoty, piły, szydła, szcypce chirurgiczne i różnej wielkości noże, które zaiskrzyły w świetle latarki. Obok dwie dubeltówki i sztucer. Na jednej z półek stały w rzędku sidła. Bilski oświetlił leżące na ziemi brezentowe płachty i drewniane klocki. Następnie wszedł w głąb ciemnego korytarza, szukając dalszych pomieszczeń. Na samym końcu przejścia w ciemności dostrzegł drzwi. Porządne pancerne drzwi. Sięgnął do klamki i w tym samym momencie usłyszał warczenie.

Odwrócił się gwałtownie i zaświecił latarką w mrok korytarza. Czarne oczy wyłoniły się z mroku i ruszyły prosto na niego. Nim zdążył zareagować, poczuł, jak potężne szczęki zatrzaskują się na jego przegubie. Telefon wypadł mu z rąk.

Gdy coś ostrego wbiło się w jego brzuch, pomyślał o martwym ciele ojca leżącym samotnie w szuwarach.

2

„Życie tak szybko mija” – pomyślała Julia Sarman. Leżała na ulicy. Asfalt był ciepły i mokry. Miał ten specyficzny zapach lata. Trochę cierpki, trochę słodki. Trudny do określenia, choć przecież każdy go zna.

Z rosnącego przy drodze drzewa na twarz opadały jej wielkie jak groch krople, które zostały na liściach po niedawnym deszczu. Kap, kap. Kropla spadła na wargi i potoczyła się do ust. Miała ochotę ją zlizać. „Fajnie by było poczuć na języku jej smak” – pomyślała. Nie mogła jednak otworzyć ust. Kropla zastygła pomiędzy wargami, ulokowała się w ich zagłębieniu jak w kubeczku.

Zgasł silnik. Usłyszała dźwięk zatrzaskiwanych drzwi. Ktoś zaczął krzyczeć. W oddali ryczały policyjne syreny. Jakby znów znalazła się w Nowym Jorku.

Niepotrzebnie tu wróciła. W to przeklęte miejsce, gdzie goniła ją przeszłość. Myślała, że może tu zacząć na nowo, że może czynić dobro. Ale rzeczywistości nie da się zmienić. To ona zmienia człowieka.

Pod powiekami coraz szerzej rozlewała się ciemność. Nie chciała w nią zapadać. Czerń kojarzyła jej się z sukienką Andżeliki złożonej do trumny, z sutanną odprawiającego egzorcyzmy księdza, z nieprzespanymi nocami,

w których skradał się do niej upiór, z mrocznym lasem pochłaniającym martwe ciała.

Wolała światło dnia.

Gdzieś nad nią zaskrzeczały żurawie. Uwielbiała ten odgłos. Niosący się po niebie krzyk, kojarzący jej się z dobrem i ciepłem. Czerń zaczęła się przerzedzać. Z trudem uniosła powieki.

Przez wąziutkie szparki dostrzegła pochylającą się nad nią postać. Ktoś w tle gestykułował, ktoś inny ruszył biegiem przez ulicę.

Znów zamknęła oczy. Powieki zrobiły się zbyt ciężkie. Nie miała już siły ich dźwigać. Pochłaniała ją czerń. Bardzo się jej bała.

Czerń była groźna i zła.

Nigdy jej nie lubiła.

3

Wstrzymał powietrze i nasłuchiwał. Cisza. Przejmująca, grobowa cisza. Goła żarówka oświetlała pomieszczenie jaskrawym światłem. Mężczyzna, który wreszcie znów się pojawił kilka godzin temu, musiał o niej zapomnieć. Wcześniej chłopczyk siedział w ciemności. Gdy zapadała noc, nie było w niej żadnych kształtów, żadnych barw.

Piotruś patrzył w żarówkę, a wtedy przed jego oczami pojawiały się czarne plamy. Skakały i wirowały, układając się w różne wzory. Chłopiec bawił się w ten sposób przez jakiś czas, lecz w końcu oczy zaczęły go piec. Położył się więc na materacu i ponownie wyławiał z pamięci wszystko, co dobre; wszystkie momenty, w których czas powinien był się zatrzymać.

Mama, czarne oczy mamy, oczy, które się uśmiechają, gdy na mnie patrzą. Mamy kręcone włosy. Mama schyla się nade mną, a jej włosy miziąją mi twarz. Naleśniki mamy. Puszyste, słodkie, maślane. Mój pokoik. Moje zabawki. Kicuś. Tata, gdy jeszcze z nami był. Mecze bejsbolowe z tatą. Tata, który rzuca mi piłkę, a ja odbijam ją bardzo daleko. Taty hurra i mój bieg. Zaliczam bazy jedna po drugiej. Tata bierze mnie w ramiona i zadowolony obraca się ze mną w koło. Spaceruje po parku. Pani Anderson, która tłumaczy, jak zbudowany jest liść. Żółte liście, które trzeszczą pod butami. Żółte liście, które wlatują w powietrze, gdy się po nich biegnie.

Piotruś wstał i przeciągnął łańcuch. Położył się na posadzce i sięgnął pod materac. Nóż wyślizgiwał mu się ze związanych rąk. Raz. Drugi.

Trzeci. W końcu udało mu się go uchwycić. Usiadł z powrotem na materacu i zaczął piłować jaskrawozieloną opaskę na kostce. Tak samo jak wcześniej ostrze ślizgało się po materiale, nie pozostawiając na nim żadnych śladów.

Alice. Jej twarz. Małe piegi na nosie i policzkach. Idą za rękę w parze. Klasa przecina ulice i wchodzi do muzeum dinozaurów. Wszyscy się śmieją, kiedy przewodnik ryczy jak triceratops.

Piotruś naciskał nóż z całej siły. W górę i w dół. W górę i w dół. Ostrze sunęło po zapięciu.

Zabawy w ogrodzie z Andrew. Wspinają się na drzewo i siedzą na gałęzi. Małym kozikiem wycinają napisy na korze. Śnieg. Zakupy na Manhattanie przed świętami. Świąteczka na choince. Zjeżdżanie na sankach z ogromnej góry. Pudding czekoladowy. Lody.

Piotruś westchnął i spojrzał na sznur krępujący mu dłonie. Może gdyby go przeciął, to lepiej poszłoby mu z zapięciem na nodze? A jeśli nie? Jeśli zapięcie nadal nie będzie chciało ustąpić? Mężczyzna zobaczy, że nie ma sznura na rękach, i zabierze mu nóż.

Chyba że Piotruś uderzy. Mężczyzna padnie na podłogę, a on zabierze mu kluczyk.

Czy byłby w stanie wbić nóż w jego ciało?

Czy da radę to zrobić?

Komiksy. Filmy o superbohaterach. Gry na iPadzie. Maski na Halloween. Zbieranie cukierków do przygotowanego przez mamę worka.

Piotruś położył nóż na materacu i złapał go odwrotnie. Zaczął przesuwać trzonek palcami, starając się celować w linkę. Kilkakrotnie nóż wypadł mu z rąk, ale chłopiec się nie poddawał. Ostrze w końcu zaczęło wbijać się w sznur.

Popcorn w kinie. Popcorn przed telewizorem. Filmowe środy z mamą. Mamy palce gładzące jego twarz przed zaśnięciem.

Pojedyncze włókienka sznura zaczęły ustępować pod naciskiem ostrza. I następne. I jeszcze kilka. Piotruś spróbował rozciągnąć pęta na boki. Udało się. Najpierw o milimetr, potem o dwa, o trzy. W końcu wyswobodził ręce.

Szybko przesunął się pod ścianę. Wsadził nóż pomiędzy złożone kolana i wyczekująco spojrzał na drzwi.

Tort urodzinowy. Dmuchanie świeczek. Prezenty. Bańki mydlane. Dobre sny. Śmiech.

Niebieskie koguty wirowały na dachach policyjnych samochodów. Ostre światła reflektorów rozjaśniły podjazd. Policjanci wydziału kryminalnego kartuskiej komendy okrążyli dom. Z bronią w rękach zaczęli skradać się wzdłuż ściany. Szkło leżące na trawie zazgrzytało pod butami, gdy przeskakiwali przez okno. W tym czasie z drugiej strony wyważono drzwi.

Po cichym domu rozeszli się uzbrojeni funkcjonariusze. Oblegli pokoje, obstawili schody. Otworzono drzwi obite zwierzęcą skórą.

– Tutaj! – Pająk i Kita usłyszeli wołanie Waldemara Żaczka. – Potrzebna karetka!

Leopold leżał na podłodze. Wokół niego rozlała się ciemna, lepka kałuża.

– Puls ledwo wyczuwalny. – Aspirant Antoni Konarski trzymał przegub Bilskiego.

Komisarz Żaczek uciskał ranę na brzuchu. Spomiędzy jego palców wypływała czerwona krew.

– Kurwa, nie da się zatamować – stwierdził spanikowany. – Dajcie jakiś ręcznik! Gdzie ta karetka!

Kita szybkim ruchem zdjął koszulkę i zaczął pomagać Żaczkowi w zabezpieczeniu rany. Pająk przejął od kogoś gazę i próbował tamować krew.

– Nie wyczuwam pulsu – powiedział drżącym głosem aspirant Konarski. – Tracimy go.

– Odsuń się, Konarski! – krzyknął Pająk i klęknął przy Leopoldzie. – Ty też, Żaczek.

Położył jedną rękę na czole prokuratora, a palcami drugiej uniósł jego brodę. Następnie pochylił się ku twarzy. Odczekał dziesięć sekund. Na policzku nie wyczuł powiewu powietrza, wydech nie był słyszalny. Złożył dłonie na klatce piersiowej Bilskiego i zaczął rytmicznie uciskać.

Krew z rany na brzuchu zaczęła falami wypływać na podłogę.

– Ja pierdołę, co robisz, Pająk?! Wykrwawi się! – krzyknął Żaczek.

Pająk nie przerywał masażu serca.

Żaczek rzucił się do przodu i zaczął odpychać Pągowskiego od rannego.

– Wypierdalaj mi stąd – warknął Pająk.

– Krew musi, kurwa, krążyć, żeby dotlenić mózg. Inaczej będzie z niego warzywo, nawet jeśli przeżyje. – Kita spiorunował wzrokiem komisarza. – Ręczniki, dalej! – krzyknął w przestrzeń.

Kowalewski miał ręce umazane krwią. Ktoś położył na nie ręcznik, a policjant sprawnie zastąpił nim koszulkę, która wylądowała z plaśnięciem na posadzce.

Pająk wykonał oddechy ratownicze i ponownie zaczął uciskać klatkę. Ręcznik momentalnie zrobił się czerwony. Krew rozlewała się na podłodze, tworząc wokół nich niewielkie jeziorko.

Syrena karetki wyła coraz głośniej i w końcu umilkła. Kita podniósł głowę i dopiero teraz zauważył Anię.

Stała pod ścianą i bez ruchu przyglądała się akcji ratunkowej. Jej zastygła twarz nie wyrażała żadnych emocji. W końcu odwróciła wzrok od Bilskiego i sztywnym krokiem ruszyła w głąb korytarza. Policjant śledził jej ruchy. Przeszła obok reanimujących Leopolda funkcjonariuszy i otworzyła na oścież uchylone drzwi. W środku krzatali się technicy w białych kitlach. Kita dostrzegł brudny materac i wystający ze ściany łańcuch. Do jego końca przymocowano jaskrawozieloną obrozę.

5

Czerń oplatała go z każdej strony. Poruszający się w ciemności mężczyzna czuł się nocnym drapieżnikiem; sprytnym, szybkim, bezszelestnie zmierzającym do celu. Jego wyostrzone zmysły działały bez zarzutu. Widział, słyszał i czuł więcej niż w świetle dnia.

Ciągnął podwodę bez wysiłku. Koła wózka toczyły się gładko po leśnej ścieżce. Chłopiec był leciutki. Jego martwe ciało nie ważyło prawie nic. Ten maleńki detal mącił mu lekko satysfakcję z tego, czego przed chwilą dokonał. Lubił ciężar upolowanej zwierzyny. Lubił wysiłek poprzedzający powstanie trofeum.

Mężczyzna uśmiechnął się na wspomnienie stoczonej przez chłopca desperackiej walki. Dzieciak zupełnie go zaskoczył. I tym, że zdołał uwolnić związane grubym sznurem ręce, i tym, jak odważnie zaatakował go nożem. Niewiele brakowało. Jeszcze nigdy żadna zwierzyna nie była tak blisko wygrania ze śmiercią. Ostrze noża przecięło mu skórę na szyi i wbiło się w mięsień o centymetr od tętnicy. Teraz rana lekko szczypała i mężczyzna czuł, jak gorąca krew powoli ścieka mu za koszulkę. Ta świadomość sprawiała mu przyjemność.

Dróżka była wąska, ale przejezdna. Wchodziła w las tuż za jego domem. Pracował nad nią kilka miesięcy. Wycinał krzaki, karczował młode drzewka i pilnował, żeby prowadzący przez gęstwinę korytarz nie

zarastał. Prosta ścieżka przecinała las dokładnie w poprzek. Dzięki niej z miasteczka na polanę mógł dotrzeć trzy razy szybciej niż ktokolwiek inny; zupełnie niezauważony.

Wiedział, że to był ostatni raz. Prokurator na pewno wezwał wcześniej posiłki. Z oddali dochodziły go dźwięki karetki i wycie syren policyjnych. Nie było powrotu do tego, co przedtem. Tym bardziej delektował się obecną chwilą. Przypominał sobie moment, gdy rzucił chłopcem o ścianę. Coś gruchnęło i dziecko osunęło się bezwładnie na materac. Po chwili jego klatka piersiowa przestała wznosić się i opadać. Szkoda. Tym razem nie mógł rozkoszować się niespiesznie całym procesem umierania. Śmierć nadeszła szybko, bezszelestnie i nieodwołalnie. Tomasz Nicewicz rozumiał ją jak nikt inny. Wiedział, że rządziła się swoimi prawami.

Kaszub potrafi przygotować się do śmierci. Potrafi ją przewidzieć. I Nicewicz od zawsze odczytywał jej znaki. Spadały obrazy, coś pukało w okna, psy wyły godzinami. A przede wszystkim zaczynały się te sny. Niepokojące, mroczne sny, w których pojawiała się twarz upióra; twarz śmierci. Niepokój narastał i jakkolwiek próbował go zagłuszyć, znikał dopiero wtedy, gdy wszystko było jak na rysunkach. Dopiero wtedy upiór dawał mu spokój.

Pierwszego kota zabił, mając siedem lat. Wystarczyło dobrze ścisnąć krtań zwierzątka palcami. Patrzył, jak uchodzi z niego życie, a paralizujący lęk, który wypełniał jego ciało, powoli się ulatniał. Po wszystkim odciął kotu głowę, przecinając ścięgna i mięśnie kuchennym nożem. Cienkie kości pękały, gdy mocniej przycisnął. Pochował kociaka w ziemi, a sny nie pojawiały się przez dłuższy czas.

To było tuż po „wypadku” matki. Matki, która próbowała odebrać sobie życie na oczach syna. Była młoda, zbyt młoda, by posiadać dziecko pedofila – tak tłumaczyła to babci, gdy podsłuchał je Tomasz. Dość późno skojarzył, kto jest jego ojcem. Ale gdy już wiedział, zrobił wszystko, by tata go pokochał. Zdobywał jego akceptację, jednocześnie skrycie nim gardząc. Wiedział, że prędzej czy później dokona swojej zemsty. Podrzucanie Bilskiemu tropów świadczących przeciwko ojcu było niezłą zabawą.

Gdy był nastolatkiem, odkrył polowanie. Myślistwo... ludzie zabijający zwierzęta; legalnie i zupełnie bez troski. Nicewicz wmawiał sobie, że jest taki jak inni. Przecież niewiele się od siebie różnili. Każdy z nich chciał mieć trofea.

Śmierć rozochociła się szybko. Podsuwała dzikie obrazy, wymagała więcej i więcej. Jego wycieczki na cmentarz miały ją oszukać.

Wykopywał niewinne ciała, testując swój myśliwski brzeszczot, smakując, jak to jest zanurzać piłę we wnętrzu człowieka. Cięcie ludzkiej kości niosło odurzające doznania; wrażenia dużo silniejsze od tych, jakie dotychczas znał.

Śmierć nie chciała jednak grabarza, choć był na wyciągnięcie ręki. Czekwała na chłopca.

Nicewicz dostrzegł go, gdy mały przemierzał rynek. Dziecko zobaczyło szczeniaka u nogi mężczyzny i wyciągnęło rękę, by się z nim przywitać. Merdający ogonem pies raptownie zaczął warczeć. Jak nigdy wcześniej na nikogo. Warczał złowrogo i groźnie, jakby w oczach chłopaka dostrzegł coś złego. Wielokrotnie potem o chłopcu śnił. Jego niepokój narastał i musiał się go pozbyć. Za wszelką cenę.

Gdy preparował swoje pierwsze ludzkie trofeum, wreszcie poczuł wewnętrzne ukojenie. Błogi spokój spełnienia, jaki tego dnia wypełnił jego psychikę, wystarczył mu na długo. Nicewicz łudził się, że zachowa go już na zawsze. Wiele lat odpychał świdrującą myśl, że jego perfekcyjne dzieło nie było podziwiane przez innych, choć tak pięknie je wyeksponował. Ale znał zwierzęta. Zimą przyciąga je najmniejsza kropla krwi. Nie mógł mieć do nich pretensji, że rozwłóczyły martwe ciało chłopca i nikt go nigdy nie znalazł. Tak chciała natura, a on czuł się jej częścią. Nic nie mogło zburzyć jego wewnętrznego spokoju.

A jednak. To ta dziewczynka obudziła po sześciu latach jego demony. Od razu zauważył, że nosiła w sobie mrok. Obserwował ją wielokrotnie, gdy szła do kościoła. I niepokój znów zaczął wypełniać jego głowę. Z dnia na dzień pęczniał. Nie pozwalał o sobie zapomnieć. Dziewczynka, tak jak przedtem chłopiec, chodziła na próby kościelnego chóru. Tomasz zajmował swoją ławkę na rynku, pili z Kurczakiem piwo i przyglądali się dzieciom. Co ona takiego miała w sobie, że wyróżniała się spośród innych? Nie wiedział. Po prostu sprawiała, że odżywał w nim lęk. Tego dnia nie powinno jej tam być. Poszedł jej śladami. Niewidoczny i bezszelestny jak wilk.

Nicewicz dotarł na polanę. Niebo iskrzyło gwiazdami, a księżyc był duży i jasny. Świecił tuż nad nimi niczym lampa. Zdjął ciało chłopca z myśliwskiego wózka i ułożył je na ziemi. Twarz dziecka wyglądała niewinnie. Ale on wiedział, że to pozory, że za tą buzią o harmonijnych, łagodnych rysach krył się upiór. „Wie pani, że urodził się w czepku? Okazało się, że worek owodniowy oblepia całe jego ciało” – Nicpoń usłyszał w głowie głos kobiety. Trzymany w ręku talerz wyleciał mu

wtedy z dłoni. Chciał go chwycić i uderzył zegarkiem w blat stołu. Tykanie ustało.

Nie wiedzieli, że od tamtej pory Tomasz śledził każdy ich krok. Nawet nie musiał się kryć. Zrozumiał, że był zbyt widzialny, by budzić podejrzenia. W niedzielne południe czekał spokojnie na rynku, aż matka i syn opuszczą schowaną w kamienicy kancelarię prawną, przystawał wraz z nimi przy każdym straganie, obserwował, jak chłopiec rzuca do celu, jak strzela z łuku; patrzył, jak korzysta z ostatnich momentów życia. Gdy prowadził oszołomionego narkotykiem chłopca ku zaparkowanemu tuż przy bramie autu, nikt w panującym zgiełku nie zwrócił na nich uwagi. Ojciec i syn z psem. Zwykła rodzina.

Nicewicz wyjął z myśliwskiego plecaka pochodnię, wbił ją w ziemię i zapalił. Dużą latarkę, którą dotąd trzymał w rękach, położył na trawie. Następnie ściągnął ciało z podwoły i podłożył pod żebra chłopca drewniane klocki. Wyciągnął z wózka piłkę do metalu. Musiał się spieszyć, by zdążyć dokończyć swoje dzieło. Trofeum, o którym ludzie jeszcze długo będą mówić.

Pitbull pochylił łeb nad martwym dzieckiem, bacznie je obwąchał i zaczął ujadać. Mężczyzna kopnął psa w bok.

– Zamknij ryj – warknął i rozejrzał się niespokojnie wokół.

Pies przysiadł na jednym z pośladków i cicho zaskomlał. Po chwili znów wstał, zbliżył się do małego ciała i ponownie zaczął ujadać.

– Kurwa, ryj, powiedziałem! – Nicewicz znów kopnął psa.

Tym razem tak mocno, że Kurczak odskoczył w tył. Pies karnie usiadł i spuścił łeb. Jednak po krótkiej chwili znów zaczął nerwowo warczeć. Tym razem nie odrywał wzroku od ciemności.

6

Anna Górską patrzyła na dwa leżące naprzeciwko siebie poplamione materace. Obok stały miski z wodą. Grube łańcuchy wyrastały ze ściany jak wykrzykniki.

– Trzeba odszukać chłopca! – krzyknęła.

– Nasi ludzie sprawdzają teren – odparł jeden z techników. – Znajdziemy go.

Asesor odwróciła się gwałtownie i ruszyła do wyjścia. Kątem oka dostrzegła, jak ratownicy medyczni przenoszą ciało Bilskiego na nosze. Przeskakiwała piwniczne stopnie najszybciej jak mogła.

Na zewnątrz wszystko wyglądało jak we śnie. Kogut karetki raz po raz rozświetlał na niebiesko pogrążony w czerni podjazd. Skierowała się w stronę ogrodu, który oświetlono ostrymi reflektorami. Snuły się po nim ubrane na biało zjawy. Górska, niewiele myśląc, podążyła w kierunku lasu, wskoczyła w zarośla i zaczęła biec. Światło latarki w telefonie komórkowym przeskakiwało po drzewach. Raptownie zatrzymała się przed rozłożystym korzeniem, który zamknął jej przejście. Zaczęła omijać przeszkodę, a jej nogi oplotły ostre gałęzie jeżyn. Mocowała się z nimi dłuższą chwilę, po czym nagle znalazła się na ścieżce. Wąskiej prostej dróżce wśród zarośli. Poświeciła na ziemię i spostrzegła ślady kół. Wybrała numer.

– Polana! – wrzasnęła i znów popędziła przed siebie.

Światło latarki prześlizgiwało się po pniach. W oddali dostrzegła inne migające światła.

„Żebyśmy tylko zdążyli” – pomyślała roztrzęsiona.

Zaczynało jej brakować tchu, mięśnie ud paliły żywym ogniem, klucie pod żebrami stawało się nie do zniesienia, ale biegła dalej. Przed oczami wciąż miała twarz chłopca.

Drzewa zaczęły się w końcu przeredzać. Doszedł ją jakiś dźwięk, więc wyłączyła latarkę w telefonie. Las był czarny, przerażający i głuchy. Serce wyrywało jej się z klatki piersiowej.

Nagle usłyszała warczenie. Lęk sparaliżował jej ciało. Starła się uspokoić oddech, który po szaleńczym biegu był szybki i płytki. Powoli rozejrzała się wokół.

Jasny blask księżyca oświetlał polanę. Na przeciwległym skraju dostrzegła palącą się pochodnię. Stojący obok mężczyzna trzymał w ręku jakiś lśniący przedmiot.

Stłumiła jęk, gdy zrozumiała, że to brzeszczot. Zaczęła podkradać się bliżej, omijając szerokie drzewo. Nagle na środku polany zauważyła drugą postać, która powoli zbliżała się w stronę ognia.

Pies znów zawarczał i stanął w pozycji bojowej. Za nim, lekko w prawo, Anna dostrzegła kształt na ziemi. Ciało. Ciało chłopca z rękami rozłożonymi na boki leżało na drewnianych klockach. Stojący nad nim mężczyzna podniósł wzrok i zaniepokojony wpatrywał się w ciemność.

– Rzuć to, bo strzelam! – usłyszała krzyk.

Komendant Mączyński wyciągał przed siebie broń.

Tomasz Nicewicz wybuchnął szaleńczym śmiechem. Jego echo poniosło się przez ciemny las. Pstryknął palcami na psa, a ten rzucił się do przodu.

Zdzisław Mączyński zaczął strzelać, lecz pies nic sobie z tego nie robił i pędził w jego kierunku.

Anna nie odrywała jednak wzroku od Nicewicza, który podniósł brzeszczot. Nie wiedziała, co robić. Nie miała broni, ale musiała działać. Musiała go powstrzymać, nawet jeśli chłopczyk już nie żył. Nawet jeśli nie miało to już sensu. Wysunęła się zza linii drzew, gdy nagle Nicpoń wbił piłę w swoją szyję i w dalszym ciągu szaleńczo się śmiejąc, zaczął piłować. Krew trysnęła na leżące na podwyższeniu ukrzyżowane ciało dziecka.

To, co nastąpiło potem, widziała jak przez mgłę. Czarne postacie wyłaniające się z lasu, nosze, na które przenoszono dziecko, martwe ciało pitbulla pośrodku polany. I głowę, na wpół odciętą głowę mężczyzny leżącego w czarnej mazi rozlewającej się po polanie jak rzeka.

Później

1

Leopold Bilski uchylił drzwi szpitalnej sali. Wszedł cicho do środka. Ciężko usiadł na stojącym obok łóżka krzeselku. Rana na brzuchu nadal bolała, ale goiła się szybko. Głębokie cięcie nie uszkodziło żadnych organów wewnętrznych.

Julia Sarman spała. Oddychała miarowo. Jej ust nie wykrzywiał ten nerwowy grymas, który niemal z nich nie schodził w ostatnich kilku dniach. Pod zamkniętymi oczami rysowały się głębokie cienie. Wychudła. Policzki zapadły się, tworząc wyraźne wgłębienia pod kośćmi jarzmowymi.

Krzeselko pisnęło. Julia uniosła powieki.

– Przepraszam, nie chciałem cię obudzić. – Prokurator się uśmiechnął.

Julia odwzajemniła uśmiech. Czarne oczy błysnęły.

– Nic nie szkodzi – odparła z wysiłkiem. – Miło cię widzieć.

– Jak się czujesz? – Leopold złapał Julię za rękę.

– Żyję – szepnęła. – Żyjemy – poprawiła się.

– Słyszałem, że Piotruś wybudził się po kilku dniach!

– Tak, lekarze mówią, że to cud – westchnęła Julia z ulgą, ale na jej twarzy znów na chwilę pojawił się strach.

– Jak on się czuje?

– Dobrze. Nad wyraz dobrze. Jest pod obserwacją, ale wydaje się, że śpiączka nie wywołała żadnych nieodwracalnych skutków. W mózgu nie ma zmian strukturalnych. Wszystkie odruchy są w porządku. Trochę drętwieje mu lewa ręka, ale lekarze mówią, że wystarczy rehabilitacja i odzyska pełną sprawność.

– Wspaniale – ucieszył się Bilski. – Kiedy wychodzicie?

– Jeszcze chwilę to potrwa. Ale jesteśmy dzielni. – Julia uśmiechnęła się słabo.

– Zostaniesz w Kartuzach?

– Jeszcze nie wiem. Może? Może pierwszy raz w życiu zakończę to, co zaczęłam? – westchnęła. – Był u mnie Michał Pakosz. Zdecydował się zeznawać przeciwko Chojnackiemu. Razem się zdecydowaliśmy...

Leopold pokiwał głową pełen uznania i zadał kolejne pytanie:

– A twoja matka... znaczy Fabiola... rozmawialiście?

– Tak, była tu któregoś dnia.

– I co?

– Niektórzy nie zasługują na drugą szansę.

W tym momencie otworzyły się drzwi. Do pokoju zajrzał Piotruś. Zatrzymał się niepewnie przed Leopoldem i pytająco spojrzął na mamę.

– Tak, to on – powiedziała Julia z uśmiechem i odwracając się do Bilskiego, dodała: – Piotrek uważa pana za superbohatera.

Prokurator uniósł wysoko brwi.

– Ech, daleko mi do tego – stwierdził. – Ale za to tamta pani to na pewno superbohaterka. – Wskazał ręką Annę Górską, która stanęła właśnie w progu.

– Ania to Wonder Woman! – wykrzyknął Piotrek. – Niepokonana wojowniczką! – Chłopiec klapnął na łóżko mamy.

– Aaaa! – pisnęła Julia Sarman. – Uważaj na mamę, urwisię! – Zaśmiała się.

Piotruś delikatnie przysunął się do kobiety i łagodnie musnął dłonią jej policzek.

– *Everything's gonna be alright* – powiedział.

– *I know, my little boy, I know.* – Julia puściła do niego oko.

Bilski zaczął po cichu wycofywać się do drzwi.

– Dziękuję – bezgłośnie szepnęła w jego stronę Julia i przytuliła syna.

Na korytarzu czekała Ania.

– Piękny obrazek – stwierdziła, wskazując brodą na pokój.

– Piękny – przytaknął Leopold. – Wracasz na bazę?

– Najwyższy czas. Papiery na pewno zasypały już cały gabinet.

– Taa. Ale Wonder Woman nie powinna mieć problemu, by sobie z nimi poradzić. – Bilski roześmiał się.

– To się rozumie samo przez się – powiedziała i również wybuchnęła śmiechem.

– Kawa przed powrotem?

– Kawa – zgodziła się Ania. – A! – przypomniała sobie. – Tylko muszę cię ostrzec, że przed windą na dole czatuje Nestle. Chyba liczy na nieautoryzowany wywiad na wyłączność.

– Proponuję zatem schody ewakuacyjne.

– Popieram. Dasz radę?

– Z tobą zawsze.

Ramię w ramię ruszyli korytarzem w stronę wyjścia.

2

Leopold Bilski odstawił szklaneczkę na stolik. Brandy spłynęła przez przełyk, pozostawiając przyjemne pieczenie. Za oknem deszcz cicho uderzał o parapet.

Biegły psycholog sądowy Marcin Chraboł jak zwykle siedział w zielonym fotelu. Kolana długich nóg sterczały niemal na wysokości jego brody. Zakołysał okrągłym kieliszkiem. Płyn gęsto spływał ze ścianki szkła; pozostawiał rudawe okręgi.

Mężczyzna zastanawiał się chwilę nad pytaniem zadany przed momentem przez prokuratora, po czym stwierdził:

– Psychologowie twierdzą, że to, jak mordercy zachowują się w dorosłym życiu, zależy od wielu czynników. Ważną rolę odgrywa tu wychowanie, ale również ewentualne dziecięce traumy. Nie możemy też zapominać o dziedziczności. Jest wiele teorii tłumaczących, czemu ktoś wyrasta na seryjnego mordercę, a niekiedy płynące z nich wnioski są doprawdy zajmujące! – Biegły wziął mały łyżeczek brandy, przez chwilę potrzymał alkohol w ustach, po czym z wyraźną przyjemnością go przełknął. – Z licznych badań wynika, że u jednostek, które doświadczyły w dzieciństwie traumatycznych wydarzeń, znacznie częściej w porównaniu z ogółem populacji występują w życiu dorosłym różnego rodzaju problemy mentalne, agresywne zachowania czy choroby psychiczne. Maltretowanie, zastraszanie, wykorzystywanie seksualne to czynniki, które bez wątplenia sprzyjają wykształceniu się osobowości przestępczej. To, że Tomasz Nicewicz był świadkiem samobójstwa własnej matki i miał świadomość, że jest dzieckiem poczętym w wyniku relacji pedofilskiej, mogło w nim wyzwolić psychopatyczne zachowania. Z drugiej strony amerykański neurobiolog, James Fallon, badał swego czasu mózgi seryjnych morderców. Wyniki przeprowadzonych przez niego analiz wykazały, że tego typu osoby wykazują niższą aktywność w obszarach płata czołowego, które powiązane są z empatią, moralnością jak i samokontrolą. Następnie badacz porównał skany przedstawiające mózgi psychopatów ze skanami „normalnych” – kontynuował Chraboł, zgiętymi palcami rysując w powietrzu cudzysłów – ludzi, w tym wypadku członków swojej rodziny. No i okazało się, że jego mózg też można było zakwalifikować jako należący do psychopaty. – Psycholog roześmiał się.

– Jak to? – zdziwił się Bilski.

– Analiza aktywności mózgu Fallona wykazała, że naukowiec powinien cechować się wysokim poziomem agresji oraz niskim progiem empatii.

W dalszym postępowaniu badacz wykrył, że w jego rodzinie odnotowano w przeszłości kilkoro morderców, w tym matko- i ojcobójczynię. Summa summarum Fallon wyciągnął z tego wnioski, że przed staniem się przestępcą uchroniła go jedynie miłość matki. – Biegły pokiwał głową. – A zatem odpowiadając na twoje pytanie. – Chraboł podniósł wysoko palec, kiwając nim w rytm swojego wywodu. – Możliwe jest, że gdyby nie traumatyczne doświadczenia Tomasza Nicewicza, mężczyzna nigdy nie wszedłby na drogę szaleństwa, nawet jeśli miał w sobie te wszystkie groźne allele warunkujące jego psychopatyczność.

– Fascynująca profesja takie profilowanie – stwierdził Leopold i prześlizgnął się wzrokiem po zajmujących wszystkie ściany pomieszczenia bibliotecznych półkach.

Lubił ten przestronny pokój pełen książek, lubił zapach bulgoczącego na małym ogniu rosółu, który najwyraźniej był ulubioną potrawą psychologa, lubił światło latarni rozświetlającej krople padającego za oknem deszczu. A przede wszystkim czuł przemożną sympatię do Marcina Chraboła i miał silne przeczucie, że jeśli zabawi jeszcze przez jakiś czas w Kartuzach, to przegada z nim niejeden wieczór.

– Tak, profilowanie to nie lada wyzwanie – odparł biegły. – Wie pan, że za pierwszy psychologiczny portret nieznanego przestępcy uważa się profil Kuby Rozpruwacza? Sporządził go doktor Thomas Bond.

– Ale Kuby Rozpruwacza nigdy nie ujęto, prawda? – spytał Bilski.

– Rzeczywiście. Mordercy kobiet z Whitechapel nigdy nie udało się złapać. Bond, dokonując opisu, zignorował wiele czynników, jak na przykład brak nasienia na miejscach zbrodni. No było tam wiele dziur, jednak raport ten bez wątplenia...

Biegły perorował z nieukrywaną przyjemnością. Kochał to, czym się zajmował. Leopold pomyślał, że i on kocha swój zawód, a Kartuzy nie są w sumie takie też straszne.

Brandy smakowała wybornie. Wiedział, że na nią zasłużył.

3

Nie wiedzieć kiedy liście drzew zrobiły się czerwone. Jesień nadchodziła wielkimi krokami.

Leopold Bilski zasiadł przy stole w Trulôczu. Rozprostował plecy. Dzień był niezwykle pracowity. Prokuratorska toga była ciężka i brzydka, ale miło było ją w końcu założyć.

Rozejrzał się po sąsiednich łóżach. Rzucił okiem na bar.

Elżbieta Pakosz zamykała kasę fiskalną. Żegnała się z wychodzącymi gośćmi. Nie dawała po sobie poznać, jak bardzo bolesne były dla niej ostatnie tygodnie. Zdymisjonowany mąż, czekający na postawienie zarzutów. Zeznania syna przeciwko Bogdanowi Chojnackiemu. Na pewno nie było jej łatwo.

Kobieta nadal jednak uśmiechała się serdecznie do wszystkich klientów. Nie wzięła ani jednego dnia urlopu. Twardo stała na straży Trulôcza, który był teraz jedynym źródłem utrzymania jej rodziny.

Elżbieta Pakosz spotkała się wzrokiem z Leopoldem. Uśmiech goszczący na jej ustach natychmiast zgasł. Jej twarz przybrała poważny wyraz.

Prokurator skinął jej głową. Kobieta niechętnie odwzajemniła pozdrowienie i podeszła do jego stolika.

– To co zawsze? – spytała formalnym tonem i naleła prokuratorowi kawy z dzbanka.

– Dziękuję – powiedział Bilski. – Przysiądzie się pani na chwilę?

Elżbieta Pakosz nieufnie zerknęła na prokuratora, jednak usiadła na skraju stojącego naprzeciwko krzesła. Postawiła na blacie dzbanek, popatrzyła za okno. Westchnęła.

Leopold wziął mały łyk napoju ze swojej filiżanki. Trzeba było przyznać, że kawę w Trulôczu podawali niezłą. *Damn fine cup of coffee*, jak powiedziałyby agent Cooper.

– Dużo ostatnio myślałem – zaczął w końcu. – O sprawie Michała oczywiście, ale też o naturze człowieka. – Elżbieta Pakosz drgnęła na dźwięk imienia syna, jednak nie oderwała wzroku od okna. – Zastanawiałem się nad racjonalnością podejmowanych przez ludzi działań.

Pani Elżbieta zniecierpliwiona postukała palcami w blat stołu.

– Pan prokurator wybaczy, ale nie mam czasu na filozoficzne rozważania – odparła oschle.

– Jest pani osobą bardzo spostrzegawczą, prawda? – kontynuował spokojnie Bilski. – Czterdzieści sześć lat życia z prokuratorem. Tak powiedziała pani, gdy się poznaliśmy. Pamięta pani? Doskonały zmysł detektywistyczny, tak sobie wtedy o pani pomyślałem.

– Nie rozumiem, do czego pan zmierza – prychnęła Elżbieta Pakosz i wstała.

– Wiedziała pani, prawda? – Zdanie Leopolda zatrzymało kobietę w pół kroku. – O Michale i Chojnackim. A jednak pozwoliła pani, by mąż brał

pieniądze od Chojnackiego i tuszował jego ciemne sprawki.

Elżbieta Pakosz patrzyła w podłogę. Milczała.

– Pan nie ma dzieci – powiedziała w końcu – więc nie wie, jak to jest. Dzieci trzeba chronić. Przed światem. Przed samym sobą. Wszelkimi sposobami.

– Wy tłumaczy to pani odpowiednim organom.

Elżbieta Pakosz dopiero teraz zauważyła, że przed barem stał radiowóz. O jego maskę opierał się Waldemar Żaczek, który w ostatnich dniach uzyskał stopień nadkomisarza.

– Zgodnie z artykułem trzysta cztery paragraf jeden Kodeksu postępowania karnego obowiązek zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa jest obowiązkiem społecznym, a zatem ma charakter jedynie etyczny i za jego naruszenie nie grozi żadna kara i nie jest to żadne przestępstwo. – Pani Elżbieta pogardliwie zmrużyła oczy.

– Widzę, że orientuje się pani w przepisach, ale istnieją wyjątki, gdy reguła społecznego obowiązku zawiadomienia o przestępstwie przestaje obowiązywać. Wśród nich wymienia się między innymi obcowanie płciowe z osobą małoletnią lub doprowadzenie jej do poddania się czynnościom seksualnym. Za niespełnienie obowiązku zawiadomienia o popełnieniu takiego przestępstwa odpowiednich organów grozi kara pozbawienia wolności do lat trzech.

Prokurator dał przez szybę znak policjantowi, by wszedł do baru. Po chwili obserwował, jak Elżbieta Pakosz wsiada do radiowozu. Goście Trulôcza wstali z miejsc, odprowadzając odjeżdżającą kobietę wzrokiem.

Bilski z niedowierzaniem pokiwał głową. Zarzuty dla odznaczonego medalami fundatora miasta, przewrót w prokuraturze, dymisja szefa policji, wniosek o referendum w sprawie odwołania pani burmistrz postawiony przez opozycyjnych radnych po serii artykułów Iskry. A teraz jeszcze ulubiony lokal mieszkańców w najbliższym czasie niechybnie pójdzie pod młotek...

„No i całkowicie rozwaliłem system” – pomyślał, zostawiając na blacie solidny napiwek. Z głośników popłynął skoczny numer Toma Jonesa: *It's not unusual to be loved by anyone. It's not unusual to have fun with anyone.*

Prokurator Bilski, bezgłośnie nucąc piosenkę, wyszedł na ulicę.

Miał głęboką świadomość, że Kartuzy w swoim dotychczasowym kształcie właśnie przestały istnieć.

Podziękowania

Nie zakładałam, że *Czerwień* zapoczątkuje serię kryminalną. Chciałam po prostu opowiedzieć pewną historię. Jakie było moje zdziwienie, gdy sam dyrektor wydawniczy W.A.B., Marcin Meller, zadzwonił do mnie tuż przed zeszłymi świętami bożonarodzeniowymi, by oznajmić, że biorą *Czerwień* (trzy dni przed Wigilią, żebym, cytuję, „miała fajne święta” [sic!]). Gdy przed Nowym Rokiem nadal do siebie po tej rozmowie dochodziłam, szef zadzwonił ponownie i powiedział, że *Czerwień* została przyjęta w wydawnictwie tak entuzjastycznie, że zamierzają wydać całą serię.

I tak napisała się *Czerń*.

Dziękuję Marcinowi Mellerowi, że nie tylko dał mi szansę rozwinięcia postaci Bilskiego i reszty brygady, ale również motywował mnie, żebym wydobyła z siebie jak najwięcej. Jego zainteresowanie, podsuwane tytuły książek i seriali, pochwały, ale też surowa ocena sprawiły, że *Czerń* przybrała taki, a nie inny kształt.

Bardzo dziękuję wydawczyni, Agnieszce Trzeszkowskiej-Berezie, za ogromne wsparcie na każdym etapie pracy – mogę śmiało powiedzieć, że Agnieszka stała się moją mentorką; wspomniałbym, rozumiejącym i współodczuwającym nauczycielem.

Bardzo dziękuję Idzie Świerkockiej za zaangażowanie, sprinterskie tempo odpisywania na wszystkie moje pytania, a przede wszystkim za przemiłą, momentami wręcz humorystyczną współpracę przy korekcie książki. Dzięki Tobie i Adze frustrujący proces redakcyjny wybrzmiał jak najlepsza (ciężka) zabawa ;-)

Dziękuję specjalistce PR Asi Andruszko – za to, że zawsze mogę na nią liczyć, za to, że doskonale wie, jak mnie podejść, bym bez lęku i oporów uczestniczyła we wszystkich zaplanowanych przez nią przedsięwzięciach. Asia oswaja mnie jak nikt inny. Dziękuję!

Ta książka nie powstałaby, gdyby nie moja Mama. To na pewno. Bo to właśnie Mama przejmowała moje kilkumiesięczne Maleństwo, abym mogła w spokoju pracować, przynosiła do gabinetu smakołyki, a nawet gotowała obiady, żeby odciążyć mnie w największym stopniu. Mama Roma, jesteś niezastąpiona, jedyna taka, niezwykła. Dziękuję!

Gdzie Mama Roma, tam i Tata Heniu, wiadomo! Tato, wielkie dzięki za milion spacerowych kroków, za setki domków z klocków, które przez ten ostatni czas przyszło Ci zrobić.

Za konsultację z zakresu medycyny sądowej najmocniej dziękuję Katarzynie Berenice Miszczuk, która pokazała mi, jak połączyć fachową wiedzę z literackim światem przedstawionym. Przepraszam wszystkich specjalistów za pewne popkulturowe uproszczenia, które pojawiły się na tej płaszczyźnie.

Za „rozkminy” dotyczące kwestii informatycznych bardzo dziękuję Pawłowi Wawrzyniakowi i Mariuszowi Bachorze. Wielkie wyrazy wdzięczności dla Andrzeja vel Kyokushina za konsultację dotyczącą zagadnień policyjnych – oj, dużo tego było, dużo! Dziękuję za cierpliwość, za wyczerpujące odpowiedzi, za tropy, które napędzały moją wyobraźnię. „To nie Ameryka” – powtarzał Andrzej, gdy wyskakiwałam z kolejnym pomysłem rodem z amerykańskiego kryminału, więc jeśli gdzieś mnie poniosło, jeśli coś jest niezgodnie z procedurami, to wszystko biorę na siebie.

Głębokie ukłony dla psychiatry dziecięcej Magdaleny Grygo, z którą konsultowałam kwestie zachowań molestowanych dzieci oraz motywów działania sprawców przestępstw na tle seksualnym i urojeniowym.

Dziękuję Marzenie Baranowskiej za opowieści dotyczące rzeczywistości końcówki lat osiemdziesiątych – Twoje wspomnienia zawsze mocno zasilają szuflady mojej wyobraźni.

Zyje w Warszawie taka niezwykła rodzina – rodzina Polaków: Kasia, Maciej, Kajtek i Zoja, a w ich domu surrealistyczne dialogi to codzienność. Więc pozwoliłam sobie za ich zgodą uszczknąć „gałkę szpinaczku z rodzynkami niegazowanymi” (zoizm, przy którym redaktor zdębiał, ale wyciąć nie dałam!), rozważania matematyczne, jakby tu uprościć liczenie do tysiąca (Kajtek) oraz dialog o ostatniej na świecie parze komarów (Maciej i Kasia).

I oczywiście dziękuję Moim Ludziom: Kajtek, Sara, Aga, Megi Marzenka, Kuba, Wujek Sierak, Nosek – to Wam zadedykowałam tę książkę! Dziękuję, że jesteście!

Pisząc *Czerń*, korzystałam z wielu artykułów prasowych, publikacji naukowych i książek. W sumie sprawdzałam coś nieustannie, pozwolą więc Państwo, że nie wymienię wszystkich tytułów, jednocześnie bardzo dziękując ich autorom za wiedzę, która umożliwiła mi zbudowanie literackiego świata. Cytat dotyczący łopiego zaczerpnęłam z książki doktora Nadmorskiego (Józefa Łęgowskiego) *Kaszuby i Kociewie. Język,*

zwyczaj, przesady, podania, zagadki i pieśni ludowe w północnej części Prus Zachodnich (1892). Zdanie „Wracają na jeden dzień. Wchodzą do dziury po swoim domu i meblują go pamięcią” pochodzi z wywiadu z Maćkiem Nabrdalikiem przeprowadzonym przez Michała Gostkiewicza dla gazeta.pl.

„Czasami się wydaje, że to, co się wydaje, naprawdę jest” – zdanie wypowiedziane przez biegłego sądowego Marcina Chрабоła pochodzi z książki K. Bondy i B. Lacha *Zbrodnia niedoskonała* (2016).

Chciałam również dodać, że przeżycia egzorcyzmowanej Julity Burchardt vel Julii Sarman oparłam na prawdziwych wspomnieniach osób pojawiających się w książce A. Nowak i M. Szewczyk-Nowak *Żeby nie było zgorzenia. Ofiary mają głos* (2018). Korzystałam również z publikacji E. Overbeek *Lękajcie się. Ofiary pedofilii w polskim Kościele mówią* (2013).

Podobnie jak w *Czerwieni* przepraszam czytelników za celowe przeinaczenia pojawiające się na płaszczyźnie topograficznej – w niektórych miejscach topografię Kartuz dostosowałam do historii, która pragnęła się opowiedzieć, dopuściłam się więc pewnych odstępstw od miejsc zaznaczonych na mapie. Nie szukajcie m.in. domu Julii Sarman czy polanki, na której doszło do opisanych w książce dramatów – od podstaw zostały one zbudowane w mojej głowie. Przepraszam również za pojawiające się potknięcia proceduralne, w tym między innymi rozszerzenie zakresu praktycznych czynności podejmowanych przez prokuratora Leopolda Bilskiego i asesora Annę Górską – wszak główni bohaterowie muszą działać równie aktywnie jak inne organy śledcze. W *Czerni* nie zabrakło też przesunięć faktograficznych (wiem, że uwielbiają Państwo ich szukać, więc po prostu nie mogły się nie pojawić ;-)), ale opowieść zawsze stawiam na pierwszym miejscu!

Mam ogromną nadzieję, że żaden z mieszkańców Kartuz nie poczuje się dotknięty sposobem ukazania tego malowniczego i niezwykle ciekawego miasta. Starłam się oddać w książce różne odsłony tej miejscowości, która, podobnie jak przedstawiony w *Czerwieni* Sopot, ma swoje jasne i ciemne strony – to właśnie ta wielowymiarowość Kartuz sprawiła, że stały się miejscem akcji mojej powieści.

Na zakończenie dla formalności dodam, że choć dawna kaszubska wiara w rządzącą nocami „trupią ekipę”: wieszczego, łopiego i morę jest prawdziwa, to wszystkie przedstawione w książce postaci i zdarzenia są fikcyjne, a wszelkie podobieństwa przypadkowe i niezamierzone.

-
- ¹ Kto wiele przysięga, wiele kłamie (przysłowie kaszubskie).
 - ² Ewangelia św. Łukasza 18:22, 23.
 - ³ Księga Przysłów 13: 24.

Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska
Redaktor prowadząca: Ida Świerkocka

Redakcja: Jerzy Ponimirski, Maria Wirchanowska
Korekta: Małgorzata Denys, Joanna Rodkiewicz

Projekt okładki: Joanna Strękowska
Ilustracja wykorzystana na okładce: © Ilina93/Shutterstock

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. 22 826 08 82, 22 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-8058-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo